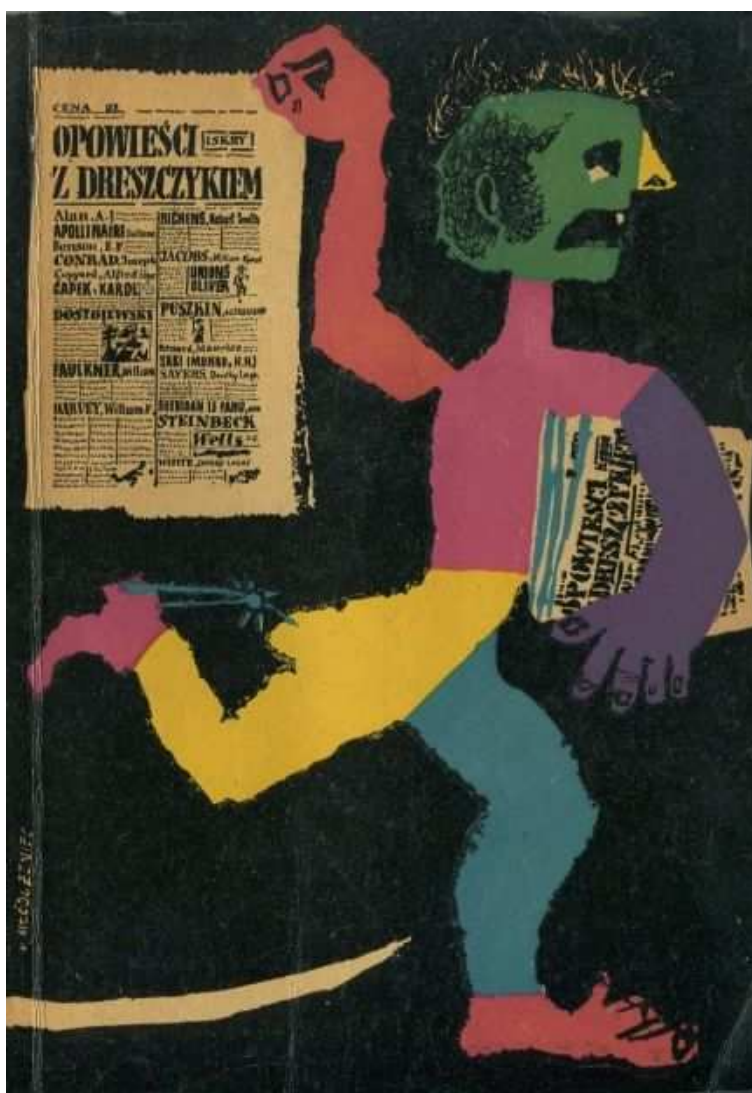


OPOWIEŚCI Z DRESZCZYKIEM

WYBRALI I OPRACOWALI: WOJCIECH ŻUKROWSKI I TADEUSZ ADRIAN MALANOWSKI



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1957

ALEKSANDER PUSZKIN

Poetyckie arcydzieła Aleksandra Puszkina (1799—1837) przesłaniają zazwyczaj jego twórczość prozatorską, a przecież trzeba pamiętać, że był on — rzecz można — ojcem noweli rosyjskiej. W cyklu Opowieści Bielkina znajdujemy — jak często bywa u klasyków — nowelę, która budzi nastrój grozy. Wykorzystany w niej został w sposób zręczny motyw fantastycznego snu, związanego z zawodem nieco makabrycznym: wytwórcy trumien. Od szablonu tego typu opowiadań utwór ten odbiega przez swoisty humor.

TRUMNIARZ

Ostatnie graty trumniarza Adriana Prochorowa zwalono na wóz pogrzebowy i para wychudzonych koni po raz czwarty powlokła się z Basmannej na Nikitską, dokąd trumniarz przeprowadzał się z całym swym dobytkiem. Prochorow zamknął sklep, przybił do bramy ogłoszenie, że sprzeda lub odnajmie dom, i pieszo udał się na nowe mieszkanie. Zbliżając się do żółtego domku, który już od dawna kusił jego wyobraźnię i który kupił wreszcie za grube pieniądze, stary trumniarz poczuł ze zdziwieniem, że nie doznaje w sercu radości. Gdy przestąpił nieznamy próg i zastał w nowej siedzibie zgiełk i zamieszanie, westchnął za zmurszałym domkiem, gdzie osiemnaście lat wszystko szło ściśle ustalonym trybem; zwymyślał obie swe córki i robotnicę za to, że zbyt powoli pracują, i sam zaczął im pomagać. Wkrótce zaprowadzili porządek; szafka ze świętymi obrazami, kredens, stół, kanapa i łóżko zajęły przeznaczone dla nich kąty w ostatnim pokoju; w kuchni i w bawialni umieszczono wyroby pana domu: trumny wszelkich rozmiarów i barw, a także szafy, gdzie mieściły się żałobne kapelusze, stroje i pochodnie pogrzebowe. Nad bramą umieszczono szyld, na którym wyobrażony był dorodny Amor z opuszczoną ku ziemi pochodnią w rękę i napis: „Tu się sprzedaje i wycięła trumny zwyczajne i malowane, a także wypożyczają się i naprawia używane”. Dziewczęta wyszły do swojej izby, Adrian obszedł dokoła domostwo, siadł przy okienku i kazał przygotować samowar.

Wykształcony czytelnik wie, że zarówno Szekspir, jak i Walter Scott przedstawiali swych grabarzy jako ludzi wesołych i dowcipnych, aby tym przeciwstawieniem jeszcze mocniej podzielać na naszą wyobraźnię. Przez szacunek dla prawdy nie możemy pójść za ich przykładem i zmuszeni jesteśmy przyznać, że charakter naszego trumniarza w zupełności odpowiadał jego ponuremu rzemiosłu. Adrian Prochorow był zazwyczaj ponury i zamyślony. Przerzywał milczenie chyba tylko po to, aby łajac córki, gdy przyłapywał je na gapieniu się przez okno na przechodniów, albo by zażądać za swe wyroby wysokiej ceny od tych, którzy mieli nieszczęście (a czasem i przyjemność) ich potrzebować. Tak więc Adrian, siedząc przy oknie i dopijając siódmą filiżankę herbaty, pogrążył się swoim zwyczajem w smutnych rozmyślaniach. Myślał o ulewnym deszczu, który tydzień temu zaskoczył przy samych rogatkach pogrzeb emerytowanego generała brygady. Wiele płaszczy żałobnych zbiegło się przez to, wiele kapeluszy straciło fason. Trumniarz przewidywał, że będzie musiał ponieść mnóstwo wydatków, gdyż dawny zapas szat pogrzebowych znajdował się już w opłakanym stanie. Spodziewał się, że odbije sobie straty na starej kupcowej Triuchinej, która już od roku blisko walczyła ze śmiercią. Ale Triuchina umierała w dzielnicy Razguliaj i Prochorow obawiał się, że spadkobiercy pomimo obietnicy nie zechcą posłać po niego tak daleko i że mogą umówić się z pierwszym lepszym przedsiębiorcą w pobliżu.

Rozmyślania owe przerwało trzykrotne masonskie pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytał trumniarz.

Drzwi otworzyły się i człowiek, w którym na pierwsze wejrzenie można było poznać rzemieślnika-Niemca, wszedł do pokoju i wesoło zbliżył się do trumniarza.

— Wybacz, miły sąsiedzie — powiedział tą rosyjską gwara, której po dziś dzień nie możemy słuchać bez uśmiechu — proszę wybaczyć, że przeszkadzam... chciałem jak najprędzej z panem się poznać, jestem szewcem, nazywam się Gottlieb Schultz, a mieszkam naprzeciwko, w tym domku, który pan widzi przez okno. Jutro obchodzę srebrne wesele, proszę po przyjacielsku przyjść do mnie z córkami na obiad.

Zaproszenie przyjęte zostało przychylnie. Trumniarz poprosił szewca, by usiadł i wypił filiżankę herbaty, a dzięki szczerości charakteru Gottlieba Schultza rozmowa potoczyła się w sposób przyjacielski.

— Jak idzie handel u waszmości? — zapytał Adrian.

— E-he-he — odpowiedział Schultz — i tak, i owak. Nie mogę się skarżyć. Choć oczywiście mój to nie to, co pański: żywy może się obejść bez butów, a umarły nie może żyć bez trumny.

— Święta prawda — odrzekł Adrian — jednakże, jeśli żywy nie ma za co kupić sobie butów, to, bez obrazy, chodzi boso, podczas gdy ubogi nieboszczyk za darmo dostaje trumnę.

W ten sposób rozmawiali przez pewien czas jeszcze; wreszcie szewc wstał i ponawiając zaproszenie pożegnał się z trumniarzem.

Nazajutrz punktualnie o dwunastej trumniarz z córkami wyszedł z nowo nabytego domu i udał się do sąsiada. Nie będę tu opisywał ani rosyjskiego kaftana Adriana Prochorowa, ani też europejskich strojów Akuliny i Darii, łamiąc w ten sposób zwyczaj, jakich się trzymają dzisiejsi powieściopisarze. Uważam jednak, że nie będzie zbyteczne, gdy stwierdzę, że obie panny włożyły żółte kapelusze i czerwone buciki, co czyniły wyłącznie w chwilach uroczystych.

Ciasne mieszkanko szewca pełne było gości, byli to przeważnie Niemcy-rzemieślnicy z żonami i czeladnikami. Z urzędników rosyjskich był pewien strażnik miejski, czuchoniec * Jurko, który potrafił pomimo swego skromnego stanowiska zdobyć sobie szczególną życzliwość gospodarza.

Przez dwadzieścia pięć lat służył na tym stanowisku Bogu i prawdzie jako poczytylion Pogorelskiego. Pożar dwunastego roku, zniweczywszy stolicę, zniszczył również i jego żółtą budkę. Lecz natychmiast po wypędzeniu wroga na jej miejscu zjawiła się nowa, szarawa, z białymi kolumnkami w doryckim stylu, a Jurko zaczął znów przechadzać się koło niej z toporem i w zbroi siermiężnej. Znała go większość Niemców, którzy mieszkali koło Nikitskich Wrót, poniekądym z nich zdarzało się nawet nocować u Jurki z niedzieli na poniedziałek. Adrian natychmiast poznał się z nim jako z człowiekiem, który wcześniej czy później może się przydać, a gdy goście przeszli do stołu, siadł koło niego. Pan i pani Schultz, a także ich córeczka, siedemnastoletnia Lotchen, jedząc obiad wraz z gośćmi, częstowali ich i pomagali kucharce w usługiwaniu. Piwo płynęło. Jurko jadł za czterech; Adrian mu nie ustępował; córki jego certowały się; rozmowa po niemiecku z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej gwarna. W pewnej chwili gospodarz poprosił o głos i odkorkowując zalakowaną butelkę, głośno powiedział po rosyjsku:

— Zdrowie mojej dobrej Luizy!

Zapienił się półszampan. Gospodarz czule pocałował czerstwy policzek swej czterdziestoletniej małżonki i goście hałaśliwie wypili zdrowie dobrej Luizy.

— Zdrowie moich miłych gości! — zawołał gospodarz otwierając drugą butelkę; goście wyrazili mu wdzięczność opróżniając kieliszki.

Tu toasty zaczęły następować jeden po drugim: pili zdrowie każdego gościa, zdrowie Moskwy i całego tuzina niemieckich miasteczek, pili zdrowie wszystkich cechów w ogóle i każdego z osobna, pili zdrowie majstrów i czeladników. Adrian pił gorliwie i rozweselił się

* Tak przezywano Finów, mieszkańców okolic Petersburga.

do tego stopnia, że sam zaproponował jakiś żartobliwy toast... Naraz jeden z gości, gruby piekarz, uniósł w górę kieliszek i wykrzyknął:

— Zdrowie tych, na których pracujemy, *unserer Kundleute* *.

Propozycja, jak i wszystkie inne, była przyjęta radośnie i jednomyślnie. Goście zaczęli się sobie kłaniać wzajemnie, krawiec szewcowi, szewc krawcowi, piekarz — im obu, wszyscy piekarzowi i tak dalej. Jurko w trakcie wzajemnych ukłonów zawołał zwracając się do swego sąsiada:

— No cóż? Pij, bracie, zdrowie swoich nieboszczyków.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ale trumniarz uznał się za obrażonego i zasepił się. Nikt tego nie zauważył, goście pili dalej i dzwoniło już na wieczorne nabożeństwo, gdy wstali od stołu.

Goście rozeszli się późno, przeważnie dobrze podpici. Gruby piekarz wraz z introligatorem, którego twarz wydawała się oprawiona w czerwony safian, odprowadzili Jurkę pod rękę do jego budki, stosując w tym wypadku rosyjskie przysłowie: jaka jałmużna, taka i odpłata. Trumniarz przyszedł do domu pijany i zły.

— Cóż to, doprawdy — rozmyślał na głos — czymże to moje rzemiosło jest mniej uczciwe od innych? czyż trumniarz to błazen? Chciałem zaprosić ich na obławanie nowego mieszkania, wyprawić wspaniałą ucztę, ale niedoczekanie ich! Zaproszę raczej tych, na których pracuję, nieboszczyków prawosławnych.

— Cóż to, ojczulku — rzekła służąca, która właśnie zdejmowała mu buty — co też ty pleciesz? Przeżegnaj się! Zwoływać umarłych na ucztę! Aż strach bierze!

— Jak Boga kocham, że zaproszę — powtarzał Adrian — i to już na jutro. Proszę bardzo, moi dobroczyńcy, jutro wieczorem przyjdź do mnie na przyjęcie; ugoszczę was, czym Bóg dał. — Z tymi słowy trumniarz położył się do łóżka i wkrótce zachrapał.

Na dworze było jeszcze ciemno, gdy Adriana zbudzono. Kupcowa Triuchina zmarła tej samej nocy i goniec od jej zarządcy przygalopował do Adriana konno z tą wiadomością. Trumniarz dał mu za to dwadzieścia groszy na piwo, ubrał się pośpiesznie, wziął dorożkę i pojechał na Razguliaj. Przed bramą domu nieboszczki stała już policja i przechadzali się kupcy jak kruki, które poczuły trupa. Nieboszczka leżała na stole, żółta jak wosk, lecz jeszcze nie zniekształcona rozkładem. Skupili się koło niej krewni, sąsiedzi i domownicy. Wszystkie okna były otwarte; świece płonęły; popi odmawiali modlitwy.

Adrian zbliżył się do siostrzeńca Triuchinej, młodego kupczyka w modnym surducie, i oznajmił mu, że trumna, świece, całun i inne rekwizyty pogrzebowe będą natychmiast w całkowitym porządku dostarczone. Spadkobierca podziękował z roztargnieniem, mówiąc, że nie targuje się o cenę i we wszystkim polega na jego sumieniu. Trumniarz zaczął się zaklinać swoim zwyczajem, że nie weźmie nic ponad to, co się należy; wymienił porozumiewawcze spojrzenie z zarządcą i pojechał zając się zamówieniem. Przez cały dzień jeździł tam i z powrotem z Razguliaja do Nikitskich Wrót; pod wieczór wszystko już było gotowe i trumniarz zwolniwszy swego dorożkarza poszedł do domu piechotą. Noc była księżycowa. Trumniarz spokojnie doszedł do Nikitskich Wrót. Przy Wozniesieńskiej cerkwi zawołał nań nasz znajomy Jurko i poznawszy trumniarza życzył mu dobrej nocy. Było już późno. Trumniarz zbliżał się już do swego domu, gdy naraz wydało mu się, że ktoś podszedł do bramy, otworzył furtkę i znikł za nią.

„Cóż by to mogło znaczyć? — pomyślał Adrian. — Kto mnie znowu potrzebuje? Czyżby to zakradł się złodziej? Czy nie chodzą czasem kochankowie do moich pannać? Wszystko może się zdarzyć!”

Trumniarz pomyślał już nawet, czyby nie wezwać na pomoc przyjaciela Jurkę. W tej chwili jeszcze ktoś zbliżył się do furtki i miał już zamiar wejść, lecz ujrawszy biegnącego gospodarza zatrzymał się i zdjął trójgraniasty kapelusz. Adrianowi twarz jego wydała się

* Naszych klientów.

znajoma, lecz w pośpiechu nie zdążył jej się dostatecznie przyjrzeć.

— Pan raczył przyjść do mnie — rzekł zdyszany Adrian — proszę bardzo, niech pan łaskawie wejdzie.

— Nie rób sobie ceremonii, bracie — odparł tamten głuchym głosem — idź naprzód, pokazuj drogę gościom!

Zresztą Adrian nawet nie miał czasu na ceremonie. Furtka była otwarta. Gospodarz wszedł na schody, a tamten za nim. Adrianowi wydało się, że po pokoju jego chodzą ludzie.

„Ki diabeł!” — pomyślał, wszedł pośpiesznie... i ugięły się pod nim kolana.

Pokój był pełen umarłych. Księżyc przez okno oświeślał ich żółte i sine twarze, wpadłe usta, mętne, na pół przymknięte oczy i zaostrome nosy... Adrian z przerażeniem poznał w nich ludzi pogrzebanych przy jego współudziale, a w gościu, który wszedł z nim razem, generała brygady pochowanego w czasie ulewy. Wszyscy oni, damy i mężczyźni, otoczyli trumniarza, kłaniając mu się i witając go, prócz pewnego biedaka, którego niedawno pochował za darmo, a który wstydząc się swych łachmanów, nie zbliżał się i stał pokornie w kącie. Reszta ubrana była przyzwoicie: nieboszczki w czepcach ze wstęgami, zmarli urzędnicy w mundurach, lecz z nie wygolonymi brodami, kupcy w świątecznych kaftanach.

— Widzisz, Prochorow — rzekł brygadier w imieniu całej dobranej kompanii — wszyscy przybyliśmy na twoje zaproszenie; zostali w domu tylko ci, którzy już się nie mogą ruszać, którzy już się zupełnie rozsypali, a także tacy, którym zostały same kości bez skóry, ale nawet spośród nich jeden nie wytrzymał, taką miał ochotę przyjść do ciebie...

W tej samej chwili mały szkielecik przedarł się przez tłum i zbliżył się do Adriana. Czaszka jego uprzejmie uśmiechała się do trumniarza. Strzępy jasnozielonego i czerwonego sukna oraz zbutwiałego płótna wisiały na nim w nieładzie, jak na drażgu, a kości nóg tłukły się w wielkich butach jak ubijaki w mózdzierzach.

— Nie poznałeś mnie, Prochorow — rzekł kościotrup. — Czy pamiętasz emerytowanego sierżanta gwardii, Piotra Pietrowicza Kuriłkina, tego samego, któremu w 1799 roku sprzedałeś pierwszą swoją trumnę — i to jeszcze sosnową za dębową? — Z tymi słowami umarłak chciał go ująć w kościany uścisk, lecz Adrian, nabrawszy ducha, krzyknął i odepchnął go.

Piotr Pietrowicz zachwiał się, upadł i cały się rozsypał. Pomiedzy zmarłymi powstał szmer oburzenia; wszyscy ujęli się za swym kolegą, ruszyli na Adriana z klątwami i groźbami i nieszczęsny gospodarz, ogłuszony ich wrzaskiem i prawie przyduszony, wpadł w ostateczną rozterkę, przewrócił się na kości emerytowanego sierżanta gwardii i stracił przytomność.

Słońce dawno już świeciło na łóżko, w którym leżał trumniarz. Otworzył wreszcie oczy i ujrzał przed sobą służącą, która dmuchała w samowar. Z przerażeniem wspomniął Adrian wszystkie wczorajsze wypadki. Triuchina, brygadier i sierżant Kuriłkin niewyraźnie majaczyli w jego wyobraźni. Czekał w milczeniu, aby służąca zaczęła z nim rozmowę i opowiedziała o skutkach nocnych przygód.

— Ale zaspasłeś, ojczy Adrianie Prochorowiczu — rzekła Aksinja podając mu szlafrok. — Był tu u ciebie sąsiad krawiec, a tutejszy strażnik wstąpił, aby cię zawiadomić, że dziś są imieniny rewirowego, ale tyś spał, a myśmy nie chcieli ciebie budzić.

— A przychodzili tu do mnie od nieboszczki Triuchinej?

— Nieboszczki? A czyżby ona umarła?

— Aleś ty głupia! Przecież sama pomagałaś mi wczoraj przygotowywać jej pogrzeb.

— Co ty, ojczy, rozum straciłeś, czy wczorajsze pijaństwo jeszcze ci nie przeszło? Jaki tam wczoraj był pogrzeb? Przez cały dzień chlałeś u Niemca, wróciłeś pijany, zwałeś się na łóżko i przespałeś aż do teraz, gdy już na południowe nabożeństwo przedzwonili.

— Czyżby? — powiedział ucieszony trumniarz.

— Wiadomo, że tak — odparła służąca.

— No, jeśli tak, to dawaj szybko herbaty i zawołaj tu córki.

EDGAR ALLAN POE

Wielu badaczy literatury doszukuje się źródeł „niesamowitości” utworów Edgara Allana Poe w tragicznych kolejach jego życia. Urodzony w 1809 r. w Bostonie, syn dwojga aktorów, został wczesnie osierocony i adoptowany przez rodzinę szkocką, która osiadła w Londynie.

Po powrocie do Ameryki Poe zaciągnął się do armii, lecz nie dorobiwszy się stopnia oficierskiego został w 1831 r. usunięty ze szkoły kadetów. Kariere pisarską rozpoczął od wydania kilku tomików poezji, po czym przeczcił się na prozę. W 1837 r. ukazał się pierwszy zbiór jego opowiadań. Wiek dojrzały pisarza był jeszcze nieszczęśliwszy niż jego dzieciństwo i młodość. Ożenił się z czternastoletnią kuzynką Wirginią Clemm, która po sześciu latach ciężkiej choroby, spowodowanej pęknięciem naczyń krwionośnych podczas śpiewu, zmarła w 1847 r.

Długotrwała choroba umiłowanej żony doprowadziła pisarza do skrajnej rozpacz, a stan ten pogorszył jeszcze nałóg pijaństwa, który przyczynił się do jego przedwczesnej śmierci. 3 października 1849 r. znaleziono go nieprzytomnego przed jednym z szynków baltimorskich; przewieziono go do szpitala, lecz nie odzyskał już przytomności. 7 października 1849 r. zakończył życie znakomity poeta romantyczny, twórca nowoczesnej opowieści grozy i fantazji, na którym wzorowali się Stevenson, Conan Doyle i wielu innych pisarzy.

ZAGŁADA DOMU USHERÓW

Son coeur est un luth suspendu:
Sitôt qu'on le touche, il résonne *.

(de Béranger)

Przez cały mroczny, głuchy i smętny dzień jesienny, pod ciężką powalą obłoków, co wlokły się nisko po niebie, nie opuszczałem siodła przebiegając samotnie na koniu dziwnie zamarłą połąć kraju i dopiero z nastaniem wieczornych zmierzchów ujrzałem przed sobą posępny Dom Usherów. Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, targnęła mą duszą — sam nie wiem dlaczego — nieuskromiona żałość. Powiadam: nieuskromiona, bowiem uczucia tego nie kołły owe na wpół rozkoszne, gdyż spowite poezją wrażenia, jakich zazwyczaj doznaje umysł na widok najgroźniejszych naturalnych przejawów okropności i spustoszenia. Patrzyłem na roztaczającą się przede mną widownię: na dom i pospolite zarysy krajobrazu całej włości, na żałobne mury, na okna, zgasłym podobne źrenicom, na kępy drętowego sitowia, na białawe pnie obumarłych drzew — z bezgranicznym przygnębieniem, do którego z odczuwań ziemskich żadne snadniej przyrównać się nie da od wrażeń nałogowego palacza opium, gdy budząc się, zaprzepaszcza się znów z goryczą w szarzyźnie życia, kiedy obmierzła zapadnie zasłona. Złodowaciała, zniżyła się, omdlała dusza — potępieńczym zrozpaczeniem przepoiła się myśl, której żadna tortura wyobraźni ku niczemu wzniosłemu pobudzić nie mogła. Dlaczego — przystanąłem w zamyśleniu — dlaczego czuję się tak nieswój spoglądając na Dom Usherów? Była w tym nieodgadniona tajemnica; na próżno pasowałem się z upiornymi zwiidywaniami, co naprzykrzały się mej zadumie. Musiałem poprzestać w końcu na bynajmniej niezadowolającym wniosku, iż w przyrodzie istnieją snadź zestawienia najpospolitszych przedmiotów, którym dana jest moc oddziaływania na nas w ten właśnie sposób, jednakowoż zbadanie tej mocy należy do dziedziny niedostępnych już dla nas tajni. Jest rzeczą możliwą — myślałem sobie — iż dość jest zmienić rozmieszczenie części składowych jakiejś widowni lub szczegółów na jakimś obrazie, by się przekształciła lub snadź nawet zupełnie zanikła ich zdolność wywoływania smutnych wrażeń; rozsnuwając ten pomysł, skierowałem

* Jego serce jest lutnią zawieszoną; zaledwie go dotknąć, dźwięczy (franc.).

mego konia na urwiste zbrzeże czarnej, zasepionej topieli, co roztaczała wokół domu zastygłe w bezruchu zwierciadło, i z dotkliwszym jeszcze niż poprzednio drzeniem spoglądałem na odbite w niej, przeinaczone obrazy szarego sitowia, upiornych pni drzewnych tudzież zgąsłych niby źrenice okien.

A jednak w tym przybytku żalości zamierzałem spędzić kilka tygodni. Jego właściciel, Rodryk Usher, należał ongi do najmiłszych towarzyszy mojego dzieciństwa, nie widzieliśmy się wszakże już od wielu lat. Dopiero przed niedawnym czasem, gdym przebywał właśnie w odległych stronach, doręczono mi jego list, w którym z niezwykłą natarczywością domagał się tylko ustnej odpowiedzi. W piśmie widniały oznaki podniecenia nerwowego. Skarżył się na obłożną chorobę ciała, na dolegliwy rozstrój duchowy — i oczekiwał mnie z najgorętszym upragnieniem jako swego najlepszego i jedyne go druha, spodziewając się, iż pogodne me usposobienie może wpłynąć kojąco na jego niedomaganie. Sposób, w jaki pisał o tych i innych jeszcze rzeczach, tudzież nie tajony, błagalny odzew serca nie pozwalały na zwłokę; usłuchałem też natychmiast tego osobliwego wezwania.

Jakkolwiek w dzieciństwie łączyła nas ścisła zażyłość, niewiele wiedziałem o mym przyjacielu. Powodował się zawsze przeczuloną, wrodzoną skrytością. Słyszałem atoli, iż starożytny jego ród już od niepamiętnych czasów sływał z wyjątkowej wrażliwości usposobienia, co przez długie wieki znajdowała ujście w mnogich dziełach szczytnego artyzmu, w ostatnich zaś latach przejawiała się równie często w uczynkach wielkodusznego i nie dbającego o poklask miłosierdzia, jak w namiętnym zamiłowaniu do niedocieczonych snadź raczej niż powszechnie uznanych i łatwo dostępnych piękności wiedzy muzycznej. Mówiono mi również o nader znamiennej okoliczności, iż czczony po wszystkie czasy szczep rodu Usherów nie wydał nigdy trwalszego odgałęzienia, czyli że cała rodzina wyprowadzała się tylko z linii prostej i że z wyjątkiem nader nieznacznych i krótkotrwałych odstępstw bywało tak zawsze. Rozważając w myśli doskonałą zgodność, zachodzącą między charakterystycznymi cechami włości a znanymi powszechnie właściwościami rodu, oraz zastanawiając się nad możliwością wpływów, jakie w przebiegu wieków ziemie te mogły wywrzeć na swych właścicielu, zrozumiałem, dlaczego ów brak bocznych linii i — co za tym idzie — nieodmierne przenoszenie się imienia i dziedzictwa z ojca na syna wytworzyły między jednym a drugim tak ścisłą łączność, iż pierwotne miano posiadłości zanikło w pomysłowej i dwuznacznej nazwie „Dom Usherów” — która w rozumieniu posługującego się nią ludu zdawała się obejmować zarówno ród, jak i jego siedzibę.

Wspomniałem już, iż jedynym następstwem mojej nieco dziecinnej zachcianki, by rzucić okiem w głąb topieli — było pogłębienie pierwotnego, dziwnego wrażenia. Przeświadczenie o szybkim wzroście mej zabobonnej trwogi — bo i czemuż nie mam jej określić tym słowem? — przyczyniło się niewątpliwie do przyśpieszenia tegoż wzrostu. Jest to od dawna mi znane, paradoksalne prawo wszystkich odczuwań wynikających z trwogi i snadź jego było to dziełem, iż wzniołszy oczy ku domowi od jego odbicia w toni, uległem szczególniejszemu przywidzeniu — przywidzeniu istotnie tak śmiesznemu, iż wspominam o nim jedynie na dowód przemożnego nasilenia gnębiących mnie wrażeń. W rozkiełznaniu wyobraźni zwidziało mi się, iż włość i zabudowania spowija właściwa im oraz najbliższemu ich otoczeniu atmosfera — atmosfera nie mająca nic wspólnego z powietrzem przestworów, lecz podnosząca się ze spróchniałych drzew, szarych ścian i głuchej topieli zatrutym, mistycznym wyziewem, ponurym i stężonym, o ledwo widocznym zabarwieniu ołowiu.

Otrząsając się z tych sennych rojeń, bo przecież nie mogło to być nic innego, jałem zastanawiać się dokładniej nad rzeczywistym wyglądem budynku. Świadczył on przede wszystkim o niesłychanej starożytności. Wyblakły doszczętnie ściany w przebiegu wieków. Od zewnątrz omszały drobnym porostem, zwieszającym się z rynien misternie splecioną tkanką. Pomimo to nie było widać wyraźniejszych oznak zniszczenia. Nie waliły się nigdzie mury, jakkolwiek niepożyta ich krzepkość pozostawała w osobliwszej sprzeczności ze zwietrzało-

ścią poszczególnych cegieł. I przyszły mi na myśl owe stare wiązania drzewne, co butwiejąc od dawna w zatęchłym, nie przewietrzanym podziemiu zachowują do czasu pozory trwałości. Wszelako te ślady spróchnienia nie nadawały bynajmniej budynkowi wyglądu ruiny. Być może, iż oku bacznego widza nie uszłaby jeszcze zaledwie widoczna rysa, co poczynając się od dachu, zbiegała w dół, na przedniej ścianie domu zygzakowatą znacząc się linią, i w wodach mętnej ginęła topieli.

Pogrążony w tych spostrzeżeniach minąłem krótką groblę i zatrzymałem się przed domem. Oczekującemu tam pacholękowi oddałem konia i wszedłem pod gotyckie sklepienie przedsionka. Cichym krokiem podbiegł ku mnie służący i mrocznymi, krętymi korytarzami poprowadził mnie w milczeniu do komnaty swego pana. Wszystko, co spotykałem po drodze, przyczyniało się, nie wiadomo czemu, do spotęgowania wspomnianych już przeze mnie, nieujętych wrażeń. Aczkolwiek otaczające mnie przedmioty — te rzeźbione stropy, te przyćmione na ścianach obicia, te posadzki, lśniące czernią hebanu, i widziadlane, rycerskie trofea, co szczękały za każdym mym stąpieniem — różniły się niewiele lub nie różniły się wcale od tych, do których nawykłem od dzieciństwa; aczkolwiek rozpoznawałem niezwłocznie te rzeczy, tak dobrze mi znane, mimo to nie wychodziłem z podziwu, iż zwyczajne zjawiska mogą rozniecać takie niezwykłe urojenia. Na schodach spotkałem domowego lekarza. Twarz jego mignęła mi przed oczyma wyrazem uniżonej przebiegłości z domieszką zakłopotania. Pozdrowił mnie lękliwie, nie zwalniając kroku. Wtem służący rozwarł na oścież drzwi i wprowadził mnie do pokoju swojego pana.

Była to komnata bardzo obszerna i wysoka. Ostrołukowe jej okna, wąskie i długie, umieszczone były tak wysoko nad posadzką z czarnego dębu, iż niepodobna było dosięgnąć ich od wewnątrz. Nikłe smugi nasyczonego purpurą światła napływały przez zakratowane szyby i uwydatniały znajdujące się w pobliżu przedmioty; natomiast do odleglejszych kątów pokoju jako też do załomów jego sklepionego, szczerze rzeźbionego stropu niepodobna już było przeniknąć spojrzeniem. Na ścianach wisały ciemne draperie. Urządzenie składało się z mnóstwa odwiecznych, podniszczonych i niewygodnych sprzętów. Dokoła leżały porozrzucane narzędzia muzyczne i książki, nie przyczyniając się wszakże do ożywienia całości. Owiąło mnie powietrze przesiąknięte smutkiem. Wszystko było przepojone i przytłoczone tchnieniem surowej, głębokiej i beznadziejnej melancholii.

Gdym wszedł, Usher podniósł się z sofy, na której dotychczas spoczywał, i przywitał mnie z najżywszą serdecznością, co zrazu wydało mi się wymuszonym, nawykowym odruchem przeżytego światowca. Spojrzawszy mu wszelako w oczy, przekonałem się o najzupełniejszej jego szczerości. Kiedyśmy usiedli, milczał przez chwilę, ja zaś patrzyłem nań, przeniknięty na poły współczuciem, na poły grozą. Zaiste, nie było snadź jeszcze człowieka, który by w równie krótkim czasie uległ okropniejszym zmianom od tych, jakie zaszły w Rodryku Usherze! W tej wybladłej istocie niełatwo przyszło mi rozpoznać towarzysza mych lat chłopięcych. A jednak oblicze jego zastanawiało zawsze swą wyrazistością. Śmiertelna śniadość lic; oczy duże, łzawe i niezrównanie promieniste; usta nieco cienkie i nadzwyczaj blade, lecz składające się w przedziwnie piękną krzywiznę; nos subtelny, jak u Żydów, kształtu, o rozdętych wszelako nozdrzach, nie zdarzających się zazwyczaj u tego typu; broda szlachetnie zarysowana, lecz nie wystająca, co świadczyło o braku woli; wreszcie włosy, miękkie i delikatne jak przedziwo — wszystkie te rysy w połączeniu z nadmiernie rozwiniętą skronią składały się na oblicze, które niełatwo dawało się zapomnieć. Najistotniejsze wszakże tych rysów znamiona, jako też właściwy im wyraz uwydatniły się z czasem, co wywołało tak ogromną zmianę, iż jałem powątpiewać, do kogo mówię. Upiorna bladość twarzy oraz czarodziejska świetlistość źrenic przede wszystkim zdjęły mnie niepokojem i trwogą. Urosły mu również jedwabiste włosy i opływały raczej, niż okalały jego lico dziwnym, jak gdyby pajęczym opłotem, którego arabeskowości żadną miarą nie można było pogodzić z zwykłym człowieczeństwem.

W zachowaniu się mego przyjaciela zastanowił mnie od razu pewien bezład i rozprężenie; rychło zdałem sobie sprawę, iż były one następstwem słabych i płonnych wysiłków, zmierzających do opanowania ciągłego niepokoju, daleko posuniętego rozstroju nerwowego. Na podobne objawy byłem zawnazę przygotowany; uprzedziły mnie o nich nie tylko jego listy i wspomnienia niektórych rysów z lat chłopięcych, lecz także wnioski, na jakie naprowadziły mnie właściwości jego temperamentu jako też ustroju fizycznego. Ruchy jego były na przemian żywe, to znów opieszałe. Głos (zwłaszcza w chwilach zupełnego odpływu sił), drżący niepewnością, nabierał nagle energicznej stanowczości; po czym ważkie, urywane, powolne i stłumione dźwięki przeobrażały się w ociężałe, zrównoważone i dobitne wystowienie, podobnie jak u nałogowych pijaków lub u ludzi opanowanych przez opium, kiedy są w okresie najsilniejszego podniecenia. W taki sposób mówił o celu mych odwiedzin oraz o tym, iż gorąco pragnął mnie zobaczyć, spodziewając się, że dodam mu otuchy. Wyjaśniał mi obszernie, na czym polegała jego choroba. Miało to być niedomaganie wrodzone i dziedziczne, na które — zdaniem jego — nie było lekarstwa. „Oczywiście, tylko najzwyczajniejszy rozstrój nerwowy — dodał niezwłocznie — który rychło przeminie”. Przejawiało się to mnóstwem nieprawidłowych odczuwań. Gdy jął o nich opowiadać, niektóre zaciekały i przeraziły mnie zarazem, do czego w znacznej mierze przyczyniły się zapewne użyte przezeń wyrażenia oraz cały tok opowiadania. Dolegało mu wielce chorobliwe zaostrenie zmysłów; mógł spożywać tylko mdłe potrawy; znośna dlań była odzież jeno z niektórych tkanin; sprawiała mu przykrość woń kwiatów; nawet przyćmione światło raziło jego oczy, zaś wszystkie dźwięki okrom pewnych brzmień strunowych instrumentów muzycznych były dlań nie do zniesienia.

Podlegał niewolniczo jakiemuś osobliwemu uczuciu grozy.

— Zgubi mnie — mówił — to żalosne szaleństwo, musi mnie zgubić. Wiem, iż przez nie zginę. Lękam się przyszlęch zdarzeń, nie dla nich samych, lecz dla tego, co przyniosą. Wzdrygam się na myśl o każdym, najbardziej nawet błahym wypadku, gdyż może on podnieść nieukojoną rozterkę mej duszy. Nie przeraża mnie niebezpieczeństwo, lękam się tylko jego nieuniknionego następstwa: grozy. W mym skołataniu, w mym zrozpaczeniu czuję, iż wcześniej lub później nadejdzie chwila, gdy postradam życie i rozum w walce z potworną chimera TRWOGL.

Z czasem urywane i niejasne napomknienia odsłoniły mi jeszcze inne zagadkowe rysy jego ustroju duchowego. Pozostawał pod zaklęciem jakichś przesądnych wyobrażeń dotyczących domu, w którym mieszkał i z którego przez długie lata nie śmiał się oddalić — dotyczących również jakiegoś wpływu, którego rzekomą moc zawarł w określeniach nazbyt ciemnych, by dały się tu powtórzyć: pewne osobliwsze właściwości, utajone tylko w kształtach tudzież materialnej istocie jego rodowego gniazda, drogą długotrwałego cierpienia miały osiągnąć ten wpływ na jego ducha; zmysłowe zatem oddziaływanie szarych wieżyc i murów jako też mrocznej, odzwierciedlającej je toni przeniosło się ostatecznie w sferę jego duchowego istnienia.

Przyznawał jednakże, acz nie bez wahania, iż gnębiącą go żalność dałoby się odnieść do prostszej i snadniej uchwytnej przyczyny: była nią ciężka i zadawniona choroba, a raczej bliski już zgon ukochanej serdecznie siostry, przez długie lata jedynej towarzyszki i ostatniej jego krewnej. „Po jej śmierci — rzekł do mnie z goryczą, której nigdy nie zapomnę — złamany beznadziejnością i niemocą, będę ostatnim ze starożytnego rodu Usherów”. Gdy mówił, lady Madeline (gdyż takie było jej imię) przesunęła się z wolna w głębi komnaty i zniknęła, nie zauważywszy mej obecności. Patrzyłem na nią ze zdumieniem nie pozbawionym lęku, acz było dla mnie niepodobieństwem zdać sobie z tych uczuć sprawę. W drętwym osłupieniu podążałem spojrzeniem za odchodzącą. Kiedy podwoje zamknęły się za nią, oczy me bezwiednie i ciekawie przeniosły się na twarz brata; lecz ukrył ją w dłoniach i dostrzegłem tylko, że wychudłe jego palce powlokły się silniejszą niż zazwyczaj bledością, skroś nich zaś palące przesączały się łzy.

Zadawnionej niemocy lady Madeline na próżno starali się podołać lekarze. Przewlekła apatia, wzmagające się stopniowo wyczerpanie organizmu oraz częste, jakkolwiek przemijające objawy kataleptycznej poniekąd natury składały się na niezwykłą jej diagnozę. Dotychczas opierała się mężnie dolegliwościom choroby i nie kładła się do łóżka; ze schyłkiem wszakże pierwszego po moim przyjeździe wieczora uległa (jak mi jej brat oświadczył nocą z niewysłowionym wzruszeniem) trawiącemu ją schorzeniu; dowiedziałem się zarazem, że owo przelotne widzenie będzie zapewne ostatnie — że żywej prawdopodobnie już jej nie zobaczę.

Przez kilka następných dni nie wspominaliśmy obaj jej imienia; upłynęły mi one na najusilniejszych staraniach, by ukoić melancholię mojego przyjaciela. Spędzaliśmy czas na wspólnym czytaniu i malowaniu; niekiedy, snem jakby ujęty, zasłuchiwałem się w porywające improwizacje, które umiał wyczarować z gitary. Zacieśniająca się z dniem każdym między nami zażyłość torowała mi coraz swobodniejszy przystęp do tajników jego ducha; z tym większą atoli goryczą nabierałem przeświadczenia o płonności wszystkich zabiegów, zmierzających do rozpogodzenia umysłu, którego oćma, niby jakaś nieodłączna i rzeczywista władza, osnuwała nieustającą żalością wszystkie zjawiska duchowego i zmysłowego świata.

Nie wygaśnie nigdy w mej duszy pamięć uroczystych chwil, spędzonych w towarzystwie ostatniego z Usherów. Trudno jednak byłoby mi określić dokładniej rodzaj studiów i zajęć, w które mnie wtajemniczył lub do których wytknął mi drogę. Jego czujny i nieokiełznany idealizm wszystko swym fosforycznym oblewał blaskiem. Jego długie, improwizowane pienia żalobne nieustannie dźwięczą mi w uszach. Przeboleśnie utkwiała mi w duszy dziwna jakaś parafraza i dopełnienie dzikiej melodii z Ostatniego Walca von Webera. Spomiędzy obrazów, co poczynały się z zadum jego twórczej wyobraźni i za każdym dotknięciem pędzla roztaczały się w nieokreśloność, tym przenikliwszym wstrząsającą mnie dreszczem, iż drżałem, sam nie wiedząc dlaczego — spomiędzy tych obrazów (jakkolwiek tak żywo stoją mi przed oczyma) nie zdołałbym opisać żadnego okrom niewielu, pokrewnych już dziedzinie pisanego słowa. Nadzwyczajną prostotą oraz najzupełniejszym odsłonięciem swych zamierzeń przykuwał i struchlałą oczarowywał uwagę. Jeżeli człowiekowi śmiertelnemu powiodło się kiedykolwiek namalować ideę, to Rodryk Usher był tym człowiekiem. Dla mnie przynajmniej — wśród okoliczności, w jakich się znajdowałem — z czystych abstrakcji, które ten melancholik starał się wyrazić na płótnie, wiała taka przepotężna i nie wysłowiona groza, jaką płomienne, lecz nazbyt jeszcze rzeczywiste marzenia Fuseliego nie przejmowały mnie nigdy.

Pewien fantastyczny, mniej wszakże w abstrakcjach zaprzepaszczonego utworu mojego przyjaciela postaram się, acz nieudolnie, nakreślić tu w słowach. Nieduży ten obrazek przedstawiał wnętrze jakiegoś niezmiernie długiego, prostokątnego podziemia czy tunelu o niskich ścianach, gładkich i białych, pozbawionych wszelkich przerw i ozdób. Niektóre szczegóły uboczne miały naprowadzać na domysł, że tunel ten znajduje się niesłychanie głęboko pod powierzchnią ziemi. Na całej jego ogromnej przestrzeni nie widniało nigdzie wyjście ani pochodnia lub jakiegokolwiek inne, sztuczne źródło światła, a jednak powódź jaskrawych blasków roztaczała się wszędzie i zatapiała czeluść upiorną, nieodgadnioną poświatą.

Schorzenie nerwu słuchowego, o którym już wspominałem, sprawiło, iż okrom niektórych brzmień instrumentów strunowych nie znosił Usher muzyki. Być może, iż właśnie ów ciasny zakres, w jakim się zasklepił, grywając tylko na gitarze, grę jego fantastycznym otoczył urokiem. Wszelako ognistego polotu, jaki wiał z tych jego *impromptu* *, nie można było złożyć na karb zacieśnienia. Snadź zarówno melodie, jak i słowa rozpętanych jego fantazji (gdyż nierzadko wtórował sobie rymowanymi improwizacjami) musiały być i były istotnie wynikiem wytężonego, duchowego skupienia, o którym napomknąłem poprzednio, powiadając, iż daje się ono zauważyć tylko w wyjątkowych chwilach najpotężniejszego, nienaturalnego podniecenia. Słowa jednej takiej rapsodii z łatwością utkwily mi w pamięci. Być może, iż wstrząsnęła mną ona silniej, niżeli zamierzał, gdyż zdało mi się, że w tajemnym czy

* Impromptu (franc.) — muzyczny utwór improwizowany.

misternym toku jej znaczenia wyczułem po raz pierwszy zupełne przeświadczenie Ushera, iż szczytny jego umysł chwieje się na swym tronie. Wiersze te, noszące tytuł: Nawiedzony gród, jeżeli nie dosłownie, to niemal dosłownie brzmiały tak:

I

*Śród zieleni, śród lewady
Przez aniołów dzierzony ród
Niegdyś dźwignął się z posady
Promienisty, wzniosły gród.
Kędy Myśli królowania,
Tam ten twór!
Większej chwały nie ostanta
Żaden Seraf tęczą piór.*

II

*Wstęgą złotą, świetną, sławną
Wiały znaki z hełmów wież.
(Ach, jak dawno już — tak dawno!
Gdzież są, gdzież)
Niosły powiew jak postanki
W słodki ów dzień
Na ocienione grodu blanki
Pierzchliwą falę wonnych tchnień.*

III

*Przez świetlistych okien dwoje
Widział pielgrzym z obcych stron
Płszających duchów roje,
Jak na dźwięcznej lutni ton
W krąg stolicy złotolitej
Zataczały tan
U stóp Porfirogenety, *
Co władał jako grodu pan.*

IV

*Z rubinu każdy grodu wrzeciędz,
Blask pereł na drzwiach mży —
Przez które lecąc, lecąc, lecąc,
Świecące niby skry,
Wpadały echa z każdym mgnieniem,
Zaś ten ech tłum
Swym czarodziejskim wielbił pieniem
Królewską dostojność i um.*

V

*Ale złe dziwy w smętku szacie
Naszły królewski, wzniosły dom*

* Urodzony w purpurze; władca.

*(Ach, król nie ujdzie już zatracie
I już nie będzie końca łzom!)
A sława, co kwitnęła jaśniej
Niż rajski kwiat,
Jest tylko mglistym tworem baśni
Z dawno zamierzchłych lat.*

VI

*Widzi dziś pielgrzym wśród lewady
Przez okna skrzące blaskiem tun,
Jak się kotyszą zjaw gromady
Przy opętańczym zgrzycie strun.
Przez zmierzchłe dźwierze dziką zgrają
Miast dźwięcznych ech,
Tłoczą się widma, które znają
Nie uśmiech już, lecz śmiech.*

Przypominam sobie, iż wywołana nastrojem ballady wymiana myśli nastęczyła Usherowi sposobność do wygłoszenia poglądu, o którym wspomnę nie dla jego nowości, gdyż myśli tej hołdowali już inni *, lecz dla stanowczości, z jaką się przy nim upierał. Pogląd ten w swej zasadzie opiewa, iż wszystkie ustroje roślinne wyposażone są zdolnością odczuwania. Atoli w jego rozwichrzonej wyobraźni myśl ta śmielszego nabrała rozpędu i z pewnymi zastrzeżeniami ogarniała także dziedzinę świata nieorganicznego. Nie mam słów na wyrażenie całego zakresu oraz surowej beznadziejności tych jego zapatrywań. Pozostawały one w związku (jak już poprzednio napomknąłem) z szarymi kamieniami siedziby jego praojców. Zdolność odczuwania rozwinęła się w niej — jak sobie wyobrażał — zarówno pod wpływem układu i sposobu zestawienia kamieni, jak pod wpływem porastających je plech oraz okólnych, spróchniałych pni drzewnych — przede wszystkim zaś skutkiem długiego, niezmaconego trwania tych właściwości jako też ich odbicia w cichych wodach topieli. Świadczy o niej — o owej zdolności odczuwania — (rzekł do mnie, ja zaś wzdrygnąłem się na te jego słowa) stopniowe, lecz niezawodne zgęszczanie się dokoła wód i murów pewnej właściwej im atmosfery. Następstwa — dodał jeszcze — przejawiają się w utajonym wprawdzie, niemniej wszakże przemożnym i straszliwym oddziaływaniu, co od wieków zaznaczało się w losach jego rodu, z niego zaś samego uczyniło to, czym był i czym jest obecnie. Poglądy takie nie potrzebują komentarzy, jakoż ich dawać nie zamierzam.

Książki nasze — te książki, co przez długie lata przyczyniały się niemało do jego duchowego bytowania, pozostawały — jak łatwo się domyślić — w najściślejszej łączności z tym światem przywidzeń. Zagłębialiśmy się razem w takich dziełach jak: *Ververt* i *Chartreuse* Gresseta, *Belphegor* Macchiavellego, *Niebo i piekło* Swedenborga, *Podróż podziemna Nicholasa Klimma* Holberga, *Chiromancja* Roberta Fluda, Jean d'Indagine'a i de la Chambre'a, *Podróż w błękity* Tiecka tudzież *Miasto słońca* Campanelli. Jedną z ulubionych jego książek było *Directorium Inquisitorium*, wydane w małej ósemce przez dominikanina Eymerica de Gironne, zaś nad niektórymi ustępami Pomponiusza Meli, gdzie jest mowa o starodawnych afrykańskich satyrach i oegipanach, mógł Usher w zadumie długie spędzać godziny. Z największym wszakże upodobaniem rozczytywał się w nadzwyczaj rzadkiej i tajemniczej gotyckiej księdze, pochodzącej z jakiegoś zapomnianego kościoła, a noszącej tytuł: *Vigiliae Mortuorum secundum Chorum Ecclesiae Maguntinae*.

Zastanawiałem się właśnie nad dziwnym rytuałem tego dzieła oraz nad przypuszcza-

* Watson dr Percival Spallanzani, przede wszystkim zaś biskup z Landaff. — Patrz: „Chemical Essays”, tom V (E. A. P.).

Inym jego wpływem na melancholię mojego przyjaciela, gdy pewnego wieczora zawiadomił mnie on niespodziewanie o zgonie lady Madeline, oświadczając zarazem, iż zamierza złożyć jej zwłoki (zanim odbędzie się pogrzeb) na jakieś dwa tygodnie w jednym z podziemi, znajdujących się wśród węgielnych posad zamczyska. Jawne powody, jakimi uzasadniał to osobliwsze postanowienie, były tego rodzaju, iż sprzeciwić się mu nie mogłem. Powziął je rzekomo pod wpływem niezwykłych przejawów chorobowych zmarłej tudzież natarczywych i badawczych nagabywań jej lekarzy, a przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, iż groby rodzinne w znacznej znajdowały się odległości i nie były należycie zabezpieczone. Przyznaję, iż uprzytomniwszy sobie złowróżbną twarz osobnika, którego w dzień przyjazdu spotkałem na schodach, nie miałem już chęci doradzać Usherowi, by odstąpił od zarządzenia, które wydało mi się ze wszech miar słusznym i najzupełniej godziwym.

Na prośbę Ushera pomagałem mu przy tym żałobnym obrzędzie. Złożywszy zwłoki do trumny, zanieśliśmy je we dwójkę na miejsce spoczynku. Podziemie, w którym je umieściliśmy (nie otwierano go już od tak dawna, iż nasze pochodnie w stęchłym powietrzu zaledwo się jarzyły, nie pozwalając nam rozejrzeć się dokładniej), było małe, duszne i zupełnie pozbawione dopływu światła; położone zaś było ogromnie głęboko, bezpośrednio pod tą częścią skrzydła zamkowego, gdzie znajdował się mój pokój sypialny. Za dawno minionych feudalnych czasów służyło snadź ono do najgorszych celów jako loch więzienny, później zamieniono je zapewne na skład prochu czy też innych wybuchowych materiałów, gdyż zarówno część jego posadzki, jak i całe wnętrze długiego, sklepionego korytarza, który do niego prowadził, opancerzono starannie miedzią. Potężne dźwierze żelazne były również zaopatrzone w ten sam sposób. Poruszając się na zawiasach, wydawały niesłychanie przeraźliwy zgrzyt, olbrzymim spowodowany ciężarem.

Złożywszy nasze żałobne brzemię na marach śród tego przybytku grozy, uchyliliśmy nie przytwierdzone jeszcze wieko trumny, by przyjrzeć się obliczu zmarłej. Zastanowiło mnie przede wszystkim uderzające podobieństwo między bratem a siostrą, toteż Usher, jakby odgadując me myśli, wyszeptał kilka słów, z których się dowiedziałem, iż byli bliźniętami i że zawsze wprost niepojęta łączyła ich sympatia. Atoli spojrzenia nasze niezbyt długo spoczywały na zmarłej, gdyż nie mogliśmy patrzeć na nią bez drżenia. Choroba, która przecięła wątek młodego jej życia, pozostawiła, jak to zazwyczaj się zdarza przy wszystkich niedomaganiach o ściśle kataleptycznym charakterze, złudzenie lekkiego rumieńca na licu i na piersiach, a na ustach ów zagadkowo tęskny uśmiech, co tak strasznie wygląda u zmarłych. Zamknęliśmy i przytwierdziliśmy wieko, po czym zasunawszy żelazne dźwierze powróciliśmy nie bez trudu do niewiele pogodniejszych komnat, stanowiących wyższe piętro zamczyska.

Mijał dzień za dniem nieprzełakanego żalu, gdy w objawach rozstroju duchowego mojego przyjaciela zaszła widoczna zmiana. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Poniechał całkiem swych zajęć lub o nich zapomniał. Błądził po komnatach bez celu szybkim i nierównym krokiem. Jeszcze upiorniejsza stała się śmiertelna bladość jego oblicza, a promieniste oczy przygasły. Przydarzająca się dawniej u niego chrypliwość głosu zanikła, zaś w brzmieniu słów znać było nieustające drżenie, jak gdyby ostatecznym wywołane przerażeniem. Zdało mi się chwilami, iż stale podniecony jego umysł pasuje się z uciskiem jakiejś tajemnicy i sili się na potrzebną odwagę, chcąc ją wypowiedzieć. Lecz kiedy indziej składałem znów wszystko na karb niepojętych majaceń obłędu, gdyż widywałem go, jak z wyrazem najgłębszego skupienia wpatrywał się w próżnię, niby łowiąc uchem jakieś urojone dźwięki. Nie było w tym nic dziwnego, iż stan jego przerażał mnie i zarażał. Czulem, że stopniowo poddaje się nieodpartemu wpływowi jego fantastycznych, lecz porywających przywidzeń.

Zwłaszcza siódmej czy ósmej nocy po przeniesieniu lady Madeline do podziemia, udawszy się na spoczynek, doświadczyłem na sobie przemożnej ich potęgi. Godziny upływały, lecz sen nie miał się mego posłania. Rozumowaniem starałem się stłumić w sobie niepokój,

który mną owładnął. Wmawiałem w siebie, iż głównym, jeśli nie wyłącznym mych odczuwać powodem był przygnębiający wpływ posępnego umeblowania komnaty — przede wszystkim ciemnych i poszarpanych draperii, co smagane tchnieniem wszczynającej się burzy trzepotały po ścianach i szeleściły u wezglowia mego łoża. Atoli wszystkie me usiłowania były nadaremne. Nieuskromione drzenie jęło stopniowo wstrząsać całym moim ciałem, zaś w końcu nawet w moim sercu rozgościła się zmora najzupełniej płonnej trwogi. Otrząsnąłem się z niej wysiłkiem woli, po czym dysząc ciężko, dźwignąłem się na poduszkach i utkwivszy badawcze spojrzenie w nieprzeniknione mroki komnaty, zasłuchałem się — powodowany nie wiedzieć czym, snadź jeno nieświadomym odruchem instynktu — w jakieś głucho i nieokreślone dźwięki, co z wielkimi przerwami dolatywały nie wiadomo skąd, gdy uciszała się burza. Zdjęty dławiającym uczuciem niepojętej, lecz niezwalczonej grozy, odziałem się pośpiesznie (gdyż czułem, iż nie uda mi się zasnąć tej nocy) i szybkim krokiem jąłem przechadzać się po komnacie, by wyrwać się z tego przykrego nastroju.

Zaledwo wszakże zdążyłem przejść się kilka razy, gdy lekkie stąpanie na przyległych schodach zwróciło moją uwagę. Natychmiast poznałem po chodzie Ushera. Jakoż w chwilę później zastukał z cicha do moich drzwi i wszedł z lampą w rękę. Lico jego było jak zazwyczaj śmiertelnie blade — lecz w oczach widniała jakaś obłądna radość, a w całym zachowaniu znać było powściągane zapamiętanie się szalem. Wygląd jego zatrwożył mnie — wolałem atoli jaką bądź zmianę od dotychczasowej gnębiającej samotności i powitałem go z uczuciem ulgi.

— A ty... czy nie widziałeś tego? — odezwał się nagle po chwili niemego osłupienia. — Nie widziałeś? Ale poczekaj, zobaczysz! — To mówiąc osłonił lampę dłonią i podbiegłszy do okna rozwarł je na oścież nie bacząc na burzę.

Wściekły pęd wdzierającego się wichru omal nie obalił nas z nóg. Noc była burzliwa, lecz groźnie piękna — dziwna tym skojarzeniem piękności i grozy. Zamęt powietrzny czerpał widocznie swe siły gdzieś w naszym sąsiedztwie, gdyż kierunek wiatru ulegał częstym i nagłym zmianom i pomimo nadzwyczajnego zagęszczenia się chmur (co wisiały tak nisko, iż zdawały się ciążyć na wieżycach zamku) widać było chyżość, z jaką przelatowały na podobieństwo żywych istot, nadciągając ze wszech stron, lecz nie rozpraszając się w przestworzu.

Powtarzam, iż widzieliśmy to zjawisko pomimo niesłychanego zagęszczenia się chmur — jakkolwiek nie przesiąkały przez nie promienie gwiazd ni miesiąca i nie migotały błyskawice. Atoli zarówno dolna powierzchnia olbrzymiego zwału rozkołtysanych obłoków, jak i wszystkie, znajdujące się na ziemi, pobliskie nam przedmioty jarzyły się nienaturalną poświatą mgławych, wyraźnie dostrzegalnych wyziewów, co słały się dokoła i spowijały zamek w swe całuny.

— Nie powinienes... nie trzeba, żebyś na to patrzył! — rzekłem, wstrząśnięty, do Ushera i przemocą odciągnąłem go od okna, skłaniając, by usiadł. — Te majaki, które cię tak niepokoją, są to po prostu dość pospolite zjawiska elektryczne i, najprawdopodobniej, zawdzięczają swe upiorne istnienie błotnym oparom topieli. Pozwól, że zamknę okno; powietrze jest ostre i mogłoby ci zaszkodzić. Oto jedna z twych ulubionych powieści. Ja będę czytał, a ty posłuchaj — i jakoś minie nam ta przeklęta noc!

Starożytna księga, którą wziąłem do ręki, był to *Mad Trist* Sir Launcelota Canninga, atoli nazwanie jej ulubioną powieścią Ushera było raczej posępnym żartem niż rzeczywistością, bowiem cudaczna, oschła rozwlekłość tego utworu nie licowała wcale ze szczytnym i uduchowionym idealizmem mego przyjaciela. Lecz była to jedyna książka, którą w tej chwili miałem na podorędziu, a przy tym przyświecała mi nikła nadzieja, iż bezmiar zawartych w niej bredni może wpłynąć kojąco na rozterkę, co targała duszą melancholika (gdyż dzieje zbrodni umysłowych roją się od podobnych sprzeczności). Jakoż sądząc z wyrazu niezmiernie wytężonego skupienia, z jakim słuchał lub zdawał się słuchać powieści, mogłem się cieszyć z powodzenia mego pomysłu.

Dotarłem w czytaniu do owego powszechnie znanego ustępu, gdzie Ethelred, bohater *Mad Trista*, widząc, iż wszelkie jego namowy, by pustelnik dobrowolnie wpuścił go do swej chaty, są bezowocne, postanawia wedrzeć się przemocą. Przypominam, iż opowiadanie brzmi następująco:

Ethelred, co z przyrodzenia chrobre miał serce, a był teraz dużo silniejszy, mocnym poprzednio pokrzepiwszy się winem, zaniechał dalszej rozmowy z eremita, który był istotnie człowiekiem upartym i złośliwym, lecz czując deszcz na karku i nadlegającej obawiając się burzy, dźwignął w górę swą pałkę i szybkimi uderzeniami rum uczynił w bierwionach dźwierzy dla swej pancernei dłoni; po czym wraziwszy ją śmiało, jał tak rwać, siepać i druzgotać do cna, że pogłosy i larum szły hen po całym lesie od trzasku suchego i próżnią odzywającego się drewna.

Pod koniec tego okresu drgnąłem i zatrzymałem się na chwilę, gdyż wydało mi się (acz uświadomiłem sobie od razu, iż rozigrana uwodzi mnie wyobraźnia), jak gdybym skądś, z jakiegoś bardzo odległego zakątka, dosłyszał szmer głuchy i przytłumiony, lecz najzupełniej podobny do owego trzasku i łomotu, który Sir Launcelot opisuje tak szczegółowo. Bez wątpienia właśnie to podobieństwo zwróciło moją uwagę, gdyż wśród brzęku szyb w oknach oraz zmaconego poszumy wzmagającej się burzy szmer ten sam przez się na pewno nie byłby mnie zastanowił i zaniepokoił. Czytałem więc dalej:

Alić takież gniew i przerażenie zdjęło męznego najeźnika (Ethelreda), gdy przekroczywszy próg nie zastał ani śladu złośliwego eremity; miast niego smok obmierzły, cały w łuskach i z płomienistym językiem, dzierżył straż przed pałacem ze złota, co miał pawiment ze srebra. Także na ścianie wisiała paiza ze szklanej miedzi, na której taka widniała legenda:

*Kto wejdzie tutaj, ten zwycięzcą będzie,
Smoka zabije i pawęż posiadzie.*

Za czym Ethelred dźwignął swą maczugę i ugodził w łeb smoka, który padł przed nim i wyzionął swe jadowite tchnienie z jękiem tak srogim i okropnym, a zarazem tak przeraźliwym, iż Ethelred dłonią zatulał uszy przed tym strasliwym wrzaskiem, jakiego przedtem nie zdarzyło mu się usłyszeć.

W tym miejscu urwałem znowu, tym razem z uczuciem lodowatego osłupienia — gdyż nie ulegało już wątpliwości, iż w tej chwili doleciał mnie (jakkolwiek nie umiałbym powiedzieć skąd) jakiś słaby i widocznie daleki, lecz szorstki, przeciągły i niewymownego pełen pojęku zgrzyt — niejako wtór dokładny nadprzyrodzonego ryku smoka, wyczarowanego przez poetę w mej wyobraźni.

Odurzony tym ponownym i niepojętym zbiegiem okoliczności, miotany najsprzecznijszymi wrażeniami, wśród których przeważało zdumienie i ostateczna groza, zachowałem jednakże tyle przytomności umysłu, iż żadnym niebacznym słowem nie zadrasnałem przeczułonej wrażliwości mojego towarzysza. Nie miałem bynajmniej pewności, czy zgrzyt ów zwrócił na siebie jego uwagę, aczkolwiek w zachowaniu się jego już od pewnego czasu zaszła szczególniejsza zmiana. Usiadł był zrazu zwrócony obliczem ku mnie, po czym stopniowo tak wykręcił krzesło, iż miał przed sobą podwoje komnaty; nie widziałem przeto całej jego twarzy, dostrzegłem wszakże, iż wargi jego drżały jak gdyby bezgłośnym szeptem. Głowa zwiśla mu na piersi, wiedziałem atoli, iż nie śpi, gdyż z boku mignął mi połysk jego szeroko otwartych, zakrzepłych nieruchomo oczu. Przeczyło temu także przechylenie się jego ciała — kołysał się bowiem w obie strony lekkim, lecz miarowym i nieustającym ruchem. Ogarnawszy to wszystko jednym rzutem oka, podjąłem na nowo wątek opowieści Sir Launcelota, która w dalszym toku brzmi tak:

Jakoż uszedłszy srogiej furii smoka, najeźnik on wspomniał miedzianą paizę i zawieszoną na niej zakłęcie i usunąwszy ścierwo precz z drogi kroczył mężnie po srebrnym pawimencie zamczyska, kędy na ścianie wisiała paiza: bawej, nie czekała jego przyjścia, ale sama upadła mu pod nogi na srebrną posadzkę z ogromnym i przeraźliwym szczękiem.

Jeszcze te zgłoski nie zdążyły zamrzeć na moich wargach, gdy wtem — jak gdyby istotnie tarcza z miedzi ciężko na srebrną runęła posadzkę — doleciał mnie wyraźnie odgłos jakiś suchy, dźwięczny i metaliczny, acz widocznie przytłumiony. Truchlejąc z przerażenia, zerwałem się na równe nogi, ale Usher nie zaprzestał swego miarowego, kołyszącego się ruchu. Podbiegłem do krzesła, na którym siedział. Miał oczy nieruchomo utkwione przed siebie, a na licach wyraz kamiennego odrętwienia. Kiedym wszakże położył rękę na jego ramieniu, silny wstrząs targnął całym jego ciałem; mdły uśmiech prześliznął się po jego wargach i zauważyłem, że mówi głuchym, urywanym, rozbitym szeptem, jak gdyby nieświadom mej obecności. Pochyliwszy się nad nim, słów jego straszliwej dorozumiałem się treści:

— Jakże tego nie słyszeć? Słyszę ci ja, słyszałem już od dawna. Słyszałem dawno — dawno — dawno — przez tyle minut, tyle godzin, tyle dni! Słyszałem, lecz nie śmiałem — biadaż mnie, nieszczęsnemu! — nie śmiałem, nie miałem odwagi mówić. Myśmy ją żywcem pochowali w grobie! Czyż nie mówiłem, że mam przeczulone zmysły? A teraz powiadam ci, że słyszałem pierwsze jej lekkie poruszenia we wnętrzu trumny. Słyszałem je od wielu, wielu dni — lecz nie śmiałem — nie miałem odwagi mówić. I oto tej nocy — ten Ethelred — ha! ha! — to wywalanie drzwi u pustelnika i ten przedzgonny ryk smoka, i ten szczęk tarczy — powiedz raczej: otwieranie trumny i zgrzyt żelaznych wrzeczadźców więziennych, i jej rozpaczne błaganie się w opancerzonym korytarzu podziemia. Oh, dokąd uciekać? Nie przyjdzieź tu zaraz? Nie biegnieź, by mnie przeklinać za mój pośpiech? Czyż nie słyszę na schodach jej kroków? Czyż nie rozróżniam ciężkiego, bolesnego dygotania jej serca? Szaleńcze!

Nieprzytomny, zerwał się z miejsca i z takim krzykiem jął wyrzucać słowa, jak gdyby wraz z nimi miał wyzionać ducha:

— Szaleńcze! Ja ci powiadam, że ona stoi już przed drzwiami!

I jak gdyby w nadludzkiej głosu jego mocy kryła się jakaś czarodziejska potęga — ogromne, starożytne podwoje, na które wskazywał, rozchyliły naraz z wolna swe ciężkie, hebanowe skrzydła. Otworzył je pęd wiatru — lecz za nimi istotnie stała smukła, otulona w całun postać lady Madeline Usher. Krew zboczyła białe jej szaty, a na wynędzniałym ciele widniały wszędzie ślady przebolesnych wysiłków. Drżąc i ślaniając się, stała przez chwilę w progu — po czym z jękiem przechyliła się ku wnętrzu komnaty, całym ciężarem waląc się na brata. Śród strasznych i tym razem już ostatecznych skurczów przedśmiertnych pociągnęła go za sobą na ziemię — nieżywego: zabiła go, jak przepowiedział, trwoga.

Zmartwiały z przerażenia, wybiegłem z tej komnaty i z tego domu. Gdym mijał odwieczną groblę, wciąż jeszcze srożyła się burza. Wtem przede mną na drodze dziwna jakaś zamigotała poświata. Oglądałem się, by zobaczyć, skąd ta niespodziewana jasność pochodzi, gdyż poza mną nie znajdowało się nic okrom potwornego zamczyska i jego mroków. Było to światło wschodzącego i jak gdyby okrwawionego księżyca w pełni, co przeświecał jaskrawo przez ową, ongi zaledwie dostrzegalną szczelinę, o której wspominałem, iż wiła się zygzakowato od dachu aż do posad budynku. Gdym patrzył, szczelina nagle się powiększyła; wichur znów silniej się zakłębił; zaskrzył mi nagle w oczach cały krąg miesiąca; pociemniało mi w mózgu, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje; wionął przeciągły, rozgłosny, ogłuszający huk, niby poszum nieprzebranych wód — i u mych stóp głucho, złowrogo, nad rozwalinami Domu Usherów zawarła się czarna, posępna topiel.

Przełożył Stanisław Wyrzykowski

CHARLES DICKENS

Charles Dickens (1812—1870) przeplatał swą obfitą twórczość powieściową szeregiem utworów „z dreszczykiem” czy też zgoła opowiadaniem „o duchach”. W głównej, najbardziej znanej Opowieści wigilijnej, we śnie skapca Scrooge'a pojawia się duch Marleya. Podobnie i w wybranym do niniejszego zbioru opowiadaniu wyzyskany został motyw snu, tylko że duchów w tym śnie jest znacznie więcej. Tego rodzaju opowieści stanowią wstawki w luźnej fabule słynnego Klubu Pickwicka (1836—37) Najbardziej bodaj charakterystyczną, pełną ironii i humoru historię poniższą zaczerpnięto z tej właśnie książki.

OPOWIEŚĆ O WUJU KOMIWOJAZERA

Mój wuj, panowie! — zaczął jednooki komiwojazer — był to najweselszy, najzabawniejszy i najsympatyczniejszy jegomość z tych, którzy kiedykolwiek żyli. Żałuję, żeście go nie znali, panowie! Ale może to i lepiej, żeście go nie znali, moi panowie, bo gdybyście go znali, to by was nie było na świecie, gdyż zgodnie z obowiązującymi prawami natury, nie żylibyście albo bliscy byłibyście śmierci, co na jedno wychodzi, bo siedzielibyście w domu i nie bywali w towarzystwie, a ja nie miałbym przyjemności rozmawiać z wami jak w tej chwili! Panowie! Żałuję, że wasi ojcowie i matki nie znali mego wuja! Kochaliby go bezgranicznie, zwłaszcza sympatyczne mamusie! Wiem! Jeżeli jakie cnoty dominowały w tym człowieku, to było to zamiłowanie do ponczu i śpiewów przy stole. Wybaczcie, że zastanawiam się melancholijnie nad tymi wygasłymi cnotami: ale takiego człowieka jak mój wuj nie spotkacie co dzień!

Uważałem zawsze za bardzo pochlebne dla charakteru mego wuja, panowie, że przyjaźnił się z człowiekiem tej miary, co Tom Smart, z firmy Bilson i Slum, Cateaton Street, City. Mój wuj pracował dla Tiggina i Welsa, ale przez dłuższy czas miał tę samą marszrutę co i Tom Smart. I pierwszej zaraz nocy, jak się poznali, wuj mój polubił Toma, Tom polubił wuja. Nie znali się jeszcze nawet pół godziny, a już się założyli o nowy kapelusz, kto z nich wypije prędzej półkwaterek ponczu. Wuj mój wypił prędzej, ale za to Tom pobił go pijąc większymi łykami. Więc kazali podać dwa świeże półkwatki, wypili swoje zdrowie i zostali przyjaciółmi na zawsze. Jest palec losu w tych rzeczach, panowie, trudno!

Co do osobistego wyglądu, wuj mój był trochę krótszy niż ludzie zwykłego wzrostu. Ale był też nieco tęższy, niż zwykle bywają ludzie, i może twarz jego była trochę czerwieńsza niż inne. Miał najweselszą twarz, jaką kiedykolwiek widzieliście, panowie: coś z Puncha, ale nos i broda ładniejsze. Oczy błyszczały mu zawsze wesoło, a jego uśmiech — nie, nie, nie było to jakieś bezmyślne skrzywienie warg, ale prawdziwy, nie robiony, szczerzy uśmiech nie schodził mu z ust! Kiedyś wyleciał z gigu i rymnął głową o kamień. Leżał więc z twarzą tak poharataną, że — użyjmy jego własnego wyrażenia, gdyby go zobaczyła rodzona matka, z pewnością by go nie poznała. Rzeczywiście, panowie, kiedy pomyślę, jak wyglądał, sądzę, że nie poznałaby go matka, bo umarła, kiedy wuj miał dwa lata i siedem miesięcy, myślę więc, gdyby nawet nie poharatał sobie twarzy, matka zdziwiłaby się bardzo zobaczywszy jego nozyska, nie mówiąc już o czerwonym obliczu! Tak czy inaczej, leży sobie wuj, a jak mi sam to nieraz opowiadał, człowiek, który go podniósł, mówił, że wuj nie przestawał się uśmiechać, kiedy zaś odzyskał przytomność, to przede wszystkim wybuchnął śmiechem, potem objął młodą dziewczynę, która trzymała przed nim miednicę, a wreszcie zażądał baranich kotletów z piklami! Bardzo lubił marynowane orzechy, panowie! Mawiał: jedzone bez octu, podnoszą smak piwa.

Wielkie podróże mego wuja przypadły na czas opadania liści: wtedy odbierał należno-

ści i przyjmował nowe zamówienia na północy; jeździł z Londynu do Edynburga, z Edynburga do Glasgow, z Glasgow do Edynburga i z powrotem do Londynu. Chcę przez to powiedzieć, że do Edynburga wracał dla własnej przyjemności. Jeździł tam na tydzień, żeby odwiedzić starych przyjaciół. Jadł pierwsze śniadanie z jednym, lunch z drugim, obiad z trzecim, kolację z czwartym i tak mu schodził tydzień, jak z bicza trzask! Nie wiem, panowie, czy braliście kiedy udział w prawdziwym, treściwym śniadaniu szkockim, by potem zająć na kilka tuzinów ostryg i kilka kufelków piwa, z paroma kieliszkami wódki na deser. Jeżeli tak — to mi przyznacie, że trzeba nie lada głowy, by potem mieć jeszcze siły na obiad i kolację!

Ale jak was kocham, wszystko to było niczym dla mego wuja! Taki był zaprawiony, że dla niego była to zabawka dziecinną! Opowiadał mi sam, że mógł codziennie spotykać się ze Szkotami i o własnych siłach wracał do domu! A jednak Szkoci mają najmocniejsze głowy i najmocniejsze poncze, jakie można spotkać, panowie, między dwoma biegunami! Słyszałem, że jeden drab z Glasgow pił z drabem z Dundee przez piętnaście godzin. Obaj upili się w tym samym momencie, co stwierdzono dokładnie, ale żaden z nich nie miał o to pretensji!

Pewnego wieczora, coś na dwadzieścia cztery godziny przed terminem odjazdu do Londynu, wuj odwiedził dom swego starego przyjaciela, wójta Mac... i jeszcze jakieś cztery sylaby, mieszkającego w Edynburgu. Oprócz wójta była jego żona i wójtowe trzy córki, i wójtowy dorosły syn, i trzech barczystych Szkotów, których wójt zaprosił na ucztę, by pomagali rozweselać mego wuja. Kolacja była wspaniała. Wędzony łosoś, fiński łupacz, głowa barania i haggis — znana szkocka potrawa, panowie! Wuj mawiał o tej potrawie, że jest dla żołądka Kupidyna! I jeszcze wiele innych smacznych rzeczy, zapomniałem nazw, ale wiem, że były smaczne! Panny były przyjemne i ładne, gospodyni jedna z najmiłszych istot na świecie. Wuj mój był w doskonałym humorze! Skutek był taki, że młode damy chichotały i piszczwały po cichu, stara dama śmiała się głośno, a gospodarz i goście rechotali przez cały czas, aż im oczy na wierzch wyłaziły. Nie pamiętam, ile kieliszków wychylił każdy po kolacji, i wiem tylko tyle, że około pierwszej po północy syn gospodarza uparł się, aby przypomnieć sobie pierwszą strofkę piosenki „Willy przyniósł butlę wody”, a ponieważ wuj jeszcze przed pół godziną był zupełnie do rzeczy, postanowił, że czas do domu; zwłaszcza że pili od siódmej, więc obawiał się, by nie zasiedzieć się i wrócić o przyzwoitej porze. Ale przyszło mu na myśl, że nie wypada wyjść tak zaraz. Więc obrał siebie prezesem zgromadzenia, przygotował porządną szklankę, wstał, zaproponował, by obecni wypili jego zdrowie, zwrócił się do siebie samego z bardzo czułą przemową i z zapalem wychylił toast! Nikt nie drgnął! Więc wuj nalał sobie jeszcze odrobinę — niech nie wietrzeje — wpakował obydwoma rękami kapelusz na łeb i machnął się do domu.

Noc była zimna i wietrzna, kiedy wuj wyszedł z mieszkania wójta. Nasadziwszy mocno kapelusz, by mu nie spadł, wuj włożył ręce do kieszeni i spojrzawszy przed siebie, przyjrzał się uważnie pogodzie. Chmury płynęły na księżyc z niebywałą szybkością; to go zupełnie odślaniały tak, że w całym majestacie oświecał przedmioty, to znów go przesłaniały, pogrążając wszystko w mroku!

— Nic z tego! — mówi wuj do pogody tonem obrażonego. — Taka pogoda wcale nie jest odpowiednia dla mej podróży! Nie ujdzie! — dodał z naciskiem.

Powtórzywszy to kilka razy, kiwnął się i z trudem utrzymał równowagę — trochę mu się kręciło w głowie od patrzenia na księżyc — ale poszedł wesoło dalej.

Dom wójta stał na Canongate, a mój wuj szedł na drugi koniec Leith Walk, to znaczy przeszło milę drogi! Po obu stronach strzelały ku niebu dwa rzędy wysokich domów o gładkich, zimnych ścianach i oknach, które wyglądały jak zagaste oczy. Sześć, siedem, osiem pięter miały domy. Piętro wznosiło się nad piętrem — na podobieństwo domków z kart, jakie budują dzieci. Cień od nich padał na drogę, czyniąc ciemność jeszcze ciemniejszą. Gdzieś w oddali migotało kilka latarni oliwnych, ale wskazywały one tylko wejście do wąskich zaułków albo miejsce, gdzie zaczynały się schody prowadzące na wyższe piętro. Patrząc na to wszy-

stko z miną człowieka, który zna to zbyt dawno, by uważać za godne uwagi, wuj mój szedł środkiem ulicy włożywszy palce w dziurki od kamizelki, a gdy czasem ogarniała go chęć śpiewania, natenczas czynił to tak głośno, że uczciwi mieszkańcy spokojnych domów budzili się przerażeni i leżeli drżąc na swoich posłaniach, aż dźwięki umilkły w oddali. Uspokoiwszy się, że to tylko zwykły pijak z gatunku tych, co to „nigdy do domu!”, otulali się w kołdry i zasypiali.

Opisuję szczegółowo, jak to wuj szedł środkiem ulicy z palcami w dziurkach od kamizelki, albowiem, panowie, jak nieraz mi to powtarzał (a miał zupełną rację!), nie byłoby nic zajmującego w historii, gdyby nie to, że się zaczęła tak zupełnie jakby nigdy nic...

Panowie! Wuj mój szedł z palcami w dziurkach od kamizelki, zająwszy dla siebie jednego całą ulicę i śpiewając albo długą pieśń, albo krótką strofkę pijacką, albo gdy jedno i drugie zmęczyło go — gwizdząc pod nosem, aż doszedł do North Bridge, gdzie styka się nowa wieża ze starą. Tu przystanął i przez chwilę przyglądał się dziwnym smugom światła, jakie oba te budynki rzucały na siebie. Latarnie paliły się tak wysoko, że wyglądały jak gwiazdy — jedna na murach Zamku, druga na Calton Hill; rzekłbyś, że umieszczono je na zamkach zawieszonych w powietrzu. Stare, malownicze miasto leżało w dole, w cieniu i mroku. Pałaców i kaplicy strzegł w dzień i noc, jak mawiał stary przyjaciel mego wuja, Dwór Artura, czuwając jak dobry, ponury geniusz nad starożytnym miastem. Powiadam, panowie, że wuj zatrzymał się w tym miejscu i rozejrzał się. Następnie, pochwaliwszy pogodę, która poprawiła się nieco, chociaż księżyc zaszedł, kroczył dalej majestatycznie jak przedtem. Trzymał się środka ulicy z wielką godnością i miał taką minę, jak gdyby czekał tylko na to, że spotka kogoś, kto ma takie same pretensje jak i on. Niestety, nie było nikogo, kto by zadowolił to marzenie. Szedł więc dalej, z palcami w kamizelce, łagodny jak jagnię.

Doszedłszy do końca Leith Walk, wujek miał już tylko minąć niewielką przestrzeń dzielącą go od wąskiej uliczki, która prowadziła wprost do jego kwatery. Otóż na tej przestrzeni znajdowała się w owych czasach zagroda należąca do pewnego kołodzieja, który miał kontrakt z urzędem pocztowym na skupywanie starych, zużytych dylizansów. Otóż mój wuj, który bardzo lubił dylizanse, stare, młode i takie w średnim wieku, postanowił nadłożyć drogi tylko po to, by rzucić na nie okiem. Pamiętał, że w zagrodzie stoi ich przynajmniej pół tuzina — wszystkie zresztą w bardzo nędznym stanie. Wuj, panowie, był to entuzjasta, człowiek zapalny. Widząc, że nie może dobrze zajrzeć przez szpary w parkanie, przelazł przez ogrodzenie i usiadłszy sobie na starej osi wozu, oddał się rozmyśleniom nad dylizansami, z miną poważną i skupioną.

Mogło być tych wehikułów z tuzin, a może i o trzy więcej — mój wuj nigdy nie znał dokładnie ich liczby, a że był bardzo skrupulatny, więc wolał o tym nie mówić — stały sobie jeden przy drugim w wielce opłakanym stanie. Drzwiczki odjęto z zawiasów. Obicia zdarte. Zaledwie tu i ówdzie wisiał na gwoździu jakiś nędzny strzęp. Latarnie zabrano, farba spłowiała, żelastwo zardzewiało. Wiatr wył między szparami, a deszcz, który się zbierał na dachu, melancholijnymi kroplami spadał do wnętrza. Były to szkielety umarłych pojazdów i w tym miejscu, o tej porze, miały w sobie coś upiornego.

Wuj oparł głowę na rękach i zaczął myśleć o tych rozmaitych ludziskach, którzy jechali ongi, przed wielu laty, tymi starymi pojazdami stojącymi teraz milcząco i cicho. Myślał o tych wszystkich ludziach, którym te pokiereszowane wehikuły przynosiły noc w noc, dzień po dniu, przez wiele lat, w pogodę i słotę, dawno oczekiwane wieści, wyglądane z utęsknieniem posyłki, zapewnienia o zdrowiu i szczęściu, wiadomości o chorobie i śmierci. Kupiec, kochanek, żona, wdowa, matka, student, najmniejsze nawet dziecko — wszyscy biegli na dźwięk trąbki pocztyliona. Jakże niecierpliwie wypatrywali przyjazdu starego dylizansu! Gdzież oni wszyscy?! Co się z nimi wszystkimi stało?!

Panowie! Wuj zapewnia, że wszystko to myślał w owej chwili, ale coś mi się wydaje, że musiał to gdzieś później wyczytać, bo opowiadał wyraźnie, że zapadł jakby w sen, siedząc na

owej starej osi zepsutego wozu pocztowego, gdy nagle zbudził go zegar kościelny, który wydzwonił drugą. Otóż myślenie nigdy nie było specjalnością mego wuja i gdyby myślał o tym wszystkim, co potem opowiadał, to zajęłoby mu to o wiele więcej czasu niż do godziny drugiej. Jestem więc zdania, panowie, że wuj wpadł w rodzaj odrętwienia i że w ogóle o niczym nie myślał!

Niech zresztą będzie, jak chce, ale zegar wydzwonił drugą. Wuj przebudził się, przetarł oczy i zerwał się, przerażony.

Gdy tylko zegar wybił drugą, cały ów spokojny i milczący dziedziniec stał się nagle bardzo ożywiony. Drzwiczki znalazły się na zawiasach, obicia na swoim miejscu, żelazne części błyszcząły jak nowe, farba odświeżona, latarnie naprawione, na każdym siedzeniu poduszki i oparcia, pocztylioni kładli paczki do pudeł, posługacze leli wodę na nowe koła. Uwijało się tu mnóstwo ludzi przymocowując dyszle do każdego wozu. Pasażerowie nadchodzili, oddawali swoje walizki; przyprowadzono konie. Słowem, jasne było, że lada chwila wozy ruszą w drogę. Panowie! Wuj otwierał na ten widok oczy tak szeroko, że do końca życia nie mógł się dość nadziwić, iż udało mu się je później zamknąć!

— No! — odezwał się jakiś głos i ktoś dotknął ramienia wuja. — Kupił pan bilet! Radzę zająć miejsce!

— Ja kupiłem?! — mówi wuj i ogląda się zdumiony.

— Naturalnie!

Wuj, panowie, nie mógł wymówić słowa — taki był tym zdziwiony! Najśmieszniejsze ze wszystkiego było to, że chociaż zebrało się tyle ludzi i chociaż co chwila pokazywali się inni, nie mówili, skąd się wzięli. Zdawało się, że w jakiś niewytłumaczony sposób zjawiają się z powietrza czy z ziemi i znikają tak samo tajemniczo. Kiedy portier włożył do karety bagaż i otrzymał zapłatę, odchodził. Ale zanim wujek obejrzał się, już skądś zjawiało się całe mnóstwo innych, niosących tak ciężkie tłumoki, że się pod nimi uginali. Strój pasażerów był jakiś dziwny! Szerokie, wielkie płaszcze z bufiastymi rękawami, bez kołnierzy. I peruki, panowie, peruki z warkoczami! Wuj mój nie mógł nic z tego zrozumieć.

— Wsiada pan, czy pan nie wsiada?! — spytała osobistość, która przedtem odezwała się do mego wuja. Ubrana była jak pocztylion, w olbrzymiej peruce, w płaszczu z bufiastymi rękawami; w jednej ręce trzymała latarkę, w drugiej pistolet, który przytykała do piersi. — Wsiadasz, czy nie wsiadasz, Jack Martin? — dodała świecąc memu wujkowi w twarz.

— Halo! — zawołał wujek cofając się. — To trochę zbyt bezceremonialnie!

— Tak jest w spisie pasażerów! — zimno odpowiedział pocztylion.

— A czy nie ma tam jednego małego p a n? — mówił wuj, bo czuł, panowie, że gdyby pocztylion wiedział, z kim ma do czynienia, to nie opuściłby p a n.

— Nie, nie ma żadnego p a n!

— Przejazd opłacony? — pyta wuj.

— Naturalnie! — mówi tamten.

— Opłacony? opłacony? — powtarza wuj. — No, to nie ma rady! Który dyliżans?

— Ten! — powiada pocztylion i pokazuje stary dyliżans Londyn-Edynburg, w którym już spuszczone stopnie i otworzone drzwiczki. — Czeka pan! Są jeszcze inni pasażerowie! Nie pchaj się pan pierwszy!

Ledwie to powiedział, oczom mego wuja ukazał się młody człowiek w pudrowanej peruce i błękitnej kurtce szamerowanej srebrem, z szerokimi połami. Wujek, panowie, znał się na materiałach, ponieważ Tiggin i Welps pracowali przy drukowanych perkalikach. Człowiek ten miał krótkie pantalony i rodzaj sztylpów na jedwabnych pończochach i nosił buty ze sprzączkami. Mankiety miał wykończone kryzą, na głowie trójgraniasty kapelusz, a przy boku szpadę. Poły ubrania wisały mu do kolan, a końce krawata opadały mu do pasa. Podszedł poważnie do drzwiczek dyliżansu, zdjął kapelusz i trzymał go jakiś czas nad głową; wysunął przy tym mały palec u prawej ręki, jak to czasami czynią wytwornisie pewnego gatunku

trzymając filiżankę herbaty. Potem zsunął obie nogi, uklonił się bardzo nisko i dopiero wtedy nałożył kapelusz. Wuj miał właśnie zamiar wystąpić naprzód, lecz bardzo był poruszony, gdy zauważył, że te atencje skierowane są nie do niego, ale do młodej damy, która w tej chwili właśnie pokazała się na stopniu. Ubrana była w niemodną, uszytą z zielonego aksamitu suknię z długim gorsecikiem. Nie miała na głowie kapelusza, panowie, tylko czarny jedwabny kapturek, ale nim wsiadła do dylizansu, obejrzała się dokoła, pokazawszy przy tym piękną twarz, jakiej mój wuj nigdy przedtem nie widział — nawet na obrazkach! Weszła do dylizansu, jedną ręką podtrzymując suknię. I jak opowiadał zawsze mój wujek (przy czym nieomieszkał nigdy zaklinać się, że mówi prawdę), nie uwierzyłby nigdy, że mogą istnieć równej piękności nogi i ręce, gdyby nie patrzył na nie własnymi oczyma!

Ale spojrzawszy na młodą damę wuj zauważył, że patrzy na niego błagalnie i że wydaje się zastraszona i przerażona. Zauważył również, że młodzian w pudrowanej peruce, aczkolwiek bardzo uprzejmy i ugrzeczny, objął ją wpół przy wsiadaniu i wsiadł zaraz po niej. Przyłączył się do nich jakiś podejrzanego wyglądu jegomość w brązowej peruce i jaskrawym ubraniu, z wielką szpadą i w wysokich butach. Usiadł on obok młodej damy, która wtuliła się w kąć dylizansu; wujek od razu zmiarkował, że to jakaś ciemna historia, że coś się święci, jak zwykł mawiać w takich okolicznościach. W jednej chwili zdecydował się przyjść z pomocą młodej damie, gdyby potrzebowała pomocy.

— Śmierć i błyskawice! — zawołał młody dżentelmen i dotknął ręką szpady, gdy mój wuj wsiadł do dylizansu.

— Krew i pioruny! — ryknął drugi dżentelmen. To mówiąc wyciąga szpadę i bez dalszych ceremonii napada na wuja. Wuj nie miał przy sobie broni, ale bardzo zręcznie zerwał dżentelmenowi jego trójgraniasty kapelusz i nastawił go tak, że szpada przedziurawiła go w samym środku. Wtedy ścisnął ją pomiędzy brzegami kapelusza i czeka.

— Dźgnij go z tyłu! — zawołał podejrzanego jegomość do towarzysza usiłując wyrwać wujkowi swoją szpadę.

— Nie radzę! — zawołał wuj pokazując koniec buta gestem bardzo groźnym. — Wytrzęsę mu ze łba mózg, jeżeli go ma, albo przetnę skórę, jeżeli mózgu nie ma! — Tu wuj natężywszy się wyrwał dżentelmenowi z rąk szpadę i wyrzucił ją przez okno.

Na co młodszy z jegomościów znów zawołał: — Śmierć i błyskawice! — i groźnie położył rękę na szpadzie, ale jej nie wyciągnął. Może, jak z uśmiechem mawiał wuj, może bał się przestraszyć młodą damę!

— Moi panowie! — powiada wuj siadając swobodnie. — Nie życzę tu sobie żadnej śmierci, z błyskawicami czy bez błyskawic, zwłaszcza w towarzystwie damy, a co do piorunów i krwi, mieliście tego dość jak na jeden dzień! Więc, panowie, proszę zająć swoje miejsca i jazda! Hej tam, posługacz! Proszę podnieść scyzoryk dżentelmena!

Zaledwie wuj to powiedział, w oknie dylizansu ukazał się pocztylion ze szpadą w ręku. Podniósł latarkę i poważnie spojrzął w twarz wujkowi, a wuj, ku swemu zdumieniu, przekonał się, że za oknem kręci się całe mnóstwo pocztylionów i każdy badawczo patrzy na niego. Nigdy w życiu nie widział takiego morza białych twarzy, czerwonych ciał i badawczych oczu, jak w ów dzień!

„Najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła” — myśli wuj. — Pozwoli pan, że mu zwrócę kapelusz?

Podejrzanego jegomość w milczeniu odebrał swój trójgraniasty kapelusz, spojrzął na dziurę z zajęciem i wcisnął go wreszcie na czubek peruki z godnością, której efekt osłabił ponurym mruknięciem i zdjęciem po chwili owego nakrycia głowy.

— W porządku! — zawołał pocztylion i ruszyli z miejsca. Wuj wyjrzał oknem, gdy wyjeżdżali z dziedzińca, i zobaczył, że wszystkie inne dylizanse jeżdżą sobie w kółko po dziedzińcu z niewielką szybkością, bo jakie pięć mil na godzinę. Strasznie to oburzyło mego wujka, panowie! Jako człowiek interesu uważał, że karetki pocztowe nie są na to, by się nimi

bawić, i postanowił napisać skargę do urzędu pocztowego, jak tylko wróci do Londynu!

Ale w owej chwili myśli jego były zupełnie zajęte młodą damą, która siedziała w kącie dyliżansu, z głową wtuloną w kapturek płaszcza. Dżentelmen w błękitnym ubraniu siedział naprzeciw niej. Dżentelmen w jaskrawym ubraniu obok niej. Obaj nie spuszczała z niej oka. Jeżeli odważyła się choćby poruszyć fałdy kapturka, podejrzany jegomość natychmiast uderzał się po rękojeści szpady, a wujek odgadywał z jego gniewnego mrużenia (nie mógł go widzieć, bo było ciemno), że gotów damę połknąć jak nic. To coraz więcej gniewało mego wujka, więc postanowił, żeby tam nie wiedzieć co, położyć temu kres. Wuj uwielbiał bowiem piękne oczy, ładne twarzyczki, zgrabne nóżki i małe stopy. Słowem — kochał tę płęć. To już rodzinne, panie! Ja — również!

Liczne były sposoby, którymi wujek starał się zwrócić uwagę damy albo wciągnąć tajemniczych jegomościów w rozmowę. Wszystko na próżno! Dżentelmeni nie chcieli mówić, dama nie śmiała! Co pewien czas wujek wychylał się oknem, by zobaczyć, dlaczego tak wolno jadą. Wołał, aż ochrypl w końcu — nikt mu nie odpowiadał! Więc oparł się o poręcz i myślał o cudnej twarzy i drobnych stopach. To właśnie było najlepsze! Czas biegł niepostrzeżenie i wuj nie głowił się już, dokąd jedzie i w jaki sposób dostał się w podobną sytuację. Nie dlatego, żeby go to martwiło — nie! Wuj był na wszystko gotowy, odważny dżentelmen, co się i samego diabła nie ulęknie!

Nagle dyliżans stanął.

— Halo! — zawołał wuj. — Co się, u diabła, stało?

— Wszyscy wysiadać! — woła pocztylion.

— Wysiadać? Tutaj? — pyta wuj.

— Tutaj! — odpowiada pocztylion.

— Ani mi się śni! — woła wuj.

— Doskonale! Więc zostań pan, gdzie jesteś! — odpowiada pocztylion.

— Zostanę! — mówi wujek.

— Zostań! — mówi pocztylion.

Inni pasażerowie przysłuchiwali się tej rozmowie z wielką ciekawością, a widząc, że wujek postanowił zostać, młody dżentelmen wysiadł i podał rękę damie. Podejrzany jegomość obejrzał uważnie dziurę w swoim trójgraniastym kapeluszu. Przechodząc obok wujka młoda dama upuściła mu na kolana jedną z rękawiczek i szepnęła ledwo dostłyszalnym głosem: — Pomocy! — Panowie! Wuj z takim pośpiechem wyskoczył z dyliżansu, że aż stopnie trzasnęły!

— Namyslił się pan? — zapytał pocztylion widząc wuja. Wuj spojrział na niego. Przez chwilę przyszło mu na myśl, czy nie dobrze byłoby wyrwać pocztylionowi pistolet z łapy, wypalić w twarz jegomościowi z wielkim mieczem, zdzielić resztę towarzystwa pałką po łbie i uciec z młodą damą. W następnej chwili jednak wyrzekł się tego planu, uważając, że jest zbyt melodramatyczny i poszedł za dwoma tajemniczymi jegomościami, którzy mając między sobą młodą damę, weszli do wielkiego domu stojącego przed nimi. Weszli na korytarz, wuj za nimi.

Wuj mówi, że ze wszystkich zrujnowanych i opuszczonych miejsc, jakie kiedykolwiek widział, to wydawało mu się najbardziej opuszczone. Dom wyglądał tak, jak by kiedyś był wielkim zajazdem. Ale dach zapadł się w wielu miejscach, schody były zmurszałe, pokiereszowane, połamane. W ostatnim pokoju, do którego weszli, było palenisko i kominek czarny od dymu. Ale wesoly płomień nie ogrzewał go w tej chwili. W palenisku leżało nieco białego popiołu ze spalonych polan, ale wewnątrz kominka było zimne, ciemne.

— No — powiada wuj obejrzawszy się. — Dyliżans, który wlecze się z szybkością sześciu mil na godzinę, a potem wybiera postój w takim miejscu — to nieczysta sprawa! Musimy zawiadomić, kogo należy! Podam to do gazet!

Wuj powiedział to głośno, chcąc w ten sposób zmusić tajemniczych dżentelmenów do

rozmowy. Ale żaden z nich nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, szeptali coś do siebie i krzywili się patrząc na niego. Dama znajdowała się w drugim końcu pokoju i wujek miał wrażenie, że kiwa na niego rączką — jak gdyby prosząc o pomoc.

Wreszcie obaj nieznajomi zbliżyli się nieco i rozmowa się nawiązała.

— Nie wiesz, zdaje się, mój pocziwcze, że to prywatny pokój? — powiada jegomość w błękitnym ubraniu.

— Nie, nie wiedziałem, mój pocziwcze! — mówi wuj. — Ale jeżeli ma to być prywatny pokój, to jakże miły i zaciszny musi być ogólny! — To mówiąc wuj siada na krzesło z wysoką poręczą i patrzy na dżentelmena z taką miną, że tylko za nią Tiggin i Welps powinni mu byli dać materii na ubranie — i to dokładnie tyle, ile potrzeba, ani cała mniej.

— Wyjdź pan z tego pokoju! — wołają obaj dżentelmeni i chwytają za szpady.

— Co takiego? — pyta wuj, udając, że nie rozumie — o co chodzi?

— Opuść pan pokój albo jesteś trup! — mówi podejrzany jegomość wyjmując swoją wielką szpadę i wywijając nią w powietrzu.

— Skończyć z nim! Skończyć z nim! — woła jegomość w błękitnym ubraniu i odskakuje kilka kroków. — Skończyć z nim! — Dama wydała lekki okrzyk.

Otóż, panowie, wuj zawsze odznaczał się zimną krwią i przytomnością umysłu. Przez cały czas, gdy tamci mu grozili, wuj stał z obojętną miną i oglądał się za jakąś bronią albo innym środkiem obrony i w chwili, kiedy tamci wyciągnęli szpady, wuj zauważył koło kominka stary rapier w zardzewiałej pochwie. Jednym susem wuj znalazł się koło kominka, złapał rapier, wyjął go z pochwy, machnął tego nad głową, krzyknął na damę, żeby mu nie wchodziła w drogę, rzucił krzesło w łeb temu w błękitnym ubraniu, a pochwę w tego w jaskrawym ubraniu i korzystając z ich konsternacji runął na nich na całego.

Panowie! Znacie starą historię o młodym Irlandczyku, który, gdy go zapytano, czy umie grać na skrzypcach, odpowiedział, że chyba, ale nie wie na pewno, bo nigdy jeszcze nie miał skrzypiec w ręku? Można to zastosować do mego wuja i jego szermierczych zdolności. Nigdy przedtem nie miał w ręce szpady, z wyjątkiem jednego razu, kiedy grał Ryszarda III w teatrze amatorskim, ale i przy tej okazji umówił się z Richmondem, że się schowa za kulisy i nie będzie go wcale widać! Ale teraz musiał wuj walczyć z dwoma doświadczonymi szermierzami! Napierać, odpierać, atakować, bronić się i umykać, zręcznie i umiejętnie, chociaż do tej pory nigdy tego nie robił! Najlepszy to dowód, ile jest prawdy w starym przysłowiu, że człowiek nigdy nie wie, co potrafi, nim spróbuje!

Walka była strasznie hałaśliwa! Kombatanci kłęli jak kawalerzyści, a szpady ich robiły tyle hałasu, co wszystkie noże na rynku w Newport, gdyby nimi uderzać o siebie! Kiedy walka doszła do największego napięcia, dama (prawdopodobnie dlatego, żeby dodać odwagi memu wujowi) zrzuciła kapturek z głowy i ukazała oblicze o tak cudnej piękności, że wuj gotów był walczyć z pięćdziesięcioma wrogami, byle zdobyć jej uśmiech i umrzeć dla niego! I przedtem już dokazywał cudów, ale gdy zobaczył jej twarzyczkę, walczył jak oszalały olbrzym.

W tej samej chwili młodzieniec w błękitnym ubraniu odwrócił się, a zobaczywszy, że młoda dama ma odkrytą twarz, wydał okrzyk zazdrości i gniewu, zadał jej cios w samo serce, na co mój wuj krzyknął tak, że aż cały budynek zadrżał. Dama odskoczyła lekko i schwyciwszy koniec szpady błękitnego, zanim zdążył odzyskać równowagę, pchnęła go na ścianę i odwróciwszy szpadę przygwoździła nią błękitnego mocno i na fest. Był to wspaniały przykład dla wuja! Wuj krzyknął z triumfem, zmusił swego przeciwnika, by skoczył w tym samym kierunku, i wpakowawszy stary rapier w sam środek wielkiej róży na kamizelce dżentelmena, przygwoździł go obok jego towarzysza! Stali tak sobie, moi panowie, machając rękoma i nogami, jak owe firanki poruszane sznurkiem! Mój wuj często powtarzał później, że to najpewniejszy sposób pozbycia się przyjaciela! Ale i kosztowny, bo się traci jedną szpadę na każdego draba!

— Konie! Konie! — wołała dama biegnąc do mego wujka i zarzucając mu swoje wspaniałe ramiona na szyję. — Uciekajmy! Może jeszcze uda nam się uciec!

— Może? — pyta wuj. — Czy jeszcze jest kto do zabicia, ślicznotko? — Wujek nie był z tego bardzo zadowolony, bo uważał, że po takiej walce przydałoby się trochę gruchania we dwoje.

— Nie mamy chwili do stracenia! — mówi ona. — „On” (tu pokazuje na tego w błękitnym) jest jedynym synem potężnego markiza Filletoville'a!

— Obawiam się, kochanie, że nigdy nie odziedziczy tytułu po ojcu! — powiada wuj patrząc zimno na młodego dzentelmena, który stał przy ścianie w wyżej opisanej pozie. — Zabiłaś dziedzica, najdroższa!

— Ci łajdacy pozbawili mnie domu i przyjaciół! — wołała młoda dama, a twarz jej oblała rumieniec oburzenia. — Ten łajdak miał mnie poślubić wbrew mojej woli!

— Przekłęta niech będzie jego podłość! — zawołał wuj patrząc z pogardą na dziedzica Filletoville'a!

— Jak pan mógł domyślić się z tego, co pan widział — ciągnęła dama — gotowi byli mnie zabić, gdybym zawołała o pomoc! Jeżeli ich wspólnicy odkryją nas tutaj, przepadliśmy! Za dwie minuty może być za późno! Konie! — z tymi słowy, wzruszona przecuciem tego, co się stać może, i wycieńczona zabiciem młodego markiza Filletoville'a, zemdląła i padła w ramiona mego wujka. Wuj porwał ją na ręce i wyniósł przed dom. Dylizans stał przed gankiem zaprzężony w cztery długoogoniaste, czarne i dobrze spasionie konie.

Panowie! Przypuszczam, że nie uwłaczam pamięci mego wuja twierdząc, że chociaż był kawalerem, nieraz już trzymał w swoich objęciach niewiastę. Mam nawet podejrzenie, że chętnie całował kelnerki. Złapano go nawet raz czy dwa, jak ścisnął gospodynię w bardzo niedwuznaczny sposób. Wspominam te okoliczności, by zaznaczyć, że musiała to być niezwykła dama, skoro tak podziąłała na mego wuja. Mówił, że kiedy wróciła do przytomności i spojrzała na niego swymi wielkimi, czarnymi oczyma, a długie jej włosy muskały jego ramię, zrobiło mu się tak dziwnie, że aż nogi ugięły się pod nim. Ale któż potrafi patrzeć obojętnie w piękne czarne oczy? Ja nie, panowie! Boję się patrzeć w pewne znane mi oczy! Wiem, co to znaczy!

— Nie opuścisz mnie nigdy? — szepnęła młoda dama.

— Nigdy! — odrzekł wuj. I mówił szczerze.

— Mój drogi obrońco! — zawołała dama. — Drogi, kochany, dzielny obrońco!

— Ach, nie mów, pani! — zawołał wuj.

— Dlaczego? — pyta ona.

— Bo usta twoje są tak piękne, gdy mówisz, że obawiam się, iż będę brutalny i pocałuję cię!

Młoda dama podniosła rękę, jak gdyby chciała zagrozić wujkowi, by tego nie robił, i powiedziała — nie, nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła. Kiedy patrzysz na najcudniejsze wargi na świecie i widzisz, jak się uśmiechają — jeżeli jesteś pochylony tuż nad nimi i nikt nie patrzy — nie możesz wyrazić swego zachwytu nad ich barwą i kształtem nie pocałowawszy choćby jeden raz! Wujek mój uczynił to i szanuję go za to!

— Co? — zawołała młoda dama, przerażona. — Turkot kół i rżenie koni?

— Tak — powiada wuj. Dobrze miał ucho na turkot kół i stuk kopyt końskich. Ale miał wrażenie, że tyle koni i kół zbliża się z daleka, iż niepodobna było określić ich ilości.

— Gonia nas! — zawołała młoda dama składając ręce. — Gonia nas! Cała moja nadzieja w panu!

Tyle było strachu w jej cudnej twarzy, że mój wuj zdecydował się w jednej chwili. Wsadził damę do karety, prosił, by się nie bała, raz jeszcze przycisnął usta do jej warg i poradziwszy, by zamknęła okna, bo zimno, wskoczył na kozioł.

— Czekaj, ukochany! — zawołała młoda dama.

— Co się stało? — pyta wuj już z kozła.

— Chciałam z tobą pomówić! Tylko jedno słowo! Jedno słowo, najdroższy!

— Mam zejść? — pyta wuj. Dama nie odpowiada, tylko się uśmiecha. Wuj w jednej chwili był już przy niej.

— Co się stało, kochanie? — pyta wuj zaglądając przez okno karety. Dama pochyliła się w tej samej chwili i wujek stwierdził, że jest jeszcze piękniejsza! Stał przy niej bliźutko, panowie, więc musiał dokładnie widzieć!

— Co się stało, ukochana? — pyta wujek.

— Nie będziesz nikogo kochał poza mną? — pyta ona. — Nigdy się z nikim nie ożenisz?

Wujek przysiągł uroczyście, że się nigdy nie ożeni, a wtedy cofnęła główkę i zamknęła okno. Wskoczył na kozioł, rozstawił łokcie, wziął lejce, schwycił za bat, który leżał na dachu, i pomknął poganiając cztery dzielne, długoogoniaste kare rumaki z szybkością pięćdziesięciu mil angielskich na godzinę! A stary dylizans sunął za nim... Aż się kurzyło!

Hałas za nim wzrastał się. Im prędzej pędził stary dylizans, tym prędzej pędziła pogoń. Hałas był piekielny, ale wszystko zagłuszał krzyk młodej damy: — Prędzej, prędzej!

Mknęli obok ciemnych drzew, jak pióra gnane przez wiatr! Domy, bramy, kościoły, rozmaitego rodzaju inne przedmioty mijali z hałasem i turkotem. Ale pogoń zbliżała się coraz bardziej, a młoda dama coraz głośniej krzyczała: — Prędzej! Prędzej! — Tu mój wuj uderzył mocno butem i przekonał się, że jest już świt, a on siedzi na starym kole edynburskiego dylizansu, mokry i zziębnięty, i uderza nogami, żeby się rozgrzać! Zsiada i ogląda się za piękną damą! Niestety! Dylizans nie miał ani drzwi, ani siedzenia... Stare pudło i tyle!

Oczywiście, wuj wiedział, że to jakaś tajemnicza historia i że wszystko odbyło się, jak pamiętał. Zdębiał przypomniawszy sobie przysięgę złożoną pięknej damie: z tego powodu odmówił kilku zamożnym gospodyniom i umarł jako kawaler. Zawsze powtarzał: co to za dziwna rzecz, że w taki prosty sposób (po prostu dlatego, że przelazł przez płot!) dowiedział się, iż duchy karek, stangretów i pasażerów odbywają co noc takie cudaczne podróże! Dodał przy tym, że pewnie jest jedynym żyjącym człowiekiem, który brał udział w tych niesamowitych ekskursjach! Myślę, że miał słuszość, panowie! Przynajmniej ja nie słyszałem o żadnym innym!

— Ciekaw jestem, co takie duchy karek pocztowych mogą wozic w kufrach? — zapytał gospodarz, który wysłuchał wszystkiego z wielkim zajęciem.

— Listy umarłych, oczywiście! — odparł komiwojażer.

— Prawda! Naturalnie! — odrzekł gospodarz. — Że też mi to nie przyszło do głowy!

Przełożył Włodzimierz Górski

Uzupełnili: Zofia i Wiktor Popławscy

JOSEPH SHERIDAN LE FANU

Przesiadując nocami po przedwczesnej śmierci swej żony Joseph Sheridan Le Fanu (1814—1873) pobudzał do pracy swój zmęczony umysł za pomocą mocnej herbaty. Stąd zrodziła się opowieść Zielona herbata, w której mętne idee szwedzkiego teozofa Emanuela Swedenborga połączyły się z „fluidami” Mesmera, krążącymi jakoby po systemie nerwowym człowieka. Le Fanu, Irlandczyk z rodziny hugonockiej, urodził się w Dublinie i tam spędził prawie całe swe życie. Był dziennikarzem, sławę zyskał jako autor opowieści grozy. Do najlepszych z nich należą: Dom koło cmentarza (House by the Churchyard — 1861) i Wuj Silas (Uncle Silas — 1864). Na rok przed śmiercią opublikował tom opowiadań „o duchach” — In a Glass Darkly, skąd wyjęty jest poniższy utwór, należący do najczęściej przedrukowywanych u Anglosasów. Ma on niewątpliwy urok staroświecczości, uwydatniający się w „szufladkowej” konstrukcji. Le Fanu dręczony był sam przez dziwne zmyry i doznawał lęków, zanim zakończył życie wskutek ataku sercowego.

ZIELONA HERBATA

PROLOG

Niemiecki lekarz Martin Hesselius

Aczkolwiek odebrałem staranne wykształcenie w zakresie medycyny i chirurgii, nigdy nie praktykowałem żadnej z tych specjalności. Niemniej studia nad każdą z nich interesują mnie dogłębnie. Nie lenistwo ani też kaprys były powodem, który mnie odciągnął od mego zacnego powołania. Przyczyną było zgoła drobne skaleczenie nożem używanym do sekcji. Drobniak ten kosztował mnie utratę dwóch palców, które mi natychmiast amputowano, a także — o ileż boleśniejszą utratę zdrowia, bom od tego czasu nigdy całkiem nie wydobrzałem i nigdzie nie udało mi się zagrześć miejsca.

Wśród moich wędrowek zaznajomiłem się z doktorem Martinem Hesseliusem, wędrowcem takim jak ja i — podobnie jak ja — lekarzem i entuzjastą swojej profesji. Różnica między nami polegała na tym, że on wędrował dobrowolnie — był bogaty, jeśli nie w sensie takim, jak rozumiemy bogactwo w Anglii, to przynajmniej „miał się dobrze”, jak to zwykli mówić nasi przodkowie. Gdym ujrzał go po raz pierwszy — był starcem; miał bez mała o trzydzieści pięć lat więcej niż ja.

W osobie doktora Martina Hesseliusa znalazłem swego mistrza. Wiedza jego była ogromna, a do przypadków chorobowych podchodził z dużą intuicją. Był człowiekiem zdolnym przepełnić uczuciem lęku i uwielbienia takiego młodego entuzjastę jak ja. Mój podziw dla niego wytrzymał próbę czasu i okazał się silniejszy niż śmierć, co nas rozdzieliła. Pewien jestem, że był dobrze uzasadniony.

Przez dwadzieścia lat bez mała sprawowałem funkcję jego sekretarza do spraw medycznych. Mojej pieczy powierzył swą olbrzymią kolekcję dokumentów, polecając, bym je uporządkował, skatalogowałem i powiązałem. Jego sposób podchodzenia do niektórych przypadków jest ciekawy. Pisząc, używa dwóch odmiennych metod. Opisuje, co widział i słyszał, tak jak by to zrobił inteligentny laik. Potem — zależnie od tego, czy przez własne drzwi wyprowadził pacjenta na światło dzienne, czy też przez bramy ciemności do otchłani zmarłych — wraca raz jeszcze do tego opisu i używając terminów swej sztuki — z całą mocą i oryginalnością geniuszu — przystępuje do dzieła analizy i stawiania diagnozy.

Tu i ówdzie uderzał mnie jakiś przypadek, co mógł zabawić lub przerazić nie znającego się na rzeczy czytelnika, którego zainteresowanie przedmiotem ma inny charakter niż zainteresowanie specjalisty. Z niewielkimi poprawkami, głównie pod względem języka, zmieniając oczywiście nazwiska, przepisuję, co następuje. Narratorem jest doktor Martin Hesselius. Wynałazłem to w stercie zapisków medycznych, jakie poczynił w czasie podróży po Anglii, mniej więcej sześćdziesiąt cztery lata temu.

Rzecz ciągnie się przez całą serię listów do jego przyjaciela, profesora Van Loo z Lejdy. Profesor ten nie był lekarzem, lecz chemikiem, a także człowiekiem czytany w historii, metafizyce i medycynie; w swoim czasie napisał też sztukę.

Opowieść przeto — choć mniejszej może wartości jako sprawozdanie lekarskie — siłą rzeczy napisana jest w sposób zdolny zainteresować przeciętnego czytelnika.

Jak wynika z dołączonej notatki, listy zwrócone zostały doktorowi Hesseliusowi po śmierci profesora w roku 1819. Niektóre z nich pisane są po angielsku, inne po francusku, lecz większość po niemiecku. Jestem wiernym, choć zdaję sobie sprawę — niezbyt zręcznym tłumaczem i mimo że tu i ówdzie opuszczam niektóre ustępy, niektóre zaś skracam oraz przedstawiam inne nazwiska — nic od siebie nie dorzuciłem.

ROZDZIAŁ I

Doktor Hesselius opowiada o spotkaniu z pastorem Jenningsem

Wielebny pastor Jennings jest wysoki i szczupły, lat średnich; ubiera się starannie ze staroświecką dokładnością i skłonnością do zachowywania rytuałów. Jest oczywiście nieco wyniosły, ale bynajmniej nie sztywny. Rysy jego, choć nie jest przystojny, są regularne, a wyraz twarzy niezmiernie łagodny, a nawet nieśmiały.

Poznałem go pewnego wieczora u lady Mary Heyduke. Jego skromność i dobroduszość są niezmiernie ujmujące.

Towarzystwo nasze było nieliczne, więc dość chętnie się do niego przyłączył. O wiele bardziej, jak się zdaje, woli przysłuchiwać się niż samemu brać udział w rozmowie; jednakże to, co mówi, jest zawsze do rzeczy i dobrze wyrażone. Jest on wielkim faworytem lady Mary, która zasięga jego rady w wielu sprawach i uważa go za najszcześliwszego, łaską boską najbardziej obdarzonego w świecie człowieka. Sama wie o nim niewiele.

Wielebny pastor Jennings jest kawalerem i jak mówią, posiada kapitał sześćdziesięciu tysięcy funtów. Jest człowiekiem miłosiernym. Bardzo pragnie czynnie spełniać swą misję duszpasterską, ale niestety, choć zawsze w każdym innym miejscu dobrze się czuje, to gdy udaje się na swe probostwo w Warwickshire, by podjąć obowiązki swego świętego powołania, zdrowie wnet przestaje mu dopisywać, i to w sposób bardzo dziwny. Tak powiada lady Mary.

Nie ulega wątpliwości, że zdrowie pastora Jenningsa istotnie ulega załamaniu, zazwyczaj w sposób nagły i tajemniczy, niekiedy właśnie w trakcie odprawiania nabożeństwa w starym, pięknym kościele w Kenlis. Może chodzi tu o serce, a może o mózg. Dość powiedzieć, że trzy-cztery razy albo i więcej zdarzyło się, że już po odprawieniu części nabożeństwa zatrzymał się nagle i po chwili milczenia, wyraźnie niezdolny do dalszych czynności, zatapił się we własnej niesłyszalnej modlitwie, ze wzniesionymi rękami i oczyma; potem, błady jak śmierć, podniecony, dziwnie zmieszany i wystraszony, schodził drżąc i znikał w zakrystii, pozostawiając swych parafian bez słowa wyjaśnienia. Parę razy zdarzyło się to pod nieobecność wikarego. Teraz, gdy pastor Jennings udaje się do Kenlis, zawsze stara się o to, by zapewnić sobie pomoc duchownego, który by dzielił jego obowiązki, a w razie takiego nagłego ataku — mógł go zastąpić.

Gdy pastor Jennings całkiem się załamuje, wycofuje się z probostwa i powraca do Londynu, gdzie ma mieszkanie w niewielkim domu przy ciemnej uliczce obok Piccadilly. Lady Mary twierdzi, że wówczas pastor Jennings zawsze czuje się najzupełniej dobrze. Mam o tym swoje własne zdanie. Oczywiście istnieje pewna gradacja. Zobaczmy...

Pastor Jennings jest człowiekiem doskonale ułożonym. Ludzie jednakże dostrzegają w nim coś dziwnego. Sprawia wrażenie nieco niezwykłe. Sądzę, że ludzie nie pamiętają lub nie widzą dokładnie jednej rzeczy, która bez wątpienia przyczynia się do tego. Ja jednak niemal od razu to zauważyłem. Pastor Jennings ma swoisty zwyczaj spoglądania z ukosa na dywan, jak gdyby oko jego śledziło coś poruszającego się. Oczywiście nie zawsze tak bywa. Zdarza się to tylko od czasu do czasu, ale na tyle często, by sprawiać wrażenie czegoś — jak powiedziałem — dziwacznego w jego sposobie bycia. W tym spojrzeniu sunącym po podłodze jest coś zarazem płochliwego i pełnego niepokoju.

Lekarz-filozof, jak zwiesz mnie w swej dobroci, opracowujący teorie w oparciu o przypadki wyszukane, zaobserwowane i zbadane przez siebie samego, dysponujący wolnym czasem, a przeto odznaczający się nieskończenie większą dokładnością niż ta, na jaką zwyczajny praktyk może sobie pozwolić, bezwiednie wpada w nawyk brutalnego — rzekłbym — wnikań w każdy problem, w najmniejszym bodaj stopniu rokujący, iż okaże się godny badania.

Tego rodzaju nadzieje budził ów nieco nieśmiały, uprzejmy, ale zachowujący rezerwę

jegomość, którego po raz pierwszy spotkałem podczas owego miłego wieczoru. Oczywiście zaobserwowałem więcej, niż tutaj referuję; lecz wszelkie szczegóły natury profesjonalnej pozostawiam dla ściśle naukowej pracy.

Chciałbym zauważyć, że skoro mówię tu o wiedzy medycznej, to robię to dlatego, iż mam nadzieję pewnego dnia być świadkiem powszechnego dla niej zrozumienia: spodziewam się, że uzyska ona sens pełniejszy niż ten, jaki daje jej tak ogólne, materialne podejście do niej. Jestem zdania, iż cały świat Natury jest jedynie krańcową emanacją owego świata duchowego, z którego — i to jedynie z niego — czerpie swoje życie. Wierzę, że człowiek w istocie swej jest duchem, że duch jest uorganizowaną substancją, lecz tak co do swej materialności odmienną od tego, co zwykle uważamy za materię, jak światło lub elektryczność; że ciało materialne w najbardziej literalnym znaczeniu jest odzieniem, zaś śmierć w konsekwencji nie jest przerwaniem egzystencji człowieka żyjącego, lecz po prostu wyrwaniem go z cielesnej powłoki — procesem rozpoczynającym się w momencie, który określamy jako zgon, a którego zakończeniem, najwyżej w kilka dni potem, jest zmartwychwstanie „w potędzie”.

Ten, kto rozważy konsekwencje takiego stanowiska, zrozumie zapewne jego praktyczny wpływ na wiedzę medyczną. Nie tutaj jednak miejsce na przytaczanie dowodów i roztrząsanie tego, co wynika z owego, powszechnie zresztą nie uznawanego poglądu.

Ulegając swemu nawykowi, ukradkiem, możliwie jak najdyskretniej, obserwowałem pastora Jenningsa; sądzę, że spostrzegł to jednak, bo zauważyłem, że obserwuje mnie równie ostrożnie. Gdy lady Mary przypadkiem zwróciła się do mnie, wymieniając moje nazwisko, zauważyłem, że spojrział na mnie bystrzej, potem zaś pogrążył się w rozmyślaniach na kilka minut.

Następnie, gdym z pewnym panem rozmawiał w przeciwnym końcu pokoju, spostrzegłem, iż pastor patrzy na mnie uporczywiej, i to z zainteresowaniem, którego przyczynę — jak sądzę — pojąłem. Zauważyłem z kolei, że korzysta ze sposobności, by porozmawiać z lady Mary, i — jak to zwykle bywa — w pełni zdałem sobie sprawę, iż jestem przedmiotem toczącej się na uboczu rozmowy.

Ten rosty duchowny stopniowo zbliżał się ku mnie i wkrótce nawiązaliśmy rozmowę. Bardzo dziwne byłoby, gdyby dwaj ludzie pragnący ze sobą rozmawiać — ludzie, którzy lubią lekturę, znają wiele książek i miejscowości, dużo podróżowali — nie znaleźli wspólnego tematu. To nie przypadek zbliżył go do mnie i kazał mu nawiązać rozmowę. Znał niemiecki, czytał też moje *Szkice o medycynie metafizycznej* nasuwające więcej myśli, niż same zawierają.

Ten pełen kurtuazji, nieśmiały, grzeczny, niewątpliwie myślący i odczytany człowiek, który poruszał się wśród nas i rozmawiał, był jakby obcy. On — któremu wnet zaczął podejrzewać o troskliwe i gruntowne skrywanie nie tylko przed światem, ale i przed najbliższymi przyjaciółmi kolei i niepokojów swego życia — starannie rozważał w swym umyśle powzięcie pewnego kroku wobec mnie.

Przeniknąłem jego myśli, choć on nie zdawał sobie z tego sprawy, i starałem się nie powiedzieć nic takiego, co przy jego wrażliwości i czujności mogłoby zdradzić moje podejrzenia dotyczące jego stanu lub też moje domysły o planach, jakie wobec mnie snuł.

Gawędziliśmy przez pewien czas na obojętne tematy, aż wreszcie pastor powiedział:

— Wysoce zainteresowany byłem, doktorze Hesselius, niektórymi pańskimi studiami o tym, co zwie pan „medycyną metafizyczną”. Czytałem je po niemiecku przed dziesięciu czy dwunastu laty. Czy zostały przetłumaczone?

— Nie, jestem pewien, że nie, bo powinienem był o tym słyszeć. Sądzę, że proszono by mnie o zezwolenie.

— Przed paru miesiącami zwróciłem się do tutejszych księgarzy, by zdobyli dla mnie tę książkę w niemieckim oryginale, ale powiedzieli mi, że jest wyczerpana.

— W rzeczy samej wyczerpana, i to od szeregu lat. Jako autorowi pochlebia mi, że

przecież pan nie zapomniał mego skromnego dziełka — dodałem śmiejąc się. — Dziesięć czy dwanaście lat... sporo czasu obchodził się pan bez niego. Przypuszczam jednak, że rozmyślał pan znowu nad tym tematem, albo też ostatnio zdarzyło się coś, co odnowiło pańskie zainteresowanie.

Na moją uwagę, której towarzyszyło pytające spojrzenie, pastora Jenningsa ogarnęło nagłe zakłopotanie, wyglądał jak młoda dziewczyna, która rumieni się zmieszana. Spuścił oczy, niepewnie złożył dłonie i przez chwilę spoglądał dziwnie, rzekłbyś — z poczuciem winy.

Wyprowadziłem go z niezręcznej sytuacji w sposób najlepszy, to znaczy udając, że tego nie zauważam, i rzekłem po prostu:

— Często i mnie się zdarzają takie nawroty zainteresowania jakimś przedmiotem; jedna książka nasuwa myśl o drugiej i nieraz po dwudziestoletniej przerwie każe mi znów na nią polować. Ale jeśli pan nadal chciałby posiadać egzemplarz — z przyjemnością go panu dostarczę. Mam jeszcze u siebie dwa lub trzy i jeśli pozwoli mi pan ofiarować sobie jeden, będę niezmiernie zaszczycony.

— Doprawdy, to bardzo uprzejmie z pańskiej strony — odpowiedział, odzyskując od razu całkowitą swobodę. — Byłem niemal że w rozpacz, nie wiem, jak mam dziękować.

— Ani słowa, proszę. To doprawdy taki drobiazg, że po prostu wstydzę się, iż panu go zaofiarowałem, a jeśli mi pan raz jeszcze podziękuje, cisnę książkę w ogień, wiedziony skromnością.

Pastor Jennings roześmiał się. Zapytał, gdzie się zatrzymałem w Londynie, i po dalszej, niedługiej rozmowie na różnorodne tematy pożegnał się.

ROZDZIAŁ II

Doktor pyta — lady Mary odpowiada

— Bardzo mi się podoba pani proboszcz, lady Mary — rzekłem, gdy tylko odszedł. — Oczytany, dużo podróżował i rozmyślał, a że wie, co to cierpienie, winien być doskonałym towarzyszem.

— Taki właśnie jest, a w dodatku to prawdziwie dobry człowiek — odpowiedziała lady Mary. — Rady jego są nieocenione, gdy chodzi o moje szkółki i te wszystkie drobne przedsięwzięcia, jakie podejmuję w Dawlbridge. Nie wyobraża pan sobie, jaki on jest troskliwy, jak wiele zadaje sobie kłopotu, gdy tylko wie, że może się na coś przydać. Taki jest poczciwy i rozumny.

— Miło słyszeć taką opinię o cnotach sąsiada. Sam przekonałem się jedynie, iż jest miłym i uprzejmym rozmówcą, zaś do tego, co mi pani o nim powiedziała, mógłbym chyba coś niecoś od siebie dorzucić — rzekłem.

— Doprawdy?

— Tak jest. A więc na początek to, że nie jest żonaty.

— Tak, racja. Proszę mówić dalej.

— Pisuje coś, a raczej pisywał bo od dwóch, a może trzech lat nie posunął swej pracy. Książka jego traktowała o jakichś dość abstrakcyjnych rzeczach, być może z zakresu teologii.

— Rzeczywiście pisał książkę. Nie jestem całkiem pewna, o czym ona była, w każdym razie nic takiego, co by mnie mogło zainteresować. Najprawdopodobniej ma pan rację. W rzeczy samej, przestał ją pisać.

— Chociaż dziś wieczorem wypił tutaj tylko odrobinę kawy, wiem, że lubi, a przynajmniej lubił namiętnie herbatę.

— Tak, słusznie, to prawda.

— Pijał zieloną herbatę, i to w dużej ilości, nieprawdaż? — ciągnąłem.

— Ależ to niesłychane! Zielona herbata była niemal że przyczyną kłótni między nami.
— Jednakże zupełnie przestał ją pić — powiedziałem.
— Tak jest, przestał.
— A teraz — jeszcze jeden fakt. Czy pani znała jego matkę lub ojca?
— I owszem, oboje; ojciec jego zmarł dopiero przed dziesięciu laty, mieszkali w pobliżu Dawlbridge. Zналиśmy ich bardzo dobrze — odrzekła.
— A więc jego matka lub ojciec, raczej jednak ojciec, widział ducha — rzekłem na to.
— Doprawdy, pan jest czarnoksiężnikiem, doktorze Hesselius.
— Czarnoksiężnikiem albo i nie... Ale czyż nie mam racji? — zapytałem wesoło.
— Ma pan, i to najzupełniejszą. Chodziło o jego ojca: był to człowiek mrukliwy i kapryśny, zwykł zanudzać mojego ojca swymi snami. W końcu opowiedział mu historię o duchu, którego widział i z którym rozmawiał; to bardzo dziwna historia. Pamiętam ją dlatego, że się bałam ojca pastora. Zdarzenie to miało miejsce na długo przed jego śmiercią, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem. Jego życie było raczej monotonne i ponure, więc czasem zachodził do nas o zmroku, kiedy byłam sama w bawialni — wyobrażałam sobie zawsze, że snują się za nim duchy.
Uśmiechnąłem się i pokiwałem głową.
— Teraz więc, skoro dałem się poznać jako czarnoksiężnik, powinienem chyba życzyć pani dobrej nocy — rzekłem.
— Ale jak pan to wszystko wykrył?
— Oczywiście wyczytałem w gwiazdach, jak Cyganie — odparłem i w wesołym nastroju powiedzieliśmy sobie dobranoc.
Następnego ranka przesłałem pastorowi Jenningsowi książeczkę, o którą zapytał, a wróciwszy do domu późno wieczorem dowiedziałem się, że był u mnie i zostawił swą kartę. Pytał, czy jestem w domu, i o której godzinie najpewniej mógłby mnie zastać.
Czy ma zamiar przedstawić mi swą sprawę i zasięgnąć, jak to mówią, mojej fachowej porady? Mam nadzieję, że tak. Wysnułem już pewną teorię co do jego osoby. Poparta jest tym, co lady Mary odpowiedziała na moje ostatnie pytania. Chciałbym bardzo z jego własnych ust usłyszeć potwierdzenie. Lecz co mam zrobić, by skłonić go do zwierzeń nie naruszając kanonów dobrego wychowania? Chyba nic. Sądzę, że sam je poczyni. W każdym razie, mój drogi Van Loo, nie będę się drożył; zamierzam rewizytować go jutro rano. W odpowiedzi na jego grzeczność całkiem na miejscu będzie odwiedzić go. Może coś z tego wyjdzie, a czy wiele, mało lub nic — to jeszcze usłyszysz o tym, mój drogi Van L.

ROZDZIAŁ III

Doktor Hesselius szpera w łacińskich książkach

A zatem — udałem się na Blank Street.
Służący, który mi otworzył, wyjaśnił, że pastor Jennings jest niezmiernie zajęty z racji wizyty pewnego duchownego przybyłego z jego wiejskiej parafii Kenlis. Nie chcąc tracić przywileju ponownych odwiedzin, zakomunikowałem jedynie, że spróbuję przyjść innym razem, i już odwróciłem się, aby odejść, gdy służący przeprosił mnie i przyjrzawszy mi się nieco uważniej, niż zwykły to robić dobrze ułożone osoby jego stanu, zapytał, czy jestem doktorem Hesseliusem. Upewniwszy się, że tak — powiedział:
— Może więc pozwoli pan, bym zawiadomił wielbnego pastora Jenningsa, bo pewien jestem, że życzy sobie widzieć pana.
Służący wrócił po chwili z karteczką od pastora, który obiecując, że zjawi się za kilka minut, prosił mnie do swego gabinetu, w istocie odgrywającego rolę drugiego saloniku.
Był to rzeczywiście gabinet, niemal biblioteka. Pokój był wysoki, o dwóch strzelistych,

wąskich oknach z obfitymi ciemnymi kotarami. Był o wiele większy, niż się spodziewałem, i ze wszystkich stron, od podłogi aż do sufitu, wypełniony książkami. Dywan leżący na wierzchu (stapając miałem wrażenie, że jest ich dwa lub trzy) — był turecki. Szedłem po nim bezgłośnie. Wystające półki z książkami sprawiały, że niezwykle wąskie okna kryły się w głębokich wnękach. Pokój, aczkolwiek niezmiernie wygodny, a nawet zbyt kłopotliwie urządzone, sprawiał wrażenie zgoła ponure, co potęgowała przytłaczająca niemal cisza.

Wszelako po części wrażenie to przypisać należy pewnym skojarzeniom. Umysł mój łączył z osobą pastora Jenningsa swoiste koncepcje. Ze szczególnym przecuciem wszedłem do tego absolutnie cichego pokoju w tym bardzo cichym domu; mrok, jaki tu panował, i ciemne okładki książek (były one wszędzie z wyjątkiem miejsc, zajętych przez dwa podłużne zwierciadła wprawione w ściany) wzmagały jeszcze ten ponury nastrój.

Oczekując pastora Jenningsa, zabawiałem się oglądaniem niektórych książek, jakimi wypełnione były półki. Nie wśród tych książek atoli, lecz bezpośrednio pod nimi, na podłodze, natrafiłem na leżący grzbietami do góry komplet dzieł Swedenborga *Arcana coelestia* w łacińskim oryginale. Była to bardzo piękna edycja in folio; oprawna porządnie, jak przystoi dziełom teologicznym, na welinowym papierze, ze złotymi literami i karminowymi brzegami. W kilku spośród tych ksiąg tkwiły papierowe zakładki. Brałem tomy, kolejno odkładając je na stół. W miejscach, gdzie włożone były papierki, odczytałem szereg zdań w uroczystej frazeologii łacińskiej, zakreślonych ołówkiem na marginesach. Przytaczam tutaj kilka z nich w angielskim przekładzie.

Gdy rozjaśni się wewnętrzny wzrok człowieka, to jest wzrok jego ducha, wówczas pojawiają się rzeczy tamtego świata, których nie zdołasz ujrzeć cielesnym wzrokiem...

Za pomocą wewnętrznego wzroku dane mi było ujrzeć rzeczy, które są w tamtym życiu, wyraźniej, niż dostrzegam te, które są na świecie. Z rozważań tych oczywiste jest, że zewnętrzne widzenie istnieje w oparciu o widzenie wewnętrzne, to zaś pochodzi od jeszcze głębszego widzenia — i tak dalej...

Każdemu człowiekowi towarzyszą przynajmniej dwa złe duchy...

Przewrotne duchy cechuje mowa zarazem płynna, jak szorstka i drażniąca. Bywa, że miewają też mowę nie płynną, którą tajemnie przenika sprzeczność z tym, co same myślą.

Złe duchy, towarzyszące człowiekowi, pochodzą bez wątpienia z piekła, lecz gdy przebywają u boku człowieka, nie ma ich wówczas w piekle, bo wszak opuścili je. Miejsce, w którym się wówczas znajdują, jest w połowie drogi między niebem a piekłem i zwie się światem duchów. Gdy złe duchy będące przy człowieku są na tym świecie, nie cierpią żadnych mąk piekielnych, lecz przenikają każdą myśl i uczucie człowieka, a więc i to, czego sam człowiek doznaje. Lecz gdy zostają odesłane do piekła, powracają do swojego poprzedniego stanu...

Jeśliby złe duchy mogły poznać, że lubo związane z człowiekiem, są niezależnymi duchami, i gdyby mogły przeniknąć w głąb jego ciała, próbowałyby tysiącnymi sposobami zniszczyć człowieka, albowiem nienawidzą go śmiertelną nienawiścią...

Wiedząc przeto, że byłem człowiekiem cielesnym, ustawicznie dążyły do zniszczenia mnie, nie tylko co do ciała, ale zwłaszcza co do duszy; albowiem niszczenie każdego człowieka lub ducha jest największą rozkoszą dla tych wszystkich, co żyją w piekle; ale Pan ustawicznie mnie osłaniał. Wynika stąd, jak niebezpieczne jest dla człowieka współżycie z duchami, o ile nie ma on łaski wiary...

Niczego staranniej nie należy ukrywać przed złymi duchami niż tego, że są związane z człowiekiem, bowiem gdyby o tym wiedziały, przemawiałyby do niego w intencji zniszczenia go...

Rozkoszą piekła jest wyrządzanie zła człowiekowi i przyspieszanie jego wiecznej zagłady...

Oczy moje przyciągnął długi przypisek, zrobiony u dołu strony bardzo ostrym i delikatnym ołówkiem, wyraźnym pismem pastora Jenningsa. Przeczytałem parę słów w nadziei, że znajdę jakieś uwagi na temat tekstu, zatrzymałem się jednak stwierdziwszy, że to coś zgoła odmiennego. Zaczynało się od słów: *Deus misereatur mei* — Boże, zmiłuj się nade mną.

Ostrzeżony tym, co do prywatnego charakteru przypisku, odwróciłem oczy i zamkną-

łem książkę, odkładając na miejsce wszystkie wolumina — z wyjątkiem jednego, który mnie zainteresował. Jak czynią ludzie przywykli do studiów i samotności, zatopiłem się w owym tomie tak dalece, że zatraciłem świadomość świata zewnętrznego, zapomniałem, gdzie jestem.

Czytałem strony odnoszące się do „reprezentantów” i „odpowiedników”, używając terminologii Swedenborga, i doszedłem do fragmentu, którego treścią jest to, iż złe duchy, skoro widziane są oczyma innymi niż oczy ich piekielnych kompanów, jawią się jako „odpowiedniki” w postaci bestii (*fera*), które uosabiają w sposób złowieszczy i okropny cechy ich życia i namiętności. Jest to długi fragment, wyliczający szereg owych form zwierzęcych.

ROZDZIAŁ IV

Czworo oczu odczytuje fragment

Przesuwałem koniec obsadki ołówka wzdłuż czytanych linijek, aż nagle pod wpływem czegoś podniosłem głowę.

Na wprost mnie było jedno z luster, o których wspomniałem: ujrzałem w nim odbicie wyniosłej postaci mego przyjaciela Jenningsa, który zaglądał mi przez ramię. Jego twarz jakby pociemniała miała wyraz tak obłądny, że go ledwie poznałem.

Odwrociłem się i wstałem. On również się wyprostował i z lekkim, wymuszonym śmiechem powiedział:

— Wszedłem i zapytałem, jak się pan miewa, nie udało mi się jednak oderwać pana od książki; nie mogłem więc powstrzymać ciekawości i tak impertynencko zajrzałem panu przez ramię. Nie po raz pierwszy czyta pan te karty. Przed laty, niewątpliwie, zaglądał pan do Swedenborga?

— O tak, wiele zawdzięczam Swedenborgowi; ślady tej lektury znajdzie pan w książeczce o medycynie metafizycznej, na którą zwrócił pan łaskawie uwagę.

Mimo że mój przyjaciel starał się zachować pozorną wesołość, na twarzy jego widniał lekki rumieniec świadczący o wewnętrznym niepokojem.

— Mało jeszcze znam się na tym; tak niewiele wiem o Swedenborgu. Książki te posiadam dopiero od dwóch tygodni — odparł — i sędzę, że człowieka samotnego mogą przyprawić o nerwową chorobę... Nie chcę przez to powiedzieć, że sam w nią popadłem, te spostrzeżenia nasunęła mi bardzo pobieżna lektura — roześmiał się. — Panu zaś jestem wysoce zobowiązany za książkę. Spodziewam się, że otrzymał pan moją kartkę?

Potwierdziłem, co należało, wymawiając się od komplementów, które mi zaczynał sprawiać.

— Nigdy nie czytałem książki, z którą bym się tak całkowicie zgadzał, jak z pańską — ciągnął pastor. — Od razu stwierdziłem, że tkwi w niej coś więcej, niż zostało wyłuszczone. Czy zna pan doktora Harleya? — zapytał dość nieoczekiwanie.

(Wydawca zaznacza w tym miejscu, że wymieniony lekarz był jednym z najwybitniejszych, jacy kiedykolwiek uprawiali praktykę w Anglii).

Znałem go, miałem do niego listy polecające, w czasie pobytu w Anglii doznałem odeń wielkich uprzejmości i znacznej pomocy.

— Uważam, że człowiek ten jest jednym z największych głupców, jakich w życiu spotkałem — powiedział pastor Jennings.

Po raz pierwszy usłyszałem, iż tak ostro wyraża się o kimś, a podobny epitet w odniesieniu do tak znakomitego nazwiska cokolwiek mnie zaskoczył.

— Doprawdy? A pod jakim względem? — zapytałem.

— Pod względem profesjonalnym — odparł.

Uśmiechnąłem się.

— Chcę przez to powiedzieć — rzekł pastor — że wydaje mi się na pół ślepy... że obraz, który widzi, jest w połowie ciemny, w połowie zaś nienaturalnie jasny i żywy; a najgorsze, iż wydaje się to u niego umyślne. Nie mogę go pojąć... Chodzi mi o to, że on nie... Poznałem go trochę jako lekarza, lecz traktuję go, że tak powiem — jako umysł sparaliżowany, na wpół martwy. Opowiem panu... tak, na pewno... z czasem... o wszystkim — powiedział z pewnym podnieceniem. — Pozostaje pan w Anglii jeszcze przez kilka miesięcy. Gdybym musiał podczas pańskiego pobytu tutaj opuścić miasto na jakiś czas, to czy pozwoli pan, że niepokoić go będę listami?

— Będę niezmiernie zadowolony — zapewniłem go.

— To nader uprzejmie z pańskiej strony. Harley mnie najzupełniej rozczarował.

— Ma nieco skłonności do szkoły materialistycznej — powiedziałem.

— Skłonności? Ależ to materialista w całym tego słowa znaczeniu — poprawił mnie pastor. — Nie ma pan pojęcia, jak tego rodzaju rzeczy martwią tego, kto wie lepiej. Niech pan nie mówi nikomu, żadnemu z moich przyjaciół, których pan zna — że cierpię na melancholię; dotychczas, na przykład, nikt — nawet lady Mary — nie wie. Żem odwiedzał doktora Harleya lub jakiegokolwiek innego lekarza Proszę więc, by pan o tym nie wspominał; a jeśli zagrażałby mi w bodaj najmniejszym stopniu atak, pozwoli mi pan łaskawie napisać albo też porozmawiać ze sobą, gdybym był w mieście.

Gubiłem się w domysłach i zdałem sobie sprawę, że nieświadomie wpatruję się w niego badawczo, spuścił bowiem na chwilę oczy i rzekł:

— Myśli pan, jak widzę, że równie dobrze mógłbym wszystko powiedzieć teraz, bo inaczej będzie pan snuł domysły; jednakże może pan nie zadawać sobie trudu. Choćby zgadywał pan do końca życia, nigdy pan na to nie wpadnie.

Potrząsnął głową, uśmiechając się. Zimowe światło słoneczne przysłoniła z nagłą czarna chmura. Oddychał przez zaciśnięte zęby, jak ludzie, którzy cierpią.

— Przykro mi oczywiście, że obawia się pan skorzystać z porady kogoś z nas — powiedziałem — lecz proszę dysponować mną, gdzie i jak się panu podoba, a nie potrzebuję zapewniać, że zwierzenia pańskie zostaną między nami.

Mówił następnie o całkiem innych sprawach w nastroju stosunkowo weselszym; tak że wkrótce go pożegnałem.

ROZDZIAŁ V

Doktor Hesselius wezwany do Richmond

Rozstaliśmy się z uśmiechem, lecz ani on nie był wesół, ani ja. Ów potężny organ ducha — twarz ludzka — miewa czasem taki wyraz, który choć często go widywałem i mam nerwy, jak przystoi lekarzowi — do głębi mnie przecież porusza. Prześladowało mnie jedno ze spojrzeń pastora Jenningsa. Zawładnęło mą wyobraźnią z tak złowieszczą mocą, że zmieniłem plan wieczoru i poszedłem do opery, czując, iż potrzeba mi odprężenia.

Nie słyszałem o nim nic ani też nie miałem odeń wieści przez dwa lub trzy dni, aż nadszedł krótki list pisany jego ręką. Był treści pogodnej, pełen nadziei. Pastor donosił, że od niedawna miewa się o tyle lepiej — a właściwie całkiem dobrze — iż ma zamiar przeprowadzić mały eksperyment i udać się na mniej więcej miesiąc do swej parafii, by spróbować, czy trochę pracy nie doprowadziłoby go do całkowitej równowagi. W liście była nuta żarliwej religijnej wdzięczności za to, że powrócił do zdrowia, co, jak przypuszczał, nareszcie nastąpiło.

W dzień czy dwa później zobaczyłem się z lady Mary, która powtórzyła o pastorce to, co donosił list, i powiedziała, że istotnie przebywa on w Warwickshire, podjąwszy w Kenlis swe obowiązki duszpasterskie.

— Zaczynam myśleć — dodała — że on rzeczywiście ma się doskonale i że to nigdy nie było nic poważnego, tylko nerwy i wyobraźnia; wszyscy jesteśmy nerwowi, ale zdaje mi się, że na tego rodzaju dolegliwości nie ma nic lepszego jak trochę ciężkiej pracy; dobrze, że postanowił tego popробować. Nie byłabym zdziwiona, gdyby nie wrócił przed rokiem.

Pomimo wszystkich tych wieści w zaledwie dwa dni potem otrzymałem poniższe pismo, wysłane z mieszkania Jenningsa opodal Piccadilly:

Czcigodny Panie.

Powróciłem rozczarowany. Gdy będę czuł się na siłach przyjąć Pana — napiszę z uprzejmą prośbą o odwiedzenie mnie. W obecnej chwili zbyt jestem przybity i w rzeczy samej niezdolny wprost powiedzieć wszystkiego, co bym pragnął. Proszę, niech Pan nie wspomina o mnie moim przyjaciółom. Nie mogę widzieć się z nikim.

Z czasem, jeśli Bóg pozwoli, będzie Pan miał wieści ode mnie. Zamierzam wybrać się do Shropshire, gdzie mam kogoś z rodziny. Niech Bóg ma Pana w swej opiece! Obyśmy z chwilą, gdy powrócę, spotkali się w nastroju lepszym niż ten, w jakim to piszę.

Mniej więcej w tydzień potem odwiedziłem lady Mary w jej domu. Powiedziała, że jest ostatnią osobą pozostałą w mieście i właśnie na wylocie do Brighton, gdyż sezon londyński zakończył się zupełnie. Oświadczyła mi, że miała wiadomości od siostrzenicy pastora Jenningsa, Marty ze Shropshire. Z listu jej nie można było wywnioskować nic ponad to, iż pastor jest przygnębiony i rozdrażniony. Jakiż bezmiar cierpienia kryje się niekiedy w owych słowach, które ludzie zdrowi tak lekko traktują!

Minęło bez mała pięć tygodni bez jakichkolwiek dalszych nowin od pastora Jenningsa. Po upływie tego czasu otrzymałem od niego list.

Byłem jakiś czas na wsi — pisał — zmieniłem aureę, otoczenie, ujrzałem nowe twarze, doznałem zmian pod każdym względem i we wszystkim — poza mną samym. Powziąłem decyzję — o ile tylko istota najbardziej niezdecydowana na świecie może to uczynić: wyczerpującego wyluszczenia Panu mej sprawy. Jeśli obowiązki Pańskie pozwolą, proszę przybyć do mnie dziś, jutro czy każdego innego dnia; błagam jednak o możliwe niezwelekanie. Nie przypuszcza Pan nawet, jak bardzo potrzebuję pomocy. Mam zaciszny dom w Richmond, gdzie obecnie przebywam. Może zdoła Pan zrobić tak, by przybyć na kolację, na obiad czy bodaj na herbatę. Z odszukaniem mnie nie będzie Pan miał kłopotu. Służący z Blank Street, który zabiera ten list, każe zajechać przed Pańskie drzwi o każdej godzinie, gdy tylko Pan zechce; mnie zaś zawsze można zastać w domu. Powie Pan, że nie powinienem pozostawać w samotności; wszystkiego już próbowałem. Proszę przyjechać i samemu zobaczyć.

Wezwałem służącego i postanowiłem wyjechać tego samego wieczora, co też uczyniłem.

O wiele lepiej czułyby się w kamienicy czynszowej lub w zajeździe — pomyślałem, jadąc krótkim szpalerem ciemnych wiązków w kierunku bardzo staromodnego domu z cegieł, zaciemnionego listowiem tych drzew, które zwisało nad nim i prawie zamykało go wokół. Przewrotny był ten wybór, bo trudno sobie wyobrazić coś bardziej smutnego i milczącego. Dom, jak się dowiedziałem, był własnością pastora, który spędził w mieście dwa czy trzy dni, a stwierdziwszy z jakichś przyczyn, że jest ono nie do zniesienia, przybył tutaj, prawdopodobnie dlatego, że dom był umeblowany i jego własny, co oszczędzało mu trudu myślenia i zwłoki związanej z wyborem.

Słońce już zaszło, a czerwona zorza na zachodzie nieba oświetlała miejsce to w szczególny sposób, znany nam wszystkim. Sień wydawała się bardzo ciemna, ale gdy wszedłem do małego saloniku, którego okna wychodziły na zachód, znowu znalazłem się w tym samym zmierzchającym świetle.

Usiadłem przyglądając się obficie zadrzewionemu krajobrazowi, który jarzył się we wspanej i melancholijnej poświacie, zamierającej z każdą chwilą.

W rogach pokoju było już ciemno, wszystko mroczyło, a ciemność niepostrzeżenie oddziaływała na mój umysł, przygotowany już na coś złowieszczego.

Czekałem samotnie na przybycie mego gospodarza, który wkrótce się pojawił. Drzwi prowadzące do frontowego pokoju otworzyły się i wysoka postać pastora Jenningsa, słabo widoczna w szkarłatnym półświecie, weszła cichym, skradającym się krokiem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym on, podsuwając krzesło do okna, gdzie jeszcze było na tyle światła, iż mogliśmy widzieć swoje twarze, usiadł obok mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, niemal że bez słowa wstępu rozpoczął opowiadanie.

ROZDZIAŁ VI

O tym, jak pastor Jennings spotkał swego towarzysza

Przed sobą mieliśmy bladą już zorzę zachodu i przepych nietkniętych podówczas lasów Richmondu, za sobą — ciemniejący pokój. Na kamiennej twarzy cierpiącego człowieka — bo jej wyraz, choć jeszcze łagodny i pełen słodyczy, zmienił się — gościł ów dziwny blask, który zdaje się skądś spływać i czegokolwiek dotknie, budzi nagłe, choć słabe błyski, co giną ni stąd, ni zowąd w mroku. Cisza była całkowita; z zewnątrz żadnego odgłosu; nie słychać turkocących w oddali kół ani szczekania czy gwizdu; wewnątrz — przytłaczająca cisza domu człowieka samotnego i chorego.

Rewelacji, jakie miałem wnet usłyszeć, domyśliłem się w ogólnych zarysach na widok tej znieruchomiałej i przepojonej cierpieniem twarzy, co jak portret pędzla Schalckena * widniała niezwykle oświetlona na ciemnym tle.

— Zaczęło się to — powiedział — piętnastego października, trzy lata, jedenaście tygodni i dwa dni temu. Bardzo dokładnie to obliczam, bo każdy dzień jest męką. Jeśli gdziekolwiek w moim opowiadaniu pozostawię lukę, proszę mi zwrócić uwagę.

Przed bez mała czterema laty zacząłem pracę, która kosztowała mnie wiele wysiłku myśli i lektury. Była to praca na temat religijnej metafizyki starożytnych.

— Wiem — powiedziałem — o rzeczywistej religii wykształconych i myślących pogan, całkiem niezależnej od symbolicznego kultu. To dziedzina rozległa i nader interesująca.

— Tak, ale niezdrowa dla umysłu; mam na myśli umysł chrześcijanina. Pogaństwo powiązane jest w zasadniczą jedność, zaś religia jego złowrogo wiąże się ze sztuką zarówno jak obyczajami pogan; temat ten ma w sobie szkodliwy czar, a więc nieunikniona nadchodzi Nemezis **. Boże, przebac mi!

Pisałem dużo, pisywałem do późna w nocy. Wszędzie, gdziekolwiek byłem, rozmyślałem na ten temat. Skaził moje myśli jak zaraza. Winien pan pamiętać, że wszystkie istotne idee związane z tym tematem dotyczyły w mniejszym lub większym stopniu piękna — przedmiot budzący zainteresowanie — byłem wówczas beztroski.

Tu westchnął ciężko.

— Sądzę, że każdy, kto zabiera się do pisania, pracując, jak to wyraził się pewien mój przyjaciel, na serio, musi się czymś wzmacniać — herbatą, kawą czy tytoniem. Przypuszczam, że takie zajęcia powodują szkody w organizmie, które trzeba co jakiś czas wyrównywać, bo jeśliby umysłowi przez fizyczne bodźce nie przypominać często o jego ściślejszej łączności z ciałem, zatonęlibyśmy w abstrakcji, umysł zaś oderwałby się niejako od ciała. Ja w każdym razie czułem taką potrzebę i zaspokajałem ją. Moim towarzyszem była herbata — początkowo zwykła, czarna, przygotowana zwyczajnie, niezbyt mocna; ale piłem dużo i stopniowo zwiększałem jej moc. Nigdy nie doznałem wskutek tego żadnych niemiłych sensacji.

* Godfried Schalcken (1643-1706) — malarz holenderski, którego cechuje zamiłowanie do niezwykłych efektów świetlnych.

** Nemezis — zemsta — od imienia bogini greckiej.

Zacząłem używać niewielkich ilości herbaty zielonej. Efekt, jak stwierdziłem, był przyjemniejszy; dawała jasność myślenia. Doszło do tego, że zacząłem pić często, choć nie mocniejszą od tej, jaką pija się dla przyjemności. Robiłem duże postępy w pisaniu, tutaj było tak spokojnie, i w tym właśnie pokoju siadywałem do bardzo późna. W nałóg weszło mi popijanie od czasu do czasu herbaty — zielonej herbaty, w miarę jak postępowała praca. Na stole miałem mały kociołek zawieszony nad lampą. Zaparzałem sobie herbatę dwa lub trzy razy w godzinach od jedenastej do drugiej lub trzeciej nad ranem, kiedy zwykle kładłem się spać. Codziennie chodziłem do miasta. Nie byłem mnichem. Przynajmniej ze dwie, trzy godziny spędzałem w bibliotece, szperając w poszukiwaniu autorytetów i źródeł, które rzuciłyby światło na mój temat. Nie byłem wówczas w złym stanie zdrowia. Spotykałem się z przyjaciółmi równie często jak dawniej i cieszyłem się ich towarzystwem, ogólnie zaś moje życie, jak mi się zdaje, nigdy przedtem nie było tak przyjemne.

Poznałem człowieka, który posiadał dziwne stare książki niemieckie — edycje w średniowiecznej łacinie; byłem niezmiernie rad, że uzyskałem do nich dostęp. Biblioteka tej uprzejmej osoby znajdowała się w bardzo odległej części miasta. Zasiałem się tam pewnego razu dłużej, niż miałem zamiar, i gdy wyszedłem — nie znalazłszy fiakra — postanowiłem jechać omnibusem, kursującym ulicą, przy której jest mój dom. Ciemniej już było niż teraz, gdy pojazd zatrzymał się przed takim starym domem, który jak pan może zauważył po drodze, ma cztery topole z każdej strony wejścia; ostatni pasażer (nie licząc mnie) wysiadł. Pojechaliśmy dalej nieco szybciej. Był zmierzch. W przyjemnym zamyśleniu rozparłem się w moim kącie obok drzwi. W omnibusie było prawie ciemno. Zauważyłem w kącie naprzeciwko siebie od strony koni dwa małe krążki odbitego czerwonego, jak mi się zdawało, światła. Odległe były jeden od drugiego o jakie dwa cale, a wielkości mniej więcej owych małych, mosiężnych guzików, jakie mają przy kurtkach marynarze. Zacząłem się zastanawiać nad tym — pozornie — drobiazgiem w sposób właściwy ludziom nie zdradzającym większego zainteresowania. Co rzuciło to słabe, lecz intensywne czerwone światło i od czego — paciorków szklanych, guzików czy jakiejś błyskotki — ono się odbijało? Posuwaliśmy się naprzód powoli, mając jeszcze przód sobą prawie milę drogi. Nie rozwiązałem zagadki; po chwili stała się ona jeszcze bardziej intrygująca, gdy oba te świetliste punkty nagłym skokiem opadły ku podłodze, utrzymując nadal tę samą odległość i poziome ustawienie, następnie zaś, równie niespodzianie, wzniosły się do poziomu ławki, na której siedziałem, i już ich nie było widać!

Ciekawość moja była teraz rozbudzona do najwyższych granic. Zanim miałem czas pomyśleć, ponownie spostrzegłem te dwie mętne lampki, znów razem i znów nad podłogą; raz jeszcze zniknęły, a potem ujrzałem je w tym samym kącie pojazdu, co poprzednio.

Tak więc, nie spuszczać z nich oka, posunąłem się z wolna ku końcowi omnibusu, gdzie jeszcze widniały te niewielkie krążki czerwieni.

Światło w omnibusie było bardzo słabe. Ściemniło się już prawie zupełnie. Pochyliłem się naprzód, by łatwiej zbadać, czym w rzeczywistości były te małe kółeczka. Wtedy — zmieniły nieco pozycję. Zacząłem teraz rozróżniać zarys czegoś czarnego i wnet dość wyraźnie ujrzałem sylwetkę małej, czarnej małpki, wysuwającej swoją twarz naprzeciw mojej, jak by mnie naśladowała; tak, to były jej oczy, teraz zaś — choć niewyraźnie — rozróżniłem jej wyszczerzone do mnie zęby.

Cofnąłem się, w obawie, że się na mnie rzuci. Pomyślałem, że to któryś z podróźnych zapomniał swego brzydkiego faworyta, a chcąc się upewnić co do jego usposobienia, nie narażając własnych palców, szturchnąłem go z lekka parasolem. Małpka pozostała nieruchoma, mimo że parasol nie tylko jej dosięgnął, ale przeszedł przez nią, przesunął się tam i z powrotem, nie natrafiając na najmniejszy opór.

Nie zdołałem w najmniejszym bodaj stopniu wyrazić przerażenia, jakiego doznałem. Gdy stwierdziłem, że stworzenie to było halucynacją, jak wtedy przypuszczałem, zrodziła się nieufność do samego siebie i strach, który mnie obezwładnił tak, że przez jakiś czas nie

mogłem oderwać spojrzenia od oczu tego zwierzęcia. Gdy tak patrzyłem, odskoczyła z lekka do tyłu, całkiem do kąta. W panice znalazłem się przy drzwiach i wytknąłem na zewnątrz głowę. Wdychałem głęboko powietrze i patrzyłem na mijane światła i drzewa, szczęśliwy, że mogę upewnić się co do rzeczywistości.

Zatrzymałem omnibus i wysiadłem. Płacząc zauważyłem, że woźnica jakaś dziwnie mi się przygląda. Z pewnością coś niezwykłego było w moim wyglądzie i zachowaniu, bo nigdy przedtem nie czułem się tak nieswojo.

ROZDZIAŁ VII

Podróż — stadium pierwsze

— Gdy omnibus odjechał i znalazłem się sam na drodze, rozejrzałem się bacznie dokoła, by się upewnić, czy przypadkiem małpka za mną nie poszła. Ku swej nieopisanej radości nigdzie jej nie zobaczyłem. Niełatwo mi opisać wstrząs, jakiego doznałem, i poczucie szczerzej ulgi, gdym stwierdził, że — jak przypuszczałem — całkiem się jej pozbyłem.

Wysiadłem, zanim omnibus dojechał do mego domu; o dwieście lub trzysta kroków przed nim. Wzdłuż ścieżki biegnie mur, od jego wewnętrznej strony jest żywopłot z cisów czy też jakiegoś zawsze zielonego krzewu, na zewnątrz zaś rząd drzewek, które pewnie zauważył pan wchodząc.

Mur, o którym mówiłem, sięga mi mniej więcej do ramienia; gdym przypadkiem podniósł oczy — ujrzałem małpkę, która to łąziła na czterech łapkach, to znów czołgała się na murze tuż obok mnie. Zatrzymałem się, patrząc na nią z uczuciem obrzydzenia i przerażenia. Gdy przystanąłem — zatrzymała się również. Usiadła na murze oparłszy długie ręce na kolana i patrzyła na mnie. Nie było na tyle jasno, by się dało dostrzec wiele więcej niż jej sylwetkę, ale też nie było na tyle ciemno, by mocno uwydatnił się szczególnie blask jej oczu. Wszelako widziałem dość wyraźnie to mglistoczerwone światełko. Małpka nie pokazywała zębów ani też nie zdradzała żadnych oznak rozdrażnienia; robiła wrażenie zmęczonej i ponurej — obserwowała mnie bezustannie.

Wycofałem się na środek drogi. Była to nieświadoma ucieczka. Stałem, ciągle patrząc na małpkę. Nie poruszała się.

Instynktownie zdecydowany zrobić coś — cokolwiek, odwróciłem się i poszedłem szybko w kierunku miasta, cały czas śledząc z ukosa ruchy zwierzęcia. Łażło szybko wzdłuż muru, dotrzymując mi ściśle kroku.

Tam gdzie mur się kończy, koło zakrętu, małpka zlazła i kilku sprężystymi susami zbliżyła się do moich stóp, nadal trzymając się mnie, w miarę jak przyspieszałem kroku. Szła z lewej strony, tak blisko mej nogi, iż cały czas miałem wrażenie, że ją lada chwila nadepnę.

Droga była całkiem pusta i cicha; z każdą chwilą stawało się coraz ciemniej. Zatrzymałem się strwożony i zdumiony, odwracając się jednocześnie w stronę przeciwną do tej, w którą szedłem — to znaczy w stronę domu. Gdym stał nieruchomo, małpka cofnęła się na odległość chyba pięciu czy sześciu jardów i znieruchomiła przyglądając mi się. Poruszony byłem bardziej, niż zdołam to wyrazić. Oczywiście jak każdy czytałem coś niecoś o „złudzeniach spektralnych”, jak to wy, lekarze, zwiecie tego rodzaju zjawiska. Podałem rozwadze swoją sytuację i spojrzałem w oblicze swojej niedoli.

Czytałem, że takie przypadłości bywają czasem przejściowe, ale niekiedy i uporczywe. Czytałem o wypadkach, w których zjawia, zrazu nieszkodliwa, zmieniała się stopniowo w coś okropnego, coś nie do zniesienia, kończąc doprowadzeniem do zguby swej ofiary. Stałem tak znieruchomiarty, zupełnie sam — gdyby nie towarzysząca mi bestia. Usiłowałem pocieszyć się, powtarzając raz po raz, że to tylko choroba, zwykła dolegliwość fizyczna, konkretna jak ospa czy newralgia. Wszyscy lekarze są tego zdania; filozofia nawet tego dowodzi. Jestem

głupcem. Siadywałem zbyt długo nocami, a i z moim trawieniem nie jest najlepiej. Z bożą pomocą przyjdę do siebie — to tylko przejaw nerwowej depresji. Czy uwierzyłem w to? Ani trochę, nie więcej niż wierzyłaby jakakolwiek inna nieszczęsna istota, raz pochwycona i skuta w tę szatańską niewolę. Wbrew własnemu przekonaniu, rzekłbym — wbrew własnej wiedzy, po prostu dodawałem sobie fałszywej otuchy.

Szedłem teraz w stronę domu. Miałem już tylko kilkaset jardów. Siłą zdobyłem się na pewną rezygnację, ale nie przewyciężył straszego wstrząsu i zamętu myśli, gdy wreszcie upewniłem się o moim nieszczęściu.

Postanowiłem noc spędzić w domu; bestia nie odstępowała mnie ani na krok. W pobliżu domu zdawała się przyspieszać kroku jak zmęczone konie lub psy, które czują swoją zagrodę. Obawiałem się iść do miasta, żeby mnie ktoś nie zobaczył i nie poznał. Zdawałem sobie sprawę z niezwykłego podniecenia w moim zachowaniu. Bałem się, że mogę zrobić coś nieobliczalnego, że pójdę do szynku albo zacznę się gdzieś włóczyć... Gdy wchodziłem do domu, bestia czekała już u drzwi do hallu, a gdy je otworzyłem, weszła wraz ze mną.

Tej nocy nie piłem herbaty. Zaopatrzyłem się tylko w cygara i trochę koniaku z wodą. Przyszło mi na myśl, że powinienem silnie oddziaływać na swój system fizyczny i doznając przez chwilę wrażeń nie związanych z myśleniem, wejść jak gdyby w nowe łożysko. Wszedłem na górę, do tego salonu. Usiadłem w tym właśnie miejscu. Małpka wskoczyła na stolik, który stał wówczas tam. Wyglądała na osłupiałą. Nie dający się przewyciężyć niepokój na myśl, jak się zachowa, stale przykuwał do niej mój wzrok. Oczy miała na pół przymknięte, ale dostrzegałem ich błysk. Patrzyła na mnie uporczywie. W każdej sytuacji, o każdej porze czuwa — patrzy na mnie. I tak jest zawsze.

Nie będę dalej szczegółowo opowiadał owej wyjątkowej nocy, opiszę raczej niezmiennie w zasadzie objawy z okresu pierwszego roku. Opiszę, jak małpka wyglądała w świetle dziennym. W ciemności, jak pan zaraz usłyszysz, ma szczególną właściwość. Jest to mała małpka, zupełnie czarna. Ma tylko jedną charakterystyczną cechę — wyraz złośliwości, niezmierniej złośliwości. W ciągu pierwszego roku wyglądała ponuro, jak by jej coś dolegało. Ale ów wyraz wielkiej zjadliwości i czujności zawsze pozostawał widoczny, mimo iż była ospała. Przez cały ten czas zachowywała się, jak gdyby postanowiła mnie dręczyć samym wpatrywaniem się we mnie. Nigdy nie spuszczała ze mnie oka. Ja jej też nigdy nie traciłem z oczu, chyba gdym spał; od czasu, gdy się zjawiła, tkwi tak dniem i nocą w świetle i w ciemnościach. Były jednak okresy, gdy znikwała nieoczekiwanie na kilka tygodni.

W kompletnej ciemności widzi się ją zupełnie jak za dnia. Nie mówię tylko o jej oczach. Cała widoczna jest wyraźnie, w aureoli przypominającej czerwony blask żarzących się węgli, która przesuwana się wraz z nią przy każdym ruchu.

Gdy mnie opuszcza na jakiś czas, to zawsze nocą, w ciemności, i zawsze w taki sam sposób. Najpierw zaczyna zdradzać niepokój, potem wpada w furję, zbliża się do mnie szczerząc zęby i dygocąc, z zaciśniętymi łapami; potem pojawia się ogień na palenisku kominka. Nigdy się u mnie nie pali. Nie mogę spać w pokoju, gdzie jest ogień. Małpka zbliża się coraz bardziej do kominka, jakby drżąc z wściekłości, a gdy jej furia osiąga punkt kulminacyjny — wskakuje w ogień, potem w górę, kominem — i już jej nie ma.

Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, myślałem, że jestem wyzwolony. Stałem się nowym człowiekiem. Minał dzień, noc... nie powróciła, minął jeden błogi tydzień, dwa... Klęczałem ciągle, doktorze Hesselius, klęczałem modląc się i dziękując Bogu. Minał cały miesiąc swobody, lecz nagle — zjawiła się na nowo.

ROZDZIAŁ VIII

Drugie stadium

— Zjawiła się u mnie, zaś złośliwość, zakrzepła w jej ponurym wyglądzie, stała się teraz aktywna. Pod żadnym innym względem małpka nie uległa przemianie. Ta nowa energia przejawiała się w jej żywotności i wyglądzie, a wkrótce — i w czymś innym.

Przez pewien czas — rozumie pan — zmiana polegała tylko na wzmożonej ruchliwości i na wyrazie groźby, jak gdyby stale snuła jakieś złowieszcze plany. Jak i przedtem, nigdy nie spuszczała ze mnie oczu.

— Czy jest tutaj teraz? — spytałem.

— Nie — odparł — nie ma jej dokładnie od dwóch tygodni i jednego dnia — od piętnastu dni. Czasami nie było jej bez mała przez dwa miesiące, raz zaś nawet przez trzy. Jej nieobecność na ogół trwa dłużej niż dwa tygodnie, choć bywało, że znikała tylko na jeden dzień. Że zaś minęło piętnaście dni od chwili, gdy widziałem ją po raz ostatni, może powrócić lada chwila.

— Czy powrotowi jej — zapytałem — towarzyszą jakieś szczególne zjawiska?

— Nie, wcale nie — powiedział. — Po prostu zjawia się przy mnie znowu. Podnosząc oczy znad książki lub odwracając głowę spostrzegam ją, patrzącą na mnie, i pozostaje już jak dawniej przez wyznaczony jej czas. Nikomu dotychczas tak wiele i tak drobiazgowo o tym nie opowiadałem.

Zauważyłem, że jest wzburzony i blady jak śmierć. Kilkakrotnie ocierał czoło chusteczką; wyraziłem przypuszczenie, iż jest zmęczony, i zapewniłem, że chętnie przyjdę do niego rano, ale odparł:

— Nie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby teraz wszystkiego wysłuchać. Tak daleko się zapuściłem i wołałbym się pozbyć tego ciężaru za jednym zamachem. Gdym rozmawiał z doktorem Harleyem, ani części tego nie miałem do powiedzenia. Pan jest lekarzem-filozofem, pan przyznaje właściwe znaczenie duchowi. Jeśli ta istota jest realna...

Przerwał, wyraźnie poruszony, patrząc na mnie badawczo.

— Możemy omówić to stopniowo i bardzo dokładnie. Wyłożę panu wszystko, co myślę — odpowiedziałem po chwili.

— Dobrze, doskonale. Jeśli jest to coś realnego, to coraz większą ma nade mną władzę i coraz głębiej wciąga mnie do piekła. Lekarz mówił, że to nerwy wzrokowe. Ach, istnieją inne nerwowe połączenia. Boże wszechmocny, dopomóż mi! Niech pan słucha...

Moc oddziaływania tej zjawy wzrosła, jak powiadam. Jej złośliwość stała się niejako agresywna. Ze dwa lata temu, po załatwieniu między mną a biskupem pewnych spraw, wyjechałem do mojej parafii w Warwickshire, gorąco pragnąc zajęcia zgodnego z moją profesją. Na to, co się zdarzyło, nie byłem przygotowany, choć potem pomyślałem, że winienem był coś podobnego przewidzieć. Twierdzę tak dlatego, że...

Zaczynał mówić z coraz większym wysiłkiem i wahaniem, często wzdychał, a chwilami wydawał się zgoła złamany. Tym razem jednak nie przejawiał podniecenia. Podobny był do słabnącego pacjenta, który popadł w rezygnację.

— Tak, ale na początek opowiem panu o mojej parafii, Kenlis.

Gdy wyjechałem stąd do Dawlbridge, małpka była przy mnie. Był to mój cichy towarzysz podróży, który pozostał ze mną na plebanii. Gdym przystąpił do sprawowania mych obowiązków, zaszła nowa zmiana. Zjawia ta z niezwykłą uporczywością usiłowała mi je udaremnić. Była wraz ze mną w kościele, gdym czytał lekcję na kazalnicy, była przy balaskach... W końcu doszło do tego, że gdy czytałem wiernym Ewangelię, wskakiwała na otwartą księgę i przysiadła na niej, tak że nie mogłem zobaczyć stronicy. Nieraz się to zdarzało.

Opuściłem Dawlbridge na pewien czas. Oddałem się w ręce doktora Harleya. Robiłem

wszystko, co mi polecił. Poświęcił wiele uwagi mojemu przypadkowi. Sądzę, że go interesował. Zdawało się już, że odniesie sukces. Przez prawie trzy miesiące byłem całkowicie wolny. Wydawało mi się, że jestem już bezpieczny. Za zgodą doktora powróciłem do Dawlbridge.

Jechałem zamkniętą jednokonką. Byłem w dobrym nastroju. Więcej nawet — byłem wprost szczęśliwy, pełen uczuć wdzięczności. Stęskniony wracałem tam, gdzie mnie wzywał obowiązek, wyzwolony, jak sądziłem, od okropnej halucynacji. Był piękny, jasny wieczór, wszystko zdawało się pogodne i wesołe — byłem radosny. Pamiętam — wyglądałem przez okienko, by dojrzeć wśród drzew spiczastą wieżę mego kościoła w Kenlis. Najwcześniej można ją dostrzec z miejsca, gdzie pod drogą przepływa sklepionym kanałem mały strumień otaczający parafię; z boku drogi, gdzie strumień się wynurza, jest kamień ze starym napisem. Gdyśmy mijali to miejsce, cofnąłem głowę i usiadłem — w kącie pojazdu była już małpka.

Na chwilę zrobiło mi się słabo; zdjęła mnie dzika rozpacz i przerażenie. Zawołałem na woźnicę, wysiadłem z pojazdu, usiadłem przy drodze i zacząłem modlić się cicho do Boga o zmiłowanie. Popadłem w desperację. Moja towarzyszka wróciła ze mną na plebanię. Prześladowała mnie nadal tak samo. Po krótkich zmaganiach skapitulowałem i wyjechałem stamtąd.

Jak już panu mówiłem — rzekł — bestia stała się w pewnym sensie agresywna. Winienem wyjaśnić to bliżej.

Otóż ilekroć odmawiałem modlitwy lub nawet miałem tylko zamiar się modlić, opanowywała ją stale wzrastająca furia. Zaczęło mnie to coraz bardziej rozpraszać. Zapyta pan, jak cicha, niematerialna zjawą mogła tego dokonać? A jednak mogła: kiedykolwiek pogrążałem się w modlitwie, małpka pojawiała się zawsze przede mną, coraz bliżej i bliżej.

Wskakiwała zazwyczaj na stół, na poręcz krzesła, na gzyms kominka i kołysała się z boku na bok, wpatrując się we mnie przez cały czas. W jej monotonnym sposobie poruszania się jest coś, co przykuwa uwagę, a jednocześnie rozprasza myśli; sprowadza je jak gdyby do jednego punktu, a w końcu do nicości. O ile nie zrywałem się, nie otrząsałem z tej katalepsji, czułem, że jestem bliski szaleństwa.

Są też inne objawy... — westchnął ciężko. — Na przykład, gdy modłę się z zamkniętymi oczyma, przysuwa się coraz bliżej i bliżej, tak że zaczynam ją widzieć. Wiem, że nie należy tłumaczyć tego w sposób fizyczny, lecz istotnie ją widzę, choć mam przymknięte powieki — maści mi umysł i zmusza do powstania z kolan. Gdyby pan sam doznał tego kiedyś, wiedziałby pan, co to rozpacz.

ROZDZIAŁ IX

Trzecie stadium

— Widzę, że nie uronił pan ani słowa z mojego sprawozdania, doktorze Hesselius. Nie muszę więc prosić, by zwrócił pan szczególną uwagę na to, co teraz powiem. Mówi się o nerwach optycznych i o złudzeniach spektralnych, jak gdyby organ wzroku był jedynym narządem ulegającym atakom, które mnie nawiedzają. Ja wiem lepiej. W moim tragicznym przypadku wpływ ich ograniczał się do wzroku tylko przez dwa lata. Atoli jak pożywienie z warg dostaje się na zęby, jak koniec małego palca schwytyany przez walec młyński wciągnie dłoń, ramię i całe ciało, tak nędzny śmiertelnik, raz mocno pochwycony za najdelikatniejsze włókienko nerwowe, wciągany jest coraz głębiej przez olbrzymią maszynę piekielną, aż staje się tym, czym ja się stałem. Tak, doktorze — czym ja się stałem, bo w chwili gdy z panem rozmawiam i błagam o pomoc, czuję, że modłę się o rzecz niemożliwą, błagam na próżno.

Jego podniecenie wyraźnie wzrastało, usiłowałem go uspokoić, mówiłem, że nie wolno mu rozpaczać.

Gdyśmy rozmawiali, zapadła noc. Mgliste światło księżycowe zalało krajobraz, który roztaczał się za oknem.

— Może woli pan, byśmy siedzieli przy świecach — powiedziałem. — To wszystko jest dziwne. Chciałbym, o ile to możliwe, aby pan był w zupełnie normalnych warunkach, gdy stawiać będę swą, rzekłbym, diagnozę. Inaczej nie chcę.

— Każde oświecenie jest dla mnie jednakie — powiedział — chyba że czytam lub piszę. Nie zrobiłoby mi różnicy, gdyby noc trwała bez przerwy. Opowiem panu teraz, co zdarzyło się mniej więcej rok temu. Ta zjawia zaczęła do mnie mówić.

— Mówić? Czy ma pan na myśli, że mówi jak człowiek?

— Tak; używa słów i zdań, doskonale logicznych i zrozumiałych; jest w tym jednak coś szczególnego. Nie przypomina to dźwięku głosu ludzkiego. Nie dociera do mnie za pośrednictwem uszu, tylko jak melodia przenika wprost do myśli.

Ta jej zdolność, moc przemawiania do mnie, stanie się przyczyną mojej zguby. Nie pozwala mi się modlić, przerywa mi okropnymi bluźnierstwami. Nie śmiem, nie mogę dalej się modlić. Och, doktorze, czyż wiedza, myśl i modlitwy człowiecze nie są zdolne nic dla mnie zrobić?

— Musi mi pan obiecać, mój drogi, że nie będzie się pan niepotrzebnie trapił refleksjami; niechaj pan ograniczy się ściśle do faktów. Przede wszystkim zaś niech pan pamięta, że nawet jeśli stworzenie, które pana nawiedza, jest — jak pan przypuszcza — czymś rzeczywistym, obdarzonym prawdziwą niezależną egzystencją i wolą, to jednak nie ma ono mocy szkodenia panu, jeśli moc taka nie jest mu dana z góry. To, że owa istota bywa dostępna pańskiemu zmysłom, uzależnione jest głównie od pana stanu fizycznego, który — prócz Boga — stanowi o pańskim ozdrowieniu; w nim jest ratunek.

Wszyscy mamy jednakie otoczenie. Tyle że w pańskim wypadku *paries* — osłona cielesna, jest w nieco złym stanie i przez tę nadwężoną powłokę docierają do pana obrazy i dźwięki. Musimy przyjąć nowy kurs — niech pan nabierze otuchy. Dzisiaj wieczór zajmę się starannym rozważeniem całej sprawy.

— Jaki pan zacny. Sądzi pan, że warto spróbować, nie zostawi mnie pan bez pomocy. Nie ma pan pojęcia, jaki wpływ zjawia ta zaczyna na mnie wywierać; wydaje mi rozkazy, staje się tyranem, ja zaś jestem coraz bardziej bezradny. Niech Bóg mnie od tego wyzwoli.

— Wydaje panu rozkazy... Oczywiście używając słów, czy to miał pan namyśli?

— Tak, tak; ciągle skłania mnie do zbrodni, do szkodenia innym lub sobie samemu. Widzi pan, doktorze, sprawa jest pilna, bez wątpienia pilna. Gdy byłem w Shropshire parę tygodni temu (pastor Jennings mówił teraz szybko, drżącym głosem, trzymając mnie jedną ręką za ramię i patrząc mi prosto w twarz), wyszedłem raz na spacer z grupą przyjaciół; nie muszę panu przypominać, że mój prześladowca był wówczas ze mną. Pozostałem w tyle za resztą towarzystwa; okolice Dee, jak panu wiadomo, są piękne. Ścieżka wiodła przypadkowo w pobliżu kopalni węgla; na skraju lasu był prostopadły szyb, mający podobno sto pięćdziesiąt stóp głębokości. Moja siostrzenica została ze mną w tyle — oczywiście nie wie nic o moich cierpieniach. Wiedziała wszelako, że jestem chory i że się źle czułem, więc została, bym nie był całkiem samotny. Gdyśmy z wolna szli razem naprzód, towarzysząca mi bestia zaczęła mnie usilnie nakłaniać, bym rzucił się do szybu. I — niech mi pan wierzy — jedynie obawa, żeby biedna dziewczyna, będąc świadkiem takiego zdarzenia, nie doznała zbyt silnego wstrząsu, uratowała mnie od tej strasznej śmierci. Tłumacząc się, że nie mogę już dalej iść, zacząłem ją prosić, by pospieszyła naprzód, do swoich przyjaciół. Wymawiała się, a im bardziej nalegałem, tym bardziej stawała się uparta. W jej oczach czaił się strach i podejrzliwość. Przypuszczam, że w moim wyglądzie i sposobie zachowania było coś, co ją przeraziło. Nie chciała jednak odejść i to mnie ocaliło. Nie ma pan pojęcia, do jakiego stopnia żywy człowiek może się stać wstrętnym niewolnikiem szatana — zakończył z przeraźliwym jękiem, dygocąc cały.

Nastąpiła przerwa, po której odezwał się:

— A jednak został pan ocalony. To palec boży. Jest pan w rękach Boga, a nie w mocy

jakiejs innej istoty; przeto niech pan z ufnością patrzy w przyszłość.

ROZDZIAŁ X

W domu

Skłoniłem go, by zapalił świece, i wychodząc, stwierdziłem, że w pokoju zrobiło się jakoś weselej i przytulniej. Powiedziałem mu, iż musi traktować swą chorobę jako ściśle zależną od fizycznych przyczyn, że w opisanym dopiero co ocaleniu miał wyraźny dowód troski i miłości Boga i że z bólem zauważyłem, iż traktuje szczegóły tego zajścia jako zapowiedź potępienia. Podkreśliłem, że taki wniosek jest absolutnie nieuzasadniony, i to tym bardziej, że przeczyły mu fakty, jak na przykład tajemnicze wyzwolenie spod morderczego wpływu podczas wycieczki w Shropshire. Po pierwsze wbrew jego woli siostrzenica została przy nim, po wtóre jej obecność ułatwiała mu walkę z okropną pokusą. Pastor Jennings płakał, gdy wraz z nim rozważał ten moment. Wydawało się, że nabrał otuchy. Wymogłem na nim jedno przyrzeczenie, mianowicie, że przyśle po mnie natychmiast, jak tylko małpka znów się zjawi. Pożegnałem go zapewniając ponownie, że nie zajmę się niczym, dopóki nie zbadam gruntownie jego sprawy i że jutro usłyszy ode mnie diagnozę.

Wsiadając do powozu, powiedziałem służącemu, że stan zdrowia jego pana pozostawia wiele do życzenia i że koniecznie trzeba często do niego zaglądać.

Urządziłem się tak, żeby mi nikt nie przeszkadzał.

Wpadłem tylko do domu i zabrawszy podróżny pulpit do pisania oraz sakwojaż pojechałem wynajętym powozem do oberży, położonej około dwóch mil za miastem, zwanej „Pod Rogami”. Był to bardzo spokojny, wygodny budynek o solidnych, grubych ścianach, gdzie w wygodnym pokoju, pewny, że mi nikt nie przeszkodzi, postanowiłem poświęcić sprawie pastora Jenningsa parę nocnych godzin, a może i porannych.

(Tu następuje staranne sformułowanie opinii doktora Hesseliusa o całej sprawie oraz o metodach leczenia, diecie i lekach, jakie zapisał. To ciekawe; niektórzy powiedzieliby — mistyczne. Wątpię jednak, czy dostatecznie zainteresowałoby to czytelnika, do jakiego najprawdopodobniej trafi, i czy warto zamieścić to tutaj. Cały list był niewątpliwie napisany w oberży, gdzie doktor skrył się w tym celu. List następny pisany był już w mieście).

O wpół do dziesiątej wyjechałem z miasta do oberży, gdzie spędziłem ostatnią noc, i wróciłem dopiero dziś o pierwszej po południu. Na stole znalazłem list skreślony ręką pastora Jenningsa. List nie przyszedł pocztą — powiedziano mi, że przyniósł go służący pastora. Dowiedziawszy się, że wracam dopiero dziś i że nikt nie umie wskazać mego adresu, był bardzo zakłopotany i powiedział, że miał polecenie od swego pana, by nie wracać bez odpowiedzi. Otworzyłem list i przeczytałem:

Szanowny Doktorze! Wróciła w niecałą godzinę po Pana odejściu. Mówi. Wie o wszystkim, co się wydarzyło. Wie wszystko. Zna Pana. Jest wściekła i okrutna. Miota obelgi. Zna każde słowo, które napisałem, które piszę. Obiecałem Panu, więc przesyłam list, ale czuję się bardzo, bardzo źle. Jestem znękany i rozproszony.

Zawsze szczerze oddany Panu

Robert Lynder Jennings

— Kiedy to przyszło? — zapytałem.

— Wczoraj wieczorem, koło jedenastej. Służący potem wrócił, a dziś był już trzy razy. Ostatnio z godzinę temu.

Otrzymawszy taką odpowiedź, za kilka minut jechałem już do Richmond zobaczyć się z pastorem Jenningsem. Notatki w jego sprawie miałem przy sobie.

Jak widać, bynajmniej nie byłem zrozpaczony z powodu przypadku pastora Jenningsa.

Sam pamiętał i stosował, choć całkiem mylnie, zasadę rządzącą wszystkimi takimi przypadkami, którą wykładam w swej *Medycynie metafizycznej*. Miałem zamiar zastosować ją na serio. Byłem dogłębnie zainteresowany i niezmiernie pragnąłem zobaczyć go i zbadać właśnie w obecności jego „nieprzyjaciela”.

Podjechałem do mrocznego domu, wbiegłem po schodach i zapukałem. Drzwi otworzyła po chwili wysoka kobieta w czarnych jedwabiach. Wyglądała źle, jak gdyby dopiero co płakała. Skłoniła mi się, wysłuchiwała moich pytań, ale nic nie odpowiedziała. Odwróciła się wyciągając rękę w stronę dwóch mężczyzn, którzy schodzili ze schodów; przekazawszy im w ten sposób moją osobę, zniknęła w bocznych drzwiach, zamykając je za sobą. Natychmiast zwróciłem się do człowieka, który był najbliżej hallu. Ale gdym teraz znalazł się blisko niego, wzdrygnąłem się, ujrawszy, że ma obie dłonie we krwi.

Cofnąłem się nieco, on zaś schodząc po schodach powiedział tylko cichym głosem:

— Służący jest tutaj, proszę pana.

Służący zatrzymał się na schodach, zmieszany i oniemiały na mój widok; wycierał rękę w chustkę, która była przesiąknięta krwią.

— Co to jest, Jones? Co się stało? — zapytałem; ogarnęło mnie okropne podejrzenie.

Poprosił mnie na górę do przedpokoju. Znalazłem się momentalnie koło niego — blady, ze zmarszczką na czole oznajmił mi rzecz straszliwą, którą w połowie już odgadłem.

Jego pan odebrał sobie życie.

Poszedłem wraz ze służącym na górę, do pokoju. Trudno mi opisać to, co tam ujrzałem. Poderżnął sobie gardło brzytwą. Była to straszna rana. Dwaj mężczyźni położyli go na łóżku. Jak wskazywała ogromna kałuża krwi na podłodze, tragedia dokonała się w pewnej odległości między łóżkiem a oknem. Jeden dywan leżał przy łóżku, drugi pod toaletą, reszta podłogi była odkryta, bowiem — jak stwierdził służący — pan jego nie lubił dywanów w sypialni. Na straszną podłogę tego mrocznego, ponurego pokoju jeden z ogromnych wiązków rzucił przesuwał się z wolna cień.

Skinąłem na służącego i razem zeszedliśmy na dół. Z hallu skręciłem do wyłożonego staromodną boazerią pokoju, gdzie wysłuchiwałem wszystkiego, co służący miał do powiedzenia. Nie było tego wiele.

— Z pańskich słów i wyrazu twarzy, gdy pan odjeżdżał poprzedniego wieczora, poznałem, że uważa pan mego pana za poważnie chorego. Pomyślałem sobie, że może obawia się pan jakiego ataku albo coś w tym rodzaju. Zastosowałem się więc bardzo ściśle do pańskich wskazówek. Siedział do późna, chyba do trzeciej godziny. Nie czytał ani nie pisał, tylko dużo mówił do siebie, ale nie było w tym nic niezwykłego. Mniej więcej o tej godzinie pomogłem mu się rozebrać i zostawiłem go w pantoflach i szlafroku. Powróciłem cichaczem po jakiejś pół godzinie. Był w łóżku, całkiem rozebrany, a na stoliku nocnym paliły się dwie świece. Gdy wszedłem, oparty był na łokciu i patrzył w drugi koniec łóżka. Zapytałem go, czy nie potrzebuje czego. Odparł: „nie”.

Nie wiem, czy to z powodu tego, co mi pan powiedział, czy że trochę niezwykle się zachowywał, niepokoiłem się bardzo o niego tej nocy.

Po pół godzinie, albo może trochę później, znowu poszedłem na górę. Nie słyszałem już, żeby mówił jak przedtem. Uchyliłem trochę drzwi. Obie świece były zgaszone, co było niezwykle. Miałem ze sobą świecę z sypialni, więc wpuściłem trochę światła, rozglądając się ukradkiem.

Zobaczyłem, że siedzi na krześle, koło toalety, znowu ubrany. Odwrócił się i spojrzał na mnie. Pomyślałem, że to dziwne: wstał, ubrał się, zgasił świece, żeby tak siedzieć w ciemności. Ale znowu zapytałem go tylko, czy może jestem potrzebny. I znów odpowiedział „nie”, tym razem dosyć ostro. Zapytałem, czy mogę zapalić świece, a on odparł: „Zrób, jak chcesz, Jones”. Więc je zapaliłem i kręciłem się po pokoju, wtedy spytał: „Powiedz mi prawdę, Jones, czemuś znowu przyszedł? Czyś słyszał, że ktoś przeklina?” „Nie, panie” — odparłem zasta-

nawiając się, co miał na myśli.

„Nie” — powtórzył za mną — „oczywiście, że nie”. Więc powiedziałem: „Czy nie byłoby dobrze, żeby pan poszedł spać? Już piąta”, a on odparł tylko: „Rzeczywiście, dobranoc, Jones”. Więc wyszedłem, proszę pana, ale za niecałą godzinę znowu przyszedłem. Drzwi były zamknięte, ale mnie usłyszał i spytał (jak mi się zdawało) z łóżka, czego chcę, i prosił, żebym mu więcej nie przeszkadzał. Położyłem się i trochę zasnąłem. Kiedy się znowu zbudziłem, musiało być między szóstą a siódmą. Drzwi były ciągle zamknięte, nie odpowiadał zupełnie, więc nie chciałem go niepokoić i pewny, że śpi, nie zaglądałem aż do dziewiątej. Miał zwyczaj dzwonić, gdy chciał, żebym przyszedł, a nie wyznaczył mi żadnej godziny, żeby go budzić. Zapukałem bardzo leciutko; nie otrzymawszy odpowiedzi, czekałem dłuższy czas, przypuszczając, że jeszcze śpi. Dopiero koło godziny jedenastej zacząłem się niepokoić o niego na dobre, bo jak pamięcią sięgnę, nie wstał nigdy później niż o wpół do jedenastej. Nie było odpowiedzi. Stukałem i wołałem, ale ciągle nie odpowiadał.

Nie mogąc sam wyłamać drzwi, zawołałem ze stajni Tomasza i razem je wyważyliśmy; znaleźliśmy go w tym strasznym stanie, w jakim pan go widział.

Jones nie miał nic więcej do powiedzenia. Biedny pastor Jennings był bardzo dobry i uprzejmy. Lubili go wszyscy. Widziałem, że służący był bardzo wstrząśnięty.

Tak więc, przybity i wzburzony, opuściłem ten okropny dom pod ciemnym baldachimem z wiązów i mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę go oglądał. Gdy piszę do Ciebie, czuję się jak człowiek na pół zbudzony ze strasznego i dręczącego snu. Wiem jednak, że to prawda. Jest to historia procesu działania trucizny, trucizny pobudzającej wzajemne oddziaływanie ducha i nerwów, paralizującej tkankę, która oddziela owe pokrewne funkcje zmysłów zewnętrznych i wewnętrznych. W ten sposób spotykamy dziwnych przyjaciół; w ten sposób śmiertelni z nieśmiertelnymi zawierają przedwczesną znajomość.

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski

TEODOR DOSTOJEWSKI

Teodor Dostojewski (1821—1881), głęboki znawca tajników duszy ludzkiej, autor głośnych powieści o tragicznych losach człowieka, opublikował w roku 1873 w piśmie „Grażdanin” zamieszczoną niżej, niesamowitą w pomysłach groteskę. Utwór ten charakteryzuje swoisty sposób patrzenia wielkiego pisarza rosyjskiego na ludzi, na ich słabości i namiętności, z którymi schodzą do grobu.

BOBOK

Tym razem zamieszczam *Zapiski pewnej osoby*: To nie jestem ja; to zupełnie ktoś inny. Sądzę, że dłuższy wstęp nie jest potrzebny.

ZAPISKI PEWNEJ OSOBY

Przed trzema dniami Siemion Ardalionowicz powiada do mnie:

— Iwanie Iwanowiczu, zlituj się i powiedz, czy będziesz ty kiedykolwiek trzeźwy?

Dziwne żądanie! Ale nie obraziłem się, jestem człowiekiem spokojnym, lecz mimo to zrobiono ze mnie wariata. Nie wiem, jak to się stało, dość że pewien malarz namalował mój portret. „Bądź co bądź, powiada, jesteś literatem”. Zgodziłem się, on zaś dał portret na wystawę. Czytam: „Zachęcamy do obejrzenia chorej i bliskiej obłądu osoby”.

No, niechby tam, ale jak to się stało, że w tak prosty sposób znalazłem się na łamach prasy? Do prasy winno trafiać wszystko to, co jest szlachetne; ideały są nam potrzebne, tu zaś...

Powiedziałbyś przynajmniej tak sobie, mimochodem, po to dano ci mowę. Nie, on mimochodem nie chce. Teraz tak humor jak i sposób pięknego wyrażania się znikają, zamiast dowcipu stosuje się wymyślania. Nie obrażam się: Bóg wie jakim by trzeba być literatem, żeby nie dostać pomieszania zmysłów. Napisałem opowiadanie — nie wydrukowali. Napisałem felieton — odrzucono. Mnóstwo tych felietonów nosiłem po różnych redakcjach, ale wszędzie je odrzucano: „soli, powiadają, pan nie posiada”.

— Jakiej to ci soli potrzeba? — pytam ironicznym tonem — attyckiej?

Ale oni tego nie rozumieją.

Najwięcej robię przekładów z języka francuskiego dla księgarzy. Piszę również ogłoszenia dla kupców: Rzadka okazja! *Najprzedniejsza* — ponoć — *herbata z własnych plantacji...* Za napisanie panegiryku ku czci świętej pamięci wielmożnego Piotra Matwiejewicza grubszą forszę zgarnąłem. Tylko wielkim damom podoba się sztuka napisałem na zamówienie pewnego księgarza. Podobnych książek ze sześć w swoim życiu wydałem. Chciałbym zebrać Wolterowskie *bons mots*, lecz obawiam się, by naszym czytelnikom nie wydały się one niesmaczne. Jaki tam teraz Wolter; teraz potrzebny kij sękaty a nie Wolter! Żeby powybijali sobie resztki zębów! I oto cała moja działalność literacka. Ponadto wspomnę, że rozsyłałem po różnych redakcjach korespondencję z pełnym moim podpisem, nie pobierając za to żadnego wynagrodzenia. Daję różne upomnienia i rady, krytykuję, wskazuję właściwe drogi. Do pewnej redakcji wysłałem zeszłego tygodnia czterdziesty list w ciągu dwóch lat; na same tylko znaczki pocztowe wydałem cztery ruble. Charakter mam podły i basta.

Przypuszczam, że malarz namalował mój portret nie dlatego, że jestem literatem, lecz dlatego, że mam na czole dwie symetrycznie umieszczone brodawki: fenomen, myślą. Pomyśłów żadnych nie mają, więc wyszukują fenomenów. Ale te moje brodawki wypadły na portrecie po prostu jak żywe! Oni to realizmem nazywają.

Co się tyczy pomieszania zmysłów, to zeszłego roku wielu u nas obłąkanych wpisano do rejestru. I to w jaki sposób: taki to a taki miał ponoć talent... a oto proszę, co się okazało... Zresztą od dawna należało tego się spodziewać... To jeszcze dość przyzwoicie; z punktu widzenia czystej sztuki można to nawet pochwalić. Ale zakrzątnięto się jeszcze sprytniej. Doprowadzić do pomieszania zmysłów, to u nas doprowadzą, ale ż by ktoś stał się mądrzejszy, to tego nigdy jeszcze nie zrobiono.

Moim zdaniem ten jest u nas mądrzejszy, kto choć raz w miesiącu nazwie siebie głupcem — rzecz w obecnych czasach niesłychana! Dawniej głupiec przynajmniej raz do roku do tego się przyznawał, ale teraz nawet mowy o tym być nie może. W dodatku tak się wszystkie pojęcia powikłały, że głupca od mądrego odróżnić nie sposób. Umyślnie tak to zrobili.

Przypomniał mi się dowcip hiszpański, kiedy to Francuzi przed dwoma i pół wiekami założyli u siebie pierwszy dom dla obłąkanych: „Oni zamknęli tam w tym domu wszystkich swoich wariatów, by udowodnić, że sami są mądrzy”. Lecz w gruncie rzeczy to, że drugiego zamkniesz w domu wariatów, nic nie mówi o twoim rozumie. „K. dostał pomieszania zmysłów, to znaczy, że my jesteśmy przy zdrowych zmysłach”. Nie, wcale to nie znaczy.

Zresztą, pal to diabli... Że też rozgadałem się o tej swojej mądrości — bredzę i bredzę. Nawet służąca ma mnie już dość. Wczoraj wstąpił do mnie mój przyjaciel: „Bardzo się zmienił twój sposób mówienia — nie mówisz, lecz rąbiesz. Rąbiesz i rąbiesz. Zaczynasz od jakiegoś wstępu, a do wstępu nowy wstęp, potem słowa w nawiasie, jeszcze coś dodasz, po czym zacinasz się i milczysz”.

Przyjaciel ma rację. Dzieje się ze mną coś niezwykłego. I charakter mi się zmienia, i głowa boli. Zaczynam widzieć i słyszeć niezwykle rzeczy. Nie powiem, żebym słyszał jakieś głosy, tylko jak by ktoś tuż nad moim uchem powtarzał: „Bobok, bobok, bobok!”

Ale co znaczy bobok? Trzeba by się trochę rozerwać.

*

Poszedłem, by się rozerwać, a trafiłem na pogrzeb dalekiego krewnego. Bądź co bądź radca kolegiálny! Wdowa, pięć córek, wszystkie niezamężne. Ileż to wyniesie sprawić dla każdej choćby po jednej parze pantofli! A nieboszczyk jakoś zdobywał na to pieniądze. Teraz natomiast została tylko marna emeryturka. Pospuszczają ogony. Serdecznie nigdy mnie nie przyjmowali. I teraz bym nie poszedł, gdyby nie ta niezwykła okoliczność. Poszedłem za konduktem wraz z innymi, ale wszyscy stronili ode mnie i byli tacy wyniośli! Mój mundur istotnie jest marniutki. Zdaje się, że od dwudziestu pięciu lat nie byłem na cmentarzu; też mi miejscowość!

Przede wszystkim ten zapaszek. Przywieziono piętnastu nieboszczyków. Całuny w różnych cenach; były nawet dwa katafalki: jeden dla generała, drugi dla jakiejś znakomitej damy. Mnóstwo ludzi w żałobie, dużo smutku udanego, a jeszcze więcej takich, którzy nie ukrywali swej radości. Duchowieństwo nie może narzekać. Dochody. Ale ten zapaszek, ten zapaszek! Nie chciałybym być tutejszym duchownym.

Ostrożnie zaglądałem w twarze nieboszczyków, nie bardzo będąc pewny swej wrażliwości. Niektórzy mieli łagodny wyraz twarzy, niektórzy zaś mieli nieprzyjemny. A w ogóle uśmiechy niedobre, u niektórych nawet bardzo niedobre. Nie lubię ich, śnią mi się po nocach.

W czasie nabożeństwa wyszedłem z cerkwi na świeże powietrze — dzień był szary, lecz nie padało. Było chłodno; wiadomo październik. Przeszedłem się między mogiłami. Byłem w różnych kwaterach. W kwaterze trzeciej klasy taksa wynosi trzydzieści rubli: ładnie tu i nie tak znowu drogo. W cerkwi też składa się ciała pod kruchtą; ceny tam są bardzo wysokie. W kwaterze trzeciej klasy w tej chwili grzebano sześciu nieboszczyków, w tej liczbie generała i pewną damę.

Zajrzałem do dołów — potworność: woda, i to jaka woda! Zupełnie zielonkawa i... Ale dość tego! Stróż cmentarny co chwila wylewał ją czerpakiem z tych dołów. Zanim skończy się nabożeństwo, pomyślałem sobie, wyjdę za bramę, by się przejść. Tuż za bramą jest przytułek dla starców, a trochę dalej — restauracja. Nawet niczego sobie restauracyjka i przegryźć można, i tak dalej. Dużo już natłoczyło się tu ludzi, którzy przybyli na uroczystości pogrzebowe. Spostrzegłem wielu roześmianych i szczerze ożywionych. Coś tam przegryzłem i wypilem.

Potem uczestniczyłem w przeniesieniu trumny z cerkwi do mogiły; dźwigałem ją własnoręcznie wraz z innymi. Nie wiem, czemu nieboszczycy stają się tacy ciężcy? Powiadają, że dzieje się tak wskutek braku jakiejś tam inercji, że ciało nie rządzi się już samo sobą czy też jakaś inna podobna bzdura... Przeczy to mechanice i zdrowemu rozsądkowi. Nie lubię, kiedy ludzie, mający wykształcenie tylko ogólne, biorą się do rozwiązywania problemów specjalnych; a tak u nas jest na każdym kroku. Cywile lubią zajmować się sprawami wojskowymi, a nawet takimi, które mogą być rozstrzygane tylko przez feldmarszałków, natomiast ludzie posiadający wykształcenie inżynieryjne często biorą się do filozofii i polityki gospodarczej.

Na stypę nie pojechałem. Jestem zbyt dumny. Jeżeli przyjmują mnie tylko w wyjątkowych okolicznościach, kiedy jest to konieczne, to po co bym miał pędzić do nich na obiady, choćby to były nawet obiady popogrzebowe? Nie rozumiem, po co zostałem na cmentarzu? Usiadłem na płycie grobowej i wpadłem w zadumę odpowiednią do okoliczności i miejsca.

Zacząłem od wystawy moskiewskiej, a potem dziwiłem się, że podobny temat przyszedł mi do głowy w takim czasie i miejscu. Od tego „zdziwienia” oto do czego doszedłem.

„Dziwić się wszystkiemu jest oczywiście rzeczą niemądrą; nie dziwić się jest o wiele przystojniej i nie wiem dlaczego, ale uznane to jest za dobry ton. Lecz wątpię, by tak było istotnie. Moim zdaniem niczemu się nie dziwić jest o wiele niemądrzej niż dziwić się wszy-

stkiemu. Poza tym: niczemu się nie dziwić jest to prawie to samo, co nic nie szanować. A człowiek niemądry nic nie szanuje”.

— A ja przede wszystkim pragnę szanować... B a r d z o p r a g n ę szanować — powiedział do mnie w tych dniach pewien mój znajomy.

Bardzo pragnie szanować! Mój Boże, pomyślałem sobie, co by to się stało, gdybyś tak odważył się to teraz wydrukować!

W tej właśnie chwili zdrzemnąłem się. Nie lubię czytać napisów na nagrobkach; wiecznie jedne i te same. Na płycie grobowej tuż koło mnie leżała nie dojeżdżona kanapka — głupio i nie na właściwym miejscu. Straciłem ją na ziemię, gdyż nie jest to chleb, lecz tylko kanapka. Zresztą rzucać chleb na ziemię nie jest grzechem, nie wolno tylko rzucać na podłogę. Sprawdzić w kalendarzu Suworina.

Przypuszczam, że siedziałem dość długo, zdaje mi się, że trochę za długo, nawet położyłem się na płycie marmurowej i wyglądałem jak rzeźba na nagrobku. Nie wiem, jak to się stało, ale zacząłem nagle słyszeć różne głosy. Początkowo nie zwróciłem na nie uwagi, a nawet potraktowałem je z zupełną obojętnością. Ale rozmowa trwała dalej! Stwierdziłem, że głosy były przytłumione, jakby rozmawiający mieli na ustach poduszki, lecz mimo to były wyraźne i bardzo bliskie. Ocknąłem się z drzemki, usiadłem na płycie grobowej i zacząłem wsłuchiwać się uważnie.

— Wasza ekscelencjo, to po prostu jest niedopuszczalne. Pan był łaskaw powiedzieć kier, ja wistuję i nagle okazuje się, że pan ma siedem karo. Trzeba było licytować z karo.

— Więc oznaczałoby to, że gramy z dziadkiem, na ślepo? A gdzie zaciekawienie wynikające z licytacji?

— Nie wolno tak, wasza ekscelencjo, nie mając gwarancji, naprawdę nie wolno. Koniecznie tak trzeba, gdy się nie ma czwartego, zwłaszcza że przy rozdawaniu kart jedna jest niewiadoma.

— No, czwartego tu się nie dostanie.

Ileż złości i niezadowolenia jest w tych słowach! I jak dziwnie brzmią, jak niespodziewanie. Jeden głos był zawieszony i pełen godności, drugi — łagodny i jakby nawet przesłodzony. Nie uwierzyłbym, gdybym na własne uszy nie słyszał. Na stypie, zdaje mi się, nie byłem. Jak to więc się stało, że gra się tu w preferansa, i w dodatku jeszcze jakiś generał? To że głosy dochodziły z mogił, nie miałem żadnej wątpliwości. Pochyliłem się i przeczytałem napis na płycie grobowej:

Tu spoczywają prochy generał-majora Pierwojedowa, kawalera... takich to a takich... orderów. Generał-major zmarł w sierpniu roku bieżącego w wieku lat pięćdziesięciu siedmiu. Śpijcie prochy najmiłsze do radosnego świtu!

Hm, do diabła, istotnie generał! Na sąsiedniej mogile, z której dochodził głos pełen uniżoności, nie było jeszcze nagrobku — leżała na niej tylko niewielka płyta. Prawdopodobnie był to ktoś ze świeżo przybyłych. Sądząc po głosie, był to radca dworu.

— Oh-ho-ho-ho! — rozległ się jakiś zupełnie inny głos w odległości pięciu sążni od mogiły generała; była to całkiem jeszcze świeża modła; głos dochodzący z niej był męski i od razu męzna było poznać, że nieboszczyk pochodził z ludu; głos jego był rozleniwiony, pełen przymilnej uniżoności i szacunku.

— Oh—ho—ho—ho!...

— Ach, on znowu dostał czkawki! — rozległ się nagle pełen wyniosłości i pogardy głos jakiejś damy, zdaje się z wyższych sfer. — Prawdziwa kara boska, że muszę sąsiadować z tym sklepikarzem!

— Wcale nie mam czkawki, bo żadnego posiłku nie przyjmowałem, już taka moja natura. A wielmożna pani nawet tutaj nie może pozbyć się swoich kaprysów.

— No to czemu położyliście się tutaj?

— Nie ja się położyłem, ale mnie położono. Położyła mnie tu małżonka moja i małe

dziateczki. Misterium śmierci!... Nie położyłbym się podle pani za nic na świecie, ale muszę zaznaczyć, że leżę tu opłaciwszy taksę własnymi pieniędzmi. Stać nas na to, by wnieść opłatę za mogiłkę w kwaterze trzeciej klasy.

— Naciulał; kupujących oszwabiał.

— Jakżeż mogłem panią oszwabić, kiedy od stycznia nie doczekałem się od pani najmniejszej wypłaty. A rachuneczek pani leży w sklepiku.

— O, to już nawet nieprzyzwoicie, moim zdaniem, niemądrze jest mówić tu o długach! Idźcie tam, na górę, i żądajcie od bratanicy, od mojej spadkobierczyni.

— E, gdzie mi tam teraz domagać się swego i dokąd miałbym iść? Oboje doszliśmy do kresu i w obliczu Sądu Boskiego w grzechach jesteśmy równi.

— W grzechach! — z pogardą i przedrzeźniającym tonem powiedziała nieboszczka. — Nie ważcie się w ogóle odzywać do mnie!

— Oho—ho—ho—ho!

— Jednak sklepikarz ma respekt przed dziedziczką, wasza ekscelencjo.

— Czemu by nie miał mieć respektu?

— No tak, ale przecież wasza ekscelencja wie, że podlegamy tu wszyscy innym prawom?

— Cóż to za jakieś inne prawa?

— Przecież my, że tak powiem, umarliśmy, wasza ekscelencjo.

— Ach, prawda! Ale po co mówić o jakichś nowych prawach?...

A więc był jakiś dług, trudno zaprzeczyć — bardzo ciekawa sprawa. Skoro i tam do tego dochodzi, to jak się nie dopominać swego tu, o piętro wyżej? Cóż to jednak za jakiś szczególny żart? Przysłuchiwałem się dalej, mimo że ogarniało mnie coraz większe zgorzienie i niesmak.

*

— Och, tak bym jeszcze sobie pożył! Och... wiecie... tak bym sobie pożył! — rozległ się jakiś inny głos w przerwie między wypowiedzią generała a nerwowej damy.

— Czy wasza ekscelencja słyszy: nasz sąsiad znowu się odezwał. Po trzy dni milczy i nagle: „Och, tak bym sobie jeszcze pożył, tak bym sobie pożył!” I z jakim, że tak powiem, apetytem to mówi, hi-hi!...

— Z lekkomyślnością.

— A tak go ten sen raz po raz bierze, wasza ekscelencjo, że zdawałoby się, iż już na dobre usypia... Jest tu przecież od kwietnia i nagle: „Tak bym sobie pożył!”

— Bo nudno tu jest — powiedział jego ekscelencja.

— Nudnawo, wasza ekscelencjo, ale może by tak sprowokować Awdotię Ignatiewnę, hi-hi!...

— Nie, bardzo proszę nie sprawiać mi tej przyjemności. Nie mogę ścierpieć tej obrzydliwej plotkary.

— Ja również nie cierpię was obu — z pogardą odezwała się plotkara. — Obaj jesteście niezwykle nudni i nic nie potraficie zajmującego opowiedzieć. A pan, wasza ekscelencjo, niech nie będzie tak zarozumiały, gdyż znam pewną historyjkę; wiem, jak to pewnego ranka lokaj wymiół pana szczotką do zamiatania spod pewnego łoża małżeńskiego.

— Wstrętna baba! — warknął generał przez zaciśnięte zęby.

— Dobrodziejko ty moja, Awdotio Ignatiewno — zawył znowu sklepikarz — paniusiu ty moja, nie bądź pamiętliwa i powiedz mi, czy to ja chodzę po mękach jakichś, czy coś innego ze mną się dzieje?...

— Ach, on znowu o tym samym! Przeczynałem, że tak będzie, kiedy poczułam idący od niego zapaszek... A to dlatego, że raz po raz się porusza.

— Nie poruszyłem się, dobrodziejo ty moja, i nie ode mnie powiał jakiś tam szczegó-

Iny zapasek, bo ciało moje jest jeszcze nie naruszone, ale to pani, dobrodziejko, już się zaczyna rozkładać i dlatego zapach rzeczywiście nie do wytrzymania się rozszedł, nawet jak na tę miejscowość. Przez delikatność tylko nic nie mówiłem.

— Ach, wstrętny oszczerca! Od niego zawiewa, a on twierdzi, że to ode mnie.

— Oho—ho—ho—ho!... Niechby już nadszedł jak najprędzej ten czterdziesty dzień od dnia mojego zgonu, żebym posłyszał nad sobą głosy nabrzmiałe łzami małżonki mojej i cichy płacz dzieci!...

— Patrzcie państwo, czego mu się zachciewa! Ale przecież nic szczególnego nie będzie się działo: nażrą się kutii i odjadą. Ach, żebyż wreszcie ktoś się obudził!

— Awdotio Ignatiewno — pełnym pochlebstwa tonem powiedział urzędnik. — Niech pani troszkę poczeka, nowo przybyli się obudzą...

— A czy są między nimi młodzi?

— Są i młodzi, Awdotio Ignatiewno. Są nawet bardzo młodziutcy.

— Ach, jak by to było dobrze!

— A czy jeszcze żaden się nie obudził? — spytał generał.

— Nie, nawet ci sprzed trzech dni jeszcze się nie obudzili, wasza ekscelencjo; sam pan raczył zauważyć, że niekiedy nawet cały tydzień milczą. Dobrze się stało, że przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj przywieziono ich wszystkich na raz. Bo dokoła nas na przestrzeni dziesięciu sążni prawie wszyscy są zeszlóroczni.

— Tak, to ciekawe.

— Na przykład dzisiaj, wasza ekscelencjo, pogrzebano rzeczywistego radcę tajnego Tarasiewicza. Po głosach poznałem. Bratanek jego jest moim znajomym, słyszałem jego głos, gdy pomagał opuszczać trumnę do dołu.

— Hm... gdzie on leży?

— O pięć kroków w lewo, wasza ekscelencjo. Prawie w samych pańskich nogach... Dobrze by było, gdyby panowie zawarli ze sobą znajomość.

— Hm... nie, wołałbym nie... Zresztą miałbym pierwszy?...

— Nie, on pierwszy się przedstawi waszej ekscelencji. Będzie to nawet dla niego wielki zaszczyt; proszę mnie to zostawić, wasza ekscelencjo, ja...

— Ach, ach, ach!... Cóż to ze mną się stało? — zaczął jęczeć jakiś przerażony głosik.

— To ten nowy, wasza ekscelencjo, nowy; no, dzięki Bogu! I to jak prędko! Inni przez cały tydzień milczą...

— Ach, zdaje się, że to ten młodzieniec! — pisnęła Awdotia Ignatiewna.

— Ja... ja... ja... tak niespodzianie wskutek komplikacji! — bełkotał młodzieniec. — Onegdaj Schulz powiedział do mnie: „W chorobie pańskiej zaszły komplikacje”, a nad ranem umarłem... Ach! Ach!...

— No, nic się na to nie poradzi, młodzieńcze — powiedział łaskawym tonem generał, widocznie ciesząc się, że przybył nowy nieboszczyk. — Trzeba się jakoś rozerwać! Uprzejmie prosimy do naszej, że tak powiem, Doliny Jozafatowej. Jesteśmy ludźmi dobrymi, sam pan się przekona i oceni. Generał-major Wasilij Wasiljewicz Pierwojedow, do usług!...

— Ach, nie! Nie mogę, nie, nie... nie mogę się z tym pogodzić. Byłem u Schulza; w chorobie mojej zaszły jakieś komplikacje: najpierw zaczęło boleć w piersiach i kaszel... potem się przeziębilem: piersi i influenza... i tak nagle, całkiem niespodzianie... Najważniejsze to to, że tak zupełnie niespodzianie...

— Mówił pan, że początkowo piersi... — łagodnie wtrącił się do rozmowy urzędnik, jak by chcąc dodać ducha nowicjuszowi.

— Tak, piersi, i dużo było flegmy; potem flegma nagle znikła i tylko piersi... nie mogłem oddychać... i wie pan...

— Wiem, wiem!... Ale jeżeli piersi, to trzeba było raczej do Ecka, a nie do Schulza.

— Już od dawna wybierałem się do Botkina... i nagle...

— O, Botkin to pies — wtrącił generał.
— Ach, nie, wcale nie; słyszałem, że jest wnikliwy i wszystko przepowie naprzód.
— Ale jego ekscelencja miał na myśli honoraria — powiedział urzędnik.
— Ach, co pan mówi — zaledwie trzy ruble bierze, a tak dokładnie bada i recepty różne... Koniecznie chciałem pójść do niego, bo mówiono mi... No więc, co mam robić, proszę panów, czy mam pójść do Ecka czy do Botkina?
— Co? Do kogo? — poruszył się generał chichocząc wesoło. Urzędnik wtórował mu cieniutkim falsetem.
— Kochany chłopcze, kochany, najmilszy chłopcze, jakżeż ja cię kocham! — pisnęła w ekstazie Awdotia Ignatiewna. — Ach, gdybyż takiego położono koło mnie!
Nie, na coś podobnego nie mogę pozwolić! I to jest współczesny nieboszczyk! Ale trzeba słuchać dalej i nie śpieszyć się z wyciąganiem wniosków. Tego smarkacza nowicjusza zapamiętałem sobie, gdy leżał w trumnie — miał minę przestraszonego kurczęcia; najohydniejsza rzecz na świecie! No, ale co dalej?

*

Ale dalej zaczął się taki bałagan, że nie zapamiętałem wszystkiego, gdyż bardzo wielu obudziło się na raz: obudził się urzędnik, ten radca cywilny, i w tej chwili zaczął rozmawiać z generałem o projekcie nowej podkomisji w ministerstwie sprawiedliwości i o prawdopodobnym przesunięciu w związku z tą podkomisją, czym bardzo, ale to bardzo zaciekał generała. Muszę przyznać, że i ja dowiedziałem się wiele ciekawych i nowych rzeczy, i aż się dziwiłem, jakimi to nieraz drogami można dowiedzieć się różnych nowinek administracyjnych stolicy. Potem na pół tylko ocknął się pewien inżynier i długo bełkotał coś zupełnie od rzeczy, tak że nasi nie wdawali się z nim w rozmowę i zostawili go, by się wyleżał w spokoju. Wreszcie ujawniła szczególne podniecenie pewna znakomita dama, pochowana tego ranka. Lebieziatnikow (tak bowiem nazywał się przypoehlebny radca dworu, którego nienawidziłem, a który leżał obok generała Pierwojedowa) bardzo tym się przejmował i dziwił, że tym razem tak prędko wszyscy zaczęli się budzić. Muszę przyznać, że i ja również dziwiłem się temu; zresztą niektórzy z przebudzonych byli pogrzebani przed trzema dniami, jak na przykład pewna bardzo młodzianka panienska, która mogła mieć lat szesnaście, a która chichotała bez ustanku... Chichotała obrzydliwie i zmysłowo.

— Wasza ekscelencjo, tajny radca Tarasiewicz raczył już się obudzić! — zakomunikował nagle Lebieziatnikow z niezwykłą gorliwością.

— Hę?... Co?... — pełnym odrazą, szepleniącym głosem wymamrotał obudzony radca tajny. Głos jego był rozkapryszony i brzmiał rozkazująco. Przysłuchiwałem się mu z zaciekawieniem, gdyż w ostatnich czasach coś niecoś słyszałem o tym Tarasiewicz, coś w najwyższym stopniu ciekawego i niepokojącego.

— To ja, wasza ekscelencjo, na razie tylko ja...

— O czym pan mówi i czego chce?

— Chciałbym jedynie dowiedzieć się o stanie zdrowia waszej ekscelencji. W pierwszej chwili każdemu tu jest trochę za ciasno... Generał Pierwojedow pragnąłby mieć zaszczyt poznać waszą ekscelencję i ma nadzieję...

— Nie słyszałem o takim.

— Najmocniej przepraszam waszą ekscelencję, jest to Wasilij Wasiljewicz Pierwojedow...

— Pan jest generał Pierwojedow?

— Nie, wasza ekscelencjo, ja jestem tylko radcą dworu, Lebieziatnikow, do usług, zaś generał Pierwojedow...

— Nonsens! Proszę zostawić mnie w spokoju.

— Niech pan da spokój — z godnością powiedział wreszcie generał Pierwojedow,

studząc tym służalczy zapał swego mogilnego klienta.

— Jeszcze zupełnie się nie obudził, wasza ekscelencjo, a trzeba mieć na uwadze, że jego ekscelencja do tutejszych warunków nie jest przyzwyczajony i gdy raczy się obudzić, to wtedy znacznie zupełnie inaczej...

— Niech pan da spokój — powtórzył generał.

*

— Wasilij Wasiljewiczu! Hej, ekscelencjo! — zawołał nagle, bardzo głośno i bezczelnie, leżący tuż obok Awdotii Ignatiewny ktoś zupełnie inny; głos jego brzmiał po pańsku i natarczywie, a zgodnie z panującą modą wysławiał się głosem zmęczonym, wyraźnie wymawiając każde słowo. — Ja tu was wszystkich obserwuję od dwóch godzin, bo leżę już trzeci dzień. Czy pan mnie sobie przypomina, Wasilij Wasiljewiczu? Kliniewicz jestem, spotkaliśmy się u Wołkońskich, do których nie wiem dlaczego pana wpuszczano...

— Co, hrabia Piotr Piotrowicz?... Czyżby to był pan?... I to w tak młodym wieku?... Jakżeż panu współczuję!

— I ja sobie współczuję, ale ostatecznie jest mi wszystko jedno; chciałbym wyciągnąć stąd korzyści, jakie tylko się da. W dodatku nie jestem hrabią, lecz baronem — zaledwie baronem. Zresztą jesteśmy baronkami pryszczatymi, z jakichś tam lokajów — nie wiem, jak to się stało, ale gwizdzę sobie na to. Jestem natomiast łajdakiem z pseudowyzszego świata, gdzie uważają mnie za „kochanego bon vivanta”. Ojciec mój był jakimś tam generaliną, matkę zaś niegdyś przyjęto do *bon-lieu*. Ja natomiast z Żydem Zyfelem w roku ubiegłym puściłem w obieg fałszywych banknotów na kwotę pięćdziesięciu tysięcy, po czym zrobiłem na niego donos, pieniądze zaś Julka Charpentier de Lusignan wywiozła do Bordeaux. I proszę sobie wyobrazić, że w tym właśnie czasie byłem zaręczony ze Szczewalewską; brakło jej zaledwie trzech miesięcy do szesnastu lat, była jeszcze w instytucie, dawali w posagu dziewięćdziesiąt tysięcy. Awdotio Ignatiewno, czy przypomina pani sobie, jak to przed piętnastu laty, gdy byłem zaledwie czternastoletnim chłopięciem, demoralizowała mnie pani?

— Ach, to ty, łajdaku? No, dobrze, że choć ciebie Bóg tu zesłał, bo tu...

— Niesłusznie posądzała pani swego sąsiada o brzydki zapach... A ja milczałem, krztusząc się ze śmiechu. Bo przecież to ode mnie zanosì, to mnie pogrzebano w zabitej na głucho trumnie.

— Ach, jaki wstrętny! Ale mimo to bardzo się cieszę; pan nie uwierzy, Kliniewicz, pan nie uwierzy, jak bardzo odczuwa się tu brak życia i humoru.

— No tak, no tak, ale mam zamiar wprowadzić tu w życie oryginalny pomysł. Ekscelencjo! — to nie do pana, Pierwojedow, to do tego drugiego ekscelencji, do tajnego radcy Tarasiewiczza! — Niech się pan odezwie! Tu Kliniewicz, który eskortował pana do *mademoiselle* Fourier, słyszy pan?

— Słyszę pana, Kliniewicz, bardzo się cieszę i proszę mi wierzyć...

— Za grosz panu nie wierzę, ale gwizdzę sobie na to. Ja pana, miły staruszk, chciałbym po prostu wycalować, tylko dzięki Bogu nie mogę. Czy wiecie, moi państwo, co ten *grand-père* zdziałał? Umarł przed trzema czy też przed czterema dniami i proszę sobie wyobrazić, że się nie wyliczył z czterystu tysięcy rubli pieniędzy państwowych. Kwota ta była przeznaczona dla wdów i sierot, tylko że nie wiadomo czemu od ośmiu lat nie było u niego komisji rewizyjnej. Wyobrażam sobie, jak im tam teraz zrzędył miny i jak oni go tam wspominają. Czyż to nie rozkoszne? W ciągu całego ostatniego roku nadziwić się nie mogłem, skąd taki siedemdziesięcioletni starowina, podagryczny i chiragryczny, bierze siły na rozpustę! Ale teraz zrozumiałem! To te wdowy i sieroty! już sama myśl o nich powinna była doprowadzić go do obłędu!... Dawno już o tym wiedziałem, i to tylko ja jeden, Charpentier mnie mówiła, a gdy się o tym dowiedziałem, to choć było święto, pobiegłem do niego i powiedziałem po przyjacielsku: „Bul w tej chwili dwadzieścia pięć tysięcy, bo jeśli nie, jutro będzie sz

miął komisję rewizyjną”. Ale proszę sobie wyobrazić, okazało się, że miał zaledwie trzynaście tysięcy. Więc zdaje mi się, że w sam czas umarł. *Grand-père, grand-père*, czy słyszy mnie pan?

— *Cher Kliniewicz*, całkowicie zgadzam się z panem, ale niepotrzebnie... bawił się pan w taką drobiazgowość. W życiu jest tyle cierpienia, tyle męczarni, a tak mało przyjemności... Zapraǳiałem wreszcie ukojenia, a jak widzę, będzie można i tutaj...

— Gotów jestem się założyć, że on już tu wywęszył *Katisch Bieriestową!*

— Kogo?... Co za *Katisch*? — głos staruszka drgnął namiętnie.

— Aha!... Co za *Katisch*? A oto ta tu na lewo, w odległości pięciu kroków ode mnie, od pana zaś w odległości dziesięciu. Ona już tu jest od pięciu dni i gdyby pan wiedział, *grand-père*, co to za szelmutka... Z dobrego domu, dobrze wychowana, klasztor, można powiedzieć, nie dom, klasztor... Ja tam nikomu jej nie pokazywałem, tylko ja jeden ją znałem... *Katisch*, odezwij się!

— Hi—hi—hi—hi!... — rozległ się w odpowiedzi drżący śmiech dziewczyny; wyczuwało się w nim jakąś ostrą nutkę. Hi—hi—hi—hi!...

— I... chyba blon-dy-necz-ka? — urywanym głosem wybąkał *grand-père*.

— Hi—hi—hi—hi!...

— Ja... ja już od dawna — bełkotał, ciężko dysząc staruszek — marzyłem o blondynecze... piętnastoletniej... i właśnie w takich warunkach...

— Ach, potwór! — wykrzyknęła *Awdotia Ignatiewna*.

— No, dość już tego! — powiedział *Kliniewicz*. — Widzę, że warunki tu są wspaniałe. Urządźmy się tu niezwłocznie, i to zupełnie dobrze. Najważniejszą rzeczą będzie to, by resztę czasu spędzić wesoło, ale jakiego czasu? Hej, panie urzędniku, jak się pan nazywa, *Lebieziatnikow*, zdaje się? Słyszałem, że tak pana nazywano!

— *Lebieziatnikow*, radca dworu, *Siemion Jewsiejewicz*, do usług, jest mi bardzo, ale to bardzo przyjemnie...

— Gwiǳdź sobie na to, że jest panu bardzo przyjemnie, ale zdaje mi się, iż jest pan o wszystkim dobrze poinformowany. Po pierwsze — proszę mi powiedzieć (od wczoraj nie mogę się temu nadziwić) jak to się dzieje, że my tu ze sobą gawędzimy? Przecież umarliśmy, a tymczasem rozmawiamy, a nawet jak byśmy się poruszali; ale ani nie rozmawiamy, ani się poruszamy. Co to za heca?

— Gdyby pan sobie tego życzył, panie baronie, to *Płaton Nikołajewicz* wytłumaczyłby to panu lepiej niż ja.

— Co za *Płaton Nikołajewicz*? Niech pan nie gǳdzi, lecz mówi rzeczowo.

— *Płaton Nikołajewicz* to nasz miejscowy domorośły filozof i przyrodnik, tytuł magistra posiada. Nawet kilka książek filozoficznych wydał, ale od trzech miesięcy śpi bardzo mocnym snem, tak że w żaden sposób nie możemy go się dobudzić. Raz na tydzień wymruczy kilka słów bez żadnego związku.

— Do rzeczy, do rzeczy!...

— Wyjaśnia to w bardzo prosty sposób, a mianowicie tłumaczy to tym, że na górze, kiedyśmy jeszcze żyli, to tam tak zwaną śmierć błędnie uważaliśmy za śmierć, tutaj zaś ciała nasze jak by jeszcze raz ożywały, resztki życia jak by się kumulowały, lecz tylko w naszej świadomości. Nie potrafię tego panu wyraźniej wytłumaczyć, ale jest to coś w tym sensie, jak by życie toczyło się dalej siłą inercji. Wszystko, jego zdaniem, jest skoncentrowane w jakiejś tam świadomości i trwa ze dwa, ze trzy miesiące... niekiedy nawet pół roku... Jest tu na przykład pewien jegomość, który już uległ całkowitemu rozkładowi, lecz mimo to raz na sześć tygodni nagle bąknie jedno słowo, oczywiście bez żadnego sensu, o jakimś tam boboku: „Bobok, bobok”, mruczy. A więc i w nim życie jeszcze się tli niedostrzegalną iskierką...

— Głupia historia. No, a jak to się dzieje, że nie mając powonienia czują zapach?

— To... he-he!... Nasz filozof w tym wypadku wykręcił się sianem. To właśnie on po-

wiedział, że czuć tu pewien zapaszek, że tak powiem, zapaszek moralny, he-he!... Jest to niby zapaszek duszy, ale po dwóch, trzech miesiącach można się do niego przyzwyczaić... Jest to, że tak powiem, ostatnia łaska... Tylko mam wrażenie, panie baronie, że wszystko to już bredzenie mistyczne, które jednak ze względu na jego stan winno mu być darowane...

— Dość już tego! W dalszym ciągu jestem przeświadczony, że to bzdura. Najważniejsze to to, że zostało nam jeszcze dwa, trzy miesiące życia; w końcu pozostanie tylko bobok. Proponuję więc wszystkim tu obecnym, abyśmy te dwa miesiące spędzili, jak można najprzyjemniej. Powinniśmy przyjąć zupełnie inne zasady. Proszę państwa, proponuję, abyśmy się niczym nie krępowali!

— Ach, tak, tak, niczym się nie krępujemy! — rozległy się liczne głosy, a nawet, co było dziwne i nieoczekiwane, odezwały się zupełnie nowe głosy, co oznaczało, że w tym czasie obudzili się i inni nieboszczycy. Ze szczególną gotowością wypowiedział swą zgodę otrzewwiony już zupełnie inżynier. Panna Katisch radośnie zachichotała.

— Ach, jakżeż ja pragnę niczym się nie krępować! — z zachwytem wykrzyknęła Awdotia Ignatiwna.

— Słyszycie państwo? Skoro i Awdotia Ignatiwna pragnie niczym się nie krępować...

— Nie, nie, nie, Kliniewicz, ja dotąd się krępowalam, mimo wszystko się krępowalam, ale tu bardzo, ale to bardzo chcę niczym się nie krępować!

— Rozumiem, panie Kliniewicz — zahuczał basem inżynier — że pan proponuje urządzić tutejsze, że tak powiem, życie na nowych i mądrych zasadach.

— Ależ ja gwizdzę sobie na wszystko! Z tym zaczekamy na Kudiejarowa, którego przyniesiono tu wczoraj. Gdy się obudzi, wszystko to państwu wyjaśni. To taka osobistość, taka wielka osobistość! Jutro, zdaje mi się, przydźwigają tu jeszcze jednego przyrodnika, pewnego oficera i o ile się nie mylę, za trzy, cztery dni przyniosą tu pewnego felietonistę wraz z redaktorem. Zresztą pal ich diabli, ale zbierze się tu nas spora grupka i wszystko dobrze się ułoży. Lecz przede wszystkim chciałbym, by nikt nie kłamał. Pragnę tego, bo jest to rzecz najważniejsza. Tam, na górze, nie kłamać jest rzeczą niemożliwą, gdyż życie i kłamstwo stanowią synonimy, ale tutaj, dla zabawy, nie będziemy stosowali kłamstwa. Do diabła, przecież mogła coś wreszcie znaczyć. Głośno będziemy opowiadali o wszystkich naszych sprawkach bez żadnego skrępowania. Najpierw opowiem o sobie. Wiecie państwo, że należę do ludzi bardzo zmysłowych. Ale tam, na górze, wszystko to było skrępowane przegniłymi sznurami. Precz ze sznurami! Te dwa miesiące spędzimy na mówieniu sobie zupełnej, bezwstydnej prawdy! Obnażymy się całkowicie!

— Obnażymy się, obnażymy się! — odpowiedziały wszystkie głosy.

— Namiętnie pragnę obnażyć się! — piszczała Awdotia Ignatiwna.

— Ach... ach... ach... widzę, że będzie tu wesoło!... Nie chcę iść do Ecka!

— Och, tak bym sobie pożył, wiecie państwo, tak bym sobie pożył!...

— Hi-hi-hi-hi!... — chichotała Katisch.

— Najważniejsze jest to, że nikt nam nie może tego zabronić, i choć Pierwojedow, jak widzę, się złości, to jednak nie dosięgnie mnie swą ręką. *Grand-père*, czy zgadza się pan?

— Całkowicie, całkowicie się zgadzam i z największą przyjemnością, ale pod warunkiem, że Katisch pierwsza opowie nam swą bi-o-gra-fię...

— Protestuję!... Protestuję jak najuroczyściej — stanowczym głosem powiedział generał Pierwojedow.

— Wasza ekscelencjo! — z niezwykłym podnieceniem, ściszywszy głos, paplał gałgan Lebieziatnikow, chcąc przekonać generała. — Wasza ekscelencjo, przecież to dla nas nawet lepiej, jeżeli wyrazimy zgodę. Tu ta panienka... wie pan... wreszcie te najprzeróżniejsze sztuczki...

— Dajmy na to, że panienka, ale...

— Lepiej, wasza ekscelencjo, dalibóg lepiej! No, niech to posłuży jako przykładzik...

No, przynajmniej spróbujmy...

— Nawet w mogile nie pozwolą się uspokoić!

— Po pierwsze pan, panie generale, gra w mogile w preferansa, po drugie zaś — g w i-
z d z e m y sobie na pana! — wyskandował Kliniewicz.

— Szanowny panie, prosiłbym, aby pan się nie zapominał.

— Co? Przecież pan mnie nie dosięgnie, a z tej odległości mogę drażnić się z panem jak z bolończykiem Julki. A poza proszę państwa, jaki on tu generał? Tam był generałem, ale tutaj to tylko psyk!...

— Żaden psyk... ja i tu...

— Tu zgnije pan w trumnie i zostanie po panu tylko sześć mosiężnych guzików.

— Brawo, Kliniewicz, cha-cha-cha!... — ryknęły różne głosy.

— Służyłem memu monarsze... posiadam szpadę...

— Szpada pańską może pan kłuć tylko myszy; poza tym pan nigdy nie wydobywał jej z
pochwy.

— To obojętne; stanowiłem cząstkę całości.

— Są różne cząstki całości.

— Brawo, Kliniewicz, brawo, cha-cha-cha!...

— Nie rozumiem, co to jest szpada — oświadczył inżynier.

— My przed Prusakami rozpierzchniemy się jak myszy, bo przetrzepią nas tak, że puch
będzie się sypał! — zawołał z daleka jakiś nie znany mi głos, który dosłownie zachłystywał
się z zachwytu.

— Szpada, łaskawy panie, stanowi o honorze! — krzyknął generał. Ale tylko ja go
usłyszałem, gdyż w tej chwili podniósł się tak niesamowity harmider, że słysząc było tylko
histeryczne popiskiwanie Awdotii Ignatiewny.

— No, prędzejżeż, prędzej! Ach, kiedyż nareszcie zupełnie przestaniemy się krępować?

— O-ho-ho-ho! Zaprawdę dusza chodzi po pokucie... — rozległ się głos sklepikarza —
i...

W tej właśnie chwili kichnąłem. Stało się to zupełnie niespodziewanie; wcale nie mia-
łem zamiaru kichnąć. Lecz efekt tego był zdumiewający: wszyscy na raz umilkli, jak milkną
tylko na cmentarzu, i wszystko znikło jak sen. Zaległa prawdziwa grobowa cisza. Nie przypu-
szczam, by krępowali się mnie, przecież postanowili niczym się nie krępować! Począłem
pięć minut, ale ani słówka, żadnego odgłosu. Trudno też przypuszczać, by się przestraszyli
donosu do policji: co mogłaby tu zdziałać policja? Doszedłem w końcu do wniosku, że posia-
dali oni jakąś tajemnicę nie znaną śmiertelnikowi, którą skrupulatnie przed nim ukrywali.

„No, moi mili, pomyślałem sobie, ja jeszcze was odwiedzę”, i z tą myślą opuściłem
cmentarz.

*

Nie, nie mogę się na to zgodzić; nie, naprawdę nie! Bobok wcale mnie nie obchodzi
(właśnie okazało się, że był to naprawdę bobok!).

Rozpusta w takim miejscu, i to rozpusta do ostatnich granic, rozpusta zwiędłych, roz-
kładających się ciał, które nie dbają o ostatnie chwile świadomości! A przecież chwile te są
im darowane i... Ale najważniejsze to to, że w takim miejscu!... Nie, nie mogę na to pozwo-
lić...

Odwiedzę inne kwatery i wszędzie posłucham. Otóż to, że wszędzie należy posłuchać, a
nie tylko w jednym miejscu, by wyrobić sobie właściwe pojęcie. A nuż natknę się i na rzeczy
pocieszające.

Ale do tych z całą pewnością jeszcze wrócę. Obiecali opowiedzieć swe biografie oraz
różne kawały. Tfu! Ale pójdę, z całą pewnością pójdę — to już jest sprawa honoru!

A to zaniosę do „Grażdanina”, tam również wystawiono portret pewnego redaktora. A

nuż wydrukuje?!

Przełożył Kazimierz Truchanowski

JOSEPH CONRAD

Podobnie jak inni wielcy pisarze, Joseph Conrad (Teodor Józef Konrad Korzeniowski. 1857—1924), angielski klasyk, Polak z urodzenia, wykazywał niekiedy skłonność do tematyki grozy. Pisał utwory marynistyczne, czasem sięgał do historii (np. Korsarz). Spośród opowieści „niepokojących” (jeden ze zbiorów Conrada nosi taki tytuł) zaczerpnięto poniższe opowiadanie o okrutnej pułapce.

GOSPODA „POD DWIEMA WIEDŹMAMI”

(znaleziony rękopis)

Powiastkę tę, epizod czy zdarzenie — nazwijcie ją, jak chcecie — opowiedział w pięćdziesiątych latach zeszłego stulecia człowiek, który wedle własnych swych zeznań miał wówczas sześćdziesiąt lat. Sześćdziesiątka to ładny wiek, szczególnie z odległej perspektywy; wówczas wywołuje w większości ludzi bardzo różnorodne uczucia. Jest to wiek spokojny, a wspomnienie, jak dzielnymi byliśmy ongi ludźmi, podnieca nas, choć nie bierzemy już udziału w zapasach. Zauważyłem, że z uprzejmej łaski Opatrzności większość ludzi około sześćdziesiątki zaczyna widzieć siebie w romantycznych barwach. Nawet wady ich nabierają uroku swoistej mocy. Nadzieje są miłymi towarzyszami życia, zgadzam się nawet, że są czarowne, lecz są nagie, aby lżej im było biec naprzód. Strój pełen przepychu jest na szczęście własnością niezmienną przeszłości, która skostniałaby bez niego wśród okrywających ją cieni.

Przypuszczam, że to ten romantyzm, właściwy późnemu wiekowi, skłonił naszego sześćdziesięcioletniego pana do opisanego zdarzenia, gwoli własnemu zadowoleniu lub dla podziwu potomności. Nie uczynił tego dla swej chwały, gdyż opowiada, jakiego doznał okropnego strachu, trwogi, jak sam się wyraża. Zapewne domyśliliście się już, że opowiadanie, o którym wspominałem w pierwszych wierszach, było zachowane w rękopisie.

Był to ów „znaleziony rękopis”, wymieniony w podtytule. Sam tytuł jest przeze mnie zaprojektowany (nie mogę powiedzieć: wymyślony), główną jego zasługą jest trafność. Będziemy mieli do czynienia z gospodą. Co do czarownic, jest to tylko konwencjonalne wyrażenie i musimy wierzyć na słowo naszemu autorowi, że w tym wypadku odpowiadało ono rzeczywistości.

Rękopis ten znalazłem w skrzyni z książkami, kupionej w Londynie, na ulicy dziś już nie istniejącej, od handlarza książek bliskiego ostatecznej ruiny. Książki przechodziły z rąk do rąk i należały już przynajmniej do dwudziestu właścicieli; po przejrzaniu ich przekonałem się, że nie były warte nawet tej niewielkiej sumy, jaką za nie zapłaciłem. Przeczynałem to widać, mówiąc do handlarza: „Musi mi pan dodać skrzynkę”. Podupadły księgarz zgodził się z obojętnym i tragicznym gestem człowieka skazanego na zagładę.

Pokład luźnych kartek na dnie skrzynki podniecił nieco moją ciekawość. Rękopis pisany ściśle, wyraźnie i równo na pierwszy rzut oka nie zaciekawiał. Lecz w jednym miejscu zwrócił moją uwagę szczegół, że A. D. * 1813 piszący te słowa miał lat dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwa lata są wiekiem interesującym, w którym człowiek podlega zarówno lekkomyślnym fantazjom, jak i strachowi, gdyż rozważa jest słabo rozwinięta, a za to siła wyobraźni wielka.

* A. D. od *Anno Domini* (łac.) — Roku Pańskiego.

W innym miejscu moją rozproszoną uwagę zwróciło zdanie: „Wieczorem dobiliśmy do brzegu...”, gdyż było to zdanie zaczerpnięte z żeglarskiej mowy. „Trzeba zobaczyć, co to być może”, pomyślałem bez szczególnego zainteresowania.

Och! jakież to był nudny rękopis! Pismo każdego wiersza, równe i ściśle, było zupełnie podobne do następnego. Przypominało szmer monotonnego głosu. Traktat o rafinowaniu cukru (najnudniejszy temat, jaki mogę sobie wyobrazić) byłby chyba bardziej zajmujący.

„A. D. 1813 miałem dwadzieścia dwa lata”, zaczyna poważnie i ciągnie dalej z przerażającym spokojem. Proszę jednak sobie nie wyobrażać, że ten rękopis był przestarzały. Diabelska pomysłowość wynalazków, stara jak świat, nie jest bynajmniej sztuką zagubioną. Spójrzcie na telefony, niweczące tę odrobinę spokoju, który jest nam dany na ziemi, lub na karabiny maszynowe, wyprawiające nas pośpiesznie na tamten świat. W terażniejszych czasach byle stara wiedźma o kaprawych oczach, jeśli tylko jest dość silna, aby kręcić małą korbą, może w mgnieniu oka uśmiercić setkę dwudziestoletnich młodzieńców.

Czyż to nie postęp?... I to ogromny! Posunęliśmy się naprzód, musimy więc być przygotowani, że spotkamy się w tym opowiadaniu z pewną naiwnością pomysłu i prostotą intencji, właściwych owej zamierzchłej epoce. Naturalnie w obecnych czasach automobilista nie może się spodziewać, że znajdzie gdzie na świecie taką gospodę. Ta, o której mowa w tytule, znajdowała się w Hiszpanii. Wywnioskowałem to z treści opowiadania. Brakowało zresztą znacznej liczby kartek, co zapewne nie jest wielkim nieszczęściem. Zdaje się, że opowiadający wchodzi w najdokładniejsze szczegóły, dlaczego i po co znalazł się na tym wybrzeżu — prawdopodobnie było to północne wybrzeże Hiszpanii. Przygoda jego jednak nie miała żadnego związku z morzem. O ile mogłem wywnioskować, był on oficerem na korwecie. Nic w tym dziwnego. Przez cały przeciąg długotrwałej kampanii hiszpańskiej dość znaczna ilość naszych mniejszych statków wojennych krążyła wzdłuż północnych wybrzeży Hiszpanii; łatwo można sobie wyobrazić, jakie to było niebezpieczne i nieprzyjemne stanowisko.

Zdaje się, że statek owego oficera miał powierzone jakieś specjalne zadanie. Można się było spodziewać po naszym autorze, że wyjaśni nam starannie wszelkie okoliczności, ale jak już wspomniałem, brakowało kilku kartek, i to z dobrego, twardego papieru; zostały zapewne zużyte przez lekceważącą potomność do zawiązania słoików z konfiturami lub na przybitki do strzelb. Lecz mimo to można wywnioskować, że część zadania korwety stanowiła komunikacja z wybrzeżem, a nawet wysyłanie gońców w głąb lądu dla otrzymania wiadomości lub przesyłania rozkazów i rad patriotom hiszpańskim, guerrillerosom * lub tajnym juntom prowincjonalnym. W każdym razie było to coś w tym rodzaju, o ile można sądzić z zachowanych strzępków tego szczegółowego opowiadania.

Tu następuje panegiryk jakiegoś znakomitego marynarza należącego do załogi statku na stanowisku retmana. Znany był na okręcie jako Tom Kubańczyk, bynajmniej nie dlatego, że pochodził z wyspy Kuby; był typowym angielskim marynarzem owych czasów i od lat służył na statku wojennym. Zyskał to przezwisko z powodu nadzwyczajnych przygód, jakich doświadczył w młodości na tej wyspie; przygody te stanowiły ulubiony temat opowiadań, które zwykł był snuć wieczorami swym towarzyszom zgromadzonym na forkasztelu statku. Odznaczał się inteligencją, wielką siłą i wypróbowaną odwagą. Nasz autor jest niezmiernie dokładny; przy sposobności zaznacza, iż Tom miał najdłuższy i najgrubszy harcap w całej marynarce angielskiej. Ta ozdoba, o którą dbał wielce i którą chował starannie w pokrowcu ze skóry świnki morskiej, zwisała do połowy jego szerokich pleców, budząc podziw wszystkich i zazdrość niektórych.

Nasz młody oficer rozwodzi się nad męskimi zaletami Toma z uczuciem zbliżonym do czułości. Tego rodzaju stosunek między oficerem a żołnierzem nie należał do rzadkości. Młodzieniec wstępujący na służbę oddawany był pod opiekę zaufanego marynarza. Nierzadko też powstawało między nimi coś w rodzaju przyjaźni. Nasz oficer po paru latach rozstania

* Guerrillero (hiszp.) — partyzant.

spotkał na korwecie tego marynarza. Jest coś wzruszającego w szczerym zadowoleniu, z jakim wspomina to spotkanie z człowiekiem, który był jego mentorem w latach chłopięcych.

Dowiadujemy się dalej, że gdy nie znaleziono odpowiedniego Hiszpana, ten zacny marynarz, obdarzony niezrównanym harcapem i szcзыtnym charakterem, pełen odwagi i stateczności, został wybrany dla wypełnienia jednej z tych misji w głębi ładu, o których poprzednio była mowa. Przygotowania jego nie trwały długo. Ciemnym rankiem jesiennym korweta zbliżyła się do płytkiej zatoki, jedynego miejsca, gdzie można było wylądować na tym skalistym wybrzeżu. Spuszczono łądź, w której na przodzie usadowił się Tom Corbin (Tom Kubańczyk), a nasz młodzieniec, noszący za życia nazwisko Edwina Byrne'a, siadł na rufie.

Na wybrzeżu kilku ludzi patrzyło na zbliżającą się łądź; byli to mieszkańcy wioski, której szare, kamienne domy widniały o jakie sto jardów w głębokim wąwozie. Dwaj Anglicy wyskoczyli na brzeg. Wieśniacy tak byli ospali czy też zdziwieni, że nie pozdrowili ich nawet, lecz cofnęli się w milczeniu o parę kroków. Byrne postanowił poczekać, aż Tom wyruszy szczęśliwie w podróż. Spojrzał wokoło na oglupione ze zdziwienia twarze.

— Niewiele się od nich dowiemy — rzekł — chodźmy do wsi. Tam pewnie będzie winiarnia, gdzie znajdziemy może kogoś bardziej wymownego i zdołamy zasięgnąć pewnych informacji.

— Tak, tak, panie! — mówił Tom, idąc w ślad za swym oficerem — na pewno nie zawadzi pogadać trochę o tej drodze; przecież przeszedłem Kubę w najszerszym miejscu z pomocą tylko swego języka, choć umiałem po hiszpańsku znacznie gorzej niż teraz. Gdy mnie fregata «Blanche» pozostawiła na wybrzeżu, umiałem, jak powiadają, „cztery słowa i nic więcej”.

Lekceważył sobie podróż, jaka go czekała; był to przecież tylko jeden dzień drogi w górach. Wprawdzie trzeba było podróżować cały dzień, aby dojść do tej górskiej ścieżyny, ale to drobnostka dla człowieka, który przebył całą wyspę Kubę na swych własnych dwóch nogach, znając tylko cztery słowa w miejscowym języku.

Oficer i żołnierz szli teraz po grubym pokładzie suchych liści, które tutejsi chłopci gromadzą na ulicach wiosek, aby podczas zimy przegniły na nawóz. Odwróciwszy głowę Byrne zauważył, że cała męska ludność wioski szła za nimi bez szelestu po elastycznym dywanie. Kobiety przyglądały się im, stojąc na progach domów; dzieci pochowały się widocznie. Mieszkańcy wioski widywali z daleka okręty, ale żaden obcy okręt nie wylądował w tym miejscu od lat stu, a może i więcej. Stosowany kapelusz Byrne'a, sumiaste wąsy i ogromny harcap marynarza przejmowały ich niemym podziwem. Tłoczyli się za dwoma Anglikami jak owi mieszkańcy wysp odkrytych przez kapitana Cooka na Południowym Oceanie.

Wówczas Byrne po raz pierwszy zauważył małego człowieka, owiniętego w płaszcz, w żółtym kapeluszu na głowie. To nakrycie głowy, choć zniszczone i przybrudzone, zwracało na niego uwagę.

Wejście do winiarni przypominało dziurę wybitą w kamiennym murze. Właściciel jej był jedynym w całej wsi, który nie wyszedł na ulicę, lecz wyłonił się z ciemnej głębi, gdzie niewyraźnie majaczyły wiszące na gwoździach pękate kształty skór wypełnionych winem. Był to wysoki, jednooki Asturyjczyk, o mizernych, zapadłych policzkach; jego pełne powagi obejście odbijało zagadkowo od niespokojnie latającego jedynego oka. Gdy się dowiedział, że chodzi o wskazanie angielskiemu marynarzowi drogi w górach do niejakiego Gonzalesa, przymknął na chwilę zdrowe oko, jak gdyby się namyślał. Potem otworzył je z żywością i rzekł:

— Można, można. To się da zrobić.

Na dźwięk imienia Gonzalesa, miejscowego przywódcy powstania przeciw Francuzom, przyjazny pomruk rozległ się wśród zgromadzonych koło drzwi. Rozpytując się, czy droga jest bezpieczna, Byrne z radością dowiedział się, że już od kilku miesięcy francuscy żołnierze nie ukazywali się w tych okolicach; nie spotykało się teraz nawet najmniejszego oddziału tych

bezbożnych *polizontes* *. Właściciel winiarni, dając te objaśnienia, zakrzętała się, aby nalać wina do glinianego dzbanka. Postawił go przed heretyckim Anglikiem i zgarnął z niedbałością pełną powagi drobną monetę rzuconą na stół przez oficera w uznaniu obyczajowego prawa, że kto wchodzi do winiarni, ten musi kupić wina. Jedyne jego oko było w bezustannym ruchu, jak gdyby miało zastąpić oba, lecz gdy Byrne zaczął się rozpytywać, czy można wynająć muła, oko to zatrzymało się nieruchomo na drzwiach, obłożonych przez ciekawych. W pierwszym ich rzędzie, na samym progu stał człowiek w szerokim płaszczu i żółtym kapeluszu. Była to maleńka osoba, istny *homunculus* **. Byrne opisuje go stojącego w śmiesznie tajemniczej pozie, z płaszczem zakrywającym usta i brodę, zarzuconym zawadiacko na lewe ramię; żółty kapelusz o szerokich skrzydłach zwisał z boku jego kanciastej, małej główki. Stał, zażywając często tabaki.

— Muła? — powtórzył gospodarz nie odrywając wzroku od tej dziwacznej, zatabaczonej figurki... — Nie, *señor* oficerze! Nie znajdzie się muła w tej biednej wioszczynie.

Retman, który przysłuchiwał się rozmowie ze zwykłą u marynarzy obojętnością na nowe otoczenie, przerwał ze spokojem:

— Niech wasza miłość mi wierzy: na taką wyprawę najlepiej wyruszyć wierzchem na podszwach. Musiałbym i tak gdzieś tego muła po drodze zostawić, gdyż kapitan mówił mi, że większość drogi stanowią ścieżki, dostępne tylko dla kóz.

Maleńki człowieczek zrobił krok naprzód i rzekł poprzez fałdy płaszcza, który zdawał się ukrywać szydercze jego zamysły:

— Tak jest, *señor*. Zbyt są uczciwi w tej wiosce, aby mieć na pańskie usługi choćby jednego muła. Mogę to zaświadczyć. W tych czasach muła lub inne czworonogie zwierzę i wszystko, co do ich utrzymania potrzebne, posiadać mogą tylko albo łajdacy, albo też bardzo mądrzy ludzie. Lecz temu dzielnemu marynarzowi przyda się przewodnik, którego wynajdzie wam mój szwagier, ten oto Bernardino, karczmarz i alkad najpobożniejszej i najgościnniejszej z wiosek.

I tak też wypadło zrobić, jak pisze w swym opowiadaniu Byrne. Pogadawszy jeszcze trochę, przyprowadzono wreszcie chłopaka w podartym płaszczu i w spodniach z kozłej skóry. Angielski oficer poczęstował całą wieś i podczas gdy wieśniacy pili, wyruszył w drogę z Tomem Kubańczykiem; towarzyszył im przewodnik. Maleńki człowieczek w płaszczu zniknął.

Byrne odprowadził marynarza do końca wioski. Pragnął zobaczyć, jak wyruszał szczęśliwie w drogę, i byłby poszedł z nim jeszcze dalej, lecz marynarz radził mu wracać, aby ani chwili dłużej nie zatrzymywać statku bez koniecznej potrzeby w pobliżu wybrzeża w taki niezachęcający poranek. Gdy się rozstawali, dzikie i pochmurne niebo zwisało nad ich głowami, a kamieniste pola i krzewy stanowiły ponure tło ich pożegnania.

— Za cztery dni — takie były ostatnie słowa Byrne'a — okręt przyplynie i jeśli tylko pogoda pozwoli, łódź przybije do brzegu. Jeżeli nie będzie to możliwe, musisz sobie radzić na lądzie, jak będziesz mógł, dopóki po ciebie nie przyplniemy.

— Dobrze. Niech tak będzie — odparł Tom i ruszył w drogę.

Byrne widział go, wchodzącego na wąską ścieżynkę.

W ciepłym kaftanie, z parą pistoletów za pasem, z kordelasem u boku i z grubym kijem w rękę wyglądał na dzielnego człowieka, umiającego dać sobie radę w niebezpieczeństwie. Odwrócił się na chwilę, aby przesłać ręką pożegnanie, i Byrne raz jeszcze dojrzał krzaczaste jego wąsy i zaczął twarz, opaloną na brązowo. Chłopak w spodniach z kozłej skóry, pnąc się na przedzie, wyglądał, jak Byrne powiada, na fauna lub młodego satyra; zatrzymał się chwilę, czekając na marynarza, i znów w podskokach ruszył dalej. Obaj zniknęli mu z oczu.

Byrne zawrócił. Wioska była ukryta w zagłębieniu terenu, więc miejsce to zdawało się

* Polizontes (hiszp.) — szpicel.

** Homunculus (łac.) — człowieczek.

największą pustką na świecie, miejscem przeklętym, smutnym i jałowym. Uszedł zaledwie parę jardów, gdy nagle zza krzaka ukazała się maleńka postać Hiszpana w płaszczu.

Byrne zatrzymał się mimo woli.

Tamten uczynił tajemniczy ruch rączką wyciągniętą spod płaszcza. Kapelusze miał przekrzywiony na bok. — *Señor* — rzekł bez żadnego wstępu — zwracam pańską uwagę na pewien fakt: mój szwagier, jednooki Bernardino, ma w tej chwili w swojej stajni muła. A dlaczego on, który nie zalicza się do mądrych ludzi, posiada muła? Bo jest łajdakiem, człowiekiem bez sumienia. Musiałem mu oddać mojego *macho* *, aby zapewnić sobie dach nad głową i łyżkę *olla* ** dla utrzymania życia w tym marnym ciele. Biję w nim jednak serce znacznie większe niż to, które kołocze się w piersi mego podłego krewniaka; wstydzę się go po prostu; opierałem się temu małżeństwu wszelkimi sposobami. Biedna oszukana jego żona nacierpiała się dosyć. Przeszła męki czyścicowe na tej ziemi — niech Bóg ma jej duszę w swej opiece.

Byrne był tak zdumiony nagłym ukazaniem się maleńkiego człowieczka i szyderczą goryczą jego przemowy, że nie odróżnił w pierwszej chwili faktu pełnego znaczenia od zwykłych spraw rodzinnych, o których, nie wiadomo dlaczego, przypadło mu się dowiedzieć. Był oszołomiony i zarazem zdumiony szybkością i siłą jego wymowy, zupełnie różną od napuszonej gadatliwości Włochów. Milczał zdziwiony, podczas gdy homunculus odrzucił płaszcz i zażył niesłychaną ilość tabaki.

— Posiada muła! — zawołał Byrne, zrozumiałwszy nareszcie rzeczywiste znaczenie tej przemowy. — Powiadasz, że posiada muła? To dziwne. Dlaczego nie chciał mi go wynająć?

Maleńki Hiszpan z godnością zawinął się znów w płaszcz.

— *Quien sabe* *** — rzekł chłodno, wruszając udrapowanymi ramionami. — Jest on wielkim *politico* we wszystkim, co czyni. Lecz jednej rzeczy można być pewnym: tego, że intencje jego są zawsze łajdackie. Mąż mojej zmarłej siostry powinien był już dawno poślubić wdowę o drewnianych nogach ****.

— Rozumiem. Przypomnij sobie jednak, że twoją przysięgą potwierdziłeś jego kłamstwo, nie wiadomo dla jakich przyczyn.

Oczy jego, rozdzielone lisim nosem, błyszczące a stroskane, wpiły się w twarz Byrne'a bez mrugnięcia, gdy mówił ze wzburzeniem, które tak często kryje się na dnie hiszpańskiej dumy:

— *Señor* oficer nie straci ani kropli krwi, gdy mnie zdziesią pod piąte żebro — odparł. — Lecz nie chodzi tu o biednego grzesznika. — I zmieniwszy ton, ciągnął dalej: — Ja, Kastylijczyk i dobry katolik, żyję tu na wygnaniu, zmuszony okolicznościami, pośród tych asturyjskich gburów i zależę od najgorszego z nich wszystkich, który ma mniej sumienia i skrupułów od wilka. Postępuję jednak, jak na człowieka inteligentnego przystało, choć z trudem ukrywam moją pogardę. *Señor* słyszał, w jaki sposób się wyrażałem. Taki *caballero* odgadł naturalnie od razu, że coś się w tym kryje podejrzanego.

— Coś podejrzanego? — zapytał Byrne niespokojnie. — Nie, panie, nic nie odgadłem. My, Anglicy, nie jesteśmy w takich sprawach domyślni i dlatego zapytuję pana wprost, czy karczmarz co do innych rzeczy mówił prawdę?

— Francuzów na pewno nie ma w okolicy — odparł maleńki człowiek, powracając do swojej zwykłej obojętności.

— Ale może są rozbójnicy — *ladrones*?

— *Ladrones en grande* ***** — nie! z pewnością ich nie ma — brzmiała odpowiedź,

* *Macho* (hiszp.) — muł.

** *Olla* (hiszp.) — zupa.

*** *Quien sabe* (hiszp.) — kto wie.

**** Szubienica jest wdową po ostatnim powieszonym zbrodniarzu i oczekuje na następnego.

***** *Ladrones en grande* (hiszp.) — rozbójnicy „na całego”.

wypowiedziana zimnym filozoficznym tonem. — Co oni by tu robili po przyjsciu Francuzów? Przecież teraz tu nikt nie podróżuje. Lecz któż może zaręczyć! Złodzieja stwarza sposobność. Marynarz dzielnie wyglądał, a z synem kota myszy nie lubią się zadawać, lecz jest też przysłowie, że gdzie jest miód, tam wkrótce zjawia się i muchy.

Ta wieszczka przemowa doprowadziła Byrne'a do rozpaczy.

— Na miłość boską — zawołał — powiedzcie mi, człowieku, czy mojemu retmanowi grozi coś w tej podróży?

Homunculus, jak zwykle szybko zmieniając swe postępowanie, schwycił oficera za ramię. Siła tej małej ręki była zdumiewająca.

— *Señor!* Bernardino go zauważył! To wystarczy. Niech pan posłucha: ludzie ginęli na tej drodze, a właściwie w pewnym punkcie tej drogi, gdy Bernardino posiadał *meson*, gospodę, a ja, jego szwagier, miałem do wynajęcia muły i pojazdy. Teraz nie ma ani podróźnych, ani pojazdów. Francuzi mnie zrujnowali. Bernardino po śmierci mojej siostry przeniósł się tutaj z powodów jemu tylko wiadomych. Zameczyli ją na śmierć, on i dwie jego ciotki: Erminia i Lucilla — wszyscy troje to rodzeństwo diabła. Teraz zabrał mi ostatniego muła. Jesteś, panie, uzbrojony. Przyłożywszy mu pistolet do głowy, zażądaj od niego muła — zaręczam panu, że nie jest jego, i podążaj za marynarzem, którego życie jest dla ciebie tak cenne. Wówczas obaj będziecie bezpieczni, gdyż w terażniejszych czasach dwaj podróżni razem nie zginą. A co do muła, ja jako jego prawowity właściciel powierzam go pańskiemu honorowi.

Wpili się w siebie oczami, a Byrne omal nie wybuchnął śmiechem z naiwnej i nieskomplikowanej intrygi, jaką maleńki człowiek ułożył sobie dla odzyskania swego muła. Bez trudu jednak zachował poważny wyraz twarzy, gdyż w głębi duszy dziwnie go ciągnęło, aby zastosować się do tej niezwyklej rady. Nie roześmiał się, lecz wargi jego zdrząły; widząc to maleńki Hiszpan oderwał czarne, błyszczące oczy od twarzy Byrne'a i odwróciwszy się nagle od niego, narzucił płaszcz na ramię ruchem wyrażającym jednocześnie pogardę, gorycz i zniechęcenie. Odwrócił się i stał milcząc, w kapeluszu na bakier, zawinięty w płaszcz po same uszy. Ale nie był obrażony do tego stopnia, aby odrzucić srebrnego duro, którego Byrne ofiarował mu z obojętnymi słowami, tak jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło między nimi.

— Muszę śpieszyć na statek — rzekł w końcu Byrne.

— *Vaya usted con Dios* * — mruknął gnom. Rozmowę tę zakończył drwiącym ukłonem, kapeluszem zamiótł ziemię, a potem włożył go na bakier.

Zaledwie wciągnięto łódź i przestawiono żagle, Byrne pośpieszył opowiedzieć całą tę historię kapitanowi, niewiele starszemu od niego. Rozbawieni opowieścią, oburzali się jednak trochę i naśmiawszy się do woli, spojrzeli po sobie poważnie. Hiszpan-karzeł, który usiłuje namówić oficera z marynarki Jego Królewskiej Mości, aby dla niego ukradł muła, zbyt to zabawne, dziwaczne, nieprawdopodobne! Tak się wyrażał kapitan; nie mógł przejść do porządku dziennego nad śmiesznością tego wydarzenia.

— Nieprawdopodobna przygoda. Ot, co! — szepnął Byrne znaczącym tonem.

Zamienili przeciągłe spojrzenia. — To jasne jak słońce — oświadczył zniecierpliwiony kapitan, lecz w głębi serca wcale nie był tego pewien. Tom, który był dla jednego z nich najlepszym marynarzem spośród całej załogi, a dla drugiego przyjacielem lat chłopięcych, zawsze wesołym i pełnym szacunku, Tom nabrał tajemniczego uroku, stał się symbolem wierności i przemawiał do ich uczucia i sumienia tak, że nie mogli oderwać myśli od sprawy jego ocalenia. Nieraz wychodzili na pokład, aby spojrzeć na wybrzeże, jak gdyby mogło im opowiedzieć o losie Toma. Brzeg ten, wydłużając się, ginął w dali, milczący, nagi i dziki, przesłonięty niekiedy ukośnymi strumieniami zimnego deszczu. Zachodnie fale toczyły w nieskończoność białą linię piany, a wielkie, czarne chmury płynęły ponad statkiem w ponurym pochodzie.

* *Vaya usted con Dios* (hiszp.) — niech pan idzie z Bogiem.

— Na Boga, szkoda, żeś nie postąpił według rady małego człowieczka w żółtym kapeluszu — rzekł nad wieczorem kapitan szalupy z wyraźną rozpaczą.

— Czy naprawdę pan tego żałuje? — zapytał Byrne z goryczą kryjącą prawdziwy niepokój. — Ciekaw jestem, co by pan na to powiedział? Zostałbym wyrzucony ze służby za rekwirowanie muła poddanemu państwu sprzymierzonego z Jego Królewską Mością. Lub może za usiłowanie kradzieży zbito by mnie cepami i widłami na kwaśne jabłko — czy chciałby pan, żeby taka przygoda zdarzyła się jednemu z pańskich oficerów? A może sromotnie przepędziliby mnie do łodzi, gdyż nie przypuszcza pan zapewne, abym dla ocalenia parszywego muła strzelał do niewinnych ludzi... A pomimo to — dodał cichym głosem — żałuję prawie, żeś tego nie uczynił.

Zanim się zupełnie ściemniło, dwaj młodzieńcy doprowadzili się do skomplikowanego stanu psychicznego, który był mieszaniną pogardliwego sceptycyzmu i trwożnej ufności. Męczyli się okropnie, a myśl, że mają przed sobą przynajmniej sześć dni takiej niepewności, która może się przedłużyć w nieskończoność, była nie do zniesienia. Dlatego też gdy się ściemniło, skierowano statek ku brzegowi. W ciemną, burzliwą noc dążył do wybrzeża w poszukiwaniu swego zaginionego marynarza, kładąc się chwilami pod silnymi podmuchami wiatru, to znów kołyszając się leniwie na fali i nie posuwając się prawie naprzód, tak jak gdyby i on miał powody wahania się między rozsądkiem a gorącym popędem.

O świcie spuszczone łódź; kołyszając się na morzu, dopłynęła do płytkiej zatoki, gdzie oficer w grubym płaszczu i okrągłym kapeluszu z trudem wylądował, pomagając sobie kawałkiem deski.

„Pragnąłem, pisze Byrne, wylądować w jak największej tajemnicy, kapitan był także za tym. Nie chciałem być widziany ani przez mego rozgoryczonego przyjaciela w żółtym kapeluszu, którego intencje nie były jasne, ani przez jednookiego karczmarza, spokrewnionego być może z diabłem, ani w ogóle przez żadnego mieszkańca tej zapadłej wioski. Niestety, zatoka była na przestrzeni kilku mil jedynym możliwym miejscem do wylądowania. Strone zbrocza wąwozu nie pozwalały ominąć wioski.

Szczęściem, ciągnie dalej, wszyscy jej mieszkańcy jeszcze spali. Świtało zaledwie, gdy szedłem po grubym pokładzie liści przez jedyną ulicę wioski. Żywa dusza nie ukazała się na dworze, pies nawet nie zaszczekał. Cisza panowała głęboka, pomyślałem więc ze zdziwieniem, że nie ma widocznie psów we wsi, gdy usłyszałem ciche warczenie i w wąskim przejściu między dwoma chałupami ukazało się mizerne psisko z podwiniętym ogonem. Przebiegło przede mną, w milczeniu wyszczerzywszy na mnie zęby, i znikło tak niespodziewanie, jak gdyby było wcieleniem Siły Nieczystej. Byłem już tak podniecony, że niesamowite ukazanie się i zniknięcie tego wstrętnego stworzenia przygnębiło mnie do reszty. Miałem przeczucie grożącego nieszczęścia”.

Oddalił się od wybrzeża, jak mu się zdawało, nie zauważony przez nikogo, i pośród jałowej, smutnej wyżyny, pod niebem ciemnym jak popiół, borykał się odważnie z zachodnim wichrem i deszczem. W oddali wyniosłe i samotne skały zdawały się oczekiwać na niego i groząc mu, wznosiły ku górze urwiste i nagie szczyty. Wieczór zastał go w niewielkiej odległości od tych gór, lecz — jak mówią marynarze — na niepewnym stanowisku; w dodatku był głodny, przemoczony i z mordowany. Przez ten czas spotkał tylko parę osób, które nie potrafiły mu dać żadnej wskazówki co do losu Toma Corbina. „Naprzód, naprzód! Muszę iść dalej”, powtarzał sobie w czasie długich godzin samotnego wysiłku, podniecony raczej niepewnością niż jakąś określoną obawą lub nadzieją.

Światło dzienne szybko dogasało, gdy znalazł się przed zerwanym mostem. Zeszedł w dolinę i przeskoczył wąski strumień przy ostatnim blasku dnia odbijającym się w wartkim prądzie. Gdy wydostał się na przeciwny brzeg, zapadająca noc zakryła mu oczy grubą zasłoną. Wycie wiatru, uderzającego w ciemnościach o zbocza skał, brzmiało mu w uszach jak ryk rozwścieczonego morza. Obawiał się, że zabłądził. Nawet we dnie trudno było odróżnić ka-

mienistą drogę, pełną wyboi i kałuż, od ponurej pustki otaczającego ją bagna, usianego kępami obnażonych krzewów. Lecz jak się sam wyrażał, „dążył naprzód, kierując się wiatrem”, z kapeluszem naciśniętym aż po same brwi, z głową opuszczoną, zatrzymując się od czasu do czasu ze zmęczenia raczej umysłowego niż fizycznego — tak jak gdyby nie jego siły, lecz wytrzymałość była przeciążona, bezcelowymi, może, wysiłkami.

W czasie takiego odpoczynku zdawało mu się, że z bardzo daleka wiatr przyniósł słaby odgłos pukania w drzewo. Zauważył jednocześnie, iż wiatr uspokoił się nagle.

Serce zabiło mu żywiej, zaciążyła bowiem nad nim samotna pustka ostatnich kilku godzin; miał wrażenie, że wędrował po bezludnym świecie. Gdy podniósł głowę, promień światła, może złudny, jak to się często zdarza w zupełnych ciemnościach, zamigał mu przed oczami. Wpatrując się przed siebie usłyszał powtórnie ciche pukanie i naraz poczuł raczej niż zobaczył na swej drodze wielką, ciemną masę. Co to takiego? Szczyt pagórka czy też dom? Był to dom, który ukazał się tak blisko, jak gdyby wyrósł spod ziemi lub jak by noc z ciemnej kryjówki wyprawiła naprzeciw niego ten wyniosły, szarawy i milczący budynek. Podeszedł do niego. Jeszcze parę kroków i już mógł dotknąć ręką muru. Była to widocznie *pasada* * i jakiś podróznny starał się dostać do wnętrza. Znowu dało się słyszeć ostrożne pukanie.

Po chwili szeroki promień światła padł z otwartych drzwi w ciemność nocy. Gdy Byrne wszedł w to światło, postać stojąca na zewnątrz odskoczyła ze zduszonym okrzykiem i znikła w ciemnościach. Ktoś w domu krzyknął. Byrne rzucił się na wpół zamknięte drzwi i walczył z silnym oporem z zewnątrz, dostał się jednak do środka.

Marna świeczka, ogarek za ledwie, paliła się na końcu długiego sosnowego stołu. Przy tym świetle Byrne ujrzał dziewczynę, która chwiała się jeszcze, odepchnięta przez niego ode drzwi. Miała czarną spódnicę, pomarańczowy szal i śniadą cerę; ciemna i gęsta jak las czupryna, przytrzymywana grzebieniem, tworzyła czarną chmurę nad jej niskim czołem. W przeciwległym końcu wielkiej izby, gdzie ogień na kominie igrał z ogromnymi cieniami, dwa głosy zawyły przenikliwie: *Misericordia!* ** Dziewczyna, opanowawszy się, westchnęła głęboko przez zaciśnięte zęby.

Zbytecznym jest powtarzanie długiej litanii pytań i odpowiedzi, którymi Byrne uspokoił wylekłe staruszki siedzące po obu stronach komina; przy ogniu stał gliniany garnek.

Widok ten przywiódł mu na myśl dwie wiedźmy przygotowujące truciznę; gdy wszakże jedna z nich, z trudem dźwignawszy skurczoną swą postać, podniosła pokrywę garnka, rozszedł się smakowity zapach. Druga siedziała zgarbiona, bez ruchu, tylko głowa jej trzęsała się bezustannie.

Były przerażające, a zgrzybiałe ich postacie robiły wrażenie karykatur. Bezzębne usta, haczykowate nosy, chudość jednej i obwisłe, żółte policzki drugiej (tej o trzęsącej się głowie) wywoływałyby uśmiech, gdyby nie przerażała straszna ruina fizyczna, a serce nie ścisnęło się na widok niewymownego ciężaru starości i zarazem tej odporności życia, które stawało się wreszcie przedmiotem pogardy i obrzydzenia.

Byrne, aby przezwyciężyć to uczucie, zaczął opowiadać, że jest Anglikiem i poszukuje swego rodaka, który musiał przechodzić tą drogą. Gdy to powiedział, chwila rozstania się z Tomem stanęła mu przed oczami ze zdumiewającą wiernością; ujrzał milczących wieśniaków, zgryźliwego karła, jednookiego karczmarza. Bez wątplenia te dwa straszdyła to właśnie jego ciotki — siostrzyce diabła!

Cokolwiek bądź zdarzyło się dawniej, nie można było sobie wyobrazić, na co by teraz diabłu zdały się na tym świecie takie dwie słabe istoty? Która z nich była Lucilla, a która Erminia? Teraz były to już stwory bezimienne.

Po słowach Byrne'a nastąpiła chwila zastanowienia. Wiedźma z łyżką w ręku przestała nią mieszać w garnku, a druga na mgnienie oka zatrzymała swą trzęsącą głowę. W czasie tej

* Pasada (hiszp.) — gospoda.

** Misericordia! (hiszp.) — litości!

setnej części sekundy Byrne zrozumiał, że depce prawie po piętach Toma.

„Widziały go na pewno”, pomyślał. Nareszcie spotkał kogoś, kto go widział. Był pewien jednak, że się tego wyprą; tymczasem, przeciwnie, skwapliwie odpowiedziały mu, że jadł i nocował w ich domu. Mówiły obie na raz, opisując jego wygląd i zachowanie. Dziwną wydawała się ich zapalczywość wobec poprzednich pozorów słabości. Chuda czarownica potrzasała drewnianą łyżką, a otyła poczwara, podniósłszy się ze stołka, skrzeczała, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy głowa jej drżała w przyspieszonym tempie. Byrne był po prostu zmieszany ich podnieceniem... Tak, tak! Wysoki, dzielny Anglik, zjadłszy kawałek chleba i popiwszy go winem, wyruszył dziś rano dalej. A jeśli *caballero* chce pójść tą samą drogą, nic łatwiejszego, ale dopiero jutro rano.

— Czy wyznajdziecie mi przewodnika? — zapytał Byrne.

— Owszem, *señor*. Damy ci porządnego chłopaka, tego, którego widziałeś wychodzącego stąd.

— Ależ on pukał do drzwi — oświadczył Byrne — chciał tu wejść, tylko na mój widok uciekł.

— Nie, nie — wrzeszczały obie wiedźmy na raz — on stąd wychodził, on stąd wychodził!

Może to i prawda — pomyślał Byrne — odgłos stukania był tak cichy, nikły, może mi się tylko zdawało, że ktoś puka.

Zapytał więc:

— Któż to jest ten człowiek?

— Jej *novio* — zawołały wskazując na dziewczynę. — Poszedł teraz do domu, do wsi bardzo stąd odległej, lecz wróci na rano. To jej narzeczony! Biedna sierota, córka ubogich, pobożnych ludzi. Przygarnęliśmy ją przez litość, w imię Boga.

Sierota, siedząc przy ognisku, patrzyła na Byrne'a; wydawała się raczej córką szatana, przygarniętą przez te dwie czarownice w imię diabła. Oczy jej były trochę skośne, usta pełne, lecz prześlicznie wykrojone, śniada twarz budziła zachwyt swą pięknnością, dziką i zmysłową. Nie spuszczała z niego wzroku, który jak się wyrażał Byrne, przypominał spojrzenie głodnego kota, czatującego na ptaka w klatce lub na mysz w pułapce.

Usługiwała mu przy jedzeniu, z czego był bardzo zadowolony, pomimo że jej ciemne, wielkie, nieco skośne oczy, wpatrujące się w jego twarz, jak by chciały z niej coś ciekawego wyczytać, robiły na nim nieprzyjemne wrażenie. Lecz wołał wszystko, niż żeby te dwie wiedźmy, przerażające jak zmory, usługiwały mu. Obawy jego uspokoiły się nieco, może pod wpływem ciszy i ciepła ogarniającego go po ostrym zimnie i wichurze, z którymi musiał walczyć o każdy cal drogi. Nie wątpił, że Tom śpi bezpiecznie w obozie Gonzalesa.

Byrne wstał i nalał sobie do cynowego kubka wina z worka skórzanego wiszącego na ścianie. Wiedźma z twarzą mumii zaczęła z nim rozmawiać, wspominając dawne dzieje; z dumą opowiadała, jak sławną była gospoda w owych dobrych czasach. Zajeżdżali do niej wielcy panowie we własnych karetach. Raz, dawno już, dawno temu nocował tu arcybiskup.

Wiedźma z obrzękłą twarzą zdawała się przysłuchiwać, siedząc bez ruchu i trzęsąc tylko głową. Dziewczyna, którą Byrne podejrzewał, że jest Cyganką, dopuszczoną z jakiegoś powodu do ich towarzystwa, siedziała przy kominie w świetle żarzących się węgli. Nuciała sobie z cicha piosenkę, uderzając od czasu do czasu kastanietami. Na wspomnienie biskupa parsknęła bezbożnie zduszonym śmiechem, a gdy zwróciła głowę, aby spojrzeć na Byrne'a, w jej czarnych oczach i białych zębach błysnął czerwony odblask ognia. Uśmiechnął się do niej.

Teraz czuł się bezpieczny i odpoczywał. Zjawił się tu niespodziewanie, nikt więc nie uknuł spisku na jego życie. Opanowała go rozkoszna senność; zdawało mu się, że ją zwalcza skutecznie, musiał się jednak zdrzemnąć, gdyż ocknął się nagle na piekielny hałas i tak przeraźliwe piski, jakich w życiu swoim nie słyszał: to stare wiedźmy kłóciły się tak zażarcie; teraz już wymyślały sobie, nie bawiąc się w argumenty, starcze ich krzyki wyrażały tylko złość,

najokropniejszą wściekłość. Cygańskie, czarne źrenice dziewczyny biegały od jednej do drugiej. Nigdy przedtem Byrne nie czuł się tak obcy względem istot ludzkich. Zanim zdążył zrozumieć przyczynę kłótni, dziewczyna zerwała się i uderzyła głośniej w kastaniety. Wiedźmy umilkły, a ona zbliżywszy się, pochyliła się nad stołem i patrząc w oczy Byrne'a, rzekła zdecydowanym tonem:

— Pan przenocuje w pokoju arcybiskupa.

Czarownice nie zaprotestowały; chuda, zgarbiwszy się we dwoje, podparła się na kij, a tłusta — na szczudle.

Byrne wstał, zbliżył się do drzwi i przekręciwszy klucz w ogromnym zamku, z zimną krwią schował go do kieszeni. Było to najwidoczniej jedyne wejście, a Byrne nie chciał być zaskoczony przez jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, które czaiło się może za drzwiami. Gdy się odwrócił, obie wiedźmy, „siostrzyce diabła”, i „szatańska” dziewczyna przyglądały mu się w milczeniu. Był ciekaw, czy też Tom Corbin poprzedniego wieczoru zastosował te same środki ostrożności. Myśląc o nim doznawał znów dziwnego uczucia, że Tom jest w pobliżu. Cisza panowała wokoło, słyszał tylko, jak krew pulsuje mu w uszach, a w tym szumie głos Toma zdawał się powtarzać: „Panie, miej się na baczności!” Zadrżał, złudzenia słuchowe są najbardziej zbliżone do rzeczywistości i z natury swej mają pozory prawdy.

Był prawie pewien, że Tom znajduje się w tym domu. Znów zdradziecki dreszcz przeszył na wylot jego ciało, jak gdyby zimny powiew przeniknął pod ubraniem. Z trudem otrząsnął się z przykrego wrażenia.

Dziewczyna poprowadziła go po schodach, niosąc żelazną lampę, od jej płomienia unosił się w górę cienki słup dymu. Dziewczyna miała na nogach białe pończochy, bardzo dziurawe.

Byrne, z tym samym spokojem, z jakim zamknął na klucz drzwi na dole, otwierał kolejno wszystkie drzwi wychodzące no korytarz. Pokoje były puste, w jednym tylko czy dwóch stało parę jakichś gratów. Dziewczyna zrozumiała, o co chodzi, zatrzymywała się cierpliwie przy każdych drzwiach i oświetlała wnętrze, podnosząc do góry kopcającą lampę, jednocześnie zaś śledziła go z uwagą. Ostatnie drzwi otworzyła sama.

— *Señor* będzie nocował tutaj — zaszeptała głosem cichym jak oddech dziecka i podała mu lampę, którą wziął, mówiąc uprzejmie:

— *Buenas noches* *, *señorita*.

Nie odpowiedziała mu głośno, choć wargi jej poruszyły się z lekka, nie spuszczała jednak z niego ani na chwilę oczu, ciemnych jak bezgwiezdna noc. Wszedł do pokoju i gdy odwrócił się, aby zamknąć drzwi, stała tam jeszcze, zmieszana i bez ruchu. W skośnych jej oczach i zmysłowych ustach czaił się wyraz wyczekującego okrucieństwa; tak patrzy kot, któremu udało się złapać mysz. Zawahał się chwilę i, w ciszy milczącego domu, usłyszał znów głos Toma w szumie krwi gwałtownie pulsującej mu w uszach; tym razem złudzenie to przestraszyło go, gdyż nie mógł zrozumieć, co mu ten poważny głos mówił.

Zatrzasnął drzwi przed nosem dziewczyny, zostawiając ją w ciemnościach i prawie natychmiast otworzył je z powrotem. Nie było już nikogo; zniknęła bez najmniejszego szmeru. Zamknął je szybko i zasunął dwa ciężkie rygle.

Nagle zrodziły się w nim podejrzenia. Czemu stare wiedźmy kłóciły się, czy ma nocować w tym pokoju. Dlaczego dziewczyna wpatrywała się w niego, jak by chciała zapamiętać twarz jego na wieki. Niepokoiło go własne jego zdenerwowanie, miał uczucie, że jest niesłychanie oddalony od całej ludzkości.

Rozejrzał się po pokoju, który nie był bardzo wysoki, dostatecznie jednak, aby się w nim zmieściło łóżko pod ogromnym baldachimem z ciężkimi zasłonami opadającymi aż do samej ziemi; łoże to było zaiste godne arcybiskupa. Stał także w pokoju ciężki, rzeźbiony stół, parę wielkich foteli, wszystko to robiło wrażenie, jak by pochodziło z ograbionego pałacu

* *Buenas noches* (hiszp.) — dobranoc.

grandów; pod ścianą stała wysoka a płytka szafa o podwójnych drzwiach. Pociągnął za nie, lecz były zamknięte. Schwycił lampę, aby je dokładniej obejrzeć, gdyż zbudziły się w nim pewne podejrzenia — okazało się jednak, że to nie jest ukryte wejście. Ciężka, wysoka szafa stała najwyraźniej o jakiś cal od ściany. Spojrzał na zasuwy przy drzwiach. Nie, nikt go nie może zdradziecko we śnie zaskoczyć. Lecz czy będzie mógł zasnąć, pytał się z niepokojem. Gdybyż Tom był z nim! Wierny marynarz uczył go ostrożności, walcząc obok niego w niejednej zażartej bitwie. „To nie sztuka, powtarzał, dać się zabić w gorącej walce. Byle głupiec to potrafi. Godziwą rozrywką jest prac Francuzów, ale nie dać się zabić, bo nazajutrz trzeba bić ich dalej”.

Byrne z trudnością przezwyciężył chęć wsłuchiwania się w ciszę; był pewien, że nic jej nie przerwie, aż nagle usłyszał znów upiorny głos Toma; słyszał go już poprzednio dwukrotnie. Starał się jednak rozumować rozsądnie, że nic w tym nie ma dziwnego, bo od trzydziestu przeszło godzin wciąż o nim myślał i co gorzej, z myśli tych nie mógł wysnuć żadnych wniosków. Niepokój jego o Toma nie przybrał nigdy określonej formy. „Zniknął”, oto jedyne słowo, którym można było wyrazić to, co się stało z Tomem, a określenie to zbyt było niejasne i przerażające. „Zniknął!” Lecz cóż to oznacza?

Zimny dreszcz nim wstrząsnął, pomyślał więc, że ma zapewne trochę gorączki. Tom przecież nie zginął, przed chwilą opowiadano mu o nim. I znów krew zaczęła pulsować mu w uszach; chwilę siedział bez ruchu, spodziewając się usłyszeć w jej szumie głos Toma. Nagle błysnęła mu myśl: „Nie zginął, ale nie może dać znać o sobie”.

Zerwał się z fotela. Co za niedorzeczność! Położył pistolet i kordelas na stole, zdjął buty i owładnęło nim nagle takie zmęczenie, że nie mogąc utrzymać się na nogach, padł na łóżko, nadszpiewanie miękkie i wygodne.

Zdawało mu się, że nie spał, ale musiał się jednak zdrzemnąć, gdyż ocknął się siedząc na łóżku i usiłując uprzytomnić sobie, co mu głos Toma powiedział. Nagle przypomniał sobie: „Panie! Miej się na bacności!” Było to ostrzeżenie, ale przed czym?

Wyskoczył jednym susem na środek pokoju, odetchnął ciężko i rozejrzał się wokoło. Okno było zamknięte i zabarykadowane żelazną sztabą. Znów potoczył oczami po nagich ścianach i spojrzął nawet na wysoki sufit. Potem zbliżył się do drzwi i obejrzał je dokładnie: zamknięte były na dwa ogromne rygle zasuujące się w otwory w ścianie; drzwi można by chyba otworzyć wysadziwszy je prochem, gdyż korytarz był za wąski, aby zamachnąć się siekierą lub użyć jakich innych narzędzi do wyważenia. Lecz gdy raz jeszcze sprawdzał, czy niższy rygiel jest dobrze zasunięty, wydało mu się, że ktoś jest w pokoju. Uczucie to było tak silne, że odwrócił się z szybkością błyskawicy. W pokoju nie było nikogo i któż zresztą mógłby wejść. A jednak...

Wówczas porzucił pozory panowania nad sobą, powstrzymujące człowieka od utraty własnej godności. Postawiwszy lampę na podłodze, ukląkł i zajrzał pod łóżko jak głupi podłotek; zobaczył tam tylko mnóstwo kurzu i nic więcej. Podniósł się z pałającymi policzkami i zaczął chodzić po pokoju, niezadowolony ze swego postępowania i zły na Toma, że go nie chce opuścić. Ostrzegawcze słowa: „Panie, miej się na bacności!” brzmiały mu wciąż w uszach.

„Rzucę się chyba na łóżko i spróbuję zasnąć”, pomyślał, lecz wzrok jego padł na wielką szafę; zirytowany sam na siebie, nie mogąc się jednak powstrzymać, podszedł ku niej. Wsunął ostrze kordelasa między obie połowy drzwi i spróbował je otworzyć, chociaż nie miał pojęcia, jak następnego dnia wytłumaczy wstrętnym wiedźmom to złodziejskie włamanie. Gdy zamek od razu nie ustąpił, wziął się, przeklinając, gorliwie do pracy. „Chyba będziecie nareszcie ze mnie zadowolony”, mruknął do nieobecnego Toma.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i ujrzał w szafie wiernego, poczciwego, odważnego Toma. Stał w milczeniu, sztywny i wyprężony jak widmo, a szeroko otwarte jego oczy, uparcie wpatrujące się w Byrne'a, zdawały się nakazywać uszanowanie tej ciszy.

Lecz Byrne był zbyt zdumiony, aby się odezwać. Przerażony, odsunął się nieco w tył; wówczas marynarz pochylił się, jak gdyby chciał go objąć rękami za szyję. Byrne odruchowo wyciągnął ramiona i poczuł w nich przerażająco sztywne ciało, a na twarzy śmiertelnie zimne dotknięcie twarzy Toma. Zachwiali się; Byrne przyciskał go do siebie, nie chcąc, aby upadł. Gdy ostatkiem sił złożył ostrożnie okropny ten ciężar na ziemi, zakręciło mu się w głowie, nogi odmówiły mu posłuszeństwa; upadł na kolana, pochylony nad ciałem i oparty rękami o piersi człowieka niegdyś pełnego życia, a teraz zimnego jak gład.

„Nie żyje! mój biedny Tom nie żyje!”, powtarzał w myśli. Światło lampy stojącej na końcu stołu padało wprost na martwe źrenice oczu, dawniej tak wesołych i żywych.

Byrne odwrócił wzrok. Tom nie miał na piersiach czarnej jedwabnej chustki. Mordercy zdjęli mu też pończochy i trzewiki. Byrne, widząc go tak obdartego, z gołą szyją i bosymi nogami, poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Poza tym marynarz był całkowicie ubrany, a na jego odzieży nie było śladów gwałtownej walki. W jednym tylko miejscu kraciasta jego koszula była nieco wyciągnięta zza pasa, ale tyle tylko, aby się przekonać, czy nie ma trzosa z pieniędzmi. Byrne zaczął łkać, ukrywając twarz w chustce.

Był to tylko objaw zdenerwowania, który szybko minął. Klęcząc wpatrywał się ze smutkiem w atletyczną postać marynarza, najdzielniejszego spośród tych, którzy kiedykolwiek nosili kordelas, nabijali strzelby lub refowali żagle; leżał zimny i sztywny, a duch jego, pogodny i nieustraszony, powrócił być może do swego młodego przyjaciela i do statku kołyszącego się na siwej fali w pobliżu skalistego wybrzeża, może nawet w chwili, gdy wybrzeże to opuszczali.

Zauważył, że mosiężne guziki przy kurtce Toma zostały odcięte. Otrząsnął się, wyobraziwszy sobie dwie nędzne i wstrętne wiedźmy obdzierające bezbronne ciało przyjaciela. Odrzynały... może tym samym nożem, którym... Jedna z głową trzęsącą, druga zgarbiona, oczy ich czerwone i kaprawe, a wstrętne ręce jak szpony drżą nad trupem... Byrne był pewien, że działo się to w tym samym pokoju, gdyż Tom nie mógł być zabity na dworze, a potem dopiero wniesiony do środka. Te dwie stare baby nie zdołałyby go zabić, nawet gdyby go zaskoczyły niespodziewanie. Tom miał się przecież na baczości: był przecież sprytny i ostrożny, szczególnie w wypełnianiu jakiegoś polecenia. Ale jak go zamordowali? Kto? Jakim sposobem?

Byrne zerwał się, schwycił lampę ze stołu i szybko pochylił się nad ciałem. Na ubraniu nie było jednak ani plamy, ani jakiegokolwiek śladu krwi. Ręce drżały mu tak silnie, że musiał postawić lampę na ziemi i odwrócić głowę, aby się uspokoić.

Po chwili obejrzał dokładnie zimne, nieruchome i sztywne ciało w nadziei, że odkryje na nim ranę od sztyletu, postrzału lub ślad śmiertelnego uderzenia; niespokojnie oglądał czaszkę, lecz była cała. Wymacał ręką szyję, lecz kręgi były nie naruszone. Przerażonymi oczami obejrzał gardło, nie znalazł jednak na nim śladów uduszenia.

Nie było nigdzie oznak morderstwa. Po prostu Tom nie żył.

Byrne odruchowo odsunął się od ciała, jak gdyby śmierć, tajemnicza i niewyjaśniona, przemieniła jego litość w podejrzliwość i trwogę. Lampa, stojąca niedaleko na podłodze, oświetlała twarz marynarza, zwróconą ku górze z wyrazem rozpacz. W kręgu światła Byrne dojrzał na podłodze grube pokłady kurzu, świadczące, że walka nie mogła odbyć się w tym pokoju. „Zginął nie w tym pokoju”, pomyślał. Tak, bez wątplenia, tajemnicza śmierć musiała zaskoczyć biednego, drogiego Toma w wąskim korytarzu, gdzie zaledwie można się było obrócić. Byrne'a opuściła nagle ochota wypaść z pokoju z pistoletami w ręku. Tom był uzbrojony w równie bezsilną broń jak on: parę pistoletów i kordelas, i zginął nieznaną śmiercią, z niezrozumiałych powodów.

Nagle Byrne'owi błysnęła nowa myśl; nieznamy, który stukał do drzwi, a uciekł na jego widok tak pośpiesznie, przyszedł zapewne usunąć zwłoki. I to był przewodnik, który wedle przyrzeczenia chudej wiedźmy miał wskazać Anglikowi najkrótszą drogę do marynarza.

Przyrzeczenie, jak się teraz przekonał, wielkiej wagi. Ten, który pukał do drzwi, miał zabrać ze sobą nie jedno, lecz dwa ciała. Marynarz i oficer, wymaszerowaliby razem z gospody. Byrne był teraz zupełnie pewien, że umrze, nim ranek zaświta, w ten sam tajemniczy sposób; pozostaną po nim jedynie nie tknięte zwłoki.

Widok roztrzaskanej głowy, poderżniętego gardła lub rozwartej rany od postrzału byłby mu sprawił wielką ulgę i uspokoił wszystkie obawy. Dusza jego wołała do tego trupa, który go za życia nigdy nie opuścił w niebezpieczeństwie: „Czemuś mi nie powiedział, Tomie, czego się mam strzec? Czemuś mi nie powiedział!” Lecz on leżał na wznak, nieruchomy i sztywny, pograżony w wyniosłym milczeniu; może poznawszy wreszcie okropną tajemnicę, pogardzał rozmową z żywymi?

Byrne upadł nagle na kolana obok ciała i z suchymi oczami rozerwał gwałtownie koszulę na piersiach trupa, jak gdyby chciał wydrzeć przemocą tajemnicę wystygłego serca, które całe życie było mu tak wierne! Ale nie znalazł nic! Nic! Podniósł lampę do góry i na tej twarzy, tak łagodnej za życia, zauważył niewielki znak, maleńki guz na czole — skóra nawet nie była przecięta. Przyglądał mu się długo, jakby pograżony w okropnym śnie. Potem zauważył, że ręce Toma były zaciśnięte, jak by padł w walce na pięści. Przy bliższym przyjrzeniu się dojrzał, że skóra na kostkach obu rąk była starta.

Odkrycie tych ledwie widocznych śladów było dla Byrne'a bardziej jeszcze zdumiewające niż brak wszelkich oznak morderstwa. Więc Tom zginął walcząc z czymś, czego nie można było się dotknąć, a co zabijało nie raniąc, po prostu swym tchnieniem.

Pałaca trwoga zaczęła igrać wokoło serca Byrne'a niby ogniste języki, które zbliżają się i oddalają od swej ofiary, nim obrócą ją w popiół. Odsunął się od ciała, jak mógł najdalej, potem przybliżył się znów, rzucając ukradkiem trwożne spojrzenie, w nadziei, że raz jeszcze dojrzy guz na czole. Może nim ranek nadejdzie i na jego czole ukaże się ten dziwny znak.

„Nie zniosę tego dłużej”, szepnął do siebie. Tom był teraz dla niego przedmiotem budzącym grozę, widokiem, który go pociągał, ale jednocześnie wzmagał jego trwogę. Nie mógł po prostu patrzeć na niego.

Wreszcie rozpacz wzięła w nim górę nad trwogą; oderwał się od ściany, o którą się opierał, i schwyciwszy trupa pod ramiona, począł go wlec do łóżka. Bose pięty marynarza ciągnęły się bez szelestu po podłodze. Trup był ciężki ciężarem przedmiotów martwych. Ostatnim wysiłkiem Byrne wciągnął go twarzą ku dołowi na brzeg łóżka, wtoczył go nań i wyciągnawszy spod tej ciężkiej, nieruchomej masy prześcieradło, przykrył go nim. Wreszcie zaciągnął zasłony z obu stron łóżka, tak że spotkawszy się, skryły go zupełnie przed wzrokiem Byrne'a. Chwiejnym krokiem zbliżył się do krzesła i padł na nie. Pot spływał mu po twarzy, zdawało mu się, że w żyłach jego płynie strumień na wpół zamarzłej krwi. Objęła go w swoje całkowite posiadanie nieokreślona trwoga i obróciła jego serce w popielisko.

Siedział wyprostowany w fotelu o wysokim oparciu, z lampą stojącą na ziemi u jego stóp, z pistoletami i kordelasem leżącymi na końcu stołu koło lewego łokcia; oczy jego krążyły bezustannie wokoło ścian, po suficie, po podłodze w oczekiwaniu jakiegoś tajemniczego a przerażającego zjawiska. To, co niesło śmierć w swym oddechu, czatowało za drzwiami. Lecz Byrne nie dowierzał już teraz ani ryglom, ani murom. Bezrozumna trwoga, czerpiąc podniecie nawet z dawnego, chłopięcego podziwu dla atletycznego, niezwycięzonego Toma (takim mu się zawsze zdawał) paraliżowała jego władze umysłowe i powiększała rozpacz.

Nie był on już Edwinem Byrne, pozostała zeń tylko cierpiąca dusza, pograżona w mękach, jakich nigdy jeszcze żadne grzeszne ciało nie doświadczyło. Głębiej jego cierpienie można dopiero ocenić dowiedziawszy się, że ten młodzieniec, stosunkowo dość odważny, rozważał zamiar wypalenia sobie w głowę z pistoletu. Lecz opanowała nim śmiertelna, chłodna bezsilność; miał uczucie, że ciało jego jest jak wilgotny gips, tężejący na żebrach. „Za chwilę, pomyślał, wejdą tu te dwie wiedźmy; jedna opierać się będzie na kuli, druga — na lasce, przerażające, potworne, niesamowite siostrzyce diabła wejdą, aby naznaczyć jego czoło ma-

leńkim znakiem śmierci, a on nie będzie mógł się bronić”. Tom przed śmiercią walczył, lecz on nie dorównywał mu. Już teraz jego ramiona i nogi były jak martwe. Siedział bez ruchu, umierając ze strachu na samą myśl o takiej śmierci. Poruszał jedynie oczami, które, krążąc bezustannie w oczodołach, obiegały ściany, podłogę, sufit, aż wreszcie zatrzymały się nagle i wyskakujące prawie z orbit, wpatrzyły się w łóżko kamiennym wzrokiem.

Ujrzał, że ciężkie zasłony poruszyły się, jak gdyby trup, którego zasłaniały, obrócił się na łożu i usiadł na nim. Byrne, nie przypuszczając, żeby na świecie istniały rzeczy bardziej jeszcze przerażające niż te, które przeżył, poczuł, jak mu włosy stają dęba. Schwycił się za poręcze fotela, szczęki mu opadły, pot spłynął aż na brwi, a wyschnięty język przylgął nagle do podniebienia. Zasłony poruszyły się ponownie, lecz nie rozsunęły, się jeszcze. „Nie pokazuj się, Tomie!”, chciał zawołać Byrne, lecz wydał tylko cichy jęk, jak podczas niespokojnego snu. Poczuł, że traci zmysły, gdyż zdawało mu się, że sufit nad łóżkiem poruszył się, pochylił, wreszcie wyprostował się znów, a zasłony zachwiały się z lekka, jak gdyby miały się rozsunać.

Byrne zamknął oczy, aby nie ujrzeć okropnej zjawy nieboszczyka zmartwychpowstałego za sprawą złego ducha. W głębokiej ciszy, która panowała w pokoju, przeżył chwilę trwożnego konania, po czym znów otworzył oczy i zobaczył zasłony wciąż jeszcze zasunięte, lecz zauważył też, że sufit ponad łóżkiem podniósł się przynajmniej o stopę. Ostatnim błyskiem świadomości zrozumiał, że ogromny baldachim nad łóżkiem opuszczał się na dół, a zasłony przymocowane do niego chwieją się z lekka, kładąc się powoli na podłogę. Zamknął opadające szczęki i na wpół wyprostowany w fotelu, przyglądał się, jak potworny baldachim opuszczał się nagłymi ruchami aż do połowy mniej więcej wysokości, po czym raptownie spadł na łóżko i przykrył je, jakby skorupą ogromnego żółwia. Drzewo tylko parokrotnie z lekka trzasnęło i zapanowała w pokoju niezmierna cisza.

Byrne powstał i głęboko odetchnąwszy, wydał okrzyk wściekłości i zgrozy; był to pierwszy głos, jaki wydał w czasie tej przerażającej nocy. Oto jakiej śmierci uniknął! Oto przed jaką diabelską sztuczką dusza biednego Toma z tamtego nawet świata usiłowała go ostrzec; nie ma wątpliwości, że Tom zginął w taki właśnie sposób. Byrne był pewien, że naprawdę słyszał słaby głos marynarza wymawiający zwykłą swą formułkę: „Panie, miej się na baczności!” i inne jeszcze niezrozumiałe słowa. Odległość między żywymi a umarłymi jest przecież tak wielka, biedny Tom usiłował go jednak ostrzec! Byrne podbiegł do łóżka i próbował podnieść lub usunąć okropne wieko nakrywające ciało, lecz opierało się jego wysiłkom, nieporuszone jak płyta grobowa, ciężkie jak ołów. Wściekła chęć zemsty skłoniła go do zaniechania tych prób, głowa jego roiała się od chaotycznych pomysłów odwetu; bełkocząc okropne pogrożki, biegał wokoło pokoju, jak by nie mógł znaleźć ani broni, ani wyjścia...

Gwałtowne kołatanie do drzwi gospody otrzeźwiło go nieco. Rzucił się do okna, otworzył okiennicę i wyjrzał na dwór. W słabym brzasku świtającego dnia ujrzał na dole tłum ludzi. Ha! Pójdzie stanąć w walce z tymi mordercami, zebranymi tu bez wątpienia, by go zgładzić. Po walce z nieznanym mordercą marzył o otwartej bitwie z uzbrojonym nieprzyjacielem. Lecz widocznie niezupełnie jeszcze odzyskał przytomność, gdyż, zapominając o broni, zbiegł po schodach z dzikim okrzykiem. Odryglował drzwi, do których dobijano się jeszcze ciągle z zewnątrz, otworzył je na oścież i z gołymi rękami rzucił się do gardła pierwszego człowieka, jaki się przed nim znalazł. Przewrócili się obaj. Byrne miał mglisty zamiar przedrzeć się przez napastników, uciec górską ścieżką i powrócić wkrótce z ludźmi Gonzalesa dla wywarcia przykładnej zemsty. Walczył zawzięcie, dopóki na głowę jego nie spadło coś na kształt drzewa, domu czy też skały, po czym nic już nie pamiętał.

*

Tu Byrne opowiada nam szczegółowo, jak odzyskał przytomność, z głową starannie już obandażowaną informuje, ile stracił krwi, i opisuje, jak wówczas go pielęgnowano. Nie żałuje

też pochwał Gonzalesowi, on to bowiem, nie mogąc się doczekać wiadomości od Anglików, z połową swej bandy wstąpił do gospody po drodze nad wybrzeże morskie. „Wasza Ekscelencja, tłumaczył się, wypadł z taką gwałtownością, a że nie znaleźliśmy go, więc...” itd. Gdy go zapytano, co się stało z czarownicami, wskazał tylko, milcząc, palcem na ziemię i głosem spokojnym wypowiedział uwagę moralną: „Namiętność do złota jest w starości bezlitosna. Z pewnością już przedtem ułożyły do snu wiecznego w arcybiskupim łożu wielu samotnych podróżnych”.

— W gospodzie była także młoda Cyganka — rzekł Byrne słabym głosem, leżąc na noszach niesionych do wybrzeża morskiego przez oddziałek guerrillerosów.

— Ona to właśnie manewrowała tą piekielną maszyną i dzisiaj nocy ona ją też opuszczała — brzmiała odpowiedź.

— Ale dlaczego? Dlaczego pragnęła mej śmierci? — zawołał Byrne.

— Zapewne dla zdobycia mosiężnych guzików z kurtki Waszej Ekscelencji — rzekł uprzejmie poważny Gonzales. — Znaleźliśmy przy niej guziki zamordowanego marynarza. Lecz Wasza Ekscelencja może być spokojny, uczyniliśmy z nią wszystko, co było konieczne w danych okolicznościach.

Byrne nie pytał już więcej. Jeszcze jedną śmierć Gonzales uznał za „konieczną w danych okolicznościach”. Jednooki Bernardino, postawiony pod ścianą swej winiarni, dostał w same piersi sześć ładunków z *escopetas* *. Gdy rozległy się te strzały, garść hiszpańskich patriotów, wyglądających na bandytów, niosła prostą trumnę ze zwłokami Toma przez dolinę ku wybrzeżu, gdzie dwie łodzie spuszczone ze statku oczekiwały na ziemskie szczątki najlepszego z marynarzy.

Byrne, bardzo blady i słaby, wsiadł do łodzi, w której złożone były zwłoki zacnego przyjaciela, gdyż postanowiono pochować Toma Corbina daleko w Zatoce Biskajskiej. Oficer ujął ster i spojrzawszy po raz ostatni na wybrzeże, ujrzał na szarym zboczu pagórka poruszającą się postać, w której rozpoznał siedzącego na mule małego człowieka w żółtym kapeluszu. Gdyby nie sprawa tego muła, los Toma Corbina pozostałby nie znany na wieki.

Przełożyła Teresa Tatarkiewicz

WILLIAM WYMARK JACOBS

Znany jako autor humorystycznych opowiadań, zwłaszcza z życia marynarzy żeglugi przybrzeżnej i znad Tamizy, William Wymark Jacobs (1863—1943) był do końca zeszłego stulecia urzędnikiem pocztowej kasy oszczędności. Już w tym czasie pisywać zaczął na tematy związane z żeglugą i życiem w małych miasteczkach. Utwory jego, np. Wiele ładunków (Many Cargoes) i Lekkie frachty (Light Freights), zwróciły uwagę swoim humorem i świeżością. W roku 1902 ukazał się tom pt. Pani z barki (The Lady of the Barge), skąd bierzemy wyjątkowo przejmujący, pozornie realistyczny utwór The Monkey's Paw. Oparty jest on na starym ludowym motywie trzech kolejnych życzeń. Małpia łapka swoim ponurym nastrojem wyróżnia się spośród innych utworów niefrasobliwego na ogół pisarza.

MAŁPIA ŁAPKA

I

Na dworze była zimna i dżdżysta noc, ale okiennice małego saloniku w willi „Złoty

* Escopeta (hiszp.) — długa broń palna.

Deszcz” były zamknięte, a na kominku płonął jasno ogień. Ojciec i syn grali w szachy. Ojciec, którego zasadą było stosowanie radykalnych posunięć, wpędzał swego króla niepotrzebnie w tak niebezpieczne sytuacje, że aż wywoływało to komentarze ze strony siwowłosej starszej pani, która spokojnie robiła na drutach przy kominku.

— Posłuchaj, jak wiatr wyje — powiedział pan White, który teraz spostrzegł swoje fatalne posunięcie. Ponieważ było już za późno, by je cofnąć, chciał w ten sposób odwrócić uwagę syna.

— Słyszę — rzekł syn przyglądając się z marsem szachownicy i wyciągając rękę do ruchu. — Szach!

— On chyba już dziś nie przyjdzie — powiedział ojciec, którego ręka zawisła nad szachownicą.

— Mat — odpowiedział syn.

— To okropne mieszkać na takim odludziu! — wykrzyknął pan White z nagłą i nieoczekiwaną gwałtownością. — Ze wszystkich ohydnych, błotnistych i zapadłych dziur ta jest najgorsza. Ścieżka to istne bagno, a z drogi robi się potok. Nie wiem, co ludzie sobie myślą. Uważają pewno, że to nie ma znaczenia, dlatego że tylko dwa domy przy drodze są wynajęte.

— Nie przejmuj się, kochanie — powiedziała żona uspokajająco. — Wygrasz następną partię.

Pan White gwałtownie podniósł oczy, akurat w porę, by zauważyć, że matka i syn wymienili znaczące spojrzenia. Słowa zamaryły mu na ustach. Z miną winowajcy spuścił głowę.

— Przyszedł — rzekł Herbert White, gdy furtka trzasnęła głośno, a ciężkie kroki zbliżyły się do drzwi.

Stary człowiek wstał z pośpiechem i, jako gospodarz, poszedł otworzyć drzwi. Słysząc było, jak wyraża współczucie nowo przybyłemu. Przybysz również się na coś użalał, tak że aż pani White powiedziała „No, no...” i zakaszła lekko, gdy mąż wszedł do pokoju, wprowadzając wysokiego, tęgiego mężczyznę, z oczami jak paciorki i czerwoną twarzą.

— Major Morris — powiedział pan White przedstawiając gościa.

Uścisnęli sobie ręce; major usiadł na fotelu koło kominka. Z zadowoleniem przyglądał się gospodarzowi, który wyjął whisky i szklanki i postawił mały, miedziany kociołek na ogniu.

Przy trzeciej szklance oczy majora zaświeciły jaśniej i zaczął mówić. Skupiona w małym kręgu rodzina patrzyła z żywym zainteresowaniem na tego, który zwiedził odległe krainy. On zaś, szeroki w ramionach, rozparł się w fotelu i rozprawiał o niezwykłych rzeczach, wspaniałych bohaterskich czynach, wojnach, zarazach i dziwnych ludach.

— Dwadzieścia jeden lat takiego życia — powiedział pan White, kiwając głową w stronę żony i syna. — Gdy wyjeżdżał, był ot, takim sobie chłopcem z magazynu. A teraz — spójrzcie na niego!

— Nie wygląda na to, żeby panu to wszystko zaszkodziło — powiedziała grzecznie pani White.

— Sam chciałbym pojechać do Indii — rzekł starszy pan — ot tak, wiecie, żeby zobaczyć kawałek świata.

— Najlepiej siedzieć na miejscu — powiedział major potrząsając głową. Odstawił pustą szklankę, westchnął i znów pokiwał głową.

— Chciałbym zobaczyć te stare świątynie, fakirów i kuglarzy — rzekł stary człowiek. — A co to za historia z tą małpią łapką, o której mi pan zaczął kiedyś opowiadać?

— Eh, głupstwa — rzekł wojak śpiesznie. — Nie warto nawet opowiadać.

— Małpia łapka? — spytała pani White zaciekawiona.

— To coś takiego, co można by chyba nazwać magią — odrzekł szybko major.

Troje słuchaczy przysunęło się z zaciekawieniem. Gość machinalnie podniósł pustą szklankę do ust, po czym odstawił z powrotem. Gospodarz napełnił ją skwapliwie.

— Na oko — rzekł major grzebiąc w kieszeni — to zwykła, mała łapka, wysuszona jak mumia.

Wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i pokazał. Pani White cofnęła się z obrzydzeniem, ale syn wziął to do ręki i przyglądał się ciekawie.

— I co w tym jest szczególnego? — zapytał pan White biorąc łapkę od syna. Obejrzał ją i położył na stole.

— Pewien fakir rzucił na to czar — rzekł major. — To bardzo świątobliwy człowiek. Chciał pokazać, że życiem ludzkim kieruje los, a ci, co mu się przeciwstawiają, robią to na własną zgubę. Czar polega na tym, że dzięki tej łapce trzem osobom mogą się spełnić po trzy życzenia.

Sposób, w jaki gość to powiedział, wywarł takie wrażenie, iż słuchacze poczuli, że ich uśmiešky były nie na miejscu.

— No dobrze, a czemuż pan nie wyraził trzech życzeń? — zastanowił się Herbert White.

Major popatrzył na niego wzrokiem, jakim wiek dojrzały patrzy na zarozumiałą młodość.

— Wyraziłem swoje życzenia — odrzekł cicho, a jego pokryta plamami twarz zbladła.

— I rzeczywiście wszystkie trzy pańskie życzenia zostały spełnione? — spytała pani White.

— Tak — odparł major, a szklanka zadzwoniła o jego mocne zęby.

— A czy ktoś inny też już wypowiadał życzenia? — zapytała starsza pani.

— Pierwszy właściciel łapki wyraził swoje trzy życzenia — brzmiała odpowiedź. — Nie wiem, jakie były pierwsze dwa, ale trzecie było prośbą o śmierć. Właśnie w związku z tym łapka mnie się dostała.

Jego ton był tak poważny, że zapanowała głęboka cisza.

— Jeżeli pańskie trzy życzenia zostały już spełnione, w takim razie ona już się panu na nic nie przyda, majorze. Po co ją trzymać? — zapytał gospodarz.

Major Morris potrząsnął głową.

— Tak sobie... Przychodziło mi do głowy sprzedać ją, ale chyba tego nie zrobię. Już dosyć spowodowała nieszczęść. Poza tym nikt jej nie kupi. Niektórzy myślą, że to bzdura; inni nie dowierzają — chcieliby najpierw wypróbować, a potem zapłacić.

— A gdyby pan mógł — rzekł stary człowiek patrząc na niego wnikliwie — to chciałby pan jeszcze wyrazić nowe trzy życzenia?

— Nie wiem — odpowiedział major — nie wiem...

Wziął łapkę, obracał ją trzymając w palcach, aż nagle cisnął ją w ogień.

Pan White z lekkim okrzykiem schylił się i pochwycił łapkę.

— Lepiej niech się spali — rzekł poważnie stary żołnierz.

— Jeżeli pan jej nie chce, majorze, to niech mi ją pan da — powiedział stary człowiek.

— Nie chcę — odparł gniewnie przyjaciel. — Wrzuciłem ją do ognia. Jeżeli zatrzymuje ją pan, to proszę nie mieć do mnie żalu za to, co się stanie. Niech pan ją ciśnie w ogień, jak rozsądny człowiek.

Tamten potrząsnął głową przyglądając się uważnie nowemu nabytkowi.

— Jak to się robi? — spytał.

— Trzeba ją podnieść w prawej ręce do góry i głośno wypowiedzieć życzenie — odrzekł major — ale raz jeszcze ostrzegam przed konsekwencjami.

— To mi przypomina trochę bajki z tysiąca i jednej nocy — rzekła pani White wstając, by nakryć do kolacji. — Czy na początek nie mógłbyś zażądać dla mnie czterech par rąk?

Mąż wyciągnął z kieszeni talizman i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem; major ze strachem chwycił starszego pana za rękę.

— Jeżeli już macie sobie czegoś życzyć — powiedział szorstko — niech to będzie coś

rozsądnego.

Pan White włożył łapkę z powrotem do kieszeni, ustawił krzesła i gestem zaprosił przyjaciela do stołu. W czasie kolacji zapomniano niemal o talizmanie. Potem wszyscy troje słuchali jeszcze, oczarowani, dalszych przygód żołnierskich w Indiach.

Gość wyszedł akurat w porę, żeby zdążyć jeszcze na ostatni pociąg.

— Jeżeli ta historia o małpiej łapce jest równie prawdziwa jak te, co nam opowiadał — rzekł Herbert, gdy drzwi się zamknęły za majorem — to nie potrzebujemy się zbyt przejmować tą sprawą.

— Czy dałeś mu coś za to, tatusiu? — zapytała pani White przyglądając się badawczo mężowi.

— Drobnostka — odparł rumieniąc się lekko. — Nie chciałem, ale wmusiłem mu. I jeszcze raz nalegałem, żebym wyrzucił małpią łapkę.

— Także coś! — rzekł Herbert z udanym oburzeniem. — Jak to, będziemy przecież bogaci, sławni, szczęśliwi. Wiesz, ojczu, na początek wyraż życzenie, żebyś został cesarzem. Nie będziesz już wtedy pod pantoflem...

Uciekał dookoła stołu, ścigany przez zagniewaną panią White, zbrojną w serwetkę zerwaną z oparcia fotela.

Pan White wyjął łapkę z kieszeni i przyglądał się jej z powątpiewaniem.

— Faktem jest, że nie wiem, czego sobie życzyć — rzekł z wolna. — Wydaje mi się, że mam wszystko, czego mi potrzeba.

— Byłbyś zupełnie szczęśliwy, gdybyś tylko mógł wynieść się z tego domu — rzekł Herbert kładąc mu rękę na ramieniu. — Życz sobie dwustu funtów, to wystarczy.

Ojciec, uśmiechając się, trochę zawstydzony własną łatwowiernością, podniósł talizman, podczas gdy syn, z twarzą poważną, mrugając znacząco w stronę matki usiadł przy fortepianie i wzięął kilka uroczyстых akordów.

— Chcę mieć dwieście funtów — powiedział stary człowiek wyraźnie.

Mocne uderzenie w klawisze powitało te słowa i nagle rozległ się przenikliwy krzyk ojca. Żona i syn podbiegli do niego.

— Poruszyła się! — krzyknął. Spoglądał ze wstrętem na przedmiot leżący na podłodze. — Gdy wypowiedziałem życzenie, skręciła mi się w ręce jak wąż.

— No dobrze, ale ja nie widzę pieniędzy — rzekł syn, podnosząc łapkę i kładąc ją na stole — i założę się, że nigdy ich nie zobaczę.

— Musiało ci się tylko zdawać, tatusiu — powiedziała żona patrząc z niepokojem na pana White.

Potrząsnął głową.

— Głupstwo, nic się nie stało. Ale jednak doznałem wstrząsu.

Zasiedli znów przy kominku — panowie kończyli palić fajki. Na dworze wiatr wył głośniejszy niż kiedykolwiek. Stary człowiek drgnął nerwowo, gdy na górze trzasnęły drzwi. Jakaś niezwykła i przynębiająca cisza zaciążyła nad całą trójką i trwała, dopóki starsi ludzie nie podnieśli się, by iść na spoczynek.

— Spodziewam się, że znajdziesz gotówkę w dużym worku na środku łóżka — rzekł Herbert życząc im dobrej nocy. — A jakieś straszdyło przyczajone na szafie będzie obserwoowało, jak chowasz do kieszeni swoje kapitały z mętnego źródła.

Siedział teraz sam, w mroku patrząc na dogasający ogień — widział w nim jakieś twarze. Ostatnia z nich była tak wstrętna i małpia, że przyglądał się jej ze zdumieniem. Stała się wreszcie jak żywa, tak że — uśmiechając się niewyraźnie — pomacał po stole szukając szklanki z wodą, by w nią rzucić. Zamiast szklanki jednak jego dłoń chwyciła małpią łapkę. Z lekkim dreszczem obtarł dłoń o marynarkę. Potem poszedł na górę spać.

II

Następnego ranka przy śniadaniu w jasności zimowego słońca, które rzucało swe światło na stół, Herbert śmiał się ze swoich obaw. Cały pokój sprawiał wrażenie czegoś prozaicznie normalnego, przeciwnie niż ubiegłego wieczora. Mała, skurczona łapka leżała rzucona niedbale na kredens; przestano ufać w zalety talizmanu.

— Przypuszczam, że wszyscy starzy wojacy są tacy sami — powiedziała pani White. — I pomyśleć, że wysłuchiwałeś takich głupstw. Jakież życzenia mogą się spełnić w dzisiejszych czasach? A jeśli nawet, to cóż ci może zaszkodzić dwieście funtów, tatusiu?

— Mogłoby mu spaść na głowę z nieba — zauważył żartobliwie Herbert.

— Morris powiedział, że te rzeczy dzieją się w sposób tak naturalny — rzekł ojciec — że mógłbyś przypisać to wyłącznie zbiegowi okoliczności.

— No, dobrze, tylko nie dobieierz się do pieniędzy, zanim wrócę — rzekł Herbert wstając od stołu. — Obawiam się, że staniesz się przez nie zachłannym skąpcem i będziemy musieli się ciebie wyrzec.

Matka zaśmiała się, odprowadziła go do drzwi patrząc, jak oddala się drogą. Wróciwszy do stołu żartowała sobie z łatwowierności męża. Wszystko to jednak nie przeszkadzało, że na pukanie listonosza zerwała się do drzwi, stwierdziwszy jednak, że to tylko rachunek od krawca, zaczęła podrwiwać z pijackich nawyków emerytowanych majorów.

— Herbert znów będzie dowcipkował, jak wróci — rzekła, gdy siedli do obiadu.

— Na pewno — rzekł pan White nalewając sobie trochę piwa — ale mimo wszystko to paskudztwo poruszyło mi się w ręku. Przysięgłbym.

— Zdawało ci się tylko — odparła żona uspokajająco.

— Mówię ci, że tak było — upierał się mąż. — Nie ma co się sprzeczać. Ja właśnie... Co się stało?

Żona nie odpowiedziała. Właśnie obserwowała tajemnicze ruchy jakiegoś mężczyzny na dworze, który przyglądając się domowi w sposób wyraźnie niezdecydowany, namyślał się, czy wejść. Kojarząc to w myślach z dwustu funtami zauważyła, że nieznajomy był dobrze ubrany i miał lśniący nowością kapelusz. Trzy razy zatrzymywał się przy furtce i odchodził. Za czwartym razem stanął, oparł na niej rękę, z nagłą decyzją pchnął i wszedł.

Pani White w tym samym momencie pośpiesznie odwiązała tasiemki fartuszka i wsunęła tę użyteczną część stroju pod poduszkę na krześle. Po chwili wprowadziła do pokoju nieznajomego, który wydawał się bardzo zakłopotany. Ukradkiem spoglądał na panią White, a potem słuchał — jak gdyby myśląc o czym innym — jak przeprasza za wygląd pokoju, za strój męża, używany tylko do prac w ogrodzie. Wreszcie zamilkła i czekała tak cierpliwie, jak tylko kobieca cierpliwość pozwala, na wyjaśnienie, z czym się zjawił. Lecz nieznajomy milczał.

— Proszono mnie, żebym tu przyszedł... — powiedział wreszcie. Pochylił się i zdjął kawałek nitki ze spodni. — Jestem z firmy „Maw i Meggins”.

Kobieta drgnęła.

— Czy się coś stało? — rzuciła bez tchu. — Czy coś stało się Herbertowi? Co się stało? Co?

— Spokojnie, spokojnie, mamusiu — przerwał jej mąż. — Usiądź i nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. — Pan... nie przyniósł nam z pewnością złej nowiny, prawda? — i spojrzął na tamtego bystro.

— Przykro mi... — zaczął gość.

— Czy ranny? — zapytała gwałtownie matka.

Gość skinął twierdząco.

— Ciężko ranny — rzekł szybko — ale wcale nie cierpi...

— O, dzięki Bogu! — rzekła stara kobieta składając ręce.— Dzięki za to Bogu! Dzięki...

Nagle urwała, pojawiwszy złowieszcze znaczenie tych słów, i ujrzała straszliwe potwierdzenie swych obaw w pochylonej głowie obcego.

Zwróciwszy się do trudniej kojarzącego męża, położyła swą starą trzęsącą się rękę na jego dłoni. Zapanowało długie milczenie.

— Został wciągnięty w tryby maszyny — rzekł w końcu gość cichym głosem.

— Wciągnięty w tryby... — powtórzył w osłupieniu pan White. — Tak...

Siedział patrząc tępo w okno i trzymał rękę żony w swoich dłoniach tak, jak to zwykł czynić w dawnych, narzeczeńskich czasach, czterdzieści lat temu bez mała.

— On jeden tylko nam pozostał — rzekł wreszcie, zwracając się łagodnie ku gościowi. — To ciężki cios...

Gość zakaszał, wstał i podszedł z wolna do okna.

— Firma życzy sobie, bym przekazał państwu wyrazy szczerego współczucia z powodu ich wielkiego nieszczęścia — rzekł nie patrząc na nich. — Mam nadzieję, że państwo rozumiecie, iż jestem tylko urzędnikiem i spełniam polecenia.

Nie było odpowiedzi. Twarz starej kobiety była blada, oczy nieruchome, a oddech ledwie dosłyszalny. Wyraz twarzy jej męża był taki, jaki mógł mieć jego przyjaciel major, gdy brał udział w pierwszej akcji bojowej.

— Miałem oznajmić, że firma „Maw i Meggins” uważa, że nie ponosi tu żadnej odpowiedzialności — mówił dalej obcy. — Firma nie uznaje żadnych roszczeń, ale z uwagi na usługi oddane przez pańskiego syna, chce zaproponować państwu pewną sumę tytułem rekompensaty.

Pan White puścił rękę żony, zerwał się i popatrzył z przerażeniem na gościa. Suche jego wargi ułożyły się w słowo:

— Ile...?

— Dwieście funtów — brzmiała odpowiedź.

Nie dosłyszał już okrzyku żony, uśmiechnął się tylko słabo, wyciągnął przed siebie ręce jak niewidomy i runął bezwładnie na podłogę.

III

Staruszkowie pochowali zmarłego na wielkim nowym cmentarzu, odległym o jakieś dwie mile, i powrócili do domu tonącego w cieniu i ciszy. Wszystko minęło tak szybko, że zrazu ledwie mogli zdać sobie z tego sprawę, i pozostali w stanie wyczekiwania, jak gdyby miało się zdarzyć jeszcze coś — coś, co zmniejszyłoby to brzemię zbyt ciężkie do zniesienia dla starych serc.

Dni mijały — wyczekiwanie ustąpiło miejsca rezygnacji, beznadziejnej rezygnacji starców, niesłusznie zwanej czasem apatią. Niekiedy zaledwie odzywali się do siebie; teraz nie mieli już o czym mówić; dni wlokły się nieznośnie.

Może w tydzień potem starzec, budząc się nagle w nocy, wyciągnął rękę i stwierdził, że jest sam. Pokój pogrążony był w ciemnościach, a od strony okna dobiegał stłumiony płacz. Podniósł się na łóżku i nasłuchiwał.

— Chodź tutaj — powiedział czule — zaziębisz się, jest chłodno...

— Mojemu synowi jest jeszcze chłodniej — powiedziała staruszka i na nowo zapłakała.

Odgłos łkania zamierał z wolna w jego uszach. Łóżko było ciepłe, oczy kleiły mu się ze snu. Ocknął się jeszcze parę razy z drzemki, aż wreszcie zapadł w sen, z którego poderwał go nagle dziki krzyk żony.

— Łapka! — krzyknęła rozpaczliwie. — Małpia łapka!

Podniósł się wystraszony.

— Gdzie? Gdzie ona jest? — zawołał. — O co chodzi?

Podeszła do niego chwiejnym krokiem.

— Potrzebna mi — rzekła cicho. — Nie zniszczyłeś jej?

— Jest w pokoju na dole nad kominkiem — odparł zdumiony. — O co ci chodzi?

Płacząc i śmiejąc się na przemian, pocałowała go w policzek.

— Dopiero teraz o tym pomyślałam — powiedziała histerycznie. — Czemuż nie przyszło mi to przedtem do głowy? Czemuś ty o tym nie pomyślał?

— O czym? — zapytał.

— Te dwa pozostałe życzenia — odparła szybko. — Wyraziliśmy tylko jedno.

— Jeszcze ci mało? — rzucił gwałtownie.

— Tak! — zawołała z triumfem. — Jeszcze o jedno poprosimy. Zejdź na dół, przynieś ją szybko i popros, aby nasz chłopiec ożył.

Mężczyzna usiadł na łóżku dygocąc i odrzucił kołdrę.

— Wielki Boże, oszalałaś? — krzyknął przerażony.

— Idź po nią — dyszała — weź ją zaraz i pros... Och, mój chłopiec, mój chłopiec!

Mężczyzna potarł zapałkę i zapalił świecę.

— Wracaj do łóżka — rzekł niepewnie. — Sama nie wiesz, co mówisz...

— Nasze pierwsze życzenie spełniło się — rzekła gorączkowo. — Czemuż by drugie nie miało?

— Zbieg okoliczności — wymamrotał starzec.

— Idź, przynieś i pros! — krzyknęła żona drżąc z podniecenia.

Starzec odwrócił się, spojrzał na nią; głos mu drżał:

— Nie żyje już od dziesięciu dni, a poza tym... Nie byłbym ci o tym mówił, ale... zdołałem rozpoznać go tylko po ubraniu. Jeśli wyglądał zbyt strasznie, żebyś go mogła zobaczyć wówczas, to co dopiero teraz...?

— Sprowadź go! — krzyknęła staruszka i pociągnęła męża w stronę drzwi. — Czy myślisz, że boję się dziecka, które wydałam na świat?

Zszedł na dół w ciemności i po omacku znalazł drogę do pokoju, a potem do kominka. Talizman był na swoim miejscu. Starca ogarnął przeraźliwy strach, że nie wypowiedziane jeszcze życzenie może sprawić, iż jego zmasakrowany syn zjawi się przed nim, zanim zdoła uciec z pokoju. Z przerażenia zabrakło mu tchu — stwierdził, że nie może trafić do drzwi. Czoło miał złane zimnym potem, wymacał drogę wokół stołu i dotykał ściany, aż znalazł się w małym korytarzyku ze złowieszczym przedmiotem w ręku.

Gdy doznał do pokoju, twarz żony zdawała się odmieniona. Była blada i pełna wycieknięcia. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że miała jakiś nienaturalny grymas. Bał się swojej żony.

— Proś! — zawołała silnym głosem.

— To jest szaleństwo, to coś potwornego — powiedział załamany.

— Proście! — powtórzyła żona.

Podniósł rękę.

— Chcę, żeby mój syn ożył.

Talizman upadł na podłogę, starzec spojrzał na niego ze strachem. Potem drżąc upadł na fotel. Staruszka podeszła do okna i podniosła roletę.

Siedział tak, aż zmarł, spoglądając od czasu do czasu na postać starej kobiety wyglądającej przez okno. Resztką świecy wypaliła się poniżej krawędzi porcelanowego lichterza i rzucała pulsujące cienie na sufit i ściany, aż zgasła w jaśniejszym rozświetleniu.

Stary człowiek z niewypowiedzianym uczuciem ulgi, że talizman zawiódł, wśliznął się z powrotem do łóżka. Po minucie czy dwóch podeszła cicho staruszka i usiadła apatycznie obok.

Żadne z nich się nie odezwało; leżeli cicho, słuchając tykania zegara. Nagle zatrzeszczały schody, mysz zachrobotała pod ścianą. Ciemność była przytłaczająca, więc po jakimś czasie starzec zebrał się na odwagę, zapalił zapałkę i poszedł po świecę.

Na dole zapałka zgasła, więc zatrzymał się, by zapalić drugą; w tej samej chwili u drzwi frontowych rozległo się ciche, nieśmiałe, ledwie słyszalne stukanie.

Zapałki wypadły mu z ręki i rozsypały się po podłodze. Stał nieruchomo, wstrzymując oddech, aż stukanie się powtórzyło. Wtedy zawrócił szybko, pobiegł z powrotem do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Trzecie uderzenie rozległo się po domu.

— Co to? — krzyknęła staruszka zrywając się.

— Szczur — powiedział stary drżącym głosem. — Szczur... Przeleciał koło mnie na schodach.

Kobieta siedziała na łóżku nasłuchując. Głośne uderzenia zabrzmiały w całym domu.

— To Herbert! — zawołała głośno. — To Herbert!...

Pobiegła do drzwi, lecz mąż zabiegł jej drogę i, łapiąc za ramię, przytrzymał ją mocno.

— Co ty robisz? — wyszeptał ochryplym głosem.

— To mój chłopiec, to Herbert! — krzyczała wyrывая mu się. — Zapomniałam, że to przecież dwie mile drogi. Czemu mnie zatrzymujesz? Puść! Muszę mu otworzyć drzwi.

— Na miłość boską, nie wpuszczaj go! — krzyknął drżący starzec.

— Boisz się własnego syna? — zawołała szarpiąc się. — Puść mnie! Już idę, Herbercie, już idę!

Rozległy się nowe uderzenia, potem następne. Stara kobieta nagłym ruchem wyswobodziła się i wybiegła z pokoju. Mąż popędził za nią na platformę schodów wołając błagalnie, gdy zbiegała na dół. Posłyszał zgrzyt zdejmowanego łańcucha i powolne odsuwanie dolnego rygla w drzwiach wejściowych. Potem usłyszał zdyszany, pełen napięcia głos staruszki.

— Zasuwa! — zawołała głośno. — Chodź na dół. Nie mogę do niej sięgnąć!

Lecz on na czworakach macał rozpaczliwie po podłodze w poszukiwaniu łapki. Żeby tylko ją znaleźć, zanim wejdzie do domu to coś, co jest na zewnątrz. W całym domu rozległa się istna kanonada uderzeń; usłyszał szuranie krzesła, które jego żona przystawiała w przedpokoju do drzwi. Posłyszał zgrzyt powoli odsuwanej zasuw. W tej samej chwili znalazł małą łapkę — jednym tchem wypowiedział swe trzecie i ostatnie życzenie.

Dobijanie się do drzwi ucichło nagle, choć jego echo wibrowało jeszcze w domu. Posłyszał odgłos odsuwania krzesła i skrzyp otwieranych drzwi. Zimny wiatr powiał kłatką schodową, a długi, głośny skowyt rozczarowania i rozpaczy jego żony dodał mu odwagi. Zbiegł do niej na dół, a potem do furki na dworze. Latarnia uliczna naprzeciwko oświetlała cichą i opustoszałą drogę.

Przełożyła Irena Malanowska

ROBERT SMYTHE HICHENS

Początkowo pisarz-realista z końca epoki wiktoriańskiej, były dziennikarz, Robert Smythe Hichens (1864—1950) napisał szereg (nieznośnie popularnych u nas w latach przedwojennych) powieści przesiąkniętych sentymentalizmem. Wśród nich były dramatyzowane i filmowane na Zachodzie: Bella Donna i Ogród Allacha (The Garden of Allah — 1905). Ten ostatni przedstawia pewną wartość ze względu na świetny, nastrojowy opis północno-afrykańskiej pustyni. W utworach swych o tematyce psychologicznej zdradzał Hichens skłonność do problematyki pseudomistycznej i różnych anomalii. Przytoczona tu niesamowita opowieść, najlepsza bodaj spośród licznych tego typu utworów Hichensa, pochodzi z tomu pt. Języki sumienia (Tongues of Conscience) z 1900 roku.

MIŁOŚĆ I PROFESOR GUILDEA

I

Ludzie mało wnikliwi dziwili się, jak doszło do tego, że Ojciec Murchison i profesor Fryderyk Guildea zostali bliskimi przyjaciółmi. Pierwszy był pełen wiary, drugi był skończonym sceptykiem. W naturze Ojca leżała miłość. Patrzył na świat z czułością niemal dziecięcą. Jego łagodne, lecz nieustraszone, niebieskie oczy zdawały się dostrzegać dobroć w ludzkich sercach i cieszyć się tym, co widziały. Profesor miał twarz ostrą jak toporek, dodatkowo zaostrzoną przez czarną, zadzierzystą, kozią bródkę. Spojrzenie przeszywające, bystre, aroganckie. Usta jego o cienkich, wąskich wargach miały wyraz niemal okrutny. Głos ostry i suchy, gdy nabrzmiał energią — przechodził w wysokie tonacje sopranu. Strzelał słowami, modulując je urywanie i przenikliwie. Kierował się zasadą: nie dowierzać i badać. Po prostu trudno było przypuścić, aby mógł on w swym pełnym zajęć życiu znaleźć odrobinę czasu na miłość, bądź w znaczeniu ogólnoludzkim, bądź osobistym. Spędzał pracowite dni na badaniach naukowych, które przyniosły światu liczne korzyści. Pracował więc jednak dla ludzkości.

Obaj nasi panowie żyli w celibacie. Ojciec Murchison był członkiem zakonu anglikańskiego, który w regułach swych zabrania małżeństwa. Profesor Guildea miał niepochlebną opinię o wielu rzeczach, a szczególnie o kobietach. Zajmował najpierw stanowisko wykładowcy na uniwersytecie w Birmingham. Gdy sława jego jako odkrywcy wzrosła, przeniósł się do Londynu. Tutaj podczas wygłaszanej przez siebie prelekcji w dzielnicy East End spotkał po raz pierwszy Ojca Murchisona. Wymienili kilka słów. Być może, człowieka nauki uderzyła wybitna inteligencja Ojca, tym bardziej że skłonny był dotąd patrzeć z pewnym lekceważeniem na przedstawicieli kleru. Być może, pociągnęła go u tego duchownego pełna zdrowego rozsądku szczerść przekonań. Dość, że gdy opuszczał salę wykładową, zaprosił Ojca do swego domu przy Hyde Park Place. Ojciec, który rzadko odwiedzał West End, chyba że miał tam wygłosić kazanie, przyjął zaproszenie.

— Kiedy Ojciec przyjdzie? — zapytał Guildea, zwijając w rulonik niebieskie kartki, na których widniały notatki pisane drobnym, wyraźnym charakterem. Szelest kart towarzyszył suchemu, ostremu głosowi.

— W najbliższą niedzielę wieczorem mam kazanie w kościele Zbawiciela, niedaleko od pana — odpowiedział Ojciec.

— Ja nie chodzę do kościoła.

— Tak — powiedział Ojciec bez najmniejszego akcentu zdziwienia czy dezaprobaty.

— Niech Ojciec przyjdzie do mnie po kazaniu na kolację.

— Dziękuję. Przyjdę.

— O której to będzie godzinie?

Ojciec uśmiechnął się:

— Jak tylko skończę kazanie. Nabożeństwo zaczyna się o szóstej trzydzieści.

— A więc około ósmej, przypuszczam. Niech Ojciec nie wygłasza zbyt długiego kazania. Mieszkam przy Hyde Park Place 100. A więc dobrej nocy.

Profesor założył gumkę na rulon swych notatek i odszedł, nie zamieniwszy z księdzem uścisku dłoni.

W niedzielę Ojciec wygłosił kazanie do licznie zgromadzonych wiernych. Mówił na temat współczucia, mówił, że człowiek, który nie kocha bliźniego jak siebie samego, jest światu niepożyteczny. Kazanie było dość długie i gdy kaznodzieja — w swej obszernej, czarnej sutannie, w sztywnym kapeluszu o szerokim rondzie, z opadającymi końcami czarnych sznurów — siedł wreszcie w kierunku domu profesora, wskazówki oświetlonego zegara na

Marmurowym Łuku wskazywały dwadzieścia minut po ósmej.

Ojciec przyspieszył kroku, torując sobie drogę wśród tłumu żołnierzy, rozgadanych kobiet w odświętnych strojach i chichocących uliczników. Był ciepły, kwietniowy wieczór. Gdy Ojciec dotarł wreszcie do domu profesora, ten stał właśnie na progu oświetlonego przedpokoju, patrząc w stronę ogrodzenia parku, z gołą głową, wdychając świeże, wilgotne powietrze.

— Ha — powiedział profesor — kazanie było długie. Proszę, niech ksiądz wejdzie.

— Obawiam się, że mówiłem naprawdę zbyt długo — odpowiedział Ojciec wchodząc do mieszkania. — Jestem niebezpieczny. mówię bez przygotowania.

— To daleko bardziej interesujące dla słuchacza, mówić bez notatek. Jeśli Ojciec to potrafi, tym lepiej. Proszę powiesić swój płaszcz i kapelusz w przedpokoju. Zaraz podadzą nam kolację. Jadalnia jest tutaj.

Profesor otworzył drzwi z prawej strony. Weszli do wąskiego, długiego pokoju o złocistych tapetach i czarnym suficie, z którego zwieszała się elektryczna lampa ocieniona złotym kloszem. W pokoju stał niewielki owalny stół, nakryty na dwie osoby. Profesor nacisnął dzwonek i zagał rozmowę:

— Zdaje mi się, że się lepiej rozmawia przy stole owalnym niż przy prostokątnym.

— Naprawdę? A dlaczego?

— Zrobiłem doświadczenie. Dwa razy zaprosiłem tych samych gości. Za pierwszym razem siedzieliśmy przy stole kwadratowym, za drugim — przy owalnym. W pierwszym wypadku rozmowa rwała się, w drugim — rozwijała się znakomicie. Czy Ojciec zechce usiąść?

— Jakże pan tłumaczy sobie tę różnicę? — zapytał Ojciec, siadając i starannie podciągając szerokie poły swej sutanny.

— Hm... Wiem za to, jak Ojciec to tłumaczy.

— Naprawdę? Jak mianowicie?

— Przy stole owalnym, gdzie nie ma rogów, łańcuch sympatii ludzkiej — ów prąd elektryczny — jest bardziej kompletny i lepiej zwarty. Ale co tam mówić więcej! Niech Ojciec pozwoli swój talerz, naleję zupy.

Ojciec postawił przed sobą talerz z zupą i spojrzał swymi promiennymi, niebieskimi oczyma na profesora. Potem uśmiechnął się.

— Jak to? — powiedział swym przyjemnym tenorem. — Więc jednak chodzi pan czasem do kościoła?

— Dziś po raz pierwszy od wielu lat. I, proszę zapamiętać, wynudziłem się porządnie.

Ojciec uśmiechał się wciąż, a jego niebieskie oczy mrugały wesoło.

— Och, jakże się martwię! — powiedział.

— Byłem znudzony, ale nie kazaniem — mówił dalej profesor. — Nie, to nie jest komplement. Stwierdzam fakt: kazanie nie znudziło mnie. Powiedziałbym prawdę, gdyby tak było, albo też — nie powiedziałbym nic.

— A co wolałby pan zrobić?

— Sam nie wiem doprawdy.

Profesor uśmiechnął się niemal że wesoło.

— Jakie wino ksiądz pije?

— Dziękuję, żadnego. Jestem abstynentem. To jest konieczne ze względu na mój zawód i otoczenie, w którym przebywam. Poproszę o trochę wody sodowej. Chyba jednak powiedziałby pan prawdę.

— Bardzo możliwe. I źle bym zrobił. Księdza niewiele by to obeszło.

— Myślę, że tak.

Dobrze już im było ze sobą. Ojciec czuł się jak u siebie pod tym czarnym sufitem. Popijał wodę sodową, niemal z większym smakiem niż profesor wino.

— Pan się śmieje, jak widzę, z teorii łańcucha sympatii ludzkiej — mówił Ojciec. — W

takim razie, jak pan wyjaśni, że rozmowa podczas obiadu przy kwadratowym stole skończyła się fiaskiem, a przy owalnym powiodła się.

— Prawdopodobnie moi goście, gdy zaprosiłem ich pierwszy raz, cierpieli na jakąś dolegliwość wątroby, dlatego ich dowcip był tępy. Za drugim razem musieli być w doskonałej formie. A jednak, jak Ojciec widzi, stałem się zwolennikiem owalnego stołu.

— To znaczy, że...

— Och, to bardzo niewiele znaczy. Ale — muszę zauważyć, że pomijając rolę, jaką odgrywa wątroba w naszych uczuciach, popełnił Ojciec poważny błąd.

— Nie pragnąć sympatii ludzkiej jest jeszcze poważniejszym błędem.

— Skąd ta pewność, że nie mam takich pragnień?

— Domyślam się. Mówi mi o tym pańskie spojrzenie, pańskie zachowanie. Nie zgadzał się pan ani trochę z treścią mojego kazania, prawda?

— Przeciwnie, częściowo się zgadzałem.

Służący zmienił talerze. Był to szczupły mężczyzna w średnim wieku, blondyn o kamiennej, bladej twarzy, wypukłych oczach i doskonałych manierach. Gdy opuścił pokój, profesor ciągnął dalej:

— To co Ojciec mówił dziś na kazaniu, zainteresowało mnie, ale uważam, że było w tym dużo przesady.

— Na przykład?

— Niech Ojciec pozwoli, że przez chwilę będę mówił o sobie. Większa część mego życia upłynęła na ciężkiej, wyteżonej pracy. A wyniki tej pracy, zgodzi się Ojciec, okazały się dobroczynne dla ludzkości.

— Bez wątplenia — potwierdził Ojciec przebiegając myślą odkrycia profesora.

— A choć pracowałem z myślą wyłącznie o celu naukowym, rezultaty moich badań okazały się równie użyteczne dla ludzkości, jak gdybym je prowadził z miłości dla człowieka i jak gdybym — rządząc się uczuciami — pragnął zapewnić mu więcej wygód, niż dotąd posiadał. Jestem równie użyteczny, nie kierując się uczuciem, niż ci, którzy z miłości dla człowieka pragną uwalniać z więzienia morderców, lub — jak Tołstoj — gotowi są działać na rzecz tyranii, sprzeciwiając się karaniu tyranów.

— Słusznie. Uczuciem można wyrządzić wielką krzywdę, a wielkie dobro sprawić bez uczuć. Nawet dobre chęci nie wystarczają. Wiem. A jednak jestem zdania, że pan przy swoich wielkich zdolnościach i wiedzy mógłby być nieporównanie użyteczniejszy dla świata, gdyby dołożył pan do nich jeszcze uczucie, gorącą sympatię dla rodzaju ludzkiego. Wierzę, że wówczas praca pańska dawałaby jeszcze wspanialsze wyniki.

Profesor napełnił winem swój kieliszek.

— Czy Ojciec zwrócił uwagę na mojego lokaja?

— Tak.

— To jest doskonały służący. Dogadza mi całkowicie. A jednak nie czuję do niego szczególnej sympatii. Jestem dla niego zawsze grzeczny. Płacę mu dobrze. Ale nigdy o nim nie myślę, nigdy nie zajmuję się nim jako ludzką istotą. Nic o nim nie wiem prócz opinii jego ostatniego chlebobdawcy. Ojciec powiedziałby zapewne, że między nami nie ma ludzkiego stosunku. Ojciec na pewno jest zdania, że pracowałby on lepiej, gdybym postarał się, żeby polubił mnie tak jak człowiek należący do jednej klasy społecznej może polubić człowieka z innej.

— Oczywiście.

— A ja twierdzę, że nie pracowałby lepiej.

— No a gdyby wydarzyło się jakieś nieszczęście?

— Co?

— Jakieś nieszczęście, jakaś zmiana w pańskim życiu. Gdyby potrzebna była panu jego pomoc nie jako człowieka-lokaja, ale jako człowieka-brata? Prawdopodobnie zawiódłby pana

wówczas. Nigdy lokaj nie odda panu tej cennej ludzkiej usługi, jaką jest w stanie ofiarować człowiek szczerze przywiązany.

— Czy Ojciec skończył?

— Całkowicie.

— W takim razie chodźmy na górę. Tak, te ryciny są doskonałe; zdobyłem je w swoim czasie w Birmingham. Oto mój gabinet.

Weszli do ogromnego pokoju, którego ściany całkowicie wypełniały książki. Elektryczne oświetlenie było silne, jaskrawe. Okna wychodziły z jednej strony na park, z drugiej — na ogród sąsiedniego domu. W drugim pokoju, znacznie mniejszym, stało biurko zarzucone listami, broszurami i rękopisami. Na ścianie wisiała klatka, w której duża, popielata papuga zamysłona łażyła po prętach.

— A jednak ma pan ulubienca — powiedział zdziwiony Ojciec.

— Posiadam papugę — odpowiedział sucho profesor. — Nabyłem ją celowo w okresie, gdy prowadziłem badania nad zdolnościami naśladowczymi u ptaków. Nie pozbyłem się jej. Czy Ojciec zapali cygaro?

— Dziękuję.

Usiedli. Ojciec Murchison spoglądał na papugę. Przerwała właśnie swoją wędrówkę, przylgnęła do drutów klatki i przyglądała się obu panom z natężoną uwagą. Oczy miała okrągłe, inteligentne, lecz w żadnym razie sympatyczne. Z papugi przeniósł Ojciec wzrok na pana Guildea, który palił cygaro z głową odrzuconą do tyłu, a spiczasty podbródek, najeżony czarną bródką, wznosił do góry. Poruszał wciąż dolną wargą, co sprawiało, że drgająca broda wyglądała szczególnie zaczepnie. Nagle Ojciec roześmiał się cicho.

— Co się stało? — zawołał pan Guildea, opuszczając podniesiony do góry podbródek i patrząc przenikliwie na gościa.

— Pomyślałem właśnie, że tylko jakieś nieszczęście mogłoby spowodować, aby pan zaapelował do uczuć swego lokaja prosząc go o pomoc.

Guildea również się uśmiechnął.

— Ojciec ma rację. To byłoby nieszczęście.

Lokaj właśnie wchodził do pokoju z kawą. Podał ją dyskretnie i wysunął się jak cień.

— Wspaniały służący, bez ludzkich cech — zauważył Guildea.

— A ja wolę swojego chłopaka z East Endu, który załatwia mi różne sprawy. Znam wszystkie jego smutki. On zna niektóre z moich. Jesteśmy przyjaciółmi. Jest hałaśliwszy od pańskiego służącego, ale zrobiłby dla mnie znacznie więcej niż dokładanie węgla do kominka czy oczyszczenie moich butów.

— Ludzie nie są z jednej gliny. Dla mnie czyjaś troskliwość byłaby nie do zniesienia.

— A jak jest z tym ptakiem? — zapytał Ojciec, wskazując na papugę, która stała z jedną łapą wzniesioną niemal że błogosławiącym gestem i patrzyła uparcie na profesora.

— To jest troskliwe oko naśladowcy pragnącego powtórzyć dokładnie jakieś osobliwe gesty innych. Mniejsza z tym. Wie Ojciec, naprawdę uważam to dzisiejsze kazanie Ojca za mądre, bardzo odświeżające umysł. Ale ja nie odczuwam żadnej potrzeby uczucia. Owszem, jakaś umiarkowana, rozsądna sympatia mogłaby być pożądana. — W tym momencie profesor targnął palcami brodę, jak gdyby sam się przestrzegał przed sentymentalnością. — Ale już coś więcej byłoby niemożliwie nudne i męczące, pchnęłoby mnie — jestem pewny — do okrucieństwa. To by także przeszkadzało w pracy.

— Nie wydaje mi się...

— Owszem, w tego rodzaju pracy, jaką ja uprawiam. A będę kontynuował ją dla dobra świata, choć go nie kocham, on zaś będzie z niej korzystał, nie darząc mnie miłością. Jest tak, jak powinno być.

Wypił swoją kawę. Potem dodał, niemal wojowniczo:

— Nie mam ani czasu, ani skłonności do sentymentów.

Gdy Ojciec wychodził, profesor odprowadził go do drzwi i tu zatrzymali się na chwilę. Ojciec spoglądał poprzez mokrą od deszczu ulicę na park.

— Jak widzę, brama parku znajduje się akurat na wprost pańskiego domu — zauważył.

— Tak. Wymykam się tamtędy często na przechadzkę, aby dać odpoczynek mózgowi. Dobranoc Ojcu. Proszę przyjść któregoś dnia.

— Z przyjemnością, dobranoc — odpowiedział Ojciec i ruszył swoją drogą, zostawiając profesora stojącego jeszcze na progu.

Odtąd Ojciec Murchison przychodził często na Hyde Park Place numer 100. Lubił on większość ludzi, których znał, a wszystkich obdarzał pewną czułością. W stosunku do profesora natomiast miał specjalny rodzaj uczucia, coś niby litość. Żałował tego ciężko pracującego, wybitnego człowieka o świetnym mózgu i odważnym sercu, który nigdy nie zdradzał przygnębienia, nie chciał niczyjej pomocy, nie skarżył się na zawilości swego życia i nie narzekał na przeszkody hamujące postęp jego prac. Ojciec żałował profesora dlatego, że profesor miał tak niewiele pragnień. Nawet powiedział mu o tym, gdyż stosunki obu mężczyzn od początku cechowała wyjątkowa szczerłość.

Któregoś wieczoru, gdy rozmawiali, Ojciec wskazał na pewną osobliwość życia: ci, którzy nie pożądamy czegoś — często to otrzymują, podczas gdy inni, poszukujący gorączkowo i namiętnie, doznają w swych poszukiwaniach zawodu.

— W takim razie — powiedział Guildea, uśmiechając się nieco posępnie — powinienem zostać obdarzony cudzymi uczuciami, bo... brzydzą się nimi.

— Być może kiedyś...

— Na szczęście nie spodziewam się tego.

Na razie Ojciec Murchison nie odpowiedział. Uważnie wiązał końce szerokiego pasa, jakim ściągnięta była jego sutanna. Gdy zaczął mówić, zdawało się, że udziela komuś odpowiedzi.

— Tak — mówił powoli. — Tak. Tego właśnie doznają: uczucia litości.

— Dla kogo? — wtrącił profesor.

Nagle zrozumiał. Nie powiedział tego, że zrozumiał, lecz Ojciec wyczuł, że nie potrzebuje już odpowiadać na pytanie. I w ten dziwny sposób Guildea dowiedział się, że człowiek ten, będący jego przeciwieństwem pod każdym względem, mu współczuje.

Nie miał nic przeciwko temu. Niewiele go to obeszło. I to właśnie najlepiej uwydatniało szczególną obojętność jego natury.

II

Pewnego jesiennego wieczoru, w półtora roku po pierwszym spotkaniu Ojca Murchisona z profesorem Guildea, Ojciec zapukał do willi przy Hyde Park Place. Otworzył mu Pitting, ów jasnowłosy lokaj o kamiennej twarzy. Zapytany o profesora, powiedział:

— Tak, proszę Ojca, profesor jest w domu. Proszę za mną. — Poszedł bezszelestnie po wąskich schodach na pierwsze piętro, ostrożnie otworzył drzwi do gabinetu i zaanonsował swoim przytłumionym, chłodnym głosem:

— Ojciec Murchison.

Guildea siedział w fotelu przed niewielkim kominkiem. Oparł na kolanach ręce o długich, cienkich palcach, głowę miał opuszczoną na piersi. Zdawał się być głęboko zamyślony. Pitting podniósł nieco głos:

— Ojciec Murchison przyszedł z wizytą, proszę pana — powtórzył.

Profesor poderwał się szybko.

— Ach, to Ojciec — powiedział. — Jakże rad Ojca widzę. Proszę siadać tu, przy kominku.

Ojciec spojrział na niego i pomyślał, że profesor miał twarz człowieka niezwykle zmęczonego.

— Nie wygląda pan dziś dobrze — powiedział.

— Naprawdę?

— Musiał pan zbyt dużo pracować. A może ten wykład, który ma pan wygłosić wkrótce w Paryżu, nie daje panu spokoju?

— Nie, ani trochę. Wszystko już załatwione. Mógłbym wygłosić go tu, w tej chwili, przed Ojcem. Proszę, niech Ojciec siada.

Gdy gość usiadł, profesor zagłębił się w swoim fotelu i milczał, wpatrzony w płomienie. Zdawał się głęboko namyślać. Przyjaciel nie przerywał milczenia; bez pośpiechu wyjął fajkę i zapalił. Oczy profesora wlepione były w ogień. Ojciec rozglądał się po pokoju; spojrzął na ściany wyłożone ciemno oprawnymi książkami, na biurko zarzucone papierami, na okna, przesłonięte storami z ciężkiego, granatowego brokatu, wreszcie na klatkę, umieszczoną między oknami. Klatka osłonięta była grubym, zielonym sukmem. Ojciec zdziwił się: po co? Nigdy dotąd nie widział Napoleona — takie imię miała papuga — zasłoniętego na noc.

Nagle Guildea potrząsnął głową, zdjął ręce z kolan, złożył je i krótko zapytał:

— Sądzi Ojciec, że jestem człowiekiem interesującym?

Ojciec Murchison znieruchomiał. Zdumiało go to pytanie wychodzące z ust takiego człowieka.

— O nieba! — wykrzyknął. — Co się panu stało? I w jakim sensie? Myśli pan: interesujący dla drugiej płci?

— Właśnie tego nie wiem — odpowiedział posepnie profesor. I powtórzył znów, patrząc w ogień: — Tego właśnie nie wiem.

Ojciec zdumiał się jeszcze bardziej. Wykrzyknął:

— Tego pan nie wie! — I odłożył fajkę.

— Chwileczkę. Czy sądzi Ojciec, że jest we mnie coś tak atrakcyjnego, co mogłoby przyciągać do mnie jakąś istotę ludzką czy zwierzęcą?... Przyciągać nieodparcie...

— Bez względu na to, czy pan tego pragnie?

— Właśnie. Chociaż, ściślej mówiąc, jeśli tego nie pragnę...

Ojciec Murchison przygryzł swoje dosyć pełne wargi, a drobne zmarszczki pojawiły się w kącikach jego niebieskich oczu.

— Może się zdarzyć i tak — powiedział po krótkim namyśle. — Natura ludzka jest słaba, zadziwiająco słaba, profesorze. A pan ma skłonności, żeby z niej szydzić. No, mogę sobie wyobrazić pewien rodzaj kobiet z gatunku tych, co to szukają podbojów, lub z gatunku intelektualistek... Pan rozumie, pańska sława, pańskie wielkie imię...

— Tak, tak — przerwał Guildea — o tym wszystkim wiem sam. Wiem.

Splótł długie, szczupłe palce i wykręcił je, aż zatrzeszczały. Czoło jego pokryło się z zmarszczkami.

— Wyobrażam sobie — zatrzymał się na chwilę i sucho zakaszłał — Wyobrażam sobie, jak by to było nieprzyjemnie, gdybym się podobał, gdyby za mną latało — tak to się zwykle określa, prawda? — coś, czego nie chcę...

To powiedziawszy profesor zmienił pozycję w fotelu, założył nogę na nogę i spojrzął na swego gościa niezwykle natarczywie.

— C-o-ś? — zapytał Ojciec.

— Powiedzmy ktoś. Chyba nie ma nic bardziej nieprzyjemnego?

— Dla pana, nie — zauważył Ojciec. — Lecz, niech mi pan wybaczy, profesorze, nie mogę zrozumieć, że panu powstała w głowie taka myśl. Przecież to byłby intruz! Pan przecież nie zachęca do adoracji..

Guildea posepnie kiwnął głową.

— Nie, nie zachęcam. Na pewno nie. I to jest właśnie ciekawe, że ja...

Urwał zdecydowanie. Wstał. Wyprostował się.

— Ja też zapalę fajkę — powiedział.

Podszedł do kominka, wziął z gzymsu fajkę, napełnił tytoniem, zapalił. Trzymając zapalniczkę przy fajce, pochylony nieco, z wyraźnym w całej postawie i w twarzy pytaniem, rzucił okiem na zielone sukno nakrywające klatkę Napoleona. Potem rzucił zapalniczkę na ruszt kominka, wypuścił kłęb dymu i podszedł do klatki. Wyciągnął rękę, chwycił brzeg sukna i zaczął je ściągać. Nagle — z powrotem nasunął sukno na klatkę.

— Nie — powiedział, jakby do siebie. — Nie. — Szybkim krokiem wrócił do kominka i ciężko opuszczył się na fotel.

— Ojciec jest pewno zdziwiony — rzekł do swego gościa. — Ja również. Sam nie wiem, nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Więc po prostu opowiem Ojcu same fakty, a Ojciec mi powie, co o tym sądzi. Przedwczoraj bardzo dużo pracowałem, nie więcej zresztą niż zwykle. Wieczorem podszedłem do frontowych drzwi, aby wyjrzeć i chwycić w płuca trochę świeżego powietrza. Ojciec wie, ja to często robię.

— Tak. Gdy przyszedłem tu po raz pierwszy, spotkałem pana właśnie na progu tych drzwi.

— Właśnie. Nie włożyłem ani kapelusza, ani palta. Wyszedłem, jak stałem. Głowę miałem ciągle jeszcze zaprzątniętą pracą. Noc była dość ciemna. Godzina jedenasta, może kwadrans po. I nagle zdałem sobie sprawę, że patrzę na kogoś, kto siedział tyłem do mnie na jednej z ławek w parku. Zobaczyłem osobę — jeśli to, co widziałem, było osobą — poprzez ogrodzenie.

— Jeśli to była osoba! — powtórzył Ojciec. — Co pan przez to rozumie?

— Niech Ojciec chwilkę zaczeka. Mówię tak, bo było zbyt ciemno, żebym mógł powiedzieć na pewno. Po prostu zobaczyłem na ławce jakiś czarniawy przedmiot, wystający ponad oparcie ławki. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy był to mężczyzna, kobieta czy dziecko. Ale coś było i ja patrzyłem na to.

— Rozumiem.

— Stopniowo uświadomiłem sobie, że myśli moje skupiają się na tym przedmiocie czy osobie. Zacząłem myśleć: co „ono” tu robi, o czym myśli, jak wygląda?

— Na pewno jakaś biedna bezdomna istota ludzka. Tak przypuszczam — powiedział Ojciec.

— To samo sobie wówczas powiedziałem. A jednak przedmiot ten zainteresował mnie ogromnie, zainteresował mnie tak dalece, że wzięłem kapelusz i ruszyłem do parku. Jak Ojciec wie, naprzeciw mego domu jest wejście do parku. Przeszedłem więc jezdnię, przekroczyłem bramę parku, podszedłem do ławki i... nic na niej nie było.

— Czy idąc do parku patrzył pan na ławkę?

— Tak, przynajmniej z początku. Odwróciłem od niej oczy w chwili, gdy mijałem bramę, bo właśnie wtedy spostrzegłem w pewnej odległości grupę sprzeczekających się ludzi i przez moment patrzyłem na nich. Gdy zobaczyłem, że ławka była pusta, doznałem absurdałnego uczucia zawodu i prawie... złości. Stałem i rozglądałem się bacznie, czy nie dojrzę czegoś w pobliżu, czy nie usłyszę jakiegoś szelestu. Noc była mglista, nie mogłem dojrzeć niczego. Wciąż czułem się głupio i nienaturalnie zawiedziony. Tą samą drogą wróciłem do domu. Gdy przybyłem na miejsce, zastałem drzwi do mego domu otwarte. Tak, zostawiłem je na pół otwarte wychodząc.

— Cóż, to wielka nieostrożność. W Londynie!...

— Tak. Oczywiście nie miałem o tym pojęcia, aż do chwili powrotu. Co prawda, nie było mnie zaledwie ze trzy minuty. Najwyżej.

— Tak.

— Nie przypuszczam, żeby ktoś zdołał wejść do środka.

— Chyba nie.

— Ojciec jest tego pewny?

— Dlaczego pan pyta, profesorze?

— No, tak...

— Zresztą, gdyby ktokolwiek był wszedł, złapałby go pan po powrocie. Na pewno.

Guildea znów zakaszał. Ojciec, zdziwiony, nie mógł nie dostrzec, że profesor był mocno zdenerwowany i że odbijało się to na jego fizycznym stanie.

— Musiałem zaziębić się tamtego wieczoru — powiedział profesor, jak gdyby czytał myśli przyjaciela i usiłował im zaprzeczyć.

Potem powiedział:

— Wszedłem do sieni, a raczej na korytarz.

Znowu przerwał. Widać było, z jaką trudnością mówi.

— I... czy pan tam kogoś zastał? — spytał Ojciec.

Guildea przełknął ślinę.

— Właśnie to... właśnie o tym chcę mówić. Ojciec wie, nie jestem człowiekiem, którego ponosi wyobraźnia.

— Na pewno nie.

— Otóż zanim jeszcze wszedłem do korytarza, poczułem, że ktoś w czasie mej nieobecności dostał się do tego domu. Byłem o tym przekonany. Co więcej, miałem przeświadczenie, że tym intruzem był ktoś, kogo widziałem w parku na ławce. Co Ojciec o tym myśli?

— Zaczynam myśleć, że pan ma jednak bujną wyobraźnię.

— Hm... Wie Ojciec, wydało mi się, że ta osoba z ławki w parku i ja powzięliśmy jednocześnie zamiar ucięcia rozmowy i że zamiar ten postanowiliśmy natychmiast spełnić. Byłem tego tak pewny, że szybko poszedłem do tego pokoju; byłem absolutnie przekonany, że tu, na górze, czeka na mnie ów gość. Ale nie zastałem tu nikogo. Wtedy zszedłem na dół z powrotem i wszedłem do stołowego. Znowu nikogo. Byłem naprawdę zdumiony. Czyż to nie dziwne?

— Bardzo — odpowiedział poważnie Ojciec.

Chłodne i posępne zachowanie profesora, jego wyraźne skrepowanie, gdy opowiadał o tym zdarzeniu, nie dopuszczały iskry humoru, który tkwił w samym temacie rozmowy.

— I znowu poszedłem na górę — mówił dalej profesor — usiadłem i w myślach odtwarzałem wszystko, co się stało. Postanowiłem zapomnieć o tym. Wziąłem książkę. Być może zdołałbym skupić uwagę na czytaniu, lecz nagle wydało mi się, że...

Urwał gwałtownie. Ojciec Murchison dostrzegł, że wzrok profesora pobiegł ku zielonej zasłonie przykrywającej klatkę.

— Ale mniejsza z tym. Dość, że nie mogłem czytać. Postanowiłem przeszukać dom. Ojciec wie, dom ten jest niewielki, łatwo zrobić w nim przegląd. Udałem się na poszukiwanie. Wchodziłem do każdego pokoju bez wyjątku. Służba jadła akurat kolację, rzuciłem im parę słów wyjaśnienia. Musieli być bardzo zdziwieni moim przyjściem, niewątpliwie.

— A Pitting?

— Och, on grzecznie wstał, gdy wszedłem, stał przez cały czas mojej „wizyty”, ale nie odezwał się ani słowem. Wymruczałem: „nie przeszkadzajcie sobie” czy coś w tym rodzaju i wyszedłem. I — proszę Ojca — nikogo obcego w domu nie znalazłem, a mimo to wróciłem do tego pokoju całkowicie przekonany, że ktoś wszedł w czasie mej krótkiej nieobecności.

— I wszedł, zanim pan wrócił?

— Nie, pozostał i nadal był w domu.

— Ależ, mój drogi profesorze — zaczął Ojciec, wielce zdumiony. — Na pewno...

— Wiem, co Ojciec chce powiedzieć. Właśnie to, co ja powiedziałbym, gdybym był na miejscu Ojca. Ale proszę zaczekać. Ja jestem w dodatku przekonany, że gość ten nie opuścił tego domu i że jest w nim w tej chwili.

Mówił z wyraźną szczerością, niezwykle poważnie. Ojciec Murchison patrzył mu pro-

sto w twarz, prosto w jego chłodne, przytomne oczy.

— Nie — ciągnął profesor, jak by w odpowiedzi na nie sformułowane pytanie przyjaciela. — Jestem całkowicie zdrow na umyśle. Ta cała sprawa przedstawia mi się równie niewiarygodnie, jak musi wyglądać w oczach Ojca. Lecz jak Ojciec wie, ja nigdy nie przeciwstawiam się faktom, nawet dziwnym. Staram się jedynie zbadać je dokładnie. Byłem już u lekarza: upewnił mnie, że jestem zupełnie zdrow.

Przerwał, jakby czekając, co ma do powiedzenia Murchison.

— Niech pan mówi dalej, profesorze. Pan nie skończył...

— Tej nocy czułem, że ktoś wszedł do domu i pozostał w nim. Byłem o tym przekonany i to przekonanie wzrastało we mnie. Położyłem się spać i wbrew przewidywaniom spałem równie dobrze jak zwykle. Ale ledwie obudziłem się wczoraj rano, wiedziałem, że w moim domu przebywa jedna osoba więcej.

— Czy mogę panu przerwać? Skąd pan o tym wiedział?

— Wyraźnie to czułem. Mogę tyle tylko powiedzieć, że byłem doskonale świadomy obecności obcej osoby w obrębie mojego domu, w pobliżu mnie.

— To bardzo dziwne — powiedział Ojciec. — Czy na pewno nie jest pan przepracowany? Czy mózg pański nie jest zmęczony? Czy jasno pan rozumuje?

— Najzupełniej. Nigdy nie czułem się lepiej. Gdy zszedłem rankiem na śniadanie, spojrzałem badawczo w twarz Pittinga. Była równie chłodna, spokojna i bez wyrazu jak zwykle. Umysł jego na pewno nie był niczym wzburzony. Po śniadaniu zasiadłem do pracy, przez cały czas bez przerwy świadom obecności tego intruza. Niemniej pracowałem kilka godzin, czekając jak gdyby dalszego ciągu czegoś, co rozwiłoby mrok tajemnicy wokół tego wydarzenia. Zjadłem obiad. Około pół do trzeciej musiałem wyjść z domu na wykład. Wziąłem płaszcz i kapelusz, otworzyłem drzwi i wyszedłem na ulicę. Natychmiast uświadomiłem sobie, że intruz zniknął, uświadomiłem to sobie, aczkolwiek byłem przecież na ulicy, otoczony ludźmi. Wtedy poczułem z absolutną pewnością, że ta istota w moim domu musi o mnie myśleć, że może nawet mnie szpieguje...

— Chwileczkę — przerwał Ojciec. — Co pan odczuwał? Czy może coś w rodzaju strachu?

— Ależ nie. Byłem tylko ogromnie zaskoczony i zaciekawiony, ale nie czułem lęku. Odbyłem wykład równie łatwo jak zwykle i wieczorem wróciłem do domu. Wchodząc do domu byłem doskonale świadom, że intruz nadal w nim przebywa. Ubiegłego wieczoru sam jeden zasiadłem do stołu, a godziny po kolacji spędziłem na czytaniu naukowego dzieła, które interesowało mnie ogromnie. Ale podczas czytania ani na chwilę nie straciłem świadomości, że ktoś — niezmiernie mną zaprzętnięty — był tuż obok mnie. Powiedziałbym nawet, że wrażenie to potęgowało się nieustannie i w chwili, gdy wstałem, aby pójść spać, nasunął mi się bardzo dziwny wniosek.

— Jaki? Jaki to był wniosek?

— Że ten ktoś czy coś, kto wszedł do tego domu w czasie mej krótkiej nieobecności, był mną bardzo, był mną więcej niż zainteresowany!

— Więcej niż zainteresowany?

— Lubił mnie albo zaczynał mnie lubić...

— O! — wykrzyknął Ojciec. — Teraz rozumiem, dlaczego spytał mnie pan, czy jest w panu coś, co mogłoby przyciągać nieodparcie jakąś istotę ludzką albo zwierzęcą.

— Tak. Skoro tylko nasunął mi się ten wniosek, to wyznać muszę, proszę Ojca, że moja zaostrzona ciekawość zabarwiła się innym jeszcze uczuciem...

— Uczuciem strachu?

— Nie. Jakiejś odrazy, zniecierpliwienia. Ale strachu — nie, nie... — Guilda znowu spojrział na klatkę z papugą. — Czego miałbym się bać? — dodał. — Nie jestem dzieckiem, żeby drzeć przed zjawami.

Przy ostatnich słowach profesor podniósł głos. Potem podszedł prędko do klatki i szybkim, zdecydowanym ruchem zerwał z niej zielone sukno. Ukazał się Napoleon wyraźnie drzemiący, z głową lekko przechyloną na bok. Ożywił się pod wpływem światła, poruszył się, nastroszył pióra wokół szyi, zmrużył oczy i począł przesuwać się bokiem po grzędzie w tę i tamtą stronę, a głową rzucał naprzód i w tył z wyrazem energii i bezsensownej zarozumiałości. Guildea stał przy klatce, bacznie wpatrując się w papugę z uwagą tak natężoną, że aż nienaturalną.

— Jakie te ptaki nedorzeczne — powiedział wreszcie, wracając do kominka.

— Nie ma mi pan już nic więcej do powiedzenia? — spytał Ojciec.

— Tyle, że nie opuszcza mnie świadomość czyjejś obecności w moim domu. I czuję wyteżoną uwagę, skupioną na sobie. Jestem nadal zirytowany, powiem nawet, poważnie rozdrażniony.

— I nawet teraz czuje pan obecność kogoś obcego?

— Tak, również i w tej chwili.

— Czy pan przez to rozumie, że właśnie w tym pokoju, tu, przy nas?

— Muszę powiedzieć: tak. W każdym razie blisko nas.

Znowu zerknął szybko, niemal podejrzliwie, w kierunku klatki. Ptak siedział teraz spokojnie na grzędzie. Głowę miał pochyloną i przekrzywioną nieco na bok i zdawał się uważnie czegoś nasłuchiwać.

— Ten ptak będzie jutro naśladował ton mojego głosu jeszcze poprawniej niż dotychczas — powiedział Ojciec, patrząc uważnie na profesora swymi łagodnymi, niebieskimi oczami. — A zawsze naśladował mnie bardzo umiejętnie.

Profesor drgnął lekko.

— Tak — powiedział. — Tak, bez wątpienia. No dobrze, ale co Ojciec myśli o mojej sprawie?

— Nic. Dosłownie nic. To się absolutnie nie da wytłumaczyć. Mogę być z panem szczerzy, prawda?

— Oczywiście. Przecież dlatego to Ojcu opowiedziałem.

— Prawdopodobnie jest pan przepracowany, przemęczony, wcale o tym nie wiedząc.

— Więc według Ojca doktor omylił się, mówiąc, że wszystko ze mną w porządku?

— Tak.

Guildea wystukał popiół z fajki o kominek.

— Być może — powiedział. — Nie jestem tak nierozsądny, by zaprzeczyć takiej możliwości, chociaż nigdy w życiu nic czułem się równie dobrze jak teraz. Co mi Ojciec radzi?

— Tydzień kompletnego wypoczynku, i to daleko od Londynu, w dobrym powietrzu.

— Tak, zwykła recepta. Dobrze. Pojadę jutro do Westgate, a na gospodarstwie zostawię Napoleona.

Ojciec ucieszył się, ale ostatnie słowa profesora, sam nie wiedział dlaczego, zmniejszyły, prawie zniweczyły to zadowolenie.

Tego wieczoru, idąc do domu, Ojciec zagłębił się w myślach, przypominając sobie i rozważając dokładnie przebieg swojej pierwszej wizyty u profesora przed półtora rokiem.

Nazajutrz profesor opuścił Londyn.

III

Ojciec Murchison był człowiekiem tak zapracowanym, że niewiele miał czasu na rozmyślanie o cudzych sprawach. A jednak w czasie nieobecności profesora myślał o nim dużo, ze zdumieniem i lękiem. Lęk wkrótce odegnał. Pozbył się go wiedząc, że strach to niepożądany towarzysz duszy. Lecz zdumienie pozostało, a nawet rosło. Guildea wyjechał z Londynu w

czwartek. Powrócił w następny czwartek, uprzedzając przedtem krótką kartką Ojca. Gdy pociąg wjechał na dworzec Victoria o godzinie piątej, profesor zdziwił się, widząc postać w sutannie, stojącą na peronie tuż za szeregiem tragarzy.

— Kogo widzę! — zawołał. — Ojciec tutaj? Czemu to mam zawdzięczać?

Uścisnęli sobie dłonie.

— Tak się złożyło, że musiałem być w pobliżu tego dworca. Odwiedzałem chorego. Pomyślałem więc, że wyjdę na spotkanie pana.

— A może i ja też jestem... chory, co?

To mówiąc spojrzął na Ojca przyjaźnie, lecz zaśmiał się krótkim, suchym śmiechem.

— Chory? — powtórzył Murchison patrząc na niego z zainteresowaniem. — Nie wydaje mi się. Wygląda pan doskonale.

Morskie powietrze pokryło brązem chude policzki profesora. Jego bystre oczy błyszcząły życiem i energią. Szedł wyprostowany w swym szarym garniturze i lekkim płaszczu bez trudu dźwigając w lewej ręce dobrze wypakowany sakwojaż. Ojciec poczuł się całkiem uspokojony.

— Nigdy nie wyglądał pan lepiej — powiedział.

— I nigdy nie czułem się lepiej. Czy Ojciec może spędzić ze mną godzinę?

— Nawet dwie.

— Świetnie. Zaraz odeślę bagaż dorożką, a my sobie pójdziemy piechotą przez park do domu na szklankę herbaty. Co Ojciec o tym myśli?

— Bardzo będę rad.

Minęli stojących koło dworca gazeciarzy i dziewczyny sprzedające kwiaty. Poszli w kierunku Grosvenor Place.

— Dobrze spędził pan czas? — spytał Ojciec.

— Dość przyjemnie, tylko samotnie... Pozostawiłem swego towarzysza w przedpokoju pod numerem 100, wie Ojciec.

— Nie znajdzie go pan już teraz, jestem pewien.

— Proszę! — wykrzyknął profesor. — Ojciec uważa mnie za kompletnego słabeusza.

Przyspieszył kroku, jak gdyby chciał podkreślić, że pełen jest wigoru.

— Za słabeusza, nie. Ale człowiek, który tak uporczywie wytęża swój mózg, musi mieć od czasu do czasu odpoczynek.

— A mnie był on koniecznie potrzebny, co?

— Tak, moim zdaniem był potrzebny.

— No więc miałem odpoczynek. A teraz zobaczymy.

Zmierzch zapadał szybko. Przeszli przez ulicę koło Hyde Parku i weszli do ogrodu. Szły tędy tłumy ludzi, śpieszących po pracy do domu. Szli mężczyźni w drelichowych spodniach umazanych u dołu błotem, niosąc metalowe puszkę, przerzucone przez ramię, i płaskie koszyki, w których leżały ich narzędzia pracy. Młodzi, idąc, rozmawiali głośno lub przeraźliwie gwizdali.

— Dopóki nie nadejdzie wieczór... — szepnął Ojciec Murchison sam do siebie.

— Co? — zapytał Guildea.

— Och, nic. Zacytowałem tylko ostatnie słowa tekstu wpisanego w każde życie ludzkie: „Człowiek podąża do swej pracy, do swego mozołu...”

— Wcale nieźle mieć takich chłopaków jako audytorium. Wielu z nich przyszło właśnie na ów odczyt, jaki wygłaszałem w dniu naszego pierwszego spotkania. Pamiętam ich. Jeden z nich usiłował mnie wydrwić. Miał rudą brodę. Mężczyźni o rudych brodach to zawsze kpiarze. Rozłożyłem go w dyskusji kompletnie. No a teraz, proszę Ojca, zobaczymy...

— Co?

— Czy mój towarzysz się wyniósł...

— Niech mi pan powie, czy doprawdy znów będzie pan musiał o tym myśleć?

— Ho, ho, jak starannie dobiera Ojciec wyrazy. Nie, ja się tylko zastanawiam.

— Nie ma pan żadnych obaw?

— Nie mam. Chociaż muszę wyznać, że odczuwam pewne zaciekawienie.

— Więc morskie powietrze na nic się nie przydało? Nie doszedł pan do wniosku, że to wszystko, że cała ta rzecz była jedynie wynikiem zmęczenia?

— Nie — odpowiedział sucho Guildea. Szedł jakiś czas w milczeniu. Potem dodał: — Ojciec miał nadzieję, że dojdę do takiego wniosku?

— Tak myślałem.

— ...że uznam, iż uległem chorobliwej, ponurej, rozigranej wyobraźni? Co? Proszę bardzo, niech ksiądz przyzna szczerze, że wysłał mnie do Westgate po to, abym się pozbył ostrej formy hysterii?

Ojciec spokojnie wytrzymał uderzenie.

— Ależ, profesorze — odpowiedział — niech się pan zastanowi, co miałem myśleć? Nie widziałem u pana cienia hysterii, nigdy jej nie dostrzegłem. Jest pan ostatnim człowiekiem, którego posądzałbym o taką chorobę. Lecz, jak pan myśli, co byłoby bardziej naturalne: podejrzewać o histerię czy wierzyć w prawdziwość pańskiego opowiadania.

— A to mi Ojciec dociął! Cóż, nie mam prawa się skarżyć... Ale teraz jestem chyba wolny od hysterii, prawda?

— A dom pański od nieznanego intruza, mam nadzieję.

Ostatnie słowa Ojciec Murchison wypowiedział z wielką powagą, porzucając półzartobliwy ton, jakim obaj dotąd mówili.

— Bierze Ojciec tę sprawę bardzo serio, jak widzę — powiedział Guildea również poważniejszym tonem.

— A jakże miałbym ją brać? Nie przypuszcza pan, że mógłbym się śmiać, skoro pan przykłada do niej wagę.

— Jeśli mego gościa zastaniemy jeszcze w domu, poproszę Ojca o wygnanie go egzorcyzmami. Ale przedtem muszę zrobić jedno.

— Co, mianowicie?

— Dowieść Ojcu i sobie, że jest on tam nadal.

— To byłoby dość trudne — powiedział Ojciec, nader zdziwiony rzeczowym tonem profesora.

— Nie wiem. Jeśli pozostał w moim domu, znajdę chyba sposoby. A muszę dodać, że bynajmniej nie będę zdziwiony, jeśli go tam zastanę pomimo... powietrza w Westgate.

Wymawiając ostatnie słowa, profesor znowu wpadł w ton na poły żartobliwy. Ojciec nie był w stanie zdecydować, czy profesor był w nastroju niezwyklej powagi, czy niezwyklej wesołości. W miarę jak zbliżali się do Hyde Park Place, rozmowa zamierała. W gęstniejącej ciemności wieczoru szli milcząc.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział wreszcie Guildea. Włożył klucz w zamek, otworzył drzwi i wpuścił Ojca przed sobą. Zatrzasnął drzwi.

— Otóż i jesteśmy — powtórzył głośnie. Światło elektryczne było już zapalone, czekało na niego. Profesor stał w miejscu i rozglądał się dokoła.

— Za chwilę wypijemy herbatę — powiedział. — A oto i Pitting.

Blady lokaj, który usłyszał trzaśnięcie drzwiami, schodził cicho ze schodów prowadzących do kuchni. Z szacunkiem powitał swego pana, wziął płaszcze obu i powiesił je na wieszaku.

— Wszystko w porządku, Pitting? Bez zmian? — zapytał Guildea.

— Tak jest, proszę pana.

— Proszę nam przynieść herbatę do gabinetu.

— Dobrze, proszę pana.

Pitting wyszedł. Guildea poczekał, aż zniknie, potem otworzył drzwi do stołowego i

przez chwilę patrzył w głąb pokoju. Gdy znalazł się na korytarzu i zamknął drzwi za sobą, powiedział:

— Chodźmy na górę.

Ojciec Murchison spojrział nań pytająco, lecz nic nie powiedział. Weszli do gabinetu. Guildea bystro rozejrzał się po pokoju. W kominku palił się ogień. Granatowe story były zaciągnięte. Jasny strumień silnego światła elektrycznego padał na długie rzędy książek, na uporządkowane biurko, na odsłoniętą klatkę z papugą. Napoleon siedział zgarbiony na grzędzie, pióra miał nastroszone. Długie palce, pokryte jakby krokodylą skórą, zacisnął mocno dokoła poprzeczki. Okrągłe, mrugające oczy były przymglone jak oczy starców. Guildea twardo spojrział na ptaka i mlasnął językiem. Napoleon drgnął, podniósł jedną nonę, rozcapierzył palce, przesunął się bokiem ku prętom klatki najbliższym profesora i wysunął ku niemu głowę. Guildea parę razy pogłodził wskazującym palcem główkę ptaka, przez cały czas nie spuszczając zeń oka. Potem podszedł do kominka, akurat w chwili, gdy wchodził Pitting z tacą.

Ojciec Murchison siedział już na fotelu przy kominku. Guildea siadł na drugim i zaczął nalewać herbatę. Pitting wyszedł z pokoju, cichutko zamykając za sobą drzwi. Ojciec przełknął łyk herbaty, uznał, że jest za gorąca, i odstawił ją na stojący obok stół.

— Lubi pan tę papugę, prawda? — zapytał profesora.

— Nie za bardzo. Czasem zaciekawia mnie, gdy ją obserwuję. Papuzi umysł i natura są doprawdy szczególne.

— Od jak dawna pan ją posiada?

— Około czterech lat. Już właściwie miałem się z nią rozstać. Było to, zanim poznałem Ojca. Teraz jestem zadowolony, że ją zatrzymałem.

— Doprawdy? A dlaczego?

— Powiem to Ojcu jutro lub pojutrze.

Ojciec wziął do rąk filiżankę z herbatą. Nie nalegał, żeby Guildea udzielił mu natychmiastowego wyjaśnienia, lecz gdy skończyli pić, zapytał:

— No więc jak? Czy morskie powietrze wywarło pożądaną wpływ?

— Nie — odrzekł Guildea.

Ojciec strzepnął kilka okruszyn ze swej sutanny i poprawił się w fotelu.

— Więc pański gość jest tutaj nadal? — Gdy pytał, jego niebieskie oczy straciły swą zwykłą łagodność. Patrzył na przyjaciela przenikliwie.

— Tak — odpowiedział Guildea spokojnie.

— Skąd pan o tym wie? Kiedy pan się o tym przekonał? Czy w chwili, gdy pan zaglądał do pokoju stołowego?

— Nie. Dopiero gdy przyszedłem do tego pokoju, „on” powitał mnie tutaj.

— Powitał pana! W jaki sposób?

— Po prostu dając mi odczuć, że jest tutaj. Tak jak się wyczuwa czyjąś obecność, wchodząc do ciemnego pokoju.

Mówił spokojnie, rozsądnie, w swój zwykły, nieco suchy sposób.

— Bardzo dobrze — powiedział Ojciec. — Nie będę próbował spierać się o pańskie doznania ani zaprzeczać im. Po prostu jestem oszołomiony.

— Ja też. Nic w moim życiu nie zdumiewało mnie równie mocno. Wiem, że nie mogę wymagać za dużo; chcę tylko, by mi Ojciec uwierzył — mojej wyobraźni, jak Ojciec woli — że jest tutaj coś obcego, o czego istocie nic nie wiem. Wcale nie liczę na to, że Ojciec uwierzy w realną obecność tego czegoś. Gdyby Ojciec był na moim miejscu, na pewno uważałbym Ojca za ofiarę jakiegoś nerwowego omamienia. Na pewno. Ale proszę posłuchać. Proszę tylko nie brać mnie za historyka ani za wariata, przez najbliższe dwa-trzy dni. Oświadczam, że o ile nie jestem chory ani poszkodowany na umyśle — a tak chyba nie jest — to wkrótce będę mógł dać Ojcu dowód, że naprawdę w moim domu jest ktoś obcy.

— Czy nie powie mi pan, jakiego rodzaju dowód ma pan na myśli?

— Jeszcze nie teraz. Sprawy muszą potoczyć się nieco dalej. Być może już jutro będę mógł powiedzieć coś więcej. Na razie powiem tylko tyle, że gdybym w końcu nie zdołał dowieść, że nie jestem ofiarą wyobraźni, pozwalam Ojcu zaprowadzić siebie do pierwszego lepszego lekarza, jakiego Ojciec wybierze. Postaram się wówczas przyjąć punkt widzenia Ojca, że cierpię na niedorzeczną halucynację. Bo tak właśnie Ojciec myśli, prawda?

Przez chwilę Ojciec Murchison milczał. Potem powiedział z nutką niepewności w głosie:

— Tak bym myśleć powinien.

— Jak to, czyż Ojciec tak nie myśli? — zapytał zdziwiony Guildea.

— Widzi pan, pańskie zachowanie jest ogromnie przekonywujące. A jednak... wątpię. Jakże mogę inaczej? Rzecz cała *m u s i* być jedynie grą wyobraźni.

Ojciec mówił to tak, jak gdyby wycofywał się ze stanowiska, jakie zmuszony był przyjmować. — To musi być wyobraźnia — powtórzył.

— Przekonam Ojca czymś więcej niż moim zachowaniem lub nie będę w ogóle próbował Ojca przekonać — rzekł Guildea.

Gdy rozstawali się tego wieczoru, powiedział:

— Napiszę prawdopodobnie do Ojca za dzień, dwa. Sądzę, że dowód, jaki chcę Ojcu złożyć, skonkretyzował się w czasie mej nieobecności. Wkrótce się o tym dowiem.

Ojciec Murchison był niezwykle podniecony, gdy wracając do domu siedział na górnej platformie omnibusu.

IV

W dwa dni później Ojciec otrzymał kartkę od profesora Guildea z prośbą, by, jeśli może, odwiedził go tegoż dnia wieczorem. Ojciec nie mógł tego uczynić; miał akurat uczestniczyć w jakimś zebraniu religijnym w dzielnicy East End. Nazajutrz była niedziela. Ojciec odpisał więc, że zjawi się w poniedziałek i wkrótce pocztą pneumatyczną dostał odpowiedź: *Czekam z kolacją w poniedziałek o godzinie siódmej trzydzięści*. O tej godzinie w poniedziałek Ojciec pukał do drzwi domu pod numerem 100.

Otworzył mu Pitting.

— Czy profesor czuje się zupełnie dobrze? — zapytał Ojciec zdejmując płaszcz.

— Myślę, że tak, proszę księdza. Nie uskarżał się na nic — odpowiedział urzędowo Pitting. — Zechce Ojciec wejść na górę?

Guildea spotkał Ojca w drzwiach gabinetu. Był bardzo blady i posepny. Przywitał się pośpiesznie i prawie niedbale.

— Podaj nam kolację, Pitting — powiedział do lokaja.

Jak tylko lokaj wyszedł, Guildea starannie zamknął drzwi.

Ojciec nigdy nie widział go tak zatroskanego.

— Dręczy się pan czymś, profesorze, i to poważnie.

— Tak, istotnie. Ta sprawa zaczyna mi ciążyć coraz bardziej.

— Więc nadal wierzy pan w obecność czegoś w tym domu?

— Och, naturalnie. Nie mam najmniejszych pod tym względem wątpliwości. Tamtej nocy, kiedy wyszedłem do parku, coś dostało się do mego domu, chociaż co to za diabeł — nie mam pojęcia. Lecz teraz, zanim zjeździemy na kolację, powiem Ojcu coś o tym dowodzie, jaki przyrzekłem. Pamiętaj Ojciec?

— Oczywiście.

— Czy Ojciec ma choć najślabsze wyobrażenie, co to może być?

Murchison poruszył przecząco głową.

— Niech Ojciec rozejrzy się po pokoju — powiedział Guildea. — Co Ojciec widzi?

Ojciec przyjrzał się wszystkiemu powoli i uważnie.

— Nic niezwykłego. Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że znajduje się tu zjawia...

— Och, nie, na pewno nie ma tu konwencjonalnej, ubranej w biel postaci o konsystencji chmury. Niech się Ojciec zlituje, nie upadłem przecież tak nisko! — Mówił z wyraźnym rozdrażnieniem. — Niech Ojciec przyjrzy się raz jeszcze...

Ojciec spojrział najpierw na profesora, potem w kierunku, w którym tamten wlepił oczy. I zobaczył... szarą papugę poruszającą się w swej klatce, powoli i nieprzerwanie.

— Co takiego? — powiedział Ojciec żywo. — Dowód ma coś wspólnego z tym...?

Profesor potwierdził ruchem głowy.

— Tak myślę — powiedział. — Teraz chodźmy na kolację. Jestem przeraźliwie głodny.

Zeszli do jadalni. Podczas gdy jedli, obsługiwani przez Pittinga, profesor mówił o ptakach, ich osobliwościach oraz o ich zdolnościach naśladowczych. Widoczne było, że przestudiował ten temat ze starannością, jaka charakteryzowała go w każdej pracy.

— Papugi — powiedział — są znakomitymi obserwatorami. Jaka szkoda, że ich możliwości pokazywania tego, co widzą, są tak ograniczone. Gdyby było inaczej, nie wątpię, że naśladowałyby gesty i ruchy równie zastanawiająco jak głosy.

— Ba, nie mają rąk!

— Właśnie. Ale robią różne ruchy głową, proszą zwrócić na to uwagę. Znałem kiedyś starą kobietę w Goring nad Tamizą. Była dotknięta paralizem. Miała głowę stale przechyloną na bok i trzęsła nią monotonnym ruchem z prawej strony na lewą. Syn jej, marynarz, przywiózł kiedyś z jednej ze swych podróży papugę. Papuga szybko wpadła w zwyczaj naśladowania jak najdokładniej paralitycznego ruchu głowy staruszki. Te szare papugi zawsze czuwają!

Ostatnie zdanie wypowiedział Guildea powoli, z namysłem, patrząc badawczo na Ojca Murchisona. Ledwie skończył, Ojcu zaświtało nagle w głowie zrozumienie. Otworzył usta dla sformułowania swej uwagi. W tej samej jednak chwili Guildea obrócił swe błyszczące oczy na wchodzącego Pittinga, który wnosił właśnie sernik z pianką, zdjęty z windy do talerzy, łączącej stołowy z kuchnią w suterenie. Ojciec poczekał chwilę. Lecz skoro tylko Pitting umieścił na stole sernik, rozstawił karafki, zmiótł okruszyny i zniknął, powiedział szybko:

— Zaczynam rozumieć. Pan myśli, że Napoleon zdaje sobie sprawę z obecności intruza?

— Ja nie myślę, ja wiem o tym. Obserwował mojego gościa bez przerwy od owej nocy. Nowy błysk rozjaśnił umysł duchownego.

— To dlatego przykrył go pan któregoś wieczoru zielonym suknem?

— Tak jest. To był akt tchórzostwa. Jego zachowanie zaczęło mi działać na nerwy.

Guildea przygryzł wąskie wargi, ściągnął brwi. Miał na twarzy wyraz gwałtownego bólu.

— Lecz teraz mam zamiar przekonać się o tym — dodał wypogadzając twarz. — Tydzień, który spędziłem w Westgate, był dla mnie stracony, lecz tu w Londynie nie stracił go Napoleon, mogę Ojca o tym zapewnić. Proszę wziąć jabłko.

— Nie, dziękuję panu. Nie, dziękuję panu...

Ojciec powtarzał słowa, nieświadom tego zupełnie. Guildea odsunął kieliszek z winem.

— Chodźmy na górę — powiedział.

— Nie, dziękuję panu — powtórzył Ojciec.

— Co? Dlaczego? — wykrzyknął profesor.

— Cóż to ja powiedziałem? — zawołał Ojciec wstając. — Zamyśliłem się nad tą niezwykłą aferą.

— Aha, zaczyna Ojciec zapominać o swojej tezie z histerią...

Wyszli na korytarz.

— Doprawdy jest pan tak rzeczowy, jeśli chodzi o tę sprawę... — zauważył Murchison.

— Jakżeby inaczej? Coś dziwnego i nienormalnego weszło w moje życie. Cóż innego mam robić, jak badać to dokładnie i spokojnie.

— Rzeczywiście, cóż innego?

Ojciec poczynał zdawać sobie sprawę, że znajduje się pod wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu, który każe mu śledzić z największą uwagą sprawę, która winna była go uderzyć (tak to odczuwał) jako absolutnie niedorzeczna. Gdy weszli do gabinetu, natychmiast spojrzął z głębokim zainteresowaniem na klatkę papugi. Lekki uśmiech przemknął po ustach profesora. Dostrzegł wpływ, jaki zaczął wywierać na przyjaciela. Uśmiech ten nie uszedł uwagi Ojca.

— Proszę uważać, jeszcze nie zostałem pokonany — rzekł w odpowiedzi.

— Wiem. Być może, będzie Ojciec pokonany, nim minie ten wieczór. Zaraz dostaniemy kawę, a gdy ją wypijemy, rozpoczniemy nasz eksperyment. — Proszę zostawić nam kawę, Pitting, i proszę więcej nie troszczyć się o nas.

— Dobrze, proszę pana — rzekł Pitting i wyszedł.

— Nie chcę dziś czarnej kawy — powiedział Ojciec — proszę o mleko, dużo mleka. Nie chcę podniecać nerwów.

— A może w ogóle nie pijmy kawy? — zapytał profesor. — Gdybyśmy wypili, może wysnułby Ojciec teorię, że nie byliśmy w całkiem normalnym stanie... Dobrze wiem, że Ojciec jest równie nabożnym księdzem jak zawołanym sceptykiem.

Ojciec roześmiał się i odsunął swą filiżankę.

— Bardzo dobrze, zgoda. Nie będzie kawy!

— W takim razie — papierosa i przystąpmy do rzeczy.

Szaroniebieski dym wznosił się pod sufit.

— Co będziemy robili? — zapytał Ojciec.

Siedział sztywno wyprostowany, jakby gotowy do czynu.

— Schowamy się i będziemy obserwować Napoleona — oświadczył profesor. — Ale przedtem trzeba...

Wstał, poszedł w róg pokoju, wziął kawałek zielonego sukna i zarzucił je na klatkę.

— Ściągnę to sukno, jak tylko się schowamy — powiedział.

— Ale przedtem niech mi pan powie, czy w ostatnich dniach zauważył pan jakieś objawy tego, że owa domniemana istota jest obecna? — spytał Ojciec.

— Nic prócz stale wzrastającego poczucia obecności czegoś obserwującego mnie nieustannie, śledzącego wszystko, co robię, bez przerwy.

— Czy ma pan wrażenie, że chodzi za panem?

— Nie zawsze. Było w tym pokoju, kiedy Ojciec tu przyszedł. Teraz też czuję to coś tutaj. Gdy schodziliśmy na kolację, miałem wrażenie, że uwolniliśmy się od niego. Wniosek, że musiało tu pozostać. Ale nie mówmy o tym teraz.

Rozmawiali na inny temat, póki nie skończyli papierosów. Po zgaszeniu niedopałków Guildea powiedział:

— Teraz, proszę Ojca, jeśli eksperyment ma się udać, musimy schować się za storami, aby nie zwracać na siebie uwagi ptaka i aby skupił on całą zdolność obserwacji na tym, o co nam chodzi. Proszą się zachowywać zupełnie cicho, uważać na to, co ptak będzie robił, a potem powie mi Ojciec, co o tym myśli i jak to rozumie. Proszę cicho stapać.

Ojciec usłuchał. Obaj cichutko podeszli do stor okiennych opadających do ziemi. Ojciec wsunął się za storę z lewej strony klatki, profesor — z prawej. Ten ostatni, gdy tylko ukryli się, wysunął rękę i ściągnął zielone sukno z klatki.

Ptak, który zapewne zdążył już zasnąć w ciepłe i ciemności, poruszył się pod wpływem światła, nastroszył pióra na szyi i przestąpił z nogi na nogę. Obrócił głowę na szczupłej i elastycznej szyi, utknął dziobem w piórach na grzbiecie, poszukał tam czegoś z wynikiem, jak się zdawało, zadowolającym, potem rozejrzał się po klatce i zajął się orzechem wetkniętym

między pręty. Obmacał go i ostukał zakrzywionym dziobem, zrazu delikatnie, potem mocno. Rozłupał i wyjadł wnętrze, upuszczając skorupę na stojący na dnie klatki mały basenik z wodą do kąpieli. Uczyniwszy to ptak zamyślił się na chwilę, wyciągnął jedną nogę w tył i począł przesuwać się po pręcie za pomocą rozpostartych skrzydeł. Wyglądał przy tym nader niezgrabnie. Potem odrzucił głowę w tył i wznowił swe wyczerpujące, dokładne poszukiwania dziobem w piórach skrzydła. Wszystko to trwało bez końca. Ojciec Murchison miał czas zdać sobie sprawę z całej niedorzeczności tej sytuacji, z roli, jaką mu wyznaczono. Nie odnalazł jednak w sobie poczucia humoru, które pozwoliłoby mu się roześmiać. Przeciwnie. Był przerażony. Gdy rozmawiał ze swym przyjacielem i miał przed oczyma jego twarz i zachowanie, zwykle tak spokojne, mógłby zareczyć za prawdziwość tej historii i za pełną równowagę umysłu przyjaciela. Teraz, schowany za storą, z oczami utkwionymi w obojętnego Napoleona, Ojciec począł powtarzać w myśli jeden wyraz: „szaleństwo”, z rosnącym uczuciem litości i grozy.

Ptak zmienił nagle pozycję: złożył skrzydło, wyciągnął drugą nogę i począł badać dziobem pióra drugiego skrzydła. W ciszy pokoju wyraźnie było słychać suchy szelest piór. Ojciec Murchison dostrzegł, że stora, za którą stał Guildea, poczęła lekko drzeć, jak gdyby od okna — choć było zamknięte — szedł powiew wiatru. Zegar w oddalonym pokoju wydzwonił godzinę, węgielek osunął się na ruszcie kominka wydając odgłos jak gdyby szelestu suchych liści. I znów litość i groza ogarnęła Ojca. Wydało mu się, że zachował się bardzo niemądrze podtrzymując swego przyjaciela w stanie dziwnego zбочenia umysłowego. Powinien był uchylić się od udziału w tym doświadczeniu, które — w istocie samej śmieszne i dziecinne — mogło być niebezpieczne jako zachęta do chorobliwych poczynań. Stercząca noga Napoleona, rozpostarte skrzydło, wykręcona szyja, jego pilne, instynktowne zajęcie się sobą samym, jego oczywiste poczucie zupełnej samotności uprzytomniło Ojcu niegodny nonsens własnego zachowania i godne współczucia błazeństwa przyjaciela. Chwycił ręką storę i już miał odrzucić ją na bok, gdy powstrzymał go nagle raptowny ruch ptaka.

Napoleon, jak by coś nagle i nieodparcie przyciągnęło jego uwagę, przerwał porządkowanie swych piór i z głową przechyloną do tyłu i nieco skręconą w bok zdawał się nasłuchiwać. Złożył skrzydła, wyprostował się, podniósł głowę i zaczął mechanicznie przebierać nogami, jakby w nieopanowanym pragnieniu ruchu. Potem rzucił głowę do przodu w kierunku drugiego pokoju i zastygł w bezruchu. Jego postawa wskazywała, że ptak skupił całą uwagę na czymś, co znajdowało się tuż przy nim. Wrażenie było tak silne, że Ojciec Murchison instynktownie obejrzał się dokoła, w przypuszczeniu, że do pokoju wszedł bezszelestnie, jak zwykle, Pitting. Nie było nikogo, ciszy pokoju nie naruszał żaden dźwięk. Mimo to ptak stał się wyraźnie coraz więcej podniecony. Pochylał głowę coraz niżej, wyciągając szyję tak daleko, że spadłby z grzędą, gdyby nie nagle rozpostarcie skrzydeł. Trzepotał nimi przez jakiś czas, który wydał się Ojcu ogromnie długi. Wreszcie uspokoił się, zeskoczył na podłogę klatki, podszedł do prętów, przesunął przez nie głowę i stanął spokojnie w postawie, jaką przebierał, ilekroć profesor gładził go po głowie. Tak wyraźne było wrażenie przyjemności, jakiej ptak doznawał, że Ojcu zdawało się, iż dostrzega biały palec w miękkich piórach głowy ptaka. Doznał wrażenia, że coś — czego sam nie był w stanie dostrzec, a co Napoleon widział i do czego odnosił się z widoczną sympatią — stało przed klatką.

Teraz ptak cofnął głowę, jak gdyby nie było już pieszczącej ręki. Dotąd jego wygląd świadczył o doznawanej przyjemności, teraz przebijały w nim natężenie uwagi i żywe zaciekawienie. Włazł z powrotem po prętach na grzędę, przesunął się na lewą stronę klatki i wydawał się śledzić coś z głębokim zainteresowaniem. Dziwacznie kiwał głową, potem przestawał, potem znowu kiwał. Poprzez ten wypracowany ruch głowy Ojciec począł tworzyć sobie pojęcie o osobowości stojącej przed klatką. Zachowanie ptaka wskazywało na jakiś niezwykle sentymentalizm połączony ze słabym rozeznaniem. Tego rodzaju słabe rozeznanie jest bardzo powszechną właściwością półdidiotów. Ojciec Murchison poczuł wzruszenie, gdy pomyślał, że

te biedne istoty mają skłonność wiązać się uczuciowo w sposób dziwny, nierozsądny i uporczywy z tymi, którzy najmniej je kochają. Jak każdy ksiądz miał pod tym względem pewne doświadczenie, gdyż kochliwi idioci są szczególnie wrażliwi na księży. Ów ruch kiwania się, demonstrowany przez papugę, przywiódł Ojcu na pamięć pewną okropną, bladą kobietę, która przez pewien czas prześladowała Ojca we wszystkich kościołach, w których odprawiał nabożeństwo, a pragnąc zwrócić na siebie jego uwagę, zwykle przechylała głowę z przebiegłym i płaszczącym się uśmiechem.

Ptak kiwał się nadal, z małą przerwą po każdym „ukłonie”, jak gdyby w czasie tej przerwy czekał na sygnał nakazujący mu nadal naśladować czyjś ruch.

— Tak, tak, on naśladuje idiotę — powiedział do siebie Ojciec i znów rozejrzał się po pokoju. Nie dostrzegł nic z wyjątkiem mebli, tańczącego ognia i półek z książkami. Teraz papuga zaprzestała ukłonów i z natężoną uwagą zdawała się kogoś słuchać. Otworzyła dziób, wysunęła czarny język, zamknęła dziób, znów go otworzyła. Ojciec pomyślał, że Napoleon zamierza mówić, lecz ptak milczał, choć widoczne było, iż usiłuje coś powiedzieć. Ukłonił się znów raz i drugi, otworzył dziób i... zaskrzeczał. Ojciec nie mógł uchwycić żadnego wyrazu — głos był słaby i nieprzyjemny, zarazem pieszczotliwy i kłótlivy. „Chyba kobiecy” pomyślał Ojciec. Przyłożył ucho bliżej stopy, żeby lepiej słyszeć. Natężył uwagę. Znów ukłon, zaraz potem ruch boczkiem, jak ktoś, kto tuli się lub lekko i zalotnie trąca kogoś łokciem. Ojciec znów pomyślał o straszliwej, bladej kobiecie, która straszyla go w kościołach. Nieraz przechodził tuż koło niej: czekała na niego po wieczornym nabożeństwie. Pewnego razu zwiesiła głowę z uśmiechem, wysunęła język i w ciemności przysunęła się do niego bokiem. Przypomniał sobie, że otrząsnął się wtedy ze wstrętem. Nic nie pomogło, gdy perswadował sobie, że to przecież tylko nieszczęśliwy, zbłąkany umysł. Wstręt pozostał.

Papuga przestała się mizdrzyć, przez chwilę znów nasłuchiwała, znów otworzyła dziób i powiedziała coś głosem przypominającym gruchanie gołębi, głosem rozkochanym, pełnym łagodnej namowy, a jednak twardym, niemal groźnym w intonacji. „Wstrętny głos”, pomyślał Ojciec. Lecz i tym razem, choć słyszał wyraźniej niż przedtem, nie mógł zdecydować, czy był to głos mężczyzny, kobiety czy dziecka. Zdawało się, że był ludzki, lecz dziwnie bezpłciowy. Aby dokładnie słyszeć, wycofał się w ciemność poza storę, przestał patrzeć, a tylko nasłuchiwał, starając się zapomnieć, że słucha ptaka, a wyobrazić sobie przemawiającą ludzką istotę. Po dwóch, trzech minutach milczenia głos znów dał się słyszeć: powtarzał jakby szereg razy serię pieszczotliwych wykrzykników. Było to niewymownie wstrętne, wręcz obraźliwe. Chorobliwość głosu, nierówna intonacja, dziwna niedelikatność, a nawet rozwiązłe wyrafinowanie przejęły Ojca dreszczem. Jednak nie zdołał wyodrębnić ani jednego słowa ani stwierdzić, do osobnika jakiej płci czy wieku głos ów należy. Gdy tak rozmyślał w ciemnościach, jednego tylko był pewien: dźwięk taki pochodził od istoty, której nie zniósłby — wstrętnej chyba dla każdego...

Nagle głos załamał się na chrapliwym, gwałtownym westchnieniu. Zapadło milczenie. Przerwał je profesor, gwałtownym ruchem odsuwając storę, za którą znajdował się Ojciec.

— Niech Ojciec teraz wyjdzie i popatrzy.

Mrużąc oczy w pełnym świetle, Ojciec spojrział na klatkę: Napoleon stał bez ruchu na jednej nodze, z głową pod skrzydłem. Zdawał się spać. Profesor był blady, wargi miał ściągnięte wyrazem najwyższego niesmaku.

— Uff... — powiedział.

Podszedł do okna w drugim pokoju, odsunął zasłony i podniósł szybę. W szarym mroku widniały nagie drzewa. Guildea wychylił się z okna i przez chwilę łapczywie chwycił w płuca powietrze. Potem odwrócił się do Ojca:

— Ohyda, co?

— O, tak, w najwyższym stopniu...

— Słyszał Ojciec kiedykolwiek o czymś podobnym?

— Chyba nie.

— Ani ja. To mnie doprowadza do mdłości, dosłownie do fizycznych mdłości! Zamknął okno i z pewnym, skrępowaniem zaczął chodzić po pokoju.

— Jak Ojciec to wszystko tłumaczy? — rzucił przez ramię.

— O czym pan konkretnie myśli?

— No, czy to głos mężczyzny, kobiety czy dziecka?

— Nie mogę tego powiedzieć, nie mogę się zdecydować.

— Ani ja.

— Czy pan często go słyszał?

— Tak, od chwili gdy powróciłem z Westgate. I nie zdołałem rozróżnić ani jednego słowa. Co za głos!

Splunął w ogień.

— Przepraszam — powiedział rzucając się na krzesło. — Ścisza mnie w żołądku dosłownie.

— I mnie — przyznał Ojciec.

— Najgorzej — ciągnął nerwowym głosem profesor — że „to” nie ma żadnego mózgu, żadnego, tylko chytrość kretyna.

Ojciec poruszył się, słysząc to dokładne określenie swego własnego odczucia.

— Czemu Ojciec tak się poruszył? — rzucił Guildea podejrzliwie i tak szybko, że wskazywało to na niezwykle stan jego nerwów.

— Bo zupełnie takie samo odniosłem wrażenie.

— Jakie?

— Że słuchałem głosu jakiegoś idioty.

— Właśnie, i to jest najgorsze dla człowieka mojego pokroju. Gdybym miał walczyć z mózgiem, próbowałbym walki. Ale tak...

Znowu wstał gwałtownie, pogrzebał w kominku, potem stanął tyłem do niego, z rękami w kieszeniach.

— Oto głos istoty, która wtargnęła do mego domu! Przyjemny, co?

W jego oczach i głosie przebijał nieklamany lęk.

— Muszę „to” wyrzucić! — zawołał. — Muszę się pozbyć! Ale jak?

Drżącą ręką targał swą krótką, czarną brodę.

— Jak? Bo nie wiem, co to jest i gdzie to jest?

— Czy pan czuje, że jest tu nadal?

— Niewątpliwie. Ale nie mógłbym Ojcu powiedzieć, w której części pokoju.

Spojrzał wokoło, szybko przyglądając się każdej rzeczy.

— Więc uważa pan, że jest pan nawiedzany? — powiedział Ojciec Murchison. Był także wzruszony i zaniepokojony, chociaż nie miał poczucia czyjejkolwiek obecności blisko nich w tym pokoju.

— Jak Ojcu wiadomo, nigdy nie wierzyłem w nonsensy tego rodzaju. Po prostu konstataję fakt, którego nie mogę zrozumieć, a który zaczyna być dla mnie bardzo bolesny. Tylko podczas gdy w większości opowiadanych mi wypadków tak zwane strachy miały nastawienie wrogie, ja mam świadomość, że jestem podziwiany, kochany, pożądaný! To jest po prostu straszne, Ojciec, po prostu straszne!

W tym momencie Ojciec Murchison przypomniał sobie przebieg pierwszego wieczoru, jaki spędził u profesora, gdy ten mówił o niesmaku odczuwanym na samą myśl, że ktoś mógłby go obdarzać ciepłym uczuciem. W świetle tej rozmowy obecne wydarzenie wydawało się nadzwyczaj dziwne, jak kara za obrazę wyrządzoną ludzkości przez profesora. Lecz spoglądając na drgającą twarz przyjaciela Ojciec postanowił, że nie da się wciągnąć w sieci jego okropnych przypuszczeń.

— Przecież tu nic nie może być — powiedział. — To niemożliwe.

— W takim razie kogo ten ptak naśladował? Niech Ojciec powie.

— Kogoś, kto tu kiedyś był.

— A więc w ciągu ubiegłego tygodnia. Bo do tej chwili ptak nigdy nie mówił podobnym głosem. Proszę pamiętać, że jeszcze przed wyjazdem do Westgate zauważyłem, że Napoleon uważnie obserwował i starał się naśladować to coś, przed czym uciekałem, a co było w tym domu od owej nocy, od owego wieczoru, kiedy poszedłem do parku.

— Ktoś o takim głosie musiał tu być podczas pańskiej nieobecności — powtórzył Ojciec Murchison z łagodnym uporem.

— Zaraz się o tym dowiemy.

Guildea nacisnął dzwonek. Pitting wsunął się do pokoju prawie natychmiast.

— Pitting — powiedział profesor wysokim, ostrym głosem — czy w czasie mego pobytu nad morzem był tu ktoś, tu — w tym pokoju?

— Na pewno nie, proszę pana, z wyjątkiem mnie i pokojowych.

— Dosłownie nikt? Żadna żywa dusza? Jesteś tego pewien?

— Najzupełniej pewien, proszę pana.

W spokojnym głosie lokaja zadźwięczała nuta zdziwienia, prawie obrazy.

Profesor wyciągnął rękę w kierunku klatki:

— A ptak był tutaj przez cały czas?

— Tak, proszę pana.

— Nikt go nie ruszał, nikt go nie prznosił gdzie indziej choćby na chwilę?

Błada twarz Pittinga nabrała wyrazistości. Zagryzł wargi. Powiedział:

— Na pewno nie, proszę pana.

— Dziękuję wam, Pitting. To wystarczy.

Lokaj skierował się ku wyjściu, przybierając postawę ostentacyjnie sztywną. Był już przy drzwiach, otworzył je, gdy profesor zawołał:

— Jeszcze chwilę, Pitting.

Lokaj zatrzymał się. Guildea zacisnął wargi, przesunął dłonią po brodzie:

— Czy zauważyliście, że papuga... hm... od pewnego czasu mówi bardzo szczególnym, bardzo nieprzyjemnym głosem?

— Tak, proszę pana. Ma głos jakiś bardzo miękki, proszę pana.

— Aha... A od kiedy?

— Od kiedy pan wyjechał, proszę pana. Od tej pory zawsze tak mówi.

— Właśnie. To się zgadza. Proszę powiedzieć, co myślicie o tym?

— Przepraszam pana?

— Pytam, co myślicie o tym nowym akcencie w jej głosie?

— Och, to tylko taka jej zabawa, proszę pana.

— Hm. No to już wszystko, Pitting.

Lokaj zniknął, zamknawszy za sobą bezgłośnie drzwi.

Guildea spojrzął na przyjaciela.

— No i proszę. Sam Ojciec słyszał! — wykrzyknął.

— Wszystko to jest bardzo dziwne — powiedział Ojciec. — Bardzo dziwne, naprawdę. Jest pan pewny, że żadna z pańskich pokojówek nie mówi podobnym głosem?

— Mój drogi! Czy Ojciec wytrzymałby dłużej niż dwa dni ze służącą, która ma podobny głos?

— Nie.

— Moja pokojówka pracuje u mnie od pięciu lat. Kucharka — od siedmiu. Słyszał Ojciec głos Pittinga. Ta trójka — to wszyscy moi domownicy. A papuga nigdy nie mówi głosem, którego nie słyszała. Gdzie mogła usłyszeć taki głos?

— Ale my nic nie słyszymy...

— Nie. A także nic nie widzimy. Ona jednak słyszy, a ponadto odczuwa czyjś dotyk.

Czy zauważył Ojciec, jak papuga wyciągała głowę do pogłaskania?

— Rzeczywiście coś w tym rodzaju.

— Na pewno tak.

Ojciec Murchison nie odpowiedział. Rósł w nim jakiś niepokój nabrzmiewający lękiem.

— Czy teraz Ojciec jest już przekonany? — zapytał Guildea z wyraźnym rozdrażnieniem.

— Nie. Cała ta sprawa jest bardzo dziwna, przyznaję. Ale dopóki nie będę słyszał, widział lub odczuwał — tak jak pan — czyjejs obecności, nie mogę uwierzyć.

— Czy to znaczy, że Ojciec nie uwierzy wcale?

— Nie wiem, może... A teraz — czas już na mnie.

Guildea nie próbował zatrzymać Ojca, powiedział tylko odprowadzając go do drzwi:

— Niech mi Ojciec wyświadczy tę łaskę i przyjdzie do mnie jutro wieczorem.

Ojciec miał już jakieś zobowiązanie na ten wieczór, lecz spojrzawszy w twarz profesora, powiedział:

— Przyjdę. O dziewiątej będę u pana. Dobranoc!

Gdy znalazł się na ulicy, poczuł ulgę. Lecz gdy odwrócił się i zobaczył profesora wchodzącego do przedpokoju, dreszcz przebiegł mu po plecach.

V

Całą drogę do domu Ojciec Murchison odbył pieszo. Po tym dziwnym i niemiłym wieczorze, na który już w tej chwili patrzył jak na koszmar, odczuwał potrzebę fizycznego wysiłku. Gdy szedł, brzmiał mu w uszach ów cichy i nieznośny głos. Samo wspomnienie tego głosu budziło w nim wstręt. Starał się oddalić to od siebie i rozważyć całą sprawę spokojnie.

Profesor przedstawił tego wieczoru dowód, że w domu jego obecna jest jakaś dziwna istota. Czy jakkolwiek rozsądny człowiek mógł akceptować taki dowód? Ojciec Murchison odpowiedział sobie, że człowiek rozsądny takiego dowodu uznać nie może. Owszem, zachowanie papugi było niezwykle. Ptakowi nadzwyczajnie udało się wywołać złudzenie czyjejs obecności w pokoju. Lecz Ojciec z naciskiem powtarzał sobie, że obecność ta nie jest czymś realnym. Ludzie głęboko religijni, ludzie, którzy wierzą bez zastrzeżeń w cuda zapisane w Biblii, którzy życie swe regulują według zleceń, jakie otrzymują — ich zdaniem — bezpośrednio od Wielkiego Władcy rządzącego światem, rzadko skłonni są uwierzyć w interwencję sił nadnaturalnych w nasze codzienne życie. Odsuwają od siebie samą myśl o tym. Uważają ją z reguły za dziecinną, jeśli nie zdrożną.

Ojciec Murchison skłaniał się do punktu widzenia właściwego duchownym. Był pod tym względem zdecydowany. Nie mógł, nie miał prawa — mówił sobie — uwierzyć, by jego przyjaciela za to, że przejawiał brak uczuć ludzkich, spotykała kara ze strony sił nadprzyrodzonych. Że za karę był napastowany przez miłość jakiegoś wstrętnego tworu, którego nie sposób było ani widzieć, ani słyszeć, ani z nim obcować. A jednak natarczywie narzucała się myśl o zemście czyhającej na profesora. Bo właśnie to samo, czego niemal nienaturalnie obawiał się i przed czym się wzdrygał — to samo zmusiło go cierpieć w sposób równie nadnaturalny.

Tej nocy Ojciec modlił się za przyjaciela, klęcząc przed malutkim, biednym ołtarzykiem w pozbawionym niemal mebli, do celi podobnym pokoju.

Gdy wchodził następnego wieczoru do domu przy Hyde Park Place, otworzyła mu drzwi pokojówka. Idąc po schodach Ojciec zastanawiał się, co mogło spowodować nieobecność Pittinga. W drzwiach gabinetu spotkał profesora. Uderzała boleśnie zmiana w jego wyglądzie. Miał twarz barwy popiołu, głębokie cienie pod oczami, włosy i ubranie w nieładzie, a usta nerwowo drgające.

— Co się stało z Pittingiem? — zapytał Ojciec ściskając gorąco rękę profesora.

— Wymówił mi służbę.

— Wymówił panu! — wykrzyknął Ojciec w najwyższym zdumieniu.

— Tak. Dziś po południu.

— Czy mogę zapytać, dlaczego?

— Zaraz Ojcu powiem. Wszystko wywodzi się z tej obrzydliwej sprawy. Pamięta Ojciec, rozmawialiśmy kiedyś na temat właściwego stosunku do służby?

— Ach tak — powiedział Ojciec. — Więc nastąpił kryzys?

— Owszem — profesor uśmiechnął się gorzko. — Kryzys nastąpił. Serdecznie chciałem, by Pitting stał się bratem dla mnie. On odpowiedział... odepchnął moją prośbę. Zrobiłem mu wymówkę. Zagroził mi... odejściem. Wypłaciłem mu pensję i powiedziałem, że może odejść natychmiast. I odszedł. Dlaczego Ojciec tak mi się przypatruje?

— Nie wiedziałem o tym — odpowiedział Ojciec, szybko spuszczaając oczy i patrząc w inną stronę. — Ale co ja widzę? Czy Napoleon też odszedł?

— Sprzedałem go dziś w jednym ze sklepów.

— Dlaczego?

— Doprowadzał mnie do mdłości swoim obrzydliwym naśladowaniem, swoją rozmową z... no, Ojciec wie, czym ptak był zajęty ubiegłego wieczoru. Zresztą nie potrzeba mi już dowodu, że nie śnię. A ponieważ jestem absolutnie przekonany, że to, co kwestionowałem z początku, zdarzyło się na pewno, nic mi już nie zależy na przekonywaniu innych ludzi. Niech Ojciec mi wybaczy, że to powiedziałem. Jestem teraz pewny, że chęć przekonania Ojca wynikała jedynie z cienia moich wątpliwości. Teraz nie mam żadnych. Zniknęły.

— Niech mi pan wyjaśni, dlaczego?

— Owszem, wyjaśnię. Otóż wczoraj wieczorem poczułem to namacalnie.

— Co?

— Mówię, że ubiegłej nocy, gdy szedłem do siebie na górę, czułem, że coś mi towarzyszy i łąsi się do mnie.

— Okropne! — wykrzyknął mimo woli Ojciec.

Guildea uśmiechnął się złowieszczo.

— Nie przeczę, że to było okropne. Nie mogę przeczyć, skoro doszło do tego, że czułem się zmuszony wezwać na pomoc Pittinga...

— Lecz niechże mi pan na koniec powie, co to było? Ostatecznie, czym się to panu wydało?

— To była chyba ludzka istota. Chyba, powtarzam. Przy zetknięciu odniosłem wrażenie raczej ludzkiej istoty niż czego innego. Ale nic nie mogłem zobaczyć ani usłyszeć. Tylko trzykrotnie odczułem łagodne, lecz zdecydowane otarcie się o mnie, jak by celem zwrócenia mojej uwagi czy okazania mi tkliwości. Zdarzyło się to po raz pierwszy, gdy wstąpiłem na schody. Muszę wyznać, Ojczy, że zacząłem biec, jak by mnie kto gonił. Tak, to jest żenująca prawda. Gdy wchodziłem do sypialni, istota ta szła ze mną i przytuliła się do mnie ze wstrętną, obrzydliwą czułością. Wtedy...

Przerwał, oparł się o gzyms kominka i zwiesił głowę. Ojca wzruszył ten gest bezradności i niemal że rozpaczy. Przyjacielsko dotknął ręką jego ramienia.

— Cóż wtedy?

Guildea podniósł głowę. Był boleśnie zawstydzony.

— Wtedy, Ojczy, wstyd mi powiedzieć, nagle załamałem się, i to w sposób zupełnie do mnie niepodobny. Starłem się uderzeniami rąk odepchnąć tę istotę od siebie. Lecz ona przytulała się do mnie coraz silniej. Ten ucisk, to zwarcie stały się nie do zniesienia. Zawołałem Pittinga, zdaje mi się, że wołałem: na pomoc!...

— Przyszedł, oczywiście!

— Tak. Przyszedł tym swoim zwykłym, cichym krokiem, nie przejawiając emocji. Ten

spokój, tak daleki od mego podniecenia, od uczucia wstrętu i okropności, prawdopodobnie podrażnił mnie. Doprawdy, nie panowałem nad sobą. Nie byłem sobą! Nie, nie...

— Nie potrzebuję chyba wyjaśniać tego Ojcu — dodał po chwili z wymuszoną ironią.

— A co pan mu powiedział?

— Powiedziałem mu, że powinien był się pośpieszyć. Przeprosił mnie. Jego chłodny głos doprowadził mnie do szału. Wybuchnąłem w głupi, godny pogardy sposób, nazwałem go maszyną, drwiłem z niego. Potem, ponieważ wciąż czułem, że ta wstrętna istota przytula się do mnie coraz mocniej, zacząłem go błagać, żeby mi pomógł, żeby ze mną pozostał, żeby nie zostawiał mnie samego, to znaczy — w towarzystwie mego dręczyciela. Czy się przestraszył, czy też rozgniewałem go swoim niesłusznym i gwałtownym zachowaniem — nie wiem. Dość że odpowiedział mi, iż przyjął posadę lokaja i nie zamierza siedzieć przy ludziach całą noc w roli pielęgniarki. Podejrzywał mnie chyba, że za dużo wypłem alkoholu. Niewątpliwie. Zdaje mi się, że go błagałem i zaklinałem jak tchórz. Dziś rano oświadczył mi, że opuszcza służbę. Wypłaciłem mu gażę za miesiąc, wystawiłem mu dobre świadectwo i zwolniłem go natychmiast.

— Ale noc? Jak pan ją spędził?

— Przesiedziałem nie zmrużywszy oka.

— Gdzie? w sypialni?

— Tak. Drzwi zostawiłem otwarte, żeby... ono mogło wyjść.

— I czuł pan, że pozostało z panem?

— Nie opuściło mnie ani na chwilę, ale nie dotknęło mnie więcej. Gdy się rozwidniło, wykapałem się i położyłem na łóżko, ale nie zamykałem oczu. Po śniadaniu odbyłem tę rozmowę z Pittingiem. Potem przyszedłem tutaj. Nerwy miałem w fatalnym stanie. Jednak zsiadłem przy biurku, próbowałem myśleć, próbowałem pisać. Nagle cisza została przerwana w ohydny sposób...

— Jak?

— Zaszemrał ten przerażający głos, ten głos spragnionego miłości kretyna. Och...

Drżał cały. Wreszcie opanował się z wysiłkiem i dodał:

— Nie mogłem tego znieść. Byłem już u kresu wytrzymałości: zerwałem się, kazałem zawołać dorożkę, chwyciłem klatkę i pojechałem do sklepu z ptakami. Sprzedałem Napoleona za śmieszna cenę. Zdaje mi się, Ojcze, że byłem wtedy bliski obłędu, bo gdy wyszedłem ze sklepu i przystanąłem na chwilę na chodniku pomiędzy klatkami królików, morskich świnek i małych pieszków, roześmiałem się na głos. Czułem, że z ramion spadł mi ciężar, jak gdybym, sprzedając ten głos, pozbywał się jednocześnie i tego przekłętego stworzenia, które mnie dręczyło. Lecz gdy wróciłem do domu, znalazłem je na miejscu. Jest tutaj i teraz. Obawiam się, że pozostanie na zawsze...

Przestępował przez chwilę z nogi na nogę, stojąc przed kominkiem.

— Co, na miłość boską, mam teraz robić? — zapytał. — Wstydzę się za siebie, proszę Ojca, bo zaczynam przypuszczać, że istnieją na tym świecie rzeczy, których pewni ludzie po prostu nie mogą znieść, i oto — koniec sprawy...

Urwał. Ojciec milczał. W obliczu tego niezwykłego nieszczęścia nie wiedział, co powiedzieć... Wszelkie próby pocieszenia uważał za bezcelowe, więc siedział, milcząc, z oczyma wbitymi w ziemię. A gdy tak siedział, usiłował poddać się wpływom, jakie panowały w tym pokoju, wyczuć wszystko, co w nim było. Na próżno. Nie odczuwał w najmniejszym stopniu obecności osoby trzeciej. Wreszcie powiedział:

— Profesorze, nie wątpię już teraz w rzeczywistość pańskiego nieszczęścia. Musi pan stąd wyjechać, i to natychmiast. Kiedy ma pan odczyt w Paryżu?

— W przyszłym tygodniu. Dokładnie za dziewięć dni.

— Niech pan jedzie do Paryża zawczasu, już jutro. Mówił mi pan, że poczucie obecności tej... tej istoty opuszcza pana, gdy pan stąd wychodzi. Niech pan jutro rano wyjedzie,

niech pan tam pozostanie aż do odczytu. Potem zobaczymy... Nie trać nadziei, drogi przyjacielu, nie trać nadziei!

Uściskał mocno dłoń profesora.

— Niech pan odwiedza swoich paryskich przyjaciół. Niech pan szuka rozrywki. Proszę też, niech pan pomyśli o... innego rodzaju pomocy...

Ostatnie słowa wypowiedział z powagą i prostotą, które wzruszyły profesora. Odwzajemnił się Ojcu uściskiem dłoni, który był niemal serdeczny.

— Wyjadę — powiedział. — Pociągiem o godzinie dziesiątej. Prześpię się dziś w hotelu blisko dworca. Tak będzie wygodniej ze względu na pociąg.

Idąc do domu Ojciec rozmyślał nad ostatnim zdaniem: „tak będzie wygodniej ze względu na pociąg”. Przeraziła go słabość profesora, która kazała mu szukać takiego tłumaczenia.

W ciągu paru następnych dni Ojciec nie otrzymał listu od profesora. Poczł się tym uspokojony, mówił sobie, że widać wszystko idzie dobrze.

Minał dzień odczytu. Następnego ranka Ojciec otworzył „Times” i skwapliwie przeglądał stronicę, szukając wzmianki o wielkim zjeździe uczonych, do których Guildea przemawiał. Nagle ręce, w których trzymał gazetę, zeszywniały. Czytał:

Z żalem donosimy, że profesor Fryderyk Guildea zachorował w czasie prelekcji, jaką wygłaszał w Paryżu na konferencji uczonych. Zauważono, że od początku był bardzo blady i zdenerwowany. Mimo to swobodnie mówił po francusku przez kilkanaście minut. Potem odnieśliśmy wrażenie, że poczuł się słabo. Zaczynał się i rozglądał po sali, jak człowiek będący pod wpływem strachu lub głębokiej depresji. Przerwał wykład raz i drugi. Zdawało się, że nie zdoła mówić dalej, że nie może sobie przypomnieć, co chciał powiedzieć. Lecz opanował się z widocznym wysiłkiem i mówił dalej. W pewnej chwili znów przerwał, przebiegł po estradzie, jak człowiek przez kogoś ścigany, wyciągnął ręce, krzyknął głośno, chrapliwie i zemdłał. Na sali wybuchła nieopisana panika: ludzie wstali z miejsc, kobiety krzyczały.

Obawiamy się, że umysł profesora został nieco nadwerężony wskutek przepracowania. Dowiadujemy się, że w najbliższych dniach profesor wraca do Anglii, i mamy nadzieję, że wypoczynek i spokój przywrócą mu zdrowie, że znów stanie się zdolny do pracy naukowo-badawczej, która już tyle dobra przyniosła ludzkości.

Ojciec upuścił gazetę, pobiegł na pocztę i nadał depezę do Paryża. Tego samego dnia otrzymał odpowiedź:

Wracam jutro. Proszę przyjść wieczorem. Guildea.

Następnego wieczoru Ojciec przyszedł na Hyde Park Place. Guildea siedział w gabinecie przy kominku, z pledem na kolanach. Był straszliwie blady. Wyglądał jak człowiek wyniszczony długą chorobą. W szeroko otwartych oczach miał wyraz przerażenia. Ojciec drgnął na jego widok, z trudem powstrzymując się od łez. Poczł wyrażać mu swe współczucie, lecz Guildea przerwał gestem i słowami:

— Wiem, wiem. Ojciec o tej paryskiej historii... — Zająknął się i przerwał.

— Nie powinien pan być tam jechać — pośpieszył Ojciec. — Nie miałem racji. Nie powinienem być panu tego doradzać. Pan nie był zdrowy.

— Byłem zupełnie zdrow — odpowiedział Guildea z chorobliwym rozdrażnieniem. — Lecz... towarzyszyła mi ta okropność.

Szybko rozejrzał się po pokoju, przesunął krzesło i podciągnął wyżej pled. Ojciec zastanawiał się, po co profesor okrywał się tak starannie. Ogień palił się jasno, węgle były czerwone, a noc niezbyt chłodna.

— Towarzyszyło mi do Paryża — powtórzył przygryzając dolną wargę. Znów przerwał, w widoczny sposób usiłując zapanować nad sobą. Lecz wysiłek był bezskuteczny. W tym człowieku nie było już oporu. Obrócił się w fotelu i nagle wybuchnął tonem bezradnego białania:

— Ojczy, ta istota, ten stwór, och, obojętne, co to jest, nie opuszcza mnie ani na chwilę!

Nie zostaje tu beze mnie, bo... ona mnie kocha, idiotycznie, uparcie. Pojechała ze mną do Paryża, była przy mnie bez przerwy, prześladowała mnie w czasie odczytu, przytulała się do mnie, pieściła mnie, podczas gdy ja przemawiałem. I... powróciła tu wraz ze mną... Jest tutaj i teraz, teraz! — wydał głośny, ostry krzyk — choć siedzę tu z panem. Przysiadła się do mnie, dotyka moich rąk... Człowieku, człowieku, nie czujesz, że ona tu jest?

— Nie — powiedział Ojciec.

— Staram się chronić siebie przed jej wstrętnym dotknięciem — mówił dalej Guildea obciążając obiema rękami koc. — Lecz nic nie pomaga! Nic. Co to jest? Dlaczego wcisnęła się do mnie tamtej nocy?

— Być może za karę... — powiedział miękko Ojciec.

— Za co?

— Pan nienawidził uczucia. Ze wzdargą odpychał pan ludzkie serca. Nie chciał pan kochać nikogo ani też nie pragnął niczyjej miłości. Być może — to jest kara.

Guildea spojrział badawczo w twarz Ojca.

— I Ojciec naprawdę w to wierzy?

— Nie wiem — odpowiedział Ojciec. — Ale to jest możliwe. Niech pan stara się to znieść, nawet traktować życzliwie. Być może wówczas odejdzie...

— Ja przecież wiem, że nie grozi mi żadna krzywda! — wykrzyknął Guildea. — Ta istota czuje dla mnie afekt. Przyłgnęła do mnie w wyniku jakiejś zdumiewającej siły przyciągającej, jaką na nią wywieram, nic o tym nie wiedząc. Lecz dla człowieka o moim usposobieniu to jest straszne. Gdyby mnie nienawidziła, zniósłbym to. Gdyby mnie atakowała, gdyby próbowała uczynić mi coś złego, reagowałbym jak mężczyzna, przyjąłbym walkę. Lecz... ta łagodność, ta obrzydliwa tkliwość, ten kult okazywany mi przez idiotę bez mózgu, to uwielbienie chorobliwe, uparte, straszliwie fizyczne — tego nie mogę znieść. Czego ona chce ode mnie? Łasi się do mnie, przytula. Czuję jej dotknięcia, tak lekkie, jak gdyby ktoś muskał mnie piórkiem. Czuję, jak wdziera się do mego serca, jak by chciała poznać najskrytsze moje pragnienia. Nie pozostawia mnie samego ani na chwilę! — krzyknął zrywając się z miejsca. — Nie mogę się oddalić od niej, nie mogę być sam, nie dotykany, nie uwielbiany, nie obserwowany choćby przez sekundę! Ojczy, czuję, że umieram od tego, umieram naprawdę...

Opadł na fotel ponownie, bojaźliwie spoglądając na wszystkie strony z namiętnością ślepego, który się łudzi, że uporczywy, nieprzerwany, gorący wysiłek przywróci mu wzrok. Ojciec wiedział dobrze, że profesor usiłuje przebić zasłonę niewidzialnego, że chce poznać istotę, która go kocha.

— Profesorze — rzekł wreszcie Ojciec poważnie — staraj się to znieść. Więcej: spróbuj dać tej istocie to, czego ona szuka.

— Ależ ona szuka mojej miłości!

— Postaraj się dać jej tę miłość, może wtedy odejdzie, otrzymawszy to, po co przyszła.

— Ccciszej... Ojciec mówi jak ksiądz... „Miłujcie nieprzyjaciół wasze... Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą...” Ojciec mówi jak ksiądz.

— Nie, mówię jak przyjaciel, mówię prawdę, mówię to, co mam w sercu. Opanowała mnie nagle myśl, że ta sprawa — prawdziwa czy nie, mniejsza o to — jest może dziwną lekcją. Ja sam też dostawałem nauczki, niektóre były bolesne. Na pewno dostanę ich w życiu więcej. Gdyby pan mógł przyjąć życzliwie...

— Nie mogę! Nie mogę! — Guildea krzyczał przenikliwie. — Nienawiść! Tę mogę jej dać, zawsze nienawiść, nic — tylko nienawiść...

Podniósł głos, patrzył z natężeniem w pustkę pokoju i powtarzał: — nienawiść...

W miarę jak mówił, pogłębiała się jego bladość jego policzków. Ojciec zląkł się, że zemdleje, że może nastąpić katastrofa. Nagle profesor podniósł się z krzesła i powiedział wysokim, ostrym głosem, pełnym powstrzymanego wzruszenia:

— Ojczy, Ojczy!...

— Co się stało?

Ekstatyczne uniesienie świeciło w oczach profesora.

— Ono chce mnie opuścić — zawołał — ono chce odejść! Nie traćmy ani chwili! Wypuśćmy! Okno... okna...

Ojciec, zaskoczony, podszedł szybko do najbliższego okna, odrzucił na bok stopy i otworzył je. Gałęzie drzew w ogrodzie sucho skrzypiały na lekkim wietrze. Guildea pochylił się do przodu opierając się o fotel. Nastąpił moment ciszy. Potem Guildea powiedział zduszonym szeptem:

— Nie, nie... Niech Ojciec otworzy drzwi, drzwi z przedpokoju na ulicę. Czuję, że chce wyjść tą samą drogą, którą przyszło. Niech Ojciec się śpieszy, prędej.

Ojciec posłusznie podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Profesor stał, pochylony do przodu, z oczyma błyszczącymi żarem oczekiwania. Gdy Ojciec odwrócił się ku niemu, Guildea wściekłym gestem wychudłej ręki wskazał na schody.

Ojciec z pośpiechem ruszył w dół. Gdy schodził w półmroku, wydało mu się, że słyszy słaby okrzyk dobiegający z pokoju na górze, lecz mimo to nie zatrzymał się. Otworzył na oścież drzwi na ulicę, a potem oparł się plecami o ścianę. Postać chwilę przy drzwiach otwartych, żeby zadowolić profesora. Już miał zamykać drzwi, już chwycił ręką za klamkę, gdy jakaś nieodparta siła zmusiła go, by spojrzeć w kierunku parku. Młody księżyc rozświetlał noc. Gdy w tym półświecie patrzył na park poprzez sztachety ogrodzenia, napotkał oczami ławkę, a na ławce siedziało coś, dziwnie skulone, dziwnie biedne.

W tej samej chwili Ojciec przypomniał sobie opis nocy, owej nocy przyjscia, opis znany mu ze słów profesora... Więc rzeczywiście istniało coś, co naprawdę weszło do domu profesora? I — czy już dokonało swego dzieła, spełniło swoje pragnienie i... wróciło do poprzedniej egzystencji?

Ojciec wahał się chwilę, stojąc na progu. Potem przeszedł zdecydowanym krokiem przez ulicę, nie spuszczać z oka owego ciemnego kształtu, który wspierał się tak dziwnie o ławkę. Nie mógł jeszcze powiedzieć, co to było, zdawało mu się jednak, że „to” nie było podobne do niczego, co znały jego oczy. Już miał minąć wrota parku, gdy odczuł chwyt na swym ramieniu. Drgnął, odwrócił się i zobaczył policjanta patrzącego nań podejrzliwie.

— Cóż to pan zamierza? — zapytał policjant.

Ojciec uświadomił sobie w tej chwili, że nie ma na głowie kapelusza i że jego wygląd, gdy tak zakradał się do parku, ubrany w sutannę, z oczami wpatrzonymi w ławkę parku, był dostatecznie niezwykły, aby wzbudzić w policjancie podejrzenie.

— Wszystko w porządku, panie posterunkowy — odpowiedział szybko Ojciec, wkładając mu w dłoń jakiś pieniądz.

Potem, nie zwracając nań więcej uwagi, zrozpaczony, że go zatrzymano, pośpieszył ku ławce. Gdy doszedł, nie było na niej nikogo. Doświadczenie profesora powtórzone więc zostało najdokładniej.

Gdy Ojciec pełen irracjonalnego rozczarowania wrócił do domu i wszedł do gabinetu, na dywanie, tuż przy kominku, leżał Guildea. Głowę miał wspartą o fotel, z którego widocznie dopiero co wstał. Na twarzy, wykrzywionej konwulsyjnie, zastygł wyraz przerażenia. Ojciec pochylił się nad przyjacielem: był martwy.

Wezwany lekarz orzekł, że przyczyną śmierci był zawał serca.

— Serce? A więc to o to chodziło? — zamruczał Ojciec i, zwracając się ku lekarzowi, zapytał:

— Czy można było temu zapobiec?

Wciągając rękawiczki, lekarz odpowiedział:

— Możliwe... Gdyby we właściwym czasie się nim zająć. Choroby serca wymagają wielkiej troskliwości. Profesor był zbyt przeciążony pracą. Powinien był prowadzić zgoła inny tryb życia.

— Tak, tak... — powiedział Ojciec ze smutkiem.

Przełożyła Kazimiera Muszałówna

EDWARD LUCAS WHITE

Edward Lucas White (1886—1934), urodzony w USA w Bergen (stan New Jersey), nauczyciel w Baltimore, był autorem zbiorów wierszy i kilku powieści historycznych, z których sukces odniosły El Supremo i Andivius Hedulio. Wybrane opowiadanie o zemście szamana afrykańskiego na białym człowieku ma cechy przejmującej i przykrej fantazji. Twierdzenie autora, że Lukundu przysniło mu się wraz z innymi opowiadaniem, ogłoszonymi później w tomie pod takim tytułem, ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Jest w nim bowiem istotnie coś ze zmory sennej. Przykre sny musiał więc miewać Edward Lucas White.

LUKUNDU

Rozumie się samo przez się — powiedział Twombly — że człowiek musi uznać świadectwo własnych oczu. A gdy zgadza się świadectwo i oczu, i uszu. wówczas nie ma wątpliwości. Człowiek musi wierzyć w to, co ujrzał i usłyszał

— Nie zawsze — wtrącił miękko Singleton.

Wszyscy zwróciliśmy ku niemu głowy. Twombly stał na dywaniku, plecami do kominka, szeroko rozstawiwszy nogi, w postawie właściwej komuś, kto panuje nad sytuacją. Singleton — jak zwykle — starał się nie zwracać niczyjej uwagi, wciśnięty w kąt pokoju. Lecz gdy już zabierał głos, na pewno miał coś do powiedzenia. Toteż patrzyliśmy nań w wyczekującym milczeniu, które zachęca do mówienia.

— Myślę o czymś — powiedział po chwili — co widziałem i słyszałem w Afryce.

Tegośmy się nie spodziewali. Sądziłyśmy, że nie uda nam się wydobyć z Singletona nic konkretnego na temat jego afrykańskich przeżyć. Podobnie jak w znanej historyjce o alpinistcie, który nic więcej o swej wyprawie nie umiał powiedzieć jak to, że wdrapał się na szczyt i zlął na dół, tak i opowiadania Singletona o Afryce ograniczały się do stwierdzenia, że pojechał tam i wrócił. Nic dziwnego, że teraz jego słowa zaciekały nas. Twombly ulotnił się sprzed kominka i nikt tego prawie nie zauważył, gdyż całą naszą uwagę skupił na sobie Singleton. Zapaliliśmy pospiesznie, niemal ukradkiem, nowe cygara. Zrobił to i Singleton, lecz cygaro zgasło mu zaraz, a on nie próbował zapalić go na nowo.

I

Przebywaliśmy w Wielkim Lesie w poszukiwaniu Pigmejów. Van Rieten głosił teorię, że karły, odkryte przez Stanleya i innych, pochodziły ze skrzyżowania zwykłych Murzynów z prawdziwymi Pigmejami. Miał nadzieję znaleźć ludzi, których maksymalny wzrost nie przekraczałby trzech stóp. Lecz dotychczas nie trafiliśmy na ślad takich istot.

Tubylców było mało, zwierzyny skąpo, żywności żadnej prócz tego, co mogliśmy upolować — a wokół nas głęboka, wilgocią ociekająca dżungla. Byliśmy w tym kraju całkowitą nowością; żaden ze spotykanych przez nas tubylców nigdy przedtem nie widział białego, a większość nawet o nim nie słyszała. Pewnego dnia późnym popołudniem przyszedł do naszego obozu jakiś Anglik, śmiertelnie znużony. Nic o nim dotąd nie słyszeliśmy, ale on nie tylko

o nas słyshał, lecz podjął ten wyczerpujący, pięciodniowy marsz, aby nas spotkać. Jego przewodnik i dwaj tragarze byli równie wyczerpani drogą. Ubranie miał w strzępach, od pięciu dni zapuszczoną brodę, a jednak od razu wiedziało się, że z natury musiał być rzeński, schludny i że należy do ludzi, którzy gołą się co dzień. Był niski, lecz sprężysty i zwinny. Jego twarz — często się spotyka takie twarze u Anglików — nie wyrażała żadnych uczuć. Ujawniała jakby wewnętrzną oschłość. Człowiek o takiej twarzy zdaje się dążyć do jednego: przejść przez życie godnie, nikomu się nie narzucając i nikogo nie nudząc.

Nazywał się Etcham. Przedstawił się skromnie, a jadł tak umiarkowanie, że nikt z nas nie byłby się domyślił, iż w ciągu pięciu dni jadł tylko trzy razy, i to niewiele. Dowiedzieli się tego nasi tragarze od jego ludzi. Gdy zapaliliśmy fajki, wyjaśnił nam, po co przyszedł.

— Mój szef jest bardzo chory — powiedział puszczać kłęby dymu. — Jeśli tak nadal z nim będzie, umrze. Dlatego pomyślałem, że może...

Mówił spokojnie, równym, miękkim głosem, lecz dostrzegłem kropelki potu spływające z górnej wargi pod szczeciniastym wąsem; wyczułem w jego głosie tłumione wzruszenie, w oczach hamowaną niecierpliwość, w zachowaniu wewnętrzną niepokój i troskę. Poruszyło mnie to od razu. Lecz Van Rieten nie był sentymentalny: jeśli był wzruszony, nie dał tego po sobie poznać. Jednak słucał uważnie. Byłem tym zdziwiony, bo nie należał do ludzi cierpliwych. A on słucał w napięciu ostrożnych, połowicznych napomknień Etchama. Nawet zadał pytanie:

— Kto jest pańskim szefem?

— Stone — wymamrotał Etcham.

Aż nas poderwało.

— Ralph Stone? — krzyknęliśmy obaj jednocześnie.

Etcham kiwnął głową.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Van Rieten nie widział go nigdy, lecz ja byłem kolegą szkolnym Stone'a i niejedną wieczór przy ognisku obozowym przegadałem z Van Rietenem na jego temat. Słyszeliśmy o nim przed dwoma laty: na południe od Luebo, w kraju plemienia Balunda, głośny był wówczas wielki spór między Stone'em a miejscowym czarno-księżnikiem. Spór zakończył się kompletną porażką czarownika, którego plemię musiało ugiąć się przed Stone'em. Członkowie tego plemienia strzaskali nawet gwizdek należący do szamana, a kawałki ofiarowali Stone'owi. Było to jak triumf proroka Eliasza nad kapłanami Baala, tylko bardziej dla Balundów realny.

Sądzieliśmy, że Stone jest daleko od nas, jeśli w ogóle przebywa jeszcze w Afryce. A on tymczasem znalazł się przed nami i, być może, wyprzedził nas w poszukiwaniach.

II

Gdy Etcham wymienił nazwisko Stone'a, stanęła mi przed oczami niewiarygodna historia jego życia: niezwykli rodzice, ich tragiczny zgon, jego sukcesy z lat szkolnych, miliony, obiecujący wiek męski i wielkie powodzenie, tak bliskie prawdziwej sławy. Dalej — romantyczna ucieczka z młodziutką, efemeryczną pisarką, która szeregiem powieści zdobyła sobie od razu imię, a której wdzięk i uroda zasłynęły równie głośno. Potem olbrzymi skandal, proces o złamanie obietnicy małżeństwa, podczas którego jego młoda żona wykazała wielkie doń przywiązanie. Po tym wszystkim gwałtowna kłótnia i rozwód oraz pogłoski o jego bliskim małżeństwie z ową oszukaną dziewczyną. I nagle — Stone wstępuje w ponowny związek małżeński ze swą rozwiedzioną żoną. Druga wielka sprzeczka i drugi rozwód. Wreszcie Stone opuszcza rodzinny kraj i przybywa na Czarny Łąd.

To wszystko błyskawicą przemknęło mi przez głowę. Czułem, że Van Rieten myślał o tym samym. Wreszcie zapytał:

- Gdzie jest Werner?
- Nie żyje — odrzekł Etcham. — Umarł, nim przyłączyłem się do Stone'a.
- Nie był pan ze Stone'em powyżej Luebo?
- Nie. Spotkałem się z nim przy wodospadach Stanleya.
- Kto z nim jest? — zapytał znowu Van Rieten.
- Tylko jego służba z Zanzibaru i tragarze — odrzekł Etcham.
- Cóż to za tragarze?
- Ludzie z plemienia Mang-Battu — odpowiedział Etcham.

Byliśmy pod wrażeniem tej prostej odpowiedzi. Fakt ten znakomicie charakteryzował Stone'a jako świetnego przywódcę, bo nikomu dotąd nie udało się użyć członków plemienia Mang-Battu jako tragarzy poza granicami ich własnego kraju ani też utrzymać ich w czasie dalekiej i trudnej ekspedycji.

— Czy długo przebywaliście wśród Mang-Battu? — padło pytanie Van Rietena.

— Kilka tygodni — wyjaśnił Etcham. — Stone bardzo się nimi interesował, zestawił obszerny słownik ich mowy — wyrazów i zdań. Nasunęła mu się myśl, że plemię to wywodzi się z ludu Balunda, a w obyczajach Mang-Battu znalazł ważne potwierdzenie tej teorii.

— Czym się żywiecie? — indagował Van Rieten.

— Głównie zwierzyną — zamruczał Etcham.

— Od kiedy Stone choruje?

— Od przeszło miesiąca.

— A pan polował dla całego obozu! — krzyknął Van Rieten.

Na spalonej słońcem, szorstkiej twarzy Etchama pojawił się cień rumieńca.

— Spudłowałem parę razy, mając łatwy strzał — powiedział z żalnym uśmiechem. — Ja sam też nie czułem się zupełnie dobrze.

— Co jest pańskiemu szefowi? — badał dalej Van Rieten.

— Coś jakby wrzody, karbunkuły — odparł Etcham.

— Powinien był wyzdrowieć po jednym czy dwóch karbunkułach...

— To nie są karbunkuły — wyjaśnił Etcham. — I nie jeden czy dwa... miał je tuzinami, niekiedy po pięć jednocześnie. Gdyby to były karbunkuły, umarłby już dawno. Pod pewnym względem nie są one tak niebezpieczne, pod innym — znacznie gorsze.

— Co pan przez to rozumie?

— Otóż... — Etcham zawahał się. — Zdaje się, że nie mają one tak głębokiego i szerokiego rdzenia jak karbunkuły, nie są tak bolesne i nie wywołują tak wysokiej gorączki. Związane są chyba z chorobą, jaka dotknęła jego umysł. Początkowo pozwalał pomagać sobie przy opatrunkach, ale dalsze wrzody ukrywał starannie przede mną i przed ludźmi. Nie opuszcza namiotu, gdy wrzody nabrzmiewają, nie chce, by mu zmieniać opatrunki, nie chce nawet, żebym przy nim był.

— Czy macie dużo bandaży? — zapytał Van Rieten.

— Mamy trochę — odpowiedział Etcham niepewnie. — Ale on nie chce ich używać. Sam pierze brudne bandaże i nakłada je z powrotem.

— A jakże on leczy te swoje wrzody?

— Ścina je brzytwą równo z powierzchnią ciała...

— Co?! — krzyknął Van Rieten.

Etcham nie odpowiedział, lecz patrzył mu prosto i intensywnie w oczy.

— Przepraszam pana — powiedział Van Rieten. — Przeraził mnie pan. To nie mogą być karbunkuły. Umarłby już dawno.

— Zaznaczyłem, że to nie są karbunkuły — przypomniał cichym głosem Etcham.

— Ten człowiek musi być szalony! — zawołał Van Rieten.

— Właśnie — zgodził się Etcham, — Unika moich porad i opieki.

— Ile wrzodów leczył on w ten sposób?

— Wiem o dwóch.

— O dwóch? — spytał Van Rieten z powątpiewaniem.

Etcham znów się zaczerwienił.

— Podglądałem go — wyznał — przez szczelinę w jego chacie. Czułem, że powinienem nad nim czuwać jak nad niepoczytalnym...

— Słusznie — przyznał Van Rieten. — Pan dwukrotnie widział, jak on to robił?

— Przypuszczam, że robił to samo ze wszystkimi dalszymi wrzodami.

— Ile mógł ich mieć?

— Dziesiątki — powiedział cicho Etcham.

— Czy dużo je?

— Jak wilk... Wystarczyłoby dla dwóch tragarzy...

— Czy może chodzić?

— Pełza, jęcząc... — odpowiedział po prostu Etcham.

— Gorączka mała, mówi pan?

— O nie, aż za wysoka.

— Czy majaczył? — zapytał Van Rieten.

— Tylko dwa razy: gdy pierwszy wrzód miał pęknąć, a później — jeszcze raz. Nie pozwalała wówczas nikomu zbliżyć się do siebie. Mimo to słyszeliśmy, jak mówił, wciąż mówił. To przstraszyło tubylców.

— Czy w malignie mówił ich narzeczem?

— Nie, lecz jakimś zbliżonym. Hamed Burghasz powiedział nam, że Stone mówił w narzeczu Balunda. Osobiście znam je zbyt mało. Trudno przyswajam sobie obce języki. Stone nauczył się lepiej dialektu Mang-Battu w ciągu tygodnia niż ja po roku. Zdawało mi się, że słyszałem słowa w dialekcie Mang-Battu. W każdym razie tragarze tego plemienia byli wystraszeni.

— Wystraszeni? — powtórzył Van Rieten pytająco.

— Podobnie jak ludzie z Zanzibaru, a nawet i Hamed Burghasz, a ja — także, choć z innej przyczyny. Bo... on mówił dwoma głosami...

— Dwoma głosami? — zastanowił się Van Rieten.

— Tak — Etcham mówił teraz, jak by podrażniony naszą dociekliwością. — Dwoma głosami, no, jak w rozmowie dwóch osób. Jeden głos był jego, drugi miał cienie, wysokie, przenikliwe tony. Nie słyszałem nigdy takiego. Zdawało mi się, że wyraźnie rozróżniam w dźwiękach wydawanych przez głęboki głos wyrazy w narzeczu Mang-Battu, jak: *nedru*, *meta-baba*, *nedo*... Co oznacza: głowa, ramię, udo... i może jeszcze: *kudra* i *nekere*, co znaczy: mów i gwizdek. A wśród dźwięków, wydawanych przez ostry, cienki głos, pochwyliłem słowa: *matomipa*, *angunzi*, *kamomami* — zabij, śmierć, nienawiść... Hamed Burghasz powiedział, że również słyszał te wyrazy. On zna Mang-Battu znacznie lepiej niż ja.

— Co powiedzieli tragarze? — zapytał Van Rieten.

— Powiedzieli: *lukundu*... *lukundu*... Nie znałem tego wyrazu. Hamed Burghasz wyjaśnił mi, że jest to nazwa lamparta w narzeczu Mang-Battu.

— Tym słowem Mang-Battu określają również czary — powiedział Van Rieten.

— Nic dziwnego — odrzekł Etcham. — Wystarczy posłuchać tych dwóch głosów, żeby w to uwierzyć.

— Czy jeden głos odpowiadał drugiemu? — spytał Van Rieten z naciskiem.

Opalona twarz Etchama poszarzała.

— Niekiedy oba mówiły jednocześnie — odpowiedział ochryplym głosem.

— Oba na raz? — wybuchnął Van Rieten.

— Ludziom też się tak wydawało... I... to jeszcze nie wszystko... — Urwał i bezradnie patrzył na nas przez chwilę.

— Czy człowiek może jednocześnie mówić i gwizdać? — zapytał.

— Jak pan to rozumie? — zdziwił się Van Rieten.

— Słyszeliśmy, jak Stone mówił, jak dudnił jego potężny, z głębi piersi dobywający się baryton. A poprzez ten głos słyszeliśmy wysoki, przeraźliwy gwizd, bardzo dziwny, syczący dźwięk. Pan wie, gwizd dorosłego mężczyzny, choćby najbardziej ostry i przeraźliwy, zawsze mieć będzie inny ton niż gwizd chłopca, kobiety czy dziewczynki. Te ostatnie w każdym razie gwizdzą na wyższej nucie. Teraz niech pan sobie wyobrazi małą dziewczynkę, która potrafi gwizdać przeciągle i bez przerwy, a zarazem bez melodii... Taki był ten gwizd, tylko jeszcze bardziej przeraźliwy, przebijał wyraźnie poprzez głębokie tony głosu Stone'a.

— I pan wtedy do niego nie wszedł? — krzyknął Van Rieten.

— On nie jest skłonny do gróźb, lecz tym razem zagroził — bronił się Etcham — i to nie w podnieceniu, jak człowiek chory, tylko spokojnie i zdecydowanie, że ktokolwiek z nas podejrze do niego podczas takiego ataku — tego zabije. Że spełni tę groźbę, świadczyły nie tylko słowa, lecz i zachowanie. Rozkazywał jak władca, który nie chce, by mu zakłócano spokój na łożu śmierci. Temu rozkazowi nie można się było po prostu sprzeciwić.

— Rozumiem — powiedział krótko Van Rieten.

— Jest bardzo słaby — powtórzył Etcham bezradnie. — Pomyślałem, że może...

Poprzez jego opanowanie przebijała serdeczna miłość do Stone'a. Miłość bliska uwielbienia. To uczucie wyraźnie dominowało w nim.

Van Rieten, jak wielu ludzi wybitnie zdolnych, był egoistą. Właśnie w tym momencie dał temu wyraz... Oświadczył, że całkiem tak samo jak Stone musimy z dnia na dzień walczyć o własne życie; że nie zapomina o więzi pochodzenia i o solidarności zawodowej łączącej badaczy, lecz że nie ma sensu narażać na niebezpieczeństwo całej ekspedycji dla wątpliwej pomocy człowiekowi, którego prawdopodobnie nic już nie uratuje; że trud polowania dla członków jednej wyprawy jest dostatecznie ciężki; że gdyby połączono obie ekspedycje, zaopatrywanie w żywność stałoby się dwa razy trudniejsze, a ryzyko śmierci głodowej, zbyt wielkie. Nadmienił też, że nasza ekspedycja musiałaby zboczyć z drogi o siedem dni marszu (tu pogratulował Etchamowi, że potrafił maszerować szybciej), a to mogłoby całkowicie zniweczyć nasze plany.

III

Rozsądek był po stronie Van Rietena. Etcham przyjął decyzję w postawie pełnej szacunku, jak uczeń wobec nauczyciela.

— Szukam Pigmejów ryzykując życie... Idę ich śladami. To jest moje zadanie — zakończył Van Rieten.

— W takim razie może zainteresują pana te rzeczy — odpowiedział spokojnie Etcham. Z bocznej kieszeni kurtki wyjął dwa przedmioty i wręczył je Van Rietenowi. Były okrągłe, większe od dużych śliwek, a mniejsze od brzoskwiń, akurat takie, że łatwo mieściły się w dłoni. Były czarne. W pierwszej chwili nie mogłem zorientować się, co to było.

— Pigmeje! — wykrzyknął Van Rieten. — Prawdziwi Pigmeje! Ależ przecież nie mieliby nawet dwóch stóp wzrostu. Czy pan chce mi wmówić, że to są głowy dorosłych?

— Ja nic panu nie wmawiam — odpowiedział spokojnie Etcham. — Pan sam widzi.

Van Rieten podał mi jedną z głów. Słońce właśnie zachodziło. Przyjrzałem się głowie z bliska i dokładnie. Była to wysuszona głowa, znakomicie zakonserwowana. Tkanki były tak stwardniałe jak argentyńska wołowina w plastrach. Tam gdzie mięśnie szyi skurczyły się w fałdach, wystawał kawałek stosu pacierzowego. Malutki podbródek rysował się ostrą linią na wystającej szczęce; drobne zęby — białe i równe — widoczne były zza ściągniętych warg; miała płaski nos, wąziutkie czoło cofnięte do tyłu, a na lilipuciej czaszce wiły się drobne kosmyki skapego owłosienia. Nie było jednak nic dziecinnego, nic młodzieńczego w tej gło-

wie dojrzałej, niemal że sędziwej.

— Skąd one pochodzą? — spytał Van Rieten.

— Nie wiem — odpowiedział Etcham. — Znalazłem je w rzeczach Stone'a, gdy szukałem jakiegoś lekarstwa, które mogłoby mu pomóc. Nie wiem, skąd je wziął. Lecz mogę przysiąc, że nie miał ich, zanim weszliśmy na ten teren.

— Jest pan tego pewien? — badał dalej Van Rieten, nie spuszczać oczu z Etchama.

— Całkowicie — niemal szeptem odpowiedział Etcham.

— Lecz w jaki sposób mógł je znaleźć, skoro pan o tym nie wiedział? — wyraził wątpliwość Van Rieten.

— Niekiedy rozstawaliśmy się nawet na dziesięć dni, żeby polować — powiedział Etcham. — Stone nie jest gadatliwy. Nie opowiadał mi, co robił, a Hamed Burghasz też trzyma język za zębami i mocną ręką rządzi ludźmi.

— Czy pan przyglądał się tym głowom?

— Bardzo dokładnie.

Van Rieten był człowiekiem systematycznym. Wyciągnął notes, wyrwał kartkę i podzielił na trzy równe części. Jedną dał mnie, drugą Etchamowi.

— Chciałbym tylko sprawdzić nasze wrażenia — powiedział. — Niech każdy z nas napisze, co przypomina mu ta głowa. Potem porównamy nasze uwagi!

Wręczyłem ołówek Etchamowi, który szybko napisał parę słów. Z kolei oddał ołówek mnie i ja napisałem.

— Przeczytaj wszystkie trzy — powiedział Van Rieten, wręczając mi swoją kartkę.

Van Rieten napisał: *stary Balunda, czarownik*; Etcham: *stary szaman plemienia Mang-Battu*; ja napisałem: *stary zaklinacz szczepu Katongo*.

— Proszę! — zawołał Van Rieten. — Patrzcie, głowy te nie przypominają wcale typu Wagabi, Batwa, Wambuttu czy Wabotu... A także nie mają nic z typu Pigmejów...

— Ja też tak myślę — powiedział Etcham.

— I pan utrzymuje, że Stone nie miał ich przedtem?

— Jestem tego najzupełniej pewien — potwierdził Etcham.

— W takim razie warto się potrudzić — zdecydował Van Rieten. — Idę z panem i przede wszystkim zrobię, co się da, aby uratować Stone'a.

Wyciągnął rękę. Etcham uściśnął ją w milczeniu. Czuł ogromną wdzięczność.

IV

Tylko prawdziwa troska i niepokój o życie przyjaciela mogły sprawić, że Etcham odbył drogę z obozu Stone'a do nas w pięć dni. Stracił osiem dni, nim doprowadził nas do swego obozu, mimo iż znał drogę i miał pomoc naszej ekspedycji. Nie byliśmy w stanie dotrzeć nawet o jeden dzień wcześniej, choć Etcham przynaglał nas bezustannie, z trudem tłumiąc rosnący niepokój. Nie, nie kierował nim tylko obowiązek względem swego dowódcy. Pod chłodnym, niemal konwencjonalnym sposobem bycia wyczuwaliśmy w Etchamie żarliwy podziw dla Stone'a, mimo woli ujawniane bezgraniczne oddanie. Wyczuwaliśmy to, choć Etcham dobrze nosił maskę obojętności.

Znaleźliśmy Stone'a otoczonego troskliwą opieką. Etcham zarządził, aby obóz ogrodzono wysoką, ciernistą zeribą. Zbudowano szałas, pokryto je plecionką, a chatę Stone'a urządzono, jak się dało najwygodniej. Hamed Burghasz spisywał się dobrze. Miał zadatki na despotę. Trzymał ludzi Mang-Battu w garści, nie uciekł mu ani jeden tragarz, wszyscy byli karni. Nadto on sam okazał się wcale zręczną pielęgniarką i wiernym sługą. Dwaj czarni z Zanzibaru zajmowali się dość skutecznie polowaniem. Choć nikt nie był najedzony, nie przymerano też głodem.

Stone leżał na płóciennym łóżku polowym, przy którym stał składany stolik podobny do tureckiego taboretu. Na stoliku znajdowała się manierka, kilka flakoników, zegarek i brzytwa. Stone miał wygląd czysty i nie wynędzniały, lecz choroba toczyła go wyraźnie. Był przytomny, drzemał. Gdy weszliśmy, zdawał się nie spostrzegać nas, nie wiedzieć, że jesteśmy u niego. Poznałem go bez trudu, choć nie było już w nim chłopięcej żywości ani czaru, którym ongiś podbijał ludzi. Bardziej niż zwykle przypominał lwa — włosy miał obfite, jasne i faliste; nie zmieniała go też kręcona blond broda, zapuszczona od pierwszych dni choroby. Był wysoki i nadal miał potężnie sklepioną klatkę piersiową. Tylko oczy były mętne. Bełkotał, wyrzucając sylaby bez związku, nie łącząc ich w słowa.

Van Rieten odkrył i obejrzał Stone'a. Jak na człowieka od dawna przykutego do łóżka, Stone mięśnie miał jędrne. Piersi, ramiona i nogi pokryte były bliznami. W trzech, czterech miejscach widniały otwarte rany, w czterech lub pięciu — dopiero co zaleczone. Nie widać było nowych obrzmień z wyjątkiem dwóch na piersiach, przy tym nabrzmienie na lewej piersi znajdowało się wyżej i znacznie bliżej boku niż prawe. Nie wyglądały na karbunkuły ani na czyraki. Sprawiało to raczej wrażenie, że coś twardego i tępego wypychało się na zewnątrz ze zdrowego ciała. Nawet skóra nie była zbyt zaogniona.

— Ja bym ich nie przecinał — powiedział Van Rieten. a Etcham skinął głową.

Ułożyliśmy Stone'a jak najwygodniej. Przed samym zachodem słońca zajrzeliśmy znów do niego. Leżał na wznak. Był jakiś dziwnie otepiały.

Zostawiliśmy przy nim Etchama i poszliśmy do sąsiedniej, przeznaczonej dla nas chaty. Dżungla odzywała się głosem znanym nam już od kilku miesięcy. Zasnąłem szybko.

V

Obudziłem się nagle w głębokiej ciemności. Gwar dobiegł moich uszu. Zacząłem nasłuchiwać.

Mogłem rozróżnić dwa głosy: jeden należał do Stone'a, drugi był syczący i chrapliwy. Pamiętałem dobrze głos Stone'a, choć minęło wiele lat od chwili, gdy słyszałem go po raz ostatni. Drugi głos nie był podobny do żadnego ze znanych mi głosów. Był słabszy niż kwilenie niemowlęcia, a jednak była w nim jakaś natarczywa siła jak w brzęczeniu owada. Gdy nasłuchiwałem, doszedł moich uszu stłumiony oddech Van Rietena tuż obok mnie w ciemności. A więc on też słuchał i zdawał sobie sprawę, że ja nasłuchuję. Podobnie jak Etcham słabo znałem język balunda, mogłem jednak rozróżnić jedno czy dwa słowa. Głosy mówiły na zmianę, a chwilami panowało milczenie.

Nagle — oba zabrzmiały jednocześnie i szybko. Baryton Stone'a — pełen mocy głos zdrowego człowieka — i ten drugi, skrzypiący niewiarygodnym falsetem. Oba głosy zachodziły na siebie jak głosy dwóch kłócących się ludzi, usiłujących przekrzyknąć jeden drugiego.

— Nie mogę tego znieść... — powiedział Van Rieten. — Chodźmy zobaczyć.

Van Rieten miał elektryczną latarkę. Odszukał ją, nacisnął guziczek i skinął na mnie. Gdy znaleźliśmy się przed chatą, gestem nakazał mi zatrzymać się i zgasił światło, jak gdyby wrażenia wzrokowe mogły naruszyć zdolność słyszenia.

Panowała absolutna ciemność. Tylko z popiołu dogasającego ogniska, roznieconego przez tragarzy, wyłaniał się wąty pobleask żaru. Słabe światło gwiazd przebijało przez gęstwą drzew. Od rzeki dolatywał cichy szmer. Bez wysiłku słyszeliśmy oba głosy jednocześnie. Nagle głos skrzekliwy przeszedł w gwizd, ostry jak brzytwa, przenikający poprzez potok słów schrypniętego głosu Stone'a.

— Wielki Boże! — krzyknął Van Rieten. Zapalił zniecka światło. Stwierdziliśmy, że Etcham spał głęboko, wyczerpany długotrwałym niepokojem, znużony trudami forsownego marszu. Teraz, gdy wielki ciężar przesunął się w pewnym stopniu z jego bark na ramiona Van

Rietena, doznał ulgi. Spał tak mocno, że nawet światło skierowane prosto w twarz nie zdołało go obudzić.

Gwizd ustał. Znowu oba głosy brzmiały równocześnie. Oba dobiegały z łóżka, na którym w jasnym świetle latarki leżał Stone w tej pozycji, w jakiej zostawiliśmy go wieczorem. Jedynie ręce podłożył pod głowę, zrzucił kołdrę i zerwał bandaże z piersi.

Nabrzmienie na prawej piersi pękło. Van Rieten skierował na nie światło: widzieliśmy teraz „wrzód” dokładnie. Z ciała wystawała — rosnąc — głowa... taka sama jak tamte wysuszone, które pokazał nam Etcham, jak miniatura głowy szamana szczepu Balunda. Była czarna, świecąca czarnością jak najczarniejsza skóra afrykańska. Toczyła białkami swych maleńkich, złośliwych oczu, szczyrzyła mikroskopijne zęby spomiędzy warg wstrętne niekształtnych i obrzękłych. To coś miało na malutkiej czaszce kłębki skręconego, wełnistego uwłosienia i kiwało się złowrogo na prawo i lewo, piszcząc bez przerwy tym niepojętym falsetem. Stone bełkotał tocząc przerywaną kłótnię.

Van Rieten odwrócił się od Stone'a i nie bez trudu obudził Etchama. Obudzony spojrzął na tę straszliwą scenę, potem na nas i nie rzekł ani słowa.

— Pan widział, jak Stone ściął dwa nabrzmienia, prawda? — zapytał Van Rieten.

Etcham kiwnął głową. Wyglądał, jak by się dusił.

— Czy bardzo krwawił?

— Nie, mało.

— Niech pan przytrzyma mu ręce — powiedział Van Rieten do Etchama. Wziął brzytwę Stone'a i podał mi latarkę. Stone nie reagował na światło. Nie dał poznać po sobie, czy wie, że jesteśmy przy nim, tylko mała głowa krzyczała i wymyślała...

Van Rieten miał pewną rękę, a brzytwa była ostra i niezawodna. Stone krwawił zdumiewająco mało. Van Rieten zabandażował ranę, jak by to było tylko skaleczenie czy draśnięcie.

Stone przestał mówić w chwili, gdy wyrastająca z jego ciała głowa została ścięta. Van Rieten zrobił wszystko, co można było zrobić, po czym odebrał ode mnie światło, chwycił strzelbę i dokładnie zbadał ziemię dokoła łóżka.

Potem wróciliśmy do naszej chaty, ale nie pamiętam, bym spał...

VI

Nazajutrz około południa w pełnym blasku słońca znów usłyszeliśmy dwa głosy dobiegające z chaty Stone'a. Pospiesziliśmy tam. Etcham spał, znużony całonocnym czuwaniem, a z piersi Stone'a wydobywała się nowa główka, rozwrzeszczana i parszająca. Staliśmy patrząc w milczeniu. Stone wtrącał ochryple swoje zwykłe monosylaby w nieprzerwany bulgot tego potworka.

Van Rieten podszedł do stolika, wziął brzytwę i ukląkł przy łóżku Stone'a. Małeńka głowa wyszczerzyła doń zęby, zanosząc się świszczącym głosem.

Nagle Stone przemówił po angielsku.

— Kto tu stoi z moją brzytwą w ręce?

Van Rieten odskoczył w tył i pochylił się. Oczy Stone'a — jasne i przytomne w tej chwili — przesuwają się po całej chacie.

— To już koniec... — powiedział. — Wiem, że to koniec. Zdaje mi się, że widzę Etchama jak za życia. Ale Singleton, och, Singleton... Czyżby zjawy z mojego dzieciństwa przyszły tu patrzeć, jak odchodzę? I ty, dziwne widmo z czarną brodą i moją brzytwą... Znikaj!

— Słuchaj. Stone — odezwałem się — nie jestem duchem. Żyję tak samo jak Etcham i Van Rieten. Jesteśmy tu, aby ci pomóc.

— Van Rieten! — zawołał Stone. — Moje dzieło przechodzi więc w lepsze ręce. Życzę

ci szczęścia, Van Rieten.

Van Rieten zbliżył się do łóżka.

— Leż spokojnie przez chwilę, przyjacielu — powiedział. — To tylko sekunda bólu.

— Zniosłem znacznie więcej tych sekund — odpowiedział Stone zupełnie wyraźnie. — Zostaw mnie... Pozwólcie mi umrzeć, jak mi sądzono. Hydra była niczym w porównaniu z tym... Możesz odciąć dziesięć, sto, tysiąc tych głów, lecz nie wykroisz przekleństwa, nie zdejmiesz go ze mnie... Co wżarło się w kość, tego nie wytniesz z ciała. Nie tykajcie mnie więcej. Dajcie słowo!

W jego głosie zabrzmiał dawny, nakazujący ton, tak właściwy mu w latach młodości, któremu każdy zawsze ulegał. Van Rieten zawahał się.

— Obiecuję — wyrzekł.

Ledwie powiedział te słowa, oczy Stone'a znowu powlokły się mgłą. Wszyscy trzej usiedli koło niego i patrzyli, jak ten ohydny szwargocący dziwotwór wyrastał z ciała Stone'a, aż wyswobodziły się dwie wstrętne, wijące się, czarne, małe rączki. Malusieńkie paznokcie uformowane były doskonale, a różowa skóra wewnątrz dłoni — ohydnie naturalna. Ręce gestykulowały żywo, a prawa poczęła szarpać jasną brodę Stone'a.

— Nie zniosę tego! — krzyknął Van Rieten i chwycił brzytwę.

W tej samej chwili Stone otworzył oczy, przytomne i błyszczące.

— Van Rieten chce złamać słowo? — wyrzekł powoli. — Nigdy!

— Ależ ja muszę panu pomóc! — rzucił dysząc Van Rieten.

— Nic już nie może mi pomóc ani zaszkodzić... Nadeszła moja godzina. To przekleństwo nie zostało na mnie rzucone, ono zrodziło się we mnie jak ta tutaj ohyda... Idę...

Zamknął oczy, a my staliśmy bezradni. Mała figurka wykrzykiwała swoje przeraźliwe obelgi.

Po chwili Stone znów przemówił.

— Czy mówisz wszystkimi językami? — spytał pośpiesznie.

Wyłaniający się z ciała Stone'a potworek odpowiedział niespodziewanie po angielsku:

— Tak, wszystkimi, którymi i ty władasz.

Mówiąc to figurka wysunęła swój mikroskopijny język, ściągnęła wargi i chwiała głową z jednej strony na drugą.

Mogliśmy dostrzec napięte żebra, gdy drobna klatka piersiowa wznosiła się i opadała jak przy oddechu.

— Czy ona mi już przebaczyła? — zapytał Stone zduszonym szeptem.

— Nie! Nie przebaczy! — zaskrzeczała głowa. — Póki mech porasta cyprysy, póki gwiazdy świecą nad jeziorami. Nie przebaczy!...

Wtedy Stone jednym ruchem przekręcił się na lewy bok. W następnej chwili już nie żył.

VII

Gdy umilkł głos Singletona, pokój zatonął w ciszy. Słyszeliśmy własne oddechy. Twombly, człowiek bez taktu, przerwał milczenie:

— Ścieliście chyba małego potworka i przywieźliście go tu w spirytusie?

Singleton popatrzył na niego z powagą:

— Pochowaliśmy Stone'a tak, jak umarł, nieokaleczonego.

— Ale — ciągnął niepoprawny Twombly — ta cała historia jest nieprawdopodobna.

— Wcale nie liczyłem na to, że uwierzysz — odpowiedział sztywno. — Przecież mówiłem, że choć sam słyszałem i widziałem to wszystko, gdy myślę o tym, trudno mi uwierzyć!

HERBERT GEORGE WELLS

Wśród fantastyczno-naukowych i społecznych utworów Herberta George'a Wellsa (1866—1946) jest dużo mniej lub więcej udanych nowel. Wybitniejszą z nich jest Furtka w murze z tomu Kraina ślepców (The Country of the Blind, 1911). Podobnie jak w słynnym Wehikule czasu (The Time-Machine, 1895) bohater ma możliwość zapoznania się z innym, niezwykłym światem. Jednak nie za pomocą cudu techniki, ale za pośrednictwem zwykłej furtki. W sposobie przedstawienia dziwnego snu na jawie z czasów dzieciństwa wiele jest poetyckiego uroku. Jest to cecha niezwykła w suchej, na ogół racjonalistycznej i opartej na przesłankach naukowych fantastyce Wellsa.

FURTKA W MURZE

Niecałe trzy miesiące temu, pewnego wieczoru, gdy nastrój sprzyjał wynurzeniom, Lionel Wallace opowiedział mi historię furtki w murze. W owym czasie myślałem, że przynajmniej jeśli o niego chodziło — była to prawdziwa historia.

Opowiedział mi to z taką bezpośredniością, prostotą i przekonaniem, że nie pozostawiało mi nic innego, jak uwierzyć. Ale następnego ranka obudziłem się z innym wrażeniem. Leżałem w łóżku i przypominałem sobie jego słowa, odarte już z uroku poważnego, spokojnego głosu; nie było też skoncentrowanego, przyćmionego światła lampy na stole ani owego cienia, który otaczał wtedy jego i mnie; nie było już tych miłych, błyszczących przedmiotów: kieliszków i nakryć do kolacji, którą spożyliśmy wspólnie; nie było tego wszystkiego, co przez pewien czas stanowiło mały, pogodny świat, odcięty całkowicie od codziennej rzeczywistości. I wydawało mi się, że to wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne. „Mistyfikacja!” — powiedziałem sobie, a potem dodałem: „Jak świetnie mu się to udało!... Zupełnie bym się nie spodziewał, że właśnie on potrafi to tak dobrze zrobić!”

Potem, gdy usiadłem w łóżku i piłem herbatę, uświadomiłem sobie, że staram się zrozumieć, na czym polega posmak realności, który tak niepokojąco uderzył mnie w jego nieprawdopodobnych wspomnieniach. Może przywodziły one jakoś na myśl, wyrażały, komunikowały — zupełnie nie wiem jakiego użyć wyrazu — przeżycia, które trudno byłoby inaczej ubrać w słowa.

Pozostawię jednak teraz te wyjaśnienia na uboczu. Pokonałem nurtujące mnie wątpliwości. Wierzę obecnie, tak jak wierzyłem w chwili, gdy słuchałem opowiadania, że Wallace wyjawiał mi prawdę o swej tajemnicy, jak tylko mógł najlepiej. Ale czy on naprawdę widział, czy tylko myślał, że widzi, czy też dany był mu bezcenny przywilej lub nieszczęście prześnienia fantastycznego snu — tego nie wiem. Nawet okoliczności towarzyszące jego śmierci, która na zawsze położyła kres moim wątpliwościom, nie rzucają na to żadnego światła. A więc niechaj czytelnik sam osądzi.

Nie pamiętam już, co pobudziło tego tak małomównego człowieka do zwierzeń wobec mnie.

Myślę, że bronił się po prostu przed zarzutem opieszałości i braku odpowiedzialności, jaki mu postawiłem w związku z pewnym wielkim ruchem społecznym, w którym on zawiódł moje oczekiwania. Wtedy nagle zdecydował się:

— Ja... — powiedział — ja... jestem czymś zaprzątnięty...

Wiem — dodał po chwili — zaniedbywałem obowiązki. Ale faktem jest — nie chodzi tu o duchy ani jakies zjawy, ale... wiesz, Redmond, dziwnie mi jakoś mówić o tym... coś mnie nawiedza. Nawiedzany jestem przez coś... co przyćmiewa rzeczy, które nas otaczają, napełnia mnie tęsknotą...

Przestał mówić. Powstrzymała go owa angielska nieśmiałość, która tak często opa-

nowuje nas, gdy chcielibyśmy mówić o rzeczach wzruszających, poważnych lub pięknych.

— Byłeś przez cały czas u św. Ethelstana — powiedział, co przez chwilę wydało mi się zupełnie nie a propos. — A więc...

Tu przerwał. A potem, najpierw ze skrępowaniem, później coraz swobodniej, zaczął opowiadać o pewnej sprawie, stanowiącej tajemnicę w jego życiu, o prześladowającym go wspomnieniu piękna i szczęścia, które przepełniło jego serce nie dającą się zaspokoić tęsknotą; ona to sprawiła, że wszystkie problemy i sprawy życia wielkoświatowego wydawały mu się czcze i nudne.

Teraz, kiedy już schwytałem wątek, cała sprawa wydaje mi się jasno wypisana na jego obliczu. Mam jedną jego fotografię, na której ten wyraz rozproszenia został uchwycony i wzmocniony. Przypomina mi to słowa, które powiedziała kiedyś o nim pewna kobieta — kobieta, która go bardzo kochała.

— Ni stąd, ni zowąd — rzekła — całe zainteresowanie opuszcza go. Zapomina o panu. Nic go już pan nie obchodzi, choć siedzi pan tuż koło niego.

Jednakże Wallace nie zawsze był roztargniony i jeżeli skoncentrował swą uwagę na jakiejś sprawie, to na pewno udawało mu się zyskać znaczne powodzenie. Istotnie zrobił karierę. Dawno mnie wyprzedził; stał się osobistością znaną w świecie. czego ja ani rusz nie mogłem osiągnąć. Brakowało mu jeszcze roku do czterdziestki i mówią, że gdyby żył, zająłby wysokie stanowisko, a najprawdopodobniej zostałby członkiem nowego gabinetu. W szkole zawsze, bez wysiłku, mnie dystansował. Uczyliśmy się razem w Kolegium św. Ethelstana w West Kensington. Gdy przyszedł do szkoły, byliśmy mniej więcej na równym poziomie, ale wnet prześcignął mnie znacznie, robiąc świetne postępy i zdobywając stypendia. A przecież ja sam miałem na ogół dobre wyniki.

Otóż właśnie w szkole usłyszałem po raz pierwszy o „furtce w murze”, o której usłyszeć miałem po raz wtóry dopiero na miesiąc przed jego śmiercią.

Dla niego ta „furtka w murze” była furtką jak najbardziej realną, otwierającą drogę przez prawdziwy mur ku nieśmiertelności. Tego jestem zupełnie pewny.

Pojawiła się w jego życiu dość wcześnie, kiedy był małym szkrabem, pięcio- czy sześciolatkiem. Pamiętam, jak wyznał mi to z powagą, jak siedział zastanawiając się i ustalając datę tego wydarzenia.

— Było tam — powiedział — purpurowe dzikie wino, całe jednolicie jasnopurpurowe w czystym, bursztynowym świetle słonecznym na tle białego muru. Zrobiło to na mnie dziwne wrażenie, choć nie pamiętam już dokładnie, jakie... i były tam jeszcze liście kasztana na wymiecionym bruku przed zieloną furtką. Miały plamy żółte i zielone — wiesz, nie brązowe ani brudne. Musiały dopiero co spaść. Znaczy, że to był październik. Co roku wypatrywałem liści kasztana, więc powinienem był wiedzieć. Jeżeli się nie mylę, miałem wówczas około pięciu i pół lat.

Był — jak sam powiedział — chłopcem nad wiek rozwiniętym. Mówić nauczył się wyjątkowo wcześnie, a był tak rozsądny i „rozgarnięty”, jak to mówią, że dano mu tyle swobody, na jaką mało kiedy pozwala się dzieciom siedmio- lub ośmioletnim. Matka umarła mu, gdy miał dwa lata, pozostawał więc pod mniej czujną i mniej autorytatywną opieką bony. Ojciec jego był prawnikiem. Był wiecznie zajęty, mało się nim zajmował, a wiele się po nim spodziewał. Tak że przy całej swej inteligencji chłopiec uważał swoje życie za szare i nudne. I pewnego dnia wyruszył na wędrowną.

Nie mógł sobie przypomnieć, jaka to chwila nieuwagi ze strony opiekunów pozwoliła mu się oddalić ani też w jaką stronę West Kensington zawędrował. Wszystko to zatarało się w mrokach pamięci. Ale biały mur i zieloną furtkę pamiętał zupełnie wyraźnie.

O ile mógł odtworzyć w pamięci doznania z czasów dzieciństwa, już sam widok tej furtki jakoś dziwnie na niego podziałał; coś przyciągało go, budziło w nim pragnienie, by podejść do furtki, otworzyć ją i wejść... Ale równocześnie był głęboko przekonany, że postąpił-

by głupio, źle, gdyby uległ temu impulsowi. Wiedział zresztą od samego początku, o ile pamięć nie spletała mu przedziwnego figla, że ta furtka nie była zaryglowana i że mógł tam wejść, gdyby tylko chciał.

Widzę wyraźnie figurkę tego małego chłopca, którego coś ciągnie i odpycha zarazem. Wyobraził sobie — choć dlaczego tak było, nie wiedział — że ojciec bardzo by się na niego gniewał, gdyby przekroczył tę furtkę.

Wallace opisał mi wszystkie te chwile wahania z nadzwyczajną dokładnością. Pewnego dnia, z rękami w kieszeniach i po dziecinnemu próbując gwizdać, powędrował wzdłuż białego muru aż do jego końca. Tam, jak sobie przypominał, było parę obskurnych, brudnych sklepików, a wśród nich najlepiej utkwiły mu w pamięci warsztaty hydraulika i dekoratora, zawalone zakurzonymi rurami kamionkowymi, blachą ołowianą, kurkami do kranów, książeczkami z wzorami tapet i puszkami farby. Stał, udając, że ogląda te rzeczy, a pożądał, namiętnie pragnął zielonej furtki.

Potem ogarnęła go fala podniecenia. Poddał się jej od razu, żeby wahania nie zdążyły powrócić. Jak strzała pomknął przed siebie i przekroczył zieloną furtkę, która zatrzasnęła się za nim. W ten sposób w okamgnieniu znalazł się w ogrodzie, który prześladować go miał przez całe życie.

Oddać całą atmosferę ogrodu to, według Wallace'a, bardzo trudne zadanie. Dość że było tam coś radosnego, coś, co dawało poczucie lekkości, pomyślności i dosytu. Było coś w jego wyglądzie, co sprawiało, że wszystkie barwy wydawały się czyste, doskonałe i subtelnie świetliste.

Od chwili wejścia do ogrodu odczuwało się niezmierną radość, jakiej się doznaje rzadko i tylko kiedy się jest młodym. Wszystko było tam takie piękne... Wallace zadumał się, zanim zaczął opowiadać dalej.

— Wiesz — powiedział z powątpiewaniem, jak człowiek w obliczu niewiarygodnych rzeczy — były tam dwie wielkie pantery... Tak, cętkowane pantery. Ale ja się ich nie bałem. Była długa, szeroka ścieżka obrzeżona marmurem, z kwietnymi grządkami po obu stronach; tam właśnie te dwie ogromne, aksamitne bestie bawiły się piłką. Jedna z nich podniosła oczy i podeszła do mnie. Wydawała się nieco zaciekawiona. Mruczając zaczęła miękkiem ruchem pocierać moją wyciągniętą do niej rączkę. To był naprawdę zaczarowany ogród. Tak... Czy był duży? O, rozciągał się daleko i szeroko... Zdaje się, że były tam jakieś wzgórza w oddali. Bóg wie, gdzie podziało się nagle West Kensington. A jednak czułem się, jak bym przyszedł w rodzinne strony.

Wiesz, gdy furtka zamknęła się za mną, od razu zapomniałem o ulicy zasypanej opadłymi liśćmi kasztana, o dorożkach i wózkach sprzedawców, o przestrzeganiu dyscypliny, o swoich obawach i wszelkich sprawach codziennego życia. W jednej chwili stałem się szczęśliwym małym chłopcem z innego świata. Był to świat o odmiennych właściwościach, o cieplejszym i łagodniejszym świetlistym kolorycie, ze smugami muskanych słońcem obłoków na błękitnie nieba. Przedemną biegła, jak by zapraszając mnie, długa, szeroka ścieżka; po jej bokach były ładnie utrzymane kwietniki i chodziły tam te dwie pantery. Bez obawy kładłem rączki na ich miękkiem futrze, łaskotałem ich okrągłe uszy... Bawiłem się z panterami, a one jak by witały mnie. Miałem wrażenie, że powróciłem do domu.

Nagle na ścieżce pojawiła się wysoka, jasnowłosa dziewczyna. Szła ku mnie, uśmiechając się.

— No i cóż? — powiedziała; podniosła mnie i ucałowała, potem postawiła znów na ziemi i poprowadziła za rękę.

Nie byłem tym zdziwiony, miałem tylko wrażenie zachwycającej prawidłowości zjawisk: oto przypomniano mi o rzeczach dających szczęście, które w jakiś dziwny sposób były dotychczas przeoczone.

Pamiętam szerokie, czerwone schody, które wynurzyły się spośród kiści ostróżek.

Poszliśmy pod górę aż do wielkiej alei biegnącej pomiędzy prastarymi, cienistymi drzewami. Wzdłuż całej tej alei, między pniami drzew o czerwonych rysach na korze, stały marmurowe trony i posągi. Były tam oswojone białe gołębie... Tą chłodną aleją prowadziła mnie moja przyjaciółka... Pamiętam rysy jej słodkiej, miłej buzi i ślicznie ukształtowany podbródek. Spoglądała w dół ku mnie, zadawała pytania miękkim, łagodnym głosem i opowiadała mi coś przyjemnego, ale co to było — nigdy nie zdołałem sobie przypomnieć.

Mała małpka-kapucynka. o czyściutkim czerwonawobrazowym futrze i łagodnych, orzechowych oczach, zeszła z drzewa i biegła obok nas, spoglądając w górę i szczerząc ząbki, aż nagle wskoczyła mi na ramię. Wędrowaliśmy tak drogą i byliśmy bardzo szczęśliwi.

Tu przerwał opowiadanie.

— Mów dalej — poprosiłem.

— Pamiętam inne rzeczy... Minęliśmy starca dumającego wśród krzaków wawrzynu, potem — wesoły kącik długoogoniastych papużek. Szeroką kolumnadą weszliśmy do obszernego chłodnego pałacu wśród wodotrysków, pełnego pięknych mebli. Odczuwało się tam pełnię ziszczenia marzeń serca. W pałacu było wielu ludzi; niektórych widzę jeszcze wyraźnie, niektórych zaś — za mgłą; wiem jednak, że wszyscy byli piękni i dobrzy. Nabrałem — sam nie wiem skąd — przeświadczenia, że ludzie ci byli przyjaźnie do mnie usposobieni i zadowoleni, że jestem wśród nich. Przyjemne mi były dotknięcia ich rąk, cieszyłem się z miłości i radości powitania, jaką wyrażały ich oczy...

Zadumał się na chwilę.

— Znalazłem tam i towarzyszy zabaw, a to było dla mnie bardzo wiele, gdyż dotychczas byłem samotny. Bawiliśmy się w różne wspaniałe gry na dziedzińcu porośniętym trawą, gdzie był zegar słoneczny obsadzony kwiatami. Kochałem dzieci, z którymi się bawiłem...

Ale dziwna rzecz, mam pewną lukę w pamięci. Nie wiem, w jakie bawiliśmy się gry. Później, jeszcze jako dziecko, spędzałem długie godziny, ze łzami w oczach usiłując przypomnieć sobie kształt doznawanego tam szczęścia. Chciałem sam bawić się w to wszystko w moim pokoiku. Nic z tego! Jedyne, co pamiętam — to uczucie szczęścia i dwoje towarzyszy zabawy, którzy najwięcej ze mną w tym ogrodzie przebywali...

Potem nagle przyszła chmurna, ciemnowłosa kobieta, z bladą twarzą i marzącymi oczami w długiej, bladopurpurowej sukni. Niosła książkę. Skinęła na mnie i powiodła za sobą na krużganek pałacu, choć moi towarzysze nie chcieli, bym odchodził, przestali bawić się i patrzyli, jak mnie od nich zabierała.

— Wróć do nas! — wołali. — Wróć do nas prędko!

Spojrzałem w górę na oblicze kobiety, lecz ona nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Twarz miała bardzo łagodną i poważną. W krużganku usiadła na krześle, a ja stanąłem obok, by oglądać książkę leżącą na jej kolanach, którą właśnie otwierała. Stronice książki rozchyliły się. Wskazała na nie — spojrzałem zdziwiony: na żywych stronicach ujrzałem samego siebie; była to opowieść o mnie, o wszystkim, co działo się ze mną od chwili, gdym się urodził...

To było coś przedziwnego, bo stronice tej książki nie były obrazkami — rozumiesz? — lecz rzeczywistością.

Wallace przerwał i spojrzał na mnie z powagą i powątpiewaniem.

— Mów dalej, proszę — powiedziałem. — Rozumiem...

— Tak, były rzeczywistością... Ludzie się tam poruszali, obrazy się zmieniały; była tam moja ukochana matka, której twarzy niemal że zapomniałem, był ojciec, surowy i sztywny, służba, pokój dziecienny — wszystkie znajome rzeczy w domu. Następnie zobaczyłem drzwi frontowe i ruchliwą ulicę. Spojrzałem pytająco w twarz kobiety i znów przewracałem strony, przeskakując po nich wzrokiem, żeby jak najwięcej zobaczyć. Wreszcie doszedłem do miejsca, gdzie ja sam niepewnie krążyłem przed zieloną furtką w białym murze, i znów doznałem rozterki i obawy...

— A co dalej? — zawołałem i byłbym odwrócił stronicę, lecz chłodna ręka kobiety wstrzymała mnie.

— Co dalej? — nalegałem i odsuwałem jej palce z całą swą dziecinną siłą. Gdy ręka ustąpiła i kartka obróciła się, kobieta schyliła się nade mną jak cień i pocałowała mnie w czoło.

Lecz nowa stronica nie ukazała ani zaczarowanego ogrodu, ani panter, ani dziewczyny, prowadzącej mnie ze sobą, ani towarzyszy zabaw, co tak pragnęli, żebym nie odchodził... Pokazywała długą ulicę w West Kensington o zmierzchu, zanim się lampy zapalały. I ja tam byłem — mała biedna figurka; płakałem głośno, choć starałem się powstrzymać. Płakałem, bo nie mogłem powrócić do towarzyszy swych zabaw, którzy tak wołali za mną:

— Wróć do nas! Wróć do nas szybko!

Byłem tam. Naprawdę to nie była karta książki, ale naga rzeczywistość. Gdzież podział się ten zaczarowany ogród i powstrzymująca mnie ręka niewiasty, u której kolan stałem?

Przerwał ponownie i przez chwilę patrzył w ogień na kominku.

— Och, jakże bolesny był ten powrót... — szepnął.

— I cóż dalej? — zapytałem po pewnym czasie.

— Jakież się czułem biedny, gdy znów znalazłem się w tym świecie, gdy w pełni zdałem sobie sprawę z tego, co przeżyłem. Płakałem z żalu. Dotychczas czuję wstyd i upokorzenie, że wszyscy widzieli moje łzy i że tak hańbiący był powrót do domu.

Widzę znów dobrodusznego staruszka w złotych okularach, który zatrzymał się i przemówił do mnie, szturchnąwszy mnie przedtem parasolem.

— Biedny malec — powiedział. — Czyś ty zabłądził?

Ja miałem zabłądzić? Ja, chłopiec londyński mający pięć, a nawet więcej lat! Starszy pan uważał, że koniecznie trzeba przywołać policjanta. (Policjant był młody i miły). Tłum zaczął się zbierać wokół mnie i wreszcie zabrano mnie stamtąd. Wystraszony, szlochając, wróciłem z zaczarowanego ogrodu do ojcowskiego domu.

Taki był — o ile dobrze pamiętam — ten ogród... Wizja jego dotąd mnie prześladowuje. Oczywiście nie mogę w pełni opisać tych nieuchwytnych cech, tej nierealności, która różniła ogród od wszystkiego, co spotyka się w życiu. Jeśli śniłem, pewien jestem, że był to sen na jawie i zgoła niezwykły... Oczywiście nastąpiły potem nie kończące się badania ze strony ojca, gosposi, bony i innych osób...

Starałem się opowiedzieć o wszystkim, ale wtedy ojciec zbił mnie po raz pierwszy w życiu — za kłamstwo. Potem, kiedy próbowałem opowiedzieć o ogrodzie mojej ciotce, i ona mnie ukarała za złośliwy upór. Następnie zabroniono wszystkim słuchać moich opowiadań. Odebrano mi nawet na jakiś czas książki z bajkami, gdyż miałem „zbyt bujną wyobraźnię”... Tak, odebrano mi bajki! Mój ojciec należał do starej szkoły... Zamknąłem się więc w sobie i szeptałem o swoim przeżyciu w poduszkę — często mokrą od mych dziecinnych łez. Do zwykłych modlitw dodawałem nieraz z serca płynącą prośbę: „Pozwól mi, Boże, śnić o ogrodzie. Och, weź mnie z powrotem do mego ogrodu!” Niejeden raz śniłem o ogrodzie. Może zmieniłem coś opowiadając — nie wiem... Widzisz, wszystko to jest próbą odbudowania przeżycia z wczesnego dzieciństwa na podstawie częściowych wspomnień. Pomiedzy nimi a dalszymi jest przepaść. Przyszedł czas, gdy wydawało się niemożliwe, bym znów kiedykolwiek mógł mówić o tym wspaniałym przeżyciu.

Postawiłem mu oczywiste pytanie, które się nasuwało.

— Nie — odpowiedział — nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek w późniejszym dzieciństwie próbował odnaleźć drogę do ogrodu. Mam dziwne wrażenie, że po tej przygodzie zaczęto mnie uważniej pilnować, bym się znów gdzieś nie zawieruszył. Nie, w czasach przed poznaniem ciebie nie szukałem znów ogrodu. Był nawet, zdaje się, okres, kiedy zupełnie zapomniałem o nim. To było chyba wtedy, gdy miałem osiem czy dziewięć lat. Pamiętasz mnie z czasów, gdy byliśmy u św. Ethelstana?

— No chyba!

— Nie znać było wówczas po mnie, że mam jakąś tajemnicę, prawda?

II

Spojrzał z nagłym uśmiechem.

— Czy bawiłeś się kiedy ze mną w „przejście północno-zachodnie?” Nie? Oczywiście, bo nie zadawałeś się ze mną! Zabawa polegała na znalezieniu „północno-zachodniego przejścia” do szkoły. Zwykła droga była całkiem prosta, a chodziło o to, żeby znaleźć zawiłą. Wyruszało się o dziesięć minut wcześniej w jakimkolwiek kierunku przez nieznanne ulice.

Pewnego dnia zagubiłem się w ubogiej dzielnicy po drugiej stronie Campden Hill i myślałem już, że tym razem zabawa mi się nie uda i że się spóźnię do szkoły. Zrozpaczony ruszyłem wreszcie uliczką, która wydawała się ślepym zaułkiem, ale na jej końcu znalazłem przejście. Przebiegłem tamtędy, znów pełen nadziei. „A jednak uda mi się!” — rzekłem sobie. Minałem szereg niechlujnych sklepików, które były jak by znajome, i oto za nimi pojawił się biały mur i zielona furтка prowadząca do mego zaczarowanego ogrodu!

To nagłe zjawisko oszołomiło mnie. A więc mimo wszystko ten ogród, ten wspaniały ogród nie był snem!

Zamilkł.

— Mam wrażenie — rzekł po chwili — że drugie zetknięcie się z zieloną furtką podkreśla ogrom różnicy, istniejącej między pełnym zajęć życiem ucznia a swobodą małego dziecka, bo tym razem ani przez chwilę nie myślałem, żeby tam wejść. Przede wszystkim chodziło mi o to, by się nie spóźnić i nie zepsuć sobie stopnia ze sprawowania. Może i chciałem zajrzeć przez furtkę, ale pamiętam, że to zainteresowanie odczułem jako jeszcze jedną przeszkodę w moim zadecydowaniu, by za wszelką cenę zdążyć do szkoły. Byłem oczywiście ogromnie zaintrygowany odkryciem, które zrobiłem. Poszedłem dalej myśląc tylko o tym. Gdy minąłem furtkę, wyjąłem zegarek i stwierdziłem, że mam jeszcze dziesięć minut czasu. Wkrótce znalazłem się w znajomej okolicy. Wpadłem do szkoły bez tchu, mokry od potu, ale zdążyłem. Tak więc przeszedłem obok furtki i zostawiłem ją za sobą. Dziwne, co?

Spojrzał na mnie w zamyśleniu.

— Oczywiście, nie wiedziałem, że nie znajdę furtki w tym samym miejscu po raz drugi. Chłopcy, którzy muszą chodzić do szkoły, mają ograniczoną wyobraźnię. Myślałem sobie, że to strasznie przyjemnie wiedzieć, że jest tam furтка, i znać drogę do niej.

Byłem tego dnia na pewno mocno roztargniony i nieuważny; przypomniałem sobie dziwnych pięknych ludzi, których znów wkrótce powinienem ujrzeć. Co ciekawsze, nie miałem wątpliwości, że się ucieszą zobaczywszy mnie... Myślałem też, że ten ogród — to miły zakątek, do którego można by się schronić w chwilach wolnych od nużącego kucia w szkole.

Nie poszedłem już tam po południu, może dlatego, że na drugi dzień miało być mniej lekcji, a może byłem roztargniony i za karę zostałem w klasie. W każdym razie było za mało czasu na nadłożenie drogi. Nie pamiętam dobrze... Zaczarowany ogród tak bardzo jednak zaprzętał mi głowę, że nie mogłem utrzymać sekretu.

Opowiedziałem o wszystkim. Jakże on się nazywał — ten szczerowaty chłopak, co miał przydomek Squiff?

— Nazywał się Hopkins — odpowiedziałem.

— Tak, Hopkins. Nie miałem wprawdzie zamiaru mówić mu o tym, bo czułem, że byłoby to wbrew pewnym zasadom. Wracał ze mną ze szkoły i rozmawialiśmy. A że dla mnie niemożliwe było myśleć o czymkolwiek innym niż o zaczarowanym ogrodzie, więc wypaplałem... On nie utrzymał tego w tajemnicy. Następnego dnia na pauzie otoczyła mnie grupa większych chłopców, trochę po to, żeby droczyć się ze mną, a głównie z ciekawości, by

usłyszeć coś więcej o zaczarowanym ogrodzie. Był tam też duży Fawcett — pamiętasz go? — i Carnaby, i Morley Reynolds. Ciebie tam chyba nie było?... Nie, pamiętałbym o tym...

Chłopiec to stworzenie o dziwnych odczuciach. Choć na dnie duszy byłem niezadowolony z siebie, to pochlebiali mi, że jestem ośrodkiem zainteresowania starszych kolegów.

Pamiętam zwłaszcza przyjemność, jaką mi zrobiła pochwała Crawshawa. (Przypominasz sobie starszego Crawshawa, syna tego kompozytora?) Powiedział, że to najlepszy kawał, jaki w życiu słyszał. Zarazem jednak boleśnie odczuwałem wstyd, że zdradzam jakąś świętą tajemnicę. Ta bestia Fawcett zażartował sobie na temat dziewczyny w zielonym...

Głos Wallace'a załamał się, gdy odżyło wspomnienie tego wstydu.

— Udałem, że nie słyszę — powiedział. — I wtedy nagle Carnaby... nazwał mnie kłamcą i zaczął kłócić się ze mną. Powiedziałem, że wiem, gdzie znajduje się zielona furka, i że mógłbym ich wszystkich tam zaprowadzić. Carnaby wyzywająco odrzekł, że albo wprowadzę w czyn swoje słowa, albo mnie ukarzą. Czy Carnaby wykręcił ci kiedyś rękę? Rozumiesz więc, jak się bałem. Przysiągłem, że to, co mówię, jest prawdą. Nie było wówczas w szkole nikogo, kto mógłby obronić mnie przed Carnaby'ym, choćby nawet Crawshaw się za mną wstawiał.

Carnaby osiągnął swoje. Zachowywałem się całkiem jak mały głuptas, a wynik tego był taki, że zamiast wyruszyć samotnie do zaczarowanego ogrodu, poprowadziłem grupkę sześciu wyśmiewających się ze mnie, zaciekawionych lub grożących mi kolegów. Policzki miałem w ogniu, uszy rozpalone, oczy mnie piekły, a całą duszę przepełniał wstyd i upokorzenie: nie odnaleźliśmy wcale białego muru i zielonej furki.

— Chcesz powiedzieć, że...?

— ...że nie mogłem ich znaleźć. Gdybym mógł, to bym znalazł. I potem sam nigdy na nią nie trafiłem, choć wydaje mi się, że przez wszystkie lata szkolne jej szukałem.

— A czy ci koledzy... dali się tobie we znaki?

— Jeszcze jak... Carnaby zwołał sąd nade mną z powodu bezczelnego kłamstwa. Pamiętam, jak wśliznąłem się do domu i poszedłem od razu na górę, żeby nikt nie widział moich łez. Wypłakałem się, aż sen mnie zmorzył, lecz powodem nie był Carnaby, ale ogród — utracona nadzieja, że spędzę tam piękne popołudnie, że zobaczę te miłe, przyjazne kobiety i oczekujących towarzyszy zabaw i że nauczę się tam znów tej pięknej zapomnianej gry...

Wierzyłem święcie, że gdybym się nie wygadał... Potem nastąpiły dla mnie ciężkie chwile — płakałem nocami, a we dnie rozmyślałem. Opuściłem się w nauce. Pamiętasz? Oczywiście! To przecież ty podciągnąłeś mnie znowu, przez to, że wyprzedziłeś mnie w matematyce.

III

Przez pewien czas przyjaciel mój milcząc patrzył w żar kominka. Potem rzekł:

— Więcej już nie widziałem furki, aż do siedemnastego roku życia. Ukazała mi się po raz trzeci, kiedy dojeżdżałem kabrioletem do Paddingtonu w drodze do Oxfordu, gdzie miałem otrzymać stypendium. Niewątpliwie czułem się człowiekiem światowym. Wychyliłem się z pojazdu, paląc papierosa, gdy nagle zobaczyłem furkę w murze. Z turkotem przejechaliśmy obok. Byłem tak zaskoczony, że kazałem zatrzymać się dopiero wtedy, gdy byliśmy spory kawałek drogi dalej, poza rogiem muru. Wówczas przeżyłem rozterkę: wiedziałem, że rzecz niezapomniana jest jeszcze osiągalna... Zapukałem w małe drzwiczki w dachu kabrioletu, ale zaraz opuściłem rękę, by wyciągnąć zegarek.

— Słucham, proszę pana — powiedział grzecznie woźnica.

— Hm, tak... już nic! — krzyknąłem. — Pomyliłem się! Nie mamy wiele czasu! Proszę jechać dalej...

Otrzymałem stypendium. Wieczorem tego samego dnia siedziałem przy kominku w moim gabinecie na pięterku ojcowskiego domu. Pochwała z ust ojca, rzecz tak rzadka, i jego dobre rady dźwięczały mi w uszach. Palilem ulubioną fajkę z ogromną główką i myślałem o furtce w białym murze: „Gdybym się zatrzymał — byłbym nie dostał stypendium, nie przyjęto by mnie do Oxfordu i zepsułbym całą świetnie zapowiadającą się przyszłość! Zaczynam być rozsądniejszy”. Zadumałem się głęboko, ale nie wątpiłem wówczas, że moja kariera warta jest wyrzeczeń.

Czysta atmosfera ogrodu i moi przyjaciele... Wszystko to wydawało mi się bardzo piękne i pociągające, lecz dalekie. Stałem już wówczas mocno nogami na ziemi. Ujrzałem inną otwierającą się furtkę — furtkę, która wiodła do powodzenia.

Znów zapatrzył się w ogień. Czerwonawy migotliwy blask uwydatnił na chwilę wyraz uporu i siły w jego twarzy, który wnet zniknął.

— Tak — powiedział i westchnął — zasłużyłem na taką karierę. Miałem dużo ciężkiej pracy, ale o zaczarowanym ogrodzie snułem tysiące snów. Cztery razy jeszcze widziałem... lub mignęła mi tylko ta furtka... Tak... cztery razy. Przez pewien czas świat realny był taki wspaniały i ciekawy i wydawał mi się tak ważny i obiecujący, że na wpół zatarty czar ogrodu był w porównaniu z nim nikły i odległy. Któż by chciał gaskać pantery w drodze na kolację z pięknymi paniami i dystygowanymi panami? Z Oxfordu do Londynu przybyłem jako człowiek, który zrobił coś niecoś dla potwierdzenia śmiałych nadziei, jakie rokował. A jednak były i rozczarowania...

Dwa razy byłem zakochany... Nie będę się nad tym rozwodził... Dość że pewnego dnia, kiedy szedłem do kogoś, kto wątpił, czy ośmielę się przyjść, spróbowałem skrótu przez nie uczęszczaną ulicę w pobliżu Earl's Court i tam trafiłem na biały mur i znajomą zieloną furtkę. „Nadzwyczajne! — powiedziałem sobie. — Myślałem przecież, że to miejsce jest na Campden Hill. Nie mogę się jakoś nigdy zorientować, jak wśród głazów w Stonehenge *... To miejsce mego dziwnego snu na jawie”. I minąłem furtkę, zaprzątnięty celem, do którego dążyłem. Tego popołudnia furtka nie miała dla mnie uroku. Opanował mnie tylko na chwilę impuls, by ją pchnąć; trzeba było zboczyć najwyżej o trzy kroki. Chociaż serce mi mówiło wyraźnie, że otworzyłaby się przede mną, pomyślałem, że gdybym to zrobił, spóźniłbym się na spotkanie, a tu, jak mi się wydawało, w grę wchodzi mój honor. Później pożałowałem swej punktualności; mogłem przynajmniej zajrzeć do ogrodu i pomachać ręką panterom. Nie trzeba jednak szukać poniewczasie tego, czego znaleźć nie można... Tak, tym razem było mi bardzo przykro.

Nadeszły potem całe lata ciężkiej pracy, ale nigdy w tym czasie nie odnowił się widok furtki. Dopiero ostatnio wrócił... Wraz z nim przyszło wrażenie, jak by jakaś cienka powłoka przysłoniła mój świat. Zacząłem rozmyślać o tym, jak przykrą rzeczą byłoby, gdybym nigdy już nie zobaczył furtki. Być może, wynikało to z przepracowania albo chodziło o uczucie, którego jak słyszałem, doznawają ludzie dobiegający czterdziestki. Nie wiem... Ale z pewnością moja bystrość, ułatwiająca podejmowanie wysiłków, zniknęła ostatnio, i to właśnie w okresie, kiedy ze względu na nowe wydarzenia polityczne powinienem intensywnie pracować. Dziwne, prawda? Zacząłem uważać życie za nużące, a nagrody, jakie niesie — kiedy już jestem ich bliski — za rzecz niewartą zachodu. Ostatnio zacząłem ogromnie tęsknić za ogrodem. Tak, widziałem trzy razy...

— Ogród?

— Nie, furtkę. I nie wszedłem w nią!

Pochylił się ku mnie nad stołem, a ogromny smutek brzmiał w jego głosie.

— Trzy razy miałem okazję, t r z y r a z y! Jeżeli kiedykolwiek furtka stanie znów przede mną — przysięgałem sobie — wejść tam, otrząsnę z siebie pył, porzucę blichtr i pró-

* Stonehenge — przedhistoryczne konstrukcje z kręgów kamiennych w hrabstwie Wiltshire w Anglii. Służyły jako „kalendarz” albo też stanowią szczątki świątyni druidów (przyp. tłum.).

zność świata, porzucę znój i wszystko, co marne! Wejdę tam i nigdy nie wrócę... Przysięgałem, a gdy zbliżał się czas — znowu nie przekraczałem furtki. Trzy razy w ciągu roku ją mijalem i trzy razy zrezygnowałem...

Pierwszy raz było to tego wieczora, gdy nastąpił nagły rozłam z powodu ustawy o wykupie dzierżaw, kiedy to rząd utrzymał się tylko większością trzech głosów. Pamiętasz? Nikt po naszej stronie, a niewielu na ławach opozycji spodziewało się tej nocy zakończenia debaty. Nagle jednak załamała się ona jak domek z kart. Ja i Hotchkiss byliśmy na kolacji z jego kuzynem w Brentford. Wezwano nas telefonicznie i wyruszyliśmy natychmiast autem. Po drodze mijaliśmy mur i moją furtkę. Wydawały się sine w świetle księżyca, a żółte — gdy musnął je blask naszych reflektorów.

— Mój Boże! — krzyknąłem.

— Co? — spytał Hotchkiss.

— Nic! — odpowiedziałem.

I tak straciłem okazję.

— To wielkie poświęcenie z mojej strony, żem przyjechał — powiedziałem do porządkowego naszej frakcji, gdy wszedłem na salę.

— Ze strony wszystkich — odrzekł i minął mnie pospiesznie.

Nie wiem, czy mógłbym wówczas postąpić inaczej... Następną okazją była wtedy, gdy spieszyłem do łóżka mego ojca, by na zawsze pożegnać tego surowego starca. To przeważało... Ale za trzecim razem, tydzień temu, było inaczej. Robię sobie ciężkie wyrzuty, gdy myślę o tym. Byliśmy z Gurkerem i Ralphsem na kolacji u Frobishera; teraz nie jest już tajemnicą, że konferowałem z Gurkerem. Rozmowa stała się poufna, a sprawa mojego stanowiska w reorganizowanym ministerstwie przewijała się cały czas na marginesie dyskusji. Co? Tak, tak, wszystko już załatwione. Nie trzeba jeszcze tego rozpowiadać, ale nie ma powodu, żeby trzymać to w tajemnicy przed tobą... Tak... dziękuję, dziękuję! Ale pozwól mi skończyć...

Tamtego wieczoru nie wszystko było jeszcze ustalone, czułem się niepewnie. Koniecznie chciałem usłyszeć coś definitywnego od Gurkera, ale przeszkadzał Ralphs. Starłem się prowadzić rozmowę lekką i beztruską, aby nie zesłała zbyt wyraźnie na sprawy mnie dotyczące. Moja ostrożność była więcej niż usprawiedliwiona późniejszym zachowaniem się Ralphsa... Trzeba się czasem uciekać do takich chwytów... Wiedziałem, że w drodze powrotnej Ralphs pożegna nas przy Kensington High Street i wówczas szczerze rozmówię się z Gurkerem. Gdyśmy wracali, zdałem sobie sprawę, że w obrębie mego pola widzenia pojawił się znów biały mur i zielona furka.

Minęliśmy je, a ja obojętnie prowadziłem rozmowę. Ciągle jeszcze widzę padające na mur cienie: ostry profil Gurkera i jego cylinder, wyprzedzające cień mój i Ralphsa. Przeszedłem tuż obok furtki! „Jeżeli powiem im dobranoc i wejdę tam, to co się stanie?” — zapytałem sam siebie. Ale tak mnie korciło, żeby zamienić tych parę słów z Gurkerem i tyle innych moich spraw nawarstwiło się właśnie, że się zawahałem. „Pomyślą, żem zwariował — przebiegło mi przez głowę. — A przypuścimy, że dam teraz nura?... Napiszą w gazecie: «Zdumiewające zniknięcie wybitnego polityka!!»” Tak więc nieskończenie błahe sprawy tego świata przeważały w tym krytycznym momencie.

Zwrócił się ku mnie ze smutnym uśmiechem. Rzekł z wolna:

— I widzisz: zostałem... Zostałem i straciłem szansę. Trzy razy w ciągu jednego roku dane mi było wejście — furka, przez którą wiedzie droga do pełnej zachwyty ciszy, do piękna, o jakim się nie śniło, do dobra, jakiego nie zna nikt na ziemi. A ja odepchnąłem ten dar i nie ma już furtki...

— Czyś tego pewien?

— Wiem dobrze... Muszę teraz pozostać przykuty do spraw, których się tak kurczowo trzymałem, ilekroć nadchodzi mój czas... Mówisz, że odniosłem sukcesy? Tak, powiodło mi się... ale to rzecz wulgarna, jarmarczna, nużąca, choć inni tego zazdroszczą.

Wziął orzech w swą potężną dłoń.

— Tyle warte moje sukcesy! — powiedział i zgniótł orzech, a potem wyciągnął ku mnie rękę, bym zobaczył, co z niego zostało.

— Wiesz, co ci powiem, Redmond: podcięło mnie to. Przeszło dwa miesiące nic właściwie nie robiłem, spełniałem tylko absolutnie konieczne obowiązki. Duszę pełną mam nieukożonego żalu. Nocami, gdy nie narażam się zbytnio, że ktoś mnie pozna, wychodzę z domu i krążę po mieście. Tak! Zastanawiam się, co by pomyśleli ludzie, gdyby wiedzieli... Członek rządu, odpowiedzialny kierownik najbardziej żywotnego resortu, znękany, nieraz bliski głośnego płaczu — wędrujący samotnie w poszukiwaniu furtki, w poszukiwaniu ogrodu!

IV

Dzisiejszego wieczora widzę przed sobą jego pobladłą twarz i niezwykle, ponury blask oczu. Widzę go jak żywego. Przypominam sobie jego słowa, ton jego głosu, a na kanapie leży jeszcze wczorajsza wieczorna „Westminster Gazette” ze wzmianką o jego śmierci. W czasie lunchu cały klub mówił tylko o tym wydarzeniu. Nie obchodziło nas nic innego.

Ciało jego znaleziono wczoraj, bardzo wczesnym rankiem, w głębokim wykopie przy stacji East Kensington. Jest to jeden z dwóch rowów, które wykopano w związku z przedłużeniem linii kolejowej na południe. Wykop ma prowizoryczne ogrodzenie przecinające szosę. Zrobiono w nim małą furtkę na użytek robotników, którym tamtędy wypada droga. Furtka pozostała nie zaryglowana wskutek nieporozumienia pomiędzy kierownikami dwóch brygad. Tamtędy właśnie przechodził Wallace.

Pełno zagadek; w głowie roją się pytania. Wydaje się, że tego wieczora szedł pieszo całą drogę z Izby Gmin. W okresie ostatniej sesji często wracał piechotą do domu. Wyobrażam więc sobie jego ciemną sylwetkę okutaną w płaszcz, sunącą późną nocą pustymi ulicami. Czyżby to blade elektryczne oświetlenie koło stacji tak zmieniło wygląd szorstkich desek, że wydawały się białe? Czy ta fatalna nie zamknięta furtka poruszyła w nim jakieś wspomnienie? Taki był pełen napięcia... A wreszcie czy w ogóle istnieje jakaś zielona furtka w murze?

Nie wiem. Opowiedziałem jego historię tak, jak on mi ją opowiedział. Chwilami wydaje mi się, że Wallace padł ofiarą rzadko spotykanej halucynacji, która zbiegła się z pułapką. Ale nie jestem o tym zbyt głęboko przekonany. Można mnie uważać za przesadnego lub głupca, jeśli wola; mam jednak poważne przeświadczenie, że naprawdę posiadał on niecodzienny dar i wycucie czegoś — nie wiem czego — co pod postacią muru i furtki dawało mu możliwość wyjścia, dawało tajemny i niezwykle sposób ucieczki do innego, o wiele piękniejszego świata. W każdym razie — powie ktoś — Wallace został w końcu oszukany. Ale czy naprawdę oszukany? Stoimy tu w obliczu najgłębszej tajemnicy marzycieli, wizjonerów i ludzi o nadmiernie rozwiniętej wyobraźni. My widzimy nasz świat prosto i zwyczajnie — ogrodzenie i rów. W świetle naszych pojęć Wallace porzucił bezpieczną egzystencję i wkroczył w mrok, niebezpieczeństwo i śmierć.

Ale czy w jego oczach tak się to przedstawiało?

Przełożyła Irena Małanowska

EDWARD FREDERIC BENSON

Edward Frederic Benson (1867—1940), syn anglikańskiego arcybiskupa Canterbury, a brat katolickiego biskupa, również pisarza, Roberta Hugh Bensona, ugruntował swoje powodzenie litera-

ckie trylogią Dodo (1893—1921), która jest satyrą obyczajową z życia „wyższych sfer” angielskich. Zbiór opowiadań pt. Widzialne i niewidzialne (Visible and Invisible), wydany w 1923 roku, wykazywał już skłonność autora do niesamowitej tematyki z pogranicza spirytyzmu.

GDZIE NAWET PTAK NIE ZAŚPIEWA...

Ze stacji, na której wysiadłem, widać było czerwone kominy domu będącego celem mej podróży. Szofer powiedział mi, że jeślibym poszedł pieszo ścieżką przez pola, to odległość nie wyniosłaby więcej niż milę. Ścieżka biegła prosto, aż do krawędzi widniejącego w dali lasu, który należał do mego gospodarza. Ponad lasem widać było kominy jego domu. Powiniennem był znaleźć furtkę w ogrodzeniu tego lasu, a potem przechodzącą przezeń ścieżkę, która prowadziła aż do ogrodu. Było cudne, majowe popołudnie i stratą czasu wydawało się pójść inną drogą niż przez łąki i las. Ruszyłem przeto piechotą, a samochód zabrał mój багаż.

Był to jeden z owych złocistych dni, które od czasu do czasu wymykają się z rajy i spadają na ziemię. Wiosna przyszła późno tego roku, ale teraz była w rozkwicie i cały świat buzował żywotnymi sokami. Nigdy nie widziałem takiej obfitości wiosennych kwiatów, takiej żywej zieleni ani nie słyszałem tak melodyjnego śpiewu ptaków wśród żywopłotów; ten upajający spacer przez łąki — była to istna feeria. Najwięcej jednak obiecywałem sobie po rozciągającym się przede mną lesie, okrytym świeżą bladą zielenią. Znalazłem się na wprost furtki. Wszedłem przez nią w migotliwe światła i cienie, kładące się na zarośniętej trawą ścieżce.

Gdy weszło się tam wprost z jaśniejącego blasku słonecznego, było to jak wejście do mrocznego tunelu; po wiosennej jasności miało się uczucie nagłego skoku do jakiejś podwodnej jaskini. Korony drzew tworzyły zielony dach nad głową i silnie tłumili światło. Poruszałem się w świetle drgającego mroku. Nagle, gdy drzewa zrzedły, zastąpiła je gęstwa leszczyn splatających się ponad ścieżką. Dalej teren zaczął opadać i wyszedłem na polankę, pełną paproci i wrzosu, z rzadka porośniętą brzoźami. Mimo że teraz znowu szedłem pod świetlistym niebem, skąd lał się blask słoneczny, zdawało się, że niebo straciło jasność. Blask — czyżby to było jakieś dziwne złudzenie optyczne? — stłumiony był jakby krepa. Choć słońce stało jeszcze dość wysoko nad szczytami drzew, na wolnym od chmur niebie światło było jak w ponury dzień zimowy — pozbawione ciepła i blasku. Było też dziwnie cicho; myślałem, że krzaki i drzewa rozbrzmiewać będą miłosną pieśnią tokujących ptaków, ale chociaż nasłuchiwałem, nie doleciał mnie żaden dźwięk. Nie zakwilił drozd czy kos, nie słychać było radośnego świergotu zięby ani zawodzenia dzikiego gołębia czy przejmującego skrzeczenia sroki. Zatrzymałem się, aby sprawdzić, czy rzeczywiście panuje ta dziwna cisza; nie było najmniejszych wątpliwości. Było w tym coś niezwykłego, zgoła niesamowitego, ale pomyślałem, że ptaki same najlepiej wiedzą, co robią; jeśli są zbyt zajęte, by śpiewać — to ich sprawa.

Gdy szedłem dalej, uderzyło mnie, że od chwili wejścia do lasu nie zobaczyłem ani jednego ptaka; idąc przez polankę, rozglądałem się uważnie, ale na próżno. Wkrótce znowu wszedłem w pas gęstych drzew, który ją otaczał. Zauważyłem, że większość z nich były to buki rosnące blisko siebie; ziemia pod nimi była goła, jeśli nie liczyć podściółki opadłych liści i kilku skąpych krzaków głogu. W tym dziwnym mroku i gęstwinie drzew wzrok nie mógł sięgnąć daleko ani w prawo, ani w lewo od ścieżki. Nagle — po raz pierwszy od chwili, gdy opuściłem otwartą przestrzeń — usłyszałem jakiś odgłos życia. Gdzieś z bliska dobiegł mnie szelest liści i pomyślałem sobie, że to chyba przemknął królik. Nie był to jednak odgłos charakterystyczny dla nóżek małego zwierzątka. Odniosłem wrażenie, jak by coś znacznie większego i cięższego sunęło chyłkiem, niepostrzeżenie. Zatrzymałem się znowu, czekając, co też się pojawi, lecz nagle odgłos ucichł. Jednocześnie doszedł mnie jakiś słaby, lecz bardzo przykry zapach zgnilizny, woń dusząca i przenikliwa. Nie był to jednak odór padliny, lecz

chyba czegoś żywego. Zaduch był tak przykry, że bojąc się zbliżyć do jego źródła, ruszyłem w dalszą drogę.

Wkrótce doszedłem do krańca lasu; tuż przede mną było pasmo łąki, a za nim — w murze — żelazna brama, poprzez którą dojrzałem trawnik i klomby. Po lewej stronie stał dom, a ponad nim i ogrodem rozsnuta była jasność chylącego się popołudnia.

Hugh Granger i jego żona siedzieli na trawniku. Obok była zwykła sfera doborowych psów, składająca się z walijskiego collie, żółtego wyżła, foksteriera i pekińczyka. Na mój widok psy zrazu zaprotestowały; poznały mnie jednak wkrótce i, witając, dopuściły do ścisłego kółka. Wiele mieliśmy sobie do powiedzenia, bo nie było mnie w kraju przez ostatnie trzy miesiące, a Hugh sprowadzał się właśnie do tej małej posiadłości, którą pozostawił mu bezpotomny wujaszek. Wraz z Daisy w okresie ferii wielkanocnych zajęci byli przeprowadzką. Bez wątplenia był to bardzo atrakcyjny spadek; dom, po którym od razu mnie oprowadzono, był przemiłym dworkiem wiejskim z czasów królowej Anny, a jego położenie, na skraju wrzosowisk wśród wzgórz Surrey, było wprost wspaniałe.

Wypiliśmy herbatę w małej, wyłożonej boazerią bawialni wychodzącej na ogród i wkrótce ogólniejsze tematy zwęziły się do aktualnych zagadnień dnia i chwili.

Daisy zapytała, czy przyszedłem ze stacji pieszo przez las, czy też znajdującą się obok niego dróżką.

Pytanie brzmiało zwyczajnie. Jej głos wcale nie wskazywał, aby miało dla niej bodaj najmniejsze znaczenie to, jaką drogą przyszedłem. Całkiem jasno zdałem sobie sprawę, że nie tylko ona, lecz także Hugh oczekiwali z napięciem, co odpowiem. Hugh właśnie zapalił zapalniczkę, lecz nie przyłożył jej do papierosa, dopóki nie posłyszał mojej odpowiedzi. — Tak, przeszedłem przez las — ale teraz, chociaż w lesie odniosłem dość niezwykle wrażenia, wydawało mi się zgoła śmieszne mówić, jakie one były. Nie mogłem przecie mówić na trzeźwo, że blask słoneczny był bardzo słaby i że gdzieś po drodze poczułem wstrętny odór. Szedłem przez las — to wszystko, co im powiedziałem. Mego gospodarza i jego żonę znałem od wielu lat. Teraz, gdy poczułem, że mógłbym zdobyć się jedynie na czystą fantazję opowiadając o moich przeżyciach w lesie, zauważyłem, że wymienili między sobą szybkie spojrzenia i bez trudu sobie to wyjaśniłem. Każde z nich dawało do zrozumienia drugiemu, że doznało ulgi; powiedzieli sobie (tak mi się wydawało), że w każdym razie ja nie zauważyłem w lesie nic niezwykłego i że są z tego zadowoleni. Zaraz jednak, nim po mojej odpowiedzi zdążyła zapaść cisza, przypomniałem sobie, że nie słyszałem ani nie widziałem w lesie żadnego ptaka, a że wydało mi się to niewinną obserwacją przyrodniczą, pomyślałem, iż mógłbym o tym wspomnieć.

— Uderzyła mnie dosyć dziwna rzecz — zacząłem (i natychmiast zauważyłem, że znów przykułem uwagę obojga). — Od chwili wejścia do lasu aż do opuszczenia go nie widziałem ani nie słyszałem żadnego ptaka.

Hugh zapalił papierosa.

— Ja też to spostrzegam — powiedział. — To rzecz zastanawiająca. Ten las jest zupełnie pierwotny i sądziłbyś, że całe chmary ptaków powinny gnieździć się w nim od niepamiętnych czasów. Ale tak samo jak pan nigdy nie słyszałem i nie widziałem żadnego. Nie widziałem tam też nigdy królika.

— Zdaje mi się, że dziś po południu był tam królik — powiedziałem. — Coś się ruszało wśród opadłych liści bukowych.

— Czy pan widział to coś? — zapytał Hugh.

Przypomniałem sobie, że szelest wydał mi się niezbyt podobny do odgłosu biegu królika.

— Nie, nie widziałem — odparłem — zresztą może to nie był królik. To chyba było coś większego.

Raz jeszcze — i to niewątpliwie — Hugh i jego żona spojrzeli na siebie, po czym ona

wstała.

— Muszę już iść — powiedziała. — Poczta odchodzi o siódmej, a ja całe rano leniucho-
wałam. Co macie zamiar zrobić?

— W każdym razie wolałbym coś na dworze — powiedziałem. — Chciałbym obejrzeć
posiadłość.

Hugh i ja wyszliśmy więc z całą sforą psów. Posiadłość była doprawdy urocza; za ogro-
dem znajdowało się małe jezioro obrosnięte trzcinami, które rozbrzmiewały świergotem
ptaków. Gdyśmy się zbliżyli, łyski i kurki wodne zniknęły w kitach trzcin na brzegu. Nad
jeziorem wznosiło się wysokie wrzosowisko, pełne nor króliczych, które psy obwąchiwały z
wyrazem radosnego oczekiwania. Posiedzieliśmy tam chwilę, patrząc na las, który pokrywał
resztę posiadłości. Nawet teraz, w blasku chylącego się ku zachodowi słońca, las ten wydawał
się jakby w cieniu, chociaż — jak reszta krajobrazu — winien tonać w blasku; ani jedna
chmurka nie kalala nieba, a ukośne promienie barwiły wszystko wspaniałą czerwienią. Las
jednak był szary i mroczny. Hugh również, jak zauważyłem, patrzył na niego. I nagle, jak by
miał poruszyć nieprzyjemny temat, odwrócił się do mnie.

— Niech mi pan powie — rzekł — czy zdaniem pana ten las jest jakiś niezwykły?

— Tak; zdaje się tonać w cieniu.

Hugh zmarszczył czoło.

— Jakże to może być? — zastanowił się. — Skąd pochodzi ten cień? Przecież nie z
zewnątrz, bo niebo i pola są jak w ogniu.

— Może w takim razie od wewnątrz? — zapytałem.

Milczał przez chwilę.

— Jest w tym coś dziwnego — powiedział wreszcie. — Coś w tym musi być, ale nie
wiem co. Daisy też to odczuwa; nawet nigdy nie chodzi do lasu, a zdaje się, że i ptaki nie
chcą się tam gnieździć z jakichś przyczyn. Ciekawe, czy naszą wyobraźnię pobudziło właśnie
to, że nie ma ptaków?

Zerwałem się.

— Bzdura — rzekłem. — Przejdźmy się tylko po lesie, a zaraz znajdziemy ptaka. Zało-
żę się z panem, że znajdę...

— Dam panu sześć pensów za każdego, którego pan zobaczy — powiedział Hugh.

Zeszliśmy z boczem wzgórza, wokół lasu, aż doszliśmy do bramki, którą wszedłem tego
popołudnia. Przytrzymałem ją, aby psy mogły za mną wejść, lecz one stały opodal i żaden z
nich się nie ruszył.

— Chodźcie, pieski — powiedziałem i foksterierka Fifi zrobiła krok naprzód, zaraz
jednak cofnęła się z lekkim skomleniem.

— Zawsze to samo — powiedział Hugh. — Żaden z nich nawet nie zajrzy do lasu.
Niech pan patrzy!

Gwizdał i wołał, przemawiał pieszczotliwie i łąjał, ale bezskutecznie. Psy pozostały na
miejscu; szczyrzyły zęby i kiwały tylko przepraszająco ogonami, lecz były całkiem zdecydo-
wane pozostać.

— O co im chodzi? — zapytałem.

— Mam wrażenie, że mają ten sam nieznaną powód, co i ptaki. Na przykład Fifi,
najłagodniejsza w świecie psinka, kłapnęła na mnie zębami, gdy próbowałem zanieść ją do
lasu. Nie chcą mieć z nim nic do czynienia. Obiegają go tylko i wracają do domu.

Zostawiliśmy więc psy i w słonecznym świetle, które zaczynało już blednąć, rozpoczę-
liśmy wędrówkę. Zazwyczaj uczucie lęku znika, gdy się ma towarzysza, lecz teraz, choć
nawet Hugh szedł obok mnie, las ten wydawał mi się jeszcze bardziej niezwykły niż po połu-
dniu. Ogarnął mnie nieznośny niepokój, dręczący jak senna mara. Myślałem przedtem, że to
pustka i milczenie lasu płątały figle moim nerwom; lecz teraz, gdy Hugh był tutaj, musiało to
być coś innego. W istocie, czułem, że strach ma odmienne podłoże, że jest to raczej przeko-

nanie, iż czai się tutaj jakaś obecność, niewidoczna jeszcze, lecz przenikająca skondensowaną pomrokę. Nie mogłem dokładnie zdać sobie sprawy z tego, co to mogło być. Czy była to obecność materialna, czy też duchowa; wiedziałem tylko na pewno, że owo coś było złe i odwieczne.

Gdy weszliśmy na polankę w środku lasu, Hugh zatrzymał się i — chociaż wieczór był chłodny — zauważyłem, że wyciera sobie pot z czoła.

— Paskudnie tu — powiedział. — Nic dziwnego, że psy stąd uciekają. No i jakże się pan czuje?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, wskazał gwałtownie ręką pasmo drzew znajdujące się opodal.

— Co to? — zapytał szeptem.

Spojrzałem w kierunku, w którym wskazał, i przez moment zdawało mi się, że na tle czerni lasu widzę coś migocącego niewyraźnie, srebrzystego i delikatnie świetlistego. Kołysało się to jak głowa i przednia część ciała jakiegoś olbrzymiego węża, który się uniósł do tyłu. Zniknęło od razu, a że rzut oka był przelotny, nie dowierzałem własnemu wrażeniu.

— Zniknęło — powiedział Hugh, ciągle jeszcze patrząc w tamtym kierunku. Gdy tak staliśmy, posłyszałem to samo, co po południu: szelest wśród opadłych liści bukowych. A przecież nie było wiatru, ani śladu jakiegoś tchnienia.

Hugh odwrócił się do mnie.

— Co to było, na miłość boską? — zapytał. — Wyglądało, jak by podnosił się jakiś olbrzymi ślimak. Widział pan?

— Nie jestem pewien — powiedziałem. — Zdaje mi się, że tylko mignęło mi coś, co pan zobaczył.

— Ale co to było? — zapytał znowu. — Czy była to istota rzeczywista, materialna, czy też...

— Coś w rodzaju ducha, to miał pan na myśli? — spytałem.

— Coś pośredniego — rzekł. — Potem, gdy wyjdziemy stąd, powiem panu, co mam na myśli.

Zjawa ta, czymkolwiek była, znikła wśród drzew na lewo od naszej ścieżki. Idąc w ciszy przez polanę, doszliśmy do miejsca, gdzie przechodziła ona w tunel, jaki tworzyły drzewa. Szczerze mówiąc, bałem się zanurzyć w tę ciemność, wiedząc, że niedaleko znajdowało się coś, o czym nie mogłem wytworzyć sobie najłagodniejszego nawet wyobrażenia. Było to jednak coś — nie wątpiłem już teraz — co sprawiało, że las był niewypowiedzianie straszny. Czy to coś było materialne czy też duchowe? Albo może — (teraz w umyśle moim zaczęło świtać z wolna, co Hugh miał na myśli) — może była to jakaś istota z pogranicza dwóch światów. Ze wszystkich złowrogich możliwości ta wydawała mi się najbardziej przerażająca.

Gdy znaleźliśmy się pod drzewami, znowu dobiegł mnie ten przykry odór czegoś żywego a zarazem zgniłego, który poczułem przedtem. Tylko że teraz był on o wiele silniejszy; dusząc się pośpieszyliśmy naprzód. Domyślałem się, że woń ta nie jest wywołana zgnilizną rozpadu, lecz pochodzi od żywej substancji tego, co czołgało się i zwijało w ciemnościach lasu, gdzie nawet ptak nie zawita. Gdzieś wśród tych drzew czaił się ten gadzi stwór, który choć niewyobrażalny, zmuszał jednak do wiary w swe istnienie.

Olbrzymią ulgą było wydostanie się z tego mrocznego tunelu na zdrowe powietrze otwartej przestrzeni i jasne światło wieczoru. W domu, gdyśmy wrócili, okna były zasłonięte i paliły się lampy. Było dość zimno, więc Hugh rozpałił ogień w swoim pokoju, gdzie rozspane psy, jak gdyby się jeszcze tłumacząc, powitały nas stukaniem ogonów o podłogę.

— A teraz musimy pogadać — powiedział Hugh — i opracować plany, bo bez względu na to, co tam w lesie jest, musimy zrobić z tym koniec. Jeśli pan chce wiedzieć, co ja o tym sądzę, to panu powiem.

— Proszę mówić — rzekłem.

— Może się pan śmiać ze mnie, jeśli wola — powiedział. — Ale ja sędzę, że to jest elemental. To miałem na myśli, mówiąc o istocie na poły materialnej, na poły duchowej. Nie widziałem jej nigdy aż do dzisiejszego popołudnia; czułem tylko, że w lesie jest coś okropnego. Teraz jednak zobaczyłem, że wygląda to jak istota określana przez spirytystów i tym podobnych jako elemental. Mówią, że jest to olbrzymi, fosforyzujący ślimak, który gdy chce, może spowić się w ciemność.

Teraz, gdy byliśmy już bezpieczni w wesołym świetle i ciepłe pokoju, domniemanie takie wydawało się po prostu groteskowe. Tam, w mrokach owego nieprzyjemnego lasu, czułem jakby wewnętrzne dygotanie i gotów byłem uwierzyć w każdego stracha. Teraz jednak zdrowy rozum buntował się.

— Czy mam przez to rozumieć, że wierzy pan w takie głupstwa? — powiedziałem. — Równie dobrze mógłby pan powiedzieć, że jest to jednorożec *. A zresztą, co to jest elemental? Kto i kiedy go widział z wyjątkiem tych, co przysłuchują się jakiemuś stukaniu w ciemności i przypisują je swoim zmarłym ciotkom.

— Cóż to jest w takim razie? — zapytał Hugh.

— Wydaje mi się, że to głównie nasze nerwy — powiedziałem. — Szczerze przyznaję, że dreszcze po mnie chodziły, gdy po raz pierwszy szedłem przez las, a jeszcze gorsze, gdyśmy szli razem. Ale to były tylko nerwy; strach się udziela.

— Czy i psom też się udziela? — zapytał. — I ptakom?

Dość trudno było na to odpowiedzieć, toteż dałem spokój.

— No więc na razie — ciągnął Hugh — założymy na chwilę, że coś innego, a nie my sami, przstraszyło nas, psy i ptaki i że rzeczywiście widzieliśmy coś, jak gdyby olbrzymiego, fosforyzującego ślimaka. Nie będę tego nazywał elementalem, jeśli pan się sprzeciwia; ale powiedzmy, nazwę to po prostu — To. W dodatku istnienie Tego tłumaczyłoby jeszcze jedną rzecz.

— Co mianowicie? — zapytałem.

— Można by przypuszczać, że To jest pewnego rodzaju wcieleniem zła, cielesną formą szatana, że jest nie tylko duchowe, ale i materialne w tym stopniu, że może być widziane, ma cielesny kształt, że daje się słyszeć i wyczuć węchem, jak pan zauważył, i że dałoby się — Boże broń — dotknąć. To musi się czymś żywić, by utrzymać się przy życiu, i to mi wyjaśnia, czemu codziennie, od kiedy tu jestem, na pagórku, na którym byliśmy, znajdowałem z pół tuzina martwych królików.

— Fretki i łasice — powiedziałem.

— Nie, ani jedno, ani drugie. Fretki zabijają swą ofiarę i zjadają. Te króliki nie były pożarte; zostały wysane.

— Co pan ma na myśli, na miłość boską? — zapytałem.

— Obejrzałem kilka z nich. W gardłach miały po prostu maleńkie otworki, przez które wysano krew. Zostały tylko skóra i kości, i szara masa tkanek jak... jak włókna pomarańczy, którą wysano. Snuł się też wokół nich straszliwy zapach. A czy to, co pan zobaczył, podobne było do fretki lub łasicy?

W tym momencie dał się słyszeć odgłos poruszonej klamki.

— Tylko nie mówmy ani słowa Daisy — rzekł Hugh, gdy wchodziła.

— Słyszałam, żeście przyszli. Gdzie byliście?

— Obeszliśmy całą posiadłość — odparłem — i wróciliśmy przez las. Dziwne, nie widzieliśmy ani jednego ptaka; prawdopodobnie dlatego, że było ciemno.

Zobaczyłem, że wzrokiem szuka oczu męża, ale nie osiągnęła porozumienia. Domyśliłem się, że planował jakiś atak na To następnego dnia i nie chciał, aby żona wiedziała, że coś się szykuje.

* Jednorożec — bajeczny koń z rogiem na czole, rzekomo zamieszkujący Indie i Afrykę. Podanie o jego istnieniu wysnuto na podstawie pewnej płaskorzeźby babilońskiej (przyp. tłum.).

— Nikt tego lasu nie lubi — powiedział. — I ptaki, i psy, i Daisy stronią od niego. Muszę przyznać, że i ja go nie lubię, ale ponieważ stawiałem czoła jego strachom w ciemności, przełamałem czar.

— Chyba było całkiem spokojnie? — zapytała.

— Spokojnie, to za mało powiedziane. Usłyszałaabyś, gdyby najmniejsza szpilka spadła w odległości pół mili.

Gdy Daisy poszła spać, omawialiśmy w nocy nasze plany. Opowiadanie Hugh'a o wyspanych królikach było zgoła okropne i chociaż brak było wyraźnego powiązania między pustymi skórkami zwierząt a tym, cośmy widzieli — przypuszczenie wydawało się dosyć uzasadnione. Hugh uważał, że wszystko, co może się odżywiać w ten sposób, bez wątplenia nie jest pozbawione strony materialnej — duchy przecież nie jadają — zaś wszystkimu, co materialne, można zadać cios.

Nasze plany były więc bardzo proste; mieliśmy połączyć po lesie, tak jak chodzi się za kuropatwami po buraczysku, każdy z dubeltówką i zapasem nabojów. Nie powiem, abym bardzo tęsknił do tej wyprawy; wzdrygnąłem się na samą myśl o spotkaniu z owym tajemniczym mieszkańcem lasu; jednakże czułem się podniecony na tyle, że przez długi czas nie mogłem zasnąć, a kiedy wreszcie zasnąłem, miałem nader żywe, straszne sny.

Ranek nie spełnił obietnicy czystego zachodu słońca; niebo zwisało nisko, było chmurne i siał deszcz. Daisy poszła po sprawunki aż do małego miasteczka i gdy tylko wyszła, zabraliśmy się do naszych spraw. Żółty wyżeł, oszalały z radości na widok strzelb, w lansadach przyleciał ku nam przez ogród, ale gdy wchodziliśmy do lasu — cofnął się do domu.

Las miał kształt mniej więcej kolisty, średnicy około pół mili. W środku, jak już powiedziałem, znajdowała się otwarta polana mająca ze ćwierć mili w poprzek, a więc otoczona była pasem gęsto rosnących drzew i zagajnikiem mającym kilkaset jardów szerokości. Początkowo zamierzaliśmy pójść razem ścieżką prowadzącą przez las, możliwie ukradkiem, w nadziei, że poruszy się to, czegośmy mieli szukać. Gdyby ten plan zawiódł — postanowiliśmy przejść cały las po torach kolistych w odległości jakich pięćdziesięciu jardów jeden od drugiego. Dwa lub trzy takie okrążenia pozwoliłyby na dość dokładne zbadanie całego terenu. Nie mieliśmy pojęcia, jak zachowa się nasza zwierzyna, czy będzie starała się uciec od nas, czy też może rzuci się do ataku. Wydawało się jednak, że wczoraj nas unikała.

Deszcz padał bez przerwy już od godziny, gdy weszliśmy do lasu; szumiał z lekka w koronach drzew nad głowami. Lecz górą sklepienie liści było jednak tak gęste, że ziemia pod drzewami była zaledwie wilgotna. Na zewnątrz był chmurny poranek — tutaj rzekłbyś, że słońce już zaszło i zapada noc. Ostrożnie szliśmy trawiastą ścieżką; nasze kroki były bezgłośnie. Raz poczuliśmy ślad tego zapachu żywej zgnilizny; lecz chociaż zatrzymaliśmy się, by posłuchać — nic się nie odzywało poza szmerem deszczu nad naszymi głowami. Przeszliśmy przez polanę i las w kierunku odległej bramy, ale ciągle nie było śladu czegokolwiek.

— Pójdziemy chyba między drzewa — powiedział Hugh. — Lepiej zacznijmy od tego miejsca, gdzie dobiegł nas odór.

Wróciliśmy tam znowu; było to miejsce wewnątrz otaczającego polanę pasma drzew. Woń snuła się jeszcze w nieruchomym powietrzu.

— Chodźmy jeszcze z pięćdziesiąt jardów — powiedział Hugh — a potem wejdziemy do środka. Jeżeli któryś z nas trafi na trop, to zawoła.

Szedłem ścieżką, aż znalazłszy się w odpowiedniej odległości, dałem mu sygnał i weszliśmy między drzewa.

Nigdy nie doznałem uczucia tak całkowitego osamotnienia. Wiedziałem, że Hugh idzie równolegle ze mną w odległości tylko pięćdziesięciu jardów — gdy przystawałem, słyszałem jego lekkie stąpanie po bukowych liściach. Ale czułem się, jak gdybym w tym mrocznym otoczeniu odcięty był od wszelkiej obecności ludzkiej; jedyną żywą istotą czającą się tutaj było to potworne, tajemnicze, złowrogie stworzenie. Drzewa były tak gęste, że nie widziałem dalej

niż na kilkanaście jardów w każdą stronę; wszystko poza lasem wydawało się nieskończenie odległe. Nieskończenie dalekie wydawało się również wszystko, co związane było z normalnym ludzkim życiem. Ze świata zwykłych doznań trafiłem w siedlisko odwiecznego zła. Deszcz przestał padać, nie szumiał już w koronach drzew, świadcząc, że na zewnątrz naprawdę istniał świat i niebo; nieliczne tylko krople szemrały, spadając z góry na bukowe liście.

Nagle postyszałem odgłos strzału dubeltówki Hugh'a, a potem — jego krzyk.

— Spudłowałem — krzyczał — idzie w kierunku pana!

Usłyszałem, jak biegł ku mnie, jak szeleszczą liście — z pewnością jego kroki przytłumiły bardziej ukradkowy odgłos tuż koło mnie. Wszystko, co teraz nastąpiło, aż do chwili, gdy raz jeszcze postyszałem huk strzału z dubeltówki Hugh'a, wydarzyło się, jak przypuszczam, w ciągu niecałej minuty. Gdyby trwało dłużej, nie wyobrażam sobie, abym mógł dziś o tym opowiadać.

Usłyszawszy krzyk Hugh'a stałem ze strzelbą gotową do strzału i słuchałem odgłosu jego kroków. Ale ciągle jeszcze nie widziałem, do czego miałbym strzelać, i nic nie słyszałem. Raptem między dwoma bukami, całkiem blisko, zobaczyłem coś, co mogę określić tylko jako kulę ciemności. Potoczyła się bardzo szybko ku mnie z odległości paru jardów, jakie mnie od niej dzieliły, a potem — niestety za późno — postyszałem, jak szeleszczą pod nią zeschnięte liście. Na chwilę przedtem, zanim mnie dosięgła, zaświtało mi w głowie, co to jest, lecz zanim zdołałem podnieść fuzję do strzału, bezkształt ten zwałił się na mnie. Coś mi wydarło z rąk strzelbę i ogarnięty zostałem ciemnością, z której biła sama kwintesencja zgnilizny; zbity z nóg, leżałem płasko na plecach, czując na sobie ciężar niewidocznego napastnika.

Machałem gwałtownie rękami i chwyciłem coś zimnego, lepkiego i włochatego. Palce mi się ześliznęły i w chwilę potem poczułem na ramieniu i szyi coś, co sprawiało wrażenie kauczukowego węża. Jego koniec przyssał mi się do szyi i poczułem, jak wciąga skórę. Znowu, szarpiąc rękami, usiłowałem oderwać tę obrzydłą potęgę od siebie. Gdy walczyłem z nią, poprzez warstwę ciemności, która wszystko przesłaniała, postyszałem tuż koło mnie kroki Hugh'a.

Usta miałem wolne, więc krzyknąłem.

— Tutaj, tutaj! — wrzeszczałem — tuż koło pana, gdzie jest najciemniej!

Poczułem jego ręce na swoich i dzięki tej pomocy udało się oderwać od mojej szyi tę ssawkę, która ją wchłaniała. Zwój spoczywający ciężko na moich nogach i klatce piersiowej wił się, zmagając, aż puścił. Czymkolwiek było to, co trzymaliśmy czterema rękami — wyrwało się i ujrzałem stojącego obok mnie Hugh'a. O krok lub dwa znikła wśród pni bukowych owa czerń, która mnie zalała. Hugh podniósł strzelbę i wypalił z drugiej lufy. Czerń rozproszyła się. To, cośmy wreszcie znaleźli, leżało, wijąc się i miotając jak olbrzymi robak. Było jeszcze żywe. Podniosłem strzelbę, która leżała obok mnie, i wypaliłem dodatkowo z dwóch luf. Konwulsje przeszły stopniowo w lekkie drgawki i dreszcze, aż wreszcie To znieruchomiło zupełnie. Z pomocą Hugh'a wstałem i obaj nabiliśmy ponownie strzelby, zanim podeszliśmy bliżej. Na ziemi leżało monstrum, pół-ślimak, pół-robak. Nie miało głowy. Kończyło się tępo otworem. Było barwy szarawej, pokryte rzadkim, czarnym włosem; długie chyba na jakie cztery stopy. W najszerszym miejscu było grubości męskiego uda i zwężało się ku obydwu końcom. Ohydny stwór w środku poszarpany był śrutem. Rozproszone śruciny trafiły w różne miejsca, a z otworów sączyła się nie krew, lecz jakaś szarawa, kleista substancja.

Kiedy tak staliśmy, rozpoczął się szybki proces rozpadu i rozkładu. To coś zaczęło tracić kontury, zanikało, upłynniało się i po minucie patrzyliśmy już tylko na masę splamionych i zlepionych liści bukowych. Coraz szybciej ulatniała się owa esencja zepsucia i wkrótce u naszych stóp nie było już ani śladu tego, co przedtem tam leżało. Przenikliwa woń rozwiła się i od ziemi bił już tylko słodkawy zapach wiosennej wilgoci, a z góry poprzez sklepienie chmur wpadał promień słońca. Nagle wśród zeschniętych liści coś zatupotało; serce wlało mi znowu do gardła. Odwiodłem kurki strzelby. Ale był to tylko żółty wyżeł Hugh'a, który przy-

łączył się do nas.

Hugh i ja spojrzeliśmy na siebie.

— Nic się panu nie stało? — zapytał.

Uniosłem głowę.

— Nic a nic — powiedziałem. — Nie ma chyba skaleczenia, prawda?

— Nie, tylko okragły, czerwony ślad. Mój Boże, co to było? Co się stało?

— Najpierw na pana kolej — powiedziałem. — Tylko od początku.

— Natrafiłem na To całkiem nagle — zaczął. — Leżało zwinięte jak śpiący pies pod wielkim bukiem. Zanim zdołałem strzelić, umknęło w pana stronę. Strzeliłem pomiędzy drzewa, lecz musiałem chybić, bo słyszałem, jak się oddala szeleszcząc wśród liści. Krzyknąłem do pana i pobiegłem za Tym. Na ziemi był kłęb absolutnej ciemności, a ze środka dobiegał pański głos. Wcale pana nie widziałem, lecz chwyciłem tę czerń i rękami natrafiłem na pańskie ręce. Poczuliśmy także coś innego.

Wróciliśmy do domu i schowaliśmy strzelby, zanim Daisy wróciła ze sprawunków. Umyliśmy się i oczyściliśmy. Daisy weszła do salonu.

— To leniuchy — powiedziała — tak się ładnie przejaśniło, a wy ciągle jeszcze w domu. Chodźmy zaraz.

Wstałem.

— Hugh mówił mi, że pani nabrała niechęci do tego lasu — rzekłem — a to taki ładny las. Chodźmy, przekona się pani. Będziemy trzymali panią za rękę, a psy będą szły obok.

— Przecież żaden z nich nawet nie zajrzy do lasu — powiedziała.

— Ależ na pewno wejdą. W każdym razie spróbujemy. Pani za to musi obiecać, że wejdzie, jeśli wejdą psy.

Hugh gwizdnał na nie i poszliśmy do bramy. Psy siedziały rozdygotane, czekając, aż zostanie otwarta, i zaraz rzuciły się w gąszcz w poszukiwaniu interesujących zapachów.

— I któż to opowiada, że w lesie nie ma ptaków? — zapytała Daisy. — Niech pan spojrzy na tę raszkę! O, nawet dwie! Widocznie chcą uwić sobie gniazdko.

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski

HECTOR HUGH MUNRO (SAKI)

Piszący pod pseudonimem Saki — Hector Hugh Munro (1870—1916) urodził się w Burmie, gdzie ojciec jego był oficerem policji. Mały Hector wraz z dwojgiem rodzeństwa zabrany został do Anglii przez matkę, która zmarła tam w niedługim czasie. Dzieci nie wróciły już do Burmy, lecz na życzenie ojca pozostały na wychowaniu u ciotek. O tym, że ciotki były niedobre i narzucały swą wolę dzieciom, świadczy motyw złej opiekunki powtarzający się w kilku opowiadaniach, jakie Munro napisał w wiele lat później. Pisarz ten, pełniąc służbę wojskową, wysłany został w listopadzie 1915 roku do Francji, gdzie zginął w ataku na Beaumont Hamel.

KUNA

Gdy Konradyn miał dziesięć lat, lekarz orzekł, że chłopiec nie przeżyje dalszych pięciu. Doktor był ugrzecznony, mało energiczny i niewiele znaczył, ale jego opinię potwierdziła pani De Ropp, która znaczyła bardzo wiele. Pani De Ropp była krewną i opiekunką Konradyna. W jego oczach reprezentowała te trzy piąte świata, które muszą istnieć, są realne, ale nieprzyjemne; pozostałe dwie piąte, będące w stałym antagonizmie, sprowadzały się do jego

osoby i jego wyobraźni.

Pewnego dnia Konradyn poczuł, że będzie chyba musiał ulec takim nieuniknionym zjawiskom jak choroby, zakazy ze względu na zdrowie i wlekąca się nuda. Gdyby nie jego wyobraźnia, która rozwijała się bujnie pod wpływem osamotnienia — poddałby się już dawno.

Pani De Ropp nigdy, nawet w chwili największej szczerości, nie przyznałaby wobec samej siebie, że nie lubi Konradyna, choć może niejasno zdawała sobie sprawę, iż przeciwstawianie się chłopcu „dla jego dobra” było obowiązkiem, którego nie uważała za specjalnie uciążliwy. Konradyn nienawidził jej rozpaczliwie i zdecydowanie, co zresztą umiał doskonale maskować. Te nieliczne rozrywki, jakie potrafił sobie wyszukać, nabierały większego uroku przez to, że mogły się nie podobać jego opiekunce. Natomiast ona sama była wykluczona z królestwa jego fantazji jako istota nieczysta, nie mająca tam wstępu.

Ponury, niemiły ogród, na który wychodziło wiele okien, nie stanowił dla niego dużej atrakcji, w każdej chwili mógł go ktoś zawołać, przypominając, by zażył lekarstwo lub by nie robił tego czy tamtego. Rosło tam trochę drzew owocowych, tak złośliwie jednak rozmieszczonych, że nie mógł zrywać owoców; były niby rzadkie okazy, roztaczające swe rozkoszne kwiecie na jałowym pustkowiu, i nie znalazłby się chyba kupiec, który by ofiarował dziesięć szylingów za to, co rocznie dawały. Jednakże w zapomnianym kątku tego ogrodu, prawie całkiem ukryta za ponurymi zaroślami, znajdowała się nie używana szopa na narzędzia, dość znacznych rozmiarów. To była przystań Konradyna. Stawała się na zmianę: raz pokojem do zabaw, raz katedrą. Zapełnił ją legionem znajomych widm, wyłonionych częściowo z fragmentów historii, a po części z jego własnej wyobraźni. Mogła się także poszczycić posiadaniem dwóch żywych, cielesnych lokatorów. W jednym kącie mieszkała kura o podskubanych piórach, którą chłopiec nie mając innego obiektu darzył swym uczuciem. Dalej w półmroku stała duża klatka o żelaznych prętach. Było to mieszkanie kuny, którą przemycił tu kiedyś, razem z klatką, zaprzyjaźniony chłopiec od rzeźnika. Zrobił to w zamian za garść drobnych srebrnych monet, ciułych długo, w tajemnicy.

Konradyn bał się panicznie tego gibkiego zwierzęcia o ostrych kłach, ale zarazem był to jego największy skarb. Sama obecność kuny w szopie była przedmiotem tajemnej, trwożliwej radości. Trzeba było kunę starannie ukrywać przed „tą kobietą” (takim mianem darzył swą opiekunkę). Pewnego dnia nadał kunie, Bóg wie skąd wykombinowane, wspaniałe imię, i od tej chwili stała się dla niego bóstwem i przedmiotem kultu. „Ta kobieta” raz na tydzień nurzała się w praktykach religijnych w pobliskim kościele, dokąd zabierała też Konradyna. Ale dla niego nabożeństwo było obcym rytuałem, zmuszającym do rezygnacji z własnych wierzeń. W każdy czwartek w mrocznej stęchliźnie szopy Konradyn odprawiał nabożeństwo z mistycznym, skomplikowanym ceremoniałem, stając przed drewnianą klatką, którą zamieszkiwał Wasztar — wielka kuna. Czerwone kwiaty w lecie, czerwone jagody w zimie — składał Konradyn w przybytku Wasztara. Bóstwo to domagało się zadośćuczynienia w sposób niecierpliw i gwałtowny, podczas gdy religia „tej kobiety”, o ile Konradyn zdawał sobie z tego sprawę, była na ogół przeciwieństwem takich tendencji.

Przy większych uroczystościach rozsypywał wzdłuż klatki mieloną gałkę muszkatołową. Ważką cechą tej ofiary było to, że gałka musiała być ukradziona. Te uroczystości nie odbywały się regularnie, lecz miały na celu uczczenie jakiegoś znamienego wydarzenia. Kiedyś, z okazji, że pani De Ropp przez trzy dni cierpiała na ból zębów, Konradyn obchodził trzydniowe święto i niemal udało mu się wmówić w siebie, że to Wasztarowi osobiście zawdzięczać trzeba ten ból zębów. Gdyby choroba przedłużyła się jeszcze o jeden dzień, wyczerpałby się zapas gałki muszkatołowej.

Kury nigdy nie wciągano do oddawania czci Wasztarowi. Konradyn dawno już ustalił, że jest ona anabaptystką. Nie udawał, że ma choćby najlżejsze pojęcie, co to takiego anabaptystka, ale żywił nadzieję, że to coś wspaniałego i nieznanadto statecznego. Pani De Ropp była powodem, dla którego nienawidził wszystkiego, co stateczne.

Po pewnym czasie zainteresowanie Konradyna szopą ogrodnika zaczęło zwracać uwagę jego opiekunki. „Niedobrze, że się tam tak kręci bez względu na pogodę” — zadecydowała szybko i pewnego dnia przy śniadaniu oznajmiła, że kura została poprzedniego wieczora zabrana i sprzedana. Patrzyła swymi krótkowzrocznymi oczami na Konradyna, czekając na wybuch wściekłości i rozpacz. Gotowa była zaraz odpowiedzieć potokiem dobrych rad i rozsądnych uwag. Lecz Konradyn milczał, więc i ona nie mogła już nic powiedzieć.

Być może, coś w jego bladej, stęzałej twarzy wzbudziło w niej chwilowe wyrzuty sumienia, gdyż na podwieczorek podano grzanki — smakołyk, na który zazwyczaj nie pozwalała, twierdząc, że szkodzi Konradynowi i że przygotowanie grzanek „jest kłopotliwe”, a robienie sobie kłopotu — to śmiertelny grzech w oczach tego rodzaju kobiety.

— Myślałam, że lubisz grzanki — wykrzyknęła z obrażoną miną, widząc, że nawet ich nie tknął.

— Czasami — odparł Konradyn.

Do nabożeństwa w szopie przed klatką bóstwa wprowadzona została tego wieczora pewna innowacja. Konradyn zwykle głosił chwałę bóstwa, dzisiaj natomiast prosił o łaskę.

— Zrób coś dla mnie, Wasztarze!

O co chodziło — ściśle nie było określone. Skoro Wasztar był bogiem, sam musiał wiedzieć. Powstrzymując łkanie na widok pustego drugiego kąta w szopie, Konradyn wrócił do świata, którego tak nienawidził.

Każdej nocy z błogosławionych ciemności sypialnego pokoju i każdego wieczora z półmroku szopy na narzędzia płynęła żałosna prośba Konradyna: „Zrób coś dla mnie, Wasztarze!”

Pani De Ropp zauważyła, że wizyty w szopie nie ustały, i pewnego dnia zrobiła następną wyprawę w celach inspekcji.

— Co trzymasz w tej zamkniętej klatce? — zapytała. — Na pewno świnki morskie. Każę je wszystkie zabrać.

Konradyn zacisnął usta, ale „ta kobieta” dopóty myszkowała w jego pokoju sypialnym, póki nie znalazła starannie ukrytego kluczyka, po czym ruszyła bezzwłocznie do szopy, by uzupełnić swoje odkrycia.

Było zimne popołudnie i Konradynowi kazano pozostać w domu. Z najdalszego okna w jadalni widoczne były drzwi szopy, wyłaniające się zza skraju zarośli. Konradyn zajął stanowisko, by móc obserwować. Widział, jak „ta kobieta” wchodziła; potem wyobrażał sobie, jak otwiera drzwiczki świętej klatki i wpatruje się swymi krótkowzrocznymi oczami w grubą ściółkę słomianą, gdzie leży ukryte bóstwo. Na pewno będzie macała słomę, niezręczna i niecierpliwa. I Konradyn gorączkowo wyszeptał po raz ostatni swą modlitwę. Ale modląc się, zdawał sobie sprawę, że nie wierzy. Wiedział, że zaraz „ta kobieta” wejdzie, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami, czego on tak nie lubił. Za parę godzin ogrodnik wyniesie jego wspaniałe bóstwo, które już dłużej nie będzie bóstwem, lecz po prostu brązową kuną w klatce. Wiedział też, że „ta kobieta” będzie zawsze potem triumfowała, tak jak triumfuje teraz, i że on sam będzie się czuł coraz gorzej, ulegając jej dokuczliwej, narzucającej się przewadze i mądrości, aż pewnego dnia nic już nie będzie miało dla niego znaczenia i okaże się, że doktor miał rację.

Pod brzemieniem porażki zaczął głośno śpiewać wyzywający hymn ku czci swego zagrożonego bożyszczka:

*Wasztar ruszył naprzód,
Myśli miał krwawe, a białe zęby.
Wrogowie wołali o pokój, a on
Zadał im śmierć —
Wasztar wspaniał!*

Nagle przestał śpiewać i przysunął się bliżej szyby. Drzwi szopy stały nadal otworem, tak jak je zostawiono, a czas upływał. Były to długie chwile, a jednak mijały. Konradyn obserwował szpaki, które biegały po trawniku i fruwały małymi stadkami. Przeliczał je raz po raz, nie spuszczać jednak oczu z kotyszających się drzwi szopy. Pokojówka ze skwaszoną miną weszła, by nakryć do podwieczorku, a Konradyn wciąż stał, czekał i obserwował. Nadzieja z wolna wypełniała jego serce — i nagle wyraz triumfu rozświetlił mu oczy, które dotychczas wyrażały tylko chytrą cierpliwość kogoś, kto poniósł klęskę. Półgłosem, ze wzruszeniem, zaczął znów pean zwycięstwa i zagłady. Nagle ujrzał to, czego pragnął: przez otwarte drzwi szopy przesunęło się długie, niskie, żółtobrazowe zwierzę z oczyma oślepiionymi bladym światłem dziennym; miało ciemne mokre plamy na futrze wokół pyszczka i gardła. Konradyn osunął się na kolana. Ogromna kuna pobiegła w kierunku małego strumyka na skraju ogrodu, napiła się z niego, potem przeszła po kładce i zginęła z oczu między krzakami.

Tak odszedł Wasztar.

— Herbata już podana — powiedziała pokojówka o kwaśnym wyrazie twarzy. — Gdzie jest pani?

— Poszła do szopy, już dosyć dawno — odparł Konradyn.

Gdy pokojówka wybiegła, by prosić swą panią na herbatę, Konradyn wyjął widelec z szuflady kredensu, wziął kawałek chleba i zaczął go przypiekać nad ogniem na kominku. Robił sobie grzanki, smarował je grubą warstwą masła, a potem rozkoszował się, jedząc powoli. Przysłuchiwał się jednocześnie odgłosom dobiegającym spoza jadalni. Wybuchały nagłymi spazmami i równie gwałtownie cichły. Słychać było głośne, bezsensowne krzyki służącej, odpowiadające im z rejonów kuchni okrzyki przerażenia, odgłosy kroków, pośpieszne wzywanie pomocy z zewnątrz, a potem po chwilowej ciszy — urywane łkania i szuranie butów osób, które wносиły do domu jakiś ciężki ładunek.

— Kto powie temu biednemu dziecku? Ja za żadne skarby nie potrafię! — wykrzyknął jakiś przenikliwy głos.

Podczas gdy rozważano tę sprawę, Konradyn przypiekał sobie drugą grzanekę.

Przełożyła Irena Małanowska

OLIVER ONIONS

George Oliver Onions (ur. 1873) znany jest z silnego nagromadzenia niesamowitości w swych utworach. Tom nowel pt. Widdershins (1911) zawiera przytoczone niżej opowiadanie, rekordowe pod względem takiego właśnie nastroju. W Anglii Onions uznawany jest za jednego z najbardziej utalentowanych autorów w dziedzinie fantastyki. Pisarz ten początkowo studiował przez trzy lata w Akademii Sztuk Pięknych w Londynie, potem zaś w Paryżu jako stypendysta. Wcześniejsze jego utwory cechował pewien cynizm i zniechęcenie do ludzi. Być może, nieco tych elementów przeniknęło do jego opowieści o duchach, mających niezwykle przejmującą atmosferę. Anglosascy wielbiele „creepy stories”, czyli opowiadań wywołujących gęsią skórę, twierdzą, że Ślicznotka jest bodaj najlepszym w ogóle utworem tego typu.

WABIĄCA ŚLICZNOTKA

I

Jak daleko sięgali pamięcią mieszkańcy domów przy małym, trójkątnym skwerze na tej otoczonej niskim ogrodzeniem posesji, zawsze sterczały trzy czy cztery deski z napisem DO

WYNAJĘCIA. Jeśli nawet kiedyś ustawione były pionowo — to bardzo dawno. Zwiślały teraz wszystkie nad ogrodzeniem, każda pod innym kątem, i do złudzenia przypominały rząd drewnianych toporów. Zawsze sprawiały wrażenie, że wnet spadną na kogoś, choć nigdy z szeregu przechodniów nie odcięły reflektanta na ów stary dom. Przez skwer nie przelewał się nigdy wielki tłum; ruch odbywał się o parę kroków dalej, poza płataniną alejek, posesji i bocznych uliczek, jaka powstała w czasie, gdy stary dom zbudowano, a teraz całkiem go przesłaniała. Dom tolerowany był pewno ze względu na możliwość, że trafi się jeden czy dwóch lokatorów, bo niewątpliwie cała dzielnica skazana była na rozbiórkę.

Był to ponury budynek ze starej, czerwonej cegły, a w ściany wmurowane miał korony, dłonie w uścisku i inne insygnia od dawna zamarłych towarzystw ubezpieczeniowych. Dzieci mieszkające w obrębie tego skweru leżącego na uboczu huśtały się na niskiej furtce przy końcu alejki prowadzącej do wejścia, dopóki z furtki nie pozostało nic poza solidną górną sztabą. Sama alejka przebiegała wzdłuż zabitych deskami okien sutereny, na których włóczędzy nakreślili kredą swe tajemne znaki. Ścieżka była splukana deszczem i miała nawierzchnię nierówną wskutek działania wody spływającej z okapów sąsiedniego domu, zachodzących na teren tej posesji. Koty i psy przywykły chodzić tą drogą. Szanse na znalezienie lokatora nie wydawały się uzasadniać utrzymywania tablic z napisem DO WYNAJĘCIA w stanie czytelności ani też poddawania ich konserwacji. Toteż nikt się tym nie zajmował.

Przez sześć miesięcy Oleron mijał tę starą posesję dwa razy dziennie lub częściej, idąc ze swego mieszkania do odległego o dziesięć minut drogi pokoju, który sobie wynajął na pracownię. Przez sześć miesięcy żadna tablica podobna do topora nie padła w poprzek jego drogi. Prawdopodobnie dlatego, iż zazwyczaj chodził przeciwną stroną skweru. Jednakże pewnego ranka zdarzyło się, że przeszedł przypadkiem drugą stroną, tą która dotykała połamanej furtki i zmytej deszczem alejki wejściowej. Przypadkiem też zatrzymał się przed jedną z pochylonych tablic. Oprócz nazwiska pośrednika widniała na niej wypisana z pewnością jeszcze za czasów wczesnej młodości Olerona informacja, że klucz otrzymać można pod numerem szóstym.

Należy wyjaśnić, że Oleron płacił już za osobny pokój sypialny i za pracownię więcej, niż może pozwolić sobie pisarz nie posiadający własnych funduszków, a z reguły lekceważący swych czytelników. W dodatku zaś płacił jeszcze niewielki czynsz za przechowywanie większości mebli odziedziczonych po babce. Ponadto zawsze się tak składało, że książka, którą pragnął poczytać w łóżku, znajdowała się właśnie w jego pracowni odległej o pół mili z górą, natomiast list czy też notatki, których nagle potrzebował w ciągu dnia, mogły równie dobrze być w kieszeni drugiego surduta wiszącego za drzwiami pokoju sypialnego. Ponadto podział mieszkania pociągał za sobą także i inne niedogodności.

Dlatego też Oleron, poruszony nagle widokiem siekierkowatej tablicy, spojrzął najpierw dołem poprzez skąpe krzaki ligustru ku zabitym deskami oknom sutereny, potem — do góry, na osłepłe i zabrudzone okna pierwszego piętra, następnie zaś — na drugie piętro i płaskie, kamienne wykończenie szczytu blaszanego dachu. Przez dłuższą chwilę stał, gładząc kciukiem szczupłą, wygoloną szczękę; potem, raz jeszcze rzuciwszy okiem na tablicę, poszedł z wolna przez skwer pod numer szósty.

Zastukał i mimo że drzwi stały otworem, czekał ze dwie lub trzy minuty; nie było odpowiedzi. Zastukał ponownie, aż pojawił się długonosy mężczyzna, bez marynarki.

— Właśnie odmawialiśmy modlitwę przed posiłkiem — powiedział, jak gdyby surowo udzielał wyjaśnienia.

Oleron zapytał, czy można otrzymać klucz od starego domu, długonosy wycofał się.

Oleron stał na schodach przez dalsze pięć minut; następnie mężczyzna pojawił się znowu, przeżuwając najwidoczniej część posiłku, o którym mówił poprzednio, i oświadczył, że klucz gdzieś zaginął.

— Ale on i tak jest panu niepotrzebny — dodał. — Drzwi wejściowe nie są zamknięte,

a wystarczy tylko pchnąć, żeby i wszystkie inne się otworzyły. Jeśli pan myśli o wynajęciu tego domu, to ja jestem upoważniony...

Oleron przemierzył raz jeszcze skwer, zszedł po dwóch stopniach u połamanej furki, poszedł alejką i skręcił w stare, szerokie odrzwia. Z prawej strony, tuż za nimi, widniały stopnie prowadzące do rozległych piwnic, zaś schody, na wprost których znalazł się Oleron, miały rzeźbioną poręcz; były szerokie, ładne i brudne. Oleron wszedł po nich, unikając dotykania poręczy i ściany i zatrzymał się na pierwszym piętrze. Drzwi, przed którymi się znalazł, były oszalowane deskami, ale pchnięcie z prawej strony wystarczyło, by słaby zamek czy też zasuwę ustąpiły. Wszedł do pustego mieszkania.

Spędził tam kwadrans, potem wyszedł. Nie wchodząc już wyżej, zszedł na dół i raz jeszcze przemierzył skwer w kierunku domu człowieka, który zgubił klucz.

— Czy może mi pan powiedzieć, ile ma wynosić czynsz? — zapytał.

Mężczyzna wymienił sumę, której stosunkową niskość tłumaczyć można było otoczeniem domu i odstręczającym stanem zaniedbania całej posesji.

— Czy można by wynająć jedno piętro?

Długonosy nie wiedział; może by się i zgodzili...

— Kto mianowicie?

Mężczyzna podał Oleronowi firmę adwokacką należącą do Lincoln's Inn *.

— Może pan wspomnieć o mnie: nazywam się Barrett — powiedział.

Nawał pracy nie pozwolił Oleronowi udać się tego popołudnia do Lincoln's Inn, ale gdy tam nazajutrz pojechał — natychmiast zaproponowano mu kupno całego domu za opłatą pięćdziesięciu funtów gotówką, przy czym reszta ceny kupna miałaby obciążać hipotekę. Zajęło mu z pół godziny, zanim wyperswadował prawnikowi, że pragnie wynająć tylko jedno piętro. Wywołało to pewne wahanie, jako że to miała być całkiem inna sprawa, zaś adwokat wcale nie był pewien, czy leżało w jego kompetencji uczynić tak, jak proponował Oleron. Wreszcie jednak udało się wydusić od adwokata, że coś da się zrobić, pod warunkiem, iż tablice DO WYNAJĘCIA będą mogły pozostać na miejscu, i z zastrzeżeniem, że w razie wynajęcia całego domu — umowa wygaśnie automatycznie, bez specjalnego wypowiedzenia. To, żeby owa stara rudera została nagle wynajęta poza jego plecami, wydawało się Oleronowi najmniejszym ryzykiem, więc obiecał, że da odpowiedź w ciągu tygodnia.

Następnego dnia ponownie odwiedził dom, obejrzał go od strychu do piwnic, a potem wrócił do swego mieszkania, aby się wykapać.

Niezmiernie pociągała go ta część domu, która jak zdecydował, miała do niego należeć. Na pewno będzie bardzo miła, gdy się ją porządnie odmaluje i wstawi te stare meble po babce. Oleron udał się do przechowalni, by odświeżyć sobie w pamięci na pół zapomniane sprzęty i zanotować ich wymiary; stamtąd poszedł do dekoratora. Zajęty był bardzo swą codzienną pracą i żałował, że tablica z ogłoszeniem nie zwróciła jego uwagi kilka miesięcy wcześniej albo później. No, ale cóż... Ponieważ stało się inaczej — najlepiej będzie przerwać pracę aż do zakończenia przeprowadzki...

W dwa tygodnie później pierwsze piętro odmalowane było już gruntownie na delikatny białawy kolor przywiedłego kwiecia. Farba wyschła i oto właśnie Oleron był w trakcie urządzania się na nowym mieszkaniu. Był ożywiony, zachwycony. Zacierał ręce, polerując i rozstawiając rzeczy po babce: wysoką serwantkę o plecionych ściankach z porcelaną Derby, Mason i Spode, duży rozkładany stół w stylu Sheratona **, długie, niskie półki na książki (kazał „skopiować” dwie takie), fotele, lichtarze z Sheffield i kute wazony. Ustawił to wszystko na tle świeżo wymalowanych, białawych ścian wykładanych w doskonale pomyślanej

* Lincoln's Inn — jedna z czterech korporacji brytyjskich, w których młodzi prawnicy odbywają aplikanturę (przyp. tłum.).

** Styl meblarski od nazwiska Tomasza Sheratona, który od 1790 roku projektował meble w Londynie (przyp. tłum.).

proporcji drewnem, które dopasowane było tak, że tworząc nisze w otworach okiennych o niskich parapetach, wywoływało nastrój miły i przytulny, jakiego nie potrafią już teraz stworzyć ci, co projektują wnętrza. Stropy były wysokie, delikatnie pomalowane w staroświecki deseń z gwiazd; nawet regularnie zwięzające się żelazne pręty w kracie kominka wykonane były tak finezyjnie jak dzieło złotnika.

Oleron krążył więc, zacierając ręce, i przystawał często, po to tylko, by pełnym zadowolenia wzrokiem objąć białe pokoje...

„Śliczne, śliczne! — myślał. — Ciekaw jestem, co Elżunia Bengough o tym powie!”

Kupił zasuwę i zamek Yale i odciął swe mieszkanie od reszty domu. Gdyby teraz chciał czytać w łóżku, wystarczyło iść po książkę do sąsiedniego pokoju. Przez cały czas rozmyślał, jakie miał szczęście znajdując to mieszkanie. W małym kwadratowym przedpokoju przybił wieszak i powiesił kapelusze, czapki i płaszcze; a ci, co późną nocą przechodzili przez mały, trójkątny skwer, spoglądając ponad szeregiem drewnianych siekierok z napisem DO WYNAJĘCIA — mogli dojrzeć poza czerwonymi storami pałace się u Olerona światło albo przesuwający się płomyk, gdy Oleron z lichtarzem w ręce przechodził z pokoju do pokoju, rozstawiając meble już na dobre albo zabierając się do podjęcia pracy, którą mu przerwała przeprowadzka.

II

Jeśli chodzi o główne życiowe zajęcie — pisanie — to Paweł Oleron traktował świat o wiele przyjaźniej, niż sam był przezeń traktowany; ale rzadko zadawał sobie trud obliczania, jak dalece w wieku lat czterdziestu czterech pozostał w tyle w życiowym starciu. Nie zmieniłoby to stanu rzeczy, a mogło tylko wpłynąć deprymująco na Olerona. Obrął już sobie drogę i posunął się na niej tak daleko, że nie było możliwości wycofania się. Być może obrął ją w czasach, gdy ulegał łatwo czemuś, co można by nazwać bezinteresownością, szerokim gestem, trochę zaś — szlachetnością, ale gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy zadać sobie samemu pytanie, byłby ciągle jeszcze utrzymywał, że życie pozbawione szlachetności, hojności i bezinteresowności jest nic niewarte. Ostatnio dopiero, a i to rzadko, zaczął mgliście podejrzewać, że może w życiu jeszcze i o coś więcej chodziło; ale nie warto było uprzedzać chwili, kiedy — jak przypuszczał — osiągnie ów szczytowy punkt zdolności twórczych, po którym niechybnie nastąpi załamanie, a on, Oleron, stanie wobec pytania, czy nie lepiej by mu się opłacało, gdyby rządził się w życiu mniej szczytnymi ideałami.

Tymczasem przeprowadzka do starego domu z insygniami ubezpieczeniowymi wmurowanymi w ściany spowodowała tylko przerwanie *Romilly Bishop* na piętnastym rozdziale.

Gdy ten wysoki mężczyzna o szczupłej, ascetycznej twarzy kręcił się po swym nowym siedlisku, układając, zmieniając, przestawiając, nie bardzo jeszcze wciągnięty po przerwie w tok swej twórczej pracy, sprawiał wrażenie pedantycznego i porządnego prawie jak stara panna. Przez ubiegłe dwadzieścia lat w szeregu pomieszczeń, mansard, mieszkań, pokoiów umeblowanych i nie umeblowanych przyzwyczał się samemu robić tyle rzeczy, iż odkrył, że będąc metodycznym — oszczędza się czas i energię. Z żoną długonosego Barretta — tęgą Walijką o falsetowym głosie, którego akcent z hrabstwa Merioneth nie uległ zasadniczej zmianie mimo jej długiego pobytu w Londynie — umówił się, że będzie przychodziła co rano przygotować mu śniadanie, a w sobotnie poranki na „gruntowne porządki”; co zaś do reszty — to trochę pracy domowej Oleron traktował jako pewne odprężenie po wysiłku twórczym.

Z kuchni i z przyległego pomieszczenia, w którym zrobiono nowoczesną łazienkę, widać było alejkę biegnącą z boku domu. Na jednym końcu kuchni znajdowała się spora komórka z drzwiami, których górna prostokątna część była odsuwana. Było to miejsce przeznaczone niegdyś do pudrowania fryzur.

Przez odsuwaną część drzwi wtykano kunsztownie ufryzowaną głowę, a rozpylacz z trzaskiem obsypywał ją pudrem. Oleron łamał sobie głowę nad przeznaczeniem tej komórki, a potem, gdy się domyślił, do czego służyła, uśmiechnął się z lekka, wzruszony trochę, nie wiedząc czemu... Będzie używał jej do celu zgoła odmiennego niż pierwotny; prawdopodobnie służyć mu będzie za spiżarnię...

W tej właśnie komórce dokonał odkrycia. Tylna jej część wyposażona była w półki, a bobrując na górnej, głęboko wpuszczonej w ścianę, Oleron znalazł dwa stare, mające kształt grzyba drewniane stojaki do peruk. Nie wiedział, skąd się tam wzięły. Bez wątplenia malarze wyciągnęli je skądś i tam wsadzili. Lecz jego pięciu pokojom, jako całości, brak było jakiegos schowka czy komórki i trzeba było pewnej inwencji, by znaleźć miejsce na złożenie bielizny stołowej, kufrów i mało kiedy używanych, ale jakże potrzebnych złoży papierów.

Oleron sprowadził się do nowego mieszkania wczesną wiosną i zależało mu bardzo na tym, aby *Romilly* gotowa była do wydania na najbliższą jesień. Niemniej nie zamierzał forsować pracy nad nią. Gdyby wymagała dłuższej roboty — to trudno; zdawał sobie sprawę z jej znaczenia — jej przełomowego znaczenia dla jego rozwoju jako artysty; musiała mieć przecież odpowiednią długość, a na to trzeba czasu. W pracowni, którą niedawno opuścił, robił doskonałe postępy; *Romilly* niejako sama zaczęła przemawiać i działać, on zaś nie wątpił, że będzie tak nadal, z chwilą gdy minie rozproszenie związane z jego przeprowadzką. „Rozproszenie prawie minęło — pomyślał — czas znów zebrać się w sobie”. Pewnego marcowego poranka wyszedł i wrócił z dwoma wielkimi pękami żółtych narcyzów. Jeden pęk umieścił na kominku między sheffieldzkimi lichtarzami, drugi — na stole przed sobą i wydo był przerwany w połowie rękopis *Romilly Bishop*.

Zanim rozpoczął pracę, podszedł jeszcze do małej sekretery z różanego drzewa, z szuflady wyjął książeczkę czekową i wyciąg z konta bankowego. Podsumował wszystkie pozycje, a jego ascetyczna twarz zdradzała zamyślenie. Urządzenie się tutaj kosztowało go więcej, niż zamierzał na to wydać, saldo spadło poniżej pięćdziesięciu funtów, a nie było szybkich widoków na jego zwiększenie.

„Hm... zapomniałem, że chodniki, pluszowe zasłony i to wszystko wyniosło tak wiele — pomyślał Oleron. — Tylko że szkoda byłoby spartolić to mieszkanie z braku dziesięciu czy iluś funtów... No tak, *Romilly* musi po prostu ukazać się na jesieni i tyle. Trzeba więc...”

Przysunął do siebie papiery.

Praca szła mu jednak źle, a właściwie — wcale nie pracował. Z zewnątrz, ze skweru dobiegały często swoiste i nie znane dotychczas hałasy, Oleronowi zaś pozostawała jedynie nadzieja, że w niedługim czasie się do nich przyzwyczai. Najpierw przychodzili przekupnie ze swymi wózkami i pokrzykiwaniem; w południe — dzieci wracające ze szkoły stłoczyły się na skwerze i huštały na furtce; a gdy dzieci poszły znowu na popołudniowe lekcje, wędrowny muzykant usadowił się z mandoliną pod oknem Olerona i zaczął brzdąkać hałaśliwie. Nie była to niemiła dystrakcja, więc Oleron pchnąwszy w górę okno rzucił mu pensa. Znowu wrócił do stołu...

Nic jednak z tego nie wychodziło. Co jakiś czas łapał się na tym, że rozgląda się po pokoju i zastanawia, jak też był niegdyś umeblowany — czy pod dalszym oknem nie stała jakaś kozetka pokryta satyną barwy jaskra lub petunii, czy ze środkowej części sztukaterii na wysoko wzniesionym suficie nie zwisał błyskający kryształowy pajak albo gdzie stała podstawka do robót tamborkowych czy stolik do pikiety... Nie, nic z tego! O wiele lepiej byłoby rzeczywiście nic nie robić niż męczyć się bezowocnie. I postanowił, że pójdzie na spacer, lecz zamiast tego, gdy przypadkiem usiadł na chwilę — zdrzemnął się w fotelu.

— Tak nie może być — ziewnął obudzwszy się o wpół do piątej po południu. — Jutro muszę zrobić coś więcej...

I przez parę minut czuł się rozkosznie rozleniwiony — rozmyślał nawet, jak by tu nie pójść na pewne spotkanie, które miał wieczorem.

Następnego dnia rano zasiadł do pracy, nie pozwoliwszy sobie na odpowiedzenie nawet na jeden z trzech listów, jakie otrzymał.

Dwa z nich były to rachunki od rzemieślników, a trzeci — kartka od panny Bengough, przesłana mu z dawnego mieszkania.

Dzień był pogodny, białobłękitny, dał wesoły, hałaśliwy wiatr; wszystko, co wzrastało, nabrało nowego, delikatnego kolorytu. Gdy świetliste, białe chmury przetaczały się na północ-wschód ponad skwerem, pokój ustawicznie, co parę chwil, rozjaśniał się nagle i znowu ciemniał. Miękkie, kapryśne oświetlenie odbijało się w polerowanej powierzchni stołu, a nawet w zdartej starej podłodze. Poranne hałasy rozpoczęły się na nowo.

Oleron rysował wzór z kropek na arkuszu papieru, potem przerwał, by przesunąć wazon z narcyzami dokładnie naprzeciwko środka kremowej boazerii. Wreszcie zaczął pisać zdanie, które ciągnęło się bez przerwy przez kilka wierszy, aż skończyło się szeregiem luźnych uwag i notatek. Przez pewien czas udawało mu się przekonywać samego siebie, że naprawdę pracuje robiąc takie zapiski. Potem wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wtedy przyszło mu na myśl, że mieszkanie byłoby chyba trochę ładniejsze, gdyby miało bardziej zdecydowany koloryt. Było może odrobinę za blade — pogodne i słodkie jak miła stara twarz, ale nieco pozbawione życia, a nawet wyblakłe... tak, zdecydowanie ożywiłoby się, gdyby dać więcej barwnych kwiatów, a może też jakieś poduszki z tkaniny cieplej w tonie i wesołej, do położenia na tworzących ławy parapetach okiennych.

— Oczywiście nie mogę sobie na to pozwolić — zamruczał idąc po miarkę, by zmierzyć szerokość framug okiennych.

Gdy przystąpił do pomiaru wgłębień, jego nastrój nagle się zmienił: wyrażał zainteresowanie i uwagę. Wstał zacierając ręce.

— Oho, oho! — powiedział — wygląda mi na to, że parapety to zabite gwoździami skrzynki. Trzeba się temu przyjrzeć. Tak, to są skrzynki, albo ja... A to dopiero historia!

W tej ścianie salonu były dwa okna, a trzecie znajdowało się w drugiej ścianie. W sypialni, za otwartymi drzwiami, było jeszcze jedno okno — w tej samej ścianie co dwa pierwsze. Wszystkie parapety były kiedyś dwakroć malowane i teraz na nowo pokryte farbą; w trakcie badania palec Olerona zaledwie wyczuwał łebki starych gwoździ pod warstwą farby. Pod krawędzią, przy której się zatrzymał, była kiedyś dziurka od klucza, teraz zakitowana. Oleron wyjął scyzoryk.

Pracował pilnie przez pięć minut, a potem poszedł do kuchni po młotek i dłuto. Ostrożnie wbijając dłuto pod parapet poderwał lekko całą pokrywę. Następnie ciął scyzorykiem wzdłuż opatrzonej w zawiasy krawędzi i z obu końców; potem poszedł po klin i drewniany młotek.

— A teraz dowiemy się, co się tam kryje — powiedział.

Odgłos bicia młotkiem w klin w tym miłym, bezbarwnym pomieszczeniu wydawał się cokolwiek brutalny, a nawet całkiem nie na miejscu. Boazeria dźwięczała, stukała i wibrowała wskutek uderzeń jak deska rezonansowa. Echem zdawał się rozbrzmiewać cały dom, jak gdyby echa budziły się od obszernych piwnic aż po strych; hałas działał trochę Oleronowi na nerwy. Nagle przerwał walenie, przyniósł ścierkę i owinał młotek... Gdy krawędź parapetu uniosła się już wystarczająco — wsunął pod nią palce i spękana farba odpadać zaczęła płatkami; stare, zardzewiałe gwoździe piszczały i trzeszczały, zaś pokrywa podniosła się odsłaniając znajdującą się pod spodem skrzynkę. Oleron zajrzał do niej. Oprócz parocalowej warstwy kurzu, pleśni i starych pajęczyn — była pusta.

— Nie ma tu skarbów — powiedział Oleron, nieco rozbawiony, iż mógł wyobrazić sobie, że je tam znajdzie. — *Romilly* będzie jednak musiała wyjść na jesieni. Zajrzymy do innych.

Podszedł do drugiego okna.

Odrywanie dwóch pozostałych parapetów zajęło mu czas aż do późnego popołudnia;

skrzynka w sypialni była pusta, podobnie jak pierwsza; tylko z drugiego parapetu w salonie wyciągnął coś miękkiego, zwiniętego i pokrytego na cal grubą warstwą kurzu. Zaniósł ten przedmiot do kuchni i, wytrzepawszy nad wiadrem, zaczął go okurzać miotłąką.

Przypominało to wielki worek ze starego materiału w rodzaju sukna, a po rozwinięciu pokryło większą część małej podłogi kuchennej. Było kształtu nieregularnego, bardzo nieregularnego trójkąta i miało parę szerokich klap z resztkami pasków i sprzączek. Kłapa zaginana u samej góry była bladego, żółtawobrunatnego koloru, reszta jednak miała barwę karmazynową, której odcienie wahały się zależnie od tego, jak blisko były krawędzi.

— Cóż to może być? — Oleron stał przyglądając się w zamyśleniu. — A zresztą co mnie to obchodzi!... Bez względu na to, co to jest, obawiam się, że moja robota na dziś skończona!

Zwinał tę rzecz niedbale i wepchnął w kąt kuchni; potem, wzięwszy rynienki, szczotki i stary nóż, wrócił do salonu i zaczął oskrobywać, myć oraz wykładać papierem nowo odkryte zakamarki. Gdy skończył — włożył do nich swe zapasowe obuwie, książki i papiery. Potem zamknął je ponownie, rozbawiony swą małą przygodą, ale i trochę zaniepokojony, że nadchodzi godzina, gdy będzie musiał uczciwie zasiąść do pisania.

Zabolało trochę Olerona, że jego przyjaciółka, panna Bengough, zbyła jednym spojrzeniem mieszkanie, które uważał za szczególnie miłe. Właściwie ledwie rzuciła na nie okiem. Tylko że ona zawsze taka była — dość obojętna na wdzięki życia, nie dbała o pozory i chyba bardziej była sobą, wyjadając biskwity z papierowej torebki, niż kiedy jadła kolację z zachowaniem wszelkich konwenansów. Była to nie związana z żadnym piśmem dziennikarka lat trzydziestu czterech, duża, pełna, jasna jak masło, różowa jak dzika róża, przypominała doborowy okaz z kwiaciarni; była skłonna do nagłych, zamaszystych ruchów oraz łzawych, wybuchowych okrzyków. Lepiej dawała sobie radę „u życiowego koryta” (jak to określała) niż Oleron; sprytnie podchodząc sprzedawców towarów tekstylnych i łokciowych, zaopatrywała się tanio w większość swej nader urozmaiconej garderoby. Poruszając się pozostawiała za sobą małe wiry powietrza, w których furkotały i wity się jej woalki i szale.

Mieszkający już od miesiąca w swej nowej siedzibie Oleron usłyszał szum jej spódnicy na schodach i jednorazowe głośne uderzenie w drzwi. Szaty jej wpędziły falę powietrza ze dworu, ona zaś cisnęła rulon piśm kobiecych na fotel.

— Nie złość się na mnie — powiedziała poprzez usta pełne szpilek z wielkimi łebkami, zdejmując kapelusz i woalkę. — Nie wiedziałam, czyś się już urządził na dobre, więc przyniosłam trochę kanapek na drugie śniadanie. Chyba masz kawę? Nie, nie wstawaj, sama znajdę kuchnię...

— Dobrze, dobrze, tylko zabiorę te rzeczy. Szczerze mówiąc jestem bardzo zadowolony z tej niespodziewanej wizyty — powiedział Oleron.

Zebrał i odłożył swoje papiery, Elżbieta była już w kuchni; słyszał, jak nalewa wodę do rondelka. Poszedł do niej, a po dziesięciu minutach wrócił do salonu niosąc za nią kawę i kanapki na tacy. Usiedli przy małym stoliku.

— No i cóż myślisz o moim nowym mieszkaniu? — zapytał Oleron, gdy nalewała kawę.

— Hm!... Pomyślałby kto, że się żenisz, Pawle.

Roześmiał się.

— O, nie. Ale to poprawa w porównaniu z niektórymi dawnymi lokalami, prawda?

— Czyżby? No, myślę, że tak; nie wiem. To poprzednie mieszkanie lubiłam mimo czarnego sufitu i braku bieżącej wody. A jak *Romilly*?

Oleron potarł kciukiem szczękę.

— Hm... Wstydzę się powiedzieć. Widzisz, jakoś nie bardzo mi idzie. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, jak to lubisz mówić.

— Utknąłeś?

— Chyba tak.

— Masz jakiś kawałek, który byś chciał mi przeczytać?

Oleron od dawna miał zwyczaj czytowania od czasu do czasu pannie Bengough fragmentów swego dzieła. Jej komentarze były zawsze bystre i praktyczne, czasami wręcz pożyteczne, niekiedy pośrednio podsuwały myśli. Ona sama, w zamian za jego zaufanie, zawsze najstaranniej unikała wszelkich wzmianek o swej własnej pracy. Jego praca — mawiała — była „prawdziwa”, jej zaś — była tylko zapełnianiem szpalt, a i to nie zawsze zgodnie z gramatyką.

— Obawiam się, że nie mam nic takiego — odparł Oleron, nadal w zamyśleniu skrobiąc się w brodę. Potem dodał z nagłym wybuchem szczerości: — Widzisz, Elżuniu, w gruncie rzeczy nie napisałem zbyt wiele... Prawdę mówiąc, ostatnio w ogóle nic nie napisałem. Ale to oczywiście nie znaczy, że nie zrobiłem postępów. Pod pewnym względem postęp jest, nawet dość zaskakujący. Myślę teraz o przerobieniu całego utworu.

Pannę Bengough aż zatkało:

— O przerobieniu!

— Tak, chcę z samej *Romilly* zrobić odmienny typ kobiecy. Nabrałem przekonania, że niedostatecznie uwypuklam jej postać. Taka, jak jest, przestała mnie do pewnego stopnia interesować.

— Ależ... — zaprotestowała panna Bengough — ależ, Pawle, przecież uczyniłeś ją tak realną, tak żywą!

Oleron uśmiechnął się blado. Był całkiem przygotowany na dezaprobatę ze strony panny Bengough. Nie było dla niego niespodzianką, że lubiła *Romilly* w jej obecnej wersji; jakżeby inaczej... Bez względu na to, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy też nie, w jego powieściowym tworze było wiele z niej samej. Naturalnie; że *Romilly* musiała się jej wydawać „realna”, „żywa”...

— Czyżbyś to mówił całkiem serio, Pawle? — zapytała nagle panna Bengough, patrząc okrągłymi oczyma.

— Najzupełniej serio.

— Naprawdę chcesz przekreślić te piętnaście rozdziałów?

— No, tego nie powiedziałem.

— I tę subtelną, barwną scenę miłosną?

— Zrobiłbym to niechętnie, i tylko na rzecz czegoś znacznie lepszego.

— I ten piękny, przepiękny fragment o *Romilly* na wybrzeżu?

— Niekoniecznie trzeba go wyrzucać — powiedział trochę niepewnie.

Lecz panna Bengough uczyniła zamaszysty, burzliwy gest, a potem wygarnęła Oleronowi.

— Doprawdy za wiele sobie pozwalasz! — wybuchnęła. — Bardzo bym chciała, żebyś czasem pamiętał, że jesteś człowiekiem i żyjesz w normalnym świecie! Wiesz, że ja ostatnia życzyłabym ci obniżenia twego poziomu artystycznego bodaj o cal, ale go nie obniżysz przez to, że go dostosujesz do zwykłych ludzi. Doprawdy czasem robisz z siebie zupełnie bożyszcze! Gdybyś zniszczył te piętnaście rozdziałów, byłoby to złośliwe i zbrodnicze trwonienie własnych sił! Zastanów się nad tym rozsądnie. Pracowałeś bez mała dwadzieścia lat; dopiąłeś już prawie tego, do czego dążyłeś, twoje interesy są w jak najgorszym stanie (nic mi nie mów, wiem, że dojeżdżasz do końca z pieniędzmi) i właśnie teraz, z rozmysłem, masz zamiar zniszczyć coś, co prawdopodobnie przyniosłoby ci rozgłos, a zamiast tego dać rzecz, której — założę się — nikt na świecie nie weźmie do ręki i trudno się temu dziwić! Nadużywasz mojej cierpliwości, słowo daję!

Gdy mówiła, Oleron z wolna kiwał głową. Zawsze tak z nimi było. Hałaśliwa, zdolna, praktyczna dziennikarka była cudowną przyjaciółką — do pewnego punktu; poza nim jednak... tak: każdy z nas wie, że jest punkt, od którego człowiek może liczyć tylko na siebie.

Elżbieta Bengough mówiła niekiedy, że gdyby miała dziesiątą część geniuszu Olerona, to niewiele byłoby rzeczy, których by nie dokonała. Tak więc ów geniusz był dla niej rzeczą podzielną ilościowo, czymś w rodzaju elementu, który można dodawać lub odejmować jako pewien składnik dzieła. To że chodziło tu o czynnik jakościowy, zasadniczy, niepodzielny, ożywczy — przekraczało jej zrozumienie. W tym punkcie rozchodzili się. Oleron zdawał sobie z tego sprawę. Ona najwidoczniej nie.

— Tak, tak, tak — powtarzał raz po raz, trochę już znużony. — W praktyce masz rację, zupełną rację, a ja nie mam nic do powiedzenia. Gdybym tak mógł ci przekazać *Romilly*, odniosłabyś dzięki niej olbrzymi sukces. Ale tego nie da się zrobić, a ja ze swej strony poważnie wątpię, czy warto się nią zajmować — wiesz, co mam na myśli.

— Co masz na myśli? — zapytała tępo.

— No cóż mogę mieć? — rzekł z cieniem uśmiechu. — Jeśli się jest przekonanym, że nie warto czegoś robić, po prostu się tego nie robi.

Oczy panny Bengough przesunęły się błagalnie po suficie, jak gdyby w górze szukała pomocy przeciwko temu nieznośnemu człowiekowi.

— Co za kompletna bzdura! — wybuchnęła wreszcie. — Przecież kiedy cię widziałam ostatni raz, to *Romilly* po prostu lała się strumieniem; odwałałeś ją z szybkością czterech rozdziałów na tydzień; gdybyś się nie przeprowadzał, to do dziś byłaby w trzech czwartych gotowa. Co, na miłość boską, opętało cię, żeby się przeprowadzać właśnie w środku najważniejszej pracy?

Oleron próbował się bronić, wyliczając niewygody, ale to do niej nie przemawiało. Być może w głębi serca trochę podejrzewała, jaka była przyczyna — po prostu był już śmiertelnie znużony trudnościami doznawanymi w życiu. Miał już tego dwadzieścia lat za sobą — dwadzieścia lat poddaszy i mansard, brudnych mieszkańek i obdrapanych pokoików; dość miał już brudu i nędzy. Powodzenie było tak daleko jak zawsze, a jeśli nawet nie, to już mu się nie chciało nawet palcem kiwnąć, żeby je zdobyć. Kiedyś byłby to zrobił. Dobrze przekonywać kogoś, kto jest bliski wyczerpania, że trzeba już tylko jednego, ostatecznego wysiłku, nie zdobędzie się na niego, jeśli już nie ma sił...

— W każdym razie — zreasumował Oleron — jest mi tu lepiej, niż było gdziekolwiek od dłuższego czasu. To jest pewne usprawiedliwienie.

— Zwłaszcza że nic nie robisz — rzekła kąśliwie panna Bengough.

Rozdrażnienie narastające w Oleronie doszło do szczytu.

— A czemuż miałbym wciąż tylko pracować? — zapytał. — Czy byłbym przez to o wiele szczęśliwszy? Nie mówię, że nie kocham swej pracy — kiedy jest już zrobiona; ale nienawidzę jej robić. Czasem jest to ciężar nie do zniesienia i po prostu marzę o tym, żeby się go pozbyć. Raz na wiele tygodni trafia się przy pracy chwila, jedna chwila przejęcia i dreszczu; pamiętam czasy, gdy wszystko było żarem i dreszczem, ale teraz mam czterdzieści cztery lata i praca mnie męczy. Nikomu się ona na nic nie zda, a mnie też przestaje być potrzebna. Gdyby mnie teraz zapytał jakiś zwykły rozsądny człowiek, czy nie sędzę, że głupio robię ciągnąc to dalej, myślę, że bym się z nim zgodził.

Przystojna, różowa twarz panny Bengough miała wyraz powagi.

— Ależ, Pawle, wszystko to wiesz już od wielu, wielu lat, a przecież sam to sobie obrałeś — rzekła cichym głosem.

— Skąd miałem wiedzieć? — zapytał. — Nie wiedziałem. Tak mi mówiono. Własne serce, jeśli wolisz, tak mi powiedziało i sądziłem, że wiem. Młodym się zawsze wydaje, że wiedzą, a potem pewnego dnia człowiek sobie uświadamia, że zbliża się pięćdziesiątka...

— Czterdzieści cztery, Pawle...

— ...czterdzieści cztery, dobrze... I stwierdzam, że okres świetności, zamiast dopiero nastąpić, już minął. Tak, wiedziałem i wybrałem, jeśli to oznacza wiedzieć i wybierać... Tylko że często musimy słono płacić za ten wczesny wybór.

Panna Bengough miała oczy utkwione w podłódze. Nie podnosząc ich powiedziała:

— Przecież nie żałujesz tego, Pawle?

— Tak sądzisz? — przerwał. — Słowo daję, ostatnio zdaje mi się, że zaczynam żałować! Cóż mam w zamian za to wszystko?

— Wiesz, co masz — odpowiedziała.

Powinien był poznać z jej tonu, co mógłby mieć jeszcze, gdyby tylko kiwnął palcem — ją samą. Ona wiedziała, ale nie mogła mu powiedzieć, że nic lepszego nie mógłby uczynić dla samego siebie.

Gdyby kiedykolwiek w ciągu tych dziesięciu lat poprosił ją, aby wyszła za niego, odpowiedziałyby spokojnie: „Bardzo dobrze, kiedy?” Ale on nigdy o tym nie pomyślał...

— Twoja praca jest przynajmniej prawdziwa — ciągnęła spokojnie. — Bez ciebie nie moglibyśmy egzystować my, szakale. Ty i nieliczni tobie podobni trzymacie wszystko na swoich barkach.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Oleronowi przyszło do głowy, że po prostu zaczyna utyskiwać, a to nie leżało w jego zwyczaju. Nagle wstał i zaczął ustawiać na tacy filiżanki i talerzyki.

— Przykro mi, żeś mnie zastała w takim nastroju, Elżuniu — powiedział z lekkim uśmiechem — ...nie, ja sam wyniosę, a potem pójdziemy na spacer, jeśli chcesz...

Wyniósł tacę, po czym zaczął oprowadzać pannę Bengough po mieszkaniu. Zrobiła kilka uwag. W kuchni zapytała, co to za wyblakły zwój starego czerwonego sukna, którego pani Barrett używała jako poduszki na krzesło.

— To? Cieszyłbym się, gdybyś mi powiedziała, co to takiego — odparł Oleron, rozwijając worek, i opowiedział, jak go znalazł w schowku pod parapetem.

— Wydaje mi się, że wiem, co to jest — rzekła panna Bengough. — Nakładano to na harfę przed włożeniem jej do futerału.

— A niech cię... na pewno tak — powiedział Oleron. — A ja nie mogłem się w tym połapać...

Skończyli obchód mieszkania i wrócili do salonu.

— A kto zajmuje resztę domu? — zapytała panna Bengough.

— Chyba jakiś włóczęga sypia czasami w piwnicy. Poza tym nikt.

— Hm... No więc jeśli chcesz, to ci powiem, co o tym sądzę.

— Chcę.

— Nigdy tu nie będziesz pracował.

— O... — rzucił Oleron — a czemuż to?

— Nigdy nie skończysz tutaj *Romilly*. Nie wiem czemu... ale nie skończysz. Jestem tego pewna. Będziesz musiał się wyprowadzić, zanim ruszysz z pisaniem.

Przez chwilę milczał zamyślony; potem powiedział:

— Czy to nie lekkie... uprzedzenie, Elżuniu?

— Oczywiście — to śmieszne. Trudno to nawet traktować jako argument. Ale tak jest... — odparła z ustami znów pełnymi szpilek do kapelusza.

Oleron zdejmował właśnie swój kapelusz i palto. Roześmiał się.

— Więc pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że się mylisz — powiedział — bo byłbym w poważnych tarapatkach, gdyby *Romilly* nie ukazała się na jesieni.

IV

Gdy tego wieczoru Oleron siedział przy kominku, dumając nad przepowiedniami panny Bengough, że czekają go trudności w pracy, doszedł do wniosku, iż o wiele lepiej byłoby, gdyby zachowała dla siebie swoje przeczucia. Nikomu się nie powie, jeżeli z miejsca

podważyć jego ufność, a mówienie o trudnościach jest w pewnym sensie ich stwarzaniem.

Samo mówienie już zniechęca, a jeśli dodać do tego inne sposoby odbierania otuchy, to w końcu samo zadanie, przed którym ostrzegano, staje się zgoła nie do spełnienia. Serdecznie kłął Elżbietę. Uprzedzenie stojące na przeszkodzie ukończeniu *Romilly* już się zrodziło.

W dodatku jakoś nielogicznie i apodyktycznie, w sposób właściwy chyba tylko kobietom, powiązała wrogie jego pracy wpływy z jego nową siedzibą. Czyż mogło być coś podobnie absurdalnego? „Nigdy nie skończysz tutaj *Romilly*...” A dlaczego nie? Pewnie chodziło jej o to, iż luksus podcina sprężyny działania, wywołuje rozleniwienie i powoduje, że człowiek się zaniedbuje. Mieszkanie, jeśli o to chodzi, było całkiem niczego, bardzo miłe — ale przecież nie takie znów demoralizujące! Nie, tym razem Elżunia spudłowała...

Odsunął krzesło, aby rozejrzeć się po pokoju, który uśmiechał się, po prostu uśmiechał w świetle ognia. On też się uśmiechał, jak gdyby współczująco, do spotwarzonego mieszkania. W miękkim poblasku nie widać było nawet i tego zbyt mdłego kolorytu, który poprzednio zwrócił uwagę Olerona. Pluszowe kotary — miały wzór w kwiaty i kratki, w koszyki i kiście owsa — rozciągnięte opadały spokojnie długimi fałdami na parapety okien. Blask z kominka odbijał się żywo w oprawach szeregów książek na starych półkach; wraz ze światłem dziennym zanikały ostatnie ślady bladłości; prawdę mówiąc to kto jak kto, ale sama Elżunia raziała na tle jego mieszkania.

Refleksja ta była dość uderzająca i wnet powrócił do niej. Tak, pokój ten — całkiem przypadkowo — oddał panie Bengough dzisiejszego popołudnia niedźwiedzią przysługę. Subtelnie jakoś, ale dość wyraźnie podkreślił kontrast między jej a swoim charakterem. Bo rzeczywiście, o ile pokój Olerona był jak by anemiczny i pozbawiony życia, o tyle panna Bengough — wręcz przeciwnie — grzeszyła raczej nadmierną obfitością kształtów i żywotnością. A jeśli już porównuje się pewne abstrakcyjne cechy, to gust Olerona odznaczał się pewną surowością.

Tak, tutaj Oleron zrobił wyraźne odkrycie; dziwił się, że go przedtem nie uczynił. Wyobraził sobie pannę Bengough taką, jaka zjawiała się dzisiejszego popołudnia: duża, korpulentna, wilgotno-różowa, tryskająca pokazowymi zaletami jak premiowany okaz kwiatu; i natychmiast straciła w jego oczach. Teraz zdał sobie nawet sprawę, że zauważył u niej tego popołudnia pewne nowe cechy i że podświadomie — już podczas wizyty — patrzył na Elżbietę krytycznie. Struktura jej osobowości była dość oczywista, jej wezbrana wylewność była wynikiem łatwo dających się zanalizować procesów; zdawał się czaić za nią mglisty kształt przypominający, że jest ona zwykłą śmiertelniczką. Przez te dziesięć lat, przez które byli sobie bliscy, nigdy ani przez chwilę nie śniło mu się nawet prosić jej, by została jego żoną; niemniej, po raz pierwszy poczuł teraz ulgę, że tego nie zrobił...

Potem nagle twarz mu spłonęła wstydem, gdy sobie uświadomił, że tak źle myśli o swojej przyjaciółce. Co takiego? Bodaj w myślach poddawać takiej sekcji Elżunię Bengough, z którą tygodniami spędzał popołudnia, ją — tego dobrego kompana, na którego pomoc mógłby liczyć, gdyby go cały świat zawiódł? Ją, w której lojalność wobec niego nie miał prawa wątpić — dopóki jej tchu stanie? Jest niewdzięcznikiem i chamem...

Gdyby w tej chwili była tutaj, padłby przed nią na kolana.

Ciągle patrząc w ogień, siedział tak przez dobre dziesięć minut, a rumieniec upokorzenia zniknął mu z wolna z policzków.

W pokoju i na dworze było cicho, poza leciutkim melodyjnym dźwiękiem, który dobiegał z kuchni — odgłosem kapania wody do zlewu z nie dość mocno zakręconego kranu. W takt słabo słyszalnego padania kropli Oleron zaczął mechanicznie stukać palcami; lekki, rytmiczny ruch zdawał się przyspieszać uchodzenie rumieńca wstydu z twarzy. Teraz ochłódł, a kiedy podjął swe rozmyślenia, absolutnie nie zdawał sobie sprawy, że rozpoczął je od tego samego punktu...

I to nie tylko jej kwietna bujność stała się przedmiotem jego krytyki; zdał też sobie

sprawę z wielkich różnic między jej a swoim umysłem. Nie zadowalał się już tym, że w pewnej mierze charaktery ich zawsze były zgodne; teraz nie zwracał na to uwagi, był pełen innych wątpliwości: intelektu mieli odmienne, nie da się zaprzeczyć, a gdy spoglądał w przeszłość — skłonny był wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek miały coś ze sobą wspólnego. Prawda — czytywał jej czasem to, co napisał, a ona zdawała się rozumieć jego myśl i nawet robiła całkiem rzeczowe uwagi. Lecz co ma zrobić człowiek, który sądząc, że przyjaciel podziela jego poglądy, rozczarowuje się nagle pod wpływem jakiegoś faktu? Oleron we wszystko teraz już powątpiewał... Ale przyszło mu przecież na chwilę do głowy, że ten, kto żąda od przyjaciela więcej, niż może otrzymać — jest w niebezpieczeństwie utracenia tego przyjaciela. Myśl tę jednak odsunął od siebie.

Znowu przestał myśleć i znów zaczął stukać palcem w rytm odległego kapania wody...

A więc — zaczął na nowo rozważania — jeżeli wszystko to odnosiło się do Elżuni Bengough, dotyczyło przeto i postaci, której była prototypem — Romilly Bishop. Skoro zaś o Romilly mógł bez żadnych skrupułów mówić to, czego przez prosty wstyd nie mówił o Elżuni — puścił wodze myślom. Działo się to w owym śmiejącym się oświetlonym ogniem pokoju, przy akompaniamencie ledwie słyszalnego kapania z kranu.

Nie było już żadnych wątpliwości: nienawidził głównej bohaterki swej powieści. Nawet podany przezeń opis jej fizycznego wyglądu był jakiś przytłaczający; była z gruba ciosana, przejaskrawiona, wybujała. Stwierdził to w momencie, gdy sprecyzował swą myśl: w ten sposób Guliwer opisał damy dworu u Brobdingnagów; była taka sama pod względem umysłowym i duchowym — niesubtelna, ograniczona, wulgarna. Ona jako model (zamknął na chwilę oczy) — jako model przebijała tak przeraźliwie poprzez piętnaście pospolitych i krzykliwych rozdziałów, a on dotychczas nie widział przyczyny, dlaczego nie był w stanie rozpocząć szesnastego. Zdumiał się, że zaświtało mu to dopiero teraz.

I to miała być jego Beatrice, jego wizja! Jako Elżunia — miała wejść do tygła jego kunsztu, a wyjść z niego — jako kobieta, przez wszystkich mężczyzn pożądana! Jego najsubtelniejsze myśli złożyć się miały na to, co ona myślała, z najdroższych jego snów zrodzić się miał jej kształt, sceneria zaś — gdziekolwiek by ją znalazł — miała być godna jej ceny. Długo rozmyślał, zanim pokusił się o stworzenie tej postaci; aż pewnego dnia poczuł, że pulsuje w nim jak dziecię w łonie matki — i zaczął pisać, tworząc rozdział za rozdziałem...

I wszystko, co z tego wyszło, to te piętnaście rozlazłych fragmentów!

Siedział tak, znowu z lekka stukając palcem...

Potem otrząsnął się.

Trzeba ją wyrzucić, całe piętnaście rozdziałów o niej. To postanowione. Ale czym je zastąpi — w głowie miał pustkę; i jeszcze jedno: nie można nikomu wybaczyć, iż poszedł złą drogą dlatego tylko, że nie pojawiła mu się od razu właściwa. Lepsza się znajdzie, jeśli ma się znaleźć; tymczasem zaś...

Wstał; przyniósł piętnaście rozdziałów rękopisu i odczytał je na nowo, zamierzając cisnąć w ogień.

Lecz zamiast rzucić rękopis do kominka, wypuścił go z ręki. Znowu uświadomił sobie, że słyszy wodę kapiącą z kranu. Była to dźwięczna gama z czterech czy pięciu tonów, z nieregularnymi interwałami; była głupawa, choć przyjemna dla ucha, jak gdyby ją ktoś wystukiwał na cymbałkach. Oleron w wyobraźni widział, jak każda kropla narasta, jak drży leciutko u wylotu kranu, a delikatny odgłos jej upadku — plink, plunk... — jest tak słabutki, że prawie niesłyszalny. Poczynając od najniższego tonu zdawała się następować krótka, nieregularnie powtarzana fraza. I wnet Oleron przyłapał się na tym, iż oczekuje powtórzenia się tej frazy. Była całkiem miła...

Ale że nie wywoływało to bezsenności, więc Oleron zdrzemnął się przy kominku.

Gdy się obudził — ogień wygasł prawie zupełnie, a płomyki świec lizały profitki sheffieldzkich lichtarzy. Podniósł się ociężale, ziewnął, obszedł mieszkanie jak zwykle wiecz-

rem, sprawdzając, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte, potem zaś poszedł do sypialni. Wkrótce zasnął mocno.

Następnego rana zdarzył się drobny incydent, wiążący się w pewien sposób z kapaniem wody do zlewu. Pani Barrett stuknęła zazwyczaj nie do drzwi, lecz w drewnianą ścianę, za którą stało łóżko Olerona; Oleron wstawał wówczas, wkładał szlafrok i wpuszczał panią Barrett. Nie zdawał sobie sprawy, że otwierając jej drzwi tego ranka nucił jakąś melodię. Usłyszawszy ją pani Barrett zatrzymała się z dłonią na klamce, z twarzą z lekka odwróconą i uśmiechniętą.

— Mój Boże! — wznosił się jej nieco falsetowy głos. — Ależ to bardzo stara melodia, proszę pana! Chybam jej ze czterdzieści lat nie słyszała!

— Jaka melodia? — zapytał Oleron.

— No ta, co ją pan nuci, proszę pana.

Palec Olerona tkwił pod skrzydełkiem koperty jakiegoś listu. Tam też pozostał.

— Ja nuciłem?... Niech no pani to zaśpiewa, pani Barrett.

Pani Barrett cmoknęła.

— Ja tam nie mam głosu do śpiewania, proszę pana; śpiewaczką to w naszej rodzinie była Anna Pugh; ale to będzie ba-ardzo stara piosenka, a nazywa się *Wabiąca Ślicznotka*.

— Niech pani spróbuje zaśpiewać — rzekł Oleron, z palcem ciągle jeszcze tkwiącym w kopercie; więc pani Barrett z uśmiechem zażenowania zanuciła melodię.

— Powiadają, że śpiewano ją przy harfie, proszę pana, i że to bardzo stare — zakończyła.

— I ja to śpiewałem?

— No przecie. Chybabym nie kłamała przed panem. Ze słowami: „No już dobrze, niech mi pani da śniadanie”, Oleron otworzył list. Jednakże to drobne zdarzenie uderzyło go jako dziwniejsze, niżby sam chciał przyznać. Fraza, którą zanucił, była to ta sama, którą kojarzył z kapaniem wody poprzedniego wieczora.

V

Odgłos zwykłego sączenia się wody ze zwyczajnego kranu, tak wyraźnie pokrywający się z rzeczywistą melodią, miał jeszcze ciekawszy rezultat, ten mianowicie, że obudził lub zdawał się budzić w Oleronie anormalną wrażliwość na inne odgłosy starego domu. Dawno już zauważono, iż cisza nabiera pełni i staje się najbardziej przejmująca, kiedy mać ją jakiś delikatny dźwięk; a prawdę mówiąc mieszkanie Olerona nigdy nie było ciche. Być może świeżość wiosennego powietrza oddziaływała na odrętwiały materiał jego ścian, może ogień w kominku u Olerona sprawiał, że przeciągały się stare wiązania; z pewnością zaś całutki świat owadzich istnień wiercił i rył w belkach i spojeniach. Oleronowi w każdym razie dość było posiedzieć spokojnie w fotelu i poczekać minutę czy dwie, a natychmiast zaczynał zdawać sobie sprawę z takiej zmiany skali słyszalnych dźwięków, jak ktoś, kto uważając, że las jest latem nieruchomy i cichy, ni stąd, ni zowąd stwierdza, że jego ucho chwyta szemrania miriad insektów.

Uśmiechnął się na myśl, jak arbitralnie człowiek orzeka o tym, co obdarzone jest życiem, a co nie jest. Tutaj — gdyby tylko znał odpowiedni język — całutki dom przemawiałby do niego, zupełnie niezależnie od łatwo dających się zidentyfikować dźwięków, jak chrobotanie myszy, odpadanie tynku za boazerią czy też pęknięcie kurczącego się lub wyżarzonego drewna na kominku. Belki z westchnieniem znużenia osiadały w swych starych łożyskach; jakieś stworzonka cykały w ścianach; wiązania trzeszczały, skarżyły się deski; bez wyczuwalnego poruszenia się powietrza ramy okienne zmieniały swą pozycję z lekkim stuknięciem o framugę. Bez względu na to, czy mieszkanie było w takim sensie ożywione czy też nie — w

każdym razie posiadało ono pociągającą indywidualność. Oleronowi wystarczyła zaledwie godzina dumania, by zrodziła się w nim myśl, że tak jak jego własne ciało pozostawało w przyjaznym związku z duszą, tak samo — można by sobie wyobrazić — jego domostwo pozostaje w jakimś stosunku do niego samego.

Zabawiał się nawet daleko sięgającą koncepcją, że może tak bardzo utożsamić się z tym mieszkaniem, iż jakiś przyszły jego lokator będzie uważał je w pewnym sensie za nawiedzane przez duchy. Śmieszne byłoby, gdyby Oleron — całkiem nieszkodliwy autor, nie mający w głowie gorszych zamysłów niż przerobienie zaczętej już powieści — miałby dać początek jakimś przyszłym zwidom w nawiedzanym domu!...

Jednakże w miarę jak Oleron czuł narastające przywiązanie do substancji swej siedziby, Elżbieta Bengough, początkowo tylko obojętna wobec tego domu, wykazywać zaczęła coraz wyraźniejszą antypatię do niego. I nie robiła sobie skrpułów z ujawnieniem swej niechęci.

— To mieszkanie jest jakieś niedzisiejsze, a już specjalnie niewskazane dla ciebie — powiedziała zdecydowanie. — Ty masz szczególne skłonności do odrywania się od rzeczy konkretnych i pograżania w apatii; ty powinien byś mieszkać gdzieś, gdzie są betonowe podłogi, gazomierz i winda towarowa. A najlepiej zrobiłoby ci, gdybyś miał zajęcie zmuszające do borykania się i obcowania z bliźnimi. No więc — zastanów się — gdybym zdołała znaleźć ci pracę — powiedzmy na dwa czy trzy dni w tygodniu, ale taką, która by ci pozostawiała mnóstwo czasu na twoje właściwe zajęcie — to czybyś ją przyjął?

Oleron poczuł się nieco urażony taką diagnozą co do swej osoby. Podziękował pannie Bengough, ale bez uśmiechu.

— Dziękuję ci, ale chyba nie. Ostatecznie — nie mógł powstrzymać się od uwagi — każdy z nas ma swoje własne życie.

— Własne życie!... Kiedyś ty był ostatni raz poza domem, Pawle?

— Ze dwie godziny temu.

— Nie chodzi mi o kupowanie znaczków czy wrzucenie listu. Od jak dawna nie miałeś jakiegoś odprężenia?

— O, chyba od niedawna. Nie wiem.

— Od czasu, gdy ja tu byłam ostatni raz.

— Mało co wychodziłem.

— A czy *Romilly* o wiele się posunęła przez to, że jesteś zabarykadowany?

— Myślę, że tak. Właśnie kładę jej fundamenty. Teraz rozpocznę prawdziwe pisanie.

Wydawało się, że panna Bengough zapomniała o ich niesnaskach z powodu pierwszej *Romilly*. Ściągnęła brwi, odwróciła się nieco, a potem szybko powróciła do pierwotnej pozycji.

— Ach!... Więc ciągle jeszcze tkwi ci w głowie ta śmieszna myśl?

— Jeżeli chodzi ci o to — rzekł powoli Oleron — że odrzuciłem dawną *Romilly* i pracuję nad nową, to masz rację. Myśl tę mam ciągle jeszcze w głowie.

Uderzył ją pewien brak serdeczności w jego głosie; była jednak mocnym zapaśnikiem. Jego absurdałna wrażliwość wpłynęła na nią hartująco. Jej zniecierpliwienie wyraziło się w pogardliwym phi!

— Gdzie jest ta dawna? — zapytała zniecka.

— A o co ci chodzi? — spytał Oleron.

— Chcę ją zobaczyć i coś ci w niej pokazać. Chcę cię z powrotem doprowadzić do rozsądku, jeżeli jeszcze kompletnie nie skapcałaś.

Tym razem on się odwrócił plecami. Po chwili jednak, gdy się odwrócił do niej, mówił już łagodniej.

— Daj spokój, Elżbieto. Odpowiedzialny jestem za to, jaką drogą idę, i musisz mi pozwolić nią iść — nawet gdyby ci się wydawała niewłaściwa. Przemyślałem to dobrze, wierz mi. Rękopis? O mało go nie spaliłem. Jeżeli musisz go koniecznie zobaczyć, to jest tam — w

tej skrzynce pod parapetem.

Panna Bengough podeszła szybko do okna i podniosła pokrywę. Nagle wydała lekki okrzyk i przyłożyła wierzch dłoni do ust. Potem powiedziała przez ramię.

— Powinieneś wbić te gwoździe, Pawle.

Podbiegł do niej.

— Co? Co się stało? — zapytał. — Przecież na pewno je wbiłem, czy też raczej wyciągnąłem.

— Ale zostawiłeś dosyć, żeby się podrapać — odparła. Między górną częścią przegubu a knykiem małego palca pokazała się czerwona krwawiąca rysa.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Oleron. — ...Chodź do łazienki i szybko obmyj!

Zaciągnął ją do łazienki, puścił ciepłą wodę, opłukał i oczyścił paskudną krechę. Potem, ciągle przytrzymując rękę Elżbiety, puścił strumień zimnej wody, rzucając urywane zdania, pełne zdziwienia i niepokoju.

— Mój Boże, jakże to się stało! O ile pamiętam, to przecież ja... Czy woda nie za zimna? Może cię boli? Nie mogę zrozumieć, jak, na miłość boską... O tak, teraz wystarczy...

— Nie, jeszcze chwilę wytrzymam — zamruczała Elżbieta z przymkniętymi oczami...

Następnie zaprowadził ją z powrotem do salonu i obwiązał jej rękę jedną z własnych chustek; z twarzy jego nie zniknął jednak wyraz zaniepokojenia. Spędził przecież pół dnia na otwieraniu i przystosowywaniu do użytku trzech skrzynek pod oknami i nie mógł pojąć, jak to się stało, że zostawił półtora cala zardzewiałego gwoźdźca wystającego z drewna. Przecież sam otwierał każde wieko dziesiątki razy i nie zauważył żadnego gwoźdźca; a jednak gwoździec był...

— Teraz na wszelki wypadek trzeba go wyciągnąć — mamrotał idąc po obcęgi. Tym razem już nie było wątpliwości.

Elżunia Bengough z poblądłą twarzą zapadła w fotel, w ręce trzymała jednak manuskrypt. Jeszcze nie skończyła z *Romilly*. Postanowiła wznowić teraz atak.

— Och, Pawle, to byłby twój największy w życiu błąd, gdybyś tego nie opublikował! — powiedziała.

Zwiesił głowę. Był doprawdy zgnębiony. Incydent z gwoździem uporczywie tkwił mu w pamięci, *Romilly* była teraz w jego myślach na drugim miejscu. Elżbieta ciągle nalegała; gdy się teraz odezwał, brzmiało to jak prośba o wybaczenie.

— Cóż ja mogę powiedzieć, Elżuniu? Pozostaje mi tylko nadzieja, że gdy ujrzysz nową wersję, to się przekonasz, jak dalece mam rację. A jeżeli mimo wszystko nie polubisz jej, to trudno... — zrobił gest wyrażający beznadziejność. — Czyż nie zdajesz sobie sprawy, że ja muszę kierować się własnymi wytycznymi?

Milczała.

— No, Elżuniu — powiedział łagodnie — dotychczas takeśmy się ze sobą zgadzali; niech nie będzie między nami rozdzwiewu z tego powodu.

Zaledwie z jego ust padły ostatnie słowa — już ich pożałował. Elżbieta siedziała z zamkniętymi oczami, gładząc swą skaleczoną rękę. Wargi i powieki zaczęły jej drgać. Głos jej się załamywał, gdy przemówiła:

— Nie mogę się powstrzymać, Pawle, żeby ci nie powiedzieć, jak bardzo się zmieniłeś.

— Cicho, Elżuniu — szepnęła łagodząco. — Doznałaś wstrząsu; odpocznij chwilę. Jakże mogłem się zmienić?

— Nie wiem, aleś się zmienił. Przestałeś być sobą od chwili, gdy się tu sprowadziłeś. Wołałabym, żebyś nigdy nie widział tego mieszkania. Ono wstrzymało twoją pracę, ono sprawia, żeś się zmienił do niepoznania, przez nie tak okropnie się o ciebie niepokoję... Och, jak mnie ręka zaczyna rwać!

— Biedactwo... — mruknął. — Pozwolisz, że cię zaprowadzę do doktora, by ci ją opatrzył jak należy...

— Nie... Zaraz będzie lepiej... Potrzymam ją do góry...

Położyła łokieć na oparciu fotela, a obandażowana dłoń spoczęła lekko na ramieniu Olerona.

Pod wpływem tego dotknięcia targnął nim nagle jakiś nowy niepokój. Poprzednio setki razy podczas spacerów i wycieczek wsuwała mu rękę pod ramię, jak gdyby to było ramię brata, on zaś również jak brat przyjmował ten serdeczny gest. Teraz jednak po raz pierwszy setki niepokojących pytań przebiegły mu przez głowę. Miała oczy ciągle jeszcze przymknięte, a głowę patetycznie odrzuconą w tył; na rozchylonych wargach błędził nie dający się określić słowami uśmiech. Olśniła go prawda. Wielki Boże!... Że też nigdy tego nie zauważył!

Ale najdziwniejsze było to, że gdy wreszcie pojął, że zatraciła się w miłości do niego, spłynęły nań nie smutek, pokora i przygnębienie, lecz coś innego, przeciwko czemu walczył na próżno — coś na wskroś dziwnego i nowego. Gdyby poddał te uczucia analizie, stwierdziłby, że to zgryźliwość, rozdrażnienie i szorstkość. Zanim zdał sobie z tego sprawę, targnął nim impuls egoizmu. Za żadne skarby nie chciał ująć go w słowa. Ale co ona w ogóle tu robiła? Czemu nie zajmowała się własną pracą? Dlaczego mieszała się do jego roboty? Kto jej udzielił w stosunku do niego prawa opiekuństwa, które ostatnio tak uporczywie podkreślała?... „Zmienił się?” — to ona się zmieniła, a nie on...

Lecz zanim otworzyła oczy, przemógł swą urazę na tyle, by móc mówić łagodnie, choć z rezerwą.

— Chciałbym, żebyś mi pozwoliła zaprowadzić się do doktora.

— Nie, dziękuję ci, Pawle — powiedziała. — Już pójdę. Jeśli będę potrzebowała opatrunku, to każę sobie zrobić; weź drugą rękę, proszę. Do widzenia...

Nie próbował jej zatrzymać. Zszedł z nią na dół. W połowie wąskiej alejki odwróciła się.

— Daleka do ciebie droga, a można cię przypadkiem nie zastać — rzekła. — Następnym razem przysył kartkę.

Koło furtki znowu się odwróciła.

— Wyprowadź się stąd, Pawle — powiedziała z posepnym spojrzeniem. — To pod każdym względem niedobry dom.

I odeszła.

Oleron wrócił do swego pokoju. Podeszedł prosto do skrzynki pod oknem. Otworzył pokrywę i długo stał przyglądając się. Potem zamknął ją i odwrócił się.

— To wprost przerażające — wymamrotał. — Zupełnie niemożliwe, żebym nie wyjął tego gwoźdźca...

VI

Oleron doskonale wiedział, co miała na myśli Elżbieta, mówiąc, że jej następna wizyta poprzedzona zostanie kartką pocztową.

Widocznie zdała sobie sprawę, że on wreszcie wie — wie i nie chce jej. Dlatego zrobiło mu się przykro, gdy przed upływem tygodnia nie zapowiedziana zastukała do drzwi. Odezwała się z platformy schodów; powiedziała, że nie ma zamiaru zostać. musiał nalegać, zanim zgodziła się wstąpić.

Pretekstem do przyścia było to, że słyszała, iż ktoś poszukuje nowel, może by on, Oleron, się tym zainteresował. Podziękował jej. Gdy załatwiła sprawę, zdawała się znowu spieszyć do wyjścia. Oleron nie starał się jej zatrzymać — nawet on przejrzał pretekst z nowelami; odprowadził ją na dół.

Jednakże Elżbieta Bengough nie miała szczęścia do tego domu. Zdarzył się jej drugi wypadek. Gdy była w połowie schodów, rozległ się ostry trzask pękającego drewna; stłumiła

głośny krzyk. Oleron wiedział, że drewniana konstrukcja była stara, lecz on sam wchodził i schodził tyle razy bez wypadku...

Noga Elżbiety zapadła się w jeden ze stopni.

Podskoczył ku niej, przerażony.

— Coś podobnego! Biedactwo!

Zaśmiała się histerycznie.

— To moja waga... Wiem, że zaczynam tyć...

— Spokojnie, pozwól mi usunąć te drzazgi — wymamrotał przez zęby.

Śmiała się nadal i płakała, że to z powodu jej wagi, że tyje...

Odgiął do dołu popękane deski. Wyciągnięcie stopy nie było łatwą rzeczą, a poszarpany bucik wskazywał, jak fatalnie musiały być wewnątrz obtarte stopa i kostka.

— Wielki Boże, wielki Boże! — mrucał raz po raz.

— Niedługo będę już do wszystkiego za ciężka... — szlochała i śmiała się na przemian.

Odmówiła jednak ponownego wejścia na górę i zbadania skaleczenia.

— Nie, puść mnie, pozwól mi iść zaraz — powtarzała.

— Przecież okropnie się skaleczyłaś!

— Nie, wcale nie tak bardzo... Pozwól mi iść. Nie jestem tu dobrze widziana.

Oleron zwiesił głowę, jak gdyby dostał od Elżbiety w twarz.

— Elżuniu! — wykrztusił złamany i wstrząśnięty.

Uczyniła szybki gest, jak gdyby gwałtownie odsuwała coś na bok.

— Och, Pawle, nie to... nie przez ciebie! Oczywiście: i to też mi czasem przychodzi do głowy... O, ty wiesz, o co mi chodzi... Ale jeżeli nie może być inaczej, to oszczędź mi tego teraz! Ja... ja bym nie przyszła, ale... ale, och — przecież starałam się, naprawdę starałam się trzymać z daleka!

Było to nie do zniesienia, serce mu się ścisnęło; ale cóż mógł uczynić... co mógł powiedzieć? Nie kochał jej...

— Puść mnie... Nie jestem tu mile widziana, pozwól mi wynieść to, co ze mnie zostało...

— Elżuniu kochana, jesteś mi bardzo droga...

Znowu uczyniła gest, jak gdyby coś gwałtownie odsuwała.

— Nie, nie, tylko nie to... Nic mniej niż... Nie ofiarowuj mi nic mniej. Pozostaw mi odrobinę dumy...

— Pozwól, niech się ubiorę i odprowadzę cię do lekarza — powiedział cicho.

Odmówiła. Odmówiła nawet oparcia się na jego ramieniu. Znowu zaśmiała się niepewnie.

— Przepraszam, że ci połamałam schody, Pawle... Pójdiesz i dowiesz się w sprawie tych opowiadań, prawda?

— Więc jeśli nie chcesz iść do doktora — jęknął — to może przejdiesz przez skwer i pozwolisz, żeby cię pani Barrett opatrzyła? O, widzisz, właśnie idzie Barrett...

Długonosy patrzył ciekawie wzdłuż alejki, ale odszedł bez słowa, właśnie gdy Oleron miał go zawołać. Elżbieta, jak się zdawało, niczego tak nie pragnęła jak wynieść się stąd i w końcu obiecała, że pójdzie do lekarza, ale uparła się, że zrobi to sama.

— Do widzenia — powiedziała.

Oleron patrzył za nią, aż minęła drewniane siekierki z napisem DO WYNAJĘCIA, jak gdyby obawiał się, że mogą spaść i też ją ranić.

Tego wieczora Oleron nie jadł kolacji. Zbyt wiele rzeczy zaprzętało mu umysł. Spacerował po mieszkaniu z pokoju do pokoju, jak gdyby się łudził, że ucieknie od prześladowającego go płaczu Elżbiety, który ciągle jeszcze rozbrzmiewał mu w uszach. „Nie jestem tutaj mile widziana, nie ofiarowuj mi nic mniej... pozwól mi wynieść to, co ze mnie zostało...”

Ach, gdyby tak umiał wmówić sobie, że ją kocha!

Chodził tak aż do zmierzchu, potem, nie zapalając świec, rozdmuchał ogień i rzucił się na fotel.

Biedna, biedna Elżunia!...

Ale choć serce mu się krajało z jej powodu, zdawał sobie sprawę, że to było niemożliwe. Żeby tylko był wiedział; gdyby zwyczajnie obserwował! Ale te spacerki, to siostrzane ujmowanie pod ramię — jakimże był głupcem!... Teraz było już za późno. Teraz nie on, ale ona powinna coś zrobić — powinna trzymać się z dala. Dopomoże jej we wszystkim, jak tylko zdoła. Nawet nie usiądzie w jej obecności. Jeżeli przyjdzie — to pozbędzie się jej jak najszybciej... Biedna, biedna Elżunia!

W pokoju ściemniło się; ogień na kominku wygasł; Oleron siedział nadal, a chwilami — gdy na nowo w jego uszach rozbrzmiewały słowa pełne męki — szarpał go ból.

Potem nagle, sam nie wiedząc czemu, stwierdził, że niepokoi się o jej osobiste bezpieczeństwo. Wyobraził sobie rzecz okropną, że może właśnie w tej chwili Elżbieta spogląda poprzez barierę w głąb ciemnej wody, że właśnie spoziera na hak tkwiący w drzwiach. Wiadomo, że kobiety robią takie rzeczy... A potem byłoby śledztwo, jego wezwano by dla zidentyfikowania jej zwłok i pytano, skąd się u niej wzięła tylko co zagojona rana na ręce i paskudne obtarcie kostki. Barrett powiedziałaby, że widział, jak opuszczała dom Olerona...

Potem uświadomił sobie, że jego myśli były chorobliwe. Wysiłkiem woli otrząsnął się z nich i siedział, przez chwilę słuchając lekkich trzasków, postukiwań i szmerów za boazerią...

Gdyby tylko mógł się z nią ożenić!... Ale nie mógł. Twarz jej pojawiła się przed nim znowu taka, jaką ją widział na schodach, ściągnięta bólem, brzydka, napuchnięta od łez. Brzydka — tak, zdecydowanie nabrzmiała: jeśli łyż są orężem kobiet, jak to się mówi, to są bronią zwracającą się przeciwko nim samym... Znowu samobójstwo!...

Następnie przyłapał się nagle na tym, że starannie rozważa oba wypadki Elżbiety.

Oba te wydarzenia były niezwykle. Przecież na pewno n i e m ó g ł zostawić sterczącego w drzewie tego starego gwoźdźdź; przecież specjalnie przyniósł narzędzia z kuchni. Przekonany był również, że ów stopień, który załamał się pod ciężarem Elżuni, był równie mocny jak inne. Było to niewytłumaczalne. Jeśli wydarzyło się coś takiego — wszystko mogło się wydarzyć. W całym mieszkaniu nie było w takim razie belki ani framugi, która by nie mogła zawalić się nagle bez ostrzeżenia, nie było deski, która nie groziłaby załamaniem się, ani gwoźdźdź, co nie mógłby stać się sztyletem. Całe mieszkanie pulsowało życiem, nawet i w tej chwili; gdy siedział tak w ciemności, słyszał mnóstwo jego odgłosów, jak gdyby dom był jednym wielkim mikrofonem...

Częściowo tylko zdając sobie sprawę z tego, co robi, siedział przez pewien czas, identyfikując te odgłosy, przypisując każdemu trzaśnięciu, skrzypnięciu czy stukowi właściwą mu materialną przyczynę. Ale był jeden szmer, którego Oleron — podświadomie zresztą — nie usiłował niczemu przypisać. Po raz ostatni szmer ten dał się słyszeć przed paru minutami; teraz znów się powtórzył: coś w rodzaju miękkiego szelestu — jak przy zamiataniu — z którym zdawał się łączyć prawie niesłyszalny, delikatny trzask. Chyba z pół minuty przykuwał on uwagę Olerona; potem ciężkie myśli ponownie skupiły się na osobie Elżbiety Bengough.

W tym momencie, bardziej niż kiedykolwiek, bliski był pokochania jej. Pomyślał sobie, jak dla niektórych osoby ukochane są jeszcze droższe przez to, że posiadają owe nieszczęsne znamiona śmiertelności, przypominające, że jesteśmy jedynie podróżnymi na ziemi, że czeka nas wspólny los ostateczny, niezbyt odległy, który sprawia, że właściwie nie warto czynić nic innego jak tylko kochać przez czas pozostały. Duszące łkanie, piekące łyż, ciała znękane chorobą, serca i umysły twarde i znieczulone w zmaganiach ze światem... Jakże mało byłoby miłości, gdyby to wszystko miało być dla niej przeszkodą! W tym znaczeniu kochał Elżbietę. To co nigdy w nim nie zadrgało, gdy było jej dobrze — rozbudził nieomal jej smutek...

Nagle Oleron ocknął się z medytacji. Jego ucho raz jeszcze uchwyciło ten delikatny, powtarzający się odgłos: przeciągłego szelestu, połączonego z niedosłyszalnym prawie trze-

szczeniem. Powtarzał się on raz po raz z dziwnym uporem i natarczywością. Stał się nieco szybszy, gdy uwaga Olerona zaczęła być napięta... Zdawało się, że przybiera na sile...

Pelen napięcia, nasłuchując, Oleron nagłym rzutem wyprostował się w fotelu. Jedwabisty szelest doszedł go znowu. Oleron starał się go z czymś skojarzyć...

W sekundę potem skoczył na równe nogi, zdenerwowany i przerażony- Fotel jego zachybotał się, a potem przewrócił, aż zabrzęczała krata u kominka. Odgłos, który sprawił, że Oleron skoczył na równe nogi, był jedyny w swoim rodzaju.

Szmer ponowił się, a Oleron pomacał za sobą ręką w pustce i zaczął się cofać z wolna, aż poczuł za plecami ścianę.

— Boże w niebiesiech! — wyrwał się okrzyk z ust Olerona. Szelest ucichł.

W następnej chwili Oleron wykrzyknął wysokim głosem:

— Co to? Co tu jest? Kto tutaj jest?

Odgłos jakiegoś prześlizgnięcia się po podłodze sprawił, że na chwilę ugięły się pod nim kolana. Ale to... wiedział już, że to była mysz. Nie było to coś wywołującego mdłości i bunt umysłu. Ów drugi szmer, jedyny w swoim rodzaju, ucichł teraz całkowicie. Oleron znowu zawołał...

Wołał i wołał bez przerwy; a potem ogarnęło go nowe przerażenie, straszny lęk przed dźwiękiem własnego głosu. Nie śmiał już nawoływać dalej. Drżąca ręka wsunęła się do kieszeni po zapalki, ale ich nie znalazła. Pomyślał, że może zapalki leżą na gzymsie kominka...

Wymacał do niego drogę wzdłuż małej niszy, ani przez chwilę nie odrywając się od ściany. Potem ręka jego natrafiła na gzyms i zaczęła na nim szukać. Pudełko zapalek spadło i leżało obok paleniska. Widział je w świetle ognia, ale nie mógł podnieść; wreszcie udało mu się, gdy przycisnął je do okratowania.

Potem wstał i zapalił światło.

Pokój wyglądał jak zwykle. Oleron potarł drugą zapalkę. Świeca stała na stole. Zapalił ją, płomień zmalął nagle, a potem rozgorzał jasno. Oleron znów rozejrzał się dokoła.

Nic nie zobaczył.

Teraz nie było tu nic, ale przedtem coś było i mogło być jeszcze. W swoim czasie bała Olerona fantastyczna myśl, że — kto wie? — przez zlewanie się i splatanie jego osobowości z indywidualnością pięknego pokoju rodzą się oto strachy, które nawiedzać będą ten dom; nie przyszło mu wówczas do głowy, że może podobne stapienie i wzajemne przenikanie miało tu już miejsce w przeszłości. A jednak obecnie stał oko w oko z takim przedziwnym nieprawdopodobieństwem. W istocie rzeczy coś przetrwało w tym domu; miał on jeszcze innego poza nim lokatora; a lokator ów, czymkolwiek czy kimkolwiek był, wywołał w duszy Olerona przerażenie — szelestem, jaki powstaje, gdy czesze sobie włosy kobieta.

VII

Sam dobrze nie wiedząc, jak się tam znalazł, Oleron skonstatował, że przeskakuje poprzez luźną deskę położoną tymczasowo na stopniu złamanym przez pannę Bengough. Był z gołą głową, schodził ze schodów. Później dopiero powróciła mu mglista świadomość tego, że zostawił na stole palącą się świecę, że uchylił drzwi na tyle tylko, że mógł się zmieścić, i wysunął się na zewnątrz, cichutko je zamykając za sobą. U stóp schodów oczekiwał go nowy wstrząs. Z nie używanych piwnic wyleciało coś raptownie i zniknęło za drzwiami. Był to tylko kot, ale Oleron zapłakał jak dziecko.

Wyszedł przez furtkę, postąpił chwilę pod tabliczkami DO WYNAJĘCIA, bezsensownie pociągając się za wargę i spoglądając do góry na blask światła za jedną z czerwonych rolet w swym pokoju. Potem, obejrawszy się jeszcze przez ramię, poszedł, potykając się, przez skwer. Za rogiem był mały bar; Oleron nie był tam ani razu, teraz jednak wszedł i rzucił na

kontuar szylinga, ale chybił o parę cali.

— Pro-proszę o ko-niak — powiedział, a potem schylił się, by poszukać monety.

W małym, wysypanym trocinami barze był sam; wszyscy goście — furmani, robotnicy i sklepikarze z sąsiedztwa — zebrani byli w dalszym pomieszczeniu, poza tą częścią baru, gdzie wśród kraników i butelek kręciła się siwowłosa gospodyni. Oleron usiadł na twardym stołku z dziurawym siedzeniem, wypił do połowy swój koniak, a potem, pomyślawszy, że właściwie wszystko jedno, czy wypije, czy wyleje — opróżnił kieliszek.

Następnie zatonął w rozmyślaniach nad tym, kto z tych ludzi, których głosy słyszał było z sąsiedniego pokoju, podejmie się nazajutrz przewiezienia jego rzeczy.

Tymczasem zamówił jeszcze jeden koniak.

Nie miał zamiaru powracać do tego pokoju, gdzie zostawił palącą się świecę. O, nie! Nie mógłby nawet patrzeć na wejście i schody ze złamanym stopniem, a już na pewno nie zajrzy do owego bezbarwnego, wywierającego dziwny czar pokoju. Wróci na razie do dawnego stanu rzeczy — osobnej pracowni i osobnej sypialni; zaraz pójdzie do swojej dawnej gospodyni, od razu — gdy tylko skończy koniak, i dowie się, czy może ulokować go na noc. Kieliszek był już pusty...

Wstał, kazał go raz jeszcze napełnić i znowu usiadł.

A jeżeli ktoś zapyta o powód ponownej przeprowadzki? O, miał powody aż nadto wystarczające! Gwoździe wążące z powrotem w drzewo i kaleczące ludziom ręce, stopnie, które się załamywały pod stąpieniem, i kobiety przychodzące do męskiego mieszkania, by czesać sobie włosy w ciemności — to były dostateczne przyczyny! Wszystko to sprawiło, że wpadł w nastrój kłótlawy i był ciągle poirytowany. Wynajął mieszkanie dla siebie, a nie dla niewidzialnych kobiet, żeby sobie tam czesały włosy; trzeba o tym powiedzieć temu facetowi — jakże mu tam? — adwokatowi z Lincoln's Inn, i to jak najszybciej; niedopuszczalne jest wplątywanie ludzi w tego rodzaju historie!

Część baru, gdzie siedział Oleron, oddzielona była od miejsca, w którym kręciła się siwowłosa gospodyni, taflą matowego szkła, wystającą na siedem czy osiem cali ponad kontuar. Ścianki tej nie było nad dalszą jego częścią. Nagle Oleron, podniósłszy głowę, zobaczył twarze osób, które patrzyły na niego stamtąd. Twarze znikły, gdy na nie spojrzął.

Przeniósł się do kąta, gdzie nie był widoczny z drugiego pomieszczenia, znalazł się jednak teraz na wprost siwowłosej gospodyni.

Znała go z widzenia, bez wątpienia widywała go, gdy przechodził tam i z powrotem. Zrobiła teraz jakąś uwagę o pogodzie. Oleron nie wiedział, co odrzekł, ale widocznie wystarczyło to, by wywołać dalsze spostrzeżenie, że zima była niedobra ze względu na grypę, ale wreszcie nadchodzi już chyba wiosna... Oleron otrzeźwiał trochę pod wpływem tego banału; znikła nagle rodząca się refleksja, czy gospodyni co wieczór czesze włosy, a jeśli tak — to czy wywołuje to owe lekkie elektryczne trzaski. Poczłł się lepiej.

Przy następnym kieliszku koniaku nastawiony był już całkiem na powrót do swego mieszkania. Nie wracać? Ależ oczywiście, że wróci! Już on pokaże, i to zaraz, czy można dać się w taki sposób wyrzucić z mieszkania! Zaczłł się zastanawiać nad niezwykłą u siebie rzeczą: mianowicie że wyszedł z gołą głową, a teraz siedzi w knajpie i pije. A może by opowiedzieć o tym siwowłosej gospodyni — powiedzieć jej, że osoba, która go odwiedziła, skaleczyła sobie rękę o gwóźdz, a potem miała nieszczęście przebić nogą spróchniały stopień, on sam zaś — w starym domu, pełnym pisków, trzasków i westchnień — postłyszał leciutki szmer i umknął przed nim w strachu. Co by sobie pomyślała? Oczywiście, że zwariował... E, tam! W rzeczywistości chodzi o to, że nie pracował na tyle, żeby się jakoś zająć. Dni spędzał na marzeniach, nabijał sobie głowę bzdurami o nowej *Romilly* (jak gdyby dawna nie była dość dobra), a teraz dziwi się, że mu diabli wiedzą co załęgło się w puste głowie!

Tak, wróci do domu. Przedtem łyknie jeszcze świeżego powietrza — za mało ostatnio spacerował — a potem weźmie się w garśc, dojedzie do końca z tym bigosem w szesnastym

rozdziale *Romilly* (pomyśleć, że naprawdę był taki głupi i chciał zniszczyć poprzednie rozdziały!). Teraz już będzie pamiętał, że ma obowiązki wobec bliźnich i coś niecoś do zrobienia na świecie. Tak w krótkości przedstawia się cała sprawa.

Skończył koniak i wyszedł z baru.

Spacerował przez pewien czas, zanim przyszło mu do głowy, że sprawa dotyczy nie tylko jego samego. Świeże powietrze wzmogło zrazu otumaniający wpływ wypitego koniaku, lecz potem umysł rozjaśnił mu się bardziej niż kiedykolwiek od rana. Jednak w miarę jak Oleron trzeźwiał, traciły na sile chętelne zapewnienia pod własnym adresem, a wzrastało przekonanie, że z chwilą, gdy wszystko się wyjaśni — pozostanie jednak coś niewytłumaczalnego. Historia sprzed godziny minęła; stawał się coraz spokojniejszy, niemniej niepokojące przeświadczenie utrzymywało się. Ogarnął go dogłębny lęk. Był to lęk o Elżbietę.

Albowiem w jego mieszkaniu było coś, co zagrażało jej bezpieczeństwu. Same przez się jej dwa wypadki mogły nie stanowić jeszcze wystarczającego na to dowodu, lecz przecież ona sama powiedziała: „nie jestem tutaj mile widziana...” i oświadczyła, że z mieszkaniem jest coś nie w porządku. Spostrzegła to wcześniej niż on. Doskonale! Jedno było jasne: skoro tak, trzeba ją trzymać z dala z powodu całkiem innego niż ten, co wywołał takie zmieszanie i tak upokorzył Olerona. Na szczęście wyraziła intencję trzymania się z daleka; trzeba ją upewnić w tej decyzji. On sam powinien się o to zatroszczyć.

Musi się troszczyć o wszystko tym bardziej, że zdawał sobie teraz sprawę z absurdalności pierwszego odruchu, który mu zakazał nawet stąpać nogą w tym mieszkaniu. Nie, tak się nie robi. Gdy Elżbieta zostanie zabezpieczona, to on — jeśli ma mieć szacunek dla samego siebie — nie znieśnie, żeby wypędzał go cień, czy nawet jakaś groza, tylko dlatego, że jest grozą. Musi gdzieś mieszkać i będzie tam mieszkał. Musi tam wrócić.

Opanował lekki dreszcz strachu, który pojawił się wraz z decyzją, i gwałtownie zawrócił. Jeśli go znowu lęk opanuje, to może wypije jeszcze jeden kieliszek koniaku...

Lecz zanim doszedł do krótkiej uliczki wiodącej do skweru, za późno było już wstępować do baru. Mała knajpa była jeszcze oświetlona, ale zamknięta, zaś przy krawężniku stało paru rozmawiających ludzi. Oleron zauważył, że zamilkli nagle, kiedy ich mijał, i spostrzegł też, że długonosy Barrett, którego minął nieco dalej, nie odpowiedział na jego „dobry wieczór”. Skręcił w połamaną furtkę, przez moment tylko zawahał się w alejce, a potem wszedł po schodach.

W sheffieldzkim lichtarzu pozostało świecy tylko na cał, ale Oleron nie zapalał drugiej. Zmusił się do wzięcia tego ogarka i obejścia wszystkich pięciu pokoi przed pójściem spać. Dopiero gdy wracał z kuchni przez mały przedpokój, zauważył na podłodze list. Zabrał go do saloniku i przed otwarciem obejrzał kopertę.

Nie miała stempla pocztowego, wsunęła ją przez drzwi czyjaś ręka. Pismo było niezgrabne i biegło od początku do końca bez przecinków i kropek. Oleron przeczytał pierwszą linijkę, rzucił okiem na podpis i dopiero potem skończył czytanie.

List był od Barretta, informował Olerona, że on, Barrett, byłby zobowiązany, gdyby pan Oleron inaczej urządził się z przygotowaniem śniadań i sprzątaniami. Żądło tkwiło w ognie, to znaczy w postscriptum. To ostatnie było cytatem z Biblii. Zawierał on aluzję, która odnosić się mogła jedynie do Elżbiety Bengough...

Rzadko pojawiająca się zmarszczka głęboko przecięła czoło Olerona. Ach tak, więc o to chodzi! Bardzo dobrze; jutro zobaczymy... Zresztą była to chyba jeszcze jedna przyczyna, dla której trzeba było trzymać z dala Elżbietę...

Wybuchła w nim tłumiona wściekłość...

Co za parszywe myśli ma ta zgraja! Sam diabeł niczego by się nie dopatrzył w tym, co kiedykolwiek miało miejsce między Pawłem Oleronem a Elżbietą Bengough, a jednak ten wężący łajdak musi wtykać nos i gadać!...

Oleron zgniótł papier, potrzymał go nad płomieniem świecy, a potem roztań na popiół

obcasem.

List odniósł jednak pewien dodatni skutek; wzniecił w Oleronie wybuch gniewu, który skutecznie wypłoszył blade cienie. Niemniej dzień miał się zakończyć jeszcze jednym zastanawiającym odkryciem. Gdy Oleron rozbierał się, wzrok jego padł przypadkiem na łóżko. W kapie było zagłębienie, jak gdyby ktoś na niej leżał. Oleron nie przypominał sobie, by sam kładł się w ciągu dnia; zapytany wręcz, odpowiedziałby oczywiście — nie, ale ostatecznie pewności nie miał. Oburzenie z powodu Elżbiety, a pewno i resztki działania alkoholu, uniemożliwiały mu wszelkie dalsze rozważania; więc zgasił świecę, położył się i natychmiast zapadł w głęboki, pozbawiony marzeń sen, który — jako że rano pani Barrett się nie zjawiła — trwał, dopóki wskazówki zegara nie zrobiły prawie pełnego obrotu.

VIII

Człowiekowi, który zważa na wewnętrzny głos ostrzegający go, iż mrok i niebezpieczeństwo ogarniają jego duszę, strach jawi się jako coś absolutnego, co grozi zniszczeniem ludzkiej osobowości, przeciwko czemu uzbroić się trzeba momentalnie. Na szczęście człowiek nigdy nie potrzebuje daleko szukać zabezpieczenia. Z codziennych, drobnych, błahych spraw życiowych, ze zwyczajów i obyczajów, nakazów mody i konwenansów buduje sobie fortyfikację przeciwko mocom ciemności. Cieszy się, że do rzeczy absolutnych zalicza się i radość, a nie tylko strach. Nie pozwoliłby sobie na pewno na obalenie tych fortyfikacji, gdyż byłaby to zdrada, godząca nie w jednego człowieka, lecz w dobro dusz wszystkich.

Oleron popełniać zaczął ową zdradę w stosunku do własnej osoby. Zaczął ją popełniać, dopuszczając coś niewytłumaczalnego i okropnego do pogłębiającego się wciąż spoufalenia. Czynił to bezsensownie, nieświadomie, lekceważąc ostrzeżenia Elżbiety Bengough, które uważał za obraźliwe dla siebie. Dwa miesiące temu słowa „dom nawiedzany” w stosunku do jego „ślicznego, czarującego mieszkania” zmroziłyby mu szpik w kościach; teraz, gdy skala jego wrażliwości zmaląła, mógł już zadać pytanie: „przez co nawiedzany?” Nie zdawał sobie jednocześnie sprawy, że strach traci na sile, gdy już wiadomo, że jest rzeczą względną. Obalał drogowskazy. Zaczął pogrążyć się we mgłę i chaosie.

Niczego nie był tak świadomy jak żarłocznej ciekawości. Chciał wiedzieć. Postanowił dowiedzieć się. Nie zaspokoi go nic poza wiedzą; rozglądał się chytrze za środkami, dzięki którym wiedzę tę można by osiągnąć.

Mógł sobie tego oszczędzić. Sprawa była najłatwiejsza w świecie! Podobnie jak w przeszłości — kiedy w czasie pisania miewał chwile, że myśli jego zdawały się rodzić same z siebie i wcielać samorzutnie w słowa, które nie dały się zmienić — tak i teraz pytania, które sobie stawiał, zdawały się w tej samej chwili znajdować odpowiedź. Było coś rozweselającego w tym szybkim, łatwym procesie.

Takiej radości ze swej mocy nie zaznał od owych dni, gdy pisanie dawało mu rozkosz, darzyło go co dzień czymś nowym. Było to tak, jak gdyby po prostu dyktowano mu kurs, który sam miał obrać.

Pierwsze, co oczywiście musiał zrobić, to sformułowanie problemu. Ujął go w kategorii matematyczne. Założył, że mieszkanie było nie jego, że ten stary dom jakoś go urzekł, że mieszkanie stało się niejako wspólnym mianownikiem, wobec czego nieznany współlokator pozostawał w jakimś stosunku do niego, Olerona. Jakież więc stąd wnioski? — Oczywiście trzeba stwierdzić, kim jest ten drugi lokator.

Ale jak to zrobić? Zwyczajnie rzecz biorąc, nie wydawałoby się to wcale proste, lecz dla Olerona było teraz jasne jak słońce. Oczywiście, że klucz tkwił w jego na wpół napisanej powieści, lub raczej w obu *Romilly* — dawnej i nowej, zamierzonej.

Jeszcze bardzo niedawno, przyjmując podobną opinię, Oleron pomyślałby, że zwario-

wał, teraz bez wahania przyjął zawrotną hipotezę.

Zaczął poddawać analizie pierwszą i drugą *Romilly*.

Z chwilą gdy to rozpoczął, cała sprawa posuwać się zaczęła skokami. Szybko poddał przeglądowi dzieje *Romilly* z tych piętnastu rozdziałów. Pamiętał teraz wyraźnie, że już pierwszego ranka, gdy zasiadł do pracy w nowym mieszkaniu, stwierdził, że *Romilly* czegoś brak. Początkowo niejasne domniemania potwierdzone zostały innymi przykładami jego niechęci. Była przecież taka noc, kiedy z trudem powstrzymał się od wrzucenia całego rękopisu do ognia, a następnego dnia rano zaczął projektować nową *Romilly*. Był to właśnie ten poranek, gdy pani Barrett, usłyszawszy, jak Oleron nuci krótką frazę, którą poprzedniej nocy podsunęło mu kapanie wody, poinformowała go, iż śpiewa jakąś piosenkę, której nigdy w życiu przedtem nie słyszał, zwaną *Wabiącą Ślicznotką*...

Wabiąca Ślicznotka!...

Bez przerwy prawie snuł się tok myśli: po ostatecznym odrzuceniu pierwszej *Romilly* opętała go natychmiast druga, domagając się zrodzenia z jego umysłu. Teraz, gdy patrzył wstecz, wydało mu się nawet, że w procesie wypierania jednej *Romilly* przez drugą było coś z namietności, niemal ze nienawiści, a nieraz sama myśl, przelotnie poświęcona odrzuconemu tworowi, była obrazą dla uzurpatorki. (Zdumiewające, jak dalece wiarygodna stała się dla Olerona ta prawie niewyobrażalna idea).

Ale żeby ta nieomal mordercza złośliwość uczuć rozciągać się miała na biedny, śmiertelny prototyp jego beletrystycznego tworu!...

Pomimo że Oleron tak dalece otrząskany był już ze swą grozą, iż była dla niego prawie dotykalna i uległa, z jego ust wyrwał się okrzyk: „Wielki Boże!”

Ta inwazja prototypu pierwszej *Romilly* w sferę jego myśli stała się czynnikiem, który chwilowo zahamował dalsze rozmyślenia Olerona nad istotą jego problemu, sama myśl o Elżbiecie była zabójcza dla wszystkiego, co abstrakcyjne. W dodatku Oleron nie mógł jeszcze bez rumieńca i nagłego zmarszczenia brwi pomyśleć o otrzymanym od Barretta liście ani też o małym starciu, jakie potem nastąpiło. Albowiem mądrze, czy też nie, postanowił wyjaśnić od razu tę sprawę. Przeszedłszy skwer następnego poranka, przyłapał Barretta na progu jego własnego mieszkania. Wracając w kilka minut później, miał mocne przekonanie, że tylko całą sprawę pogorszył. Człowiek ten okazał się być wcieleniem niejasności. Nie można było sprokować go lub rozgniewać na tyle, aby powiedział coś bardziej konkretnego niż mrukiwie rzucony zlepek słów, gdzie zwroty takie jak: „pewne sprawy... moja żona... porządny dom.., na złodzieju czapka gore... postępowanie, na które wprost słów brak...” powtarzały się ustawicznie.

— Nie to, żebym robił jakieś zarzuty... — zakończył.

— Zarzuty! — wykrzyknął Oleron.

— Mam swoje poglądy na pewne rzeczy, a i pan też ma swoje...

— Poglądy .. moje! — krzyknął gniewnie Oleron, natychmiast zniżając głos, gdy w oknach wokół skweru pojawiły się głowy. — Uważaj no, człowieku, możesz sobie mieć robaczywą wyobraźnię i na to pewno nie poradzisz, ale język możesz trzymać za zębami i zrobisz to! Jeśli jeszcze raz piśniesz...

— Nie pozwolę nikomu mówić do siebie w ten sposób w moim własnym... — wykrzyknął Barrett.

— Owszem, pozwolisz, i to właśnie mnie...

— Niech pan nie zapomina, że nad wszystkim jest Bóg, a On powiedział...

— Podły plotkarz!...

I tak od słowa do słowa potoczyło się to, co się już źle zaczęło. Oleron wrócił z gniewem do domu i wyglądając przez okno, widział od czasu do czasu twarz Barretta, który podnosił rolety lub wyglądał zza firanki, jak gdyby starał się zdobyć Bóg wie jakie dowody, na wypadek, gdyby ich od niego zażądano.

Niefortunne to zajście sprawiło, że w domowych sprawach Olerona nastąpiły pewne niewielkie zmiany. Domyślił się, że język Barretta już działał; mieszkańcy skweru patrzyli na niego z ukosa, on zaś uznał, że dopóki nie uda mu się uzyskać innej pomocy, lepiej będzie robić sprawunki nieco dalej, a nie w małych sklepikach najbliższego sąsiedztwa. Zresztą gospodarowanie nie było dla niego rzeczą nową; podejmował tylko swe dawne starokawalerskie zwyczaje...

Poza tym zagłębiony był w pewnych — powiedzmy — tajemniczych dociekaniach, w których lepiej, żeby mu nie przeszkadzano.

Pewnego dnia w południe, zmęczony, niezbyt dobrze się czując, zadowolony, że nie zapowiadało się, iż będzie musiał ruszyć się z domu, wyglądał właśnie oknem, gdy ujrzał Elżbietę Bengough idącą przez skwer w kierunku jego domu. Pogoda była paskudna, dzień przejmujący zimnem i wietrzny; Elżbieta walczyła z wiatrem, który rozwiewał jej obfite spódnice wokół pulchnej postaci i wydymał woalkę, która wiła się i skręcała z tyłu.

Oleron działał szybko, instynktownie. Schwyciwszy kapelusz poskoczył do drzwi i biegiem zleciał ze schodów. Ogarnęło go coś w rodzaju paniki. Trzeba postarać się, żeby nawet nie stąpnęła nogą w jego mieszkaniu. Biegąc alejką złapał się na tym, że spogląda w górę ku krawędzi dachu, jak gdyby coś tam przyciągało jego oczy. Nie był pewien, czy przypadkiem nie spadnie dachówka...

Elżbietę spotkał u furtki i zalał ją niezwykłym u niego potokiem słów:

— Ach, to naprawdę fatalne, Elżuniu! Właśnie kiedy mnie pilnie wzywają! Niestety, nic na to nie poradzę; boję się, że mnie weźmiesz za niegościnnego...

Wyrzucił z siebie jednym tchem to, co mu przyszło do głowy. Zapytała, czy idzie do miasta.

— Tak, tak, do miasta — odpowiedział. — Muszę iść do... do Chambersa. Znasz Chambersa, prawda? Nie, przypominam sobie, że nie znasz; taki wysoki, raz go widziałas ze mną... Powinienem być pójść wczoraj, a on... — uznał, że to wspaniały pomysł — on wyjeżdża z Londynu po południu. Do Brighton. Dostałem od niego list dziś rano.

Ujął ją pod ramię i poszli wzdłuż skweru. Musiała mu zwrócić uwagę, że droga do miasta prowadziła w przeciwnym kierunku.

— Oczywiście! Jakież ja głupi! — powiedział śmiejąc się trochę za głośno. — Przyzwyczaiłem się chodzić z tobą w tamtą stronę... Oczywiście, do omnibusu inna droga. Pójdziesz ze mną? Strasznie mi przykro, że tak się stało.

Poszli ulicą w kierunku końcowego przystanku omnibusów.

Elżbieta tym razem nie wykazywała oznak przebycia jakichś wewnętrznych zmagania. Jeśli nawet zauważyła coś niezwykłego w jego zachowaniu, to nie komentowała tego, on zaś, widząc jej spokój, zaczął mówić mniej chaotycznie; chwilami zapadało milczenie. Zanim doszli do przystanku, nikt już — widząc mężczyznę bez palta, a u jego boku okazałą, młodą kobietę w sutej spódnicy — nie przypuściłby, że jedno z nich gotowe było paść na kolana z wdzięczności, że dane mu było ocalić drugie od strasznego, rzekłbyś — niewyobrażalnego niebezpieczeństwa.

Weszli na górną platformę omnibusu. Oleron utrzymywał, że mu wcale nie potrzeba palta i że w ogóle dzień jest nieznośnie gorący. Usiedli na przednim siedzeniu.

Obecnie, gdy spotkanie to wbrew jego chęciom doszło już do skutku, miał jeszcze do powiedzenia coś innego, wymagającego taktu z jego strony. Chodziło mu to po głosie od pewnego czasu i doprawdy było niezmiernie trudne do wyrażenia. Przeżuwał to przez parę chwil, a potem, przypomniawszy sobie sukces, jaki odniosła jego bajeczka o nagłej wizycie w mieście, przeciął węzeł swych trudności innym kłamstwem:

— Myślę o tym, żeby na pewien czas wyjechać, Elżuniu — oświadczył.

— Ach, tak? — Było to jedyne, co powiedziała.

— Gdziekolwiek, żeby tylko była zmiana. Potrzebuję zmiany. Chyba wyjadę jutro albo

pojutrze. Tak, sędzę, że jutro.

— Tak — odpowiedziała.

— Nie wiem jeszcze, jak długo mnie nie będzie — ciągnął. — Zawiadomię cię, jak wrócę.

— Tak, zawiadom mnie — odparła spokojnym tonem.

Ton jak na nią był podejrzenie zrównoważony. Oleron poczuł się trochę nieswojo.

— Nie pytasz mnie, dokąd jadę — rzekł z pewnym wysiłkiem, żeby ją nieco rozruszać.

Patrzyła prosto przed siebie, ponad woźnicę.

— Bo wiem — powiedziała.

Był zaskoczony.

— Jak to wiesz?

— Nigdzie nie jedziesz — odparła.

Nie wiedział, co odrzec. Minęła może minuta, zanim Elżbieta znowu zaczęła mówić, tym samym opanowanym głosem jak na początku.

— Nigdzie nie jedziesz. Nie miałeś wcale wyjść dziś rano. Wyszedłeś tylko dlatego, że ja się zjawiłam; nie zachowuj się tak, jak byśmy byli sobie obcy, Pawle.

Fala rumieńca zalała mu policzki. Zauważył, że Elżbiecie wiatr nadał różowość wczesnego rabarbaru. Ciągle nie wiedział jeszcze, co powiedzieć.

— Oczywiście, powinieneś wyjechać — ciągnęła. — Nie wiem, czy często przeglądasz się w lustrze, ale mocno rzucasz się w oczy. Parę osób odwróciło się dziś za tobą. Tak że oczywiście powinieneś wyjechać. Ale nie wyjedziesz, wiem dlaczego.

Zadrżał, zakaszłał, a potem zapanowała cisza.

— Więc skoro wiesz, nie ma po co przeciągać tej dyskusji — powiedział krótko.

— Dla mnie może i nie, ale warto ze względu na ciebie — odparła. — Czy mam ci powiedzieć, co wiem?

— Nie — rzekł nieco podniesionym głosem.

— Nie? — zapytała, a jej okrągłe oczy poważnie patrzyły na niego.

— Nie.

Znowu z jej powodu tracił cierpliwość, znów zdawał sobie sprawę z napięcia. Jej przywiązanie, wierność i miłość prześladowały go; upokarzała tylko siebie samą i jego. Byłoby źle, gdyby kiedykolwiek, słowem lub czynem, dał jej powód do takiego przywiązania, ale nie... Dla niej jednak wcale nie było to dobre. Kobiety takie jak ona, pracujące zarobkowo, ciągle kręcące się po różnych instytucjach, zawsze — czy zdawały sobie z tego sprawę, czy też nie — czyniły ze stosunków koleżeńskich parawan dla czegoś innego. Nie uznawały konwenansów, poruszały się swobodnie jak mężczyźni, mężczyźni traktowali je uczciwie, według własnej miarki — a potem okazywało się, że jednak to było coś innego, bo nagle przychodziła na nie miłość. Nic dziwnego, że stąd plotki po sklepikach, knajpach i na ulicy! Pod pewnym względem plotkarze mieli rację. Kobiety takie były niezależne, ale nie wystarczały same sobie; gdy wdzięk kobiecości po części zanikał, pozostawało jednak całe pragnienie i potrzeby właściwe kobietom; mogły one być nawet w pewnej mierze intelektualistkami, a jednak nie były mądre...

Oleron miał dość tego wszystkiego — nadszedł czas, by jej o tym powiedzieć.

— Przypuszczam — rzekł drżącym głosem, spoglądając w dół — przypuszczam, że prawdziwy kłopot polega na warunkach życia, jakie prowadzi muszą kobiety zarabiające na siebie.

Nie umiałby wyjaśnić, o co mu chodziło w tym kulawym ogólniku; ona zaś odpowiedziała tylko:

— Sędzę, że tak.

— Nic nie można na to poradzić — ciągnął — ale ty naprawdę poświęcasz wiele rzeczy.

Zgodziła się — wiele rzeczy — a po chwili dodała:

— Co na przykład?

— Może stopniowo uda ci się z tego wywikłać, ale dziś jesteś w fałszywej pozycji.

— To bardzo możliwe — rzekła — niewiele dotychczas myślałam o tym pod takim kątem widzenia...

— I będziesz — brnął dalej desperacko — na pewno cierpiała wskutek tego. Twoje naj-niewinniejsze poczynania są źle rozumiane, przypisywane ci są motywy, o jakich ci się nigdy nie śniło, a w końcu dojdzie do tego, że... — zawahał się przez chwilę, a potem dał nura — że będą na ciebie krzywo patrzeć.

Od razu zrozumiała, o co mu chodzi. Lekko tylko zadrżała wymawiając nazwisko:

— Barrett?

Jego milczenie dopowiedziało resztę.

Cokolwiek miało być teraz powiedziane, musiało pochodzić od niej. Nastąpiło to, gdy omnibus zatrzymał się na przystanku i weszli nowi pasażerowie.

— Wsiądź tu lepiej i wróć do siebie, Pawle — rzekła. — Rozumiem doskonale, doskonale. To nie Barrett. Z Barrettem dałbyś sobie radę. Tylko że wygodniej ci mówić, że to Barrett. Wiem, o co chodzi... Ale powiedziałaś, by ci o tym nie mówić. Bardzo dobrze. Lecz zanim odejdziesz, pozwól, że ci powiem, czemu przysłałam dzisiaj rano.

Głuchym tonem zapytał ją dlaczego. Odpowiadając, znowu popatrzyła prosto przed siebie:

— Przysłałam ci pomoc. Sprawy nie mogą toczyć się tak jak dotychczas, wiesz o tym, ale teraz już się wszystko skończyło.

— Wszystko się skończyło — powtórzył bezsensownie.

— Wszystko. Chcę, żebyś — jeśli o mnie chodzi — uważał się za całkowicie wolnego. Mam tylko jedno zastrzeżenie.

Z trudem zdobył się na pytanie, o co chodzi.

— Gdybym tylko ja potrzebowała ciebie, nie zawracaj sobie tym głowy — z tego powodu nie przyjdę na pewno, ale jeśli — tu zniżyła głos — jeśli ty potrzebował mnie, Pawle, a będziesz potrzebował na pewno — przyjdę bez względu na to, jakim kosztem. Rozumiesz?

Zdołał tylko jęknąć.

— No więc doszliśmy do porozumienia — zakończyła. — Myślę, że to wszystko. Teraz wracaj. Radziłabym ci pójść z powrotem pieszo, bo drzysz cały... Do widzenia...

Podążyła mu zimną dłoń. Zszedł. Odwrócił się na krawędzi chodnika, gdy omnibus ruszał. Po raz pierwszy w ciągu tych wielu lat rozstała się z nim bez uśmiechu i bez skinienia długa ręką.

IX

Stał na krawężniku, pogrążony w żalości, patrząc za nią, dopóki była widoczna; lecz prawie natychmiast, gdy zniknęła, poczuł, że robi mu się lżej na duszy. Zwróciła mu wolność; co prawda w pewnym sensie nigdy się z tą wolnością nie rozstawał, ale teraz nie był czas na rozcinanie włosa na cztery części; miał swobodę działania i wolną drogę. Szybko ogarnęło go poczucie lekkości; wyraźnie mu się poprawił humor — był wolny. Nim znalazł się w połowie drogi do domu, już zdecydował, co dalej zrobić.

Proboszcz parafii, w której obrębie znajdowała się jego siedziba, mieszkał o dziesięć minut drogi od skweru. Oleron zwrócił swe kroki w kierunku jego domu. Trzeba było uzyskać wszelkie dostępne informacje o starym domu z insygniami ubezpieczeniowymi i opadającymi tablicami DO WYNAJĘCIA, proboszcz zaś był osobą, która mogła najpewniej ich

dostarczyć. — Z chwilą dokonania tego ostatniego z kroków wstępnych — zaśmiał się Oleron — różne rzeczy mogą się zdarzyć, ho-ho!

Lecz otrzymał mniej informacji, niż się spodziewał. Dom, powiedział proboszcz, był stary — tylko że nie trzeba było proboszcza, by się o tym dowiedzieć; panowała opinia (Oleron nadstawił ucha), że w domu tym straszy, ale mało jest starych domów, o których nie chodziłyby wśród maluczkich takie pogłoski; a pożalowania godny brak wiary we współczesnym świecie — zdaniem proboszcza — nie przyczynia się do rozproszenia tych przesądów. Zresztą sposób zachowania się proboszcza był łagodzącą manierą osoby, która woli nie wygłaszać twierdzeń, nie wiedząc, jak zostaną przyjęte przez słuchacza. Oleron uśmiechnął się, pojmując, o co chodzi.

— Sprawę moich nerwów może ksiądz zupełnie wykluczyć — powiedział. — Od jak dawna ten dom jest pusty?

— Ze dwanaście lat, zdaje się — odparł proboszcz.

— A ostatni lokator? Czy ksiądz znał go... lub ją? — Oleron uświadomił sobie swoje napięcie nerwowe, gdy podsuwał proboszczowi tę alternatywę co do płci lokatora.

— To był mężczyzna — rzekł proboszcz. — Znałem go. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się Madley, był artystą. To wyjątkowy odludek, rzadko kiedy opuszczał mieszkanie, a... — tu wpadł w ton nagłej szczerości — a skoro pan, jak się zdaje, przyszedł po takie informacje i ponieważ lepiej powiedzieć prawdę, niż żeby krążyły fałszywe wersje, to nie zawaham się powiedzieć, że ów Madley zmarł w dość niezwykłych okolicznościach. Podczas sekcji stwierdzono, że w żołądku jego nie było ani krzty pożywienia, chociaż ustalono, że nie brak mu było pieniędzy. Fizycznie był całkowicie wycieńczony. Mówiono o samobójstwie, ale zgodzi się pan ze mną, że umyślne zamorzenie się głodem jest co najmniej niezwykłą formą samobójstwa. Wydano orzeczenie, że przyczyna śmierci jest nieznana.

— Ach!... — rzekł Oleron. — Czy nie istnieje przypadkiem jakaś obszerniejsza historia tej parafii?

— Nie, tylko częściowe kroniki. Ja sam też nieomieszkałem się przyczynić do zrobienia paru zapisków na temat jej ściśle kościelnych dziejów, jej ksiąg i tak dalej. Z przyjemnością panu pokażę, gdyby pragnął je pan obejrzeć, ale to jest duża parafia, mam tylko jednego wikarego, a zechce pan zrozumieć, że mój wolny czas...

Rozmiary parafii i brak wolnego czasu u proboszcza były już tematem dalszej rozmowy, więc Oleron podziękował, pożegnał się i z wolna poszedł do domu.

Była pewna przyczyna, dla której szedł do domu powoli, dwukrotnie zawracając o rzut kamieniem od furtki i spacerując jeszcze ze dwadzieścia minut. Czekąco go teraz bardzo drażliwe zadanie, wymagało ono olbrzymiego skoncentrowania myśli: chodziło mianowicie o doprowadzenie — jeśli się to uda — własnego umysłu do takiego stanu skupienia i chłonności, by Oleron mógł zobaczyć mieszkanie takim, jakie je widział owego poranka, kiedy to po zakończeniu przenosin zasiadł, aby rozpocząć szesnasty rozdział pierwszej *Romilly*.

Albowiem — gdyby udało mu się schwytać to pierwsze wrażenie — spodziewał się teraz po nim o wiele więcej. Dawniej jego umysł był stale ociężały. Zanim wpływ mieszkania zdołał go w ogóle osiągnąć, miał do pokonania bezwład tych okropnych rozdziałów. Widocznych rezultatów nie było. Przebiegał wówczas proces powolnego nasycania się, ociężałego napełniania aż po brzegi. Lecz teraz Oleron był lekki, niczym nie obciążony; pozbył się wreszcie zarówno *Romilly* jak i jej prototypu. A więc: ku nowej, nieznanej, nieśmiałej, zazdrosnej — ku pełnej czaru „Wabiącej Ślicznotce”!...

Wpół do drugiej po południu wsunął klucz w zamek Yale, wszedł i zamknął za sobą drzwi...

Jego fantastyczna próba odniosła natychmiastowy, zadziwiający sukces. Wchodząc do pokoju byłby krzyczał z triumfem: było to tak, jak gdyby uciekł do tego pokoju. Na nowo, jak w czasach, gdy codzienne pisanie było dla niego zawsze czymś świeżym, cudem i obietnicą,

świadomy był, że znów jest swobodny, że jest mistrzem, że jest pełen radości i nic go nie pęta. Atmosfera mieszkania zdawała się zawierać więcej tlenu, jak gdyby ciężar właściwy jego, Olerona, zmienił się... Samo stapanie zdawało się lżejsze. Kwiaty w wazonach, piękne proporcje pastelowo zabarwionych boazerii i sztukaterii, wyfroterowana podłoga i wyniosły, pokryty subtelnymi gwiazdami sufit uśmiechały się jak gdyby leciutko, na powitanie. Oleron też się pożeśniał i powiedział głośno tonem pochlebstwa:

— Śliczne jesteście, śliczne!

Potem położył się na kanapie.

Spędził to popołudnie jak rekonwalescent spodziewający się wizyty kogoś miłego — w stanie rozkosznego rozproszenia, uśmiechając się od czasu do czasu jak gdyby we śnie i stale podnosząc rozespiane i zadowolone oczy na swoje pełne wdzięku otoczenie. Leżał tak, aż nadszedł zmrok, a wraz ze zmrokiem — nocne odgłosy starego domu...

Ale jeżeli czekał na jakieś szczególne wydarzenie, to na próżno.

Podobny zawód spotkał go nazajutrz, mimo że cały czas, choć z pewnym trudem, utrzymywał się w stanie wrażliwości umysłowej przypominającej uczuloną kliszę. Nie zdarzyło się nic, co mogłoby zostawić na niej ślad. Czymkolwiek było to, do czego cierpliwie się zalecał — zdawało się być równie płochliwe jak wymagające.

Wreszcie, trzeciego dnia, wydało mu się, że zrozumiał. W jego oczach pojawił się wyraz lekkiego szyderstwa i sprytu. Zachichotał.

— Oho-ho... Jeżeli tu tkwi sedno sprawy, to trzeba zobaczyć, co się da zrobić. Cóż wobec tego?... Nie, po Elżunię nie poślę; nie potrzeba wozu, żeby przejechać motylka; aż tak daleko, mój motylku, się nie posunę...

Stał w zadumie, pocierając palcem chudą szczękę i spoglądając z ukosa; nagle poszedł do przedpokoju, zdjął kapelusz i wyszedł.

— Kokietka z mojej pani, co? Dobrze, dobrze, zobaczymy, jak podziała trochę obojętności... — zaśmiał się, schodząc ze schodów.

Poszedł na stację, wsiadł do pociągu. Resztę dnia spędził na wsi. Tak, Oleron myślał, że właśnie on jest tym mężczyzną, który da sobie radę ze Ślicznotkami, co wabia i zapraszają, a potem kryją się płochliwie i cofają!

Wrócił dopiero po jedenastej wieczorem.

— No a teraz, moja Wabiąca Ślicznotko!... — mruknął idąc alejką i szukając po kieszeniach klucza...

Gdy znalazł się w mieszkaniu, był całkowicie zrównoważony, najzupełniej zdecydowany i wyjątkowo troskliwy o to, żeby się nie zdradzić! Jak gdyby chcąc zaznaczyć, że zamierza położyć się natychmiast, zapalił tylko jedną świecę, a gdy wyruszył na swój conocny obchód — udawał, że ziewa. Przede wszystkim wszedł do kuchni. Księżyc był w pełni, a snop jego światła, barwy niemal pawiej w kontraście z płomieniem świecy, padał kręgiem na podłogę. Okno nie było zasłonięte i, poruszając się, Oleron widział w nim odbicie świecy, a także słaby zarys własnej twarzy. Drzwi komórki do pudrowania peruk były lekko uchylone, więc je przymknął; następnie — chcąc zdjąć buty — usiadł na krześle z poduszką, zrobioną ze zwiniętego worka do harfy. Z kuchni przeszedł do łazienki. Tam znów ukośny promień seledynu księżycowego światła przecinał parapet okienny i kładł się na rurach na ścianie. Oleron odwiedził swój rzadko używany gabinet i postąpił tam przez chwilę, spoglądając na osrebrzone dachy po drugiej stronie skweru. Potem, idąc prosto przez salon — bezgłośnie, w samych skarpetkach — wszedł do sypialni i postawił świecę na komodzie. Twarz jego przez cały czas nie wyrażała nic poza zmęczeniem. Nigdy nie był bardziej podstępny ani bardziej czujny.

Mały kominek w sypialni znajdował się w ścianie naprzeciw komody, na której stało lustro. Łóżko stało naprzeciwko okna. Oleron opuścił roletę, zdjął surdut, potem schylił się, aby wydostać pantofle spod łóżka.

Nie umiałby uzasadnić swego przekonania, ale nie wątpił ani przez chwilę, że zjawisko,

które na dwa dni ustąpiło, było tuż... Nie odczuwał też strachu, choć nie miał najmniejszego pojęcia, jaką formę zjawisko to przybierze. Mogło być zaskakujące, niezwykle — na to był przygotowany — i to wszystko. Skala wrażliwości Olerona zmniejszyła się. Jego dłoń przesuwała się tam i z powrotem pod łóżkiem w poszukiwaniu pantofli...

Jednak mimo że był tak ostrożny, metodyczny i przygotowany, serce skoczyło w nim i nagle ucichło; było to okropne uczucie. Dłoń znalazła pantofle, lecz Oleron nadal pozostał na klęczkach; gdyby nie to — byłby się przewrócił. Łóżko było niskie; z powodu pozycji, jaką przyjął w poszukiwaniu pantofli, głowę miał odwróconą w jedną stronę i starał się pozostać w tej postawie, dopóki nie odzyskał choć częściowo panowania nad sobą. Gdy na koniec wstał, na dolnej wardze, którą przygryzł zębami, wystąpiła kropelka krwi, a z kieszeni kamizelki wypadł zegarek i chwiał się na końcu krótkiej, skórzanej dewizki...

Po chwili — zanim jeszcze zegarek przestał lekko oscylować — Oleron był znowu panem siebie.

Na środku gzymsu kominka stał obraz — portret jego babki. Stał przed tym obrazem tak, że dostrzegał w jego szkle odbicie nieruchomego płomienia świecy, która paliła się za nim na komodzie. Dostrzegał również w szkle obrazu lekkie migotanie światła odbitego od skośnych krawędzi i nierówności przedmiotów leżących koło lustra i świecy. Dostrzegał jednak coś więcej. Te migotania, refleksy i odbicia refleksów nie zmieniały pozycji, ale jeden błysk był w stałym ruchu. Był bledszy niż pozostałe i poruszał się do góry i na dół. To był refleks płomienia świecy na czarnym, ebonitowym grzebieniu Olerona, przy czym każdemu ruchowi grzebienia na dół towarzyszył jedwabisty, potrzaskujący szelest.

Oleron, patrząc na to, co odbywało się w szkle portretu jego babki, nadal grał swą rolę. Sięgnął po zwisający zegarek i z wolna zaczął go nakręcać. Potem na chwilę przestał obserwować i zaczął opróżniać kieszenie spodni, metodycznie układając na gzymsie kominka wyjęte z nich monety pensowe i półpensowe. Szelest i trzask przypominający jak gdyby elektryczne wyładowania napępiał całą sypialnię i gdyby Oleron zmienił punkt obserwacyjny — widziałby słaby połysk grzebienia przesuwany się prawie dokładnie wzdłuż konturów głowy jego babki.

Jakakolwiek inna głowa, której zarys grzebień ten mógłby kreślić, była niewidzialna.

Oleron zakończył opróżnianie kieszeni; potem pod przykrywką nowego symulowanego ziewnięcia, nie tyle zbierając się na odwagę, co opanowany nadzwyczajną ciekawością, obrócił się nagle do tyłu. To co było czesane, nadal pozostawało niewidzialne, ale grzebień nie zatrzymywał się. Zmienił nieco swój kąt nachylenia i przesunął się trochę na lewo. Poruszał się dość regularnymi posunięciami od punktu wzniesionego trochę ponad pięć stóp nad podłogę w kierunku prawie pionowym, do innego punktu — o kilka cali poniżej powierzchni komody.

Oleron nadal zachowywał się w sposób godny podziwu. Podszedł do małej umywalni stojącej w rogu pokoju, nalał wody i zaczął myć ręce. Zdjął kamizelkę i kontynuował swe przygotowania przed pójściem do łóżka. Czesanie nie ustawało, on zaś stał przez chwilę, namyślając się. Oczy mu zabłysły. To, co zrobił następnie, było bardzo sprytne...

— Hm! Chyba poczytam jeszcze z kwadrans — powiedział głośno.

I wyszedł z pokoju.

Nie było go przez parę minut; gdy wrócił, w sypialni była już cisza. Rzucił okiem na komodę: grzebień leżał bez ruchu między kołnierzykiem, który Oleron przed chwilą zdjął, a parą rękawiczek. Bez wahania wyciągnął rękę i wziął grzebień. Był to zwykły grzebień osiemnastopensowy, wyjęty z kartonu w drogerii, zrobiony z substancji o określonym ciężarze właściwym i nie bardziej zdolny do buntu przeciwko prawom rządzącym jego istnieniem niż światy trzymające się swych orbit w przestrzeni. Oleron położył grzebień, potem spojrzął na plik papierów, które trzymał w ręce. To, po co poszedł, było rękopisem owych piętnastu rozdziałów pierwotnej *Romilly*.

— Hm... — mruknął rzucając manuskrypt na krzesło. — Tak jak myślałem... Ona jest po prostu ślepo, wściekle, zabójczo zazdrosna.

*

Następną noc i tej, która nadeszła potem, i przez wiele nocy i dni — tak wiele, że już nie bardzo mógł je zliczyć — zalecając się, przemawiając pieszczotliwie, lekceważąc, grożąc, błagając, zżerany niezaspokojoną ciekawością i niepomyślny na to, iż życie jego zmieniło się w jedną spalającą wszystko namiętność i pożądanie, kontynuował Oleron badania nad nieznaną współlokatorką swej siedziby.

X

Z biegiem czasu doszło do tego, że już mało kto poza listonoszem wchodził po schodach Olerona; a ponieważ ludzie, którzy listów nie piszą, mało ich otrzymują, przeto nawet i kroki listonosza stały się rzadkim zjawiskiem; nie słyszało się ich więcej niż raz czy dwa w tygodniu. Pewnego dnia przyszedł list od wydawcy z zapytaniem, kiedy można się spodziewać rękopisu jego nowej książki; przez kilka dni Oleron zwlekał z odpowiedzią, aż w końcu o niej zapomniał. Przyszedł drugi list, na który też nie odpowiedział. Trzeciego już nie otrzymał.

Dni stały się jasne i ciepłe. Krzaki ligustru, wśród siekierkowatych tablic z ogłoszeniami, rozkwitły, a na ulicach, gdzie Oleron załatwiał swe zakupy, wzdłuż krawężników stały szeregiem koszyki kwiaciarek. Oleron codziennie kupował kwiaty; pokój jego wołał o kwiaty ciągle i ciągle świeże. Nie skąpił na wymagania swego pokoju. Niemniej konieczność wychodzenia po kwiaty zaczęła go irytować coraz bardziej i z coraz większym uczuciem ulgi wracał do domu. Zaczął zdawać sobie sprawę, że ponownie skala jego doznań uległa subtelnej zmianie — zmianie, która nie polegała na przywróceniu dawnej rozpiętości, lecz na pogłębianiu się, tak iż dołączyło się znów uczucie jakiegoś całkiem nowego lęku. *Lux Orco, tenebrae lovi* *. Lęk ten zwał się: agorafobia **.

Oleron zaczął obawiać się świeżego powietrza i otwartej przestrzeni oraz czegoś straszniejszego, co mogło rzucić się na bezbronnego z tyłu.

Wkrótce przybrało to tak na sile, że żywność i kwiaty kazał dostarczać sobie codziennie do domu. Zatarł ręce, kiedy pomyślał o takiej możliwości. Tak było lepiej! Teraz będzie mógł wychodzić albo nie wychodzić, jak mu się spodoba.

Decyzja wkrótce się ugruntowała. Pozostawanie w czterech ścianach stało się dla niego przyjemnością.

Nie czuł się jednak szczęśliwy, a jeśli nawet tak, to szczęście jego dziwne miało przejawy. Był niezadowolony, czasem płakałby z samej tylko słabości i zgryzoty; a jednak był niejasno świadom tego, że nie zamieniłby swego smutku na całą tę hałaśliwą wesołość zewnętrznego świata. Co zaś do hałasu — to jakikolwiek hałas, a w szczególności wielki, stanowił teraz dla niego najdotkliwszą przykrość. Niewiele łatwiej było go znieść niż ów świeżo zrodzony strach, który go ogarniał, gdy wychodził na dwór. (Robił to zresztą rzadziej, sunąc chyłkiem pod murami i szukając ręką przyjaznego oparcia).

Przesuwał się cichutko z pokoju do pokoju w pantoflach, a niekiedy przez wiele sekund stał, zamykając drzwi tak delikatnie, że żaden odgłos nie mącił ciszy, która sama przez się była rozkoszą. Niedziela stała się teraz dla niego dniem nie do zniesienia, bo od czasu, jak nastąpiła piękna pogoda, na skwerze pod jego oknami w każdy niedzielny poranek zbierać się

* (łac.) Światło — Orcusowi ciemności — Jowiszowi. Sens tego zwrotu: pierwiastkowi zła wrogie jest światło, pierwiastkowi dobra — mrok (przyp. tłum.).

** Lęk przestrzeni.

zaczęli członkowie jakiejś sekty, do której należał długonosy Barrett. Przychodzili z wielkim bębniem i ciężkimi, brzuchatymi instrumentami z mosiądzu; mężczyźni i kobiety wyteżali pełne przejęcia głosy, zmagając się z własnym Bogiem.

Sam Barrett zaś, ze wzniesioną twarzą, przymkniętymi oczami i ściągniętymi brwiami, modlił się, ażeby dźwięk jego głosu dotarł do uszu wszystkich niedowiarków — co z pewnością było prawdziwe, gdy chodziło o uszy Olerona.

Pewnego dnia, właśnie w środku jednej z tych serenad, Oleron skoczył ku rolicie i odsunął ją słysząc, że jego własne nazwisko stało się przedmiotem nowego wybuchu elokwencji.

Niekiedy zaś — nie spodziewając się wcale odpowiedzi — Oleron przystawał i cicho nawoływał. Raz lub dwa zawołał: Romilly! A potem czekał. Ale jego szept najczęściej nie przybierał kształtu imienia.

W jego mieszkaniu było jedno szczególne miejsce, które nawiedzać zaczął ze wzrastającą uporczywością. Było to wejście do sypialni. Pewnego dnia odkrył, że jeśli pootwiera wszystkie drzwi w swym mieszkaniu (wszystkie poza wyjściowymi, które otwierał niechętnie) i jeśli ustawi się w tym właśnie miejscu, to wówczas ma widok — gorszy czy lepszy — ale na wszystkie pięć pokoi i nie musi przy tym zmieniać pozycji. Widział stamtąd cały swój salon, całą sypialnię, z wyjątkiem części zasłoniętej otwartymi drzwiami, mógł też rzucić okiem na kuchnię, łazienkę i swój rzadko używany gabinet. Często stał w tym miejscu z zapartym tchem, z palcem na ustach. Pewnego dnia, gdy tam stał, przyłapał się nagle na refleksji, czy ów Madley, o którym mówił proboszcz, odkrył strategiczne znaczenie wejścia do pokoju sypialnego.

Poza tym światło wywoływało w nim teraz większy niepokój niż ciemność. Samo światło słoneczne, które — w miarę jak słońce codziennie obchodziło dom dookoła — zalewało kolejno każdy pokój, działało jak płomień na jego mózg, a nawet światło rozproszone wywoływało tępy, dotkliwy ból. Zaczął w poszczególnych porach dnia spuszczać swe szkarłatne rolety, jedna po drugiej. W tym celu robił krótkie, śmiałe wypady, ale zawsze starał się, by jego pozycja strategiczna była wolna na wypadek, gdyby jej nagle potrzebował. Potem opuszczanie rolet stało się codziennym, metodycznym ćwiczeniem, a pokoje, gdy je obchodził, tonęły w krwawoczerwonym świetle ciemni fotograficznej.

Pewnego dnia, gdy spuścił roletę w swym małym gabinecie i wycofał się sprawnie z pokoju, zaśmiał się nagle z cicha.

— To pewno bardzo się nie podoba panu Barrettowi! — powiedział. Drażnienie Barretta dostarczyło mu radości na całą godzinę.

Lecz wkrótce pewnego dnia doznał takiego lęku, że trząśnięcie potem również z godzinę. Ciągnął za sznurek, by zasłonić okno nad tym parapetem, pod którym znalazł worek do harfy, i stał, mocno oparty o framugę okna, kiedy wydało mu się nagle, że widzi tren czarno-białej, kratkowanej spódnicy, znikający za rogiem domu. Nie miał zupełnej pewności — gdyby podbiegł do zasłoniętego okna w drugiej ścianie, to spódnica i tak musiałaby już je minąć — ale był prawie przekonany, że to była Elżbieta. W męce oczekiwania nasłuchiwał kroków na schodach...

Lecz kroków nie było, więc po trzech czy czterech minutach odetchnął głęboko z ulgą.

— Mój Boże, ależ to by mnie okropnie skompromitowało! — zamruczał.

I pomrukiwał dalej od czasu do czasu: „To okropnie kompromitujące... Żadna kobieta by tego nie zniosła... Jakakolwiek kobieta... Och, kompromitujące w najwyższym stopniu!”

Nie było mu dobrze. Nie umiałby wyjaśnić, jaka była przyczyna napadów cichego płaczu, zdarzających mu się czasami; pojawiały się i znikwały, jak owe kapryśne chmury, co wędrowały ponad skwerem. W gruncie rzeczy — jeśli nie doznawał szczęścia, to przynajmniej nie był nieszczęśliwy. — Żeby być nieszczęśliwym, trzeba coś utracić, a przecież nic

mu nie odebrano, bo niczym nie został obdarzony. Oczekiwał daru w tym przeładowanym kwiatami, przeraźliwie kuszącym apartamencie o kredowobiałych ścianach, tak podbarwionych przytłumionym szkarłatem rolet, że nabrały odcienia krwi.

Nie obchodziło go już to, że jego fundusze topniały coraz bardziej, ani to, że zaniedbał pracę. On przestał pracować? Nie przestał. Ci, którzy przypuszczali, że Oleron przestał pracować, widocznie nie mieli o tym pojęcia! Prawdę mówiąc dopiero teraz zaczynał pracę. Jakież przygotowywał dzieło!... Co za dzieło... co za kochanka rodziła się z jego Sztuki... Niech tylko minie ten okres próby i napiętego oczekiwania, a zobaczą... Jakże mieliby ją znać, tę Oleronową Wabiącą Ślicznotkę, kiedy jeszcze sam Oleron jej nie zna? Nie ciska się wspaniałych promiennych tworów, tak jak się rzuca powitania. Ludzie, którym dane jest zrodzić te wielkie dzieła, muszą płakać rzewnymi łzami tak jak Oleron, musi w nich wzbierać próżna, pełna pychy nadzieja jak w Oleronie, i jak Oleron ścigać muszą tego kapryśnego, cudnego Ducha, który, wymykając się, drwi, a uciekając, stale podnieca do pogoni. Niech wolno będzie Oleronowi bodaj jeszcze trochę pogonić za tą Łowczynią... a ujmie ją wreszcie, promienną i zdyszana, w ramiona... O, nie! — bardzo dalecy prawdy byli ci, co uważali, że Oleron przestał pracować!

A jeśli wszystko inne przestawało go obchodzić, to był z tego zadowolony. Wszyscy, gdy nasze Ślicznotki wabia, jesteśmy jednakowi. Na samym początku mrugamy okiem i obiecujemy sobie, że puścimy kantem Jej Wysokość, zaniedbamy ją na pewien czas, sprawimy, że jej podstępny dyktowany zazdrością zwróci się przeciwko niej samej, wykpiemy ją i zignorujemy, gdy zacznie się przymilać... Jesteśmy bez serca — pewni, że nigdy nie damy wyprowadzić się w pole. Ale w końcu kapitulujemy, bo ona wabi, wabi...

Tak więc Oleron trzymał się swej strategicznej pozycji w drzwiach sypialni i patrzył, i czekał, i uśmiechał się z palcem na ustach... Stało się to jego powinnością, jego obrządkiem, ślubowaniem — wszystkim, co wiedział o Miłości.

A kiedy stwierdził — jak to mu się zdarzało od czasu do czasu — że nienawidzi zmarłego Madleya i pragnąłby, aby tamten nigdy nie był żył, to czuł, że i to staje się częścią rytuału...

Ale gdy się tak szykował, jak gdyby do zaślubin, i coraz bardziej irytował się i martwił, że Panna Młoda nie daje znaku, dokonał odkrycia, które powinien był zrobić całe tygodnie przedtem.

Dokonał go dzięki myślom o zmarłym Madleyu. Od owej nocy, gdy w swej naiwności sądził, że rozmyślnie lekceważenie rzuci kokietkę na kolana, i gdy jej własną zazdrość wykorzystał dla jej ukarania, nie rzucił nawet okiem na ów ciśnięty w kąt rękopis piętnastu rozdziałów *Romilly*. Wsadził go z powrotem do skrzynki pod oknem, zapomniał, że w ogóle istnieje. Ale jego własna zazdrość o Madleya przypomniła mu o *Romilly*, o jej zwodniczej rywalce z ciała i kości. Teraz sobie przypomniał o tym rękopisie... Jakimże był głupcem! Czyż więc spodziewał się, że jego Upragniona pojawi się, gdy istnieje jeszcze dowód rozdzielenia jego sympatii? Przecież ona żywi tak zaciekle namiętność, że nie zawahała się przed dwukrotną próbą zniszczenia swej rywalki. Jakimże był głupcem!...

Jeżeli wymagała tylko takiej gwarancji i ofiary — to niechaj ma — i to od razu! O — tak!

Wyjął manuskrypt spod okna i podszedł z nim do kominka.

Zawsze teraz utrzymywał palący się ogień; ciepło uwydatniało resztki zapachu kwiatów, którymi pokój był zarzucony. Nie wiedział, która mogła być godzina; od dawna już pozwolił zegarowi stanąć. Zegar wydawał się bezsensownym miernikiem czasu w obliczu zdumiewających rzeczy, które Oleron przeżywał; wiedział jednak, że jest późno. Wziął rękopis *Romilly* i ukląkł przy ogniu.

Nie zdążył jeszcze zdjąć spinacza, który trzymał razem arkusze, gdy nagle poderwał się, odwrócił i zaczął uważnie nasłuchiwać. Dźwięk, który posłyszał, nie był głośny. W istocie

było to najwyżej stuknięcie, powtórzone dwa albo trzy razy. Niemniej napełniło Olerona lękiem. Twarz mu pociemniała, gdy odezwało się znowu.

Posłyszał głos z platformy schodów.

— Pawle... Pawle...

Był to głos Elżbiety.

— Pawle!... Wiem, że jesteś w domu... Chcę się widzieć z tobą...

Zaklął niedosłyszalnie, ale zachowywał się zupełnie cicho. Nie miał zamiaru jej wpuszczać.

— Pawle!... Masz zmartwienie... wiem, że jesteś w niebezpieczeństwie. Podejdz przynajmniej do drzwi!...

Oleron zdusił cichy śmiech. Rozbawiło go jakoś to, że ona — sama w takim niebezpieczeństwie — martwi się o jego całość. Jeżeli naprawdę jest w niebezpieczeństwie, to dobrze jej tak. Wiedziała albo przynajmniej tylko mówiła, że wie o tym.

— Pawle!... Pawle!...

— Pawle, Pawle — przedrzeźniał ją z cicha.

— Och, Pawle, to okropne!...

„Okropne? — pomyślał Oleron. — Jak okropne, to niech sobie idzie...”

— Ja chcę ci tylko pomóc, Pawle. Przecież obiecałam, że przyjdę, jak mnie będziesz potrzebował.

Nieczuły był na żałosne łkanie, które przerwało cichy krzyk. Niech diabli wezmą tę kobietę! Czy ma krzyknąć, żeby sobie poszła i nie wracała więcej? Niech sobie woła, stuka i płacze. Do tego miała talent. Tylko żeby nie myślała, że jej płacz go wzruszył! Przeciwnie — drażnił tak, że Oleron zacisnął zęby i pogroził pięścią w jej stronę i to było wszystko. Niech sobie płacze.

— Pawle!... Pawle!...

Z mocno zaciśniętymi zębami wrzucił pierwszą stronę *Romilly* w ogień. Potem zaczął wrzucać resztę, kartka po kartce.

Wołanie za drzwiami trwało dłuższy czas, a potem nagle ucichło. Usłyszał jej kroki, gdy powoli schodziła ze schodów. Nasłuchiwał odgłosu upadku, krzyku albo trzasku poręczy na górnej platformie; nic podobnego jednak się stało. Oszczędzono ją. Widocznie jej rywalce wystarczyło, że Elżbieta odeszła pokonana i upokorzona. Oleron usłyszał, jak przechodzi pod jego oknem. Już jej nie było. Wrzucił w ogień ostatnią kartkę, a potem wstał uśmiechając się pod nosem. Rozejrzał się czule po pokoju.

— Miała szczęście — zauważył. — Nie udałoby się jej tak spokojnie odejść, gdybym tylko coś powiedział lub wyjrzał! Jakie diabelskie są te kobiety!... Ale nie, nie powinienem tak mówić; jedna z nich przecież okazała się wspaniałomyślna.

Kto okazał się wspaniałomyślny i dlaczego? Ach, Oleron wiedział!... Bez wątplenia na dnie tego tkwiła pogarda, ale to nie miało znaczenia: dość że pozwolono temu natrętnemu stworzeniu odejść cało. Tak, miała szczęście; Oleron spodziewał się, że zdawała sobie z tego sprawę...

A teraz — teraz po nagrodę!

Przeszedł przez pokój. Wszystkie drzwi były otwarte; oczy mu zabłysły, gdy stanął w drzwiach sypialni.

Ależ był głupi, że nie pomyślał wcześniej o zniszczeniu rękopisu!...

Jakże w domu pełnym cieni rozpozna ten swój Cień? Jak w domu pełnym głosów rozróżni wezwanie, które czuł, jest tuż-tuż? Ach, trzeba mieć trochę zaufania! Już on będzie wiedział!

Dom pełen był igrających, mglistych świateł. Lekki blask lampy ulicznej sączący się przez roletę, promyk zielonawo-błękitnego światła księżycowego wpadający przez odległe drzwi kuchni, posępny żar węgla pod czarnym popiołem spalonego manuskryptu, połysk

tulipanów, chryzantem i narcyzów w wazonach, czarach i dzbanach — o nie, one nie zwiodą i nie osłepią jego oczu tak, by nie mógł rozpoznać swej Jedynej! To on, a nie ona, opóźnia! mroczne zaślubiny; w poczuciu winy zwiesił na chwilę głowę, potem wlepił oczy w złudny, zwodniczy mrok. Zawołałby ją po imieniu, gdyby je znał, ale teraz nie będzie jej nawet prosił, by zechciała nosić imię tamtej.

Jego twarz w obramowaniu drzwi połyskiwała białą jak narcyzy w ciemności.

W kuchni zdawał się nabierać kształtu jakiś cień, delikatny jak jagnięce runo (swego czasu Oleron byłby powiedział, że niewidzialny księżyc przesłoniła chmura). Słabe światło spoza rolety pociemniało — niegdyś Oleron wyciągnąłby stąd wniosek, że to zapalacz podczas obchodu przytłumił płomień w latarni. Ogień wygasł, opadły czarne, spopielone papiery; jakiś kwiat wypadł z wazonu i, niewyraźny, leżał na podłodze; wszystko było ciche. Potem jakiś powiew przeniknął stary dom, muskając twarz Olerona...

Nagle, pochylając głowę, Oleron cofnął się nieco. Snujący się przeciąg poruszył lekko drzwi w zawiasach. Oleron zadrżał gwałtownie, a potem, kładąc rękę na klamce, cichutko przymknął drzwi, usiadł na najbliższym fotelu, jak gdyby czekał, że za chwilę zostanie wezwany po imieniu na jakąś ściśle prywatną audiencję u kogoś wysoko postawionego i potężnego...

XI

Nie wiadomo, czy można współczuć komuś cierpiącemu na anemię duszy. Gdy napięcie życiowe osłabnie, a duch jest tak znękany i odmieniony, że wszystko to, co poprzednio wydawało się zwyczajne, dobre i jasne, staje się okropne — wówczas więz z ludźmi zanika. Dusza człowieka zdrowego odwraca się od takich ludzi ze zgrozą, bo nie chce ucierpieć sama, nie chce ponieść szkody. Nie jesteśmy bogami. Nie potrafimy wypędzać diabła. Musimy samolubnie, dbać o to, by nas samych nie opętał.

Tak musi być, choćby nawet miłość tak nas przenikała, że wydawałoby się nam, iż mamy na pół boską naturę. Na próżno mówilibyśmy o honorze i obowiązku. Jeżeli nawet wrzucimy list do ciemnego pokoju, to przecież i tak nikt go nie zobaczy albo jeśli zobaczy — to i tak zapomni o nim. Telegram jednak nie zostanie już doręczony, a pogwizdujący posłaniec nie zauważy, odchodząc od okna z zaciągniętą roletą, że uchylono ją palcem odrobinę, by potem szybko znów zasunąć. Niechaj nieszczęśnik sam zмага się ze swoimi cieniami. Niech, skoro już tak oszalał, pozostanie w uścisku swego sukuba. Tylko niech to się dzieje w domu, do którego nie przenika już głos niebios ani też jasny palec słońca nie rozdziera mętnego półświatła. Ci, co są zgubieni, muszą takimi pozostać. Ludzie mają swoje własne sprawy.

Dla Olerona, gdy pewnego czerwcowego poranka bezszelestnie wkradł się do kuchni z naręczami cuchnących i rozkładających się kwiatów z salonu, dwa listy, leżące na podłodze pod drzwiami, tyle znaczyły co jakiś mglisty, dawny sen. A kiedy o kilka kroków od łóżka, na którym leżał, posłaniec z depeszą stukał do drzwi — Oleron zgrzytnął zębami i zatkał uszy. Wyobrażał sobie chłopca stojącego tam, tuż za przepierzeniem, wśród paczek prowiantu i peków zwiędłych, obumierających kwiatów — platforma klatki schodowej była nimi zavalona. Obawiał się otworzyć drzwi, by to wszystko zabrać do środka. Po tygodniu zbici z tropu chłopcy zakomunikowali dostawcom, że widocznie jest jakaś pomyłka w adresie, i więcej już nic nie przynosili. Wewnątrz w czerwonym półświecie stare kwiaty brunatniały, opadały i gniły, tam gdzie spadły.

Siły opuszczały Olerona stopniowo. Jakaś ohyda zerowała na nim. Stała utrata sił sprawiała, że nieraz przez całe godziny leżał, patrząc bezmyślnie na czerwony sufit, poddając się wszelkim zwidom, jakie go nawiedzały. Najbardziej nawet niezapomniane z własnych

jego wspomnień zacierały się w pamięci. Niekiedy przelatywało niewyraźne wspomnienie o powieści, która miała być napisana, o powieści, którą koniecznie powinien był napisać; dręczyło go to przez chwilę, a potem znów zniknęło. Czasami jawiły mu się — siłą jakiejś magii — gotowe powieści, wykończone, świetne, wspaniałe, którym przeznaczone było przetrwać. Niekiedy znowu roił bezsensownie o rzeczach odległych i trywialnych — o poddaszach i pokojach, w których mieszkał. Olerona w swoim czasie bardzo obchodziły takie sprawy, ale teraz wszystko to minęło. Nareszcie znalazł mieszkanie, którego nie miał zamiaru opuszczać, chyba żeby go wynieśli, mieszkanie, o którym można by twierdzić, że jest niezdrowe albo że tchnie rozkładem, zgnilizną i że żywy człowiek nie powinien się w nim zamykać. Było ono jednak tak nieodparcie pociągające, wywierało wpływ tak silny; związany z nim był ktoś tak niezwykle, że gdy przestało się już walczyć przeciwko nieugiętej woli tego współlokatora — stało się ono źródłem niesłychanych rozkoszy.

Powieść? O takim mieszkaniu ktoś powinien napisać powieść. Wiele dałoby się o nim napisać, gdyby przeniknęło się je aż do dna. Prawdopodobnie było już ono tematem obrazów człowieka, który mieszkał tutaj, a zwał się Madley. Ale Oleron nie znał tego Madleya i wyraźnie czuł, że nie lubiłby go. Wolałby, żeby tamten mieszkał gdzie indziej, po prostu go nie znosił, w gruncie rzeczy nienawidził go... (a to historia!). Oleron poważnie wątpił, czy ów człowiek prowadził się jak należy, i czasem był w rozterce, czy nie powinien powiedzieć o Madleyu temu długonosemu strażnikowi moralności publicznej z drugiej strony skweru. Ale tamten i tak prawdopodobnie wiedział i za niego też wznosił swe modlitewne wrzaski. To było do niego podobne. No bo przecież Oleron sam poróżnił się z nim o coś tam... o jakąś kobietę... Przypomniał sobie, że nazywała się Elżbieta Bengough...

Oleron chwilami czuł się bardzo nieswojo z powodu tej Elżbiety, albo może nie tyle z powodu jej samej, ile z racji jej postępowania. Najgorszy był sposób, w jaki usiłowała wdziierać się w jego myśli. Ilekroć działał dostatecznie szybko, to odsyłał ją z kwitkiem, gdy tylko się pojawiała. Doprawdy ona nie była tylko natrętna (taka zawsze była), ale doszło teraz do szczytu to, że sama jej obecność w jego wyobraźni nie pozwalała mu w pełni napawać się pewnymi doznaniem... Była bez taktu. Naprawdę powinna wiedzieć, że i myślami nie zawsze zastaje się ludzi w domu. Przez samą grzeczność powinna go zostawić w spokoju, przynajmniej na jakiś czas. Była potworną ignoranką; nie wiedziała, że są chwile, gdy stan psychiczny człowieka upoważnia go do traktowania ludzi, podobnie jak Oleron potraktował tego wężącego Barretta, ma się prawo do zupełnego odcięcia się od nich.

...Ale nie. Ciągle zaglądała. Była myśl o niej — i wszystko brało w łeb. Gdy wdzięrała się, całkowicie zniknęły jasne, wzniosłe wątki, przy których ponure i szare były nawet owe doskonałe magiczne powieści, o jakich śnił. Było to tak, jak gdyby mgła nagle przesłaniała jakąś jasno promieniejącą gwiazdę, jak gdyby u progu jakiegoś złocistego portalu, przez który przejść miał Oleron, nagle ziać zaczynała otchłań, jak gdyby cień w kształcie nietoperza zamieniał rodzący się świt — w mrok, w ciemność... Dlatego też Oleron usiłował tłumić w zarodku każdą myśl o tej kobiecie.

Niemniej nadeszła chwila, gdy w żaden sposób już nie mógł się jej pozbyć. Oleron nie umiałby powiedzieć dokładnie, kiedy to się stało; wiedział tylko po blasku latarni ulicznej spoza rolety, że wydarzyło się to o jakiejś porze w nocy i że kobiety tej nie było przedtem od pewnego już czasu.

Nie został ostrzeżony przed jej przyjściem; po prostu przyszła — była tutaj. Mimo wysiłków nie potrafił otrząsnąć się z myśli o niej ani też usunąć obrazu jej twarzy. Prześladowała go.

Ale że przyszła w tej właśnie chwili... Doprawdy, to było nie do wiary. Jak ona sama mogła to znieść — nie miał pojęcia. W istocie — po to chyba przyszła, by popatrzeć na triumf Rywalki... Wielki Boże! To było potworne. Takt, powściągliwość... nigdy nie przypisywał jej nadmiaru ani jednego, ani drugiego, ale też nigdy nie sądził, żeby... och, nie ma na to słów!

Potworne, potworne! Czyżby chciała odtąd... wielki Boże! Czyżby chciała się przyglądać?

Oleron poczuł, jak ze złości krew uderza mu do głowy.

— Niech ją wszyscy diabli! — wykrztusił.

Ale za chwilę gorąco, jakie go ogarnęło, i złość zamieniły się w zimny pot przytłaczającego strachu. Ogarnięty paniką, usiłował zrozumieć to, co uczynił. Albowiem choć nie wiedział co — czuł, że coś zrobił, coś fatalnego, nie do naprawienia, coś wstrętnego. Czuł gniew, ale to nie był ten wybuch szału, który nagle rozjaśniał pomrokę jego świadomości białym, piekielnym blaskiem. Ten przeraźliwy błysk — to nie jego gniew, nie w nim była ta otwarta przepuść jaśniejącego i kotłującego się Piekła. Nie, to nie w nim. Ręka jego była jak ręka dziecka, gotująca się do zadania słabego ciosu; ale skąd była ta druga, przerażająca dłoń, sprężona do ciosu w to samo miejsce? Czy to on tę dłoń uruchomił? Czy on wywołał iskry, która wyzwoliła całą nagromadzoną energię tego przeraźliwego i niemiłosiernego domostwa? Nie wiedział. Wiedział tylko, że owa drobna zapalna cząsteczka w nim samym została zdmuchnięta, że — czy to możliwe — pocałunek (bo jakże to nazwać?), który czuł na wargach, stał się kąsaniem i uciskiem. Z samej litości, że siły są tak straszliwie nierówne, musi zawołać do niej, na którą niedawno się tak złościł, by strzegła się... aby się strzegła...

— Strzeż się! — wrzasnął na całe gardło...

Reakcja była natychmiastowa. Jak gdyby rozerwała się nad nim jakaś chłodna chmura. Stwierdził, że leży na łóżku, że mgła i przerażenie, które go ogarniały przez tak długi czas — znikły, że był Pawłem Oleronem, że był chory, nagi, bezradny, strasznie samotny i opuszczony. Jego władze umysłowe, chociaż słabe, odpowiedziały wreszcie na wezwanie; wiedział, że to jakaś okropna zmora musiała zostawić go tak zlanego potem i trzęsącego się.

Tak, był sobą — Pawłem Oleronem — zmęczonym powieściopisarzem, który minął już szczyt swojej twórczości i powoli zsuwał się z niego z pustymi rękami. Nie osiągnął celu życiowego. Zbyt wiele zamierzył, przecenił swe siły, poniósł fiasko, fiasko...

Wszystko to sformułował w jednym zdaniu, całkowicie adekwatnym; nie wymagało żadnego komentarza; poniósł fiasko. Chybił...

A minęło go nie jedno szczęście, lecz dwa. Minęły go uroki świata, tak cenione przez ludzi, nie zdobył również swej drugiej promiennej nagrody, dla której ludzie rezygnują z wygody życia: nagrody chwytania, dzierżenia i wreszcie triumfalnego wzniesienia tego, co jest jedynym usprawiedliwieniem dla szalonego awanturnika ryzykującego całe przedsięwzięcie. A drugiej próby już nie ma. Los nie zna jutra. Jutrem Olerona musiało być ponowne rozpoczęcie nieopłacalnej, partackiej, niepotrzebnej pracy, i tak dzień po dniu, dzień po dniu, ile ich było...

Leżał teraz, osłabiony, lecz rozważał to wszystko rozsądnie... Ponieważ cała próba się nie udała, więc właściwie nie warto było zastanawiać się, czy przypadkiem nie udałoby się czegoś ocalić z ogólnego rozbicia. Na nic się nie przyda ta na wpół napisana powieść. Chciał, aby ukazała się na jesieni; podpisał nawet na to umowę; mniejsza z tym; lepiej zapłacić odszkodowanie wydawcom niż trwonić dni, jakie jeszcze pozostały. Był wyczerpany; starość była niedaleko. Resztę podróży należało odbyć ścieżkami mądrości i smutku. Gdyby miał żonę, dziecko, wiernego przyjaciela przy kominku — to mogliby iść, gdzie chcą, za błędnym ognikiem.

Tymczasem zaczęło go zastanawiać, czemu jest taki słaby, czemu pokój pachnie tak przeraźliwie rozkładającą się substancją roślinną i czemu jego dłoń, przypadkiem natrafiająca w ciemności na twarz, odkrywa na niej brodę.

— Nadzwyczajne! — zaczął mrużyć do siebie. — Czyżbym był chory? A może i teraz jestem chory? Jeśli tak, to czemu zostawili mnie samego?... Dziwne...

Zdawało mu się, że słyszy jakiś odgłos z kuchni czy też łazienki. Podniósł się nieco na poduszce i nadśluchiwał... Ach, więc nie był sam! Naprawdę, dziwne byłoby, gdyby go zostawili chorego i samotnego. Samotnego? O, nie. Doglądano by go. Nie zostawiliby chorego bez

pomocy! Jeśliby wszyscy o nim zapomnieli, to może ufać Elżbiecie Bengough, swojej najlepszej przyjaciółce... Błogosław, Boże, jej wierne serce!

Lecz nagle rozległ się ostro brzmiący, zduszony krzyk:

— Pawle!

Wołanie dobiegało z kuchni.

I w tej samej chwili olśniło Olerona — sam nie wiedział jak — że dwie, trzy, może pięć minut temu inny odgłos, nie zauważony wówczas, lecz przykuwający teraz jego uwagę, usiłował dotrzeć do jego świadomości. Dźwiękiem tym było lekkie zgrzytnięcie metalu o metal — właśnie takie, jakie towarzyszy włożeniu klucza w zamek.

— Halo, kto tam? — zawołał ostro z łóżka.

Nie było odpowiedzi.

Znowu zawołał:

— Halo! Kto tam?... Kto to?

Tym razem był pewien, że słyszy w kuchni szuranie, ciężkie, choć niezbyt głośne.

— Jakie to dziwne — zamruczał. — Na Boga, jestem słaby jak kociak... Halo! Ktoś wołał, prawda? Elżuniu! Czy to ty?

Zaczął walić ręką w ścianę przy łóżku

— Elżuniu! Elżuniu... To tyś wołała, prawda? Proszę tu wejść, ktokolwiek tam jest...

Rozległ się jak gdyby odgłos zamykania drzwi, a potem zapadła cisza. Złakł się.

— To pewnie pielęgniarka — zamruczał. — Elżunia oczywiście sprowadziła mi pielęgniarkę. Siedziała przy mnie, dopóki miała czas, pocziwa dziewczyna, a potem musiała sprowadzić pielęgniarkę... Ale to było okropnie podobne do jej głosu... Elżuniu, albo ktokolwiek tam jest! Nic nie mogę zrozumieć. Muszę wstać i zobaczyć, co tam się dzieje...

Wysunął jedną nogę z łóżka. Czując jej słabość wyciągnął rękę, aby oprzeć się o ścianę.

Zanim jednak wysunął drugą nogę, zatrzymał się; rozmyślał, szarpiąc swą świeżo odkrytą brodę. Nagle zaczął się zastanawiać, czy odważy się iść do kuchni. To był taki kawał drogi. Nie wiadomo, co za straszdyłło mogło wyskoczyć i spaść na niego, gdyby zapuścił się tak daleko; jeśli człowiek doznaje przemożnego impulsu, by wrócić do łóżka, powinien wziąć pod uwagę to ostrzeżenie i posłuchać go. A poza tym — po cóż miał iść? Po co? Jeżeli to znowu ta Elżbieta, to niech się sama sobą zajmie; Oleron nie pozwoli, by wszystko skupiało się na jego bezbronnych barkach z powodu tak natrętnej kobiety jak ona!... Jeżeli jest w domu, to niech wyjdzie, im prędzej, tym lepiej! Oleronowi po prostu nie wolno przeszkadzać. Ma pracę. Jutro musi zabrać się do pisania powieści z bohaterką tak miłą, kapryśną, rozkoszną, zazdrosną, zepsutą, piękną, płomienną i na wskroś złą, że wszyscy mężczyźni będą olśnieni. Właśnie go przenikała teraz; przez samą zmianę aury w pokoju wiedział, że jest w pobliżu; a ów delikatny dreszcz rozkoszy, który zaczął go przejmować, nigdy nie nadszedłby, gdyby nie to, że ona wabiła, wabiła...

Oderwał się od ściany i padł z powrotem na łóżko, jak gdyby — nie do pomyślenia! — jak gdyby dalszy ciąg owego pocałunku, który został przerwany kąsaniem, spoczął na jego ustach, pozbawiając go tchu...

XII

W jasnym świetle czerwcowego słońca tłum wypełnił skwer i spoglądał w górę ku oknom starego domu ze staroświeckimi godłami towarzystw ubezpieczeniowych na ścianach z czerwonej cegły i z tablicami DO WYNAJĘCIA zwisającymi nad ogrodzeniem jak drewniane toporki. Dwóch konstablów stało przy połamanej furtce u wąskiego wejścia do alejki, odpychając ludzi. Kobiety trzymały się na skraju tłumy, kręcąc się to tu, to tam, jak gdyby chciały pod nowym kątem spojrzeć na zaciągnięte czerwone rolety w oknach starego domu.

Mówiły szeptem. Dzieci zostawiły w domach zamknięte.

Wokół długonosego mężczyzny zebrała się mała grupka ludzi, on powtarzał im coś raz po raz; drugi zaś człowiek, mały i gruby, o szeroko rozwartych oczach, starał się pozyskać sobie audytorium długonosego, opowiadając jakąś historię, w której była mowa o kluczu.

— ...i doniesiono mi, że coś tam było tego właśnie popołudnia — mówił długonosy. — Stałem tam, gdzie stoi konstabl Saunders, a właściwie przechodziłem w swoich sprawach, kiedy oni wyszli. O, już ja się tam na pewno nie mylę! Widziałem jej twarz...

— Jaka ona była, panie Barrett? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Była jak twarz kobiety, do której Pan nasz powiedział: „Niewiasto, czy któryś z nich oskarża ciebie?” Błada była jak papier, nie ma wątpliwości Co wy mi tam opowiadacie! No więc idę prosto do pani Barrett i powiadam: Janko, to się musi skończyć, i to od razu; naszym obowiązkiem jest unikać zła, powiadam, i to musi się zaraz skończyć; niech on sobie szuka gdzie indziej pomocy. A ona powiada do mnie: Janie, powiada, to cztery szylingi i sześć pensów tygodniowo — takie były jej słowa. Janko — powiadam — żeby to nawet było czterdzieści sześć tysięcy funtów, to to się musi skończyć... I od tego dnia jej noga już nie postąpiła za tą furtką.

Zapanowała chwila ciszy.

— Czy pani Barrett kiedy... widziała tam coś w tym rodzaju? — zapytał ktoś niewyraźnie.

Barrett odwrócił się z powagą do mówiącego.

— To, co pani Barrett widziała, i to, czego pani Barrett nie widziała, nie wyjdzie z tych ust, bo napisane jest: nie mów zła — wygłosił.

Potem ktoś inny się odezwał:

— On był całkiem nieźle zalany tej nocy „Pod Końmi z Wozem” — prawda, Kuba?

— A tak, cholernie trąbił...

— I nawet nie pomyślał, żeby komuś coś postawić, cały czas pił sam...

— A tak, tak, mówiliśmy o tym...

Gruby mężczyzna o wystraszonych oczach uczynił nową próbę.

— Ona kupiła ode mnie klucz, miała jego numer, przyszła do mojego sklepu we wtorek wieczorem...

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Przymknijcie się — oświadczył szorstko barczysty robotnik. — Jeszcze jej nie znaleziono. O, tu jest policja, za chwilę więcej się dowiemy. — Pojawiło się dwóch inspektorów, którzy zaczęli rozmawiać z konstablami strzegącymi furtki. Mały, gruby człowieczek pobiegł z zapalem naprzód, powtarzając, że ona kupiła od niego klucz. — Pamiętam numer, trzy jedyńki i trzy trójki — 111333! — zawołał w podnieceniu.

Jeden z inspektorów odsunął go na bok.

— Czy nikt tam nie był w środku? — zapytał konstabla.

— Nie, proszę pana.

— No, to wy, Brackley, pójdziecie z nami, a wy, Smith, zostanieie przy furtce. Brygada jest w drodze.

Obaj inspektorzy i konstabl poszli alejką i znaleźli się w domu. Weszli po szerokich schodach o rzeźbionych poręczach.

— Nie wydaje mi się, żeby on ostatnio dużo wychodził — zamruczał jeden z inspektorów odsuwając na bok nogą kupę zeschłych liści i papieru, która leżała pod drzwiami Olerona. — Myślę, że nie potrzebujemy stukać. Stłuczcie szybę, Brackley.

W drzwiach były dwie lustrzane szyby; rozległ się odgłos tłuczonego szkła, potem Brackley wsunął rękę przez dziurę, którą zrobił łokciem, i odsunął zasuwę.

— Tfu!... — zakrzuszył się, gdy wchodzili, jeden z inspektorów. — Wpuście trochę światła i powietrza, prędko. Cuchnie jak w trupiarni.

Zgromadzeni na skwerze zobaczyli, jak podnoszą się w górę czerwone rolety i otwierają okna starego domu.

— Już trochę lepiej — powiedział jeden z inspektorów, wystawiając głowę przez okno i wciągając głęboko powietrze.— Zdaje się, że tam będzie sypialnia; może wejdiesz, Simms, a ja obejdę resztę?...

W sypialni też podnieśli roletę, a woskowoblady, wychudły człowiek leżący na łóżku zasłonił dłonią oczy przed strumieniem jasności, który zadawał mu mękę. Nie mógł sądzić, że słuch mu płata figle, bo w pokoju było dwóch policjantów, którzy pochyleni nad nim pytali, gdzie jest „ona”. Potrząsnął głową.

— Ta pani Bengough... Nazywa się Elżbieta Bengough... słyszy pan? Gdzie ona jest? Nic z tego, Brackley. Podnieście go, ostrożnie; ja tylko na chwilę wytknę głowę przez okno...

Drugi inspektor przeszukał już gabinet Olerona i nic nie znalazł, teraz był w kuchni. Odsuwał butem sięgające kostek masy odpadków roślinnych, które zawałyły podłogę. Okno kuchenne nie miało rolety i ocienione było szczytową ścianą domu znajdującego się po drugiej stronie alejki. Kuchnia wydawała się pusta.

Ale inspektor, odsuwając na bok nogą martwe kwiaty, zauważył, że ku spiżarni w kącie biegnie przetarty ślad, który nie był jego śladem. W górnej części drzwi spiżarni dojrzał małe kwadratowe drzwiczki z zasuwą. Były zamknięte.

Inspektor podszedł, ujął gałkę i odsunął drzwiczki.

Potem zrobił mimo woli krok wstecz.

W otworze, wypadając nieco ku przodowi, zanim utknęło znowu w ramach drzwiczek, tkwiło coś, co przypominało wielki, masywny pudding, zawinięty w worek z wyblakłego, brunatnoczerwonego materiału.

— Ach! — wykrzyknął inspektor.

Ażeby zamknąć znowu drzwiczki, musiałby wepchnąć tę masę z powrotem ręką; ale sama myśl o dotknięciu czegoś takiego była przykra. Nacisnął więc klamkę drzwi spiżarni. Coś tam za drzwiami ciążyło, ciążyło tak bardzo, że gdy otworzył je na szerokość trzech lub czterech cali i zajrzał do środka, musiał podeprzeć je ramieniem, by znowu zamknąć. Gdy inspektor zamknął drzwi, pozostał wystający na zewnątrz, o kilka cali od podłogi, trójkąt spódnicy w czarnobiałą kratkę.

Wszedł do małego przedpokoju.

— Wszystko w porządku! — zawołał.

Wdzieli na Olerona ubranie. Ciągle jeszcze zasłaniał się rękami przed światłem; w głowie miał straszny chaos. Działo się wiele rzeczy, których nie mógł zrozumieć. Nie mógł zrozumieć, skąd ta niezwykła płatana martwych kwiatów, które wydawały się być wszędzie. Nie mógł pojąć, skąd policjanci w jego pokoju; nie mógł zrozumieć, czemu jeden z nich został posłany po karetkę i nosze; zdawało mu się też, że po kuchni, jego kuchni, noszą jakiś ciężki przedmiot — to też było niezrozumiałe...

— Co się stało? — wybąkał sennie.

Potem usłyszał jakiś pomruk na skwerze i odgłos zatrzymującej się karetki. U jego boku był znów policjant. Oleron zastanawiał się, dlaczego, kiedy do niego coś zaszeptał, policjant buchnął potokiem słów, mówiąc, że coś tam „zostanie użyte przeciwko panu”. Postawili go na nogi i pomogli mu dojść do drzwi...

Nie, Oleron nie mógł tego zrozumieć.

Sprowadzili go ze schodów i powiedli wzdłuż alei. Oleron zdawał sobie sprawę z pomieszanych gniewnych okrzyków Pojął, że ludzie chcieli kogoś zlinczować. Potem uwaga jego skupiła się na małym, grubym człowieczku o przestraszonych oczach, który jak mu się zdawało, składał zeznania, zapisywane w notesie przez jakiegoś policjanta.

— Widywałem ją z nim... Często bywali razem... Weszła do mojego sklepu i powiedziała, że to dla niego... Myślałem, że wszystko w porządku... Numer był 111333 — mówił

mężczyzna.

Ludzie wydawali się bardzo rozgniewani; odpychali ich liczni policjanci. Tylko jeden z inspektorów miał głos, który Oleron uznał za całkiem miły i przyjazny. Mówił, żeby kogoś wsadzić do kabrioletu, zanim coś tam zostanie zabrane. Oleron zauważył, że przed bramę podjechała karetka. To chyba jego samego mieli tam wsadzić. Ale gdy go sadzano do kabrioletu, zobaczył, że ten inspektor próbował stanąć między nim, Oleronem, a czymś, co stało za powozem, zdążył jednak zobaczyć, że to coś — to były zakryte nosze. Gniewne głosy szemrały jak morze; coś twardego jak kamień uderzyło w tył kabrioletu. Inspektor wsiadł za Oleronem i stał plecami do okna, bliżej tej strony, gdzie byli ludzie. Drzwiczki, przez które wsadzono Olerona, pozostały otwarte, widocznie po to, żeby mógł wsiąść drugi inspektor. Przez otwór ten Oleron dojrzał przelotnie wśród krzaków ligustru siekierkowate deseczki z napisem DO WYNAJĘCIA. Z tekstu na jednej z nich wynikało, że klucz można otrzymać pod numerem szóstym...

Nagle gniewne szemranie głosów przycichło. Od wejściowej alejki dały się słyszeć szurające kroki i w drzwiczkach kabrioletu pojawił się drugi inspektor.

— Jedziemy — powiedział do woźnicy.

Wszedł, zamknął za sobą drzwiczki i plecami zablokował drugie okno.

Pomiędzy obu policjantami spał spokojnie Oleron. Kabriolet pojechał wzdłuż skweru, a drugi pojazd — ulicą idącą pod górę. Był to kierunek do kostnicy.

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski

MAURICE RENARD

Francuski autor fantastycznych powieści i nowel, spośród których wyróżnia się znany u nas przed wojną utwór pt. Ręce Orłaca. Maurice Renard (ur. 1875) lubował się w tematach z pogranicza biologii i eksperymentów fizycznych. Utwór poniższy (wyjęty z tomu Zaproszenie do strachu — Invitation à la peur) zatracca o groteskę pseudonaukową. Miarą nasilenia fantastyki u Renarda może być jego powieść Człowiek, który chciał być Bogiem. Opowiada ona o tym, jak w kilku różnych miejscowościach znaleziono kilka trupów tego samego człowieka...

ŻABA

Miałem wtedy lat trzynaście; zaledwie kończył się dla mnie ów okres, w którym nad dzieciństwem panuje groza ciemności i samotności. Byłem szczupłym, niepozornym chłopczykiem o drobnej twarzy i wielkich marzycielskich oczach. Z usposobienia byłem nieśmiały, wrażliwy, przeczulony, ustawicznie podlegający wzruszeniu. I już wtedy z nieodpartą siłą pociągał mnie ku sobie groźny a kuszący świat nieznanego; i ilekroć Nauka dawała na żer mej żądzy jakąś niecodzienną zdobycz albo odsłaniała niesamowicie omgloną perspektywę — doznawałem upojenia.

Kochałem tajemnicę — zwłaszcza tę, która waży się na krawędzi naszego poznania jak noc na krawędzi dnia — tajemnicę, na którą już są skierowane szkła badaczy. Kochałem, podobnie jak i dziś, to, co jeszcze nie wyjaśnione, rzeczy przyszłe, możliwe dopiero — a przede wszystkim rozkoszną, uroczą, boską Hipotezę, co we wszelkie mroki wysyłając rozliczne fantastyczne promienie, przedłuża w naszym świecie nowocześnie odzianych dżentelmenów — żywot legendy i bajki.

Lubowałem się w rozmyślaniu. Nic mnie tak nie pociągało jak owe wędrówki aż ku

ostatnim krańcom pewności; jak pochylanie się nad ziejącą opodal mroczną przepaścią; jak, rzecz by można, wyzywanie na bój potęg, których istnienie tam przypuszcza się, i drażnienie tajemnicy niby hydry zaczajonej w swej jaskini. Wtedy — z jakąś osobliwą uciechą pełną dreszczy, przenikliwą, skrytą — czułem, jak odżywają we mnie, jeno zmienione w rozkosze, dawne trwogi zarania mego życia.

Szczęśliwy okres, w którym nic prawie nie umiałem, tak że nauka gotowała mi tysiączne, sprzeczne z sobą zachwyty, a każdy dzień przynosił swe odkrycie i swoją zagadkę.

Niech mi będzie wybaczone, iż się tak rozwodzę nad charakterystyką swego temperamentu. Uważam bowiem za niezbędne dla właściwego osądzenia faktu opowiedzianego przez bezpośredniego świadka — dokładne przedstawienie psychiki tego świadka. Należy wiedzieć, przez jakiego rodzaju szklą dane zjawisko zostało zaobserwowane. W przeciwnym razie — wszelkie omyłki mogą się zdarzyć, od omyłki sądowej do naukowej. Jeżeli więc mówię o sobie — to dlatego, iż byłem głównym świadkiem zdarzenia poniżej opisanego. A niewątpliwie niczego nie można zaniedbać w dziedzinie oświetlenia psychologicznego — gdy chodzi o zreferowanie tak subtelnie zawikłanego osobliwego faktu, jakim była śmierć pani Chablas.

Rodzice moi, przekonani, iż najsmadniej służą memu szczęściu, oddali mnie do szkoły pod wezwaniem Jana Jakuba Rousseau. Był to kosztowny internat, wybudowany w sąsiedztwie dużego miasta, na wybrzeżu normandzkim. Uczniów mógł pomieścić nie więcej niż sześćdziesięciu. Uprawiano tam sporty i oddawano się robotom ręcznym. Nauka na tym nie cierpiała i muszę przyznać, iż w tych warunkach pobyt w owym zakładzie nie był bynajmniej ponury.

Lecz ja dotychczas nigdy nie opuszczałem rodzicielskiego domu, gdzie mnie kolejno różni specjaliści przychodzili uczyć i, mimo wszelkie zalety szkoły im. Jana Jakuba Rousseau, trudno mi było przywyknąć do raptownej zmiany środowiska. Oddalony od swoich, pozbawiony czułości macierzyńskiej, wrażliwy na każde zetknięcie się z rygorom szkolnym oraz z poufałością koleżeńską, szukałem samotności wyzyskując każdą po temu sposobność i chociaż regulamin tego zabraniał, często udawało mi się umykać do swego pokoiku i tam delektować się cierpkimi pierwocinami nostalgii.

Były to jak gdyby schadzki z samotnością. Z góry już miałem wybrane jakieś dobre wspomnienie z rodzinnej przeszłości i rozkoszowałem się nim żarliwie, aż dopóki złudzenie pierzchało z nasyconego umysłu — albo dzwon oznajmiał powrót do klasy.

Nadto izdebka moja posiadała całkiem inny jeszcze urok — urok, którego potęgi nie podejrzewałem jeszcze, a który przecież zaczynał stopniowo na mnie oddziaływać i chwycił mnie tak mocno, że dziś w to właśnie wspomnienie rad jestem chronić się jako w najczystszy i najbardziej tchnący świeżością zakątek mej młodości. Pokoik ten (numer 2) mieścił się na drugim piętrze. Okna wyzierały na ocean. Poza drzewami dziedzińca — będącego prawie ogrodem — widać było długą prostą linię horyzontu, gdzie co wieczór zapadało się słońce. Szczyty skał nadmorskich widniały nad dachami zabudowań szkolnych. Było to widowisko pełne dostojeństwa i głębi; ocenić je w pełni miałem dopiero w przyszłości; od początku zaś przyglądałem mu się, party skrytym impulsem.

Nie byłbym zresztą dzieckiem, gdybym nie był doznawał zakazanej rozkoszy wymykania się wszelkiemu nadzorowi i możliwości obserwowania z ukrycia przez półprzymknięte żaluzje poczynań bliźnich, jak mi się to zdarzyło w ów dzień słoneczny, ów tragiczny dzień żaby, którego data jest wypisana na mogile pana i pani Chablas.

Powiem teraz, kim byli państwo Chablas, przedtem zaś jeszcze — kto to był Mourgue.

Mourgue, dyrektor szkoły, był trzydziestoletnim absolwentem uniwersytetu. Miał cerę nieświeżą, brodę brunatną, włosy bujne. Oczy jego żywo błyszczały zza szkieł binokli. W ubiorze był zaniedbany. Uchodził (dowiedziałem się tego szczegółu, wraz z innymi, nieco później) za dość wybitnego fizjologa, lecz przeszkodą w badaniach była mu ustawiczna potrzeba pieniędzy, którą ze wściekłym uporem usiłował zaspokajać. Człowiek ten, istotnie, był

obciążony okropną namiętnością — nałogiem gry — i kasyno sąsiedniego miasta pochłaniało kolejno wszystkie dochody, jakie mu przynosił jego zakład. Oto był Mourgue. Co się nas tyczy, nie żywiliśmy doń bynajmniej antypatii, traktował nas bowiem życzliwie, jak przystało na sędziego świadomego wszelakich słabości rodzaju człowieczego.

Matka jego po powtórnych zamążpójściu nosiła nazwisko Chablas. Państwo Chablas mieszkali w gmachu szkolnym. Pani Chablas, rozmiłowana w synu i wciąż drżąca przed skutkami jego nieuleczalnego nałogu, przysięgła sobie, że go opuści dopiero w ostatecznym momencie, gdy trzeba będzie wszystko na tym świecie opuścić.

Państwa Chablas przewaliliśmy Filemonem i Baucis. Każde z nich liczyło po pięćdziesiąt dziewięć lat, a mimo podeszłego wieku trwali bez fałszywego wstydu we wzajemnej adoracji.

Miłość ta, acz wzruszająca, miała w sobie sporą dozę komizmu; a wrażenia tego zewnętrzny wygląd zakochanej pary bynajmniej nie osłabiał.

Edgar Chablas — „Filemon” — był bardzo eleganckim, starannie uszwarcowanym i wypomadowanym *vieux beau* *. Swój piekielnie czarny zarost nosił a la Jules Simon: krótki wąs i broda okalająca cały owal twarzy. Lśniący płat włosów, „zapożyczony” znad potylicy, rozpościerał się na łysinie. Poczciwy, spokojny człeczyna, uśmiechał się niezmordowanie zgoła, jak gdyby jego sztuczne szczęki na powszechny zasługiwały zachwyt. Ucieszenie nam było patrzeć, gdy przechodził gościńcem, wyświeżony, we wdzięcznie przechylnym kapeluszu fioletowym; krawat zawiązany a la Collin, jasne getry na nogach; ręce w tył założone balansowały laseczką, co upodobało go do wahadła.

Edgar Chablas robił wszystko, co mógł, by nie być głupcem. To już bardzo wiele. Niemniej biedaczysko nie mógł się pochwalić zbyt świetną karierą życiową. Zwierzał się każdemu, że jakaś osobliwa fatalność narzucała mu wieczne półśrodki i nieuniknione spółki. Nawet urodzić się indywidualnie nie było Filemonowi sądzone; zjawienie się brata — bliźniaka osłabiło doniosłość tego występu. Pan Chablas skarżył się otwarcie, iż nigdy nie udało mu się zdziałać czegoś ważkiego — bez udziału współpracownika. Ze zdziwieniem stwierdzał, że zawsze zamieszkiwał w nieruchomości oznaczonej przypadkowo numerem bis lub ter. „Wreszcie, powiadał, ożeniłem się z wdową. I zobaczycie, przekonacie się, że i do grobu nie złożą mnie samego!” Przeświadczenie dziwaczne, acz nie pozbawione podstaw, któremu też los nie odmówił potwierdzenia.

Zaznaczmy zresztą, iż pan Chablas przystosowywał się do swej szczególnej roli człowieka-dubleta, na czym wychodził wcale niezgorzej: symbioza z pewnym finansistą nader wydatnie zaokrągliła jego majątek, a pani Chablas, mimo faktu wdowieństwa po panu Mourgue — seniorze, darzyła go miłością równie piękną, jak leciwą.

Pani Chablas — „Baucis” — bynajmniej nie ustępowała swemu kochanemu drugiemu małżonkowi pod względem dbałości o wygląd zewnętrzny. Była z pokolenia owych starych wykrygowanych dam, które od ustawicznego ściskania się gorsetem osiągają w nagrodę talię niesłychanie cienką i sztywną. Chodziła, rzekłbyś, całą postacią na raz, wyprostowana, niemniej — mimo stoickich wysiłków — z przygarbionymi plecami. Jej wyniszczone ręce były od samego rana ozdobione mnóstwem pierścieni. Rozłożysta koafiura uzupełniona sztucznymi wałkami, żółta i bez połysku, nadawała nieproporcjonalne, fantastyczne rozmiary jej głowie, na którą Baucis, wychodząc z domu, ładowała imponujące kombinacje piór, wstążek, tiulów i świecidełek. Gdyś się do niej zbliżał pod wiatr, potężna fala zapachu *chypre* terroryzowała ci nozdrza, chociaż sama jejmość była jeszcze w takim oddaleniu, iż na obliczu jej bardzo niewyraźnie znaczyła się gruba maska szminki, którą było otynkowane. Krzykliwe te kolory sprawiały wrażenie raczej jakiejś kraszanej kukły aniżeli istoty żywej. Gdy dama otwierała usta — osobliwie czarna czeluść wybuchała wśród cynobru jej warg. Niesamowitego efektu dopełniało jeszcze w tej dziwacznej fizjonomii to, że pani Chablas ustawicznie wyba-

* *Vieux beau* (franc.) — przystojny starszy pan.

łuszała przerażone oczy, skutkiem czego wydawała się zawsze zagrożona jakimś niebezpieczeństwem.

Państwo Chablas! Gdy ich wspominam, wyrasta mi przed oczyma groteskowy obraz przekazany mojej dziecięcej pamięci. Wiek ten jest bezlitosny. Dziś, gdy pomyślę, że państwo Chablas kochali się bezgranicznie; że kochali się zawsze i tak mocno, iż jedno nie zdołało przeżyć drugiego; gdy powiadam sobie, że wszystkie te mizerne zabiegi, cała owa parada nieszkodliwej kokieterii rozpaczliwie zmierzały jedynie do przedłużenia dla tej drugiej istoty odrobiny uroków, jakie ją były niegdyś podbiły... — nie umiem już skojarzyć wspomnienia tej pary pajaców z pojęciem tak bezcennie rzadkiej czułości.

Powiadano, że pan Chablas był milionerem i że zakład im. Jana Jakuba Rousseau jemu zawdzięczał swe powstanie. Było to zupełną prawdą, jak to stwierdziłem później. Przystąpienie pana Chablas w charakterze cichego wspólnika do tego interesu odbyło się na skutek gorących prośb pani Chablas, gdy szczipła ojcowizna stopniała w palcach gracza. I jestem przekonany, że pani Chablas odniosła to zwycięstwo po długich wysiłkach, bowiem pan Chablas — jak to później wykazały okoliczności — znosił swego pasierba jedynie ze względu na zacną niewiastę usiłującą być między nimi łącznikiem. Istotnie, tylko matka mogła rozgrzeszać tego utracjusza, marnującego wyjątkowe zdolności dla zaspokajania najfatalniejszej pasji.

Czyż więc Mourgue lekceważył naukę? Nie sędzę. Widziałem go wykładającego fizykę, chemię, historię naturalną.

Wnosił w swoje wykłady zapał i polot niepospolity. A zresztą, któż może tu być pewien istoty rzeczy? Czyliż można utrzymywać, że w samotnych godzinach w swym gabinecie Mourgue studiował jedynie „niezawodne” systemy gry? Nie pozostawił po sobie schedy naukowej; czegoż to dowodzi?... Ja trwam w niepewności. Ze względu na żabę.

Opowiem teraz o żabie.

Słuchacze oddziału humanistycznego i oddziału matematycznego zbierali się razem na wykłady nauk przyrodniczych; i corocznie Mourgue powtarzał przed nimi doświadczenia Galvaniego, polegające na pobudzaniu prądem elektrycznym mięśni nieżywej żaby. Lecz nasz dyrektor demonstrował ten eksperyment w sposób tak efektowny i, sędzę, tak nowy, że doświadczenie z żabą miało wielką sławę wśród wychowanków szkoły im. Jana Jakuba Rousseau. Kto już je był widział, płonął pragnieniem zobaczenia go znowu. Rozprawiano o nim już zawczasu, niby o jakimś dorocznym święcie, a w owym uroczystym dniu pod oknami uprzywilejowanej sali tłoczyła się gromada zaciekawionych dzieciaków. Ten korzystał z rekreacji, tamten wymknął się z „ciupy”, ów zdezerterował z izby chorych. Profesorowie w tej sytuacji nie okazywali zbyt surowości. Mourgue, pełen wyrozumiałości, udawał, że nic nie zauważa i, pochylony nad stołem, wywoływał klasyczny cud.

Prawdę powiedziawszy, leżały tam trzy żaby odpowiednio spreparowane.

Jedna, właściwie sama tylko dolna część tułowia, przytwierdzona była łądkami do korkowej deszczułki.

Jako źródła energii Mourgue używał ogniwa Volty.

Umocowawszy na dwu biegunach aparatu dwa druty miedziane i chwyciwszy wolne ich końce, rozpoczynał pokaz tradycyjnym tańcem owej nieszczęśliwej pary zadnich łapek żabich, które się kurczyły i wyciągały pod działaniem prądu. Potem następowało demonstrowanie miografu. Wreszcie Mourgue zabierał się do trzeciej żaby i łączył z baterią ów giętki przewodnik przenikający w ciele zwierzęcia do jakichś tajemniczych centrów.

Tego momentu oczekiwaliśmy wszyscy z lękliwą niecierpliwością.

Natychmiast po zamknięciu obwodu cztery łapy galwanizowanej żaby zginały się pod tułowiem, po czym następowała seria podskoków, do złudzenia przypominających ruchy żywego stworzenia; konwulsyjnie, ale rytmicznie trupek poruszał się w sposób wręcz wstrętne naturalny. Mourgue, trzymając aparat, postępował za straszną żabą, jak gdyby wodził ją na

smyczy. Wędrowała tak aż do końca stołu — potworny mętności automat laboratoryjny; z chwilą, gdy Mourgue przerywał prąd, nieszczęsna żaba padała nagle, jak gdyby skonawszy na nowo, i rzekłbyś, że Mourgue mógłby rzeczywiście ją wskrzesić, by ją zabić raz jeszcze, i jeszcze, bez końca...

Tak, miałem trzynaście lat, kiedy po raz pierwszy to zobaczyłem — przez szyby klasy... Obok mnie pan Bernardi, świeżo zaangażowany gospodarz klasowy, trwał w zachwycie... Ja jednak nie mogłem dłużej patrzeć na tę scenę. Nie starczyło mi nerwów. Zrobiło mi się słabo i odwróciłem się, wstrząśnięty do głębi.

Spostrzegłszy, co się ze mną dzieje, pan Bernardi usadził mnie na występie muru. Otoczyło mnie kilku uczniów, a Mourgue, który niebawem wyszedł z klasy po skończonym wykładzie, został powiadomiony o tym, co zaszło.

— Chodź no ze mną — zwrócił się do mnie łaskawie. — Wypijesz kieliszek wina i wszystko minie. No, jazda, chodź, mój chłopcze.

Udałem się za nim.

Mourgue wraz z matką i ojczymem zajmował pierwsze piętro środkowego budynku, w głębi dziedzińca; na parterze mieścił się sekretariat i jadalnia, na drugim zaś i trzecim — nasze izdebki. Najpiękniejsze pokoje tego apartamentu łączyły się oszklonymi drzwiami z obszernym balkonem ciągnącym się wzdłuż całej fasady. Tam mieliśmy często sposobność oglądania pani Chablas. Krzątając się około swych spraw domowych, posługiwała się balkonem dla przechodzenia z pokoju do pokoju, jeżeli w salonie interesanci oczekiwali przybycia Mourgue'a. Widok ten był dla nas ogromną uciechą, przyglądaliśmy się zjawianiu i znikaniu wystrojonej Baucis tak ciekawie — jak owym kolorowym figurkom, co z uderzeniem godziny na wieży kościelnej wychodzą z szafki starego zegara, defilują z powagą i wracają do swego domku przez drugi otwór.

Była dziesiąta rano. Z półpiętra płynęła wrzawa kuchenna. Wspięliśmy się po schodach. Mourgue wprowadził mnie do salonu, stamtąd zaś do stołowego.

— Siądź, proszę.

I skierował się ku wpółzamkniętym drzwiom z widocznym zamiarem zamknięcia ich.

Wiedziałem dobrze, że tam, obok stołowego, mieścił się pokój państwa Chablas. Mourgue wydawał się zdziwiony, iż zastał owe drzwi otwarte. Rzucił okiem do wnętrza — i nagle skoczył naprzód, zatraskując drzwi za sobą.

Przez dłuższą chwilę pozostawałem zdumiony, zakłopotany, usiłując przez zgiełk dochodzący z kuchni i dziedzińca (była przerwa między wykładami) złowić uchem ślad tego, co działo się za drzwiami. Lecz oto niebawem drzwi otworzyły się na nowo, właściwie odchyliły się tak, że ukazała się w nich sama tylko głowa mego dyrektora. Był blady, przerażony i zdławionym głosem rzucił mi:

— Idź stąd, mój chłopcze... Wypadek... Tu nie dla ciebie miejsce...

Dodał coś tam jeszcze o lekarstwie i infirmerii. Nie wiem doprawdy, czy posyłał mnie do infirmerii, żebym zażył tam lekarstwo, czy też miałem powiedzieć, by mu lekarstwo przyniesiono... Nie słyszałem już nic. Byłem przerażony i mknąłem z gorączkowym pośpiechem.

Na dziedzińcu zabawy i gonitwy trwały w najlepsze. Pan Bernardi przechadzał się w cieniu platanów wraz z drugim gospodarzem klasowym, opowiadając mu z ożywieniem zapewne o studiach prawniczych, którym się gorliwie oddawał.

— Proszę pana! — wybełkotałem, przybiegłszy do pana Bernardi — tam u dyrektora, w pokoju państwa Chablas, coś się stało!... Nie wiem co... Jakiś wypadek!

Spojrzeli kolejno na mnie i na okna mieszkania dyrektora. Poszeptali coś między sobą i po chwili wahania ruszyli w drogę.

Nie potrafię wyjaśnić, jak się stało, że ciekawość zwyciężyła trwogę i że udałem się za nimi. Lecz wspomniałem już o tym, jak atrakcyjnie działała na moją naturę tajemnica.

W chwili naszego wejścia do salonu ujrzeliśmy w nim Mourgue'a wchodzącego przez

lewe drzwi.

— Mój ojczym umarł! — oznajmił z gestem tragicznym.

Podążyliśmy za nim, krocząc w skupieniu.

Pan Chablas, starannie odziany od stóp do głów, czyściutki, siedział w głębokim fotelu. Nie uśmiechał się już. Cień nicości znaczył jego blade oblicze.

— A moja biedna matka! Biedna moja matka! — rzekł Mourgue. — Szaleje z bolesti!... Zostałem ją przy nim półprzytomną, osłupiałą; nie pojmowała, co się stało, nie chciała dać temu wiary... A gdy zrozumiała, nagle uciekła w drugi koniec mieszkania! Zamknęła się tam... Ach! muszę ją przecież wesprzeć, dodać jej sił! Powinna mi wreszcie otworzyć.

Za czym, zdradzając najwyższy niepokój i gorączkowe podniecenie, Mourgue opuścił pokój i wrócił tam, skąd był wyszedł. Przez amfiladę pokojów usłyszeliśmy, jak pukał do drzwi swego gabinetu i mówił tonem słodkiej perswazji:

— Mamo, wpuść mnie... Nie zostawaj sama! No, proszę, bądź rozsądna... Otwórz!

Pani Chablas zdawała się nie odpowiadać. Mourgue wrócił zrezygnowany, lecz nieco spokojniejszy.

— Płacze — oświadczył nam. — Wolę to. Słyszałem, jak płakała... Sądzę, iż trzeba na razie pozostawić ją w spokoju.

Służąca wróciła z targu. Usłyszana wieść przeraziła ją. Mourgue zabronił jej przeszkadzać pani Chablas... Nagle zdał sobie sprawę z mojej obecności.

— Och, panowie, to dziecko — tutaj!

Nie czekałem dalszego ciągu i oddaliłem się spiesźnie, pełen zmieszania; w uszach natrętnym brzęczeniem brzmiała mi ta wymówka, rzucona tonem znużenia.

Zadzwieczał dzwon.

Wszystko odbyło się według normalnego programu — tylko wśród głębokiej ciszy, utrzymanej przez pedłów.

Co do mnie, niezdolny do skupienia uwagi na wykładach, wciąż rozmyślałem o dramatycznych wydarzeniach, które mną tak silnie wstrząsnęły. Groza śmierci prześladowała mnie. Jakież to straszliwe widmo w trzynastym roku życia!

I w jakim niesamowitym świetle ukazało mi ją doświadczenie Galvaniego! Mimo woli, wyznać muszę, mniejsze na mnie wrażenie wywierał zgon pana Chablas niżeli owe pokazy galwanizacji dokonywane przez Mourgue'a; i spośród trupów, jakie widziałem od rana, to nie trup człowieka najuporczywiej napastował mój umysł.

Po lekcjach natychmiast postarałem się zasięgnąć języka o tym, co działo się u naszego dyrektora. Dowiedziałem się, że ustawiono w pokoju katafalk oraz że pani Chablas wciąż odmawiała wyjścia z pracowni, do której jej syn wreszcie wszedł drzwiami balkonowymi.

W ciągu całego popołudnia spojrzenia moje ustawicznie zwracały się ku temu głuchemu szeregowi oszklonych drzwi zaciągniętych białymi firankami. W ostatnich na lewo majaczyły nikłe płomyki dwóch świec. Za ostatnimi na prawo — drzwiami pracowni — wyobrażałem sobie wśród dobrze mi znanego malowniczego nieładu tej izby pełnej ksiąg, papierów i przyrządów — nieszczęsną Baucis, łkającą na ramieniu Mourgue'a i upierającą się tkwić tam, z dala od swego Filemona.

Pod wieczór uczułem wielkie znużenie. W rozkładzie dnia przed obiadem wypadła pauza czterdziestopięciominutowa. Skorzystałem z niej, by odłączyć się od życia zbiorowego, i cichaczem udałem się do swego pokoiku.

Wszystko tam trwało w kojącym spokoju, pogrążone w ciepłe i półcieniu. Odchyliłem z lekka żaluzje; przez szparę ukazał się pełen dostojeństwa obraz morskiego zachodu słońca.

Może to to właśnie pociągnęło mnie tu, żadnego owej tajemniczej pociechy spływającej na człowieka ze skarbnicy piękności natury.

Słońce było już tak nisko, że widziałem, jak staczało się ku linii horyzontu z wzrastającą, rzekłbyś, szybkością, z jakimś rozkosznym pośpiechem, jak gdyby je morze wabiło do

siebie. Wśród fal, rozdzielając ich ruchliwy przestwór, słał się wspaniały kobierzec, jak by zapraszając je, by nie kryło się, lecz raczej przeszło z wybrzeży niebios ku wybrzeżom oceanu.

Z tej ekstazy wyprowadziły mnie niewyraźne hałasy, które mi przypomniały, iż gabinet dyrektora mieści się pod moim pokojem. Fakt ten wtrącił mnie na nowo w orbitę owego makabrycznego dnia. Przywarłszy uchem do ściany, przez kilka minut przysłuchiwałem się bezskutecznie, po czym, usłyszawszy, że otwierają się oszklone drzwi, wychyliłem się na zewnątrz. Na dole, tuż naprzeciwko mnie, uczniowie pierwszego oddziału szykowali się w dwuszyreg, aby pomaszerować do refektarza. Podobnie jak i ja, ujrzeni oni panią Chablas, wychodzącą z gabinetu.

Biedna niewiasta wydawała się zdruzgotana. Szła pochłonięta swym smutkiem, jak gdyby obca wszystkiemu dokoła, krocząc niepewnie. Potężna fala zapachu *chypre* wionęła ku mnie.

Ha. zdecydowała się nareszcie na spełnienie swego wdowiego obowiązku! Biedna, biedna pani Chablas! Najwidoczniej jeszcze się ociągała, prężyła. Lecz nic już snadź nie mogło zmienić jej wędrowki somnambuliczki partej do strasznego celu. I nic nie mogło złagodzić niesamowitego wzruszenia, jakie wywierał na mnie widok tej pocziwej staruszki zmierzającej do tamtego pokoju! Nic: ani groteskowe szminki, jakimi wciąż jeszcze była umazana; ani klejnoty na jej zwisających bezwładnie rękach; ani pretensjonalne akcesoria jej niebieskozielonej sukni; to wszystko, co wywoływało zawsze tyle drwin i konceptów!

...Tuż pod swym oknem usłyszałem jakiś lekki szelest... Odwróciłem spojrzenie od pani Chablas i wówczas ujrzałem coś, czego moi koledzy nie mogli zauważyć z dołu, mianowicie długi, giętki drut, który włókł się za panią Chablas i którego drugi koniec ginął w drzwiach pracowni.

Zanim jednak zdążyłem pomyśleć cośkolwiek, ujrzałem finał dramatu. Oto pani Chablas, bez jednego jęku, nagle, raptownie padła.

Rozległy się krzyki przerażenia. Natychmiast wbiegł na balkon Mourgue. Cofnąłem się śpiesznie. Za nic w świecie nie chciałem, by mnie zauważył! Nie, za nic! Oh, w danej chwili było to dla mnie kwestią życia i śmierci. W owej bowiem chwili miałem pewność, że widziałem!

Zęby mi szczękały. Zdjęty daremnie tłumioną paniką, drżałem na całym ciele.

Ostrożnie wymknąłem się na dół. Zmieszałem się z tłumem kolegów. Powtarzano sobie z ust do ust wieść o nagłym zgonie pani Chablas. Mourgue podniósł z ziemi już tylko trupa. Zwierzał się, że wyczerpany znużeniem zasnął w gabinecie u boku matki; pani Chablas wyszła sama, nie zbudziwszy go; teraz nieszczęsny dyrektor był w rozpacz, że zbudziły go dopiero okrzyki uczniów.

W miarę jak dochodziły mych uszu te wyjaśnienia, prawdopodobieństwo ich narzucało się memu rozsądkowi, osaczały mnie wątpliwości i pełne grozy zdumienie, jakie mną było owładnęło, ustępowało miejsca bezładnemu ciągowi sprzecznych rozważań. Byłem zbyt nerwowy, by móc opanować sytuację, za młody, by koordynować swoje przesłanki, do nikogo zaś nie byłbym się zwrócił, aby rozwikłać ten chaotyczny węzeł. Chwilami konstatowałem niewyraźnie, do jakiego stopnia podziałało na mnie doświadczenie Galwaniego udoskonalone przez Mourgue'a, jak uporczywie ta wizja wrażała się we wszystkie moje myśli — i wtedy traciłem wszelką ufność we własne sądy. To znów, odwrotnie, owa scena balkonowa powtarzała się z niebywałą precyzją na ekranie mej pamięci; zagadkowy drut ciągnął się za panią Chablas; widziałem, jak padała bezwładnie; rozmyślałem: jakiegoż to fluidu tak nagle jej zabrakło (czy elektryczności, czy życia?) i kto przerwał był prąd (Mourgue czy Bóg?)... Potem chmara argumentów na temat galwanizacji zwłok pani Chablas atakowała mój mózg, który pod ich naporem przestawał na moment funkcjonować... Tak w baterii pęcherzyki gazu osiadają na biegunie ujemnym, polaryzując go.

Dziś, po latach, mogę już skoordynować szereg faktów niewątpliwych, które owego wieczora przedstawiały mi się dość mgliście: istnienie owego drutu, jego niewidzialność dla świadków zgrupowanych na dziedzińcu; przeświadczenie Mourgue'a, iż nie było żadnych innych świadków mogących rzecz obserwować z górnych pięter; równoczesność wyjścia na balkon pani Chablas i uszeregowania się uczniów na wprost balkonu; dystans niemożliwy do przebycia (przynajmniej w sposób szybki) pomiędzy widzami na dole a widowiskiem na balkonie; chód osobliwie automatyczny pani Chablas; zapach jej perfum, w owym momencie silniejszy niż kiedykolwiek; jej zgasłe spojrzenie (którego zresztą ze swego punktu obserwacyjnego nie widziałem dokładnie); warstwa szminek, mogąca maskować trupa bladość; wreszcie fakt, że cały zakład posiadał własne oświetlenie elektryczne i stąd wniosek o możliwości łatwego czerpania prądu o znacznym napięciu. Otóż Mourgue przecie długo tkwił zaryglowany w swej pracowni, mogąc tam swobodnie kusić się o zastosowanie do galwanizacji ciała ludzkiego przyrządu swego wynalazku. A wszak w porywie egzaltacji — być może udanej — odprawiał wszystkich, aby pozostać z matką sam na sam.

Wszystko to składało się na nader wyrazistą całość, o niezachwianej logice.

Lecz z drugiej strony nic właściwie nie przeczyło najnaturalniejszej interpretacji wydarzenia. Przede wszystkim należy pamiętać, iż w pracowni Mourgue'a znajdowało się niezwykle mnóstwo rozmaitych przyrządów. Pełno tam było przewodników elektrycznych; zalegały całą podłogę te druty, niektóre ogromnie długie, kręte, tu i ówdzie pogmatwane śród czopów, trzpieni i tulejek, łącznie mogących zaczepić o tren sukni. A wiadomo, kobieta przytłoczona boleścią o niczym innym przecie już nie myśli... Nadto, jak już wspominałem, chód pani Chablas zawsze miał w sobie coś mechanicznego; rozpacz, tortura moralna zupełnie wystarczająca tłumacząc fakt, iż się ta cecha zaznaczyła jeszcze dobitniej... Również i uszminekowanie twarzy nie było u niej bynajmniej nowością... Wreszcie — jakżeż cel miałby Mourgue w owym oficjalnym opóźnieniu chwili zgonu swej matki? Tego podówczas nie umiałem dociec, nie przywiązując też do tej kwestii należytej wagi — ponieważ byłem wręcz przerażony potwornością tej hipotezy.

Kwestia ta, w gruncie rzeczy, pozostała otwarta dla dziecka, którym byłem, jak obecnie dla dorosłego mężczyzny, którym jestem.

Byłaż to osoba żywa, której śmierci zostaliśmy świadkami?

Gdzie nastąpił był zgon pani Chablas?

Czy stało się to na balkonie, jak myślą oczywiście wszyscy?

Czy też w pracowni? Czy się tam istotnie schroniła, pełna nieukozonej rozpacz? Czy opuściła ją nie jako żywa istota, lecz jako zewłok galwanizowany i pilotowany przez profesora Mourgue?

A może raczej stało się to właśnie owego ranka — w sypialni państwa Chablas? Syn zastał ją martwą u boku martwego męża i przeniósł do swego gabinetu, podczas gdy poszedłem zawiadomić pana Bernardi? A w takim razie kto z nich umarł pierwszy: Filemon czy Baucis?

Jako żywo, nic nie wiem. I gdyby mi był powierzony sąd w tej sprawie, nie polegałbym na zeznaniach nadwrażliwego dziecka — chociaż to dziecko było mną samym.

„Sąd? — powiecie. — Czyżby kodeks przewidywał jakąś karę za takie czyny? Zapewne czyny to świętokradcze i makabryczno-cyrkowe, mogą wszakże znaleźć wytłumaczenie w ciekawości uczonego. No i należy w końcu stwierdzić, że nikomu nie szkodzą — w sensie prawnym!”

Nikomu? Tak mniemacie?... Posłuchajcie raczej tego fragmentu dialogu podsłuchanego przeze mnie w kilka dni po śmierci małżonków Chablas między panem Bernardi (studentem prawa) a panem Lafont.

— Mówią o milionie dwu tysiącach franków! — rzekł pan Bernardi.

— I Mourgue otrzymuje wszystko? — zapytał pan Lafont.

— Wszystko! Syn jednak... Ten może sobie powinszować szczęśliwej ręki! Gdy się pomyśli, iż jeszcze rano w dniu swej śmierci pani Chablas nie miała ani grosza!...

— Jakże to?

— Uważajcie, Lafont. Pan Chablas nie miał żadnych spadkobierców poza swoją małżonką. Należy pamiętać, że Mourgue nie był z nim wcale spokrewniony oraz że nieboszczyk nie pozostawił testamentu. Na to więc, by Mourgue posiadał fortunę swego ojczyma, konieczne było, by ją odziedziczyła pani Chablas, a następnie — po niej — jej syn...

— A zatem — wykrzyknął pan Lafont — gdyby pani Chablas była zmarła przed panem Chablas, majątek jego przeszedłby na rzecz Skarbu Państwa? I Mourgue nie otrzymałby nic?

— Tak jest. Lecz wystarczyło, w danym przypadku, by pani Chablas zmarła równocześnie z mężem, bądź też by okoliczności nie pozwalały na stwierdzenie w sposób niezbity, kto kogo wyprzedził w wymarszu na tamten świat.

— Doprawdy?

— To się nazywa: domniemanie w przypadku równoczesnego zgonu. Mówi o tym artykuł 722 Kodeksu Cywilnego. „Jeżeli zmarli współcześnie mają po lat piętnaście ukończonych oraz mniej niż lat sześćdziesiąt — w przypadku gdy oboje są w równym wieku, bądź też gdy różnica wieku nie przekracza jednego roku, zakłada się zawsze, iż mężczyzna przeżył swą towarzyszkę”. Tak się właśnie rzecz miała tutaj.

— Rzeczywiście — zakonkludował ze śmiechem pan Lafont — w tych warunkach Mourgue, można powiedzieć, cudem się wymigał! Drobną zmianą o kilka godzin...

— A dama pikowa straciłaby niezgorszy posążek — dokończył pan Bernardi.

Było to ostatnie echo tej mętnej i dramatycznej historii. Mourgue długo jeszcze żył w dobrobycie. Mimo swego bogactwa nie porzucił kierownictwa szkoły imienia Jana Jakuba Rousseau; w dalszym ciągu też wykładał tam nauki przyrodnicze; i co roku demonstrował swym uczniom doświadczenie Galwaniego.

Przyglądałem się zawsze temu eksperymentowi przez szyby, aż wreszcie i na mnie przyszła kolej zasiąść na ławie wewnątrz klasy. Ale wtedy byłem już co nieco zblazowany wobec owego tylokrotnie oglądanego cudu; z każdym dniem wzrastał we mnie spokój i opanowanie osób dorosłych; doświadczenie z żabą już mnie nie zaciekawiało.

Przełożył Gabriel Karski

ALFRED EDGAR COPPARD

Niewiele dobrego zaznał w dzieciństwie, oddany do terminu w dziesiątym roku życia, syn krawca z prowincji, Alfred Edgar Coppard (ur. 1878). Był dociekliwym samoukiem, zamiast pogłębiać w Londynie wiedzę fachową, pogrążył się w lekturze poezji. Szukał różnych środków zarobkowania — był zawodowym lekkoatletą, drobnym urzędnikiem. Dopiero mając lat przeszło czterdzieści ogłosił swój pierwszy tom opowiadań pt. Adam and Eve and Pinch Me, którym zdobył sobie od razu znaczną popularność. Poza tym tomikiem, z którego wybraliśmy tytułowe, subtelne opowiadanie, pełne uroczej symboliki, Coppard wydał jeszcze sporo wierszy, cenionych przez angielskich krytyków, i dalsze zbiory opowiadań, m. in. Skrzypki handlarza ryb (Fishmonger's Fiddle) i Pole gorczycy (The Field of Mustard).

ADAM, EWA I... CO, U LICHA!

...Nigdy, chyba jeszcze nigdy w życiu — powtarzał sobie w duchu — o wczesnym zmierzchu miły krajobraz wiejski nie był przepojony tak wspaniałym światłem, tak cudownie

rozkwitłą jasnością...

Czuł, jak duszę i ciało przenika mu ten sam kryształowo-światlisty strumień, który rozlewał się po okolicy. Myśli i wyobrażenia snuły mu się po głowie jak ryby w sadzawkach; przychodziły łatwo i od niechcienia. Leniwe — za temat podjęty jego rodzinne nazwisko. Było ono takie przyjemnie dziwaczne jak całe to dzisiejsze rozświetlone niebo, że aż uderzyło go, jako coś dosyć znamiennego.

Co mogło oznaczać, wyrażać lub symbolizować takie nazwisko? Było dość dziwne, ale przecież harmonijnie brzmiące!

W chwilę potem znów jego rozedrgana wyobraźnia jak ryba przemknęła na inne płycizny i zaśmiał się przystając, by popatrzeć na pączki kwiatów wyglądające spośród paproci.

Wracając w stronę domu widział ponad jego dachem smukłą wieżę kościoła, wielobarwną jak bełt strzały. Wszędzie dokoła nową świetnością tchnęła trawa łąk, a nieliczne drzewa rzucały cienie, które zdawały się podpierać je od dołu jak cokoty — bardziej rzeczywiste niż same drzewa. Groble i przypadkowe wypukłości poziomych skądinąd łąk zaznaczone były, jak gdyby w celu szczególnego zaakcentowania, długimi cieniami o tajemniczej czerni.

Z leciutkim dreszczykiem emocji, jaka i dawniej nawiedzała go w obliczu ekstatycznego cudu czystości światła, Codling * przecisnął się przez szczelinę w żywopłocie i znalazł się w tylnej części swego własnego ogrodu. Pracował tam właśnie ogrodnik. Słychać było głosy dzieci biegnących po trawniku z przeciwnej strony domu.

Codling czuł się bardzo szczęśliwy. Posiadłość była piękna. Biała, ładna willa o wielu oknach wznosiła się wśród trawnika obrzeżonego krawężnikami z ubitej ziemi, ze strzelistymi kępami krzewów, nad którymi górował rozłożysty orzech włoski. Willa miała nisko zwisające czyste okapy, dach pokryty lekko zabarwionym łupkiem, który po deszczu lśnił nikło pod czerwonymi kominami jak onyks lub jaspis. Z jednej strony domu znajdował się balkon otoczony czarną balustradą.

Przez otwarte francuskie okno Codling wszedł wprost do jadalni. Nikogo w niej nie zastał i na moment ogarnęło go dziwne uczucie, że znalazł się w pustce. Zegar tykał, jak gdyby przyłapany na gorącym uczynku; panowała tu duszność i mrok w porównaniu ze wspaniałością aury na zewnątrz.

Tak, więc od razu pójdzie na górę do swego gabinetu i spróbuje przekazać swojej nowej książce wspaniałe, bogate pomysły i obrazy — plon tego cudownego popołudnia.

Podszedł do schodów, by wejść na górę; minęła go jedna z pokojówek; nucąc jakąś błahą piosenkę otarła się o niego gwałtownie. Był pobłażliwy — dziewczęta zawsze są niepoprawne, męczące... Wszedłszy na piętro udał się do swego pokoju. Drzwi były lekko uchylone i ze środka dobiegały jakieś głosy.

Pchnął drzwi ręką. Nie chciały się uchylić dalej. Co, u diabła?... Pchnął raz i drugi, jak ów niedźwiedź z bajki; spróbował znowu... Czyżby drzwi podparte były czymś z drugiej strony? Oparł się ramieniem... Coś tam musi być z tamtej strony — to bardzo niezwykle.

Przyszło nagłe olśnienie, myśli zawirowały jak zagarnięte lawiną: w pokoju była jego żona, Mildred; słyszał, jak przemawia do jakiegoś mężczyzny tonem miękkim; była to cicha, nabrzmiąta wzruszeniem tonacja, jakiej użyć może jedynie kobieta żywiąca dla mężczyzny głębokie uczucie.

Codling stał nieruchomo. Jej słowa piekły go i przenikały dreszczem, jak gdyby do niego samego były zwrócone. W pokoju coś się poruszyło, a potem nagle nastąpiła zupełna cisza. Znowu z wściekłością pchnął ledwo uchylone drzwi, ale nie zdołał ich poruszyć. Cisza wewnątrz trwała. Zaczął walić w drzwi pięściami, krzycząc: „Mildred, Mildred!” Nie było odpowiedzi, usłyszał natomiast, jak fotel na biegunach zaczął się kotłować. Chwytną ręką krawędź drzwi na próżno usiłował wsunąć głowę przez szparę. Była za wąska, zdołał jednak dojrzeć róg wiszącego w pobliżu lustro i oto co w nim zobaczył: przechylający się właśnie w

* Codling (ang.) — młody dorsz.

tył bujak, siedzącego w nim mężczyznę, a na poręczy — Mildred, ukochaną kobietę, z ustami na policzku mężczyzny, głaszczącą go obu dłońmi.

Codling zrobił nowy wysiłek, by wdrzeć się do pokoju, równie bezskuteczny jak gwałtowny. „Czy słyszysz mnie, Mildred?” — krzyknął. Najwyraźniej żadne z nich go nie usłyszało; kołysali się tam i z powrotem, on zaś wpatrywał się w nich oszołomiony. Co to jest, na miłość boską?! Czy to... czy ona jest zaczarowana?... Czyżby rzeczywiście istniało coś takiego jak magia czy inne diabelstwo?!

Cofnął się i postarał opanować. Fotel przestał się kołysać, a wewnątrz pokoju zapanowała złowroga cisza. Ostre tykanie zegara w hallu rozlegać się zaczęło w całym domu, jak by mechanicznie kłaskał językiem jakiś kpiarz. Czyż oni nie słyszą zegara? Czy nie słyszą bicia serca, jego — Codlinga?

Musiał aż położyć sobie rękę na sercu. Doprawdy w tej wielkiej ciszy powinni by usłyszeć jego bicie, które stawało się tak głośnie, że go prawie ogłuszało.

Nagle w dziwny sposób zdał sobie sprawę, że się zastanawia, obserwuje, że analizuje swe własne poczynania i dążenia. Wydało mu się, że są trochę nieszczerze, jakby sztuczne. Poczuł, że byłoby łatwo, tak, bardzo łatwo rzucić się w jednym porywie gniewu i zabić tamtych dwoje. Ale on nie chciał robić nic podobnego. Nie było powodu. Na ogół nie robi się tego, a przynajmniej — nie bez szczerzej pasji. Nie było przyczyn do gniewu. Ciekawość jego została całkowicie zaspokojona. Był tego pewien i w najmniejszym stopniu nie interesował się tamtym mężczyzną.

Gdy tak stał, umysł jego uległ zalewowi nieprzewidzianych myśli. Jako pisarz często pozostawał pod wpływem bodźca doznań i impulsów innych ludzi i teraz jego własne odczucie — zdziwienie zaczynało intrygować go tak, że emocjonalnie nie był już wzburzony, lecz tylko dogłębnie zainteresowany.

Posłyszał, jak pokojówka wchodzi ponownie na schody, nucąc swą banalną piosenkę. Nie chciał niemiłej sceny, nie chciał, by go przyłapano na podsłuchiwanie, przeto odwrócił się szybko ku drugim drzwiom. Były zamknięte. Skoczył ku następnym; klamka nie dała się poruszyć. „No wiecie państwo... Co się z nimi stało?” Lecz dziewczyna była teraz tuż koło niego, niosąc tacę z przyborami do kawy. — O, Mary! — wybąkał... — ja...

Ku jego zdziwieniu dziewczyna przeszła, jak gdyby go nie słyszała ani nie widziała, zapukała do gabinetu, weszła i zamknęła za sobą drzwi. Codling rozżłościł się na dobre. „Do diabła! Więc i służba jest w to wmieszana!” Rzucił się znowu do drzwi i złapał za klamkę. Ani drgnęła, chociaż szarpał z furją. Pokój był dla niego całkowicie niedostępny. Poszedł po krzesło, żeby przy jego pomocy pokonać bezczelność owych drzwi. Nie — nie był rozgniewany, ani na żonę, ani na tego pana (mówiła do niego „Gilbercie”), który — o ile mógł zdać sobie sprawę — miał dziwnie znajomy wygląd; ale jeżeli czyjaś służba... Tfu!

Drzwi otworzyły się i wyszła Mary, uśmiechając się nieśmiało. Był w tym momencie o parę kroków dalej w korytarzu. — Mary! — krzyknął. — Zostaw drzwi otwarte! — Mary starannie zamknęła drzwi i odwróciła się do niego plecami. Skoczył za nią. Z ust wyrwały mu się ordynarne słowa, gdy podeszła do schodów i lekko zbiegła na dół, cały czas nucąc, jak gdyby zeń kpiła. Poleciał za nią na dół, przeskakując po trzy stopnie na raz, lecz ona wbiegła ze zdumiewającą szybkością do kuchni i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Codling stanął, ale starannie trzymał się z dala od drzwi, chowając ręce za sobą. — Nie, nie — wyszeptał chytrze — jakieś licho płata dziś figle z klamkami; pójdę i przyniosę sztabę albo kawał draga.

Gdy wyskakiwał przez okno do ogrodu, aby znaleźć któryś z tych przedmiotów — zdarzył się cud. Bo to był cud, nic innego. Było to nie do wiary, wprost niemożliwe, a jednak, rzekłbyś, proste i śmieszne, choć na tyle konkretne, o ile konkretny może być jakikolwiek cud. Proste i śmieszne było dlatego, że zgodnie z wszelkimi znanymi prawami fizyki powinien był zderzyć się z ogrodnikiem Bondem, który przechodził pod oknem, pchając przed sobą taczkę, właśnie w chwili, gdy Codling zeskoczył na ścieżkę. Nie do uwierzenia, żeby się

mogli nie zderzyć, a nieprawdopodobne — że się rzeczywiście nie zderzyli. Istota cudu polegała na tym, że Codling przez krótką chwilę stał w ogrodzie na ścieżce, a taczka ogrodnika Bonda, jej zawartość oraz sam Bond przeszli najwyraźniej przez postać Codlinga, jak gdyby był on co najwyżej powietrzem, jak by nie był żywym, oddychającym człowiekiem, a tylko zwyczajnym duchem. Starcie nie nastąpiło, tylko na moment zabrakło mu tchu.

Codling stał i patrzył na postać oddalającego się człowieka, który absolutnie nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Ciekawe, że pierwszym uczuciem Codlinga była wesołość. Zaczął chichotać, wpadł w żartobliwy nastrój. Pobiegł, wyminął ogrodnika, stanął przed nim i raz jeszcze pozwolił mu przejść przez siebie; wlaź do taczki i pojechał w niej, pchany przez tego niesłyszanego tępaka, który nie reagował na żadne wysiłki swego chlebobdawcy usiłującego zwrócić jego uwagę. Ogrodnik postawił następnie taczkę i odszedł, pozostawiając Codlinga rozmyślaniami nad całym tym wydarzeniem.

Nie ulegało wątpliwości: jakaś zasadnicza część jego istoty oderwała się od innej, nie mniej żywej części. Czuł, że była ona zasadnicza, ponieważ postępował zgodnie z doświadczeniem, w normalny sposób reagował na normalne bodźce, choć na razie był niewidzialny dla swoich bliźnich i niezdolny do komunikowania się z nimi. Jakim sposobem to się stało — to dziwaczne zjawisko? Jak by tu stwierdzić, która część jego ciała wyodrębniła się niejako? Nie było mowy, żeby to mogła być śmierć; śmierć nie jest zabawna, nie jest dowcipna; tkwiły w nim nadal wszelkie ludzkie instynkty. Gdy się jest umarłym, nie odczuwa się gniewu wobec niewiernej żony ani też nie robi się kawałów głupiemu ogrodnikowi, na pewno nie!

Zdawał sobie na tyle sprawę ze swojej osobowości, by wiedzieć, że jest zwykłym człowiekiem — pełnym instynktów, pożądań i zahamowań, skomplikowanym i płaczącym się w sprzecznościach: jego rodowód jednego czy dwóch milionów lat wskazywał na to, niewyraźnie, bo to byłoby oczywiście niemożliwe, ale nasuwał taką myśl.

Stwierdził, że robi rzeczy, których robić nie pragnie, i takie, których pragnie nie robić, że jego myśli nie mają żadnego znaczenia, które można by potwierdzić dotychczasowym doświadczeniem. Chwilami doznawał dreszczu, a nawet był przyjemnie zaskoczony bezmiarem tkwiących w nim możliwości zła. A w dodatku nie była to jedynie sprawa w rodzaju doktora Jekylla i pana Hyde'a. To że człowiek i jego własny duch miałiby oddzielnie zamieszkiwać ten sam świat — to była zupełnie inna historia.

Jego druga część była żywa i działała gdzieś... była żywa. tak żywa jak... tak jest! — jak on sam, ale skąd mógł wiedzieć gdzie? Co to byłaby za uciecha, gdyby powróciły do siebie i porównały swe wrażenia! W swoich nowelach rozważał tyle wyimaginowanych postaci, szedł po tropach tylu psychologicznych zagadek, że niekiedy czuł się sam wobec siebie jak ktoś obcy. A może ostatecznie te rozważania obdarzyły go zdolnością dokonywania projekcji tej wymyślonej wersji siebie samego w świat żywych ludzi? Czy też może był jakimś niedokształconym, utajonym elementem bytu, nie posiadającym jeszcze naturalnej powłoki, skazanym teraz na szybowanie ponad krawędzią świata, może na zawsze? Czy to była jego osobowość, jego duch? I w jaki sposób, u licha, to działało? Oto wydarzyło mu się coś najbardziej niezwykłego z ludzkich doświadczeń, on zaś nie mógł się w tym rozeznaczyć, nic wyjaśnić. Był jak nowy Adam rzucony do starego raju.

O kilkanaście kroków przed nim kręcił się Bond z jakimiś sadzonkami. Nagle troje dzieci Codlinga wynurzyło się spoza domu. Na czele szedł najmłodszy chłopiec, niosąc w ręce mały miecz zrobiony nie ze stali, ale z jakiegoś bardziej lśniącego materiału; przez chwilę wydawało się nawet, że był ze złota, potem zaś — że z płomienia. W jego blasku wszystko stawało się płomienne — włosy dziewczynki, Ewy, i część bluzy Adama; palce małego chłopca, Gabriela, gdy tak dzierżył miecz, podobne były do białych języków ognia.

Najmłodszy — Gabriel — podszedł do ogrodnika i, wręczając mu miecz, spytał:

— Czy to dobry miecz, panie Bond? — Codling zobaczył, jak ogrodnik bierze oręż i przygląda mu się dokładnie z uśmiechem; jego wielkie, sękaty dłonie natychmiast stały się

przezroczyście i widać było, jak krew pilnie krąży w żyłach. Codling był tak zainteresowany tym widokiem, że nie zwrócił uwagi na odpowiedź ogrodnika. Malec był niezadowolony i powtórzył swe pytanie: — Ależ nie, panie Bond, ja pytam, czy to dobry miecz. — Codling powstał i stanął obok, niewidzialny.

Troje pięknych dzieci stało wokół wielkiej, kanciastej postaci ogrodnika w zabrudzonej odzieży. Dzieci patrzyły to na jego twarz, to na miecz — wszystkie z niepokojem w przy-mrużonych oczach. — Widzisz, Gabrielu — usłyszał Codling odpowiedź ogrodnika — jeśli chodzi o miecz, to on może być dobry albo zły, ale choćby nawet był dobry, to i tak zawsze jest złą rzeczą.

Potem ogrodnik oddał dzieciom miecz; Adam ujął rękojeść, zaś Ewa z zaciekawieniem przesunęła palcami po ostrzu. Młodszy chłopiec stał spoglądając z niezadowoleniem w górę na ogrodnika. — Ale czy pan nie może powiedzieć, czy ten miecz jest dobry? — Bond wrócił do łopaty i gracy. — Może jego kształt nie jest taki jak trzeba, Gabrielu, ale wydaje się całkiem poręczny. — Mówiąc to, ruszył poprzez trawnik. Gabriel odwrócił się ku swemu rodzeństwu i odebrał im miecz; wszyscy troje poszli w ślad za ogrodnikiem, a Gabriel raz jeszcze zadał pytanie: — Czy to dobry miecz, panie Bond? — Orodnik znowu wziął go do ręki i zamachnął się nim kilkakrotnie w powietrzu, jak ćwiczący się dzielny wojak. Następnie odwróciwszy się, oddzielił jeden z jasnych loków Ewy i odciął go jednym cięciem oręza. Podniósł go do góry, aby przyjrzeć mu się krytycznie, a potem upuścił na ziemię. Codling prześliznął się za ogrodnikiem, podniósł lok i zaczął mu się bezmyślnie przyglądać.

— Możliwe, Gabrielu — mówił ogrodnik — że lepiej byłoby, gdyby był ze stali, ale i tak ma niczego sobie ostrze. — Podszedł do taczki, by ją podnieść, ale Gabriel pochwycił ją w napadzie złości i krzyknął: — Nie, nie! Niech pan powie tak albo nie! Czy to dobry miecz? — Orodnik zatrzymał się i spojrzał na chłopczyka, który właśnie powiedział „tak albo nie”. — Nie, Gabrielu! — odrzekł. — Dziękuję panu, panie Bond! — odparło dziecko z godnością — tyle tylko chcieliśmy wiedzieć. — I wołając swoich towarzyszy, Gabriel pobiegł za dom.

Codling spojrzał znowu na piękny lok, który trzymał w dłoni, i poczuł taką złość, że podniósł dziwnie wyglądającą donicę leżącą u jego stóp i cisnął ją za odchodzącym ogrodnikiem. Donica uderzyła Bonda w sam środek pleców i przeleciawszy prościutko przez niego rozbiła się na kole jego taczki, lecz Bond — jak się wydawało — wcale nie był świadom tej katastrofy. Codling popędził za ogrodnikiem i chwytając go za gardło wrzasnął: — Do diabła, powiesz ty mi, co to wszystko znaczy?! — Ale Bond spokojnie pracował dalej, nic nie zauważając i unosząc swego chlebowca ze sobą, jak gdyby był smugą ciągnącego się za nim oparu albo szalikiem zawieszonym na szyi.

Po chwili Codling upadł wyczerpany na ziemię.

— Co... co ja... do diabła!... mam zrobić? — jęknął. — Co się stało? Co ja zrobię? Co mogę zrobić? — Spojrzał na rozbitą donicę. Czy ja to wynalazłem? Wyciągnął zegarek. Przecież to prawdziwy zegarek, słyszę, jak cyka, jest szósta godzina. Czy był umarły? A może zrzucił tylko powłokę cielesną? Może był obłąkany? Cóż to za piekielna utrata tożsamości? I kto, do diabła — tak! — kto tam na górze razem z Mildred?

Zerwał się i pognął do okna — było zamknięte; do drzwi — były zaryglowane; nie był w stanie otworzyć żadnego z nich. To dopiero! Przecież to mści się psychologia eksperymentalna. Tu znowu zaczął chichotać. Będzie musiał napisać o tym do McDougalla*.

Odwrócił się i zobaczył, że Bond pcha po trawniku taczkę w jego kierunku. „Czemu ten chłopina wszędzie taszczy ze sobą tę piekielną zieloną taczkę?” — pomyślał i w nowym porywie furii poskoczył w kierunku ogrodnika. Zanim go jednak dopadł, do ogrodu wpadła znowu tanecznym krokiem trójka dzieci, krzycząc w wielkim podnieceniu: — Panie Bond! — Orodnik zatrzymał się i postawił swą przerażającą taczkę; dzieci otoczyły go, a Gabriel podniósł nowy, błyszczący przedmiot pytając: — Panie Bond, czy to dobre pudełko? —

* William McDougall (1871—1938), psycholog angielski.

Ogrodnik wziął pudełko i oczy jego wnet rozgorzały zainteresowaniem i zadowoleniem. — O, skądś to wziął, Gabrielu? Skąd to masz? — Panie Bond — rzekł niecierpliwie chłopczyk — czy to dobre pudełko? — Czy dobre? — powtórzył jak echo mężczyzna. — Ależ dzieci, popatrzcie no tylko! — Trzymając je nisko przed dziećmi, podniósł pokrywkę. Z pudełka wyleciał barwnie upierzony ptak i zaczął krążyć, kołować nad ich głowami. — Och! — wykrzyknął z upojeniem Gabriel. — To zimorodek! — O, toto! — powiedział Bond. — Zimorodek! — Gdzie? — zapytał Adam. — Gdzie? — zapytała Ewa. — Przecież lata tam, dokoła fontanny! Popatrzcie! Widzicie go? — Nie — powiedział Adam. — Nie — powiedziała Ewa.

— Och, popatrzcież na niego! — zawołał Gabriel. — Leci tam, o tutaj leci! — I wyciągając do góry ręce, wspinając się na palce, dziecko wydało okrzyk — szczęśliwe jak latający ptak, którego Codling widział nad nimi.

— Nic nie widzę — powiedział Adam. — Gdzie on jest, Gabrysiu? — zapytała Ewa. — Ach, wy głuptasy! — wykrzyknął chłopczyk. — Przecież tutaj leci, o tu! O... już odleciał! — Stał, spoglądając rozpromieniony na ogrodnika, który nakładał z powrotem pokrywkę. — Co my teraz zrobimy? — zawołał niecierpliwie Gabriel. W odpowiedzi ogrodnik włożył mu pudełko do ręki i odszedł z taczką. Gabriel poszedł z pudełkiem w stronę fontanny. Niewidoczny Codling ruszył za nim, podniecony prawie tak samo jak chłopczyk; Ewa i jej brat szli z tyłu.

Usiedli na krawędzi kamiennego basenu, w którym zbierała się woda. Dziecku trudno było zdjąć pokrywkę z pudełka; Codling spróbował mu pomóc, ale był bezsilny. Gabriel spojrział do góry w twarz ojca i uśmiechnął się. Potem wstał i powiedział do pozostałych: — No, ale tym razem patrzcie dobrze.

Wszyscy uważnie uklękli nad brzegiem wody. Gabriel podniósł pokrywkę i — patrzcie! — wyskoczyła z pudełka pod fontannę ryba podobna do złotego karpia, lecz cała z ognia. Mężczyzna ujrzał, jak ryba śmiga w głąb, widział bąbelki powietrza, jakie za sobą pozostawia, usłyszał syk zetknięcia się ognia z wodą i dostrzegł jakby smużkę pary unoszącej się ponad zbiornikiem, aż nie zatarła się i nie zniknęła sylwetka ryby. Gabriel w ekstazie zwrócił się z płonącymi, uszczęśliwionymi oczyma do siostry. — Patrz, Ewuniu! — Co tam było? — zapytała obojętnie Ewa. — Nic nie widziałam. — Ani ja — powiedział Adam. — Nie widzieliście tej ślicznej rybki? — Nie — powiedział Adam. — Nie — powiedziała Ewa. — O, głuptasy! — krzyknął Gabriel. — Przecież popłynęła prosto w głąb. — To przynieśmy wędkę — rzekł Adam. — Nie, nie, nie — zaprotestował Gabriel nakrywając pudełko. — O, nie!

Codling pozostał klęcząc i patrząc w wodę tak długo, że gdy się ponownie rozejrzał, dzieci już nie było. Wstał i podszedł do drzwi domu, lecz były zamknięte podobnie jak okna. Podszedł w posępnym nastroju do ławki ogrodowej i usiadł na niej, zakładając ręce na piersiach. Zaczynał zapadać zmierzch, kryjąc krzaki i drzewa. Trawa poczęła ciemnieć. Zrobiło się chłodno, a niebo rozpościerać zaczęło swoją ponurość. Ogrodnik przewrócił taczkę dnem do góry, złożył narzędzia do komórki i poszedł do swego domu we wsi. Zaciekawiony kot przyszedł spoza rogu willi i przyglądał się mężczyźnie, który siedział przykuty swym nierozwiązalnym problemem.

Stawało się coraz ciemniej i przeraźliwie cicho. Czyżby świat był teraz pusty? Coś maleńkiego — może ślimak — przeczołgało się z ostrym, drażniącym szelestem pośród martwych liści pod żywoplotem. Dziwny strumień różnorodnych doznań przepływał umysł Codlinga, aż wreszcie wyodrębniła się jedna idea. Z potężną uporczywością zaczął myśleć o małym Gabrielu. Zastanawiał się, czy ma dostateczną siłę myśli i woli, by go zwabić do ogrodu. To dziecko przecież, bardzo niejasno, ale rozpoznało go na chwilę nad wodą. Spróbuje tego sposobu. Telepatia — to przecież bardzo niewinna metoda w porównaniu z tymi cudami, których doznał. A jeśli utracił swe ciało, przynajmniej tę jego część, która jadła, paliła i rozmawiała z Mildred... Utknął — jego umysł natrafił na pewne dziwne rozpoznanie... Co za kawał?... No, oczywiście... idiota! Że też t e g o nie widział. Podniósł się i stał w ogrodzie,

pełen radości. Oczywista, przecież to on był na górze razem z Mildred, on sam, druga jego część, to do niej Mildred mówiła. Jakież z niego straszny tępak!...

Przyląpywał się na tym, że dokonuje ogromnego wysiłku umysłowego, by ściągnąć małego Gabriela raz jeszcze do ogrodu, ale w dziwnym nastroju usiłował nawiązać ten kontakt. Nie był w stanie osiągnąć pełni napięcia myślowego, skoncentrować się na jakimś jednym przedmiocie tak, by popaść w rozkoszny stan ekstazy.

Ten przeklęty ślimak pod żywopłotem przerwał mu wątek rozmyślań; jakiś pies na odległej farmie zaczął szczekać gwałtownie.

W głowie Codlinga powstał zamęt jak gmatwanina cząstek dziecinnej łamigłówki. Niewyraźnie zaczął rozmyślać na tematy takie jak łyżwiarstwo, maszyny parowe, dramat elżbietański, przemieszane z takimi jak zazdrość i czystość obyczajów...

Spojrzał nagle w górę, w stronę pokoju swej żony, i zobaczył Gabriela wychodzącego z okna na balkon, jak gdyby w strachu, że go spostrzeżę. Chłopczyk podniósł ręce i umieścił świetliste pudełko na poręczy balkonu. Wzniósł głowę ku bladym gwiazdom i patrzył przez chwilę, potem ostrożnie zdjął pokrywkę z pudełka. To, co się zeń wydostało i wzniosło w powietrze, wydawało się Codlingowi płynącym punktem świetlnym, lecz gdy wzbilo się ponad dach, ujrzał, że zamienia się w starodawny statek — kadłub, trzy maszty z rozpiętymi żaglami; wszystko to było bladej barwy pierwiosnka, a zarazem jakieś płomienne. Poszybowało w powietrzu, kołysząc się lekko jak statek na fali, zataczając coraz szersze kręgi ponad dachem, wzbijając się po spirali, aż zatraciło kształt statku i stało się jedynie światłem sunącym ku jakimś gwiazdom przybytkom.

Codling spojrzał na chłopczyka na balkonie, lecz w tej właśnie chwili stało się coś... Statek pękł jak raca i wypuścił trzy kolorowe ogniste krople, które spadać zaczęły powoli, zostawiając po sobie piękne popielate smugi dymne...

Gabriel przechylił się przez poręcz z wyciągniętymi rękami i pochwyciwszy zieloną i błękitną gwiazdę, która spłynęła ku niemu z wolna, z kaskadą perlistego śmiechu uciekł z powrotem do domu. Codling skoczył naprzód właśnie na czas, by złapać czerwoną gwiazdę; przez straszną sekundę leżała na jego ręku płonąc żywo, potem przeszła przez dłoń i znikła... Patrzył na ziemię, na balkon i niebo — a potem usłyszał okrzyk... koło niego stała żona.

— Gilbercie! Jakżeś ty mnie przestraszył! — zawołała. — Myślałam, że jesteś w swoim pokoju. Chodźże na kolację!

Wzięła go pod rękę i razem weszli po schodach do jadalni.

— Chwileczkę — powiedział mąż, skręcając ku drzwiom pokoju. Położył rękę na klamce, która ugięła się łatwo pod naciskiem, a potem pobiegł na górę do swego gabinetu. Otworzył drzwi. Paliło się światło, na kominku płonął jasny ogień, czuć było dym z papierosów. Na biurku leżało pióro i papier, japoński nóż do rozcinania kartek, złożona podstawka do zapalek; wszystko w porządku — i nikogo w pokoju. Podniósł książkę z biurka: *Monna Vanna*. W książce był jego ekslibris: *Z ksiąg Gilberta Cannistera*. Położył ją obok zielonej paterki; dwie jasne pomarańcze leżały na zielonej paterze, a u ich boku spoczywały dwa zdecydowanie zielone kanadyjskie jabłka.

Podszedł do drzwi i poruszył nimi tam i z powrotem całkiem bez wysiłku. Usiadł przy biurku, wpatrując się w druk, w nóż do papieru i ładną podstawkę do zapalek, starał się uporządkować tę całą historię. Po chwili weszła żona i zawołała z tyłu:

— Chodźże, Gilbercie!

— Gdzie są dzieci, kochanie? — zapytał i zanim odpowiedziała, pobiegł do pokoju dziecięcego. Ujrzał dwa łóżeczka: w jednym był chłopiec, w drugim — dziewczynka. Odwrócił się ku żonie i, jak gdyby kapryśnie, powiedział:

— Ich jest tylko dwoje, prawda?

Pytanie to nie wymagało odpowiedzi, ale stał przed nią, jak gdyby spodziewając się potwierdzenia. Patrzyła na niego pięknymi, jasnymi oczami.

— Tylko dwoje? — powtórzył.
— Jakie to dziwne, że właśnie teraz o to mnie pytasz... — rzekła. — Jeśli będziesz dla mnie dobry, to może...
— Mildred!
Szybko skinęła głową. Usiadł na bujaku, ale od razu wstał, mówiąc nieśmiało:
— Damy mu na imię Gabriel.
— No, a jeżeli...
— Nie, nie — powiedział, przerywając słowa cisnące się na jej piękne usta. — Wiem już o nim wszystko.
I opowiedział jej taką miłą bajeczkę...

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski

GUILLAUME APOLLINAIRE

Guillaume Apollinaire — to pseudonim urodzonego w Rzymie, a zmarłego w Paryżu (1880—1918) W. A. Kostrowickiego, Polaka z pochodzenia. Był on jednym z pierwszych we Francji zwolenników prądu artystycznego zwanego futuryzmem. Ogłosił nawet „manifest” futurystów. Był krytykiem, poetą i prozaikiem. Opowiadanie poniższe wyjęte jest z tomu dziwacznych utworów pt. Heretyk i spółka.

ZNIKNIĘCIE HONORIUSZA SUBRAC

Mimo najbardziej drobiazgowych poszukiwań policji nie udało się wyświecić tajemnicy zniknięcia Honoriusza Subrac. Był on moim przyjacielem, a ponieważ odnośnie jego wypadku znałem prawdę, wziąłem na siebie obowiązek dokładnego zaznajomienia władz sądowych z tym, co się stało. Sędzia, który przyjął moje zeznania, przybrał wobec mnie, po wysłuchaniu mej relacji, ton uprzejmości tak pełnej przestachu, że bez trudu pojąłem: wziął mnie za wariata. Powiedziałem mu to. Stał się jeszcze bardziej uprzejmy, po czym, wstawszy, pchnął mnie w stronę drzwi i widziałem jego kancelistę, jak stał z zaciśniętymi pięściami, gotów rzucić się na mnie — gdybym nagle wpadł w szaf.

Nie nalegałem. Sprawa Honoriusza Subrac jest istotnie tak dziwna, że prawda wydaje się nie do wiary. Dowiedziano się z relacji prasowych, że Subrac uchodził za oryginała. Zimą czy latem, ubrany był tylko w opończę, a na nogach miał jedynie pantofle. Był bardzo bogaty, a że jego strój dziwił mnie, pewnego dnia spytałem go, czemu się tak ubiera.

— To, żeby móc jak najszybciej się rozebrać, w razie konieczności — odpowiedział mi. — Zresztą, można się szybko przyzwyczaić do chodzenia w skąpym odzieniu. Bardzo łatwo obejść się bez bielizny, skarpetek i kapelusza. Żyję w ten sposób od dwudziestego piątego roku mego życia i nigdy nie chorowałem.

Te słowa, miast mnie oświecić, zaostrzyły moją ciekawość.

„Czemuz to — pomyślałem — Honoriusz Subrac jest zmuszony do rozbierania się nagle?”

I snułem mnóstwo domysłów...

*

Pewnej nocy, kiedy wracałem do siebie — mogła być godzina pierwsza, kwadrans po pierwszej — usłyszałem swoje imię, wymówione cichym głosem. Wydało mi się, że dobywał

się on z muru, o który się otarłem. Przystanąłem, niemile zaskoczony.

— Czy nie ma tu jeszcze kogoś? — odezwał się głos. — To ja, Honoriusz Subrac.

— Gdzie ty jesteś? — zawołałem, rozglądając się na wszystkie strony i nie mogąc zrozumieć, gdzie mój przyjaciel mógł się ukryć.

Odkryłem jedynie jego sławetną opończę, leżącą na chodniku, obok jego nie mniej słynnych pantofli.

„Oto przypadek — pomyślałem — kiedy konieczność zmusiła Honoriusza Subrac do rozebrania się w mgnieniu oka. Poznam wreszcie nie byle jaką tajemnicę”.

I powiedziałem głośno:

— Ulica jest pusta, drogi przyjacielu, możesz się pokazać.

Nagle Honoriusz Subrac oderwał się, rzekłbyś, od muru, obok którego przedtem go nie spostrzegłem. Był całkiem nagi i przede wszystkim schwycił opończę, którą zarzucił na siebie i zapiął tak prędko, jak tylko mógł. Następnie obuł się i rezolutnie przemawiał do mnie, towarzysząc mi aż do drzwi mego mieszkania.

*

— Zdziwiłeś się! — rzekł — ale pojmujesz teraz powód, dla którego ubieram się tak dziwnie. A jednak nie rozumiałeś, jak potrafiłem tak całkowicie ujść przed twym wzrokiem. To bardzo proste. Nie należy w tym dopatrywać się niczego innego, jak tylko zjawiska mimetyzmu... Natura jest dobrą matką. Obdarzyła te spośród swych dzieci, którym grożą niebezpieczeństwa i które są zbyt słabe, aby się bronić, zdolnością zlewania się z tym, co je otacza... Ale ty znasz to wszystko. Wiesz, że motyle upodabniają się do kwiatów, że pewne owady są podobne do liści, że kameleon może przybrać barwę, która najlepiej go ukryje, że zając polarny staje się biały jak śnieżne okolice, gdzie — tchórz, podobnie jak ten z naszych pól — zmyka, prawie niewidzialny.

Tak oto te słabe zwierzęta uchodzą przed swymi nieprzyjaciółmi dzięki pewnej wytrzymałości instynktu, która zmienia ich wygląd.

I ja, którego wróg ściga bez przerwy, ja, będąc bojaźliwym i czując się niezdolnym stoczyć walkę, jestem podobny do tych zwierząt: w strachu utożsamiam się z otaczającym środowiskiem.

Wypróbowałem praktycznie tę instynktowną zdolność po raz pierwszy ileś tam lat temu. Miałem dwadzieścia pięć lat i na ogół kobiety uważały mnie za miłego i przystojnego. Jedna z nich, mężatka, okazywała mi tyle względów, że w końcu nie mogłem się jej oprzeć. Co za fatalny związek!... Pewnej nocy byłem u swej kochanki. Mąż wyjechał rzekomo na kilka dni. Byliśmy nadzy jak bogowie, gdy nagle otworzyły się drzwi i ukazał się mąż z rewolwerem w ręce. Przestрах mój był niewypowiedziany i jedną tylko miałem chęć, równie tchórzliwą wówczas jak i dziś jeszcze, mianowicie chęć zniknięcia. Opierając się plecami o ścianę, pragnąłem zlać się z nią w jedno. I natychmiast zaszedł wypadek nieprzewidziany. Oto przybrałem barwę tapety, członki moje, rozciągnięte w sposób niepojęty, spłaszczyły się, tak że wydało mi się, iż stanowią ze ścianą jedno ciało i że nikt od tej chwili mnie nie widzi. Tak było naprawdę. Mąż szukał mnie, aby mnie uśmiercić. Zobaczył mnie wchodząc i niemożliwe było, abym mógł być uciec. Oszalał, zda się, i zwracając swą wściekłość przeciw żonie, zabił ją okrutnie, strzeliwszy jej sześć razy z rewolweru w głowę. Potem poszedł sobie płacząc z rozpacz. Po jego odejściu moje ciało instynktownie przyjęło na powrót swój normalny kształt i swoją barwę naturalną. Ubrałem się i udało mi się ulotnić, zanim ktokolwiek zdążył nadejść. Zachowałem odtąd tę błogosławioną właściwość, należącą do dziedziny mimetyzmu. Mąż, któremu nie udało się mnie zabić, poświęcił całą swą egzystencję na spełnienie tego zadania. Od dawna ściga mnie po świecie i myślałem, że wymknąłem mu się, zamieszkawszy w Paryżu. Ale właśnie ujrzałem tego człowieka, na krótko przed twoim nadejściem. Z przerażenia zadzwoniłem zębami. Ledwo miałem czas rozebrać się i wtopić się w mur. Prze-

szedł obok mnie, oglądając ciekawie tę opończę i pantofle, porzucone na chodniku. Widzisz, jaki mam ważny powód, aby rozbierać się w tak uproszczony sposób. Nie mógłbym stosować w praktyce swojej zdolności mimikry, gdybym był ubrany jak wszyscy. Nie mógłbym rozebrać się dostatecznie szybko, aby ująć przed moim oprawcą, a chodzi o to przede wszystkim, ażebym był nagi, aby moja odzież, rozpostarta na murze, nie czyniła bezcelowym mojego obronnego znikania.

Powinszowałem Honoriuszowi Subrac właściwości, której miałem dowody i której mu zazdrościłem...

Przez następne dni o niczym innym nie myślałem i przyłapywałem siebie na tym, że przy każdej okazji natężam swą wolę w tym jednym kierunku: aby zmienić swój kształt i swoją barwę. Próbowałem zamienić się w autobus, w wieżę Eiffla, w członka Akademii, w wygrywającego główny los. Wysiłki moje były daremne. Nie udawało mi się, a poza tym brak mi było tej świętej grozy, tego okropnego niebezpieczeństwa, które obudziły instynkty Honoriusza Subrac...

*

Nie widziałem go wcale od jakiegoś czasu, aż pewnego dnia przyszedł, niemal oszalały: — Ten człowiek, mój wróg — rzekł do mnie — czatuje na mnie wszędzie. Zdołałem wymknąć mu się trzykrotnie dzięki zastosowaniu swej zdolności, ale boję się, drogi przyjacielu, boję się.

Spostrzegłem, że wychudł, ale pilnowałem się, aby mu tego nie powiedzieć.

— Jedno tylko pozostaje ci do zrobienia — oznajmiłem. — Aby ująć przed wrogiem tak bezlitosnym — wyjedź! Ukryj się na wsi. Pozostaw mi pieczę nad swoimi sprawami i skieruj się w stronę najbliższego dworca.

Uścisnął mi dłoń, mówiąc:

— Odprowadź mnie, błagam cię, ja się boję!

*

Na ulicy szliśmy w milczeniu. Honoriusz Subrac odwracał się bez ustanku niespokojnie. Wtem wydał okrzyk i rzucił się do ucieczki, pozbywając się swej opończy i pantofli. I ujrzałem, że z tyłu nadbiegał ku nam jakiś człowiek. Próbowałem zatrzymać go. Ale wyrwał mi się. Trzymał rewolwer, który wycelował w stronę Honoriusza Subrac. Ten dopadł długiego muru koszar i zniknął, rzekłbyś, pod działaniem siły czarodziejskiej.

Człowiek z rewolwerem zatrzymał się, osłupiały, wydawszy okrzyk wściekłości, i — jak by dla wywarcia zemsty na murze, który, zdawało się, wydarł mu ofiarę — strzelił kilkakroć z rewolweru w to miejsce, gdzie zniknął Honoriusz Subrac. Potem, biegnąc, oddalił się.

Ludzie się zgromadzili, policjanci poczęli rozpraszać zbiegowisko. Wówczas zawołałem na mojego przyjaciela. Ale nie odpowiedział mi.

Obmacałem mur; b y ł j e s z c z e c i e p ł y i zauważyłem, że z sześciu kul rewolwerowych trzy trafiły na wysokości s e r c a c z ł o w i e k a, podczas gdy inne zadrasnęły tynk wyżej, tam, gdzie zdawało mi się, że rozpoznaję niewyraźnie, niejasno zarys twarzy.

Przełożył Władysław Jerzy Kasiński

WILLIAM FRYER HARVEY

Sierpniowy upał *jest utworem osnutym na motywie telepatii (czyli nieświadomego porozumiewania się dwóch osób na odległość), a zarazem na motywie jasnowidzenia. Autor jego, William Fryer Harvey (1885—1937), ogłosił go jeszcze w 1910 roku w tomie Dom o północy i inne opowiadania (Midnight House and Other Tales). Opowiadanie to bywało często drukowane w antologiach opowieści „z dreszczykiem”.*

SIERPNIOWY UPAŁ

Penistone Road. Clapham, dnia 20 sierpnia 1900 r.

Przeżyłem jeden z najbardziej niezwykłych, jak sądzę, dni w moim życiu, a dopóki wydarzenia mam jeszcze świeżo w pamięci, chcę przelać je na papier możliwie najdokładniej.

Na początek niech mi wolno będzie się przedstawić: nazywam się James Clarence Withencroft. Mam lat czterdzieści, cieszę się doskonałym zdrowiem; nigdy ani dnia nie chorowałem.

Z zawodu jestem rysownikiem. Choć nie odniosłem szczególnych sukcesów, to jednak przy pomocy moich rysunków zarabiam na pokrycie niezbędnych potrzeb.

Ostatnia moja bliska krewna, siostra, zmarła przed pięciu laty, teraz więc nie jestem już z nikim związany.

Dziś rano zjadłem śniadanie o dziewiątej i po przejrzeniu porannej gazety zapaliłem fajkę.

Następnie zacząłem błądzić myślami w nadziei, że może natrafię na jakiś temat dla swego ołówka.

W pokoju, choć drzwi i okna były otwarte, panowało przytłaczające gorąco. Zdecydowałem właśnie, że najchłodniejszym i najwygodniejszym miejscem w sąsiedztwie będzie odległy kraniec publicznego basenu kąpielowego, gdy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Zacząłem rysować. Tak intensywnie zająłem się pracą, że nie tknąłem obiadu, i prze-rwałem ją dopiero, gdy zegar na wieży kościoła Św. Tadeusza bił czwartą.

Jak na szybko skreślony szkic — była to najlepsza z moich prac. Tego jestem pewien.

Rysunek przedstawiał zbrodniarza na ławie oskarżonych, tuż potem, jak sędzia odczytał wyrok śmierci. Był to tęgi, potwornie tęgi człowiek. Policzki zwisały mu w fałdach, miał zwały tłuszczu na krótkiej szyi. Gładko wygolony (może powinienem powiedzieć, że na kilka dni przedtem już go tak ogolono) i prawie całkiem łysy. Stał w ławie oskarżonych; jego krótkie, niezgrabne paluchy ścisnęły barierę. Patrzył prosto przed siebie. Twarz jego wyrażała nie tyle przerażenie, ile dogłębną, absolutną bezradność.

Zdawało się, że w człowieku tym nie ma już nic, co mogłoby podtrzymać tę górę mięsa.

Zwinałem szkic w rulon i — sam nie bardzo wiem po co — wsunąłem do kieszeni. Potem z niezwykłym uczuciem zadowolenia, jakie daje świadomość, że coś się nam udało, opuściłem dom.

Mam wrażenie, że ruszyłem z myślą wstąpienia do Trentona, bo przypominam sobie, iż szedłem wzdłuż Lytton Street i skręciłem na prawo na Gilchrist Road u stóp wzgórza, gdzie robotnicy zakładali nową linię tramwajową.

Od tej chwili począwszy mgliście tylko pamiętam, którądy szedłem. Jediną rzeczą, z której w pełni zdawałem sobie sprawę, był okropny upał, który niemal namacalnie bił od zakurzonej asfaltowej jezdni.

Tęskniłem do grzmotu, jaki wróżyły wielkie ławice rdzawych chmur, zwisające po

zachodniej stronie nieba.

Musiałem tak przejść chyba z pięć albo sześć mil, aż wyrwał mnie z rozmarzenia jakiś mały chłopiec, pytając która godzina.

Była za dwadzieścia siódma.

Gdy chłopiec odszedł, zacząłem rozglądać się po okolicy. Stwierdziłem, że znajduję się przed bramą prowadzącą na ogromny plac, obrzeżony pasmem wyschłej ziemi uprawnej.

Rosły, tam kwiaty — czerwone goździki i szkarłatne geranium.

Nad bramą widniała tablica z napisem:

CH. ATKINSON
NAGROBKI

Roboty w marmurze krajowym i włoskim

Z samego placu dobiegało wesołe pogwizdywanie, odgłos kucia młotem i przesywające dzwonięcie stali tnącej kamień.

Wszedłem tam pod wpływem nagłego impulsu.

Odwrócony do mnie plecami, siedział mężczyzna, zajęty obrabianiem złomu dziwnie żyłkowanego marmuru. Obejrzał się, gdy usłyszał moje kroki, a ja stanąłem jak wryty.

Był to mężczyzna, którego narysowałem, którego portret znajdował się w mojej kieszeni.

Siedział tu, wielki i słoniowaty, a z łysego ciemienia ściekał mu pot, który obcierał czerwoną jedwabną chustką.

Mimo że twarz miał tę samą — wyraz był całkiem inny.

Powitał mnie uśmiechem, jak gdybyśmy dawno się znali, i uścisnął mi dłoń.

— Wszystko na zewnątrz jest rozpalone, że aż oślepiam — powiedziałem. — A te kwiaty tutaj są oazą na pustyni.

— Nie wiem, jak jest w oazie — odpowiedział — ale oczywiście, że upał, piekielne gorąco. Niech pan siada!

Wskazał na koniec płyty nagrobkowej, którą obkuwał. Usiadłem na niej.

— Zdobył pan piękny kawał kamienia — powiedziałem.

Potrząsnął głową.

— Z jednej strony piękny — odpowiedział. — Powierzchnię ma wymarzoną, ale z tyłu jest głębokie pęknięcie, którego zresztą na pewno pan by nie zauważył. Z takiego kawałka marmuru nigdy nie potrafiłbym zrobić nic porządnego. Latem to by jeszcze uszło, przetrzyma nawet ten wściekły upał. Ale niech pan poczeka, aż przyjdzie zima. Mróz potrafi znaleźć każde słabe miejsce w kamieniu.

— To po co ta robota? — zapytałem.

Mężczyzna roześmiał się.

— Pewno mi pan nie uwierzy, kiedy powiem, że na wystawę, ale to prawda. Artyści mają swoje wystawy, tak samo kupcy jarzyn i rzeźnicy. I my też mamy. Wystawiamy wszystkie najnowsze osiągnięcia w dziedzinie techniki robienia nagrobków, wie pan.

Opowiadał dalej o marmurach, o tym, jakie gatunki są najbardziej odporne na działanie wiatru i deszczu i które najłatwiejsze są do obróbki; potem — o swoim ogrodzie i o nowej odmianie goździków, jaką zakupił. Co jakie dwie minuty odkładał narzędzia, obcierał lśniąco łysinę i przeklinał upał.

Ja mało co mówiłem, bo czułem się nieswojo. W spotkaniu z tym człowiekiem było coś niesamowitego.

Początkowo próbowałem sobie wytłumaczyć, że już go przedtem gdzieś widziałem, że

jego nie znana mi twarz znalazła swe odbicie w jakimś najskrytszym zakamarku pamięci, ale wiedziałem, że w śmieszny sposób staram się sam siebie oszukać.

Pan Atkinson zakończył robotę, splunął na ziemię i powstał z westchnieniem ulgi.

— Gotowe! No i co pan o tym powie? — rzekł z wyraźnym odcieniem dumy.

Napis, który dopiero teraz odczytałem, brzmiał następująco:

Ś.†P.
JAMES CLARENCE WITHENCROFT
ur. 18 stycznia 1860 r.
zmarł nagle
dnia 20 sierpnia 1900
W środku naszego życia śmierć nas spotyka...

Przez chwilę siedziałem w milczeniu, a potem zimny dreszcz przeleciał mi po grzbiecie. Zapytałem go, skąd wziął to nazwisko.

— O, znikąd — odpowiedział pan Atkinson. — Wyryłem pierwsze lepsze, które mi przyszło do głowy. Ale czemu pan o to pyta?

— Dziwny zbieg okoliczności, to właśnie moje nazwisko.

Atkinson gwizdnał przeciągle i cicho.

— A daty?... — zapytał.

— Mogę potwierdzić tylko jedną i ta się zgadza.

— To cholernie dziwne!

Nie wiedział jeszcze wszystkiego. Powiedziałem mu, co robiłem rano. Wyjąłem szkic z kieszeni i pokazałem mu. Gdy przypatrywał się rysunkowi, wyraz jego twarzy zmieniał się, aż coraz bardziej upodabniać się zaczął do oblicza człowieka, którego narysowałem.

— I pomyśleć, że zaledwie przedwczoraj mówiłem Marii, że nie ma żadnych duchów!

Ani on, ani ja nie widzieliśmy nigdy ducha, ale zrozumiałem, co Atkinson miał na myśli.

— Pan prawdopodobnie spotkał się gdzieś z moim nazwiskiem — rzekłem.

— Pan chyba mnie gdzieś widział i zapomniał o tym. Może był pan w lipcu nad morzem, w Clacton?

Nigdy w życiu w Clacton nie byłem. Milczeliśmy obaj przez jakiś czas. Obaj patrzyliśmy na to samo: na obie daty na nagrobku. Jedna z nich się zgadzała.

— No to niech pan przyjdzie do mnie na kolację — powiedział Atkinson.

Jego żona była to mała, wesoła kobietka o rumianych policzkach wieśniaczki. Mąż jej przedstawił mnie jako swego przyjaciela, artystę. Nie było to najszczęśliwsze posunięcie, bo kiedy sprzątnęła ze stołu, przyniosła biblię z ilustracjami Dorégo i prawie przez pół godziny musiałem siedzieć wyrażając zachwyty.

Wyszedłem na dwór i natknąłem się na Atkinsona, który palił fajkę siedząc na kamieniu nagrobnym.

Podjęliśmy rozmowę od punktu, w którym została przerwana.

— Bardzo przepraszam, że o to pytam — rzekłem — ale może ma pan coś na sumieniu, za co mógłby się pan znaleźć przed sądem?

Potrząsnął głową przecząco.

— Nie jestem bankrutem, interes wcale nieźle prosperuje. Przed trzema laty dałem po indyku na Boże Narodzenie paru policjantom w okolicy, to wszystko, co mi przychodzi na myśl. Zresztą to były małe indyki — dodał, jak by na usprawiedliwienie.

Wstał, przyniósł konewkę z sieni i zaczął podlewać kwiaty.

— Jak jest gorąco, trzeba dwa razy dziennie — powiedział — a i tak upał czasem zwarzy co delikatniejsze kwiaty. Te paprocie, mój Boże, one tego nie wytrzymają. A pan gdzie mieszka?

Powiedziałem mu swój adres. Droga do domu zajęłaby mi z godzinę szybkiego marszu.

— Widzi pan, to tak jest — powiedział. — Popatrzmy trzeźwo na całą sprawę. Jeśli pan dziś wieczorem będzie wracał do domu, narazi się pan na wypadek. Wóz może pana przejechać, bywają też zawsze skórki z bananów albo pomarańczy, nie mówiąc już o tym, że i rusztowania się przewracają...

Mówił o rzeczach nieprawdopodobnych z namaszczeniem i powagą, która jeszcze sześć godzin temu wydawałaby się śmieszna. Lecz ja się nie śmiałem. — Najlepiej zrobimy — ciągnął — jeżeli pozostanie pan tutaj do północy. Pójdziemy na górę i zakurzymy sobie; może tam, w mieszkaniu, będzie trochę chłodniej.

Ku własnemu zdziwieniu przystałem na to.

*

Siedzimy teraz w długim, niskim pokoju na mansardzie. Atkinson kazał żonie iść spać. Sam zajęty jest ostrzeniem jakichś narzędzi na małej oślece, a przy tej robocie pali jedno z moich cygar.

Atmosfera jest naładowana jak przed burzą. Piszę te słowa na kiwającym się stoliku pod otwartym oknem. Stolik ma złamaną nogę, a Atkinson, który chyba zna się na majsterce, ma naprawić tę nogę, jak tylko skończy ostrzyć dłuto.

Jest teraz po jedenastej. Ruszę się za niecałą godzinę.

Ale gorąco po prostu dławi człowieka. Można oszaleć z tego upału.

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski

KAROL ČAPEK

Dramaturg, powieściopisarz i błyskotliwy felietonista czeski, Karol Čapek (1890—1938) zmarł zaszczytowany przez reakcję, która po układzie monachijskim objęła władzę w Czechosłowacji. W osobie Čapka literatura czeska utraciła wybitnego twórcę, m. in. słynnej sztuki R.U.R. (1920), będącej satyrą na bezduszną wyłącznie na technice opartej cywilizacji, autora sceptycznej powieści Krakatit, Inwazji jaszczurów i nieporównanych humorystycznych opisów podróży po Anglii, Holandii, Hiszpanii i Włoszech. Wśród nowel i opowiadań Čapka trafiają się takie jak poniższe — pełne stłumionego humoru, a zarazem ubolewania nad formalistycznym pojmowaniem prawa.

ŚLADY

Pan Rybka tej nocy podążał do domu w szczególnie dobrym humorze; po pierwsze dlatego, że wygrał swoją codzienną partię szachów („ładny był ten mat koniem!”, delectował się po drodze wspomnieniem), a po drugie, że spadł świeży śnieg i w tej pięknej, czystej ciszy miękko skrzypiał mu pod nogami. „Boże, jakież to śliczne!” — rozmyślał pan Rybka; miasto pod śniegiem staje się naraz zupełnie małe, staje się jakby staroświeckim miasteczkiem, człowiek gotów jest nawet uwierzyć w stróżów nocnych z halabardami i karety; ciekawa rzecz, że śnieg ma w sobie coś staroświeckiego i wiejskiego.

Skrzyp, skrzyp — pan Rybka omijał wydeptaną ścieżkę dla samej tylko przyjemności tego skrzypienia. A że mieszkał w cichej, ukrytej w ogrodach uliczce, im dalej szedł, tym

mniej było śladów. „O, patrzcie, tutaj przy tej furtce zniknęły ślady męskich bucików i damskich pantofelek; na pewno mąż i żona, czy też są młodzi?”, pomyślał ciepło, jak by im chciał pobłogosławić. Tędy przebiegł kot i pozostawił na śniegu podobne do kwiatuszków odbicie swych łapek. „Dobranoc, kiciu, będzie ci zimno w łapcie!” A teraz został już tylko jeden sznur śladów, męskich i głębokich, równy i jasny łańcuszek kroków, który rozwinął na chodniku samotny przechodzień. „Któryż to z sąsiadów mógł tędy iść?”, pomyślał pan Rybka z przyjaznym zainteresowaniem, tak mało tędy chodzi ludzi, ani jednej koleiny nie widać na śniegu, jesteśmy tu jakby na krańcach życia. Gdy dojdę do domu, uliczka podciągnie białą pierzynę aż pod sam nos i będzie się jej śniło, że jest tylko dziecinną zabawką. Szkoda, że nam to rano zادةce babinka z gazetami; ach, ta narobi tu śladów we wszystkie strony jak zając...”

Nagle pan Rybka przystanął: właśnie w chwili, gdy chciał przejść przez bielusięnką ulicę do swojej furtki, spostrzegł, że i te ślady, które biegły przed nim, skracają z chodnika i zmierzają przez ulicę prosto ku jego furtce. „Któż by to do mnie szedł?”, pomyślał, zaskoczony, i pobiegł oczyma za tymi śladami. Było ich pięć. I dokładnie na samym środku ulicy kończyły się ostrym odciskiem lewej stopy. Dalej nie było już nic — tylko iskrzący się, nie tknięty śnieg.

„Ot, głupiec ze mnie, pomyślał pan Rybka, ten człowiek pewnie zawrócił na chodnik i poszedł dalej”. Ale jak daleko sięgał wzrokiem, chodnik był gładko pokryty puszystym śniegiem bez jednego śladu ludzkiej stopy. „Cóż do licha, dziwił się pan Rybka, dalsze ślady będą na pewno na drugim chodniku!” I obszedł łukiem nie dokończony rząd śladów; ale na drugim chodniku też nie było ani jednego odbicia ludzkiej stopy, a cała ulica świeciła nie tkniętym, miękkim śniegiem, że aż dech zapierało na widok tej czystości. Od czasu jak spadł śnieg, nikt tędy nie szedł. To dziwne — mrucał pan Rybka — ten człowiek pewnie wrócił na chodnik cofając się po własnych śladach; ale w takim wypadku musiałby się w ten sposób cofać aż na róg ulicy, ponieważ od tego miejsca biegły przede mną tylko jedne ślady i tylko w tym jednym kierunku. „Ale dlaczego by ten człowiek miał tak robić?”, zdumiał się pan Rybka. „I jak mógłby, idąc w tył, trafiać tak dokładnie we własne ślady?”

Kręcąc głową, otworzył furtkę i wszedł do domu. Choć wiedział, że to nonsens, rozejrzał się jednak, czy w samym domu nie widać jakichś odcisków ośnieżonego buta. — No, jasne, skąd by się tu wzięły! Chyba mi się przywidziało — mruknął zaniepokojony pan Rybka i wychylił się z okna; na ulicy w świetle latarni ujrzał wyraźnie pięć ostrych i głębokich śladów, kończących się na środku jezdnii. A dalej już nic. „A niech to piorun!”, pomyślał przecierając oczy. „Kiedyś czytałem jakąś nowelkę o jednym śladzie na śniegu, ale tu jest ich cały szereg, a potem nagle nic! Gdzież się ten człowiek podział?”

Kręcąc głową, zaczął się rozbierać. Ale nagle zaniechał tego, podszedł do telefonu i przytłumionym głosem wszczął rozmowę z komisariatem policji:

— Halo, pan komisarz Bartoszek? Proszę pana, tu jest taka dziwna sprawa, b a r d z o dziwna... Gdyby pan tak zechciał przysłać tu kogoś, albo lepiej gdyby pan tak sam przyszedł... Dobrze, poczekam na pana na rogu. Ja nie wiem, o co chodzi... Nie. Sądzę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Chodzi tylko o to, żeby tych śladów nikt nie zdeptał... Ja nie wiem, c z y j e to ślady! Dobrze, poczekam na pana.

Ubrał się i wyszedł na ulicę; ostrożnie obszedł te ślady, uważając także i na chodniku, żeby ich nie zdeptać. Drżąc z zimna i zdenerwowania, czekał na rogu ulicy na komisarza Bartoszka. Było cicho, a zamieszkała przez ludzi ziemia spokojnie świeciła swymi światłami w wszechświat.

— Jak tu pięknie i cicho — mrucał melancholijnie komisarz Bartoszek. — A mnie tam przyprowadzili dwóch awanturników i jednego pijusa. Pfuj! No i cóż pan tam ma dla mnie?

— Proszę obserwować te ślady, panie komisarzu — rzekł pan Rybka drżącym głosem. — To tylko kilka kroków stąd.

Pan komisarz przyświecił sobie elektryczną latarką.

— To był dryblas — orzekł. — Sądząc po stopie i długości kroku chyba z metr osiemdziesiąt. Buty miał porządne, myślę, że ręcznie szyte. Zalany nie był i szedł dość rażno. Ja nie wiem, co się panu w tych śladach nie podoba.

— To właśnie! — rzekł krótko pan Rybka i wskazał na nie dokończony rząd kroków na środku jezdni.

— Aha! — powiedział komisarz i nie bawiąc się w żadne ceregiele podszedł do ostatniego śladu, przysiadł w kucki i przyświecił sobie latarką. — To nic szczególnego — orzekł uspokojony — to jest zupełnie normalny, mocny ślad. Waga ciała spoczywała raczej na pięcie. Gdyby ten człowiek zrobił następny krok albo wykonał skok, waga ciała przeniosłaby się na palce, rozumie pan? I byłoby to widać.

— To znaczy?... — spytał pan Rybka z napięciem.

— Jasne! — odrzekł komisarz spokojnie. — To znaczy, że dalej już nie szedł.

— A zatem, gdzie się podział? — wykrztusił Rybka, trzęsąc się jak w gorączce.

Komisarz wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem. Czy ma pan może co do niego jakieś podejrzenie?

— Jakie podejrzenie? — zdumiał się pan Rybka. — Ja chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się podział. Niech pan spojrzy: tutaj zrobił ostatni krok, a gdzie, na Boga, zrobił następny? Przecież tu nie ma żadnego dalszego śladu.

— No tak — rzekł sucho komisarz. — A co pana to obchodzi, dokąd poszedł? Czy to jest ktoś z pańskiego domu? Zaginał panu ktoś? A więc, u licha, co to pana obchodzi, dokąd sobie poszedł?

— Ale to musi być przecież wyjaśnione — zaczął bełkotać pan Rybka. — Nie sądzi pan, że mógł się cofać po własnych śladach?

— Nonsens — mruknął komisarz. — Gdy człowiek się cofa, stawia krótsze kroki i stapa szerzej, aby lepiej utrzymać równowagę. A poza tym nie podnosi nogi, musiałyby więc wdepnąć piętami w całe to wgłębienie. Po tych śladach raz tylko stapano, drogi panie. Widzi pan przecież, jakie są ostre.

— Jeżeli nie zawrócił — nalegał uparcie pan Rybka — to gdzie się podział?

— To już jego rzecz — mruknął komisarz. — Niechże pan posłucha: skoro nie dopuścił się żadnego przestępstwa, my nie mamy prawa mieszać się w jego sprawy. Na to musielibyśmy mieć na niego jakieś doniesienie, wtedy dopiero moglibyśmy wszcząć wstępne śledztwo.

— Ale czy człowiek może na środku ulicy po prostu zniknąć? — oburzył się pan Rybka.

— Co do tego, to musi pan trochę poczekać, drogi panie — doradził komisarz. — Jeżeli ktoś zniknął, za kilka dni zgłosi nam to jego rodzina albo ktoś inny. No a wtedy zaczniemy go szukać. Dopóki nikt go o nic nie obwinia, nam nic do tego. Nic na to nie poradzę.

W panu Rybce począł się budzić głuchy gniew.

— Przepraszam pana — powiedział ostro — ale ja byłbym zdania, że policja p o w i n n a się trochę zainteresować wypadkiem, kiedy spokojny przechodzień ni stąd, ni zowąd znika na środku ulicy.

— Przecież jemu się nic nie stało — uspokajał go pan Bartoszek. — Tu przecież nie ma ani śladu jakiegóż wálki. Gdyby go ktoś napadł, to śladów musiałyby tu być że hej! Przykro mi, proszę pana, ale ja tu nie mam powodów do interwencji.

— Ależ, panie komisarzu — załamała ręce pan Rybka — niechże pan chociaż wyjaśni... To jest przecież zupełna zagadka...

— A tak, zagadka jest — zgodził się pan Bartoszek w zamyśleniu. — Nie ma pan pojęcia, ile jest na świecie zagadek. Każda chałupa, każda rodzina to już zagadka. Gdy szedłem tu do pana, tam oto w tym domku załkał jakiś młody kobiecy głos. Mój panie, zagadki to nie nasza sprawa. Nam płacą za porządek. Czy pan sądzi, że my tropimy tego czy innego zło-

dzieja z ciekawości? My go tropimy, drogi panie, po to, żeby go zamknąć. Porządek musi być.

— O, widzi pan, porządek musi być — zawołał pan Rybka. — A przyzna pan chyba, że to nie jest w porządku, jeżeli ktoś na środku ulicy... przypuścimy... wzniesie się prosto w powietrze, nie?

— To zależy od interpretacji — zauważył komisarz. — Jest taki przepis policyjny, że jeżeli zachodzi niebezpieczeństwo upadku z większej wysokości, dany osobnik powinien być przywiązany. W wypadku wykroczeń przeciw temu najpierw udziela się napomnienia, a potem wymierza się grzywnę. Jeżeli ten pan wznosił się w powietrzu ot tak sobie, z własnej woli, pełniący służbę policjant powinien go być oczywiście wezwać, żeby przypiął sobie pas zabezpieczający. Ale policjanta chyba tu nie było — dodał usprawiedliwiająco. — Bo musiałyby zostać jego ślady. A zresztą może ten pan wznosił się w jakiś inny sposób?

— Ale w jaki? — wykrzyknął pan Rybka.

Komisarz pokręcił głową.

— Trudno powiedzieć. Może jakieś wniebowzięcie albo drabina Jakubowa... — rzekł niepewnie. — Wniebowzięcie można by chyba zakwalifikować jako porwanie, ale tylko wtedy, gdyby dokonane zostało przy użyciu siły. Ja jednak myślę, że normalnie odbywa się ono za zgodą zainteresowanego. Możliwe, że ten człowiek umie latać. Czy nie śniło się panu kiedyś, że pan lata? Wystarczy, żeby się człowiek tylko troszeczkę nogą od ziemi odbił i już unosi się w powietrzu... Niektórzy lecą jak balon, ale ja, kiedy latam we śnie, muszę co pewien czas odbijać nogą od ziemi. Sądzę, że to przez ten ciężki mundur i szablę. Być może, że ten człowiek usnął i we śnie zaczął latać. A to nie jest zakazane, drogi panie. Naturalnie, że gdyby się to działo na ruchliwej ulicy, policjant musiałby go przywołać do porządku. Ale, ale... niech pan poczeka, może to była lewitacja. Spirytyści wierzą w lewitację. Ale spirytyzm także nie jest zakazany. Niejaki pan Baudysz opowiadał mi, że sam widział, jak medium wisało w powietrzu. Kto wie, co w tym jest.

— Ależ, panie komisarzu — rzekł surowo pan Rybka — chyba pan w te rzeczy nie wierzy! To naruszałoby przecież prawa przyrody...

Pan Bartoszek wzruszył bezradnie ramionami.

— Mój panie, ja to znam, ludzie przekraczają wszystkie możliwe prawa i zarządzenia. Gdyby pan był policjantem, wiedziałby pan o tym coś więcej... — machnął ręką. — Wcale bym się nie dziwił, gdyby i prawa przyrody zaczęli naruszać. Ludzie to jedno wielkie drństwo, drogi panie. No, ale dobranoc. Ziąb bierze.

— Nie zechciałby pan napić się ze mną szklanki herbaty... albo śliwownicy? — zaproponował pan Rybka.

— Czemu nie — mruknął komisarz melancholijnie. — Bo wie pan, w tym mundurze człowiek nie może nawet do knajpy wstąpić. Dlatego policjanci tak mało piją.

— Zagadka!... — podjął swoje rozważania, siedząc w fotelu i przyglądając się w zamyśleniu, jak śnieg taje mu na szpicach butów. — Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto przeszłoby obok tych śladów i nic by nie zauważyło. I pan sam nie zauważa dziewięćdziesięciu dziewięciu rzeczy na sto rzeczy piekielnie zagadkowych. Guzik wiemy o tym wszystkim, co się wokół nas dzieje. Tylko niektóre sprawy nie są zagadkowe. Zagadkowa nie jest tylko sprawiedliwość. I policja nie jest zagadkowa. Ale każdy człowiek, który idzie ulicą, już jest zagadkowy, a to dlatego, że my nic mu nie możemy zrobić. Wystarczy jednak, żeby coś ukradł, a już przestaje być zagadkowy, bo go przymkniemy i po wszystkim. Przynajmniej wiemy, co robi, i możemy w każdej chwili przyjrzeć się mu przez takie okienko w drzwiach, wie pan? A tacy dziennikarze, proszę pana, piszą na przykład: „Znalezienie zagadkowego trupa!” Co w takim trupie jest zagadkowe? Gdy dostaniemy go w swoje ręce, zmierzmy go, sfotografujemy, zrobimy sekcję i już znamy każdą nitkę w jego ubraniu, wiemy, co jadł ostatnio, na co umarł i w ogóle co i jak. Poza tym wiemy, że najprędzej zamordował go ktoś

dla pieniędzy. Wszystko jest jasne jak na dłoni... Proszę o bardzo mocną herbatę... Wszystkie zbrodnie są jasne, mój panie. Można w nich dojrzeć pobudki i wszystko, co ma z tym jakiś związek. Ale zagadką jest, co myśli pański kot, o czym śni się pańskiej służącej albo dlaczego pańska żona z takim zamyśleniem patrzy w okno. Z wyjątkiem czynów karalnych wszystko jest zagadkowe. Każdy kryminalny wypadek to przecież wyraźnie określony fragment rzeczywistości, wycinek, któryśmy sobie dokładnie oświetlili. Niech pan pomyśli, gdybym się tak dobrze u pana rozejrzał, to na pewno bym coś dostrzegł, ale ja przyglądam się szpicowi swojego buta, bo urzędowo nie mam do pana żadnych pretensji. Po prostu nie mamy na pana żadnego doniesienia — dodał siorbniejszy gorącej herbaty.

— Dziwne są te wyobrażenia — podjął znów po chwili — że policja, a przede wszystkim ci tajniacy interesują się głównie zagadkami. My gwizdźmy na zagadki. Nas interesują rzeczy niepozorne. Zbrodnia, drogi panie, nie interesuje nas dlatego, że jest zagadkowa, ale dlatego, że jest zakazana. My nie ścigamy takiego czy innego łobuza dla zaspokojenia naszych intelektualnych zainteresowań, my ścigamy go po to, żeby go przymknąć. Zamiatacze nie biegają z miotłami po ulicach po to, aby odczytywać w kurzu ślady ludzi, ale po to, żeby uprzątnąć całe to świństwo, którego tam życie naniosiło. Porządek nie jest ani trochę zagadkowy. Robić porządek to świńska robota, mój panie. A kto chce, żeby było czysto, musi pchać palce we wszystkie brudy. Ktoś w końcu musi zabijać cielęta. Ale zabijanie cieląt z ciekawości byłoby ohydne, to musi być rzemiosło. Jeżeli człowiek ma obowiązek coś zrobić, to przynajmniej wie, że ma prawo to zrobić. Niech pan posłucha: sprawiedliwość musi być niezawodna jak tabliczka mnożenia. Ja nie wiem, może mógłby mi pan udowodnić, że każda kradzież to rzecz zła, ale ja udowodnię panu z całą pewnością, że każda kradzież jest zakazana, dlatego że w każdym wypadku pana aresztuję. Gdyby pan rozrzucał na ulicy perły, policjant upomni pana, że nie wolno zaśmiecać ulic. Ale gdyby pan zaczął czynić cuda, nie możemy panu tego zabronić, chyba tylko w tym wypadku, gdybyśmy to zakwalifikowali jako publiczne zgorszenie albo niedozwolone zbiegowisko. Musi w tym być jakaś nieobyczajowość, żebyśmy się mogli w to wmieszać.

— Ależ, panie komisarzu — oponował pan Rybka kręcąc się niespokojnie — czego wam jeszcze trzeba? Tu chodzi o... otaką dziwną sprawę... o coś niezwykle zagadkowego... a pan...

Pan Bartoszek wzruszył ramionami.

— A ja gwizdzę na to. Jeżeli pan sobie życzy, każe uprzątnąć ten ślad, żeby nie mącił pańskiego nocnego spokoju. Więcej nic zrobić nie mogę. Nic pan nie słyszy? Żadnych kroków? To idzie nasz patrol. To znaczy jest druga siedem. Dobranoc panu.

Pan Rybka odprowadził komisarza do furtki. Na środku ulicy widział jeszcze ten nie dokończony i niepojęty szereg śladów. Chodnikiem zbliżał się policjant.

— Mimra! — zawołał na niego komisarz — macie tam co nowego?

Policjant Mimra zasalutował.

— Nic a nic, panie komisarzu — zameldował. — Tam pod numerem siedemnastym miauczał na dworze kot, tożem zadzwonił, żeby go wpuścili do domu. Pod numerem dziewiątym była nie zamknięta furka. Na rogu rozkopali ulicę i nie ustawili czerwonej latarni, a u kupca Marszyka oberwał się z jednej strony szyld, będą go musieli rano zdjąć, żeby komuś na głowę nie spadł.

— To wszystko?

— Wszystko — oświadczył policjant.

— Rano trzeba będzie posypać chodniki, żeby ktoś nogi nie złamał. Trzeba by o szóstej wszędzie zadzwonić...

— Dobrze, w porządku — rzekł komisarz Bartoszek. — Dobranoc!

Pan Rybka jeszcze raz obejrzał się na ślady, które wiodły w nieznaną. Ale tam, gdzie był ostatni ślad, widniały teraz dokładne odciski komiśnych butów policjanta Mimry. I od

tego miejsca te szerokie ślady ciągnęły się regularnym i jasnym szeregiem dalej.

— Dzięki Bogu! — odetchnął z ulgą pan Rybka i poszedł spać.

Przełożył Zdzisław Hierowski

DOROTHY LEIGH SAYERS

Dorothy Leigh Sayers (Mrs. Atherton Fleming, 1883—1958) zadebiutowała w roku 1918 tomem wierszy. W roku 1923 wydała pierwszą swą powieść kryminalną Czyje ciało? (Whose Body?) i odtąd jej doskonale skonstruowane, pełne humoru i błyskotliwej inteligencji utwory tego typu zdobyły jej wielką sławę. Przed wojną cieszyła się u nas dużym powodzeniem powieść jej pt. Zbrodnia wymaga reklamy. Pani Sayers napisała też szereg słuchowisk radiowych, aż wreszcie zaskoczyła publiczność przekładem Piekła z Boskiej Komedii Dantego (1949). Przytoczony tu jeden z jej fantastycznych utworów jest oparty na motywach starych wierzeń.

BURY KOT

To bardzo ładnie, żeś zechciał przyjść i widzieć się ze mną w tych okolicznościach, Harringay. Wierz mi, że bardzo to sobie cenię. Nie każdy zapracowany adwokat zdobyłby się na tyle dla tak beznadziejnego klienta. Chciałbym tylko podsunąć ci jakąś trochę prawdopodobniejszą historię, ale mogę opowiedzieć jedynie to, co już opowiedziałem Peabody'emu. Widzę oczywiście, że nie wierzy ani jednemu słowu, ale nie mam do niego o to pretensji. Uważa, że powinienem umieć wymyślić opowiadanie bardziej zasługujące na wiarę. No, przypuśćmy, że mógłbym — ale co z tego za pożytek? Prawie na pewno człowiek gdzieś się potknie, jeśli próbuje za przysiąc kłamstwo. To, co ci opowiem, jest całkowitą prawdą.

Merridew i ja zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółmi — w szkole, na uniwersytecie i potem. Po wojnie rzadko się widywaliśmy, bo każdy z nas mieszkał w innej stronie kraju; ale spotykaliśmy się w stolicy od czasu do czasu i niekiedy pisywaliśmy do siebie, i — że tak powiem — każdy z nas wiedział, że drugi gdzieś tam tkwi. Przed dwoma laty napisał do mnie i zawiadomił, że się żeni. Stuknęła mu właśnie czterdziestka, a dziewczyna była o piętnaście lat młodsza, on zaś był okropnie zakochany. Trochę mnie to pobudziło do śmiechu — wiesz, jak to jest, kiedy się żeni ktoś z przyjaciół. Człowiek wtedy czuje, że nie będzie już tak jak dawniej, a ja przyzwyczaiałem się do myśli, że Merridew i ja zostaniemy starymi kawalerami.

Ale oczywiście pogratulowałem mu i posłałem prezent ślubny, no i miałem szczerą nadzieję, że będzie szczęśliwy. Był oczywiście zakochany po same uszy; pomyślałem, że to nawet niebezpiecznie, jeśli się weźmie pod uwagę różne rzeczy. Wyglądało na to, że się ożenił rozsądnie, gdyby nie ta różnica wieku... Powiedział mi, że poznał ją na garden party na probostwie — akurat tam! — gdzieś w Norfolk i że ona nigdy nie opuszczała dotąd swych rodzinnych stron. Dosłownie nigdy — to podkreślam — nie ruszyła się nawet do najbliższego miasta. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie była dobrze wychowana czy coś takiego. Jej ojciec był jakimś dziwnym odludkiem, mediewalistą czy jakimś innym szperaczem — rozpaczliwie biednym. Umarł wkrótce potem, jak się pobrali.

Nie widywałem się z nimi przez rok albo więcej. Wiesz, że Merridew jest inżynierem, budowniczym, i gdy minął miodowy miesiąc, zabrał żonę do Liverpoolu, gdzie robił coś przy rozbudowie portu. Po dzikiej okolicy w Norfolk musiała to być dla niej wielka odmiana. Ja przebywałem w Birmingham, a że po uszy tkwiłem w swoich sprawach, więc dorywczo tylko wymienialiśmy listy. Jego były — mogę je tylko tak nazwać — wyrazem oszałamiającego

szczęścia, zwłaszcza na początku. Później wydawał się trochę zmartwiony stanem zdrowia swej małżonki. Była nerwowa; życie w mieście jej nie odpowiadało; byłby zadowolony, gdyby mógł zakończyć swą pracę w Liverpoolu i zabrać ją na wieś. Nie było, rozumiesz, wątpliwości co do ich szczęścia; zagarnęła go, jak to mówią, z duszą i ciałem i — jeśli wyznają się na tym — darzyła go tymi samymi uczuciami. Chcę, żeby to było całkiem jasne.

No więc, aby się długo nie rozwodzić: Merridew napisał do mnie na początku ubiegłego miesiąca i powiedział, że właśnie się wybiera na nową robotę: będzie rozbudowywał sieć irygacyjną gdzieś w Somerset; i zapytał, czy mógłbym urwać się i przyjechać tam do nich na parę tygodni. Chciał się ze mną nagadać, a Felicja bardzo pragnęła mnie poznać. Dostali pokoje w wiejskim zajeździe. Miasteczko leżało na uboczu, ale były tam miejsca dobre dla wędkarzy, ładny krajobraz i tak dalej, no i miałem dotrzymywać towarzystwa Felicji, podczas kiedy on będzie pracował przy zaporze wodnej. Miałem już dosyć Birmingham, tego gorąca i różnych innych rzeczy, tak że bardzo mi się ten projekt spodobał. Tak czy owak należał mi się urlop — więc postanowiłem pojechać. Miałem coś jeszcze do załatwienia w Londynie, co, jak obliczyłem, powinno by mi zająć około tygodnia, więc zapowiedziałem, że przyjadę do Little Hexham dwudziestego czerwca.

Zdarzyło się jednak, że moje sprawy w Londynie zakończyły się niespodziewanie szybko i szesnastego stwierdziłem, że jestem absolutnie wolny i tkwię w hotelu, a tuż pod oknem pracują świdry mechaniczne i na dokładkę pobyt umiła maszyna do asfaltowania. Pamiętasz, jaki to był upalny miesiąc, po prostu płomienny czerwiec, bez przesady. Nie było na co czekać, więc posłałem depeszę do Merridewa, zapakowałem walizkę i tego samego wieczora wsiadłem w pociąg do Somerset. Nie mogłem znaleźć pustego przedziału, wreszcie trafiłem do pierwszej klasy dla palących, gdzie trzy miejsca były zajęte, i rozsiadłem się z zadowoleniem w czwartym rogu. Był tam jegomość o wyglądzie wojskowego, starsza kobieta z kupą walizek i koszyków oraz jakaś dziewczyna. Pomyślałem sobie, że będę miał miłą, spokojną podróż.

I tak by było, gdyby nie pewna moja cecha. Zrazu wszystko toczyło się pomyślnie, szczerze mówiąc zdaje się, że drzemałem i obudziłem się w porę, o siódmej, kiedy nadszedł kelner i powiedział, że jest kolacja. Poszedłem tylko ja, a kiedy wróciłem z wagonu restauracyjnego, starszego pana już nie było i pozostały tylko te dwie kobiety. Usadoviłem się znowu w swoim kącie i stopniowo, w miarę jak jechaliśmy, zaczęło ogarniać mnie okropne uczucie, że w przedziale znajduje się gdzieś kot. Należę do tych nieszczęsnych ludzi, którzy nie znoszą kotów. Nie chcę przez to powiedzieć, że wolę psy — chodzi mi o to, że obecność kota w tym samym pomieszczeniu sprawia, iż czuję się nieznośnie. Nie mogę tego opisać, ale mam wrażenie, że wiele osób odczuwa to samo. Ma to coś wspólnego z elektrycznością, tak mi mówiono. Czytałem, że bardzo często niechęć jest obopólna, ale w moim wypadku tak nie było. Te bestie uważają widocznie, że jestem cholernie pociągający, i zawsze lecą prosto do moich nóg. Śmieszne jest skarżyć się na to, ale niechęć do kotów nie przysparza mi życzliwości u starszych pań.

W każdym razie zacząłem czuć się coraz gorzej; wpadło mi do głowy, że ta stara na drugim końcu ławki musi mieć kota w jednym ze swoich niezliczonych koszyków. Pomyślałem, żeby ją poprosić, by wystawiła go na korytarz, albo zawołać konduktora i kazać mu usunąć kota, ale wiedziałem, jak bardzo głupio by to brzmiało. Więc postanowiłem, że spróbuję przetrzymać. Nie mogłem twierdzić, że zwierzę się źle zachowuje ani nic podobnego, a ona wyglądała na wcale przyjemną staruszkę; nie jej wina, że miałem taki uraz. Spróbowałem zająć się czym innym, zacząłem spoglądać na dziewczynę.

A było na co popatrzeć. Smukła, ciemna, z taką żalobnie białą skórą, przypominającą kwiat magnolii. Miała też zdumiewające oczy — nigdy nie widziałem takich oczu; bardzo jasne, brązowe, prawie bursztynowe, szeroko rozstawione i nieco skośne; wydawało się, że mają jakiś własny blask, chyba wiesz, o co mi chodzi. Nie wiem, czy to dobrze określam...

Nie chcę, żebyś myślał, że mnie wzięło, że mi się spodobała... Faktem jest, że nie pociągała mnie specjalnie, choć wyobrażam sobie, iż odmienny typ mężczyzny mógłby dostać kręcka na jej punkcie. Była po prostu niezwykła — to wszystko.

Ale choć usiłowałem myśleć o innych rzeczach, nie mogłem pozbyć się niemiłego uczucia i w końcu zrezygnowałem i wyszedłem na korytarz. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby pomóc ci zrozumieć resztę tej historii. Gdybyś tylko mógł pojąć, jak strasznie się czuję, kiedy w pobliżu jest kot — nawet zamknięty w koszyku — to byś lepiej zrozumiał, jak doszło do kupna rewolweru.

Tak więc dojechaliśmy do stacji węzłowej Hexham, najbliższej Little Hexham, i mój stary Merridew czekał już na peronie. Dziewczyna też wysiadła; dzięki Bogu nie ta starsza pani z kotem. Właśnie podawałem jej rzeczy, gdy podbiegł Merridew i powitał nas oboje.

— Halo! — zawołał. — Ależ to wspaniale! Czy państwo już się poznali?

Okazało się więc, że ta dziewczyna była panią Merridew i że wybrała się do Londynu po sprawunki. Wyjaśniłem jej, dlaczego przyjechałem wcześniej, na co ona powiedziała, że to świetnie i to, co zwykle w takich razach wypada powiedzieć. Zauważyłem, jaki miała miły, niski głos i z jakim wdziękiem się poruszała. Zrozumiałem, choć — zapamiętaj to sobie — nie podzielałem zachwytów Merridewa.

Wsiedliśmy do auta. Pani Merridew siedziała na tylnym siedzeniu, a ja usiadłem obok Merridewa i bardzo byłem zadowolony, że czuję pęd powietrza i uwolniłem się od przykrego wrażenia, jakiego doznawałem w pociągu. Merridew powiedział mi, że ta miejscowość wspaniale im służy, a Felicja tutaj w pewnym sensie odżyła. Dodał też, że sam jest w doskonałej formie, według mnie jednak wyglądał raczej na zapracowanego i wyczerpanego nerwowo.

Podobałby ci się ten zajazd, Harringay. Taki trochę starodawny i dziwaczny, z prawdziwymi antykami, nie jak podrobione graty z Tottenham Court Road. Pani Merridew oświadczyła, że jest zmęczona, i wcześniej poszła spać, my zaś łyknęliśmy trochę i wyszliśmy przejść się po wsi. To malutka wioska, świat zabity deskami; światła gaszą o dziesiątej; małe domki przygniecione są strzechami, wiechcie słomy nad oknami sterczą jak kosmate uszka — cała miejscowość mruczała sobie przez sen. Brygada robocza Merridewa nie nocowała tutaj oczywiście. Miała pobudowane dla siebie domki przy zaporze, o milę za wsią.

Właściciel zajazdu zamykał właśnie szynk, kiedy nadeszliśmy. Był to bryłowaty mężczyzna, o twarzy bez wyrazu. Żona jego — szczupła, płowowłosa kobieta — wyglądała na zbyt zahukaną, aby ośmieliła się otworzyć usta.

Ale potem stwierdziłem, że się mylę, bo pewnego wieczora, gdy wytrąbił już jednego albo dwa za dużo i wyglądało na to, że się zanosi na całą noc, żona odprawiła go na górę jednym gestem i spojrzeniem, które mu odebrało całą pewność siebie. Jednak pierwszego wieczora siedziała u wejścia i nie zajmowała się nami. Zawsze uważałem, że to dokuczliwy typ kobiety, ale trzeba przyznać, że utrzymywała swój dom w nadzwyczajnym porządku i czystości.

Dali mi przyzwoity pokój tuż pod okapem, z długim, niskim oknem wychodzącym na ogród. Prześcieradła pachniały lawendą, więc położyłem się i zasnąłem prawie w okamgnieniu, bo, widzisz, byłem tego zmęczony. Ale później w nocy obudziłem się. Było mi za gorąco, więc zdjąłem część koców, a potem podszedłem do okna, żeby zaczerpnąć powietrza. Ogród skąpany był w blasku księżycowym i zobaczyłem, że na trawniku coś się kręci i dziwnie przewraca.

Patrzyłem jakiś czas, zanim zrozumiałem, że to dwa koty. Nie przeszkadzały mi z tej odległości, więc przyglądałem się im przez pewien czas, nim wróciłem w głąb pokoju. Przewracały się jeden przez drugiego, odskakiwały od siebie, goniąc własne cienie na trawie. Zajęte swymi tajemniczymi sprawami, nieruchomiały zadumane, jak to zwykle bywa u kotów. Wyglądało to na jakiś rytualny taniec. Potem, zdaje się, coś je przestraszyło i zemknęły.

Wróciłem do łóżka, ale nie mogłem już zasnąć. Nerwy miałem napięte do ostateczności.

Leżałem patrząc w okno i wsłuchiwałem się w jakiś miękki, szeleszczący odgłos, który zdawał się dochodzić spomiędzy grubych gałęzi wistarii rosnącej wzdłuż ściany domu.

A potem z miękkim stuknięciem wylądowało coś na parapecie — był to wielki, bury kot.

Co mówisz? No tak — taki czarno-szary, pręgowany kot. Buras, tak. W moich okolicach mówi się, że bury. Nigdy nie widziałem takiego potwora. Stał z głową nieco przechyloną na bok, wpatrywał się w pokój i miękko pocierał uszami o framugę okienną.

Oczywiście nie mogłem tego znieść. Rzuciłem w bestię butem i bezszelestnie zniknęła. Gorąco czy nie — w każdym razie zamknąłem i zaryglowałem okno. Zdawało mi się, że słyszę ciche miauczenie gdzieś daleko w krzakach; potem zapadła cisza. Jednak po tym wszystkim zasnąłem twardo i leżałem jak kłoda, aż przysła służąca, żeby mnie obudzić.

Następnego dnia Merridew podwiózł nas samochodem, żebyśmy obejrzeni miejsce, gdzie budowano zaporę. Wtedy to po raz pierwszy przekonałem się, że Felicja jest nadmiernie pobudliwa. Zawiózł nas tam, gdzie zmieniano bieg części nurtu, kierując w ten sposób wartki strumień, żeby poruszał dynamo elektrowni. Przez strumień przerzuconych było kilka desek, po których mieliśmy przejść, by zobaczyć maszynę. Strumień był dość wąski i nie było żadnego niebezpieczeństwa, ale Felicja uparła się, że nie przejdzie, a kiedy Merridew nalegał, wpadła prawie w histerię. Gdy wróciliśmy, już się opanowała i przeproszała, że była taka niemądra. Merridew oczywiście się kajał i poczułem, że jestem piątym kołem u wozu. Powiedziała mi potem, że kiedyś, jako dziecko, wpadła do rzeki i o mało się nie utopiła i że to pozostawiło taki — jak to się nazywa? — kompleks płynącej wody. Poza tym jednym drobnym zatargiem przez cały czas, gdy tam byłem, nie słyszałem, aby sobie powiedzieli choćby jedno złe słowo; przez cały tydzień pobytu nie zauważyłem też żadnego objawu, który by wskazywał na zły stan zdrowia pani Merridew. Doprawdy, im było goręcej, tym większą tryskała żywotnością; cała nią promieniowała...

Merridew, nieobecny całymi dniami, bardzo ciężko pracował. Uważałem, że przesadza, i zapytałem go, czy czasem źle nie sypia. Powiedział mi, że przeciwnie — co noc zasypia, gdy tylko głowę przyłoży do poduszki i — co najbardziej u niego niezwykle — nie miewa żadnych snów.

Ja sam czułem się dość dobrze, ale upały męczyły mnie i nie miałem ochoty na żadne wysiłki. Pani Merridew zabierała mnie na długie przejażdżki samochodem. Siadywałem całymi godzinami, w półśnie, ukołysany pędem ciepłego powietrza i mrużeniem silnika, wpatrując się w mego kierowcę. Siedziała wyprostowana przy kierownicy z oczami wlepionymi bez przerwy w wijącą się szosę. Zwiedziliśmy całą okolicę na południe i wschód od Little Hexham, a raz czy dwa dojechaliśmy, na północ, aż do Bath. Raz zaproponowałem, żebyśmy skręcili przez most na wschód, gdzie, zdaje się, były ładne lasy, ale pani Merridew nie miała ochoty, powiedziała, że tam zła droga i że krajobraz po tej stronie jest nieciekawym.

Spędziłem całkiem przyjemny tydzień w Little Hexham i gdyby nie koty, czułbym się doskonale.

Co noc nasz ogród nawiedzał bury kot, którego widziałem pierwszej nocy. Mały brunatny i strasznie cuchnący czarny były specjalnie dokuczliwe, a pewnej nocy dołączył się i przestraszony biały kociak, który przez całą godzinę miauczał mi pod oknem. Rzucąłem butami i książkami w moich gości, aż miałem tego już serdecznie dość, ale one z uporem wyznaczały sobie spotkania w ogrodzie przed zajazdem. Dokuczało mi to z każdą nocą coraz bardziej; pewnego razu naliczyłem ich piętnaście, gdy siedziały kołem na dwóch łapkach, podczas gdy bury kot tańczył wśród nich swój taniec cieni, pojawiając się i znikając w mroku jak czółenka tkackie. Musiałem mieć okno zamknięte, bo bury kot najwyraźniej miał już zwyczaj włożenia po wistarii. Drzwi też musiałem zamykać, bowiem raz, gdy wyszedłem, by przynieść coś z pokoju na dole, znalazłem go po powrocie na łóżku, jak ugniatał kołdrę łapami — drap, drap, drap... — z oczami przymkniętymi w zmysłowej ekstazie. Spędziłem go, a on

parsknął na mnie i uciekł w ciemny korytarz.

Powiedziałem o nim gospodyni, ale ona dość zdawkowo odparła, że nie trzyma kota w zajeździe. I właściwie nigdy ich za dnia nie widziałem. Aż pewnego razu o zmierzchu przyła-
pałem gospodarza w jednym z budynków w obejściu. Miał na ramieniu brunatnego kota i ka-
rmił go czymś, co wyglądało na skrawki wątróbki. Zrobiłem mu wymówkę, że zwabia koty, i
poprosiłem, czy bym nie mógł dostać innego pokoju, gdyż wytrąca mnie z równowagi cono-
cna kocia muzyka. Ledwie rozchylił wąskie powieki i wymamrotał, że zapyta o to żonę; ale
nic w tej sprawie nie zrobiono i prawdę mówiąc zdaje się, że nie było drugiej sypialni w tym
domu.

Z każdym dniem upał stawał się coraz bardziej nie do zniesienia. Co dzień zbierało się
na burzę, niebo było wtedy jak mosiądz, ziemia jak rozpalone żelazo, a powietrze drżało, aż
oczy bolały patrzeć.

Dobrze, Harringay — staram się nie odbiegać od tematu. Niczego przed tobą nie ukry-
wam. Podkreślam, że moje stosunki z panią Merridew były najzwyczajniejsze w świecie. Oczywi-
ście dużo przebywałem w jej towarzystwie, bo jak już wspomniałem, Merridew był cały dzień
poza domem. Rano jechaliśmy z nim do zapory, potem ona zabierała wóz i naturalnie starali-
śmy się możliwie jak najprzyjemniej spędzić czas aż do wieczora. Miałem wrażenie, że jest
całkiem zadowolona z mego towarzystwa, a i ja nie powiem, żebym jej nie polubił. Nie
umiem ci powtórzyć, o czym rozmawialiśmy — w każdym razie o niczym wartym zapamię-
tania. Nie była kobietą zbyt rozmowną. Siadywała lub leżała całymi godzinami w słońcu,
prawie się nie odzywając — przeciągając się tylko w ciepłe i blasku. Czasami całe popołudnie
bawiła się gałązką lub kamyczkiem, a ja siedziałem obok i paliłem. Czy była spokojna? Nie.
Nie nazwałbym jej spokojną. W żadnym wypadku. Wieczorami ożywiała się i trochę więcej
mówiła, ale na ogół wczesnie chodziła spać i pozostawiała Merridewa i mnie na pogawędce w
ogrodzie.

Aha, teraz o tym rewolwerze. Tak. Kupiłem go w Bath, dokładnie w tydzień po przy-
byciu do Little Hexham. Pojechaliśmy tam rano i w czasie gdy pani Merridew załatwiała
jakieś sprawunki dla męża, ja bobrowałem po sklepach ze starzyzną. Miałem zamiar zdobyć
wiatrówkę albo flower czy coś podobnego, kiedy nagle zobaczyłem ten rewolwer. Widziałeś
go oczywiście. Jest bardzo malutki — „nieco większy niż dziecinna zabawka”, jak to piszą w
książkach — ale może okazać się skuteczny. Stary, który mi go sprzedał, nie znał się chyba za
dobrze na broni palnej. Wziął go w komis niedawno — jak mi oświadczył — wraz z dziesię-
ciu nabojami. Nie pytał, czy mam pozwolenie na broń; był zadowolony po prostu, że może
coś sprzedać nie robiąc klientowi trudności. Powiedziałem mu, że wiem, jak się obchodzić z
rewolwerem, i żartobliwie dodałem, że chcę sobie postrzelać z zasadzki do kotów. Zdaje się,
że to go nieco zaniepokoiło. Był to wysuszony, mały staruszek, o skąpej, siwej bródce i żyła-
stej szyi. Zapytał mnie, gdzie się zatrzymałem. Powiedziałem mu, że w Little Hexham.

— To niech pan lepiej uważa — rzekł. — Oni tam bardzo dbają o swoje koty; ludzie
powiadają, że to niedobrze je zabijać.

A potem dodał coś o srebrnej kuli, co niecałkiem zrozumiałem.

Wydawało się, że ten drżący starzec ma jakieś skrupuły z wydaniem mi paczki, ale
zapewniłem go, że jestem w pełni odpowiedzialny i wiem, co kupuję. Pozostawiłem go w
drzwiach sklepu, jak szarpał bródkę i patrzył za mną z niepokojem.

Tej nocy była burza. Już pod wieczór niebo nabrało barwy ołowiu, ale upał był bardziej
przykry i przytłaczający niż za dnia. Państwo Merridew byli dziwnie podenerwowani. On
ponuro kłął pogodę i muchy, ona zaś była podniecona i niespokojna. Burza wpływa tak na
niektórych ludzi. Czuję się nie lepiej, a co gorsza miałem wrażenie, że cały dom jest pełen
kotów. Nie widziałem ich, ale wiedziałem, że są tutaj, że czają się za szafami i śmigają
bezszelestnie po korytarzach. Ledwie wysiedziałem w saloniku i z radością wymknąłem się
do swego pokoju. Koty czy nie koty — musiałem otworzyć okno i tkwiłem tam w rozpiętej

bluzie od pidzamy, próbując zaczerpnąć powietrza.

Nie pomogło to wiele; mieszkanie dyszało żarem jak wewnątrz pieca hutniczego. I w dodatku ciemno choć oko wykol! Ze swego okna nie rozróżniałem prawie, gdzie kończy się trawnik, a zaczynają krzaki. Ale słyszałem i czułem koty. Coś drapało z lekka wśród wistarii i szarpało liście, a około jedenastej któryś z kotów rozpoczął koncert głośnym, obrzydliwym lamentem. Kolejno przyłączały się inne — przysiągłbym, że było ich pięćdziesiąt.

Od razu zrobiło mi się mdło i dostałem gęsiej skórki; wyczułem w dodatku, że jeden z nich po ciemku zmierza wprost na mnie. Rozejrzałem się szybko — i oto przede mną stanął wielki bury kot, oparty o moje ramię, z oczyma jarzącymi się jak zielone lampki.

Wrzasnąłem i zamachnąłem się na niego, on zaś parsknął, zeskakując na dół poza okno. Postłyszałem uderzenie o żwir i wrzaski kocie, które zabrzmiały w całym ogrodzie z nową gwałtownością.

Potem w jednej chwili zapanowała cisza, a w oddali pojawił się błękitny błysk, potem drugi. Przy pierwszej błyskawicy ujrzałem odległy mur otaczający ogród, udekorowany na całej długości kotami jak fryz w dziecinnym pokoju. Gdy błysnęło drugi raz — wierzch muru był już pusty.

Przez trzy godziny siedziałem, patrząc, jak błyskawice przecinają niebo, i radowałem się łoskotem piorunów. Burza usuwała wszystkie elektryczne zaburzenia w moim ciele; chciałem krzyknąć z podniecenia i ulgi. Potem spadły pierwsze ciężkie krople, następnie — o godzinie drugiej — zaczęła się nieprzerwana ulewa, a potem — potop. Waliło w otoczony żelazem ogród z takim hałasem, jak gdyby przewracały się stalowe słupy. Wzniósł się upajający zapach ziemi, a wiatr zerwał się i miotał deszczem w moją twarz. Postłyszałem, jak na drugim końcu korytarza ktoś zamyka i rygluje okno, wychyliłem się wśród szumu i pozwoliłem, by woda zmoczyła mi głowę i ramiona. Grzmoty huczały nieustannie, coraz słabiej i dalej, a gdy błyskało od czasu do czasu — widziałem rozpostartą między mną a ogrodem białawą sieć spadającej wody.

Po jednej z takich serii grzmotów zdałem sobie sprawę, że ktoś stuka do drzwi. Otworzyłem je: stał w nich Merridew. W ręce miał świecę, a twarz jego wyrażała przestach.

— Felicja! — zawołał gwałtownie. — Zachorowała. Nie mogę się jej dobudzić. Chodź i pomóż mi, na miłość boską.

Popędziłem za nim przez korytarz. W jego pokoju były dwa łóżka — duże, o czterech kolumnkach, osłonięte szkarłatnym adamaszkiem, i przysunięte do okna, małe łóżko polowe. To drugie było puste, a pościel na nim była w nieładzie; widocznie to on tylko co z niego wstał. Na łóżku z kolumnkami leżała pani Merridew, naga, przysłonięta tylko prześcieradłem. Leżała płasko na plecach, a na ramionach wiły się jej długie, czarne włosy, splecione w dwa warkocze. Twarz miała woskowo bladą i ściągniętą jak twarz trupa, a tętno tak słabe, że zrazu go nie wyczuwałem. Oddech był bardzo powolny i płytki, a ciało zimne. Potrząsnąłem nią, jednak wcale nie zareagowała. Uniosłem jej powieki i zauważyłem, że oczy miała wywrócone, tak że tylko białka błyskały. Dotknięcie końcem palca wrażliwej gałki nie wywołało żadnej reakcji. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zażywa jakichś narkotyków. Merridew uważał widocznie, że potrzebne są pewne wyjaśnienia. Coś tam bełkotał o upale, że nie mogła znieść nawet lekkiej jedwabnej koszuli nocnej. Zaproponowała mu, żeby się położył na drugim łóżku. On spał twardo, przespał nawet grzmoty. Obudził go deszcz bryzgający mu w twarz. Wstał i zamknął okno. Potem odezwał się do Felicji, żeby się dowiedzieć, jak się czuje — pomyślał, że może burza ją przestraszyła. Nie usłyszał odpowiedzi. Zapalił światło. Jej stan go przeraził. A potem już wiesz...

Powiedziałem mu, żeby wziął się w garść i spróbował, czy nie uda mu się przywrócić krążenia. Trzeba tylko rozcierać jej ciało. W gruncie rzeczy byłem przekonany, że jest ona pod wpływem środka nasennego. Zabraliśmy się do roboty, masując ją, szczypiąc i uderzając wilgotnymi ręcznikami. Chwilami wołaliśmy ją po imieniu, wprost w ucho. Zupełnie jakby-

śmy mieli do czynienia z martwą kobietą, tyle że pierś jej podnosiła się i opadała, bardzo lekko, ale regularnie. Ja zaś — z pewnym zaskoczeniem — dostrzegłem na magnoliowej bieli jej skóry skazę. Tuż nad sercem miała duże, brunatne znamię. Wzburzony, wyobraziłem sobie, że to rana, i przestraszyłem się. Ciężką mieliśmy pracę przez pewien czas, aż pot z nas spływał, kiedy nagle zdaliśmy sobie sprawę, że coś się dzieje za oknem. Słychać było ukradkowe stukanie i drapanie o szyby. Złapałem świecę i podszedłem do okna.

Na parapecie siedział, trzymając się pazurami framugi, bury kot. Jego złane deszczem, zmokłe futro przylegało do ciała, oczy wlepił we mnie, zaś pyszczek otworzył, jakby protestując. Kot drapał uporczywie ramę okienną, a tylne łapy ześlizgiwały się i zgrzytały po blasze. Zacząłem stukać w szybę i krzyczeć na kota, ale on dobijał się jak opętany. Gdy skłamałem go i odwróciłem się, wydał przeciągłe, rozpaczliwe miauknięcie.

Merridew zawołał, bym przyniósł świecę i zostawił w spokoju tę bestię. Powróciłem do łóżka, ale ponury wrzask nie ustawał. Zaproponowałem, żeby Merridew zbudził gospodarza, postarał się o butelki z gorącą wodą i trochę wódki z baru, no i dowiedział się, czy nie można posłać kogoś po doktora. Merridew posłusznie odszedł, ja zaś kontynuowałem masaż. Zdawało mi się, że tętno jest jeszcze słabsze. Nagle przypomniałem sobie, że mam w walizce małą butelkę koniaku. Wybiegłem, żeby ją przynieść, i wtedy kocisko nagle przestało wrzeszczeć.

Wchodząc do swego pokoju poczułem rozkoszne tchnienie świeżości — okno było otwarte. Znalazłem w ciemnościach walizkę i zacząłem szperać wśród koszul i skarpet, nie mogąc namacać butelki. Wtem posłyszałem głośne, triumfujące miauknięcie. Odwróciłem się, gdy bure kocisko przykucnęło przez moment na parapecie, potem przeskoczyło za moimi plecami i wymknęło się drzwiami. Znalazłem flaszkę i pobiegłem z powrotem, właśnie w chwili, gdy Merridew i gospodarz wchodzili na schody.

Kiedy weszliśmy do pokoju, pani Merridew poruszyła się, usiadła na posłaniu i zapytała — co na miłość boską się stało?

Nigdy chyba jeszcze nie czułem się tak ogłupiały.

*

Następnego dnia było chłodniej; burza oczyściła atmosferę. Co Merridew powiedział swojej żonie, tego nie wiem. Żadne z nas nie nawiązało do wydarzeń nocnych i wszystko wskazywało, że pani Merridew cieszy się najlepszym zdrowiem. Merridew wziął sobie wolny dzień na budowie i wszyscy razem wybraliśmy się na dłuższą przejażdżkę samochodem. Stosunki między nami były jak najlepsze. Zapytaj Merridewa. To samo ci powie. Na pewno powie to samo. Nie mogę uwierzyć, Harringay, po prostu nie mogę uwierzyć, żeby mógł mnie podejrzewać. Słowo daję, nie było żadnych podstaw do podejrzeń, absolutnie żadnych. Tak, to ważna data — 24 czerwca. Nie mogę ci bardziej szczegółowo opowiedzieć, bo nie ma nic więcej do opowiedzenia. Wróciliśmy i jedliśmy kolację jak zwykle. Byliśmy wszyscy troje razem przez cały dzień, aż do chwili, gdy udaliśmy się na spoczynek. Daję ci słowo honoru, że tego dnia z żadnym z nich na osobności nie rozmawiałem, ani z nim, ani z nią. Pierwszy poszedłem spać i posłyszałem, jak tamci w jakie pół godziny potem wchodzą po schodach. Rozmawiali ze sobą wesoło.

Noc była księżycowa. Nareszcie nie niepokoiła mnie żadna kocia muzyka. Nie trzaszczyłem się nawet o zamknięcie okna ani drzwi. Zanim się położyłem, umieściłem na krześle rewolwer. Tak, był naładowany. Nie miałem specjalnego powodu, aby kłaść go pod ręką, chyba podświadome postanowienie — zrobię porządek z kotami, jeśli mi urządzą jeszcze jeden koncert.

Byłem wściekle zmęczony i myślałem, że usnę od razu, tymczasem — nie. Musiałem być zbyt zmęczony. Leżałem i patrzyłem na księżyc, a potem, około północy, posłyszałem to, czego się trochę spodziewałem. Ukradkowe skrobanie wśród wistarii i ciche miauknięcie.

Usiadłem na łóżku i sięgnąłem po rewolwer. Posłyszałem lekkie kłapanięcie, gdy na

parapet wskoczył wielki kot. Zobaczyłem jego czarnosrebrzyste boki, zarys jego okrągłej głowy, nastawione uszy i wyprostowany ogon. Wycelowałem i strzeliłem. Bestia wydała przerażający wrzask i zeskoczyła do pokoju.

Zerwałem się z łóżka. Huk strzału rozbrzmiał donośnie w całym domu. Z dołu usłyszałem odległe głosy. Popędziłem za kotem przez korytarz z rewolwerem w ręce. Chyba chciałem go dobić. A potem w drzwiach pokoju państwa Merridew zobaczyłem Felicję. Stała niepewnie, trzymając się obu rękami framugi drzwi. Potem upadła u moich nóg. Jej obnażona pierś była skrwawiona. I gdy stałem, patrząc na nią i ściskając rewolwer, wyszedł Merridew i tak nas zastał.

No więc, Haringay, to jest cała historia. Zupełnie to samo opowiedziałem Peabody'emu. Obawiam się, że nie bardzo się to spodoba wysokiemu sądowi, ale cóż mogę zrobić. Innej nie opowiem. Krwawy szlak wiódł z mojego do jej pokoju. Kot musiał tędy uciekać. Ja wiem, że do kota strzelałem. Żadnego innego wyjaśnienia dać nie mogę. Nie wiem, kto zastrzelił panią Merridew i dlaczego. Nic na to nie poradzę, że wszyscy w gospodzie mówią, że nigdy nie widzieli burego kota; Merridew widział go tamtej nocy i wiem, że nie skłamię w tej sprawie. Przeszukajcie dom, Haringay, to jedyne, co zostało do zrobienia. Rozbierzcie go na kawałki, a znajdziecie ciało burego kota. Będzie miał w sobie kulę.

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski

WILLIAM FAULKNER

Jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich, William Faulkner (ur. 1897), w utworach swych przedstawia Południe USA, które zna dobrze, choć sam urodził się w stanie Missisipi. W szeregu powieści daje obraz upadku Południa po wojnie domowej 1861—1865. Temat ten poruszają też liczne nowele, nacechowane surowym realizmem budzącym w czytelniku nastrój grozy. W Kwiaty dla Emilii autor świetnie przechodzi od wydarzeń sprzed wielu lat do dziejących się współcześnie, potem znów cofa się w przeszłość. Pod tym względem konstrukcja utworu jest mistrzowska.

KWIATY DLA EMILII

I

Gdy panna Emilia Grierson umarła, na pogrzeb jej poszło całe nasze miasto; mężczyźni z pewnego rodzaju szacunku i przywiązania, jakie się ma dla zabytków, kobiety — głównie przez ciekawość, by zobaczyć wewnątrz jej domu, do którego przynajmniej od dziesięciu lat nikt nie zajął poza starym służącym, ogrodnikiem i kucharzem w jednej osobie.

Był to dom wielki, w kształcie sześcianu, niegdyś biały, ozdobiony kopułami, wieżyczkami i spiralnie wijącymi się balkonami, w przeładowanym stylu lat siedemdziesiątych. Stał przy ulicy, która w swoim czasie była u nas najbardziej reprezentacyjna. Jednak garaże i czyszczalnie bawełny przytłoczyły i zatarły najświetniejsze nawet nazwiska związane z tą dzielnicą; tylko dom panny Emilii, rudera nad ruderami, pozostał wśród wozów z bawełną i stacji benzynowych pyszniąc się swoją upartą, kokieterijną starością.

Teraz zaś panna Emilia odeszła na cmentarz zarośnięty smętnymi cedrami, między przedstawicielei owych świetnych nazwisk, którzy spoczywali wśród równych szeregów mogił nieznanymi żołnierzy Unii Konfederacji, poległych w bitwie pod Jefferson.

Za życia panna Emilia była uosobieniem tradycji, obowiązku i rzetelności, była czymś w rodzaju dziedzicznego obciążenia dla miasta. Datowało się to od owego dnia w 1894 roku, kiedy to burmistrz, pułkownik Sartoris (ten sam, który przyczynił się do wydania ustawy zabraniającej Murzynkom wychodzenia na ulicę bez fartucha) zwolnił ją od podatków; przywilej ten nadany w chwili śmierci ojca miał być dożywotni.

Nie chodziło o to, by panna Emilia korzystać musiała z ulg dobroczynności. Pułkownik Sartoris, aby jej oszczędzić nawet pozorów ubóstwa, wykombinował historię, jakoby ojciec panny Emilii pożyczył był pieniądze zarządowi miejskiemu, a miasto z przyczyn finansowych wybrało taki sposób spłaty. Wymyślić to mógł jedynie człowiek tamtej generacji, i to o umyśle pułkownika Sartorisa, a uwierzyć w to mogła tylko kobieta.

Gdy następane pokolenie, o bardziej nowoczesnych pojęciach, zajęło stanowiska burmistrzów i radnych miejskich, sprawa ta wywołała pewne, nieznaczące niezadowolenie. Z nowym rokiem przesłano pannie Emilii nakaz podatkowy. Nadszedł luty, a odpowiedzi nie było. Wystosowano do panny Emilii oficjalne pismo — wezwanie, by się zgłosiła w biurze szeryfa, jak tylko będzie mogła. W tydzień później burmistrz sam do niej napisał, proponując, że ją odwiedzi albo pośle po nią auto. W odpowiedzi otrzymał na papierze staroświeckiego formatu cienkim, płynnym, kaligraficznym pismem wypisane wyblakłym atramentem zawiadomienie, że panna Emilia w ogóle już nie wychodzi z domu. Załączony był też, bez komentarza, nakaz podatkowy.

Rada miejska zwołała nadzwyczajne posiedzenie. Wysłano do panny Emilii delegację — stukano do drzwi, przez które nie przeszedł żaden gość od czasu, gdy panna Emilia osiem czy dziesięć lat temu przestała udzielać lekcji malowania na porcelanie. Stary Murzyn wpuszcił delegację do ciemnego hallu, skąd schody prowadziły na górę w jeszcze większy mrok. Pachniało tu kurzem i starością — była to woń stęchlizny, typowa dla długo nie wietrzonych pomieszczeń.

Murzyn wprowadził delegację do salonu, zastawionego ciężkimi, skórą krytymi meblami. Gdy otworzył okiennice jednego z okien, goście zobaczyli, że skóra jest spękana; gdy zaś usiedli, delikatny pył unióśł się ciężko wokół nich; drobiny kurzu zawirowały w wąskiej smudze słonecznej. Na pociemniałych złożonych sztalugach przed kominkiem stał pastelowy portret ojca panny Emilii.

Wstali, gdy weszła — mała, tęga kobieta w czerni, z cienkim złotym łańcuszkiem, który spływał jej po biuście i znikał za paskiem. Opierała się na hebanowej lasce ze szerniąłą złotą gałką. Budowę miała drobną i delikatną; i gdy inne kobiety jej tuszy określono by jako pulchne, ona była już otyła. Robiła wrażenie napęczniałej i miała ten wymokły odcień bladości, jak by jej ciało dłuższy czas było zanurzone w stojącej wodzie. Oczy, zagubione w tłustawych fałdach policzków, wyglądały jak dwa małe kawałeczki węgla wciśnięte w bryłę surowego ciasta. Przesuwały się od jednej twarzy do drugiej, podczas gdy goście wyluszczali cel wizyty.

Nie poprosiła ich, by usiedli. Stała tylko w drzwiach i spokojnie słuchała, aż przewodniczący delegacji utknął. Wówczas dało się słyszeć cykanie zegarka — niewidocznego na końcu złotego łańcuszka.

Głos miała zimny, mówiła sucho:

— Ja w Jefferson nie płacę podatków. Zapewnił mi to pułkownik Sartoris. Może któryś z panów zechce sięgnąć do archiwów miejskich i przekonać się o tym.

— Ależ myśmy to zrobili. Jesteśmy przedstawicielami władz miejskich, proszę pani. Czyż nie dostała pani zawiadomienia podpisanego przez szeryfa?

— Dostałam jakiś papier, owszem — odparła panna Emilia. — Może ten ktoś uważa się za szeryfa... Ja jednak w Jefferson podatków nie płacę.

— Ale widzi pani, w aktach nie ma nic, co by do tego upoważniało. Musimy pominąć...

— Proszę porozumieć się z pułkownikiem Sartorisem. Ja w Jefferson podatków nie

płacę.

— Ależ proszę pani...

— Proszę porozumieć się z pułkownikiem Sartorisem — (pułkownik nie żył już prawie od dziesięciu lat). — Nie płacę podatków w Jefferson. Tobiaszu! — tu pojawił się Murzyn. — Wyprowadź tych panów!

II

Tak więc pokonała ich tym razem tak samo, jak pokonała przed trzydziestu laty ich ojców, gdy chodziło o sprawę przykrych zapachów. Było to w dwa lata po śmierci jej ojca i niedługo potem, gdy porzucił ją ukochany, ten, o którym wszyscy sądziliśmy, że się z nią ożeni. Po śmierci ojca wychodziła bardzo rzadko; po odejściu ukochanego — prawie wcale jej nie widywano. Kilka pań miało śmiałość odwiedzić ją, lecz nie zostały przyjęte. Jedynym, który dawał tam znak życia, był Murzyn — podówczas młody człowiek, który wychodził z koszykiem na targ.

— Zupełnie jak by mężczyzna mógł utrzymać kuchnię w porządku — mówiły panie; toteż nie były zaskoczone, gdy przykry zapach się wzmacniał. Była to nowa więź między popolitym światem, pulsującym życiem, a wyniosłymi i potężnymi Griersonami.

Jedna z sąsiadek poskarżyła się na to osiemdziesięcioletniemu burmistrzowi, sędziemu Stevensowi.

— Ale co pani chce, żebym zrobił w tej sprawie? — zapytał.

— Niechże pan do niej napisze, żeby raz z tym skończyła — powiedziała kobieta. — Czyż nie ma na to prawa?

— Jestem pewien, że to nie będzie potrzebne — rzekł sędzia Stevens. — Prawdopodobnie Czarny zatłukł po prostu węża albo szczura na podwórku. Pomówię z nim.

Następnego dnia wpłynęły dwa nowe zażalenia — jedno z nich od człowieka, który przybył z poufną skargą:

— Doprawdy, musimy coś z tym zrobić, panie sędzio. Za żadne skarby świata nie chciałbym zrobić przykrości pannie Emilii, ale coś trzeba na to poradzić.

Tegoż wieczora zebrała się rada miejska — trzech mężczyzn z siwymi brodami i jeden młody, przedstawiciel młodej generacji, która wkrótce miała przejąć władzę.

— To całkiem proste — oświadczył. — Poślijcie jej nakaz, aby uporządkowała swoją posesję. Dajcie jej pewien termin, a jeśli nie...

— Do diabła, mój panie — rzekł sędzia Stevens — czyż powie pan wprost kobiecie, że u niej śmierdzi?

Tak więc następnej nocy, po dwunastej, czterech ludzi przeszło przez gazon u panny Emilii i okrzykiło dom jak włamywacze, węsząc wzdłuż fundamentów i okienek piwnicznych. Jeden z nich tymczasem, sięgając do worka, który mu zwiślał z ramienia, wykonywał ręką półkoliste ruchy siewcy. Ludzie ci wyważyli drzwi do piwnicy, którą, podobnie jak wszystkie budynki gospodarskie, wysypali wapnem. Gdy przechodzili z powrotem przez gazon, w ciemnym dotychczas oknie zabłysło światło. W oknie tym siedziała oświetlona od tyłu panna Emilia, a jej wyprostowany tors był nieruchomy jak u bożka. Prześliznęli się cicho przez trawnik w cień akacji, które rosły wzdłuż ulicy. Minał tydzień czy dwa — i fetor ustąpił.

Wtedy to właśnie ludziom zaczęło być naprawdę żal panny Emilii. Mieszkańcy naszego miasta, pamiętając, że stara pani Wyatt — jej cioteczna babka — całkiem na starość zwariowała, byli zdania, że Griersonowie trochę za bardzo zadzierali nosa. Żaden z młodych ludzi nie był godny ręki panny Emilii i jej podobnych. Przez długi czas pamiętaliśmy taki obrazek: panna Emilia, smukła figurka w bieli — na dalszym planie, na pierwszym zaś — odwrócona do niej plecami postać jej ojca, stojącego na rozstawionych nogach, ze szpicrutą w ręku; ramę

stanowiły otwarte drzwi wejściowe. Tak więc, mimo że dobiegała trzydziestki, nadal pozostała panną. Nie dawało nam to satysfakcji, ale potwierdzało domysły; nawet mimo objawów szaleństwa trafiających się w jej rodzinie nie powinna była pomijać nadarzających się czasem okazji.

Gdy umarł jej ojciec, gruchnęła wieść, że ten dom to wszystko, co jej pozostawił; ponieważ ludzie byli z tego zadowoleni. Nareszcie mogli żałować panny Emilii. Gdy pozostała sama, bez pieniędzy — stała się jakoś bardziej ludzka. Teraz i ona przeżywać miała troski, lęk o starość i ona musiała się liczyć z każdym groszem.

Na drugi dzień po śmierci ojca wszystkie panie postanowiły ją odwiedzić, złożyć jej kondolencje i zaproponować pomoc, jak to jest u nas w zwyczaju. Panna Emilia powitała panie w drzwiach, ubrana jak zwykle i bez cienia smutku na twarzy. Oświadczyła, że ojciec jej wcale nie umarł. Powtarzała to przez trzy dni, gdy przychodzili do niej pastor i doktor, starając się ją przekonać, by zezwoliła na wyprowadzenie zwłok. Uległa dopiero, gdy chcieli odwołać się do prawa i użyć siły. Szybko pochowano jej ojca.

Nie mówiliśmy wówczas, że jest szalona. Sądziliśmy, że musiała tak postąpić. Pamiętaliśmy wszystkich młodych ludzi, których przepędził jej ojciec, i wiedzieliśmy, że skoro już jej nic nie pozostało — musiała jakoś przylgnąć do tego, który ją obrabował. Z kim innym by też tak było.

III

Chorowała przez długi czas. Gdyśmy ją znowu ujrzeli — miała włosy krótko obcięte, co sprawiało, że wyglądała jak dziewczynka, z lekka przypominając owe — ni to tragiczne, ni to pogodne — aniołki na kościelnych witrażach.

Miasto zawarło właśnie kontrakt na położenie chodników i latem, po śmierci jej ojca, rozpoczęto roboty. Firma nadesłała czarnych, muły i maszyny, a także nadzorcę — Jankesa, który nazywał się Homer Barron, był wysokim, smagłym, rzutkim mężczyzną o potężnym głosie i jasnych oczach. Mali chłopcy łazili za nim gromadą, żeby słuchać, jak klnie na Murzynów. Czarni śpiewali, rytmicznie podnosząc i opuszczając kilofy. Gdziekolwiek w jakimś punkcie placu dawał się słyszeć wybuch śmiechu — w środku grupy był na pewno Homer Barron. Potem nagle zaczęliśmy widywać go w niedzielne popołudnia w towarzystwie panny Emilii. Jeździli bryczką na żółtych kołach, zaprzężoną w doborową parę kasztanów — ze stajni utrzymywanej przez pannę Emilię.

Początkowo byliśmy zadowoleni, że panna Emilia zainteresowała się kimś, bo wszystkie panie mówiły:

— Oczywiście taka Griersonówna nie myśli poważnie o człowieku z Północy, i w dodatku pracowniku kontraktowym.

Ale byli jeszcze inni, ludzie starsi, którzy twierdzili, że nawet nieszczęście nie może sprawić, by prawdziwa dama zapomniała o tym, że *noblesse oblige* — oczywiście wyrażali to w inny sposób. Mówili po prostu:

— Biedna Emilia. Powinna by do niej przyjechać rodzina.

Miała jakichś krewnych w Alabamie; przed laty jednak jej ojciec zerwał z nimi — mieli jakiś spór o majątek starej pani Wyatt, tej wariatki, tak że między dwoma gałęziami rodziny nie utrzymywano już stosunków. Tamci nawet nie pokazali się na pogrzebie.

Jak tylko starzy powiedzieli: — Biedna Emilia — zaczęły się szeptki.

— Czy naprawdę myślisz, że między nimi aż do tego doszło? — pytano się wzajemnie.

— Oczywiście, że tak. Cóż by innego...?

Tak mówiono sobie na ucho; za spuszczoneymi żaluzjami w słoneczne niedzielne popołudnia szeleściły jedwabie i satyny wychylających się dam, gdy para koni przebiegała z

bliska, szybkim klop, klop, klop... — Biedna Emilia.

Głowę nosiła jednak wysoko, nawet gdy sądziliśmy, że już upadła. Sprawiało to wrażenie, jakby ona — ostatnia z Griersonów — domagała się bardziej niż kiedykolwiek uznania dla swej godności, jak by trzeba jej było zetknięcia z czymś ziemskim dla podkreślenia jej wyższości. Kiedyś kupowała trutkę na szczury, arsenik. Było to w czasie odwiedzin jej dwóch kuzynek, przeszło w rok potem, jak zaczęto mówić: — Biedna Emilia.

— Potrzebna mi jakaś trucizna — powiedziała do farmaceuty. Miała wówczas ponad trzydziestkę, była ciągle jeszcze kobietą drobną i szczupłą, nawet szczuplejszą niż zwykle. Czarne jej oczy rzucały zimne, wyniosłe spojrzenia. Czyż mogła robić wrażenie złej gospodyni? — Potrzebna mi jest jakaś trucizna — powiedziała.

— Dobrze, proszę pani, ale jaka? Na szczury czy coś w tym rodzaju? Polecałbym...

— Chcę najlepszą, jaką pan posiada. Obojętne, jakiego rodzaju.

Farmaceuta wymienił kilka.

— Zabiją wszystko, do słonia włącznie. Ale pani potrzebny jest...

— Arsenik — powiedziała panna Emilia. — Czy to dobra trucizna?

— Czy dobra... Arsenik? Tak, proszę pani. Tylko że pani potrzeba...

— Chcę arseniku.

Farmaceuta popatrzył na nią. Odwzajemniła mu się spojrzeniem — wyprostowana, z twarzą poważną i dumną, jak bandera na wietrze.

— No, oczywiście... — rzekł farmaceuta. — Jeśli to właśnie jest pani potrzebne... Ale przepisy wymagają, by pani wyjaśniła, do czego to jest potrzebne.

Panna Emilia popatrzyła mu tylko prosto w oczy, z głową odchyloną do tyłu, aż spuścił wzrok i odszedł. Znalazł arsenik i zapakował. Mały Murzyn odniósł jej paczkę; farmaceuta już się nie pokazał. Gdy w domu otworzyła paczkę — na pudełku pod czaszką i pieszczelami napisane było: „Trutka na szczury”.

IV

— Odbierze sobie życie, i to będzie najlepsze, co może zrobić — orzekliśmy wszyscy nazajutrz.

Gdy po raz pierwszy zobaczono ją w towarzystwie Homera Barrona, wszyscy powiedzieli:

— Wyjdzie za niego za męż.

Potem gadało się:

— Jeszcze go omota.

Sam Homer zauważył w swoim czasie, że nie jest z tych, co to się chętnie żenia; lubił męskie towarzystwo i wiadomo było, że pija wraz z młodymi w Klubie Łosi.

— Biedna Emilia — mówiliśmy następnie za żaluzjami, gdy w niedzielne popołudnia wyczyszczonej bryczką przejeżdżali we dwójkę: panna Emilia z wysoko podniesioną głową i Homer Barron w kapeluszu na bakier, w żółtych rękawiczkach, z cygarem w zębach, z lejcami i batem w dłoni.

Potem niektóre panie zaczęły mówić, że to wstyd dla miasta i zły przykład dla młodego pokolenia. Mężczyźni nie chcieli się wtrącać, ale w końcu panie zmusiły pastora baptystów — rodzina panny Emilii należała do kościoła episkopalnego — by ją odwiedził. Nigdy nie rozpowiadał, co zaszło podczas tej rozmowy, ale odmówił ponownej wizyty. Najbliższej niedzieli znów ich widziano jadących ulicami miasta, następnego zaś dnia żona pastora napisała do kuzynki panny Emilii w Alabamie.

Tak więc pod jej dachem raz jeszcze znalazł się ktoś z jej krewnych; myśmy zaś ucichli, by obserwować rozwój wypadków. Zrazu nic się nie wydarzyło. Potem zgodziliśmy się wszy-

scy, że tamci mają się pobrać. Dowiedzieliśmy się, że panna Emilia była u jubilera i zamówiła komplet męskich przyborów toaletowych oprawnych w srebro, z monogramem H. B., wrytym na każdej sztuce. W dwa dni potem rozeszła się wieść, że zakupiła komplet męskiej odzieży, łącznie z nocną koszulą, więc powiedzieliśmy:

— Pobrali się.

Byliśmy naprawdę zadowoleni. Zadowoleni dlatego, że obie kuzynki okazały się jeszcze bardziej typowymi przedstawicielkami rodu Griersonów niż panna Emilia.

Tak więc — skoro ulice były już od pewnego czasu wykończone, nie zdziwiło nas zniknięcie Homera Barrona. Byliśmy nieco rozczarowani, że odbyło się to bez szumu, lecz sądziliśmy, że wyjechał, by przygotować mieszkanie na przyjazd panny Emilii albo żeby ułatwić jej pozbycie się kuzynek. (Była to mała intryga, w której wszyscy staliśmy się sojusznikami panny Emilii w akcji wyrzucania ich.) W każdym razie upłynął jeszcze tydzień i kuzynki wyjechały. Jak przewidywaliśmy, nie minęło trzy dni i — Homer Barron zjawił się w mieście. Jeden z sąsiadów widział, jak pewnego wieczora, o zmroku, wpuścił go kuchennymi drzwiami służący Murzyn.

Tak oto po raz ostatni widziano Homera Barrona. Panna Emilia też znikła na pewien czas. Murzyn wychodził z koszykiem po sprawunki i wracał, ale drzwi frontowe pozostały zamknięte. Od czasu do czasu widywaliśmy ją przelotnie w oknie, jak ci, co owej nocy rozsypywali wapno, jednak na ulicach nie pojawiła się chyba przez sześć miesięcy. Zdaliśmy sobie wówczas sprawę, że i tego należało się spodziewać; że despotyczny charakter ojca, który tylekroć pokrzyżował jej życie jako kobiety, był zbyt żywotny i przeżarliwszy ją do głębi, zatriumfował.

Gdy następnym razem ujrzeliśmy pannę Emilię, była już tęga i włosy jej zaczynały siwieć. W ciągu najbliższych kilku lat stawały się coraz bardziej i bardziej siwe, aż nabrały trwałego odcienia pieprzu z solą albo stalowej szarości. Aż do dnia, gdy umarła, w wieku siedemdziesięciu czterech lat, włosy były jeszcze stalowoszare, żywe jak u czerstwego mężczyzny.

Do tego czasu drzwi frontowe pozostały zamknięte, z wyjątkiem okresu, gdy nie mając jeszcze czterdziestki przez sześć czy siedem lat dawała lekcje malowania na porcelanie. Urządziła w jednym z pokojów na parterze pracownię, do której córki i wnuczki współczesnych pułkownika Sartorisa posyłane były z taką samą regularnością i w ten sposób, jak prowadzono je co niedziela do kościoła z dwudziestopięciocentową monetą na tacę. W tym czasie zwolniono ją od płacenia podatków.

Następnie młodsze pokolenie stało się kośćcem miasta i zadecydowało o jego duchu. Uczennice dorosły i rozeszły się; nie posyłały już do niej swoich dzieci z pudełkami farb, obrzydłymi pędzlami i obrazkami wyciętymi z pism kobiecych. Drzwi za ostatnią uczennicą zamknęły się i pozostały zamknięte na zawsze. Gdy w mieście wprowadzono zwyczaj doręczania przesyłek pocztowych do domów, jedynie panna Emilia nie pozwoliła na umieszczenie nad swymi drzwiami metalowego numeru i skrzynki na listy. Nawet nie chciała o tym słyszeć.

Mijały dni, miesiące i lata — obserwowaliśmy, jak Murzyn coraz bardziej siwieje i garbi się; wychodził i wracał z koszykiem na sprawunki. Zawsze w grudniu przesyłaliśmy jej nakaz podatkowy, który — bez potwierdzenia odbioru — wracał pocztą w tydzień później. Od czasu do czasu widywaliśmy ją w jednym z okien na dole — widocznie zamknęła pokoje na piętrze — wyglądała we wnęce okiennej jak ciosany tors jakiegoś bożka. Patrzyła na nas lub może nie patrzyła, tego nigdy nie umieliśmy odgadnąć. W ten sposób dziedziczyły ją kolejno pokolenia: cenną, nieuniknioną, spokojną i dziwną.

Tak też umarła. Zachorowała w domu pełnym kurzu i cieni, a na usługi miała tylko słabnącego Murzyna. Nawet nie wiedzieliśmy, że jest chora; od dawna poniechaliśmy prób zdobycia jakichkolwiek informacji od Murzyna. Nie odzywał się do nikogo, prawdopodobnie

nawet i do niej, bo jego głos, długo nie używany, zachrypl i jakby zardzewiał.

Umarła w jednym z pokoiów na parterze, w ciężkim orzechowym łóżku z baldachimem. Siwą głowę oparła na poduszce poźółkłej i omszałej ze starości i braku słonecznego światła.

V

U drzwi frontowych pierwsze z pań przyjęte zostały przez Murzyna, który je wpuścił, a potem zaraz zniknął. Mówiły ściszonymi, syczącymi głosami, rzucając ukradkowe, pełne ciekawości spojrzenia. Murzyn przeszedł przez dom, wyszedł tylnymi drzwiami i więcej go nie widziano.

Obie kuzynki przyjechały natychmiast. Pogrzeb urządzono następnego dnia, a całe miasto zeszło się, by popatrzeć na pannę Emilię przykrytą naręczami kupionych kwiatów. Głęboko zamyślona pastelowa twarz jej ojca widniała nad katafalkiem, panie mówiły szeptem i były w nastroju żałobnym. Najstarsi mężczyźni stali u wejścia i na gazonie, rozmawiając o pannie Emilii, jak gdyby była ich rówieśnicą. Niektórzy z nich byli w starannie wyczyszczonych uniformach Konfederacji. Zdawało im się, że tańczyli z nią niegdyś i może nawet zalecali się do niej.

Czas gmatwał im rachunki, jak to bywa u starych, dla których cała przeszłość nie jest zwężającą się drogą, lecz ogromną, nie tkniętą właściwie przez żadną zimę łąką, od której dzieli ich tylko przesmyk ostatniego dziesięciolecia.

Wiadomo było, że gdzieś tam nad schodami jest pewien pokój, do którego nikt nie zaglądał od czterdziestu lat, i że trzeba będzie otworzyć go siłą.

Zaczekano z otwarciem, dopóki panna Emilia nie została pochowana jak należy.

Gwałtownie wyłamane drzwi wypełniły powietrze tumanami kurzu. Cienka powłoka, jak gdyby grobowego pyłu o przenikliwej woni, pokrywała wszystko w tym pokoju, przygotowanym i urządzonym jak dla nowożeńców: warstwa pyłu była na koronkowych, wyblakłych firankach różowego koloru, na lampach o różowych abażurach, na gotowalni, na delikatnym komplecie kryształów i na męskich przyborach toaletowych oprawnych w pociemniałe srebro, na których nie było już widać monogramu. Wśród nich leżały kołnierzyk i krawat, jak gdyby dopiero co zdjęte, a przecież gdy je podniesiono, pozostały na gotowalni blade półksiężycy w kurzu. Na krześle wisiał garnitur, starannie złożony; pod krzesłem były dwa trzewiki i rzucone skarpetki.

Sam mężczyzna leżał w łóżku.

Przez długą chwilę staliśmy tam po prostu, spoglądając na szeroki uśmiech widoczny na pozbawionym umięśnienia obliczu. Ciało leżało niegdyś widocznie w pozycji takiej, jak by obejmowało kogoś, teraz już jednak zrobił swoje ów długi sen. trwalszy od miłości, i stał wyraz zachwyty z zeschniętej twarzy.

Tego, co pozostało z mężczyzny, spróchniałe pod resztkami nocnej koszuli, nie można było wydobyć z łóżka, na którym leżał; człowiek i poduszka pokryci byli ową równającą wszystko warstwą ciepłego pyłu.

Nagle zauważyliśmy, że na drugiej poduszce było wgłębienie — ślad czyjejś głowy. Ktoś z nas podniósł coś stamtąd, a gdy pochyliliśmy się wśród tego delikatnego, niewidocznego pyłu, który wiercił w nosie — ujrzeliśmy długie pasemko stalowosiwych włosów.

A. J. ALAN

W roku 1928 londyńska firma wydawnicza Hutchinsona opublikowała zbiór pt. Dobry wieczór państwu! (Good Evening Everyone!) Autorem zawartych w nim gawęd był A. J. Alan. Wygłaszał je przed mikrofonem radia brytyjskiego, a tekst utrwałała stenografka. Z tego tomu zaczerpnięta jest poniższa fantastyczna historyjka, na wiążącą do starego tematu magii.

WARKOCZYK

Chcę wam dziś opowiedzieć o pewnych wydarzeniach, których nie będę próbował wyjaśniać, ponieważ to zupełnie nie leży w mojej mocy. Gdy usłyszycie o wszystkich faktach, może ktoś z was zdoła wysunąć hipotezy. Jak się samemu nie rozumie tego, o czym się opowiada, to człowiek nie bardzo wie, co należy pominąć.

Cała ta historia zaczęła się w dawnych, dawnych czasach, kiedy jeszcze nie było radia. Działo się to w 1921 roku.

Spędzałem weekend u jednego z moich przyjaciół, mieszkającego o jakie piętnaście mil od Bristolu.

Był z nami jeszcze jeden kolega, zamieszkały w Dawlish. A więc było to tak: w poniedziałek rano nasz gospodarz zawiózł nas do Bristolu o takiej porze, żeby tamten z Dawlish zdążył na pociąg do swego miasta, odchodzący o wiele wcześniej niż pociąg do Londynu. Oczywiście, gdyby stary Einstein dobrze wykonał swą robotę, to obaj moglibyśmy pojechać tym samym pociągiem. Ale tak, to ja musiałem czekać jeszcze przeszło pół godziny. A propos Einsteina: czy nie warto byłoby oddać kawałek życia, aby usłyszeć, co by mu powiedział Euklides — gdziekolwiek by się spotkali?

Na jednej z ulic, którą przechodziłem, był jakiś zabawny, mały sklepik, taki stary antykwariat. Zatrzymałem się, żeby popatrzeć na wystawę. W głębi na półce stało okrągłe mosiężne pudełko, z kształtu trochę przypominające puderniczkę. Ono to właśnie zwróciło moją uwagę — sam nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że nigdy czegoś takiego nie widziałem. Pewno z tej samej przyczyny kobiety kupują takie a nie inne kapelusze.

Szyba wystawowa była jednak tak brudna, że mało co było przez nią widać, więc wszedłem do środka, żeby lepiej to pudełko obejrzeć. Gdzieś z głębi sklepu wylaź niewiarygodnie stary człowiek i opowiedział mi wszystko, co wiedział o tym pudełku, a było to niezbyt wiele. Pudełko okazało się dosyć ciężkie. Było mosiężne, okrągłe, wysokie na cztery cale i miało ze trzy cale średnicy. W środku coś latało, kiedy potrząsaliśmy pudełkiem. Nikt nigdy nie zdołał zdjąć pokrywki. Starzec kupił je przed paru laty od jakiegoś marynarza, ale nie potrafił nawet powiedzieć, z jakiej części świata pochodzi.

— Da pan piętnaście szylingów? — zapytał stary.

Zaofiarowałem mu dziesięć, on od razu się zgodził, a potem już musiałem bardzo szybko pędzić na stację, żeby nie spóźnić się na pociąg.

Gdy wróciłem do domu, zaniósłem pudełko do mego warsztatu i dokładnie je obejrzałem. Było bardzo prymitywnie wykonane, i to najwyraźniej ręcznie, nie na tokarce. Kiedyś na pokrywce musiało być coś wryte, ale zatarte zostało pilnikiem. Teraz więc trzeba było zdjąć pokrywkę bez jej uszkodzenia. O zdjęciu ręką nie mogło być mowy i żadne zwykłe metody by nie pomogły. Na razie postawiłem pudełko pokrywką na dół na talerzyku z gliceryną. Stało tak tydzień. Potem zrobiłem dwa mosiężne półpierścienie — jeden pasujący do pudełka, a drugi do pokrywki. Pod koniec tygodnia zanitowałem pierścienie, zamocowałem pudełko w imadle i spróbowałem odkręcić pokrywkę pobijając dokoła młotkiem, ale ani ruszyło. Następnie spróbowałem w drugą stronę — i od razu poskutkowało. Wyjaśnia to, czemu nikomu nie

udawało się dotychczas otworzyć pudełka: miało ono lewostronny gwint. Trick dość pospolity, zwłaszcza w dawnych czasach.

A więc zacząłem bardzo ostrożnie odkręcać, a czułem się jak Ali-Baba, myśląc, co też tam znajdzie. Mogło coś wystrzelić albo skoczyć mi prosto w twarz. Jednakże gdy zdjąłem pokrywkę, nie stało się nic nadzwyczajnego. W środku pudełko było do połowy wypełnione kurzem, a na dnie leżał warkoczyk skręcony z włosów. Wyprostowany, miał około dziewięciu cali długości, a grubość — mniej więcej ołówka. Rozplotłem kawałek i stwierdziłem, że składa się z kilkuset delikatnych włosów, ale tak zabrudzonych, że nie można się było im dokładnie przyjrzeć, choć wsuwałem je nawet pod mikroskop. Postanowiłem je oczyścić. Wiecie może, jak to się robi — najpierw kąpiel w roztworze kwasu solnego, żeby usunąć tłuszcz, a potem — w roztworze sody do prania, aby spłukać kwas. Następnie wypłukałem włosy w destylowanej wodzie, potem w alkoholu, żeby usunąć resztki wody, a wreszcie — w eterze.

Właśnie wyjmowałem warkoczyk z eteru, gdy zawołano mnie na dół do telefonu. Rzuciłem warkoczyk na pierwszą lepszą czystą rzecz pod ręką — a mianowicie na kawałek białego kartonu — i zszedłem na dół. Kiedy później przyjrzałem się warkoczykowi, jedyną rzeczą interesującą okazało się to, że najwidoczniej składał się on z włosów kilku różnych kobiet. Kolory wahały się od głębokiej czerni, poprzez brunatny, rudy i złoty, aż do siwizny. Żaden z włosów nie był farbowany, co było dowodem, jak bardzo stary jest warkoczyk.

Pokazałem go paru osobom, ale nikt się tym specjalnie nie entuzjazmował, tak że schowałem włosy i pudełko do małej szafki stojącej w rogu pokoju — i zapomniałem o nich.

Potem wydarzył się pierwszy dziwny zbieg okoliczności.

W jakie dziesięć dni później jeden z moich kolegów nazwiskiem Matthews przyszedł do klubu z obandażowanym czołem. Naturalnie pytano go, co mu się stało, a on odpowiedział, że nie wie, w dodatku zaś nie wie i jego doktor. Przewrócił się nagle w swoim własnym salonie podczas herbaty i leżał jak kłoda. Żona oczywiście bardzo się wystraszyła i zatelefonowała po lekarza. Ale Matthews przyszedł do siebie po jakichś pięciu minutach, usiadł i zapytał, co go uderzyło. Gdy w parę minut potem przyszedł lekarz, Matthews czuł się już całkiem nieźle, tyle że go porządnie bolało czoło. Doktor nie zdołał stwierdzić niczego poza czerwonym śladem, który zaczął pojawiać się na skórze właśnie w bolącym miejscu.

No i ten znak stawał się coraz wyraźniejszy i wyraźniejszy, tak że w końcu wyglądał jak ślad po uderzeniu kijem. Następnego dnia przedstawiał się mniej więcej tak samo, tyle że wokół niego pojawiła się otoczka. Potem zaczęło się polepszać. Matthews zdjął bandaż w klubie i pokazał mi znak; w środku wyglądało to jak węzowaty ślad po przejściu jakiegoś rozpalonego do czerwoności robaka.

Wydano orzeczenie, że Matthews dostał zawrotu głowy i musiał jakoś uderzyć się w nią, gdy padał. Na tym się skończyło.

W jaki miesiąc potem żona powiedziała do mnie:

— Doprawdy musimy zrobić porządek w twoim warsztacie! — na co ja spytałem, czy rzeczywiście trzeba, a gdy ona rzekła: — Tak, bo aż wstyd! — to i poszliśmy na górę.

Porządkowanie mojego warsztatu polega na tym, że wieszka się narzędzia z powrotem na odpowiednich kołkach, oraz na tym, że żona chce wyrzucać wszystko, co znajdzie na podłodze, ja zaś ciągle tylko mówię:

— Nie, nie! To może się na coś przydać.

Od razu trafiliśmy na kawałek białego kartonu, na którym w swoim czasie, kiedy mnie zawołano do telefonu, położyłem warkoczyk.

Gdy rzuciliśmy okiem na odwrotną stronę kartonika, okazało się, że jest to zrobione przy magnezji zdjęcie z pewnej kolacji, na którą byłem zaproszony. Wiecie, jak to bywa.

Zanim się złączą przemówienia, włączą faceci z aparatami i magnezją na kiju, potem ktoś powiada: „Może pan przewodniczący zechce wstać?”, popychają go do góry, potem oślepiający błysk i pełno dymu w pokoju i faceci wychodzą. Następnie przychodzi ktoś z

próbnymi odbitkami, a jak się jest człowiekiem nieśmiałym albo się siedziało koło tego przewodniczącego — to się zamawia jedną odbitkę.

Jeśli chodzi o ten bankiet, to było to w stowarzyszeniu łyżwiarzy, czy innym wzajemnej adoracji, a ja tam poszedłem jako gość wyżej wspomnianego Matthews'a. Siedzieliśmy, jak to mówią, ramię w ramię.

Teraz żona przyjrzała się zdjęciu i zapytała:

— Co to za znak na czole ma pan Matthews?

Spojrzałem i ja — no i proszę! — miał na czole taki sam ślad, z jakim przyszedł przed miesiącem do klubu. Najciekawsze w tym wszystkim było to, że zdjęcie zrobiono co najmniej sześć miesięcy przedtem, nim Matthews miał ten zabawny atak. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że na odwrocie fotografii była lekka, brunatna kreska. Widocznie był to ślad po warkoczku, który odłożyłem, żeby wysechł. Przesiało na drugą stronę i powstał znak na czole Matthews'a. Sprawdziłem, że akurat tam, nakłuwając karton igłą.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na bardzo dziwny zbieg okoliczności. Nie wiem, co sądzicie o zbiegach okoliczności, ale ja wiem z doświadczenia, że właściwie ich nie ma. W każdym razie zadałem sobie nieco fatygi i ustaliłem — nie mam co do tego cienia wątpliwości — że ja położyłem owego dnia warkoczek na fotografii między godziną czwartą a czwartą piętnaście, zaś Matthews miał swój śmieszny atak tego samego dnia kwadrans po czwartej. Może i to był zbieg okoliczności?...

Przyszło mi jednak następnie do głowy, żeby zrobić próbę. Nie na pocziwym Matthewsie, oczywiście, bo on już oberwał, a poza tym — to mój przyjaciel. Wiem dobrze, że należy miłować naszych wrogów i tak dalej, staram się zawsze, żeby tak było, no ale jeśli chodzi o przeprowadzenie eksperymentu tego rodzaju, to nawet jeśli szanse są jedna na milion, że się uda — lepiej wybrać wroga niż przyjaciela. Rozejrzałem się więc za odpowiednią — że tak powiem — ofiarą, za kimś, kogo by nie bardzo było szkoda, gdyby zdarzyć się miał nowy zbieg okoliczności. Osobą, na którą padł mój wybór, była bona od sąsiadów.

Z okna naszej łazienki widać ich ogród i nieraz zauważyliśmy, jak ta bona paskudnie obchodzi się z dzieckiem, kiedy myśli, że jej nikt nie widzi. Nie mogliśmy jej nic powiedzieć, bo wiecie, jak to niedobrze wtykać nos w sprawy sąsiadów, ale ona była systematycznie niedobra dla dziecka i po prostu nie znosiłami jej widoku. Poza tym jeszcze inna sprawa: gdy tylko tam nastąpiła, od razu nabrała zwyczaju sięgania przez murek do naszych róż. Zrywała je i ciskała na ziemię, ale wkrótce położyłem temu kres. Zrobiłem taką instalację z haczyków na ryby wokół najbardziej dostępnych róż i przygiałem krzewy do ziemi za pomocą drucików. Następnego poranku u sąsiadów była Sodoma i Gomora, a bona przez tydzień chodziła z zabandażowaną ręką.

Ogólnie biorąc, była ona akurat osobą nadającą się do mego eksperymentu. Przede wszystkim należało zrobić jej zdjęcie. Rano, kiedy było słońce, a ona siedziała w ogrodzie, zacząłem naśladować buczenie samolotu stojąc w oknie łazienki, żeby ją zmusić do podniesienia głowy. Pstryknąłem — i miałem zdjęcie aż miło.

Gdy tylko pierwsza odbitka wyszła, około jedenastej wieczorem tego samego dnia, przypiąłem warkoczek dwiema szpileczkami do zdjęcia, na czole bony. Czułem się bardzo głupio, oczywiście, że robię coś tak idiotycznego. Potem odłożyłem zdjęcie do szuflady w moim warsztacie.

Następnego wieczora, kiedy wróciłem do domu, żona spotkała mnie na progu i powiedziała:

— Wiesz, co się stało? Bonę od sąsiadów znaleziono martwą w łóżku dzisiaj rano! — Powiedziała następnie, że wszyscy są tym zupełnie wytrąceni z równowagi, że będzie śledztwo i tak dalej.

Powiadam wam, że jak bym dostał cegłą w głowę! — Coś podobnego! — rzekłem. — A na co ona umarła? — Trzeba wam wiedzieć, że moja pani nie była poinformowana o całym

eksperymentach. Nigdy by mi na to nie pozwoliła. Jest dosyć przesadna, mimo że mieszka ze mną pod jednym dachem.

Gdy tylko mogłem, wśliznąłem się cichaczem na górę, zajrzałem do szuflady i wyjąłem fotografię. Wszystko jedno — i tak wiem, że mi nie uwierzycie, ale kiedy odpiąłem warkoczyk, na czole bony widać było wyraźną brunatną plamkę. Aż mnie zatkało, powiadam wam. Bo to przecież już drugi raz: najpierw Matthews, a teraz — ona.

Cała sprawa mogła wyprowadzić człowieka z równowagi. Wiem, że to wydaje się głupie — ale nic nie poradzę: miałem niejasne wyrzuty sumienia.

No i potem przyszła kolej na dochodzenie policyjne. Naturalnie i ja poszedłem, żeby się dowiedzieć, na co umarła ta biedna kobieta. Oczywiście zapisano to jako „śmierć z przyczyn naturalnych”, a mianowicie wskutek pęknięcia naczyń w mózgu. Co jednak najbardziej zastanawiało lekarzy — to to, co spowodowało te „naturalne przyczyny”, bo miała na czole znak tego samego rodzaju co Matthews. Dokładnie przedyskutowali teorię, że być może była pod działaniem promieni Roentgena — bo tak to trochę wyglądało — ale że mniej lub więcej dowiedli, iż pod takim działaniem nie była, więc szczerze mówiąc dali temu spokój.

Wszystko to było bardzo interesujące. Zajmowało mnie wielce i o tyle dobrze się bawiłem, o ile komuś może sprawiać przyjemność śledztwo. Nie wyjaśnione zostało tylko dręczące zagadnienie, czy bona upadła, czy też coś ją stuk... — no, po prostu, czy przejechała się z powodu warkoczyka, czy nie?

Jasne, że nie można było poprzestać na tym, bo cała sprawa okazała się aż za bardzo podniecająca. Zacząłem się rozglądać za kimś innym, żeby na nim jeszcze raz spróbować, i uznałem, że świetnie będzie się do tego nadawał pewien pan z przeciwka. Nie był on taki nieprzyjemny jak bona, ponieważ nie był okrutny, w każdym razie nie umyślnie — grywał na skrzypcach — więc postanowiłem w miarę możliwości go nie zabijać.

Z fotografią był pewien kłopot, ponieważ sąsiad rzadko wychodził z domu. Nie macie pojęcia, jak trudno jest zrobić przyzwoite zdjęcie *en face* kogoś, kogo znacie tylko z widzenia. Jednakże udało mi się to po jakichś dwóch tygodniach. Zdjęcie było malutkie i musiałem zrobić powiększenie, ale wyszło nie najgorzej.

Wieczory spędzał przeważnie w pokoju na piętrze, ćwicząc, robiąc pizzicata i inne sztuczki. Po kolacji poszedłem do warsztatu i stanąłem przy oknie, akurat naprzeciw jego okna, i czekałem, aż zacznie. A kiedy na dobre rozgrzał się swoją robotą — dotknąłem po prostu warkoczykiem jego fotografii, nie za mocno, tylko tak, na przykład, jak sprawdza się dwoma drucikami baterijkę elektryczną czy akumulator. No więc dotknąłem zdjęcie warkoczykiem w ten sposób. Gdy zrobiłem to za pierwszym razem — facet wziął fałszywy ton. To jeszcze nie było wiele, więc oczywiście jeszcze raz to zrobiłem, tylko już dłużej przytrzymałem warkoczyk. Tym razem nie było wątpliwości. Pośpiesznie odłożył skrzypce, wychylił się z okna i dyszał jak ryba co najmniej z pięć minut. Byłem tak zaskoczony, powiadam wam, że miałem ochotę zrobić to samo.

Mimo wszystko wziąłem się w garść i zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby spalić tego cholera... — uhm — warkoczyka. Spalić czy nie spalić? Ale zbyt wiele kryło się w nim możliwości, tak że postanowiłem jednak zapoznać się z nimi.

Długo bym mógł wam opowiadać o moich eksperymentach.

Trwały one kilka miesięcy i doprowadziły do takiej naukowej ścisłości, że mogłem wywołać każdy efekt: od bólu głowy u komara do zabicia człowieka, wszystko to — zapamiętajcie sobie — kosztem jednego mężczyzny, jednej kobiety, całej masy stonóg i jednego świadomego oponenta. Musicie przyznać, że całkiem skromnie, jeśli uwzględnić, ile radości można by uzyskać z tego rodzaju odkrycia.

A więc teraz, skoro w opanowaniu techniki tego zdalnego działania osiągnąłem tak wysoki stopień precyzji, szkoda byłoby chyba nie wykorzystać tego w jakiś praktyczny sposób. Innymi słowy — nie zrobić na tym majątku bez niepotrzebnej utraty życia ludzkiego.

Można było, oczywiście, popracować dłużej na ludziach, których się nie lubiło, ale przez pewien czas nie przyniosłoby to nic konkretnego.

Chodzi mi o to, że gdyby się nawet ubezpieczyło ich przedtem, to trzeba by czekać z rok, zanim umrą, bo inaczej towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaciłoby premii, a zresztą wyglądałoby to trochę nie tego... gdyby miało miejsce parokrotnie.

No i wówczas przyszedł mi do głowy świetny pomysł: a gdyby tak spróbować mojego sposobu na wyścigach? Wystarczyłoby po prostu wybrać sobie jakiegoś fuksa, postawić na niego cały majątek w stosunku sto do jednego i potem postarać się, żeby nie przegrał.

Sama operacja byłaby całkiem prosta. Trzeba by mieć tylko kartonik ze zdjęciami wszystkich koni biorących udział w danym biegu, oczywiście z wyjątkiem tego, który miał wygrać, a potem usadowić się tak, żeby móc dokładnie obserwować bieg.

Nie miałem najmniejszego zamiaru robić krzywdy któremukolwiek z tych koni. Trzeba było zastosować wobec nich leciuteńkie dotknięcia, tyle żeby się poczuły zmęczone od razu po starcie. A potem, gdyby widać było na finiszu, że mój nie jest całkiem pewny — mógłbym raz jeszcze lekko stuknąć każdego konia, który wydawałby się jeszcze niebezpieczny.

Rozumiało się samo przez się, że niezbędna była wielka ostrożność, aby zaledwie nie dezorganizować całych wyścigów. Bo gdyby, na przykład, wszystkie konie z wyjątkiem jednego upadły albo tylko zatrzymały się i zaczęły skubać trawę, bieg taki mógłby zostać uznany za nieważny.

Tak więc przeprowadziłem dwie czy trzy próby. Udały się doskonale. Ostatniej to nawet nie można było nazwać próbą, bo postawiłem dziesięć funtów na 33 do 1, ot tak — żeby spróbować szczęścia — i oczywiście wyszło.

Nie miałem jednak takiego szczęścia, jak się wydaje. Tuż koło wejścia na trybuny zrobił się niezły tłok i gdy wychodziłem — otoczyło mnie czterech czy pięciu ludzi, którzy zaczęli mnie popychać. Nie zdawałem sobie sprawy, o co im właściwie chodzi, dopóki jeden z nich nie sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni mojej marynarki.

Złapałem go oczywiście i przytrzymałem powyżej łokcia obu rękami. No i siłą rzeczy, trzymając jego rękę pod pachą, przydusiłem do żeber zawartość kieszeni.

Że zaś w tej kieszeni była próbówka z warkoczykiem, to jak zacząłem ścisnąć — próbówka pękła z traskiem. Nie bardzo zdaję sobie sprawę, co się następnie działo, tyle że sprytny facet chciał się wyswobodzić, a jego dwaj koledzy dopomagali mu, waląc mnie po głowie. Całkiem brutalnie to robili. Zapalili się nawet tak dalece, że kontynuowali swoje poczynania aż do chwili, gdy zjawiła się policja i wzięła ich za kołnierz.

Gdybyście widzieli rękę tego faceta, kiedy wyjął ją z mojej kieszeni... Była cała porżnięta i tkwiły w niej kawałeczki potłuczonego szkła; wyglądała jak ciasto z czerwonym sokiem. Tak się urządził, że w drodze na posterunek trzeba było zajechać do lekarza, żeby mu podwiązał jakąś małą arterię. Ja miałem głowę rozciętą i to też wymagało opatrunku. Całkiem przyjemny jegomość ten doktor, tylko że stał się przyczyną mojej ruiny. Nawiasem mówiąc był najbardziej łysym lekarzem, jakiego kiedykolwiek widziałem, choć co prawda spotkałem kiedyś jeszcze bardziej łysego radnego miejskiego.

Kiedy usmarował mnie jodyną, wydostałem z kieszeni resztki potłuczonego szkła razem z warkoczykiem i zapytałem doktora, czy nie mógłby mi dać jakiejś pustej buteleczki. — Ależ bardzo chętnie — powiedział i wyjął buteleczkę. Włożyłem warkoczek do środka i zakorkowałem.

Gdy w końcu wróciłem do domu, zajrzałem do buteleczki. Była pusta, jeśli nie liczyć odrobiny błotnistej substancji na dnie. Warkoczek się rozpuścił.

Dopiero wtedy spojrzałem na etykietkę na butelce: była tam nazwa szeroko reklamowanego środka na porost włosów.

JOHN STEINBECK

Wnuk niemieckiego emigranta, urodzony w Salinas w Kalifornii w roku 1902 — John Steinbeck, po długim okresie biedowania, stał się znany jako nowelista w 1935 roku. Czytelnicy polscy znają jego Myszy i ludzi. W 1939 roku ukazała się wstrząsająca powieść Steinbecka o losie tysięcy bezdomnych ze stanu Oklahoma, uciekających wskutek klęski żywiołowej do Kalifornii — Grona gniewu (The Grapes of Wrath). Satyryczna fantazja, którą tu podajemy, odbiega od całokształtu twórczości amerykańskiego pisarza, nacechowanej realizmem.

DZIWNA AFERA PRZY ALEI M.

Miałem nadzieję, że uda się ukryć przed ciekawością opinii publicznej te dość niezwykle wydarzenia, które od miesiąca mnie zaprzatają. Wiem, że mówi się o tym w sąsiedztwie. Zdaję już sobie całkiem dobrze sprawę, że gdy przechodzę — przekupnie kiwają głowami, a sprzedawczyni gazet stara się nie odpowiadać na moje pozdrowienie. Niektóre z krążących wersji dotarły nawet do moich uszu i od razu muszę oświadczyć, że są od początku do końca zmyślone, obliczone na łatwowierność poczciwców. Jednakże mojej chęci nierozgłaszania sprawy zadano wczoraj bolesny cios: przyszło do mnie dwóch przedstawicieli czołowych organów prasowych, którzy mnie zapewnili, że wieści o całej tej historii (lub nawet — aferze) przedostały się z obrębu mego otoczenia i trafiły do redakcji głośnych tygodników, budząc sensację w mieście. Wobec tego, że zagrażał skandal, i po to, by uniknąć bezwstydnego zniekształcania i tak już niezwykłych okoliczności, nie pozostaje mi nic innego jak samemu opisać szczegóły tych wypadków, znanych już jako afera przy Alei M. Przedstawię je tak, jak się zdarzyły, powstrzymując się od wszelkich komentarzy, co pozwoli publiczności na samodzielną ocenę sytuacji.

Na początku lata przywiozłem rodzinę do Paryża i umieściłem ją w ładnym małym domku przy Alei M., pod numerem 1, gdzie ongi mieściły się stajnie należące do sąsiedniego dużego domu. Posesja ta zamieszkała jest tylko częściowo przez obecnych właścicieli — starą szlachecką rodzinę francuską, tak starą i tak czystej krwi, iż jej członkowie zawsze twierdzą, że Burboni nie mają prawa pretendować do tronu Francji.

W tym ładnym małym budynku, którego trzy piętka wznoszą się nad wewnętrznym dziedzińcem o doskonale wygładzonym bruku, mieszkam wraz z najbliższą rodziną, złożoną z żony i trojga dzieci — dwóch chłopczyków i dużej dziewczynki. Nasze życie domowe i życie konsjerżki, która w pewnej mierze należy do rodziny, reguluje francuska kucharka o wysokich kwalifikacjach, służąca-Hiszpanka i moja sekretarka osobista — młoda Szwajcarka, której wybitnym zdolnościom dorównuje jej moralna prawość. Tak więc przedstawiała się nasza rodzinka w chwili, gdy nastąpiły wydarzenia, o których mowa niżej.

Ponieważ trzeba sięgnąć aż do ich podłoża, więc niestety muszę przypisać jeżeli nie odpowiedzialność za nie, to przynajmniej mimowolne ich wywołanie, mojemu młodszemu synowi, Johnowi. To żywe dziecko, którego uroda rzuca się w oczy, podobnie jak jego wystające zęby, minęło właśnie etap pierwszych ośmiu lat życia.

Pod koniec pobytu w Ameryce ów młody człowiek stał się praktykującym wyznawcą tej szczególnej amerykańskiej manii, która polega na życiu bubblegum*; w działalności na

* Bubblegum różni się od chewing-gum (czyli zwykłej gumy do żucia — przyp. tłum.) zarówno rozmiarami kostki jak i konsystencją. Każdy kawałek ma wielkość mniej więcej dorodnej ostrygi, konsystencję wzmacnia się przez dodanie do zwykłej gumy odrobiny bony-S oraz materiału plastycznego z łańcucha węglowodnorodnych o wysokim współczynniku rozciągliwości. Podczas żucia drażetka bubblegum stawia opór o wiele większy niż zwykła guma do żucia. W dodatku smak jej przyprawia o mdłości. Rzecz by można, że producent dał

tym polu John wykazuje wybitny talent i choć nie wznosił się jeszcze do poziomu mistrzów, od dawna już nie można go traktować tylko jako amatora.

Jedną z najprzyjemniejszych stron mego życia w Paryżu na początku lata było to, że mój beniaminek wyjeżdżając z Ameryki zapomniał zabrać ze sobą zapas bubblegum. Dziecko od razu nabrało lepszej dykcji i nie patrzyło już jak zahipnotyzowane. Niestety, ten miły okres nie miał trwać długo. Stary przyjaciel rodziny, podróżujący po Europie, przywiózł dzieciom więcej niż dostateczny zapas tej przekłetej gumy; sądził, że wszystkim sprawi przyjemność swoim podarunkiem. Tak więc powrócił dawny stan rzeczy. Słowa Johna znowu musiały przeciskać się przez ogromny, wilgotny knebel, aż wreszcie wylatywały z hałasem podobnym do odgłosu wydobywającego się z zepsutej sikawki. Szczęki Johna były w nieustannym ruchu, co nadawało jego twarzy wyraz człowieka w agonii, a spojrzenie przypominało szklistą nieruchomość oka świni, której tylko co przecięto tętnicę szyjną. Ponieważ uważam, że nie trzeba narażać dzieci na kompleksy wynikające z tłumienia pożądań, pojąłem tylko, że przyjdzie mi spędzić lato mniej przyjemnie, niż sobie zrazu wyobrażałem.

Są wypadki, w których odstępuję od reguły niekrępowania nikogo. Na przykład kiedy ostatecznie obmyślam temat książki, sztuki lub artykułu, kiedy potrzebne mi jest całkowite skupienie się — skłonny jestem do wprowadzania tyrańskich przepisów, by egoistycznie zapewnić sobie wygodę i wydajność pracy.

Jeden z tych przepisów głosi, że gdy usiłuję się skupić, nie wolno w pobliżu mnie żuć ani robić baloników. Mój John tak dobrze pojmuje tę regułę, iż zgadza się na nią jak na jedno z praw natury i nie próbuje się w tym wypadku skarżyć ani też wyłamywać. Synek wpada często do mego gabinetu dla własnej przyjemności i aby mnie rozerwać. Siedzi wówczas przy mnie bez słowa. Wie, że nie powinien mówić, a pobyt jego trwa tak długo, na ile pozwala mu jego temperament; potem John wychodzi — wilczym krokiem. Obaj czerpiemy otuchę z takiego niemego obcowania ze sobą.

Dwa tygodnie temu późnym popołudniem siedziałem przy stole zajęty pisaniem artykułu dla „Figaro Littéraire” (artykułu, który zresztą rozpetał polemikę, gdy ukazał się, pod tytułem „Sartre Resartus”)*. Doszedłem właśnie do tego miejsca w tekście, gdzie snują poważne myśli o duszy i jej powłóce cielesnej, kiedy nagle, osłupiały, postłyszałem „plip-plop” pękającego balonika bubblegum, odgłos dający się zawsze rozpoznać. Rzuciłem surowe spojrzenie na mego potomka i zobaczyłem, że żuje ze wszystkich sił. Policzki miał czerwone ze wstydu, a mięśnie jego szczęki były tak napięte, że aż bliskie pęknięcia.

— Znasz przepisy — powiedziałem doń zimno.

Zdziwiłem się, widząc łzy w jego oczach; podczas gdy zuchwy jego pracowały nadal uporczywie, dał się słyszeć głos — stłumiony, torujący sobie drogę poprzez wielką bryłę bubblegum:

— To nie ja to robię.

— Jak to nie ty? — zapytałem z wściekłością. — Słyszałem doskonale, a teraz doskona-

konsumentowi wszystkie powody do zniechęcenia swego produktu, uchylając się przez to od odpowiedzialności za bubblegumomanię. Przeżuwacz po urobieniu gumy przez pewien czas ściska ją językiem między zębami, a potem — dmuchając z wolna, ale mocno — wypycha spomiędzy warg balonik, który należy rozdymać aż do chwili, gdy eksploduje z lekkim kłasknięciem odrywanej lekarskiej bańki; strzępy włókienka rozerwanego balonika rozlatują się wówczas, osiadając na brodzie, nosie, a nawet włosach żującego. Ten kolistym ruchem wskaźującego palca zbiera ochłapy, wkłada je z powrotem do ust i zaczyna żuć na nowo, aż guma stanie się znów podatna do zrobienia balonika. Zadowolenie, jakie dzieci amerykańskie zdają się znajdować w żuciu gumy, jest tak wielkie, że nie zdają one sobie sprawy ze smaku i pożałowania godnego składu produktu, a czynności tej poświęcają wszystkie godziny swoich zajęć z wyjątkiem posiłku. Na zebraniach młodzieży konwersacja i zabawy zastąpione zostały koncertem trzasków baniek z bubblegum. Wydawca nie oczekuje, że czytelnik uzna intelektualną wartość tej rozrywki, lecz uważa, że obowiązkiem jego było udzielić wyjaśnień co do mechanizmu działania i techniki użytkowania bubblegum.

* Gra słów — aluzja do pisarza francuskiego Sartre'a, a jednocześnie do tytułu dzieła angielskiego filozofa Carlyle'a pt. „Sartor Resartus” (przyp. tłum.).

le widzę.

— Och, tatusiu — wyskandował — to naprawdę nie ja... to nie ja żuję, to ona mnie żuje...

Przez chwilę przyglądałem się bacznie memu synowi. Jest to porządne dziecko, które kłamie tylko wtedy, gdy naprawdę mu się to opłaca. Przyszła mi do głowy okropna myśl, że bubblegum pokonała go w końcu i że równowaga umysłu mego syna została zachwiana. Lepiej było w takim razie zachować ostrożność. Spokojnie wysunąłem otwartą dłoń.

— Wypluń — powiedziałem łagodnie.

Syn mój po męsku próbował rozewrzeć szczęki.

— Ona mnie nie chce puścić — wykrztusił.

— Otwórz — rozkazałem, a potem wsunąłem mu palce do ust, wgniotłem je w ten śliski przedmiot i po zmaganiach, podczas których ze dwadzieścia razy palce się ześlizgiwały, udało mi się odkleić tę obrzydłą kulkę i położyć ją na biurku na stosie kartek do pisania. Drżała w miejscu przez pewien czas, a potem zaczęła falować, rozdymać się, by zaraz oklapnąć, wykonując takie właśnie ruchy, jak gdyby była przeżuwana. Synek i ja patrzyliśmy na nią wybałuszonymi oczyma.

Długo przyglądaliśmy się jej w milczeniu. Na próżno starałem się znaleźć jakieś wyjaśnienie. Albo śniłem, albo też jakaś nie znana dotychczas zasada objawiała się poprzez kawałek gumy, leżący w drgawkach na moim biurku. Nie jestem znów taki nieinteligentny. Gdy obserwowałem to paskudztwo, przelatowały mi przez głowę strzępki myśli i zaczynało mi coś świtać.

— Od dawna dajesz się tak żuć? — zapytałem wreszcie.

— Od wczoraj wieczór — brzmiała odpowiedź.

— A kiedy po raz pierwszy zauważyłeś, że ona zdradza takie skłonności?

John odpowiedział mi z całą szczerością:

— Uwierz mi, proszę cię, tatusiu. Wczoraj wieczorem, zanim zasnąłem, przykleiłem ją jak zwykle pod poduszką. W środku nocy obudziłem się z gumą w ustach. Znowu wsadziłem ją pod poduszkę, ale ona rano z powrotem znalazła się u mnie w ustach; zachowywała się zresztą całkiem spokojnie. Kiedy się już zupełnie rozbudziłem, poczułem, że guma się jednak troszkę rusza, i od razu zrozumiałem, że już nad nią nie panuję. Ona zaczęła rządzić. Chciałem ją wyjąć, ale się nie udało. Widzisz, nawet ty, taki silny, tyle miałeś kłopotu, zanim ją wyciągnąłeś. Jeżeli przyszedłem i przeszkadzam ci, to dlatego, że już sam nie wiem, co robić. Oj, tatusiu, powiedz mi, co to się dzieje!

Całą uwagę skupioną miałem na tej godzinie.

— Muszę pomyśleć — powiedziałem. — To dosyć niezwykle wydarzenie i nie można go lekko traktować.

W czasie gdy mówiłem, twór ten doznał jakiejś zmiany: nagle przestał kurczyć się i rozdymać, zdawało się przez chwilę, że chce posunąć się naprzód, a potem, ruchami płynnymi, charakterystycznymi dla jednokomórkowców i mięczaków, zaczął pełzać po biurku w kierunku mego syna. Oślupiały przez chwilę, w bezbrzeżnym zdumieniu, nie od razu zdałem sobie sprawę z zamiarów gumy: zeskoczyła na kolana Johna, a potem w przerażający sposób zaczęła leżeć po jego koszuli. Dopiero wówczas zrozumiałem: usiłowała wrócić mu do ust. A on patrzył, jak włazi, sparaliżowany strachem.

— Stój! — krzyknąłem, widząc, że mój najmłodszy jest w niebezpieczeństwie, a w takich wypadkach zdolny jestem do wściekłej gwałtowności w słowach, jak i w czynach. Schwytałem monstrum, gdy sunęło po brodzie mego synka, wielkimi krokami wypadłem z gabinetu, wszedłem do salonu, otworzyłem okno i wyrzuciłem to świństwo na sam środek Alei M., gdzie panował duży ruch...

Uważam, że obowiązkiem rodziców jest w miarę możliwości chronić dzieci od wstrząsów, mogących wywołać koszmary, urazy czy coś jeszcze gorszego. Powróciłem do gabinetu,

by stwierdzić, że John siedzi nadal tam, gdzie go zostawiłem. Patrzył nieruchomo w przestrzeń. Głęboka zmarszczka przecinała mu czoło.

— Synku — powiedziałem. — Dosyć trudne będzie do strawienia dla innych to, cośmy widzieli i o czym wiemy, że było prawdą. Wyobraź sobie, co by się działo, gdybyśmy to opowiedzieli rodzinie. Wszyscy śmialiby się nam prosto w nos.

— Całkiem możliwe — odpowiedział machinalnie.

— Dlatego też proponuję ci, mój synku, żebyśmy zamknęli w pamięci tę historię na cztery spusty i nigdy — słyszysz? — nigdy nie pisnęli o tym ani słowa.

Czekałem, że odpowie, ale skoro się nie odezwał, odwróciłem się ku niemu i stwierdziłem, że twarz jego wygląda jak krajobraz księżycowy, przez który przeszła burza. Oczy literalnie wychodziły mu z orbit. Spojrzałem w kierunku, w którym patrzył: jakieś wąskie pasemko przeciskało się pode drzwiami; z chwilą pokonania przeszkody rozdeło się, formując szarawą kulkę, która nabrała tchu, przystanąwszy na dywanie, a potem, w rytm pulsowania i ruchów takich, jak by była żuta, zaczęła wędrować na niby nóżkach w kierunku mego syna.

Opanowałem odruch paniki i poskoczyłem w kierunku gumy. Schwyciłem ją i rzuciłem na biurko, a potem, złapawszy wiszącą na ścianie wśród różnych trofeów afrykańską maczugę wojenną, okropne narzędzie, całe okute brązem, zacząłem walić gumę aż do utraty tchu. Pod koniec tej operacji pozostało z niej tylko kilka nędznych strzępów plastycznej substancji. Gdy skończyłem, guma natychmiast pozbierała się, a potem ugniatała się sama przez pewien czas, jak gdyby dusiła się ze śmiechu w obliczu mojej bezradności. Następnie podjęła nieubłagany marsz w kierunku mojego syna, który wrzeszczał ze strachu, skulony w kącie.

Ogarnął mnie dziwny spokój. Zebrałem to niesłychane paskudztwo, zawinałem je w chustkę, wielkimi skokami wypadłem z domu, minąłem trzy bloki mieszkalne dzielące nas od Sekwany i wrzuciłem zawiniątko w powolny nurt rzeki.

Znaczną część popołudnia spędziłem na dodawaniu otuchy synkowi i próbach przekonania go, że przyczyna jego przerażenia jest zlikwidowana. Doszedł on jednak do takiego stanu, że kazałem mu połknąć pół pastylki gardenalu, zanim zgodził się zasnąć, a żona błagała mnie, żebym wezwał doktora. Nie odważyłem się powiedzieć, dlaczego odmówiłem spełnienia jej życzenia.

W samym środku nocy okrzyk przestraszenia, dobiegający z pokoju dziecinnego, zbudził mnie i cały dom. Zbiegłem ze schodów, przeskakując po kilka stopni, i wpadłem do pokoju, w przelocie przekręcając kontakt elektryczny. John siedział na łóżku i miotany konwulsjami grzebał palcami w otwartych ustach, które nie mogły się powstrzymać od ruchów opętanego żucia. Zanim zorientowałem się, co się dzieje, między palcami synka wytrysnął balonik i pękł z cichym, wilgotnym młaśnięciem.

Jakże więc nie ujawnić naszej tajemnicy! Teraz trzeba było wszystko wyjaśnić. Aby ułatwić to, przygwoździłem najpierw gumę szpikulcem do kruszenia lodu do drewnianej tacy na chleb. Dumny jestem, że okazano mi tyle serca. Rodzina to wspomniała rzecz! Nasza francuska kucharka ustaliła swój pogląd prosto: nie uwierzyła, choć sama była świadkiem. — Rzecz cała przeczy zdrowemu rozsądkowi — wyjaśniła nam — a ona jest rozsądnym członkiem rozsądnego narodu. Hiszpańska dziewczyna do wszystkiego zamówiła i z własnej kieszeni opłaciła u proboszcza z naszej parafii przeprowadzenie egzorcyzmów, ale ten biedaczyna poszedł sobie po dwóch godzinach zmagania, mrużąc, że cała sprawa należy raczej do dziedziny gastrycznej niż duchowej.

Monstrum dręczyło nas przez całe dwa tygodnie. Paliliśmy je na kominku, widzieliśmy, jak rozplywa się, tryskając błękitnymi płomieniami — nędzny szczątek leżący wśród popiołu. Nim zaświtało, już pchało się przez dziurkę od klucza do pokoju dziecinnego, pozostawiając za sobą na drzwiach długą smugę jak gdyby żuźla. I ponownie budziły nas krzyki naszego beniaminka.

Będąc u kresu sił, pojechałem daleko na wieś i wyrzuciłem „to” przez okno mego wozu.

Powróciło przed świtem. Sądzę, że musiało wlec się wzdłuż magistrali, w nadziei, że zabrane zostanie przez oponę którejś z ciężarówek jadących do Paryża. Istotnie, gdy tego poranka wyrwaliśmy gumę z ust Johna, cała była jeszcze naznaczona odciskami słynnej, nie ulegającej zdzieraniu opony Michelin.

Ogarnęło mnie zmęczenie i rozgoryczenie. Wyczerpany, niezdolny do dalszej walki, spróbowałem wszelkich możliwych środków, aby zgubić czy też zniszczyć bubblegum, zrozwyczajony umieściłem ją pod kloszem, z którego zazwyczaj korzystam dla nakrywania mego mikroskopu. Padłem na fotel bez siły i patrząc zmęczonymi oczyma na gumę, oczekiwałem, co nastąpi. John zasnął w swym łóżeczku pod działaniem całej masy środków uspokajających, upewniony przeze mnie, że nie spuszcze gumy z oczu. Zapaliłem fajkę i oparłem się o poręcz fotela, gotów do działania. Pod kloszem szara masa poruszała się, szukając jakiejś drogi do wydostania się z więzienia. Od czasu do czasu przystawała, jakby się namyślając, i wypuszczała małe baloniki w moim kierunku. Czułem, jaką nienawiścią mnie darzyła. Ze skołataną głową zapadłem w rozmyślenia na tematy, które dotychczas uchodziły mej uwadze.

Prześledziłem dzieje wypadków. Bez wątpienia wskutek stałego żucia przez mego tak żywego syna gumie tej przekazany został impuls życiowy. Wraz z życiem uzyskała ona inteligencję, i to nie świeżo obudzoną i żywą inteligencję chłopca, lecz zdolność do kalkulacji i przebiegłość.

Jakże mogło być inaczej? Bezduszną inteligencją pozbawioną równoważącego ją pierwiastka musi z konieczności prowadzić do złego. Guma zaś nie wchłonęła przecież ani cząstki duszy Johna.

— Doskonale — rzekłem sam do siebie. — Mamy teraz hipotezę co do jej pochodzenia; zastanówmy się więc, jaka jest jej natura. Co ona myśli? Co kocha? Czego potrzebuje?

Umysł mój dokonywał skoków jak terier ostrowłosey. Teraz już koniec mej udręki. Miałem odpowiedź: guma powraca do swojego gospodarza, do mego syna, bo chce, aby ją żuto. Trzeba ją żuć, aby mogła żyć.

Guma pod kloszem wsunęła pod ciężki dzwon szklany delikatną mackę, wyłonioną ze swej masy. I nagle skurczyła się tak, że klosz podniósł się o parę milimetrów. Śmiałem się stawiając go na miejscu. Wstrząsał mną szyderczy śmiech, byłem prawie pijany triumfem. Tak — miałem odpowiedź.

W jadalni zaopatrzyłem się w talerzyk z przezroczystego plastiku, dekompletując w ten sposób tuzin nabyty przez żonę na wycieczki poza miasto. Następnie, odwracając klosz spodem do góry i wrzucając monstrum do środka, posmarowałem brzegi klosza odpornym na alkohol i kwasy klejem wodoszczelnym. Przyłożyłem talerzyk do posmarowanego klejem kręgu i dopóty przygniatałem, aż przywarł do klosza. Zrobiłem więc naczynie, do którego nie było dostępu powietrza. W końcu postawiłem klosz i zapaliłem lampę przy łóżku, by dobrze móc obserwować poruszenia mego więźnia. Guma zaczęła wędrować dookoła, szukając sposobu wydostania się. Potem stanęła naprzeciwko mnie i wypuściła szybko dużo małych baloników. Poprzez ścianę klosza słyszałem wściekle bulgotanie.

— Mam cię, moja miła! — krzyknąłem. — Mam cię wreszcie!

Od tego czasu upłynął tydzień. Nie opuszczałem klosza i nie odwracałem się, chyba po to, by niekiedy przełknąć filiżankę kawy. Gdy idę do łazienki — zastępuje mnie żona. Dziś można już podać następujące wiadomości, uzasadniające wszelkie dobre nadzieje:

W ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin guma próbowała wydostać się wszelkimi sposobami. Następnie, przez dzień i noc, była podniecona i nerwowa, jak by po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, co ją czeka. Trzeciego dnia zaczęła się sama żuć, lecz było to jak poruszanie się szczęk w rytmie o wiele szybszym niż zwykły; rzekłbyś, że udawała kibica drużyny base-ballu podczas krytycznego meczu. Czwartego dnia zaczęła słabnąć i z radością zauważyłem, że jej powierzchnia, poprzednio gładka i lśniąca, staje się nieco suchsza. Teraz jest już siódmy dzień i mam wrażenie, że zbliża się koniec. Guma leży na

talerzyku. Od czasu do czasu wzdyma się, a potem opada. Stała się brudnożółta. Dziś, w pewnym momencie, gdy syn mój wszedł do pokoju, podskoczyła do góry, lecz widocznie zdała sobie sprawę, że nie ma już żadnej nadziei, gdyż nagle oklapła znowu na talerzyku. Mam wrażenie, że zdechnie dziś wieczorem. Gdy to nastąpi, pójde wykopać głęboki dół w ogrodzie, złożę tam opieczętowany klosz, a po zasypaniu dołu ziemią — zasadzę tam geranium.

Spodziewam, się, że to ściśle sprawozdanie zlikwiduje choć w pewnej mierze bajki, jakie krążą w całej dzielnicy, od początku do końca kłamliwe, no i zresztą całkiem nie do uwierzenia.

Przełożył Tadeusz Adrian Małanowski

SPIS TREŚCI

Aleksander Puszkina TRUMNIARZ — <i>przełożył Seweryn Pollak</i>	002
Edgar Allan Poe ZAGŁADA DOMU USHERÓW — <i>przełożył Stanisław Wyrzykowski</i>	006
Charles Dickens OPOWIEŚĆ O WUJU KOMIWOJAZERA — <i>przełożył Włodzimierz Górski</i>	017
Joseph Sheridan Le Fanu ZIELONA HERBATA — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	026
Teodor Dostojewski BOBOK — <i>przełożył Kazimierz Truchanowski</i>	044
Joseph Conrad GOSPODA POD DWIEMA WIEDŹMAMI — <i>przełożyła Teresa Tatarkiewicz</i>	055
William Wymark Jacobs MAŁPIA ŁAPKA — <i>przełożyła Irena Malanowska</i>	069
Robert Smythe Hichens MIŁOŚĆ I PROFESOR GUILDEA — <i>przełożyła Kazimiera Muszałówna</i>	076
Edward Lucas White LUKUNDU — <i>przełożyła Kazimiera Muszałówna</i>	103
Herbert George Wells FURTKA W MURZE — <i>przełożyła Irena Malanowska</i>	112
Edward Frederic Benson GDZIE NAWET PTAK NIE ZAŚPIEWA — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	122
Hector Hugh Munro (Saki) KUNA — <i>przełożyła Irena Malanowska</i>	129
Oliver Onions WABIĄCA ŚLICZNOTKA — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	132
Maurice Renard ŻABA — <i>przełożył Gabriel Karski</i>	171
Alfred Edgar Coppard ADAM, EWA I... CO, U LICHA? — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	179
Guillaume Apollinaire ZNIKNIĘCIE HONORIUSZA SUBRAC — <i>przełożył Władysław Jerzy Kasiński</i>	186
William F. Harvey SIERPNIOWY UPAŁ — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	189
Karol Capes ŚLADY — <i>przełożył Zdzisław Hierowski</i>	192
Dorothy Leigh Sayers BURY KOT — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	197
William Faulkner KWIATY DLA EMILII — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	204
A. J. Alan WARKOCZYK — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	211
John Steinbeck DZIWNA AFERA PRZY ALEI M. — <i>przełożył Tadeusz Adrian Malanowski</i>	216